

MAUREEN  
LEE

*Dom  
przy Parku Książąt*

**Przekład:  
AGNIESZKA KLONOWSKA**

***C&T***  
**TORUŃ**

# OLIVIA

## Rozdział 1

1918-1919

Olivia była w Londynie tylko raz, w drodze do Francji. Spodobała jej się tętniąca życiem atmosfera tego miasta. Teraz jednak wszystko wzbudzało w niej nienawiść. Nienawidziła ludzi, na twarzach których malowało się szczęście z powodu zakończenia wojny. Przecież wśród nich musieli być i tacy, którym wojna odebrała bliskich. No i kobiety, które odczuwały tę samą pustkę i samotność, co ona.

Być może były wśród nich również kobiety niezamężne, kobiety niezamężne *ciężarne*, które mogłyby udzielić jej rady, powiedzieć, co powinna zrobić, jak sobie radzić, dokąd pójść.

Olivia bowiem nie miała pojęcia. Wiedziała tylko, że w swoim stanie nie może szukać pracy. Zawsze planowała, że po wojnie pojedzie z Francji prosto do Cardiff. Siostra przełożona obiecała jej, że przyjmie ją z powrotem do szpitala, gdzie pełniła obowiązki pielęgniarki. Wysiadła jednak w Londynie i nie było sensu jechać dalej. Siostra przełożona już jej nie potrzebowała. Olivia wstydziła się swej bezradności, tym bardziej że od chwili wyjazdu z domu uważała się za osobę silną.

Nigdy wcześniej nie musiała troszczyć się o pieniądze, mieszkanie czy kolejny posiłek. Jej skromne zarobki w zupełności wystarczały na to, by od czasu do czasu pozwolić sobie na zakup odświętnych ubrań, a przez lata udało jej się zaoszczędzić trochę grosza. Teraz oszczędności te były bliskie wyczerpania wskutek wydatków, jakie ponosiła, wynajmując pokój w małym hoteliku w Islington. Starła się minimalizować te wydatki, jedząc tylko śniadania, choć jako pielęgniarka wiedziała, że dla kobiety w ciąży było to za mało.

Niemniej jednak czuła się dobrze i nigdy nie miała mdłości. Właśnie to było jednym z powodów, dla których nie podejrzewała ciąży, kiedy w sierpniu nie pojawiła się miesiączka. Zrzuciła to na karb stresu związa-

nego z Tomem. Zdarzało się, że w obliczu tragedii kobiety przestawały miesiączkować. Z tych samych powodów zignorowała brak miesiączki we wrześniu, ale już w październiku poczuła, że robi się coraz szersza w pasie. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że spodziewa się dziecka. Wydawało się, że świadomość ta sparaliżowała jej umysł. Nie była w stanie myśleć.

W listopadzie doszło do zawieszenia broni. Choć dla Olivii był to powód do radości, ogarnęła ją rozpacz.

Mimo upływu tygodni uczucie to nie zniknęło. Potrzebowała nowych ubrań, bo stare były na nią za ciasne. Wkrótce nie była już w stanie wychodzić, a właścicielka hotelu dziwnie jej się przyglądała, bo w piątym miesiącu ciąży brzuch rósł jej z dnia na dzień.

Co dziwne, rzadko myślała o Tomie. Zastanawiała się, czy w ogóle myślałaby o nim, gdyby nie poruszające się w jej łonie dziecko. Obrączkę, którą od niego dostała, a która należała do jego dziadka, trzymała w walizce. Pamięć o Tomie nie sprawiała jej bólu, ale trudno było uwierzyć, że tamta noc w ogóle miała miejsce. Było to raczej coś w rodzaju snu. Nie mogła sobie przypomnieć, jak wyglądał, co mówił, ani tego, co właściwie robili.

Pani O'Hagan, żona Thomasa! Przypomniała sobie, jak wyszeptala te słowa w dniu, w którym Tom wyjechał.

— Że co proszę?

Jadła akurat śniadanie w małej hotelowej jadalni. Podniosła głowę i ujrzała wpatrującą się w nią właścicielkę.

— Przepraszam. Mówiłam do siebie.

— Już od dawna chciałam zamienić z panią dwa słowa, panno Jones — powiedziała oficjalnym tonem. — Od soboty będzie mi potrzebny pani pokój. Przyjeżdżają do mnie stali bywalcy, handlowcy.

— Rozumiem. Dziękuję, że mnie pani uprzedziła. Znajdę sobie jakieś lokum.

— Nie w żadnym szanującym się miejscu — oddalając się, rzuciła z pogardą kobieta.

Musiało się tak stać. Albo skończyłyby się jej pieniądze, albo poproszono by ją o opuszczenie hotelu. Szła w stronę centrum, a jej myśli splecione były niczym węzeł. Wolała wielkomiejski ggieł od cichych uliczek, mimo iż na West End panował ogromny hałas. Kobiety w jej stanie mogły znaleźć schronienie w specjalnych domach opieki. Słyszała, że miejsca te były okropne, ale na pewno lepsze niż błąkanie się po ulicach, bez grosza przy duszy. Tylko jak znaleźć taki dom? Kogo pytać?

A do tego jeszcze ten chłód! W powietrzu dało się czuć niesione przez okropny wiatr drobinki lodu. Podniosła do góry kołnierz swego cienkiego płaszcza, mocniej naciągnęła kapelusik, ale i to jej nie rozgrzało.

Na Oxford Street, w jednej z witryn u Selfridge'a, wywieszane były tweedowe, ciepłe i bardzo gustowne płaszcze. Olivia zatrzymała się i popatrzyła na nie pożądlivym wzrokiem. Nawet gdyby pracowała, kupno takowego i tak przekraczałoby jej możliwości finansowe. Teraz nie miała nawet tyle, by w jakimś tanim sklepie kupić sobie płaszcza za jedną czwartą tej ceny.

Wciąż jednak stać ją było na filiżankę herbaty. Ruszyła w kierunku Lyons'Corner House, przyglądając się świątecznie udekorowanym witrynom sklepowym. Do świąt pozostało kilka tygodni, a Olivia starała się nie myśleć, gdzie przyjdzie jej spędzić Boże Narodzenie.

Tuż przed nią, przy chodniku, zatrzymał się duży, czarny, prowadzony przez kierowcę w mundurze samochód. Wsiadły z niego dwie młode kobiety ubrane w futra i jedwabne pończochy. Całości dopełniały czarne, zamshowe torebki, rękawiczki i buty. Przemknęły przez chodnik do sklepu jubilerskiego, roztaczając wokół przyjemny zapach.

Chociaż jako pielęgniarka Olivia zarabiała niewiele, zawsze była zadowolona ze swego poziomu życia. Nigdy nie zazdrościła innym kobietom strojów czy pozycji społecznej. Teraz jednak, stojąc zmarznięta przed sklepem jubilerskim, patrząc na dwie bogato ubrane damy, które usiadły obok głównego kontuaru i którym sprzedawca kłaniał się uniżenie, poczuła, jak ogarnia ją fala dzikiej zazdrości. Właśnie wtedy dziecko w jej łonie postanowiło wykonać swoje pierwsze kopnięcie.

— Czy wszystko w porządku, skarbie?

Jakiś mężczyzna zatrzymał się przy niej, patrząc z niepokojem, jak pochyła się i obejmuje swój brzuch obiema rękami.

— Wszystko w porządku, dziękuję.

Z wysiłkiem podniosła się i wyprostowała plecy.

— Powinna pani być w domu, w ciepłym łóżku - dodał mężczyzna i skinął głową w kierunku jej napęczniałego brzucha.

— Ma pan rację.

Była mu wdzięczna za troskę. Być może nie okazałoby jej takiej uprzejmości, gdyby wiedział, że pod letnimi rękawiczkami Olivia nie nosi obrączki.

Pozbierała się na tyle, by dojść do Lyons. Pijąc herbatę, z poczuciem rezygnacji zdała sobie sprawę, że w jej sytuacji istniało tylko jedno wyjście: będzie musiała zwrócić się o pomoc do rodziców.

Nie mogła jednak pojawić się u nich tak po prostu, w dodatku w takim stanie. Państwo Jones już nigdy nie mogliby pokazać się w towarzystwie z dumnie uniesioną głową, gdyby wydało się, że ich niezamężna córka spodziewa się dziecka.

Jej ojciec był miejskim radnym; matka robiła wszystko w domu, wykonując swe obowiązki z wyrazem dezaprobaty na zimnej twarzy. Olivia już wcześniej popadła w niełaskę. Pierwsza awantura wybuchła wtedy, gdy zrezygnowała z pracy w bibliotece miejskiej, by zająć się pielęgniarstwem w Cardiff. Jeszcze większa kłótnia spowodowana była jej oświadczeniem, że przeniosi się do Francji, by tam kontynuować pracę pielęgniarki. Nie śmiała teraz nawet zbliżyć się do miejsca, w którym przyszła na świat, a cóż dopiero do domu rodzinnego.

Musiała jednak wysłać do nich list i zdać się na ich łaskę. List trzeba było wysłać jeszcze dziś, żeby odpowiedź mogła dotrzeć do niej przed sobotą, kiedy to zmuszona będzie opuścić hotel.

Skończywszy herbatę, w bocznych uliczkach odnalazła sklep z tanią papeterią. Następnie poszła na pocztę i napisała do rodziców list, w którym opowiedziała o swoim nieszczęściu.

Nie błagała ani też nie starała się wzbudzić w nich współczucia. Do-brze ich znała. Wiedziała, że o tym, czy jej pomóc, czy nie, zadecydują bez względu na ton jej listu.

Odpowiedź przyszła w piątek rano. Na kopercie rozpoznała charakter pisma ojca. Choć pisał bardzo starannie, to wyraz „Miss” wyszedł mu tak, że mógł wyglądać jak „Mrs”, a może miało być na odwrót.\* Na właścicielce, która przekazała list, nie wywarło to widocznie większego wrażenia. Olivii przyszło do głowy, że mogła kupić mosiężną obrączkę i wpisać się do księgi gości jako „Pani O'Hagan”, udając wdowę, ale wtedy była tak zagubiona, że nawet o tym nie pomyślała. Mimo wszystko zaoszczędziłaby sobie w ten sposób upokorzenia, jakiego doświadczyła, kiedy została wyrzucona z hotelu. Za kilka dni i tak musiałaby go opuścić ze względu na brak pieniędzy.

W kopercie znalazła bilet kolejowy oraz krótki list: „W sobotę wsiądź do pociągu, który o 6.30 odjeżdża ze stacji Paddington do Bristolu. Wyjdę po ciebie. Ojciec.”

\* Miss — w języku angielskim występuje przed nazwiskiem kobiety niezamężnej; Mrs — przed nazwiskiem mężatki (wszystkie przypisy od tłumaczki).

Bristol leżał nieopodal jej rodzinnej miejscowości w Walii. Po tym, jak przeczytała list ponownie, jej uczuciu ulgi towarzyszył smutek. List nie zaczynał się od słów „Droga Olivio” ani nie kończył się słowami „Kochający ojciec”.

Wiedząc już, że wyjeżdża, mogła sobie przynajmniej pozwolić na porządny posiłek za resztę pieniędzy, które jej pozostały.

Ojciec czekał na nią pod zegarem na stacji Tempie Meads. Stał w rozkroku, z rękoma splecionymi z tyłu. Na jego twarzy malował się wyraz niezadowolenia. Jego barczysta sylwetka kołysała się na obcasach. Ubrany był w sięgający do kostek tweedowy płaszcz i kapelusz z szerokim rondem, co nadawało mu wygląd złoczyńcy. Gdyby o tym wiedział, niewątpliwie przeraziłby się sam siebie. Pod rozpiętym płaszczem widać było prążkowaną kamizelkę i złoty zegarek z łańcuszkiem.

Trwając w oczekiwaniu, emanował niedostępnością, jak gdyby zwaładnęły nim złe myśli. Olivia zawsze się go bała, chociaż nigdy jej nie tknął, ani w gniewie, ani w czułości.

Skinął ponuro głową na powitanie i zdobył się na gest uwolnienia jej od ciężaru walizki. Nie chciał nawet ucałować córki, z którą nie widział się od dwóch i pół roku. Jednak nawet gdyby wracała do domu w mniej przykrych okolicznościach, taka reakcja nie byłaby dla niej zaskoczeniem.

Wyszła z nim na zewnątrz. Zapakował jej walizkę do bagażnika małego forda eight — samochodu, o którym wiedziała, że jest jedynym obiektem jego sympatii. Po powrocie z podróży zawsze poklepywał go po masce i mruzczał pod nosem: „Mój mały mądrała!”

— Gdzie matka? — zapytała, kiedy odjeżdżali ze stacji.

— W domu — odparł szorstko.

Zapanowała długa cisza. Oświetlone gazowymi lampami ulice miasta Bristol były o tej porze przeważnie opustoszałe. Minęli kilka pubów, które pożegnały już swoich gości. Przed wejściem wciąż stały grupki hałaśliwych ludzi.

— Dokąd jedziemy? — zapytała Olivia, kiedy cisza stała się już nie do zniesienia.

Zastanawiała się, czy ojciec nie wiezie jej do domu dla kobiet upadłych. To byłoby okropne, ale oto znalazła się w sytuacji, w której nie miała wielkiego wyboru.

— Niejaka pani Cookson, która mieszka w okolicy doków, zajmie się tobą do czasu... do czasu rozwiązania. — W jego głosie brzmiał ton wy-

rzutu. — Najprawdopodobniej nie pojawi się tam nikt z naszych znajomych, ale byłbym wdzięczny, gdybyś w ciągu dnia nie wychodziła, żebyś nie została rozpoznana. Pani Cookson dostała pieniądze, za które kupi ci odpowiednie ubrania. Będzie ci tam dobrze. A kiedy to wszystko się skończy, wyjedziesz. Zorganizuję opiekę dla dziecka, jeśli sobie tego zażyczysz. A jeśli zdecydujesz się je zatrzymać, nie oczekuj ode mnie ani od matki żadnej pomocy. Nie chcemy cię już więcej widzieć.

Ona także nie chciała ich więcej widzieć, ale mimo to poruszyła ją bezpośredniość tych słów. Sprawili, że poczuła się jak śmieć. Już miała opowiedzieć o Tomie, ale zanim zdołała wykrztusić słowo, ojciec bezbarwnym tonem oświadczył:

— Jesteś odrażająca.

Odtąd nie zamienili już ze sobą ani słowa. Chwilę potem ojciec skęcił w małą, zabudowaną domkami szeregowymi uliczkę i zatrzymał się tuż przy ostatnim. Nie wyłączając silnika, wysiadł i zapukał do drzwi.

Otworzyła mu drobna kobieta po pięćdziesiątce. Miała farbowane włosy i jaskrawoczerwoną szminkę na ustach. Ubrana była w szkarłatną suknię z satyny i czarny szal. Z jej uszu zwisały długie, sięgające aż do ramion kolczyki. Całość uzupełniał złożony z trzech sznurów naszyjnik. Jej długie palce zdobiła spora ilość biżuterii.

„Jeśli te kamienie są prawdziwe, musi być bardzo zamożną kobietą” — pomyślała Olivia.

Ojciec mruknął coś na wstępie, walizkę nieomalże wrzucił do korytarza i odszedł. Samochód ruszył, jeszcze zanim pani Cookson zamknęła drzwi. Złożyła ręce i badawczym wzrokiem przyjrzała się Olivii.

— No i któż nam tak narozrabiał? — spytała zawiadziackim tonem.

Olivia zapomniała już, kiedy ostatnio na jej twarzy gościł uśmiech. Spodziewała się, że przez następnych kilka miesięcy traktowana będzie jak ladacznica i chociaż pani Cookson daleka była od ideału, jej dowcipne powitanie okazało się miłą niespodzianką.

— Wejść do środka, kochanie. — Ujęła ją pod rękę, mrugając zalotnie. — Wejść i wszystko mi opowiedz. Masz ochotę na filiżankę herbaty? Albo na coś mocniejszego? Mam tu całkiem niezły wiśniak. Ja sobie łyknę ciemnego piwa. A tak w ogóle, mów mi Madge.

Madge Cookson była nieoficjalnie akuszerką w dzielnicy miasta Bristol, którą ze względu na nazwy lokalnych uliczek nazywano Małą Italią. Jej dom znajdował się przy ulicy Capri. W pobliżu było też wiele podobnych, zabudowanych niewielkimi domkami uliczek: Neapolitańska, Turyńska,

Wenecka czy choćby ślepa uliczka Mediolańska. Wszystkie odchodziły od głównej ulicy zwanej Florencką. Madge miała słabość do ciemnego piwa i przejawiała raczej surowe maniere, za którymi kryło się subtelne, szlachetne serce. Wyglądało na to, że przez kilka najbliższych miesięcy sympatia Olivii dla tej kobiety znacznie wzrośnie.

— Jak mój ojciec panią znalazł? — zapytała Olivia kilka dni po tym, jak zamieszkała w jej domu.

— Pewnie chodził i pytał tu i tam. Nie jesteś pierwszą dziewczyną z dobrego domu, którą opiekuję się w takich okolicznościach.

Za młodu Madge występowała na scenie jako śpiewaczka. W sypialni na ścianie wisiał plakat informujący o występach w londyńskim Hippodrome, na którym jako czwarte wymienione było jej sceniczne nazwisko — Magda Starr.

— To był mój największy sukces — ze smutkiem zwierzyła się Olivii. — Zawsze chciałam zająć na sam szczyt, ale najwyraźniej nie było mi to pisane. Wkrótce potem wyszłam za mąż i urodziłam Desa.

Jej mąż zmarł wiele lat temu. Des poszedł w artystyczne ślady matki i został brzuchomówcą, ale jemu nigdy nie udało się ujrzeć swojego nazwiska na plakacie na czwartym miejscu. Nazwisko Desmond Starra znajdowało się zazwyczaj na samym końcu, w dodatku wydrukowane małymi literkami.

— Czy to było pani prawdziwe nazwisko? — spytała Olivia. Fascynujące i urozmaicone życie Madge bezustannie ją intrygowało.

— Nie, moje panieńskie nazwisko brzmiało Bailey, ale Magda Starr wyglądało na plakacie lepiej niż Madge Bailey.

— Jak to się stało, że została pani akuszerką?

— Nie jestem akuszerką z prawdziwego zdarzenia. Po śmierci męża pracowałam przez jakiś czas w szpitalu i widziałam, jak to się robi. Pomagałam przy kilku porodach, a wieść rozniosła się po okolicy, i to by było na tyle.

Zgodnie z obietnicą ojca dom był dość wygodny. Egzotyczne upodobania Madge przejawiały się nie tylko w jej garderobie, ale i w umeblowaniu. Stolik w jadalni nakryty był nie obrusem, lecz ozdobną chustą, a do tego stał ogromny wazon pełen papierowych kwiatów. Paciorkowa zasłona oddzielała kuchnię od salonu, w którym leżały porozrzucane liczne zdobione srebrnymi i złotymi nićmi satynowe poduszki. Madge powiedziała, że narzuty pochodzą z Indii, podobnie jak duży kilim nad kominkiem w pokoju gościnnym oraz czarno-złoty serwis ze żłobionymi obwódkami, używany tylko na specjalne okazje.



W salonie, od wczesnego rana do późnej nocy, słychać było trzaskającą w kominku ogień. Co niedzielę rozpalano ogień także na przyjęcie gości Madge — kobiet w jej wieku, które wpadały popołudniami, żeby pograć w wista i napić się ciemnego piwa.

Przy takich okazjach Olivia siedziała w drugim pokoju, gdzie oddawała się lekturze licznych romansów z kolekcji Madge, których kartki nosiły ślady częstego czytania. Czasami wchodziła na piętro, żeby zdrzemnąć się w swoim pokoju na wspianym dwuosobowym łóżku.

Jak na kogoś w swojej sytuacji była bardzo zadowolona. Wprawdzie miło byłoby wyjść i spacerować się w jasnym, zimowym słońcu albo we mgle, w nowym, ciepłym płaszczu, który Madge kupiła za pieniądze od ojca. Jednak w kwestii wychodzenia z domu w ciągu dnia zazwyczaj swobodna Madge była niezwykle surowa.

— Obiecałam twojemu ojcu, że przed zmrokiem nie będziesz wychodzić. Za to mi płaci. Nie mogę siłą trzymać cię w domu, ale jeśli wyjdiesz, to będę zmuszona poinformować go o tym.

— Mało prawdopodobne jest, że spotkam tu kogoś znajomego — powiedziała Olivia smutnym głosem.

— Świat kręci się dzięki zbiegom okoliczności — odparła jej Madge. — Mogłabyś przypadkiem spotkać siostrę najlepszej przyjaciółki twojej matki.

— Moja matka nie ma przyjaciół.

— W takim razie najbliższych sąsiadów.

— Czy ojciec dał pani swój adres?

— Oczywiście. Jak dziecko przyjdzie na świat, mam mu wysłać telegram. Mam napisać: „Paczka doręczona” w razie, jakby ktoś inny go przeczytał. Chyba że zdecydujesz się zatrzymać dziecko. Wówczas on nie chce nic wiedzieć.

— Ani myślę zatrzymać dziecko — wzdygnęła się Olivia. Po urodzeniu dziecka zamierzała wymazać całą tę historię z pamięci i ukończyć kurs na dyplomowaną pielęgniarkę.

Madge spojrzała na nią z troską.

— Kiedy już się urodzi, twoje uczucia mogą się zmienić.

— Jeśli tak się stanie, chcę, żeby wyrwała mi pani dziecko z rąk i przekazała je ojcu.

— To może zrobić twój ojciec, kochanie. Ale nie ja.

Dziecko wydało jej się jeszcze mniej realne niż Tom. Mimo iż nosiła je w sobie, nie chciała mieć z nim do czynienia. Nie obchodziła ją jego los pod warunkiem, że nie stanie mu się krzywda.

Nadeszły Święta Bożego Narodzenia, które szybko upłynęły Wkrótce potem był już rok 1919 — po raz pierwszy od pięciu lat Europa przywitała Nowy Roku w pokoju. Obchodzono go w atmosferze radości i zaraźliwego entuzjazmu. Madge i Olivia oglądały fajerwerki nad rzeką Avon, a o północy, w parku Victorii, śpiewały „Auld Lang Syne”<sup>\*</sup>.

Po styczniu przyszedł luty, a zaraz po nim marzec. Termin rozwiązania przypadał na początek kwietnia. Na Wielkanoc przyjechał syn Madge, brzuchomówca Desmond Starr. Był otwarty i pogodny, zupełnie jak jego matka. Miał przez całe lato występować w teatrze w Felixstowe, więc zaprosił Madge wraz z jej gościem. Dostał darmowe bilety.

— No dobrze, postaram się przyjść — skłamała Olivia. Nim nadejdzie lato, ona zacznie nowe życie. Lubiła Madge, ale nie chciała jej już nigdy więcej widzieć. Jej syna też nie.

Zdała sobie sprawę z tego, iż stała się osobą hardą i samolubną. Kiedyś, dawno temu, uważano ją zawsze za miłą i uczuciową ze szkoda dla samej siebie. Teraz jednak w jej umyśle zrodziła się pewna bariera, która nie dopuszczała żadnych innych myśli poza tymi, które tyczyły się tylko i wyłącznie jej samej.

Pewnego pięknego kwietniowego popołudnia, w niedzielę, dziecko dało znać, że wybiera się na świat. Było niezwykle punktualne. Olivia czytała właśnie jeden z namiętnych romansów Madge, kiedy nastąpił pierwszy, silny skurcz. Zaraz po nim kolejno przyszły następne, jeszcze silniejsze i coraz bardziej bolesne. Olivia odbywała kiedyś praktyki na oddziałach położniczych, więc wiedziała już, że poród będzie szybki.

Madge w towarzystwie swoich znajomych siedziała w salonie i grała w wista. Zachowując spokój, Olivia zaparzyła sobie filiżankę herbaty i czekała, aż znajomi wyjdą. Zagotowała wodę w dwóch dużych rondlach, na łóżku rozłożyła gumową matę, a na krześle przygotowała sobie dwa zużyte prześcieradła, które Madge wyparzyła z zamiarem używania jako ścierek.

Kolejny skurcz był najgorszym z najgorszych. Mocno zacisnęła zęby. Nie chciała przeszkadzać Madge, u której wciąż byli znajomi. Madge i tak nie mogłaby nic zrobić, ale obecność jej byłaby mile widziana. Skurcze następowały już co dziesięć minut. Wtedy goście wyszli.

— Na Boga! Ale z ciebie twarda sztuka! — powiedziała zasapana Madge, kiedy Olivia zawołała ją na górę.

<sup>\*</sup> „Stare, dobre dni” — tradycyjna pieśń szkocka śpiewana w Nowy Rok.

Leżała na łóżku i miała już na sobie koszulę nocną.

— To potrwa jeszcze kilka godzin.

— Wiesz, jesteś naprawdę dzielna. — Madge usiadła na łóżku i wzięła Olivię za rękę. — Wszystkie inne dziewczyny, które znam, płakały przy porodzie jak głupie, a ty nawet nie piśniesz.

— Jakoś nie chce mi się płakać — przyznała Olivia, wijąc się przy kolejnym skurczu, który niczym obcego ścisnął jej brzuch.

— Właśnie teraz powinnaś. Ajak zabili ci chłopaka, to nie płakałaś? Jak mu było na imię? Tom! Prawie wcale o nim nie mówisz.

Olivia wykrzywiła usta w grymas uśmiechu.

— Spałam wtedy w bursie z innymi pielęgniarkami. Nie było miejsca, w którym mogłabym wypłakać się w samotności. A o Tomie mi nie mów, bo on wydaje się taki nierealny. Nawet nie pamiętam, jak wyglądał.

Madge zachichotała.

— No, ale dziecko jest chyba wystarczająco realne. Dalej, pokrzyycz sobie — powiedziała, kiedy Olivia znów zwinęła się z bólu. — Śmiało. Sąsiad jest głuchy jak pień, a tym z ulicy i tak nie będzie przeszkadzać.

— Lepiej nie. Poza tym wcale nie czuję się aż tak źle. Byłam przy wielu porodach, które przeważnie były dużo cięższe niż mój.

Czas płynął powoli. Z ulicy dochodziły głosy bawiących się dzieci. Ktoś zapukał do drzwi, ale Madge nie zareagowała. Z sąsiadującego domu dał się słyszeć śpiew jakiejś kobiety. Jej głos rozbrzmiewał wyraźnie, niesiony bezszelestnym wieczornym powietrzem. „Niech palą się nasze ogniska domowe...”

Olivia pamiętała tę piosenkę. Śpiewali ją kiedyś mężczyźni walczący we Francji. Można było usłyszeć ją późnym wieczorem, jak płynęła daleko, przez pola, po zakończonym dniu walki. Niekiedy rozbrzmiewały w niej głosy pielęgniarek i pacjentów. Śpiewali ją tamtej nocy, kiedy ona kochała się z Tomem...

Przypomniała sobie, jak niesamowicie wyglądało wtedy niebo — głęboki szafir, lśniący niczym klejnot, usiany tysiącem migotliwych gwiazd. Zanikający już księżyc wyglądał jak cienka, wykrzywiona, bladeżółta kreśka.

Choć nie było jeszcze całkiem ciemno, szata zapadającego zmroku spowiła francuski krajobraz, przysłaniając pole walki, na którym poległy tysiące żołnierzy. W świetle dziennym cały ten płaski teren przypominał morze zeschniętego błota. Opustoszałe po zakończonej walce okopy układały się w mozaikę.

Na horyzoncie widać było wzbijające się w górę kłęby siwego dymu. Tam właśnie toczono kolejną bitwę. Tam następni ginęli od wystrzelonych kul. Niekiedy dym zamieniał się w płomień, co oznaczało, że pocisk trafił w budynek. W taką noc widok ognia w tle dodawał scenerii swoistego uroku — płonął niczym gigantyczne świece na najdalszym krańcu świata. Zarys kilku połamanych drzew nasuwał skojarzenia z sylwetkami rozszalałych tancerzy na tle błękitnego nieba.

Kilka osób ze szpitala — personel i poruszający się o własnych siłach ranni — wyszli na zewnątrz, by podziwiać ten wtopiony w pobojowisko wspaniały widok. Słychać było przyciszone rozmowy; gdzieś tam błyskał zapalany papieros.

— Olivio! Wszędzie cię szukam.

— Tom! — Olivia odwróciła się, instynktownie unosząc ramiona, by objąć nimi mężczyznę, który, utykając, zmierzał w jej kierunku, lecz gdy zbliżył się do niej, szybko opuściła ręce z nadzieją, że tego nie dostrzegł. Był jej pacjentem. Lepiej, żeby nie wiedział, co do niego czuje. Miała jednak wrażenie, że już się domyślił. Coś wszakże kazało jej wierzyć, że on odwzajemnia jej uczucia. Granoczyło to z cudem: on był niezwykle atrakcyjny, ona zaś bardzo przeciętna.

— Cudowny wieczór — powiedział, trochę zdyszany. Przechadzka sprawiła mu dużą trudność.

— Piękny — szepnęła. Skinęła głową w kierunku dymu i płomieni w oddali. — Może gdyby nie tamto. Jest w tym coś złowieszczonego, bo nie słychać wybuchów.

— Ani krzyków — odparł Tom bez emocji.

Ścisnęła jej dłoń. Ich palce splotyły się. Nawet nie próbowała mu się wyrwać.

— No więc to już koniec! Nasza ostatnia noc. — Uśmiechnął się do niej blado. — Czy może raczej ostatnia noc, kiedy jesteśmy dość blisko siebie. Szkoda, że noga mi się goi. Mam ochotę zdjąć ubranie, pospacerować po ciemku i pomodlić się o to, żebym znowu dostał zapalenia płuc.

— Bylebym ja nie miała z tym nic wspólnego! — udała oburzoną. Żartował. Był Amerykaninem, a ci żartowali na okrągło. Najwyraźniej mieli wyjątkowe poczucie humoru. — Jestem pielęgniarką. Chcę, żeby moi pacjenci wracali do zdrowia, zamiast się rozchorowywać.

— Nie bądź taka zasadnicza.

— Wszystkie pielęgniarki są i muszą być zasadnicze. — Wcale nie wydawała się sobie taka zasadnicza, szczególnie teraz, kiedy mocno trzymała ją za rękę.

Znów posłał jej słaby uśmiech.

— A czy dziś wieczorem mogłabyś być mniej zasadnicza...?

— Jeśli dla ciebie oznacza to zapalenie płuc, to na pewno nie, ale dziś jest wyjątkowo ciepło i raczej nic ci nie będzie. Może pogryzą cię trochę komary. A te potrafią być złośliwe.

— Skoro tak — odpowiedział z beztrząsą w głosie — to może zapomnijmy o wojnie, o wybuchach w oddali, o chorobach, szpitalach, lekarzach i pielęgniarkach. Porozmawiajmy po prostu o nas samych.

Niepotrzebnie się zgodziła. Tu też nie była dość zasadnicza. Odpowiedziała tylko niewyraźnie:

— Nie bardzo jest o czym mówić.

O nim wiedziała już dużo. Pochodził z Bostonu. Jego rodzice — nazywał ich „starzy” — byli Irlandczykami. Miał dwadzieścia trzy lata, pracował u ojca w księgarni i jako ochotnik zaciągnął się do wojska w 1917 roku, kiedy Stany przyłączyły się do wojny. Nazywał się Thomas Gerald O'Hagan, miał rodzeństwo: dwie siostry i pięciu braci, z których był najmłodszy. Poza tym wiedziała też, że nie była jedyną pielęgniarką, której wydał się pociągający. Był wysokim, szczupłym Amerykaninem pochodzenia irlandzkiego o roześmianej twarzy, czarnych, kręconych włosach i piwnych oczach. Jednak ze wszystkich pielęgniarek tylko ona była w nim zakochana. Myślała o nim bez przerwy całymi dniami.

Do szpitala przyjęto go trzy tygodnie temu — z paskudnie rozciętą nogą i obustronnym zapaleniem płuc. Nazajutrz miał już wyjechać do szpitala w Calais na rekonwalescencję. Po powrocie do zdrowia wróciłby w szeregi Armii Amerykańskiej, żeby znowu walczyć. W tyle, na bocznym torze, szczęknął akurat podstawiany pociąg szpitalny, który miał wyruszyć rano. Dźwięk ten zwiastował zbliżające się rozstanie.

On natomiast wiedział o niej niewiele: że nazywała się Olivia Jones i że była w tym samym wieku, co on. Urodziła się i wychowała w Walii, której granic nie opuściła aż do dnia, kiedy to dwa lata temu pojechała do Francji jako pielęgniarka. Wiedział też to, co od razu rzucało mu się w oczy — nie była ani trochę ładna. Z bladą twarzą i jasnoniebieskimi oczyma wydawała się wręcz nijaka.

— Co będziesz robić, jak skończy się wojna? — spytał od niechcienia.

— Ukończę kurs. Kiedy wyjeżdżałam z Cardiff, nie miałam jeszcze zdanych końcowych egzaminów.

— Czy byłoby możliwe, żebyś ukończyła kurs w Stanach?

Westchnęła.

— A po co?

— Bo ja tam będę. — Ton jego głosu był teraz niski i namiętny. — Tam mam pracę. I chciałbym, żebyś ty też tam była. Wyjdiesz za mnie, Olivia?

— Przecież prawie się nie znamy — odparła jednym tchem, choć głupio było udawać zaskoczoną, kiedy padło pytanie, które tak bardzo pragnęła usłyszeć.

Poruszył się niecierpliwie.

— Moje drogie dziewczę, trwa wojna, straszna wojna, najgorsza z tych, które jak dotąd widział świat. Ludzie nie mają czasu poznać się tak dobrze jak w czasie pokoju. Ja zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia. Jesteś najpiękniejszą kobietą ze wszystkich, jakie znałem — wyznał schrypniętym głosem, przyciskając jej dłoń do swoich ust.

Skoro tak myśli, z pewnością jest zakochany! Teraz jej kolej, żeby odpowiedzieć pozytywnie, wyznać mu swe uczucia. A on już całował jej szyję i policzki. Ujął w dłonie jej twarz i pocałował ją w usta.

Była osobą skrytą i nieśmiałą. Takich pocałunków doświadczała po raz pierwszy. Przywarła do niego i poczuła, jak żywo zareagowało jej ciało.

— Kocham cię — szepnęła.

Tulił ją mocno, aż do utraty tchu.

— Pobierzemy się od razu, gdy tylko skończy się ta cholerna wojna — powiedział znów tym niskim, namiętym tonem. — Będę pisał do ciebie codziennie, żebyś wiedziała, gdzie jestem, i żebyś mogła mi odpisać. Dasz mi chyba jakieś swoje zdjęcie?

— Mam jedno sprzed miesiący, na którym jestem z innymi pielęgniarkami — odpowiedziała bez tchu. — Dam ci je przed wyjazdem.

— Ja też mam coś dla ciebie. — Wyciągnął dłoń.

Na środkowym palcu spostrzegła słaby połysk złotej obrączki. Widziała ją już wcześniej i myślała, że jest żonaty, ale potem zauważyła, że nosił ją na prawej ręce.

— To obrączka ślubna mojego dziadka — wyjaśnił, zdejmując ją. Jego oczy błyszczały. — Przed śmiercią zostawił coś każdemu z nas. Ja dostałem tę obrączkę. Jest za duża, ale może wejdziesz na twój środkowy palec. Możesz ją też przyczepić do łańcuszka i nosić na szyi.

Obrączka była za duża na każdy palec. Olivia schowała ją do przedniej kieszeni długiego, białego fartucha. Przy najbliższej okazji kupi łańcuszek.

— Czuję się tak, jakbyśmy byli już małżeństwem. — Z trudem wydo-  
była z siebie głos. Miała za dużo wrażeń. Chciała, żeby Tom znów ją po-

całował i zrobił z nią to, co dotychczas uznawała za nieprzyzwoite. Objęła go ramionami za szyję i odciągnęła na bok, za budynek szpitala. Jego ręce spoczęły na jej talii. Poruszali się, jakby wykonywali jakiś dziwny taniec. W oddali dał się słyszeć posępny, nużący śpiew wojska.

— Dokąd idziemy, kochanie? — spytał Tom.

— Tam.

Doszli za róg budynku. Około trzydziestu metrów dalej spleciona sieć torów kolejowych pobłyskiwała srebrzyście w świetle księżyca. Za nią znajdowało się małe, parterowe pomieszczenie, w którym brakowało drzwi.

— Tam kiedyś była stacja — powiedziała Olivia. — A ten budynek to dawniejsza poczekalnia.

— Czy tam właśnie idziemy? — W jego głosie zabrzmiała nutka niedowierzania.

Ale ona już wyzbyła się wszelkich zahamowań. Uleciały z niej najmniejsze resztki przyzwoitości i stosowności, którymi karmiono ją przez całe życie. W ułamku sekundy jej świat obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

— Tak, jeśli tego chcesz.

— Jeśli tego chcę! O rany! Niczego innego bardziej nie pragnę. A ty, Olivio? Czy na pewno tego chcesz?

Odpowiedziała mu śmiechem. Chwyliła go za rękę i ruszyli przez srebrne linie torów. Na niebie wciąż lśniły setki, a może tysiące gwiazd. Nadal słyhać było śpiew wojska. Ale Olivia i Tom na nic już nie zwracali uwagi. Weszli do małego, opuszczonego budynku, gdzie mieścił się teraz ich własny upojny świat.

Wojna miała skończyć się za kilka miesięcy. Tak mówili wszyscy: eksperci, prasa, analitycy polityczni, zmęczeni tematem obywatele. Tak mówiło się już przez cztery lata od chwili rozpoczęcia walk.

Mówili to, w co sami chcieli wierzyć — podsumowała w myślach Olivia Jones. Teraz jednak miała swój własny powód, by liczyć na koniec wojny, zanim Tom znów ruszy do boju.

Odprowadziła go następnego dnia rano. Ukradkiem wsunęła mu do ręki obiecane zdjęcie, żeby nikt nie widział. Znalazłaby się w poważnych tarapatkach, gdyby przełożona dowiedziała się o tym, co w tak magiczny sposób połączyło wczoraj ją i Toma. Ze szpitala wyszło też kilka pielęgniarek w nakryciach głowy z opadającym do ramion woalem. Miały na sobie granatowe suknie i maksymalnie długie fartuchy. Pomachały na po-

żegnanie swym pacjentom, którzy pod ich troskliwym okiem wrócili do zdrowia. Gdy rozświetlona promieniami słońca lokomotywa zasapała, ruszając w stronę Calais, jednym i drugim zakręciła się w oku łąza.

Olivia nie sądziła, że można w jednej chwili odczuwać głęboki smutek i ogromną radość; smutek dlatego, że Tom odjechał, a radość na myśl o ich wspólnej przyszłości. Obserwując znikający za zakrętem pociąg, obracała w palcach obrączkę, która spoczywała w jej kieszeni. Sprawdziła już, że na wewnętrznej stronie obrączki wygrawerowane były zamazane upływem czasu prawie nieczytelne już słowa: OD RUBY DLA EAMONA 1857.

Jeśli Tom i ja będziemy mieć dzieci, a z pewnością będziemy, to nada-  
my im imiona Ruby i Eamon — zadecydowała i ze zniecierpliwieniem za-  
tarła dłońie.

Puste łóżka szybko się zapełniły. Tamtego ranka szpitalny powóz konny przywiózł niedługo sporo rannych, których pobieżnie opatrzone w punktach sanitarnych na froncie. Reszta dnia upłynęła na zakładaniu kolejnych bandaży i pocieszaniu ciężko rannych, w przypadku których nic już nie wróżyło żadnej nadziei. Niektórych trzeba było przewieźć na salę operacyjną, gdzie amputowano im ręce i nogi. Wracali odurzeni narkozą, a po przebudzeniu ogarniały ich panika i przerażenie.

Olivia przechadzała się od łóżka do łóżka, obdarzała chorych uśmiechem, podawała wodę, starając się w miarę możliwości dodać im otuchy. Jednocześnie w duchu klęła na polityków, którzy doprowadzili do wojennej rzezi i przyzwalali na to, by walki toczyły się tak długo. Młode pokolenie mężczyzn bezsensownie poświęcało życie, kobiety zaś traciły mężów, ojców i synów.

Rannym żołnierzom nawet nie przyszłoby do głowy, że ta drobna, słodko uśmiechająca się siostrzyczka — choć nie tak urodziwa, jak sama sądziła — pogrążona była we wspomnieniach zeszłej nocy, którą spędziła z kochankiem, a która uczyniła z niej kobietę i zaowocowała obietnicą zamażpójścia.

— Pani O'Hagan! — powtarzała do siebie, jakby na próbę.

— Co mówiłaś, złotko? — zapytał mężczyzna z silnym londyńskim akcentem. Miał złamaną rękę.

— Przepraszam, ja tylko tak do siebie.

Uśmiechnął się.

— To pewnie dobrze. Z sobą łatwiej się dogadać.

Odpowiedziała mu uśmiechem. Poprawiła kołdrę i poradziła, żeby odpoczywał.



Opatrywanie rannych zakończono dopiero późnym popołudniem. Tym, którzy mogli jeść, podano posiłek — granulowaną wołowinę z puree ziemniaczanym. Nie mieli wielkiego wyboru. Jedli to, co było. Wszystkie pielęgniarki, zmęczone po całodziennej pracy, wyszły z oddziału i udały się do małego pomieszczenia, w którym nie było okien. Tam znajdował się pokój dla personelu. Teraz wreszcie mogły napić się czegoś ciepłego, od rana nie miały takiej możliwości.

Rozmowa jak zwykle zeszała na tory pogłosek o zbliżającym się końcu wojny. Ktoś powiedział, że odniesiono zwycięstwo w bitwie pod Amiens, głównie dzięki wojskom australijskim i kanadyjskim, w szeregach których liczba ofiar wyniosła tylko 7000.

— Tylko siedem tysięcy! — ktoś inny zauważył ironicznie.

— Bywało dziesięciokrotnie więcej.

Olivia nie słuchała. Położywszy rękę na przedniej kieszeni fartucha, czuła na dłoni twardość obrączki Toma. Tego dnia po raz setny przywołała w pamięci wydarzenia zeszłej nocy.

— Olivio, co ci jest? — usłyszała czyjś głos. — Wyglądasz, jakbyś zaraz miała się rozpłakać.

— Nic.

*I nagle zapomniała, jak wyglądał.* Jego twarz, którą przez cały dzień wyraźnie miała przed oczyma, rozmazała się nagle w jej pamięci. Poczowała na karku kłujący dreszcz. Wiedziała już, że stało się coś bardzo strasznego.

Wiadomość o śmierci Toma O'Hagana przyszła dopiero następnego dnia. Olivia nie spała przez całą noc. Szpitalny pociąg przejeżdżał przez most, który walczący po stronie aliantów sabotażyści gęsto nafaszerowali minami. Nie wszyscy zginęli w momencie eksplozji; reszta utonęła, gdy pociąg stoczył się do rzeki.

Tom był wśród tych ofiar, a dla Olivii oznaczało to koniec wszystkiego...

Westchnęła, wiercąc się niewygodnie w łóżku. Pociła się trochę i ubranie było wilgotne. Teraz skurcze następowały już co minutę. Były bolesne, ale znośne.

Nagle poczuła silne poruszenie w brzuchu. Straciła kontrolę nad swoim ciałem. Nadeszła seria gwałtownych skurczów, a po nich ból tak potworny, że prawie zemdlała. Potem wszystko ustało. Wewnątrz poczuła puste miejsce.

— Dziewczynka — krzyknęła Madge z nutką triumfu w głosie.

— Dziewczynka?!

— Śliczna dziewczynka. Ma bardzo ciemne włoski. Przetnę teraz pępowinę... Chcesz na nią popatrzeć?

— Nie jestem pewna, czy chcę — odpowiedziała szeptem. Jej na wpół przymrużone oczy ujrzały gładką skórę dziecka, które Madge uniosła główką w dół, po czym zdecydowanym ruchem klepnęła w pulchne pośladki. Dziecko zareagowało krzykiem złości. — Jakby coś gruba.

— Nie, jest w sam raz. Zdrowy, dorodny dzidzius. Umyję cię, zabiorę małą na dół, przygotuję jej butelkę z ciepłą wodą i troszeczkę się z nią pobawię. Zasłużyła sobie po tym wszystkim. Wybrałaś dla niej jakieś imię?

— Nigdy nie zastanawiałam się nad imieniem. — Na wpół otwartymi oczyma patrzyła, jak Madge owija dziecko w prześcieradło i kładzie do koszyka.

Potem Olivia ułożyła się wygodnie, dała się obmyć i delikatnie osuszyć. Dostała nową pościel i koszulę. Madge szybko przyczesła jej włosy.

— Zaraz zaparzę nam herbaty — powiedziała cicho. — Zrobi dobrze i tobie, i mnie.

Podniosła koszyk i ostrożnym krokiem zeszła na dół, zostawiając zmęczoną Olivię w ciepłym łóżku. Dziewczyna czuła się całkowicie wyciążona i tylko ból przypominał jej, że przed chwilą rodziła.

Leżała, wpatrując się w ruchomą granicę między światłem a cieniem, która ślizgała się po powierzchni szafy. Na górze leżały zakurzone walizki. Wkrótce słońce zaszło. Śpiew ucichł. Dzieci rozeszły się do domów. Zdawało się, że świat stanął w miejscu, by złapać oddech, a Olivia zatrzymała się wraz z nim.

*Urodziło się jej dziecko!*

Dziecko *Toma*. Jego córka.

Zawładnęło nią dziwne uczucie niespełnienia. Musiała zobaczyć córkę Toma, żeby na zawsze zapamiętać, jak wygląda. Inaczej do końca życia nie zagna spokoju.

Z bólem zwlokła się z łóżka, bosymi stopami bezszelestnie zeszła po schodach. Koszyk stał w salonie na podłodze tuż obok kominka. Olivia zobaczyła, jak mała stópka rozkopuje prześcieradło. Zaraz za nią wyłoniła się druga, a potem mała rączka, która kształtem przypominała kwiatek. Dziecko kwiliło cichutko jak pisklą. W kuchni Madge przygotowywała butelkę, nucąc pod nosem.

Olivia wślizgnęła się do pokoju i przykłęka obok koszyka. Dziecko było nagie. Ach, jakież było ładne! Czarne, kręcone włoski, ciemna, je-

dwabiście miękka skóra, różane usteczka i kształtny nos — nie spłaszczony, jak u niektórych noworodków. Rączki i nóżki miało gładkie i zaokrąglone — ani jednej fałdy. Wpatrywało się w nią dużymi, niebieskimi oczyma, a podobno przez pierwsze tygodnie niemowlęta nie potrafią skupiać wzroku.

— Jakaś ty śliczna — powiedziała szeptem Olivia.

Włożyła swój palec w maleńką rączkę, która zacisnęła się wokół niego z zadziwiająco siłą. Kontakt fizyczny matki z dzieckiem wywołał w Olivii dreszcz. Nagle, jakby za sprawą jakiejś magii, ożyło w niej coś, co po śmierci Toma uznała za obumarłe. Zrozumiała, że nigdy nie dopuści do tego, by musiała oddać córkę. Nigdy!

Zsunęła z ramienia koszulę nocną, wyciągnęła ręce i, podniósłszy dziecko, ułożyła je w ramionach jak w kołysce.

— Chcesz pić, kochanie? Dać ci pić?

Przycisnęła niemowlę do piersi, a ono zaczęło głośno ssać. Olivia uśmiechnęła się i kołysała je z boku na bok.

— Olivio! Och, moja droga. Nie! — Madge weszła do pokoju z butelką w ręce. Zszokowana, opadła na krzesło. — Wszystko zepsujesz — jęknęła.

— Ach, Madge! — zawołała Olivia z błyskiem w oku. — Teraz pamiętam, jak wyglądał Tom. Jego córka tak bardzo go przypomina. Madge, nazwę ją Ruby. Tak miała na imię babcia Toma. Ruby O'Hagan. — Pogłaskała kciukiem miękki policzek dziecka. — Ślicznie, prawda?

— Ślicznie — z westchnieniem zgodziła się Madge.

Była nieco wytrącona z równowagi. Tłumione miesiącami emocje wypłynęły niczym bąbelki na powierzchnię wrzącej wody. Uśmiech nie znikał z jej twarzy, kiedy godzinami tuliła, głaskała i całowała dziecko, przemawiając do niego czule, zachwycając się jego paluszkami u rąk i nóg. Z przejściem obserwowała, jak niebieskie oczka Ruby powoli zmrużyły się do snu.

Wreszcie Madge surowo nakazała jej odłożyć dziecko.

— Zamęczysz ją. Ona musi odpoczywać. Ty zresztą też. Jesteś za bardzo podekscytowana.

— Po prostu jestem szczęśliwa jak nigdy dotąd. — Olivia niechętnie położyła śpiącą Ruby do koszyka. — Chcę ją zatrzymać, Madge — powiedziała cicho.

— Tak myślałam. — Madge zacisnęła wargi.

— Myślę, że tak będzie najlepiej. A ty?

— Nie mam pojęcia, jak będzie najlepiej, Olivio. — Twarz Madge przybrała poważny wyraz. Nie była już taka pogodna, jak zazwyczaj. — Bez względu na to, czyją zatrzymasz, czy nie, i tak będą kłopoty. Jeśli ją zatrzymasz, będziesz musiała znaleźć sobie jakieś mieszkanie. Z dzieckiem, a w dodatku bez męża, nie pójdzie ci z tym łatwo. Mała Ruby będzie dorastała bez ojca. Będą ci potrzebne pieniądze, a z dzieckiem ciężko jest o pracę. Do pielęgniarstwa też nie możesz wrócić. Będziesz się czuła osaczona. Być może odbije się to na Ruby, bo będziesz obwiniać ją za to, że zrujnowała ci życie. Może nawet pomyślisz: „Wszystko byłoby w porządku, gdybym jej nie zatrzymała”.

Olivię przeszył dreszcz.

— A co w takiej sytuacji?

— W takiej sytuacji — odparła Madge — wrócisz do pracy jako pielęgniarka, zdasz egzaminy, może awansujesz. Będziesz miała przyjaciół, pieniądze i ładne ubrania. Będziesz miała co jeść. Zdobędziesz szacunek innych. Być może wyjdiesz za mąż i urodzisz następne dzieci, o których bez wstydu będziesz mogła powiedzieć, że są twoje.

— Mówisz to takim tonem, jakby według tej wersji moje życie miało ułożyć się o wiele lepiej! — wykrzyknęła Olivia.

— Moja droga, jeszcze nie skończyłam. Bez względu na udane życie nigdy nie zapomnisz o swojej małej. Widząc jakieś dziecko w wieku Ruby, za każdym razem będziesz zastanawiać się, co się z nią dzieje, jak wygląda teraz, kiedy ma cztery lata, dziesięć lat, dwadzieścia lat. Będziesz zadawać sobie pytania. Gdzie jest? Jak żyje? Czy ktoś się nią odpowiednio zajmuje? Czy jest szczęśliwa? Czy jest jej smutno? Czy kiedykolwiek zdarza jej się myśleć o matce, *rodzonej* matce? Może spróbujesz ją odnaleźć, choćby tylko po to, żeby spojrzeć na nią przez chwilę i uspokoić myśli.

— Och, Madge! Skąd ty to wszystko wiesz?

— Ponieważ mówiłam to już dziesiątki razy, moja droga. Pod koniec maja przyjeżdża do mnie następna młoda dziewczyna i wygląda na to, że wygłoszę tę mowę po raz kolejny.

— Więc co według ciebie mam zrobić?

Kusiła ją wizja wolnego od trosk życia, z możliwością dokonywania wyborów bez ciężaru, jakim jest dziecko. Jednakże myśl o oddaniu Ruby była nie do przyjęcia.

— Nie pytaj mnie, Olivio. Nie wiem nawet, coja zrobiłabym na twoim miejscu. Decyzję podejmiesz ty sama. Nikt inny...

Ruby zbudziła się o bardzo wczesnej porze. Z koszyka, który stał na podłodze przy łóżku jej matki, wydobył się płacz. Po nakarmieniu i zmianie pieluszki dziecko wciąż płakało. Olivia masowała mu plecy. Wtedy weszła Madge, ubrana w szmaragdowo-zieloną podomkę.

— Gdybyś wynajmowała gdzieś pokój, ludzie waliliby teraz w ściany, wrzeszcząc, żebyś uciszyła dziecko.

— Co jej jest? — spytała zaniepokojona Olivia.

— Nic. Zachowuje się najzwyczajniej jak każde niemowlę.

— Ale czemu ona tak płacze, Madge?

— Może jej się nie odbiło?

— Odbiło jej się już dwa razy.

— To może musi się jej odbić po raz trzeci...

Ruby zasnęła w końcu i zbudziła się o szóstej na kolejne karmienie. Olivia dała jej jeść. W dźwiękach, które niemowlę wydawało z siebie, ssąc jej pierś, było coś niemalże zmysłowego. Ogarnęła ją fala emocji, prawie tak potężna jak wtedy, kiedy kochała się z Tomem.

— Wkrótce wyruszymy w wielką podróż, tylko ty i ja — szepnęła. Może przecież pracować jako pomoc domowa. Ludziom będzie mówiła, że jest wdową.

Po dłuższym czasie ponownie zjawiła się Madge. Była teraz w płaszczu i kapeluszu. — Wychodzę na chwilkę, moja droga. Niedługo wrócę.

Olivia zdrzemnęła się z dzieckiem w ramionach. Po powrocie Madge zaparzyła filiżankę herbaty. Olivia miała nadzieję, że Madge zechce zająć się Ruby, a wtedy mogłaby porządnie się wyspać, ale Madge nic takiego nie zaproponowała. Może w ten sposób chciała dać do zrozumienia, że tak właśnie będzie, kiedy Olivia i Ruby będą musiały polegać tylko na sobie, bo nikt im nie pomoże.

Nadeszło południe. Wykąpała dziecko, po raz kolejny nie mogąc się nadziwić, że było tak nieskazitelnie ładne. Ruby gaworzyła i machała rączkami. Olivia wytarła ją, ubrała w nowe, białe ubranka, które kupiła Madge, i mocno przytuliła ją do siebie.

— Kocham cię — powiedziała. — Kocham cię tak bardzo.

Usłyszała pukanie do drzwi wejściowych, następnie kroki Madge w holu. Potem dały się słyszeć jakieś szepty, a gdy ucichły, ktoś ciężkim krokiem wszedł po schodach na górę. Nie była to Madge. Serce skoczyło Olivii do gardła, kiedy do pokoju wszedł ojciec. Madge z pewnością wysłała mu obiecany telegram.

Olivii zdawało się, że przez ułamek sekundy widziała, jak jego kamienny wzrok łagodnieje, gdy spojrzął na córkę przytulającą do piersi maleńkie, ciemnowłose niemowlę.

Ojciec i córka wpatrywali się w siebie bez słowa, z przeciwległych kątów pokoju. Olivia nie spuszczała wzroku z jego twarzy w nadziei, że znów przybierze ona tamten łagodny wyraz. Gdyby tylko mogła z nim porozmawiać, może wtedy on zaferowałaby pomoc, może odwiedzałaby je razem z mamą.

Ale ojciec dużymi krokami przemierzył pokój i wyrwał jej dziecko z rąk. Ruby zapłakała, a Olivia wydała z siebie piskliwy wrzask, który trwał bez końca, jakby ktoś grał na skrzypcach jedną i tę samą nutę.

Wtedy Madge chwyciła ją za ramiona i mocno potrząsnęła. Wrzask ucichł.

— RUBY! — krzyknęła tylko Olivia, kiedy ojciec wraz z jej dzieckiem opuścił pokój.

— Cicho, moja droga. Tak będzie najlepiej. Sama mnie o to prosiłaś, prawda?

Tak, ale teraz wszystko było już inaczej. Kochała Ruby całym sercem i chciała ją zatrzymać. Mimo to nawet nie próbowała wyskoczyć z łóżka, by odzyskać dziecko.

Później, wraz z nadejściem ponurych tygodni, Olivia z przerażeniem myślała o tym, że może gdzieś w głębi duszy była okropną egoistką i tak naprawdę wcale nie chciała Ruby, a jej odejście przyjęła z ulgą.

Teraz jednak nie czuła nic poza rozpaczą i osamotnieniem.

Już po raz drugi mały ford eight przebywał dłuższą podróż z południa na północ Walii. Tym razem na tylnym siedzeniu stał koszyk z dzieckiem, które przez większą część podróży nie wydało żadnego dźwięku. Zapłakało, kiedy kierowca dojeżdżał już do celu. Daffyd Jones nie zatrzymał się jednak, by nakarmić dziecko z butelki, którą przygotowała pani Cookson, tylko nacisnął mocniej pedał gazu. Był już prawie na miejscu.

W oddali rozpoznał biały budynek klasztorny, wzniesiony na pagórku trzy mile od Abergele. Był tam kiedyś. Przeorysza znała go, choć nie z imienia. Daffyd Jones nie był katolikiem, nie jeździł furgonetką oblepioną dewocjonaliami i innymi religijnymi bzdurami, ale ponieważ klasztor ten prowadził także sierociniec, przyjmowano tam dzieci pod warunkiem, że były to dziewczynki. Gdyby bękart jego córki okazał się chłopcem, musiałby szukać rozwiązania gdzie indziej.

Mały samochód rzeził, wjeżdżając pod górę, a kiedy już zatrzymał się przed masywnymi, dębowymi drzwiami klasztoru, zdawało się, że wydał z siebie westchnienie ulgi. Jones wysiadł, nacisnął dzwonek i wrócił do samochodu po swoją małą pasażerkę, której płacz zamienił się teraz w krzyk złości.

Czekała na niego sędziwa zakonnica, jej zgarbione plecy przypominały znak zapytania. Kiedy wrócił i wręczył jej koszyk, pokiwała głową jak marionetka.

Wykonała zapraszający gest, by wszedł do środka, ale odmówił.

— Miałem to przekazać — powiedział szorstko. Podał jej kawałek papieru, który pani Cookson dała mu, mówiąc, „że przecież nie zaszkodzi”.

Uchylił kapelusza i pożegnał zakonnice, która jeszcze raz kiwnęła głową i zamknęła drzwi. Obserwując zamykające się drzwi, Daffyd Jones miał łzy w oczach. Nie rozumiał, dlaczego.

W klasztorze zakonnica spojrzała na kartkę. Jej niemłode już oczy ciągle dobrze widziały, tym bardziej że druk był ładny i wyraźny.

— Ruby O'Hagan — przeczytała. To biedne małeństwo miało przy najmniej jakieś imię, skoro nic więcej.

# *EMILY*

## *Rozdział 2*

*1933-1935*

Klasztor Sióstr Zakonnych Świętego Krzyża pod Abergele znany był z tego, że prowadził sierociniec dla dziewcząt. Do czternastego roku życia otrzymywały one tam doskonałe wykształcenie, które przygotowywało je do pracy w charakterze stacjonarnej pomocy domowej. Potrafiły pięknie szyć i haftować, umiały gotować, sprzątać, prać, a nawet uprawiać ogródek. Uczono je szacunku, wzorowych manier oraz religijności, dbano o ich zdrowie i zasady moralne.

Dziewczęta wyrastały na idealne gospodynie domowe, opiekunki do dzieci, kucharki i szwaczki. Nie miały problemów z przystosowaniem się i najwyraźniej zadowolone były z tego, co posiadały. Nawet jeśli w metodach wychowawczych nie było miejsca na uczucie, to z pewnością nie brakowało uprzejmości. A stosowanie kar cielesnych było w klasztorze surowo zabronione.

Edukacja obejmowała tylko przedmioty niezbędne komuś, kogo życiowa rola ograniczała się do służby innym aż do chwili zamążpójścia. Przyszli mężowie wywodzili się z tej samej klasy społecznej i zazwyczaj też pracowali w charakterze służby. Oprócz umiejętności w zakresie obowiązków domowych uczono czytania, pisania, podstaw matematyki, a także ogólnej wiedzy z historii i geografii. Za stratę czasu uważano przedmioty ścisłe, literaturę, plastykę, propedeutykę czy nauki polityczne. Mało prawdopodobne było, że ktoś zapyta służącą o opinię na temat sytuacji w Rosji bądź o ulubioną sztukę Szekspira. Ona natomiast gotowa była wyrecytować na prośbę cały katechizm, bezbłędnie wymienić imiona ostatnich dziesięciu papieży, zaśpiewać kilka hymnów po łacinie i dokładnie opisać wszystkie piętnaście stacji Drogi Krzyżowej, na którą od najmłodszych lat uczęszczała w każdy Wielki Post.



O dziewczęta z klasztoru ubiegano się nawet w dalekim Londynie. Przeważnie trafiały one do bogatych katolickich domów przy granicy walijsko-angielskiej: w hrabstwach Cheshire, Shropshire, Lancashire. Zdawało się też, że niektóre dziewczęta pozostawały w klasztorze jako zakonnice.

Do momentu pożegnania klasztoru większość czasu spędzały w zamknięciu. Chodziły na lekcje. Uczęszczały też na mszę świętą do małej kapliczki, pod stosownym nadzorem. Nabożeństwo odprawiał ksiądz z odległego o dwadzieścia mil seminarium. Jeśli któraś z dziewcząt rozchorowała się, a nie była to choroba zakaźna lub nie zachodziła konieczność operacji, zajmowały się nią siostry zakonne.

W niedzielne poranki chodziły na spacer spokojnymi, pustymi uliczkami. Szły w dwuszeregu, para za parą. Od czasu do czasu mijały je tylko jakiś samochód czy motocykl.

Dwa razy do roku, wiosną lub jesienią, kiedy pogoda dopisywała, a w okolicy było niewiele wczasowiczów, starsze dziewczęta zabierano na plażę do Abergele. Idąc przez małe miasteczko, zachwycały się sklepami. Były zaskoczone i lekko wystraszone panującym tam ruchem ulicznym, szczególnie kiedy mijały je jednopiętrowy autobus, puszczając z tyłu kłęby spalin. Dziewczęta nigdy wcześniej nie widziały aż tylu ludzi. Stały się nie gapić na kobiety z odkrytymi głowami, z odsłoniętymi nogami i ustami z jakiegoś powodu pomalowanymi na czerwono. W ich klasztornym życiu mężczyźni prawie nie istnieli. Odprawiający mszę księża byli w podeszłym wieku. Przez długi czas dziewczętom zdawało się, że świat zamieszkiwany był tylko przez kobiety. A teraz zobaczyły młodych mężczyzn — dziwne, krzykliwe stworzenia o niskim głosie. Niektórzy z nich mieli nawet owłosienie na twarzy, co dziewczęta uznały za objaw jakiejś choroby i polecały ich Bogu w krótkiej modlitwie. Byli też chłopcy w krótkich spodniach, z porozbijanymi kolanami. Szczerzyli zęby w uśmiechu i niegrzecznie coś do nich krzyczeli. Niektórzy nawet gwizdali. A one, w swych niemodnych, brązowych sukienkach i długich, białych fartuchach, z należytą powagą przechodziły obok. Ręce miały splecione, a wzrok wlepiony w idącą z przodu koleżankę — tak, jak je nauczono.

Klasztor mógł się wydawać ponurym miejscem. Miał kamienne ściany kamienne podłogi i wysokie, kopułowate sklepienia. Latem panował tam chłód, zimą mróz. Umebłowanie było skąpe i niewyszukane, podobnie jak wyżywienie. Pomieszczenia udekorowano jedynie świętymi obrazami, figurkami i niezliczoną liczbą krucyfików zawieszonych na bia-

łych ścianach. Nigdzie nie było widać zegara, choć ktoś musiał wiedzieć, kiedy zadzwonić dzwonkiem na czas zajęć, posiłków i modlitwy.

Jednakże obecność tyłu dzieci, radosnych pomimo ich smutnej przeszłości, rozpraszała posępną atmosferę, która być może dawała się odczuć przypadkowym gościom przekraczającym próg masywnych, dębowych drzwi.

— Mięso armatnie — powiedziała Emily Dangerfield do swej siostry Cecilii, przeoryszy klasztoru. Był marcowy, wietrzny dzień. Z wysokiego okna biura, w którym zawsze panował chłód, widać było skapo ulistnione drzewa. Ich długie gałęzie skłaniały się na tle błękitnego nieba. — Produkujeś mięso armatnie.

— Czy sugerujesz, że któregoś dnia jedna z moich dziewcząt zostanie wystrzelona z armaty? — Przeorysza uśmiechnęła się z za idealnie wypolerowanego biurka. Między nią a Emily bywały już tego typu nieporozumienia.

— Przecież wiesz, co mam na myśli — odpowiedziała oschle Emily. — Dziewczęta wychowywane są tylko w jednym celu: żeby służyć innym. Mają pracować, gotować, sprzątać i stawiać się na każde zawołanie. Prowadzisz fabrykę, tyle że twoje produkty są żywymi ludźmi.

— A co według ciebie mam z nimi robić? — zapytała z uśmiechem przeorysza. Rzadko kiedy wpadała w złość, jednak pod maską uśmiechu kryło się rozdrażnienie. Skąd niby Emily miała wiedzieć, jak należy zarządzać sierocińcem? — Może mam je zachęcać do kariery aktorskiej, medycznej, do pisania sztuki albo do polityki? Jak myślisz, ile z nich odniesie sukces po opuszczeniu klasztoru, kiedy zaczną żyć na własną rękę? Nasze dziewczęta nie mają żadnych bliskich. Wysyłając je do domów, gdzie będą mile widziane i przydatne, zapewniamy im bezpieczeństwo.

— Przydatne! — powtórzyła Emily z wybuchem śmiechu. — To tak, jakbyś mówiła o meblach. Kilka lat temu widziałam obraz zatytułowany *Metropolia*. Przedstawiał zmechanizowane społeczeństwo. Od razu przypomniało mi się to miejsce.

— Nie pleć głupstw, Emily. — Przeorysza starała się zachować spokojny ton głosu. — Widzę, że z wiekiem nie nauczyłaś się brać pod uwagę uczuć innych ludzi.

— Wiek nigdy mnie tego nie nauczy. — Emily podniosła się z miejsca i zaczęła przechadzać się po pokoju.

Była wysoka, niegdyś urodziwą kobietą, w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat. Miała na sobie elegancki kostium w „kurzą stopkę”. Jej futro z li-

sów leżało niedbale przewieszzone przez krzesło, z którego właśnie wstała. Szczęciła się swą niezmiennie szczupłą, smukłą sylwetką. Siostra była o dwa lata starsza. Miała podobną figurę, ukrytą pod mnóstwem warstw czarnego habitu. W przeciwieństwie do twarzy Emilyjej cera wciąż była zadziwiająco gładka.

— A tak z czystej ciekawości: w jakim celu tu jesteś, droga siostrze? — usiłowała dociec przeorysza. — Przejechałaś cały szmat drogi z Liverpoolu tylko po to, żeby prawić mi kazania? Siostrze zakonnej przysługuje w roku tylko jedna wizyta, o której powinnyśmy być w porę uprzedzane. Nie zdobyłabym się na to, by cię wyrzucić, ale przez ciebie złamałam swoje zasady.

— To nie są zwyczajne odwiedziny, siostrzyczko. Przyjechałam, bo potrzebna mi jest dziewczyna.

— Co proszę?

— Dziewczyna. Potrzebuję jednej z waszych dziewcząt.

— Wybacz, ale czyż nie trąci to lekką hipokryzją?

— Nie. Zapewnię jej wykształcenie, poszerzę jej horyzonty umysłowe, nauczę ją wszystkiego, co tobie udało się pominąć.

— Jeśli chcesz przeprowadzać eksperymenty, radzę ci kupić sobie palnik Bunsena, Emily.

Emily usiadła na krześle. Wyjęła z torebki srebrną papierośnicę i zapalniczkę, ale ujrzawszy niezadowolone na twarzy siostry, odłożyła je z powrotem.

— Przepraszam, zapomniałam, że nie tolerujesz palenia. Pragnę tylko zauważyć, że kiedy byłaś młoda, sama paliłaś, aż kurzyło się jak z pieca.

— Kiedy byłam młoda, robiłam różne rzeczy, których od wielu lat już nie robię.

— A palenie było w tym wszystkim najbardziej niewinne — odpowiedziała Emily, puszczając oczko.

Przeorysza nie dała się sprowokować.

— Tamte lata mam już za sobą.

Powstrzymała się od komentarza o pokutującej grzesznicy, który zaraz wywołałby u Emily wybuch śmiechu.

— Porozmawiajmy teraz poważnie — powiedziała siostra. — Chodzi o dziewczynę. Odkąd Edwin zmarł, a dzieci wyprowadziły się z domu, mieszkam w Brambles zupełnie sama i czuję się strasznie osamotniona. To miejsce jest tak duże i tak bardzo oddalone od reszty świata. Po tym,

jak owdowiałam, opuścili mnie ci, których nazywałam „przyjaciółmi”. Od lat nie byłam na żadnym spotkaniu towarzyskim.

— To może sprzedałabyś Brambles i wyprowadziła się?

— Nie mogę. — Twarz Emily wykrzywiła się w grymas. — Nie jest moją własnością. Edwin zapisał posiadłość synom, a oni będą mogli przejąć ją dopiero wtedy, kiedy stamtąd wyjadę, albo po mojej śmierci. Jak sądzę, Edwin obawiał się, że wyjdę za mąż za jakiegoś wstrętnego typu, który odziedziczy posiadłość i pozbawi dzieci prawa do własności.

— Edwin zawsze wydawał mi się bardzo rozsądny.

Emily puściła ten komentarz mimo uszu.

— Kiedy jestem sama, staję się niespokojna. Rzecz jasna, mam służbę, ale tylko na kilka godzin dziennie. W nocy słyszę jakieś dźwięki i nie mogę spać...

Przeorysza uniosła brwi, co nadało jej twarzy sardoniczny wyraz.

— I uważasz, że czternastolatka zapewni ci ochronę?

— Będę miała towarzystwo, a poza tym czuję się lepiej, wiedząc, że pod moim dachem mieszka jeszcze jakaś istota ludzka.

— Nie jestem pewna, czy powierzyłabym ci którąkolwiek z naszych dziewcząt. Zepsujesz ją. W ciągu tygodnia zaczniesz palić i pić.

— Zasady, które im wpajasz, Cecilio, są najwyraźniej bardzo powierzchowne, skoro tak łatwo byłoby się ich wyrzec.

Obie siostry roześmiały się.

— Zatrudnij sobie kogoś do towarzystwa — zasugerowała przeorysza.

— Booże, tylko nie to — wzdygnęła się Emily. — Jakaś biedna, załóżną kobiecinę bez dachu nad głową? Co to, to nie. Będzie mi na wszystko przytakiwać w obawie przed tym, że ją zwolnię.

— Sądzisz, że któraś z naszych dziewcząt ośmieli ci się sprzeciwić? Czy to w pewnym sensie nie zaprzecza twojej teorii o mięsie armatnim?

— Oprócz palenia i picia nauczę ją też, jak ma się sprzeciwiać.

Przeorysza otworzyła szufladę i wyjęła z niej zeszyt, w którym przechowywała listę osób ubiegających się o którąś z dziewcząt do pomocy. Zawsze pieczołowicie sprawdzała tę listę i przed zapisaniem zgłoszenia prosiła wszystkich zainteresowanych na rozmowę. Udając, że czyta coś w zeszycie, rozważała prośbę siostry. Wpisanie jej nazwiska na początku listy byłoby przejawem nepotyzmu, i to w najgorszej formie. Jednakże Emily była dla niej jedyną bliską osobą, z którą łączyły ją więzy krwi i którą Cecilia kochała. Ich jedyny brat zginął na wojnie w Afryce Południowej, a rodzice zmarli dawno temu. Czy powinna ulec swym siostrza-

nym uczuciom i zgodzić się na to, by Emily wzięła do domu jedną z dziewcząt i nakładła jej do głowy jakichś bzdur?

Z drugiej jednak strony, dla jednego z inteligentniejszych dzieci była to szansa ucieczki od czegoś, co — nazywając rzeczy po imieniu — było niczym innym, jak pańszczyźnianą pracą. Może wtedy to dziecko osiągnęłoby coś w życiu.

— No więc? — Emily spojrzała na siostrę wyczekująco. Stała z założonymi rękoma. W jej oczach była zawziętość. — Już ja cię znam, Cecilio. Prześtań udawać, że czytasz, i odpowiedz na moje pytanie. Mogę zabrać jedną z dziewcząt czy nie?

Nagle w głowie przeoryszy zrodził się pomysł. Postanowiła wykorzystać sytuację, by pomóc siostrze, a jednocześnie ułatwić życie sobie samej.

— Mamy tu kogoś — powiedziała ostrożnym tonem. — W przyszłym miesiącu skończy czternaście lat. Ale ostrzegam cię: jest bezczelna, arogancka, wygadana, uparta i kompletnie nieposłuszna. Rzadko kiedy zatrzymujemy u nas tak trudne i niemożliwe do opanowania przypadki. Ona jest zdolna do ciężkiej pracy, ale ma niewyparzoną gębę; pamiętasz, jak nasza niania mówiła ci kiedyś to samo?

Emily skrzywiła się.

— A są w niej jakieś pozytywne cechy?

— Ma dobre serce. Jest wspaniałomyślna, zabawna, ciekawa świata i w ogóle niczego się nie boi.

— Hmm! Czy wiadomo coś o jej przeszłości?

— Niewiele. — Zakonnica potrząsnęła głową. — Czternaście lat temu odwiedził mnie pewien mężczyzna w średnim wieku, Walijczyk, dobrze ubrany, nieco napuszony. Nie chciał się przedstawić. Powiedział tylko, że pokojówka jego żony zaszła w ciążę, i zapytał, czy nie przyjąłabym dziecka, jeśli będzie dziewczynką. Miało urodzić się w kilka tygodni później. Oczywiście, zgodziłam się.

— Uwierzyłeś mu? — spytała zaciekawiona Emily.

— Nie wierzyłam ani przez chwilę. Wyglądał mi na takiego, który odesłałby precz każdą pokojówkę, gdyby tylko wyszło na jaw, że jest w ciąży. Pomyślałam, że to może owoc jego pozamałżeńskiego związku, ale na takiego też mi nie wyglądał. Doszłam do wniosku, że chodzi o jakąś krewną, być może o jego córkę.

— Czy to niesforne dziecko ma imię?

— Oczywiście, że ma. Jak się miała do niej zwracać przez te wszystkie lata, jeśli nie po imieniu?

— To znaczy, że przywieziono ją tutaj z imieniem? Czy nosi to, które sama jej nadałaś?

— Kiedy ją przywieźli, miała już imię. I nazwisko. Ruby O'Hagan. Czy mam po nią posłać?

— A dlaczegożoby nie?

Po dziesięciu minutach ktoś zapukał do drzwi biura.

— Proszę wejść — zawołała przeorysza.

Weszła zakonnica w towarzystwie dziewczynki. Emily uznała, że jak na „prawie czternastolatkę” była dość wyrosnięta. Gdyby nie wiedziała, że dzieci dostają tu solidne porcje jedzenia, podejrzewałaby, że dziewczynka od tygodni nie miała nic w ustach. Była blada i wyglądała na wygłodzoną. Miała wychudłą twarz, wielkie, ciemne oczy, zaostroszony nos i przesadnie wyginające się w łuk wąskie usta o szeroko rozstawionych kącikach. Rąbek i rękawy obowiązkowo noszonej brązowej sukienki były przykrótkie i odsłaniały żalostną wątlność jej kostek i nadgarstków. Przez skórę świeciły perłowobiałe kości. Gęste, faliste, czarne włosy związane były z tyłu brązową wstążką. Tworzyła zaskakujące połączenie kruchości i siły.

Zakonnica zrobiła ukłon i oddaliła się bez słowa. Dziewczynka podeszła bliżej i z założonymi z tyłu rękoma stanęła naprzeciwko biurka przeoryszy.

— Czyżbym znów była niegrzeczna, matko przełożona? — spytała niskim, donośnym głosem, w którym zabrzmiał irlandzki akcent. Nic dziwnego — większość zakonnice pochodziła z Irlandii. Dziewczynka wyraźnie nie przejawiała też żadnej troski w obliczu tego, iż odpowiedź na zadane przez nią pytanie mogła być twierdząca.

— Ty sama powinnaś wiedzieć, Ruby.

— Me *wydaje mi się*, żebym była niegrzeczna — odparła Ruby poważnym tonem. — Ale czasem robię coś, co chyba wcale nie jest złe, a mówią mi, że to niegrzeczne.

Przeorysza uniosła swe piękne brwi.

— Na przykład co?

— Na przykład, kiedy słyśmy tutaj, siostra Aloysius zganiła mnie za to, że podskakiwałam. Powiedziała, że damie nie wypada. A kiedy pytałam ją, dlaczego, nie odpowiedziała.

— Dlatego, że od młodych dam oczekuje się przyzwoitego zachowania, Ruby.

Emily miała już na końcu języka argument, który zakwestionowałyby tę wypowiedź, ale się powstrzymała. Zwykle to co „przyzwoite” było takie puste i krępujące. Skoro dziecko chce sobie poskakać, to dlaczego mu nie wolno?

— Jeśli nawet źle się dziś zachowywałaś, celowo lub niechcący, na razie nic mi o tym nie wiadomo — powiedziała siostra Cecilia. — Poprosiłam cię tu, ponieważ chcę cię przedstawić pani Dangerfield.

Duże oczy dziewczynki utkwily swe śmiałe spojrzenie w twarzy nieznajomej.

— Dzień dobry — rzekła beztrasko.

— Dzień dobry, Ruby — odpowiedziała jej Emily z uśmiechem.

— Będę u pani pracować?

— A chciałabyś u mnie pracować?

— Nie — odparła śmiało Ruby, rzucając przelotne spojrzenie na przeoryszkę, która błagalnie wzniosła oczy ku niebu w niemej prośbie o cierpliwość skierowanej do Boga.

— Czemu nie? — spytała zaskoczona Emily.

— Bo nie chcę iść na służbę.

— A w jaki sposób będziesz się utrzymywała, moja droga?

Ruby odrzuciła głowę do tyłu. Jej wąskie nozdrza zadrżały.

— Wolałabym znaleźć sobie jakąś pracę, na przykład w sklepie z ubraniami albo w jednej z tych herbaciarni, które widziałam w mieście. Sama znajdę sobie jakieś mieszkanie. Nie lubię, jak się mną pomiata.

Na twarzy przeoryszy malowała się surowość.

— Ruby, w sklepie z odzieżą czy w kawiarni też będą tobą... jak ty to powiedziałaś?... „pomiatać”. O tym nie pomyślałaś?

— Tak, ale przynajmniej nie będę niczyją *własnością*, prawda? — Jej ciemne oczy płonęły. — Służba to co innego. Nie chcę do nikogo należeć; chcę być panią samej siebie.

„Widzisz? Widzisz?” — powtarzała sobie w duchu Emily.

— Nie potrzebuję służącej. Potrzebuję przyjaciółki, która ze mną zamieszka — dodała głośno.

Teraz z kolei Ruby była zaskoczona. Przechyliła na bok małą główkę i zamyśliła się.

— Byłabym dobrą przyjaciółką — powiedziała w końcu. — Mam już przyjaciółki, i to całe mnóstwo.

— A chciałabyś, żebyśmy *my* też się zaprzyjaźniły?

Zza biurka rozległo się chrząknięcie. Przeorysza wstała.

— Ruby, wyjdź, proszę — rzekła chłodnym tonem. — Chcę porozmawiać z panią Dangerfield w cztery oczy.

Dziewczynka wyglądała na zbuntowaną.

— Ale ja chcę się z nią zaprzyjaźnić!

— Mówię ci: wyjdź!

— Niepotrzebnie tak na nią wyskoczyłaś — powiedziała swobodnym tonem Emily, kiedy Ruby wyszła.

— Co ty sobie, do licha, wyobrażasz? — Głos siostry zadrgał ze złości, przede wszystkim na samą siebie, za to, że dopuściła, by sprawy posunęły się tak daleko. Emily w żadnym wypadku nie była odpowiednią osobą, której można było powierzyć dziecko. Powinna była powiedzieć jej to od razu. — Ruby to nie zabawka ani mebel, który postawisz w domu dla dekoracji. To jest dziecko, istota ludzka. Na jak długo zostanie twoją przyjaciółką? Aż do chwili, gdy zechcesz wybrać się w kolejną podróż dokoła świata? A co będzie, jeśli ponownie wyjdiesz za mąż?

— Jeśli wyjadę, zabiorę ze sobą Ruby. A myśl o ponownym zamążpójściu przeraża mnie. Będę traktowała ją jak córkę. Naprawdę. Powiedzmy sobie szczerze, siostrzyczko — mówiła rozsądnie Emily — macie tu ciężki orzech do zgryzienia. Jeśli wyślecie ją na służbę, ona nie wytrzyma tam nawet przez jeden tydzień. A jeśli pozwolisz mi ją zabrać, zrobimy sobie nawzajem przysługę.

— Ujęłaś to w mało subtelny sposób, Emily.

— W bardzo mądry sposób, Cecilio. A tak przy okazji — dodała, mrugając oczyma — przecież nie wolno ci wpadać w gniew, prawda? Bóg się obrazi. Dziś wieczorem będziesz chyba musiała ponieść za to karę przez porządne biczowanie.

Inne mieszkanki klasztoru, zarówno zakonnice, jak i ich wychowanki, byłyby zaniepokojone na widok przeoryszy, której spokojna, opanowana twarz nabiegła teraz krwią i przybrała kolor purpury.

— Jesteś niemożliwa. Idź już, proszę. A co do Ruby, zastanowię się.

Przez kolejne tygodnie Ruby żarliwie modliła się o to, żeby pani Dangerfield wróciła. Tak naprawdę wcale nie chodziło jej o przyjaźń z kimś dorosłym. Niedobrze robiło jej się na myśl o służbie u obcych osób, u których musiałaby stawiać się na każde zawołanie. Prędzej by uciekła, niż poszła na służbę. Siostra Finbar powiedziała kiedyś, że posłuszeństwo nie jest jej mocną stroną, a kiedy Ruby przyznała jej rację, wpadła w gniew. Dziewczynka jak zwykle nie zamierzała być grzeczna wbrew swojej woli.



Przeorysza modliła się także. Prosiła Boga o pomoc w rozwiązaniu dylematu. Czy odrzucając prośbę siostry pozbawić to dziecko szansy na lepsze życie? A jeśli wyrazi zgodę, czy nie skończy się to ze szkodą dla dziecka? Jak istotny był fakt, iż dzieckiem tym była Ruby O'Hagan, przez którą wkrótce znów szykowały się duże kłopoty, bo w przyszłym miesiącu kończyła czternaście lat i miała opuścić klasztorne mury?

Nie wyobrażała sobie, żeby dziewczynę tę można było posłać do któregoś z szacownych, nawet najbardziej przyjaznych domostw. Podważałaby najmniejszy nakaz, który wydałby jej się bezpodstawny. Siostry zakonne nieustannie na nią narzekały. Czemu nie wolno jej było pościelić łóżka tak, jak chciała? Ruby musiała wiedzieć. Czemu wszystkie łóżka trzeba było ścielić jednakowo? Czemu wszystkie dziewczęta miały identyczne sznurowadła? Dlaczego musiała wiązać włosy z tyłu, skoro lubiła nosić je rozpuszczone? Czy dla Boga miało to jakieś znaczenie? Dlaczego nie wolno jej było założyć zimowych podkolanówek we wrześniu, skoro było już zimno? Nie było sensu czekać do października tylko dlatego, że takie były przepisy. Przeorysza też uznała to za bezsensowne i zmieniała przepisy.

Być może światu potrzebni byli ludzie, którzy chcieli zmieniać przepisy. Ruby O'Hagan niewątpliwie skorzystałaby na tym, gdyby zamieszkała u Emili, nie zaś w jakimś innym domu, w którym należało przestrzegać zbędnych zasad. Napisała do siostry i poprosiła ją, żeby przyjechała w połowie kwietnia, po urodzinach Ruby. „Będziesz miała dość czasu, żeby przygotować dla niej pokój” — napisała na koniec listu.

Emily Dangerfield nie modliła się. Nie wierzyła w modlitwę. Jakże nudna była perspektywa zawożenia Ruby na mszę do St. Kentigern — małego, uroczego kościółka katolickiego, który po śmierci Edwina przestała odwiedzać. Siostra nawet o tym nie wiedziała. Cecilia była przekonana, że wiara siostry wciąż była tak samo silna, jak przedtem, a Emily nie czuła potrzeby wyprowadzania jej z błędu. Widywały się tak rzadko. Emily wolała robić siostrze krytyczne uwagi odnośnie niepostępowych metod prowadzenia klasztoru, niż wysłuchiwać pod swoim adresem komentarzy o bezbożności i braku wiary. Poza tym Cecilia i tak nie przejmowała się krytyką.

Czy modlitwa w ogóle w czymkolwiek jej pomogła? Modliła się o szczęście, a skończyła u boku męża-nudziarza, który po spółdzeniu dwóch synów nie przejawiał najmniejszego zainteresowania kontaktem

fizycznym, zmuszając tym samym Emily do tego, by szukać spełnienia gdzie indziej. A synowie? Adrian był w Australii, gdzie poza hodowlą owiec nie zajmował się niczym innym. Najprawdopodobniej już nigdy go nie zobaczy. Rupert zaś mieszkał w Londynie z żoną. Emily też prawie ich nie widywała. Odległość nie miała znaczenia — równie dobrze mógłby żyć na drugim końcu świata, jak jego brat. Swoje wnuki, Sarę i Jamesa, Emily widziała tylko parę razy w życiu.

Kiedy przyjedzie Ruby, potraktuje ją jak córkę. Przeleje całą swą odrzuconą przez innych miłość na to drobne, osierocone dziecko. Może nawet nie zaszkodzi zacząć znów uczyć się na mszę...

Cztery tygodnie później, w chłodny, słoneczny dzień, zza bramy klasztornej wyłoniła się sylwetka Ruby. Dziewczynka niosła pakunek owinięty w brązowy papier przewiązany sznurkiem. Towarzyszyła jej zakonnica z twarzą zalaną łzami. Nie towarzyszyła im przeorysza. Nikt nie poprosił też Emily do środka. Oczy dziewczynki błyszczały. Z radością wyprostowała wąskie ramiona, gotowa zmierzyć się ze światem.

Emily otworzyła drzwi swojego szarego jaguara od strony pasażera i poklepała skórzane siedzenie. Położywszy rękę na drzwiach, Ruby z zaciekawieniem zajrzała do środka, po czym wślizgnęła się na siedzenie. Na jej twarzy gościł spokojny uśmiech. Siadając, robiła wrażenie kogoś, kto przez całe życie jeździł drogami samochodami. Pakunek rzuciła na tylne siedzenie i pomachała do zakonnicy.

— Jeszcze nigdy nie jechałam samochodem — powiedziała.

— Nie widać tego po tobie — rzuciła pod nosem Emily. Zapaliła silnik i odjechała. — Nie jest ci smutno? — spytała.

— Troszkę — przyznała Ruby. Zdjęła brązową wstążkę i rozpuściła włosy. — Tylko jakoś mi głupio smucić się z powodu czegoś, na co nic nie można poradzić.

— Bardzo rozsądne stwierdzenie, ale nie można brać tego tak dosłownie przez całe życie.

— Co to jest stwierdzenie? Co to znaczy?

— Jak przyjedziemy do domu, dam ci słownik i sama sobie sprawdzisz.

— A co to jest słownik?

— Zobaczysz, jak go dostaniesz.

Początkowo Ruby była zafascynowana, aczkolwiek trochę przerażona szybką jazdą. Sztwniała za każdym razem, kiedy w ich kierunku nadjeź-

dzał samochód. Była przekonana, że dojdzie do zderzenia, ale pojazdy swobodnie przejeżdżały obok, a ona szybko zapominała o strachu. Choć mówiła niewiele, w jej oczach widać było błysk zainteresowania, mimo iż od lat znała już widoki okolicy, przez którą jechały: rozległe, zielone pola, falujące pagórki, zaniedbane żywopłoty oblegane przez ptactwo. Od czasu do czasu mijały jakąś wioskę, która w porównaniu z Abergele wyglądała nieciekawie.

— Jesteśmy już w Anglii, moja droga. W hrabstwie Cheshire — oznajmiła Emily. Ruby miała zwracać się do niej po imieniu. — Właśnie przejechałyśmy przez granicę.

— To znaczy, że jesteśmy w innym kraju! — Ruby była pod wrażeniem.

— Tak. Za kilka lat nie trzeba będzie jeździć do Liverpoolu tak długą trasą. Pod rzeką Mersey znajduje się tunel, ale nie jest jeszcze gotowy na przejazd samochodów.

— Matka przełożona mówiła, że będę mieszkać w Liverpoolu. Stamtąd pochodzi siostra Frances. Powiedziała, że Liverpool jest większy niż Abergele.

— Dużo, dużo większy. Ale ty nie będziesz mieszkać w samym Liverpoolu. Mój dom jest na peryferiach, w miejscowości Kirkby. A jutro pojedziemy do miasta i kupimy ci ubrania. Jestem pewna, że ucieszysz się, jak zdejmiesz wreszcie tę brzydką, brązową suknię.

— Ubrania ze sklepu?

— Rzecz jasna, Ruby. A ty myślałaś, że skąd? — Naiwność dziewczynki była zdaniem Emily rozbrajająca.

— Zawsze chciałam pójść do sklepu — westchnęła Ruby z rozkoszą.

— Muszę jednak uprzedzić cię, moja droga, że Liverpool to strasznie hałaśliwe miasto. Panuje tam duży ruch, a w sklepach jest mnóstwo ludzi. Ale nie ma się czego bać. Duże miasta są zazwyczaj bardzo głośne i ruchliwe.

— Wcale się nie boję — odpowiedziała Ruby z zawzięciem. Zapomniała już o przerażeniu, jakie przed chwilą wywołał u niej widok nadjeżdżającego samochodu. — Czy jesteśmy już prawie na miejscu?

— Czekaj nas jeszcze kawałek drogi.

Zniecierpliwna Ruby westchnęła głośno i z nudów zaczęła przebierać palcami; Anglia nie różniła się od Walii. Demonstracyjnie podniosła głowę na widok przemysłowego krajobrazu, a kiedy dojechały do Run-corn, zapiszczała z zachwytu. Samochód wjechał na most transportowy,

następnie metalowy podnośnik przewiózł je przez srebrną wstęgę rzeki Mersey. Ten etap podróży zawsze przerażał Emily.

Jechały dalej, mijając po drodze las kominów, z których czarny dym wydobywał się ku błękitnemu niebu.

— Ależ one brzydkie — nie omieszkała zauważyć Ruby.

Emily pokiwała głową.

— To jest Widnes.

— Brzydko tu, ale ciekawie. To wszystko jest ciekawe. Czy zbliżamy się może do Kirkby? — spytała, zniecierpliwiona.

— To już niedaleko.

Krajobraz stawał się coraz bardziej płaski, a wokół widać było coraz więcej domów. Ruby podnosiła się i opadała na siedzeniu obok, wydając okrzyki na widok najdrobniejszego szczegółu i zadając tyle pytań, że Emily kręciło się od nich w głowie.

— Co robi ten mały chłopiec?

— Jedzie na hulajnodze.

— Jeszcze nigdy nie widziałam hulajnogi. A co to za budynek?

— To kościół, moja droga.

— Jaki duży! Ten w klasztorze był mały. Mogę tam pójść w niedzielę na mszę?

— Nie, Ruby. Za daleko, a poza tym to nie jest kościół katolicki.

— Ajaki?

— Nie zdążyłam zobaczyć — odparła Emily z desperacją w głosie. — Pewnie protestancki.

— Popatrz! — wrzasnęła po chwili Ruby. — Co się temu panu stało w twarz?

— Nic. Mabrodę.

— Wygląda jak zwierzę. Czy jesteśmy już na miejscu, Emily?

— Jeszcze chwila.

Z westchnieniem ulgi Emily skręciła w trakt prowadzący do Brambles — posiadłości, która nie należała już do niej, tylko do jej synów. Inaczej Emily sprzedałaby ją zaraz po śmierci Edwina i przeprowadziła się w jakieś ciekawsze miejsce: do Londynu, do Brighton albo może nawet za granicę — do Paryża czy do Berlina, bo to podobno fascynujące miasto, choć polityka Hitlera budziła niepokój. Edwin zostawił jej wystarczającą ilość środków do życia, jednak Emily była pełna obaw co do opuszczenia rodzinnego domu i wynajęcia sobie mieszkania, gdyż takie, które spełniałoby jej oczekiwania, pochłonęłoby sporą część jej kapitału.

— Czy to tutaj?

— Tak, Ruby, to tutaj. — Emily otworzyła drzwi auta i wysiadła.

Ruby zabrała pakunek i poszła za nią.

— Ten dom nie jest tak duży jak klasztor — powiedziała. Emily zdało się, że w tonie jej głosu wyczuła nutkę pogardy.

— No cóż, nie jest — odpowiedziała. — Ale za to jest większy niż inne domy — dodała na swoją obronę. — Ma dwanaście pokoi: sześć na górze, sześć na dole, nie licząc kuchni i dwóch łazienek. Wejźmy, a sama zobaczysz.

Jakąż ulgę odczuła Emily, wchodząc do opustoszałego domu w towarzystwie drugiej osoby. Służba już dawno wyszła. Emily wdzięczna była Ruby za jej okrzyki, kiedy biegała z pokoju do pokoju, podziwiając meble i dekoracje. Potem przybiegła z powrotem do holu, gdzie krytycznym okiem przyjrzała się sobie od stóp do głów w dużym lustrze. Wierciła się i obracała, spoglądając przez ramię, żeby obejrzeć się z tyłu.

— W klasztorze nie miałyśmy luster — powiedziała i rzuciła Emily śmiałe spojrzenie. — Po zmroku przyglądałyśmy się sobie w szybach okien. Gdyby siostry zakonne to widziały, rozgniewałyby się. Mówiły, że próżność jest grzechem. A przecież Bogu nie przeszkadza to, że ktoś chce ładnie wyglądać. Tak im powiedziałam.

— A co one na to? — spytała zaciekawiona Emily.

— Odpowiedziały, że ładny wygląd to nic złego, tylko nie wolno spędzać dużo czasu, przyglądając się sobie. Nadal uważam, że to bzdura. Ale one wpadały w złość, kiedy próbowałam się z nimi wykłócać... Co to jest? — spytała wskazując palcem.

— To telefon, moja droga. Kiedyś pokażę ci, jak się go używa.

— A czy mogę zobaczyć, gdzie będę spała?

Emily przygotowała jej pokój na piętrze, zaraz obok swojej sypialni. Pchnęła żółtobiałe, ładnie pomalowane drzwi.

— Ten jest twój.

Ruby radośnie rzuciła się na łóżko, nie mogąc się nadziwić żółtym zasłonom w kwiaty, które kolorem pasowały do serwety na toaletce. Po raz kolejny krytycznym okiem popatrzyła na swoje odbicie w lustrzanych drzwiach szafy.

— Czy nie masz nic przeciwko temu, żeby spać sama? — zapytała ją Emily. — Pewnie jesteś przyzwyczajona do wspólnych sypialni.

— Nienawidzę wspólnych sypialni — odpowiedziała Ruby z przejęciem. — Kazali nam chodzić bardzo wcześnie spać i musiałyśmy być cicho nawet wtedy, kiedy nie mogłyśmy zasnąć. Latem nie było tak źle, bo można było czytać pod kołdrą, ale jak robiło się ciemno i zabierali nam

parafinowe lampki, nic nie było widać. — Uśmiechnęła się do Emily przy-  
milająco. — Pozwolisz mi mieć lampkę do czytania w łóżku? Przecież je-  
stem twoją *przyjaciółką*.

Emily roześmiała się.

— Tu będziesz mogła czytać, ile dusza zapagnie, Ruby. Niepotrzeb-  
na ci lampka. Po wewnętrznej stronie drzwi zapala się światło.

— Jezus, Maryja, Józefie święty! — zachłysnęła się z zachwytu Ru-  
by, kiedy pokój zalała fala światła i zrobiło się w nim jeszcze jaśniej. —  
Jak tu się na to mówi?

— Elektryczność. Tylko nie każ mi tego wyjaśniać, moja droga. Po-  
szukasz sobie w encyklopedii. To taka książka. Leży w pokoju, w którym  
mój mąż miał kiedyś swój gabinet. Jest tam też słownik — dodała szybko,  
zanim Ruby zdążyła otworzyć usta, żeby zapytać, co to jest encyklopedia.  
— Może zejdziemy teraz na dół i zobaczymy, co pani Arkwright zostawi-  
ła nam na podwieczorek?

Tej nocy, zanim Emily poszła spać, zatrzymała się przed drzwiami poko-  
ju Ruby i położyła dłoń na klamce. Chciała zajrzeć do dziewczynki, by  
sprawdzić, jak się czuje po dniu pełnym wrażeń. A jeśli jest jej smutno  
i źle? A jeśli płacze? Emily nigdy nie potrafiła nikogo pocieszać, nawet  
własnych synów w dzieciństwie. Tę część wychowawczego zadania wy-  
konywała za nią opiekunka aż do czasu, kiedy w wieku siedmiu lat chłop-  
cy poszli do szkoły z internatem. W czasie świąt czy wakacji nigdy nie  
okazywali potrzeby współczucia. Emily nie potrafiła znaleźć właściwych  
słów nawet wtedy, gdy Edwin był na łożu śmierci. Zdjęła dłoń z klamki  
i udała się do swego pokoju.

W tę noc przeorysza wyjątkowo nie mogła zasnąć. Zmartwienia mąciły  
spokój jej umysłu niczym sztorm szalejący na wodach oceanu. Przywoła-  
ła w pamięci jedno ze wspomnień. Miała wtedy dziesięć lat, Emily osiem.  
Były święta Bożego Narodzenia. Kiedy obudziły się rano, przy łóżku każ-  
dej z nich leżała lalka — obie ogromne, większe niż naturalnych rozmia-  
rów niemowlę, ubrane jak dorosłe kobiety. Każda z nich miała na sobie  
jedwabną, falbaniastą suknię wykończoną koronką, czepek z krezy, bieli-  
znę, nawet drobny naszyjnik. Lalka Emily miała różowy strój i blond wło-  
sy, zaś lalka Cecilii była ubraną na niebiesko brunetką.

Emily przesunęła wzrok z jednej lalki na drugą, po czym z płaczi-  
wym jękiem oznajmiła, że chce niebieską. Cecilia uparcie trzymała swoją  
lalkę, jednak ostatecznie, mając na uwadze świąteczną atmosferę, ustąpi-

ła dla świętego spokoju. Przecież różowa lalka też była ładna. Wymieniły lalki, co uspokoiło Emily i przez resztę dnia dziewczynki pięknie bawiły się swoimi gwiazdkowymi prezentami.

Później, kiedy niania kładła je do snu, Emily wybuchła płaczem mówiąc, że woli jednak lalkę różową. Tym razem Cecilia odmówiła, gdyż polubiła już swoją lalkę. Nadała jej nawet imię — Wiktoria — na cześć królowej. Emily wrzeszczała.

— Cecy droga, przecież ta lalka i tak była dla niej — mówiła niania błagalnym tonem.

— Dobrze, niech weźmie obie. Nie chcę już niebieskiej.

Emily bawiła się różową lalką przez cały następny dzień, a potem rzuciła ją w kąt i zainteresowała się czymś innym. Lalki trafiły do szafy i od tamtej pory Cecilia nigdy więcej ich nie widziała.

Podobne sytuacje miały miejsce przy wielu innych okazjach, jednak żadna nie utkwiała jej w pamięci tak głęboko, jak historia z dwiema lalkami. Emily chciała mieć wszystkie rzeczy na wyłączność, a potem, kiedy już się nimi nabawiła i nacieszyła, przestawały ją obchodzić.

Przeorysza nie była świadoma godziny, o której wreszcie udało jej się zasnąć. Zapadła w niespokojny sen. Zerwała się, kiedy o piątej rano do drzwi zapukała siostra Angela. Pukanie przerwało dziwny sen. Śniły jej się lalki: jedna w niebieskim, druga w różowym ubranku. Emily wyrzuciła je w pobliskim lesie, a Cecilia poszła je odszukać. Gdy je znalazła, leżały twarzą do ziemi wśród przegniłych liści obok drzewa. Odwróciła je. Obie miały pociągłą, bladą twarz Ruby O'Hagan.

Zakonnica wstała z łóżka i klękawszy na twardej, kamiennej podłodze, zaczęła się modlić.

## *Rozdział 3*

Ruby zawsze budziła się pierwsza. Od razu siadała na łóżku, przeciągała się i przez żółte zasłony wyglądała słońca. Niezależnie od tego, czy świeciło, czy nie, wyskakiwała z łóżka i robiła poranną toaletę. Miała swój własny pokój z umywalką. Potem zakładała jeden z szlafroków, które Emily kupiła jej w Liverpoolu albo w Southport.

Z dwojga tych miast Ruby wolała Liverpool. Podobały jej się duże, załtuczone sklepy, lubiła ten hałas i zgiełk. Uwielbiała tramwaje — były ich tam całe setki. Sunęły po metalowych torach, dzwoniąc niemiłosiernie i wysypując plejady iskiek. Zazdrościła pasażerom podróżującym tymi

wspaniałymi pojazdami i pragnęła też pojechać jednym z nich, ale Emily wszędzie wozila ją samochodem. Budynki w Liverpoolu były ogromne: ratusz, Corn Exchange, Customs House oraz jej ulubiony St George's Hall, który — jak mówiła Emily — słynął ze światowej sławy eleganckiego wystroju.

Emily wolała Southport. Zdaniem Ruby miasto to było niczego sobie: dość ładne, ale ograniczone i trochę aż nazbyt ekskluzywne. Jakoś nie miała sympatii do ludzi z wyższych sfer, co Emily przypisywała klasztor-  
nym metodom wychowawczym.

— Co masz na myśli? — dopytywała się wtedy Ruby.

— W klasztorze postarali się o to, żebyś nie mierzyła ponad swój poziom — wyjaśniła Emily. — Nie podsycano w was większych ambicji ponad te, które nakazywały wam starać się o posadę szefowej kuchni i wyjść za mąż za lokaja. Nie tolerujesz ludzi — jak to określasz — z wyższych sfer, bo na ich tle czujesz się gorsza.

— Wcale nie — polemizowała Ruby. — Po prostu nie lubię ich za to, że zadzierają nosa i patrzą z góry na ludzi spoza ich kręgu. Ja wcale nie miałam zamiaru zostać kucharką ani na ten przykład wychodzić za mąż za lokaja.

Emily lekko wzruszyła ramionami, co Ruby odebrała jako znak, że jej argument był nie do odrzucenia. Uważała, że wcale nie jest gorsza niż ktokolwiek inny na świecie.

Minęły już ponad trzy miesiące, odkąd Ruby zamieszkała w Kirkby. Obudziwszy się pewnego ranka, zobaczyła tańczące za oknem sierpniowe promienie słońca, które zlały się w jedną całość, tworząc półokrąg ze złocistego światła. Wygramoliła się z łóżka, odsunęła zasłony i popatrzyła na położony z tyłu domu ogród. Był tam otoczony wypiełgnowanymi rabatkami obszerny, kwadratowy trawnik, sad, kort tenisowy oraz wcisnięty w kąt mały warzywnik. Dookoła rosły srebrnolistne brzozy, o których Ruby słyszała, że jesienią zmieniają kolor na złoty. W okolicy nie było ani jednego domu. Najbliższy znajdował się prawie półtora kilometra stąd.

Co będzie dziś robiła?

Kilka tygodni temu Emily zasugerowała, żeby od września Ruby poszła do szkoły. W niektórych szkołach dla dziewcząt nauka trwała do szesnastego lub nawet osiemnastego roku życia. Ruby wykrzywiła twarz mówiąc, że nauczyła się już wystarczająco dużo, ale mimo wszystko podziękowała za troskę. Emily powiedziała jej wtedy, że może robić to, co chce, i sama o wszystkim decydować.



Emily nie przeszkadzało, kiedy Ruby mówiła, że czegoś „chce” lub „nie chce”. Wolno jej było chodzić późno spać, czytać przez całą noc, jeśli tylko miała na to ochotę, nie musiała jeść warzyw, ale mogła dostać podwójną porcję deseru, jeśli było go wystarczająco dużo. Mogła bawić się poza domem i wracać, kiedy jej się podobało. Ruby wydało się to trochę niepokojące. Zateśkniła za regułami, które tak bardzo lubiła łamać w klasztorze. Zrodziło się w niej podejrzenie, że tak naprawdę Emily była chyba względem niej obojętna. Po kilku tygodniach przestała zabierać ją na zakupy i przejażdżki. Poznała nowych przyjaciół, państwa Rowland-Graves, którzy właśnie wrócili z Indii i zamieszkali w oddalonym o kilka kilometrów Knowsley. Państwo Rowland-Graves organizowali mnóstwo przyjęć towarzyskich: spotkania brydżowe, koktajle, imprezy teatralne i całonocne wieczorki taneczne. Emily godzinami układała sobie włosy i kupowała nowe ubrania. Prawie codziennie wychodziła z domu, wystrojona w futro nawet wtedy, kiedy na dworze było gorąco. Mimo to zawsze cieszyła się na widok Ruby, z którą chętnie rozmawiała po powrocie z wizyt.

Ruby postanowiła tego dnia pójść na farmę do państwa Humble po mleko i jajka, żeby wyręczyć pana Humble'a, który miał je dostarczyć. Włożyła na siebie coś, co Emily nazywała podomką: zrobiona była z czerwonej bawełny, widniały na niej duże, białe kwiaty, a kołnierz i rękawy obszyte były białą tasiemką. Emily powiedziała, że Ruby ma krzykliwy gust i wyraziła nadzieję, że z niego wyrośnie. Jej zdaniem dziewczynka lubowała się w zbyt kwiecistych strojach.

— Gładkie ubrania są o wiele bardziej gustowne, Ruby...

Tak czy inaczej, mogła mieć każdą rzecz, która wpadła jej w oko. Wciągnęła krótkie, białe skarpetki, założyła sandały i zabrała z kuchni dzbanek i misę.

Zapowiadał się kolejny upalny dzień. Kiedy Ruby biegła przez pole, na którym rosły różne gatunki zboża, zrobiło się już gorąco. Farma pana Humble'a była niewielka i wyglądała raczej na małe gospodarstwo. Miał on kilka krów, owiec i świń, sporo kur, konia zaprzęgowego o imieniu Waterloo, zmęczoną życiem żonę oraz pięcioro dorosłych dzieci, które wyprowadziły się z domu.

„I któżby im się dziwił?” — mawiała na to Emily.

Na farmie pracował także pomocnik imieniem Jacob, który wzbudził zainteresowanie Ruby, głównie dlatego, że poza nim nie znała tam żadnych młodych ludzi.

Jacob Veering miał osiemnaście lat. Był niewysokim, ale barczystym i silnym mężczyzną o ładnych, jasnokremowych włosach i fiołkowych oczach. Był zawsze niesamowicie ubrudzony i bardzo przystojny. Emily powiedziała jej, że był bękartem.

— Pewnie jak i ty — dodała.

Ruby sprawdziła w słowniku znaczenie wyrazu „bękart”. W definicji było napisane: „nieślubny”. Takiego słowa też jeszcze nie знаła, więc musiała je odszukać. Oznaczało „pozamałżeński”, czyli poczęty poza związkiem małżeńskim. Ruby żałowała, że w ogóle poszła tym śladem. Trzeba było dać sobie spokój.

Matka Jacoba mieszkała w małej wiosce, naprzeciwko kościółka w Kirkby. Na imię miała Ruth. Emily mawiała o niej „nieszczęśliwe stworzenie”. Utrzymywała się z wyrobu kolorowych świec, które sprzedawano w dużych sklepach, takich jak George'a Henry'ego Lee czy Hendersona. Nie interesowała się Jacobem. Od dwunastego roku życia mieszkała na farmie u państwa Humble, w pomieszczeniu nad stajnią konia imieniem Waterloo.

— Czy Jacob jest katolikiem? — dociekała Ruby. — Chciałabym z nim porozmawiać.

— Wielkie nieba, Ruby, moja droga. Przecież możesz z nim porozmawiać, nawet jeśli jest niewierzący, a najprawdopodobniej jest.

Kiedy zdyszana Ruby przybiegła na farmę, pani Humble właśnie zbierała jajka. Powietrze w okolicy było gęste od brudu i mocno cuchnęło nawozem, szczególnie podczas upałów. Ruby z przerażeniem myślała o tym, co tu się dzieje zimą, kiedy zapach jest być może mniej odrażający, ale cały ten zgęstniały brud opada i zamienia się w błoto.

— To co zwykle? — spytała pani Humble swym przygnębionym, monotonnym głosem. W wieku czterdziestu dziewięciu lat była zgarbiona niczym staruszka. Miała na sobie wytartą chustę, którą za oba końce przytrzymawała żylastą, zaczerwienioną ręką.

— Tak. Poproszę sześć jajek i dzbanek mleka.

— Jacob właśnie doi krowę.

— W takim razie pójdę się przywitać.

Nie wiedzieć czemu, Ruby podeszła do obory na palcach. W obecności Jacoba czuła dziwne podenerwowanie. Był uprzejmy, ale odnosił się do niej z rezerwą i zawsze miała wrażenie, że mu przeszkadza. Otworzyła drzwi i nieśmiałym głosem powiedziała:

— Cześć.

Ubrany był w zabrudzone sztruksy przewiązane sznurkiem i wytartą koszulę bez kołnierza, z odciętymi w połowie rękawami. Ramiona i twarz pokrywała ciemna opalenizna. Nie zawiązane buty tkwiły w słomie. Wyglądał, jakby wrósł w ziemię niczym drzewo. Pochłonięty pracą, nawet nie podniósł oczu, tylko z miną znawcy ciągnął krowie wymiona, z których gęste, białe mleko tryskało strumieniami do metalowego wiadra.

— Cześć — odpowiedział głosem, który nie zabrzmiał zbyt przyjaźnie, ale nie było w nim też wrogości.

— Ładny początek dnia.

— Bywało lepiej — mruknął.

Ruby zastanawiała się nad tym, co powiedzieć. Jacob nigdy nie zaczynał rozmowy jako pierwszy. Odpowiadał tylko na zadawane mu pytania.

— Lubisz słuchać radia?

— Nie mamy tu radia — odparł Jacob.

— A u nas w domu jest radio. I gramofon.

— Naprawdę?

— Służą do słuchania muzyki. Lubisz muzykę?

— Czemu nie — przyznał.

— Jeśli chcesz, możesz przyjść i posłuchać. Przyjdź w sobotę, po szóstej. Emily idzie do teatru. To takie miejsce, gdzie pokazują sztuki — dodała na wypadek, gdyby Jacob nie wiedział.

Zachowanie Jacoba nie zdradzało, czy wiedział, czy nie.

— Zastanowię się — odparł.

Pani Humble weszła z chochlą w ręce, zaczerpnęła z wiadra mleko i nalała do dzbanka Ruby.

— Jajka już przygotowane — powiedziała znużonym głosem.

Ruby spojrzała na Jacoba z zaniepokojeniem.

— Dzięki. To do zobaczenia w sobotę?

— Może — mruknął, wciąż nie podnosząc wzroku.

Ruby westchnęła i ruszając powolnym krokiem, dotarła z powrotem do Brambles, gdzie kucharka, pani Arkwright, zwlekała właśnie swe tęgie, spocone ciało z roweru.

— Mam jajka i mleko — oznajmiła Ruby.

— Tak? — rzuciła pani Arkwright przez zaciśnięte wargi, po czym zaprowadziła swój rower na zaplecze.

Ruby poszła za nią. Pomiędzy nimi dwiema nie układało się dobrze. Kilka miesięcy temu, kiedy Ruby po raz pierwszy odwiedziła kuchnię,

w dobrej wierze zasugerowała, że gotowana na piecyku kuchennym szynka miałaby lepszy smak, gdyby doprawić ją liściem laurowym. Nauczyła się tego w klasztorze. Pani Arkwright od razu dostrzegła w niej zagrożenie. Uznała, że musi bardziej się starać, bo inaczej Ruby zajmie jej miejsce. Od tamtej chwili pilnowała, by dziewczynka trzymała się z dala od kuchni.

Pani Roberts, sprzątaczką, odnosiła się do niej w podobny sposób. Jako starsza, zmęczona życiem osoba dawała do zrozumienia, że nieustanny szczebiot Ruby działał jej na nerwy.

Przynajmniej Ernest, ogrodnik, okazywał jej życzliwość. Nie słyszał ani słowa z tego, co mówiła, ponieważ był kompletnie głuchy. A na jednej z jabłoni zawiesił sznur i zrobił huśtawkę.

Ruby strasznie brakowało przyjaciół. Zamiejska okolica wydawała jej się bardzo monotonna. Zająć było mnóstwo, ale ona potrzebowała kogoś do towarzystwa. Nie zadowalały jej samotne zabawy w sadzie. Gra w tenisa frustrowała ją, bo nie było nikogo, kto odbijałby do niej piłkę. Zastanawiała się, czy nie jest już za późno na to, by podjąć decyzję o pójściu do szkoły, w której jednak — wedle jej przekonania — było zapewne mnóstwo dziewcząt z wyższych sfer. Nie polubiłaby ich i zaraz pożałowała by swej decyzji. Gdyby to Emily kazała jej tam pójść... Zrobić coś wbrew swojej woli, bo ktoś każe, a podjąć decyzję samemu to dwie różne rzeczy. Jeśli w szkole byłoby okropnie, winę za to poniosłby kto inny.

Przeszła przez kuchnię, położyła jajka i mleko na stole i zrobiła minę za plecami niesympatycznej pani Arkwright.

Przez następne pół godziny studiowała słownik w gabinecie zmarłego męża Emily. Edwin Dangerfield był radcą prawnym specjalizującym się w czynnościach notarialnych, to znaczy w przenoszeniu tytułów własności — Ruby sprawdziła w słowniku. Był jej ulubioną książką i każdego dnia uczyła się sześciu niezbędnych wyrazów. W zeszłym tygodniu doszła do „B”. Zastanawiała się, czy wyraz „bakteria” jest wart zapamiętania, kiedy usłyszała, jak pani Arkwright ociężałe wchodzi na górę, niosąc kawę dla swej pracodawczyni. Odłożyła książkę i odczekawszy, aż kucharka zejdzie, pomknęła schodami do Emily.

— O, Booóże! — jęknęła Emily, kiedy roześmiana twarz Ruby wyłoniła się zza drzwi. — Wyglądasz nieprzyzwoicie pogodnie i tak piekielnie *młodo*! Przez ciebie czuję się, jakbym miała ze sto lat. Co słyhać na dworze? Powiedziałam Arky, żeby nie odsuwała zastłon. Głowa mi pęka po ostatniej nocy. — Zeszłego wieczoru państwo Rowland-Graves wydawali przyjęcie z kolacją.

— Na dworze jest przyjemnie, słonecznie i ciepło.

Emily wzdygnęła się. — Ja tam wolę, jak jest nudno i zimno.

— Pomyślałam sobie, że może pójdziemy na zakupy — powiedziała Ruby z nadzieją w głosie, siadając na krawędzi łóżka.

— Przykro mi, kochanie. Dziś po południu wychodzę na imprezę w ogrodzie. Koniecznie potrzebna jest mi teraz odmładzająca kąpiel, a sama wiesz, jak dużo czasu zajmuje mi przygotowanie się do wyjścia.

Zajmowało to całe godziny: masowanie zwiotczącej skóry, malowanie starzejącej się twarzy, tapirowanie farbowanych włosów i ułożenie ich w zadowalającą fryzurę, przymierzanie co najmniej tuzina ubiorów, dopasowanie właściwych butów do wybranej sukni czy kostiumu, wyszukanie właściwej biżuterii i najbardziej odpowiedniego kapelusza.

— Potrzebne mi są nowe buty — mruknęła Ruby. — Wszystkie, które mam, są już za małe.

— O mój Boże! — Emily przygryzła wargę w poczuciu winy za zaniechanie dziewczynki. Gdyby nie Mim i Ronnie Rowland-Graves, Emily podskoczyłaby na samą myśl o zakupach i wybraniu butów dla Ruby. Ale ku jej ogromnej uldze, na jej życiowej scenie pojawili się Mim i Ronnie. Najpierw prowadzili burzliwe, z lekka ryzykowne życie w Indiach, a teraz zamierzali robić to samo w Anglii. Mieli po pięćdziesiąt kilka lat. Głównym celem ich życia była dobra zabawa. Nie zwracali uwagi na stan cywilny ani na wiek swoich gości. Najważniejsze, że dzielili oni ich chęć rozrywki i pragnienie mocnych wrażeń, na co składały się mocno polewane alkoholem imprezy, pieprzne rozmowy i jeszcze bardziej pikantne zabawy towarzyskie. Gdyby Edwin wciąż żył, byłby tym wszystkim kompletnie zszokowany.

Popatrzyła na pociągłą twarz Ruby, z której znikła radość, a która wciąż wyglądała tak, jak gdyby mała już długo nie jadła porządnego posiłku. Emily pomyślała, że może Ruby czuje się osamotniona, spędzając tyle czasu sama. Nie mogła jednak zabrać jej ze sobą do domu państwa Rowland-Graves, gdyż nie było to odpowiednie miejsce dla młodej dziewczyny. Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

— Jeśli chcesz, później wysadzę cię na stacji Kirkby, żebyś mogła pojechać do Liverpoolu i kupić sobie buty.

Ruby była tak zachwycona, jakby właśnie zaferowano jej królewskie klejnoty. Zeskoczyła z łóżka i zatańczyła po pokoju.

— Mogę? Naprawdę *mogę*? Ach, Emily, z największą przyjemnością. Nigdy nie jechałam pociągiem. O której wyjeżdżasz? Czy mam się przebrać?

— Tylko skąd będziesz wiedziała, jak trafić do domu ze stacji? — Emily już powoli zaczynała żałować tej pochopnej propozycji, zadając sobie pytanie, czy jest to przejaw jej nieodpowiedzialności. „Wcale nie” — pomyślała jednak po kilku sekundach. Gdyby Ruby poszła na służbę, miałyby wiele różnych ciężkich obowiązków na głowie, a zakupy byłyby jednym z nich. Samodzielna wyprawa w miasto wyjdzie dziewczynce na dobre.

— Wrócę ze stacji piechotą. To przecież niedaleko, tylko kilka kilometrów — powiedziała żarliwym tonem Ruby, a blask jej dużych, ciemnych oczu na chwilę przyćmiła obawa, że tak cudowna przyjemność może zostać jej odebrana.

— Jesteś pewna?

— W zupełności.

Duży pociąg wtoczył się na stację Kirkby niczym smok puszczający z pyska kłęby brudnej pary. Ruby miała na sobie swoją najlepszą sukienkę — białą w pączki róż. Wspięła się do wagonu i z uciechą założyła ręce. W torbie miała dwa zwinięte dziesięcioszylingowe banknoty, a dodatkowo jeszcze pięć szylingów w monecie — na przejazd oraz inne ewentualne wydatki.

Ku poirytowaniu pewnej kobiety, jedynej współpasażerki, przez całą drogę do Liverpoolu Ruby biegała z jednej części wagonu do drugiej, by przyjrzeć się widokom i obserwować zmieniający się krajobraz. Sielankowe, zielone pola przeistaczały się w rzędy ciasno stojących domków z cegły, a te z kolei w las kominów fabrycznych, za którymi pociąg dojeżdżał już do stacji Exchange, gdzie miała wysiąść. Ogromny budynek i sapiące parowozy wzbudzały w niej podziw.

Serce Ruby zdawało się podskakiwać z radości jak piłeczka, kiedy szła potem przez tłoczne, wibrujące życiem miasto w stronę domu towarowego Lewisa. Tam, czując się niezwykle ważną osobą, kupiła parę sandałów od Clarka za cztery szylingi i jedenaście pensów oraz czarne buty z lakierowanej skóry z paskiem zapinanym na guzik za siedem szylingów i sześć pensów. Okazało się, że nie całkiem skłamała, oznajmiając, iż wyrosła już z noszonych butów. Powiedziała to tylko dlatego, żeby przekonać Emily do wyjazdu na zakupy. Zadziałało lepiej, niż się spodziewała. Miło było czuć się samodzielną, chodzić tam, gdzie miała ochotę i nie musieć zatrzymywać się raz po raz w hotelu Adelphi na kawę i papierosa, bo Emily miała akurat taką potrzebę.

Po wyjściu od Lewisa przystanąła na zatłoczonym chodniku, gdzie zewsząd napierał na nią tłum. Wdychała dławiące spaliny i różne zapachy, które wołała od tych unoszących się w wiejskim powietrzu. Zastanawiała się, dokąd teraz pójść — byle nie z powrotem na stację, bo było jeszcze za wcześnie.

Przechadzała się tu i tam. Jej oczy błyszczały jak gwiazdki na widok sklepowych wystaw — Emily nazywała to „zakupami przez szybę”. U Blacklerów była wystawa sukien, z których jedna w szczególności przykuła wzrok Ruby: granatowa w jaskrawoczerwone groszki, z falbanianym kołnierzykiem, czerwoną muchą i rozszerzonymi jak spódnice rękawami. Kosztowała tylko szylinga i jedenaście pensów — jedną czwartą ceny, którą normalnie zapłaciłaby Emily. Była to suknia dla dorosłej kobiety, nie dla dziewczynki, ale Ruby była już dość wysoka, by ją nosić. Weszła do środka i przymierzyła suknię, kręcąc się przed otaczającymi ją ze wszystkich stron lustrami.

— Pasuje ci idealnie, moja droga — powiedziała sprzedawczyni.

— Wezmę ją. — Suknia sięgała do pół łydki. Inne, które nosiła, ledwie zakrywały kolana. Ruby pomyślała, że wygląda w niej bardzo dojrzale. Wręczyła sprzedawczyni pół korony, które pomknęło wysoko, w małej rurce przymocowanej do drutu, przez całą długość sklepu w stronę kobiety siedzącej za szkłem. Ta odczepiła rurkę i po minucie Ruby otrzymała w ten sam sposób swoją resztę wraz z paragonem. Działanie tego mechanizmu fascynowało Ruby bez końca.

Po wyjściu ze sklepu postanowiła, że założy tę suknię w sobotę na ewentualną wizytę Jacoba. Przedzierając się między autami, dotarła na drugą stronę jezdnii. Nieomalże wpadłaby pod koła tramwaju numer 1. Na przedzie widniała nazwa miejsca, do którego jechał.

— Dingle — przeczytała na głos. Brzmiało ładnie, jak z bajki. Zauważyła, że tramwaj zatrzymał się i ludzie zaczęli wsiadać. W ułamku sekundy Ruby postanowiła przyłączyć się do nich. Od dawna pragnęła pojechać tramwajem. Wspięła się po schodach do góry i usiadła na twardym siedzeniu, zaraz z przodu, skąd miała świetny widok.

Tramwaj ruszył, pobrzękując hałaśliwie na szynach, przechylając się na zakrętach i zatrzymując się gwałtownie przy ustawionych w kolejce, czekających na przejazd ludziach. Ruby jedną ręką ścisnęła pakunki, drugą zaś trzymała się krzeselka w obawie, że wypadnie przez okno, kiedy tramwaj niebezpiecznie rozhuśta się z boku na bok. Minęli strzelistą wieżę katedry protestanckiej, którą zaczęto budować w poprzednim stuleciu i jeszcze nie ukończono.

Potem przyszedł konduktor. Ruby kupiła za pensa bilet do samego Dingle.

— Czy powie mi pan, kiedy tam dojedziemy? — Słyszała, jak wykrzykiwał nazwy poszczególnych przystanków.

— Sama będziesz wiedziała, słonko. Dingle to nasz ostatni przystanek.

Tramwaj toczył się po długiej, różnobarwnej, ruchliwej ulicy. Było tam pełno samochodów i wszelkiego rodzaju sklepów, których ciągłość przerywały raz po raz małe uliczki domków szeregowych. Zdawało się, iż na każdym rogu był pub, a na zewnątrz, przed wejściem, przesiadywały gromadki beczynninie rozleniwionych mężczyzn z rękoma w kieszeniach. Kobiety z torbami pełnymi zakupów trajkotały zawzięcie, a dzieci trzymały się ich spódnicy albo goniły się po chodniku, wbiegając do sklepów i wybiegając na zewnątrz.

Ruby usiłowała ogarnąć wszystko rozbieranym wzrokiem. Patrzyła, jak ubrane są kobiety. Niektóre były prawie tak eleganckie, jak Emily. Inne, podobnie jak uboga pani Humble, nosiły na głowach chusty. Byli tam mężczyźni w garniturach i melonikach, ale i tacy bez marynarek, z odsłoniętymi szelkami, w koszulach bez kołnierza i bez krawatów. Widziała czyściutkie, schludnie ubrane, tryskające zdrowiem dzieci, a potem poczuła, jak zalewa ją fala współczucia na widok bosych malców o wychudłych, brudnych stopach i łobuzerskich twarzach.

To było jak centrum wszechświata. Trzymając się kurczowo siedzenia, Ruby była już całkowicie przekonana, że właśnie tu znalazła swoje miejsce: wśród ludzi, zgiełku i miejskich zapachów. Na hałaśliwych, zatłoczonych ulicach czuła się jak u siebie. Uczucie to nigdy nie towarzyszyło jej w Kirkby, gdzie w pobliżu nie było ani jednego domu.

— Wrócę tu — powiedziała szeptem sama do siebie. — Wrócę jutro, pojutrze, wkrótce. Wrócę tu na stałe.

Wysiadła przy zajezdni tramwajowej i ruszyła na przechadzkę maleńkimi uliczkami. Przy domach, na pobielanych schodach siedziały zadowolone kobiety i rozkoszowały się cudownym słońcem. Dzieci wieszały się na słupach lamp ulicznych, grały w klasy na chodniku, skakały przez skakankę lub grały w dwa ognie, rzucając piłką o ścianę.

Ruby westchnęła z zazdrością i uznała, że czas wracać do domu.

W sobotni wieczór Emily poszła do teatru. Wystroiła się w nowy, szary kostium z jedwabiu oraz dopasowany do reszty mały kapelusz z woalką. Na ramiona założyła swojego lisa, chociaż dzień był piękny i upalny.



— Dasz sobie radę, prawda, kochanie? — zapytała z troską w głosie.  
— Możesz sobie poczytać książkę albo posłuchać radia. Jak wrócę do domu, opowiem ci, o czym była sztuka.

— Dam sobie radę — odparła dzielnie Ruby.

Gdy tylko Emily wyszła, dziewczynka pobiegła na górę i przebrała się w sukienkę w groszki, tę od Blaclderów. Materiał ciasno przylegał do jej szczupłego ciała i z zadowoleniem zauważyła, że podkreślał kształt jej małych piersi, co nadawało jej bardzo dojrzały wygląd, szczególnie wtedy, kiedy zaczesła swe czarne włosy do góry i upięła wsuwką.

Poszła do pokoju Emily i przeszukała pudełko z biżuterią. Stało na toalecie, gdzie panował ogromny nieporządek. Wybrała dla siebie perłowy naszyjnik i kolczyki — Emily wyszła ustrojona w swoje „lepsze” perły. Ruby przymierzyła też parę czerwonych butów na wysokich obcasach. Były na nią tylko troszkę za duże.

Będąc już na dole, włączyła radio, w którym na cały głos zahuczała muzyka poważna. Wyłączyła odbiornik z niesmakiem i postanowiła puścić jedną ze swoich ulubionych płyt: zbiór ballad w wykonaniu Rudy'ego Vallee, tak niesamowicie pięknych, że ścisnęła ją w dołku.

Patrząc na obracającą się płytę, Ruby zaczęła kołysać się w tańcu. Piosenka „Dobranoc, kochanie” była jedną z jej ulubionych. Nie mogąc się powstrzymać, wyskoczyła z butów, ręce wyciągnęła do przodu i objawszy ramionami samą siebie, bardzo wolno tańczyła po pokoju. Jak zawsze, piosenka ta wywoływała u niej słodki, dokuczliwy ból w żołądku, powodując pragnienie czegoś, czego nie potrafiła określić. Zamknęła oczy i usiłowała wyobrazić sobie kogoś, kto byłby teraz z nią w pokoju: mężczyznę. Tańczyli razem. Niewidzialne usta całowały ją zupełnie inaczej, niż widziani przez nią dotychczas całujący się ludzie. Ruby nie miała pojęcia, skąd brały się takie myśli. Zapewne były czymś wrodzonym.

Rudy Vallee zaczynał śpiewać piosenkę „Noc i dzień”, a Ruby wciąż tańczyła, zatraciwszy się w tej cudownej, romantycznej melodii, nieświadoma tego, że ktoś ją podgląda.

Za oknem stał Jacob Veering ze skrupulatnie wymytą, błyszczącą twarzą, ubrany w jedyny garnitur, jaki miał. Zdawało mu się, iż nigdy przedtem nie widział czegoś tak pięknego, jak ta nieznajoma młoda dama, unosząca się w tańcu dookoła pokoju niczym uskrzydłony motyl. Nigdy przedtem nie znał kogoś takiego jak ona. Kiedy z nim rozmawiała, język mu drętwiał i uciekał do gardła. Odzywał się tylko, odpowiadając na jej pytania, bo na więcej nie było go stać.

Jacob miał już narzeczoną — Audrey Wainwright, której ojciec posiadał farmę większą od tej państwa Humble. Według niepisanej ugody tych dwoje miało się pobrać, a wtedy Jacob przeniósłby się z farmy państwa Humble do Wainwrightów, gdzie zamieszkałby i pracował przez resztę życia. Nie śpieszyło mu się do tego, ale nie odczuwał też żadnej szczególnej niechęci na myśl o takiej przyszłości. Zależało mu tylko na tym, by pracować na roli, mieć gdzie mieszkać i co jeść oraz żeby nikt mu nie ubliżał. Tyle potrzebował Jacob do pełnego zadowolenia, jeśli nie do szczęścia. Jako mężczyzna będzie potrzebował żony, a Audrey Wainwright nadawała się do tej roli. Uznał, że ona widzi przyszłość podobnie jak on. W trakcie trwania ich związku nigdy nie padło słowo „miłość” i gdyby nawet któreś z nich zwróciło na to uwagę, taki układ pewnie wcale by im nie przeszkadzał.

Teraz jednak, gdy obserwował Ruby w tańcu, w zazwyczaj niewzruszone serce Jacoba wtargnęły nieznane dotąd emocje. Wstrząsnęły nim tak głęboko, że zabiło ono niezwykle mocno i szybko, powodując w nim strach. Poczuł silne pragnienie, by zbić szybko, wślizgnąć się do środka, pochwyć Ruby wpół, objąć jej cienką talię i wirować wraz z nią bez końca, aż zakręciłoby im się w głowach i upadliby na podłogę, trzymając się w objęciach. Jednakże zdawał sobie sprawę, iż nigdy nie mógłby posunąć się do tego, by ją dotknąć. Dla kogoś takiego jak on była nieosiągalna. Była przybyszem z innego świata, w którym nie było miejsca dla Jacoba, parobka z farmy.

Wyglądała na silną, lecz bardzo kruchą. Na jej twarzy malowało się coś, czego jej zazdrościł: rozmarzenie, zatracenie, jak gdyby znajdowała się zupełnie gdzie indziej, poza ścianami pokoju, w którym tańczyła. Jacob nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś podobnego i zastanawiał się, jak to jest. Nie był pewien, czy pamiętała o tym, że zaprosiła go do siebie na ten wieczór. Ale o tym mógł się upewnić tylko w jeden sposób. Zapukał więc do drzwi wejściowych.

Kiedyje otworzyła, Jacobowi zabrakło tchu. Jej oczy lśniły jak gwiazdy, policzki płonęły, a kiedy obdarzyła go ciepłym spojrzeniem, dając mu odczuć, że jest mile widziany, serce zabiło mu jeszcze mocniej.

— Nie sądziłam, że przyjdiesz! — Wyciągnęła rękę po jego dłoń. — Wejdz, posłuchamy muzyki. Właśnie tańczyłam. Umiesz tańczyć?

— Nie — odparł stłumionym głosem.

Pozwolił wciągnąć się do środka i od razu poczuł się nieswojo w bogato umeblowanym domu, gdzie na podłodze leżały dywany, a wszędzie pełno było ornamentów i obrazów. W pokoju, do którego go zaprowadzi-

ła, stały ałłasowe krzesła. Tam muzyka grała głośniej. Jakiś mężczyzna śpiewał o tym, że serce mu zamarło, a Jacob zapragnął, by z jego sercem stało się samo. Nie mógł oderwać wzroku od małych loczków, które przylegały do zroszonej potem skóry smukłej szyi Ruby, a na dłoni czuł mrowienie od jej dotyku.

Uśmiechnęła się do niego.

— Może chciałbyś coś zjeść? Mamy na jutro dużą szarlotkę, ale Emily nie będzie miała nic przeciwko, jeśli ją zjemy.

— Może być — mruknął Jacob, żałując, że zabrzmiało to tak niegrzecznie.

Zaprowadziła go do dużego pomieszczenia, gdzie wzrok jego przykuł nietypowy beżowy piec, płytki beżowy zlew. Były tam pomalowane na zielono szafki i podłoga z czarnych i białych kafli ułożonych w szachownicę. Ruby wyjęła ze spiżarni pokryte złocistą kruszonką ciasto.

— Może masz ochotę na herbatę albo kawę? — Skinieniem ręki zachęciła go, by usiadł przy dużym stole, który stał na samym środku.

— Herbatę. — Nie miał pojęcia, co to jest kawa. Nigdy przedtem jej nie pił. Przy Ruby czuł się jak niedouczony wieśniak. Ona miała gramofon, kawę, osobny pokój do gotowania, jakiego dotąd nie widział — здавало mu się, że ludzie jej pokroju nazywali go „kuchnią”.

Przyglądał się, jak nalewała wodę do czegoś, co z pewnością było czajnikiem, ale zamiast postawić go na tym dziwnym piecu do podgrzania, Ruby przyczepiła go do ściany przy pomocy wtyczki. Ciekawość zwyciężyła.

— Co to jest? — spytał.

— Czajnik elektryczny. Nie widziałeś elektryczności?

— Mają to w pubie Railway Arms, obok stacji.

— Ja przed wprowadzeniem się do Emily nawet nie wiedziałam, że elektryczność w ogóle istnieje. W klasztorze mieliśmy lampy parafinowe, a jedzenie gotowali w piecu, przy ogniu w kuchennym kominku. To się nazywało podgrzewacz.

— W klasztorze?

Postawiła na stole cukier i mleko, po czym usiadła naprzeciwko niego, zakładając ręce.

— W klasztorze. Tam się wychowałam.

— Pan Humble powiedział, że jesteś siostrzenicą czy jakąś krewną pani Dangerfield.

— Nie, nie — zaśmiała się. Jej szeroki uśmiech sięgał prawie od ucha do ucha. — Jestem sierotą. W klasztorze był sierociniec. Nadal tam

jest. Emily najzwyczajniej potrzebowała przyjaciółki i wybrała mnie — dodała z nutką samozadowolenia w głosie.

— I nie przeszkadza ci to, że jesteś sierotą? — Jacobowi brakowało ojca, mógł jednak poszczycić się matką, nawet jeśli nie była dla niego nikim szczególnym.

Ruby obojętnie wzruszyła ramionami.

— Wydaje mi się, że traciłabym czas, zastanawiając się nad tym. Nic by to nie dało, prawda?

Jacob wpatrywał się w nią mrugającymi oczyma. Sam fakt, że była sierotą i że tak naprawdę ten wspaniały dom nie był miejscem dla niej, w pewnym sensie sprowadzał ją do jego poziomu. Jednocześnie wydała mu się jeszcze bardziej wyjątkowa i nietykalna, bo odnalazła się tu bardzo szybko i bardzo łatwo zaadaptowała się w świecie bogaczy. Nie mówiła jednak tak pretensjonalnym językiem jak pani Dangerfield.

Woda w czajniku zawrzała. Ruby wstała od stołu, wyłączyła go i zaparzyła herbatę.

— Z cukrem?

— Dwie łyżeczki. Dzięki. Jak straciłaś mamę i tatę?

— Nawet nie wiem, czy żyją, czy nie. Siostra Cecilia powiedziała mi, że kiedy przyjechałam do klasztoru, miałam zaledwie jeden dzień. Przywieźli mnie z kartką, na której napisane było, że nazywam się Ruby O'Hagan — nic więcej.

— O'Hagan brzmi z irlandzka. A Ruby to ładne imię. — Jacob zaczerwienił się.

— Jacob to też ładne imię. Chcesz trochę ciasta?

Jacob potrząsnął głową.

— Niedługo będę musiał iść. Umówiłem się w pubie na drinka. — Nie powiedział, że umówił się z przyszłym teściem.

— Aha! — odparła nadaśana Ruby. — Sądziłam, że zostaniesz dłużej. Możesz przyjść znowu w przyszłym tygodniu... Zresztą przychodź, kiedy masz ochotę, ale tylko wtedy, kiedy nie ma Emily. Będziesz wiedział, bo wtedy na podjeździe nie stojęj samochód.

— Dobrze, dzięki.

Zjadłszy ciasto, Jacob wyszedł tylnymi drzwiami. Mijając wejście główne, usłyszał muzykę. Obejrzał się i zobaczył, jak Ruby pochyła się nad gramofonem. Potem nagle odwróciła się i zaczęła tańczyć. Jacob stał i długo, długo przyglądał się jej, nie mogąc oderwać od niej oczu.

Od tamtej pory życie Ruby przestało być nudne. Dwa, trzy, a nawet cztery razy w tygodniu, za każdym razem, kiedy Emily wychodziła, Ruby wsiadała do pociągu, jechała do stacji Exchange i zwiedzała Liverpool — centrum miasta oraz okolice. Odkryła przystań Pier Head, skąd przez Mersey pływają promy do Birkenhead, Seacombe, a co najważniejsze — do New Brighton. Kiedy tylko miała dość pieniędzy, kupowała tam rybę z frytkami, lody, a potem chorowała od jarmarcznych przyjemności.

— Mam nadzieję, że nie dopadło cię żadne choróbko — mówiła Emily z troską w głosie, kiedy Ruby nie chciała jeść podwieczorku.

— Zjem później. — I tak zazwyczaj bywało, bo później czuła się już lepiej. Mimo wilczego apetytu nigdy nie przybierała na wadze. Emily za- uważała tylko, że Ruby rośnie jak na drożdżach.

Jeździła tramwajem do wszystkich możliwych miejsc: Bootle, Walton Vale, Aigburth, Woolton, Penny Lane. Wsiadała po drodze lub na ostatnim przystanku i spacerowała ulicami, z zazdrością patrząc na ludzi mieszkających w tak bliskim sąsiedztwie. Kilka razy przechadzała się wzdłuż Dock Road. Było to chyba najbardziej ruchliwe ze wszystkich miejsc: szalenie hałaśliwe, pełne niespotykanych zapachów. Panował tam gęsty i głośny ruch uliczny, od którego aż huczało. Ponad murami doków wznosiły się kominy ogromnych statków. Na chodnikach było tłoczno od ludzi szwargoczących w językach niepodobnych do angielskiego. Musiała przepychać się przez tłum, a jej serce weseliło się na widok każdej nowej rzeczy.

Jej ulubionym miejscem nadal było Dingle, pewnie dlatego, że właśnie tam pojechała po raz pierwszy. Konduktorzy z tramwaju poznawali ją i witali jak dobrą znajomą.

Pieniądze na przejazd Ruby znajdowała w torebkach Emily, która miała ich całą kolekcję, a w każdej zawsze było kilka monet, co nigdy nie uszło uwadze Ruby. Nie była to kradzież. Dziewczynka wiedziała, że gdyby poprosiła, Emily dawałaby jej pieniądze na słodycze, książki z obrazkami czy kredki, które mogła kupić sobie na pocztce. Jednak chyba za nic w świecie nie dostałaby pieniędzy na podróżowanie po Liverpoolu wzdłuż i wszerz. Wzięcie monet bez pytania zdawało się mniej kłopotliwym rozwiązaniem niż kłamstwo.

Niekiedy Emily wracała wcześniej, przed Ruby. Po powrocie dziewczynka mówiła, że była na spacerze.

— Po ciemku, kochanie?!

— Kiedy wychodziłam, było jeszcze jasno. Nie sądziłam, że pójde aż tak daleko.

Emily nigdy nie zwróciła uwagi na powtarzającą się wymówkę.

Jacob przychodził zazwyczaj wieczorami, kiedy Emily nie było w domu. Od chwili gdy ujrzał Ruby w tańcu, doszedł do wniosku, że wszystko, co do tej pory robił, straciło swój cały, choć i tak znikomy, urok. Prawie co wieczór przesiadywał u Wainwrightów z Audrey, jej ojcem, matką i dwiema młodszymi siostrami. Rozmawiali albo grali w karty, pili herbatę i jedli przesuszone domowe bułeczki pani Wainwright, a następnie wraz z Audrey wychodził do jej dusznego salonu. Tam dochodziło do kilku niewinnych pocałunków. Na tym właśnie polegały jego starania o rękę Audrey.

W Brambles, otoczony satynowymi poduszkami, plisowanymi zasłonami i elektrycznością, wciąż czuł się niezręcznie, podobnie jak w towarzystwie Ruby, która uczyła go tańczyć, częstowała kawą i opowiadała o tym, co słyszała w radiu lub przeczytała w gazecie Emily — o nieznanym mu ludziach z krajów, o których nigdy nie słyszał. Nigdy w życiu nie stworzył gazety. Nie umiał zbyt dobrze czytać ani pisać.

Olśniewała go. Był nią zachwycony. Wiedziała wszystko. Nocą kładł się spać, wyobrażając sobie jej roztańczoną postać, a w uszach brzmiał mu jej głos. Zapomniał, jak wyglądała Audrey. A za część pieniędzy, które odkładał na ślub, kupił sobie garnitur na targu w Ormskirk.

— Można było kupić go w mieście w sobotę po południu, kiedy masz wolne — powiedziała Ruby, podziwiając tani garnitur ciemnoniebieskiego koloru w jasnoniebieskie paski.

Pisnęła ze zdziwienia, kiedy Jacob powiedział, że nigdy nie był w Liverpoolu.

— Nigdy tam nie byłeś? Na Boga, Jacobie! Ja byłam tam mnóstwo razy. *Mnóstwo!*

— Wiem. — Był pełen podziwu na myśl o jej częstych eskapadach pociągami, tramwajem czy promem. Nie cierpiał wyjeżdżać z Kirkby. Będąc nawet w Ormskirk, małym miasteczku, w którym znajdował się targ, Jacob czuł się przytłoczony wśród tylu ludzi. Wąskie uliczki napawały go paniką. Czuł ucisk w klatce piersiowej i pragnął uciec na otwartą przestrzeń, gdzie pod jasnym, bezkresnym niebem mógł spokojnie oddychać. Tylko na roli, wśród zboża i zwierząt, czuł się jak u siebie. Zdarzały się chwile, kiedy żałował, że poznał Ruby, która zasiała w jego sercu tak ogromne spustoszenie, że sam już nie wiedział, czego chce.

Boże Narodzenie było u państwa Rowland-Graves jednym wielkim, niekończącym się przyjęciem. Emily zjadła z Ruby świąteczny obiad — więk-

szość potraw przygotowanych dzień wcześniej przez panią Arkwright — i z przyjemnością myślała o tym, że później odda się innego rodzaju rozrywkom.

Uważała się za osobę obdarzoną podwójnym szczęściem. Szczerze kochała Ruby, która była dla niej doskonałą towarzyszką: lojalną, nieskłoną do narzekań, inteligentną, o pogodnym usposobieniu. Przyjemnie było ujrzeć jej radosną, promieniejącą twarz po każdym powrocie do domu. Poszły razem na pasterkę, co nie byłoby tak cudownym przeżyciem, gdyby nie towarzystwo Ruby. Jednocześnie państwo Rowland-Graves zapewniali jej wszelką rozrywkę i dobrą zabawę, której zawsze jej brakowało. Nareszcie prowadziła piękne i spełnione życie.

— Dasz sobie radę sama? — przygotowując się na wieczór, zadała dziewczynce nieuniknione pytanie.

Ruby siedziała na łóżku i przyglądała się jej usilnym staraniom przy rytuale upiększającym.

— Tak, wszystko będzie w porządku — udzieliła nieuniknionej odpowiedzi.

Gdy tylko Emily wyszła, Ruby zapaliła w sypialni światło, nie zaciągając zasłon. Był to sygnał dla Jacoba, który za polami obserwował jej dom, że może przyjść.

Po piętnastu minutach, niczym ćma leżąca do ognia, przyszedł Jacob.

Ruby spędziła w Brambles dwa lata i wkrótce miała ukończyć szesnasty rok życia.

— Powinnyśmy wydać prawdziwe przyjęcie — powiedziała Emily na tydzień przed urodzinami Ruby. — Tyle że ty nikogo tu nie znasz, prawda?

— Ani żywej duszy — odparła niewinnie Ruby. Znała jedynie Jacoba, paru konduktorów z tramwaju, kobietę imieniem Maggie Mullen, która chodziła z wózkiem i od której Ruby regularnie kupowała jabłko, panią First — właścicielkę sklepu ze słodyczami w Dingle, Ginnie O'Dare — dziewczynkę w swoim wieku, która pracowała na stacji Exchange i którą często spotykała w pociągu. Z widzenia znała jeszcze całe mnóstwo innych ludzi. Nikogo z nich nie mogła jednak zaprosić na przyjęcie.

— Trzeba będzie jakoś wyprawić twoje urodziny — westchnęła Emily.

Gdyby zabrała dziewczynkę do kawiarni, tak jak w zeszłym roku, nie zakłóciłoby to jej bogatego życia towarzyskiego. Być może poczucie winy nakazało jej też kupić Ruby na prezent drogi złoty zegarek.

— A możemy pójść do kina? — To Ginnie O'Dare zawsze tyle mówiła o kinie i Ruby była ciekawa, jak tam jest.

— Wspaniały pomysł! Pójdziemy na seans popołudniowy. W mieście grają film z Gretą Garbo pod tytułem „Grand Hotel”. Bardzo chciałabym go obejrzeć.

Emily nie wiedziała, że Ruby była potem jeszcze kilka razy na filmie „Grand Hotel”. Przed lustrem ćwiczyła na głos *I want to be alone*\* w stylu Greta Garbo. Żeby pójść do kina, zrezygnowała z przejazdów tramwajem. Na popołudniowych seansach przesiadywała w obskurnych fotelikach na wpół opustoszałych sal kinowych. Tam w przeciągu tygodni poznała naturę ludzką lepiej niż w całym swoim dotychczasowym życiu. Dowiedziała się, czym jest zdrada, zazdrość i niewierność. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak łatwo można sprowokować człowieka do popełnienia zbrodni. Poznała miłość czystą i dobrą, lecz niekiedy okrutną, bo w jej imię ludzie robili różne przerażające rzeczy. Ruby wiedziała, że w scenach gwiazdy filmowe odgrywają jedynie role, które dla nich napisano. Jednak sceny te z pewnością odzwierciedlają rzeczywistość i sytuacje życiowe, o których istnieniu nie miała pojęcia.

Wkrótce miała wrażenie, że Bette Davies, Joan Crawford czy Claudette Colbert były jej przyjaciółkami. Zakochała się w Vanie Heflinie, a Herberta Marshalla upodobała sobie jako ojca.

Właśnie wtedy, kilka miesięcy po urodzinach Ruby, Emily Dangerfield również się zakochała.

Bill Pickering miał czterdzieści trzy lata. Sympatyczny, zrelaksowany, był pierwszym Amerykaninem, jakiego spotkała, co dodawało mu jeszcze więcej uroku. Był wysoki, szczupły i mocno opalony. Miał bujne, lekko kręcone włosy koloru blond i sumiaste wąsy. Przez ostatnie dziesięć lat mieszkał w Monte Carlo, gdzie był właścicielem sieci hoteli. Miał na sobie drogie, dobrze skrojone, niezwykle eleganckie ubrania, które nosił z dużym wdziękiem. Przyjechał w odwiedziny do starych przyjaciół, państwa Rowland-Graves, na całe lato. Delikatnie mówiąc, w Monte Carlo

\* *I want to be alone* — z ang. „Chcę być sama”, wypowiedziane ze szwedzkim akcentem przez Gretę Garbo.



znudził się już trochę luksusami i przepychem, zostawił więc hotele pod opieką doświadczonego personelu.

Gdy zaczął z nią flirtować, Emily wpadła w zachwyt. Schlebiało jej, że szesnście lat młodszy mężczyzna uznają ją za atrakcyjną. I to nie tylko w jej wyobraźni: Mim Rowland-Graves zazdrośnie zauważyła, że Emily wyraźnie oczarowała Billa. Kiedy zaproponował jej spotkanie, Emily była w nim już zakochana.

— Nadszedł, jak sądzę, najwyższy czas, żebyśmy się dobrze poznali — powiedziała, cedząc słowa po amerykańsku.

Zaprosiła go do Brambles na drinka. Poczęstowała go wyśmienitymi miniaturowymi pasztecikami wieprzowymi, które upiekła pani Arkwright.

— Nie wiedziałem, że masz córkę! — wykrzyknął ze zdziwieniem, kiedy przedstawiła mu Ruby.

— Ruby to moja podopieczna — wyjaśniła Emily, zadowolona, iż uznała ją za zbyt młodą jak na matkę szesnastolatki. Należy dodać, że niejako określiła swój wiek na czterdzieści dziewięć lat.

— Miło mi — powiedziała grzecznie Ruby. Od razu polubiła Billa Pickeringa. Miał wspaniały uśmiech, od którego wokół jasnobrązowych oczu marszczyła mu się skóra.

— Mnie również, Ruby. Niech mnie szlag, Em; jak ta mała dorośnie, złamie serce wielu facetów — powiedział. Komplement ucieszył Ruby, Emily zaś spodobało się to, że użył zdrobniałej formy jej imienia, i poczuła, że było między nimi coś więcej niż tylko przyjaźń.

Oprowadziła go po domu, który zrobił na nim duże wrażenie.

— Pięknie tu, Em — mówił z przejęciem. — Bardzo podoba mi się ogród. To najładniejszy dom, jaki widziałem w waszej okolicy. Naprawdę. Moja mamusia w Stanach powiedziałaaby, że jest niezwykle gustownie urządzone.

— Dziękuję — odparła Emily, oblewając się rumieńcem. — Sama wszystko wybierałam.

Od tamtej pory Bill Pickering był w Brambles częstym gościem. Grał z Ruby w tenisa i czasem pozwalał jej wygrywać. Emily zaś siedziała na werandzie, obserwowała ich z rozmarzeniem, usiłując poczuć się młodszą.

— Oni szaleją za sobą — powiedziała Ruby Jacobowi pewnego wieczoru. — Ciągłe się całują. Czasem idą do sypialni Emily i wydają z siebie bardzo dziwaczne dźwięki. — Obdarzyła go nieśmiałym spojrzeniem. — Czy ty kiedykolwiek miałeś ochotę mnie pocałować?

- Tak — odpowiedział Jacob śmiałym tonem.
- Może spróbujemy? Żeby przekonać się, jak to jest?

Zanim jeszcze zdążył odpowiedzieć, usiadła mu na kolanach i przycisnęła swoje wargi do jego ust. Przez kilka sekund nie reagował, choć od lekkiego dotyku jej warg ścisnęło go w dołku. Przyciągnął ją ku sobie i przywarli do siebie, wciśnięci w aksamitny fotel. Ciasno oplótł ją ramionami. Jego palce wyczuwały kruchość jej żeber i kościste, wystrzone łopatki. Po chwili całował ją namiętnie, głaszcząc kciukiem jej miękkie piersi. Ku jego zdziwieniu i zadowoleniu oddawała pieścizoty. Obejmowała go za szyję, masowała kark, dotykała uszu.

Całowali się bez przerwy, bez końca. Wydawało im się, że ich pocałunek trwał przez kilka godzin. Wreszcie, nie mogąc się powstrzymać, Jacob wsunął jej dłoń pod spódnicę. Ruby jęknęła i rozchyliła nogi, a on zsunął ją delikatnie na podłogę, po czym położył się na niej. Spojrzał w jej oczy — ciemne, ogromne, patrzyły z lekkim przerażeniem. Osłaniała je falbana długich, gęstych, czarnych rzęs.

Chciał ją spytać, czy mu na to pozwoli. Nie zniósłby jednak, gdyby odpowiedziała, że nie. Przez zmacony umysł dał się słyszeć słaby głos sumienia. Zastanawiał się, na ile zorientowana była w tych sprawach. Co powiedziano jej w klasztorze? Czy pani Dangerfield poinformowała ją o pewnych ludzkich instynktach?

- Nie przestawaj — powiedziała wtedy Ruby.

Jacob za nic w świecie nie mógłby przestać. Zachował jednak dość rozsądku, by wycofać się we właściwym momencie. Nie mógł dopuścić do tego, żeby zaszała w ciążę.

Po tym przeżyciu Ruby stała się spokojna i wyciszona. Wyglądała na zakłopotaną, jak gdyby nie wiedziała, co się stało. Poszli do kuchni i tym razem Jacob zaparzył herbatę. Ruby siedziała na krześle, machając nogami i kopiąc w nie, jak małe, rozkojarzone dziecko.

- Czy to znaczy, że się pobierzemy? — spytała po chwili.
- Serce Jacoba zabiło mocniej.
- Jeśli chcesz — odparł.
- Chyba chcę. Kiedy?
- Jak dorośniesz — uciął.
- A gdzie będziemy mieszkać?
- Nie wiem.

Było mu wszystko jedno. Mógł mieszkać w wagonie tramwajowym, o których w kółko opowiadała — byle z nią. Wszędzie by pojechał i zrobiłby wszystko, żeby tylko mogli być razem.

Sączyła herbatę, obserwując go znad filiżanki swymi czarnymi, olśniewającymi oczyma.

— Chodźmy na górę i zrobmy to jeszcze raz — szepnęła w końcu.

Mam nadzieję, że nie przyplątało ci się żadne choróbsko — powiedziała Emily kilka dni później, zauważywszy, że przez ostatnie kilka dni Ruby zachowuje się spokojnie.

— Dziękuję za troskę. Czuję się dobrze.

— Na pewno? — Nawet jej sposób udzielania odpowiedzi brzmiał jakoś nieswojo. Być może martwiła się tym, co będzie, jak Emily i Bill wezmą ślub. Na razie Bill tylko robił aluzje, ale Emily spodziewała się oświadczeń w bliskiej przyszłości.

„Coś mi się zdaje, że ten zatwardziały kawaler wkrótce zmięknie” — powiedziała kilka dni temu Ronnie Rowland-Graves, puszczając oczko. A Ruby była bystra; niewątpliwie wyczuła już, co się święci.

Bill myślał o tym, żeby sprzedać hotele i sprowadzić się do Anglii na stałe. Emily snuła już plany. Na początek zamieszkaliby w Brambles — w domu, który wywołał w nim tak ogromny podziw, a potem poszukaliby czegoś w Londynie. Idealnym miejscem byłoby mieszkanie w Mayfair czy w Belgravii albo może jakaś klitka w Paryżu czy nawet w Nowym Jorku — mogliby podróżować z miejsca na miejsce jednym z tych ogromnych statków pasażerskich. To byłyby jedne wielkie wakacje. Tak czy inaczej — kiedy zostanie panią Pickering, w jej życiu nie będzie już miejsca dla Ruby.

Nie mogła jednak tak po prostu zostawić dziewczynki. Zastanawiała się, czy Adrian nie wzięłyby jej do Australii, gdzie zostałyby do osiemnastego roku życia. A może przekonać państwa Rowland-Graves? Jednakże atmosfera panująca w ich domu nie sprzyjałaby zdrowemu rozwojowi tak młodej osoby.

Zapomniała szybko o Ruby i myślami skoncentrowała się na Billu, co przyszło jej bez trudu. Po raz pierwszy w życiu była naprawdę zakochana. Patrząc w lustro, ujrzała tę śliczną kobietę, którą niegdyś była. W jej oczach widniał bezmiar szczęścia płynący prosto z serca. W nadchodzący weekend Bill zabierał ją do Lake District. Nie mogła się doczekać. Zaczęła planować, co na siebie włoży. Gdy wybierała koszulę nocną, przeszło jej przez myśl, że przecież Bill zobaczy ją z samego rana. Będzie wyglądała okropnie. Będzie musiała obudzić się pierwsza. Wtedy starczy jej czasu na wszelkie usilne zabiegi, by prezentować się należycie w obecności Billa.

Wyjeżdżali z Kirkby w sobotę po podwieczorku, w piękny, słoneczny sierpniowy dzień. Powietrze było ciepłe, choć nie parne. Kiedy jednak przejechali zaledwie dwadzieścia parę kilometrów, niebo zachmurzyło się i zapanowała złowroga ciemność. Wielkie krople deszczu uderzające w przednią szybę samochodu w okamgnieniu zmieniły się w ulewę. Jechali jaguarem Emily, bo Bill nie umiał prowadzić wozu: „W Monte Carlo po prostu nie ma takiej potrzeby. Z hotelu do hotelu chodzę pieszo. Czasem biorę taksówkę”.

Emily nie cierpiała jazdy w deszczu. Zwolniła i pochyliła się nad kierownicą, trzymając ją kurczowo oburącz. Oczy bolały ją od deszczu. Nie widziała prawie nic. Źle działające wycieraczki przyprawiły ją o zawrót głowy. Światła wozu okazały się bezużyteczne — potężny deszcz stłumił ich blask. Siedzący obok Bill próbował dodać jej otuchy, jednak po chwili Emily zatrzymała się na drodze, oświadczając, że nie może jechać dalej. Pokonali prawie jedną czwartą drogi, a w takim tempie dotarliby na miejsce dopiero po północy.

— Ależ, kochanie, zarezerwowaliśmy już hotel — jęknął Bill.

— Przykro mi, ale będziemy musieli zaczekać, aż przestanie padać. Nie umiem prowadzić w takich warunkach.

Po upływie godziny wciąż nie zanosilo się na poprawę pogody.

— Gdzie jesteśmy? — spytał Bill.

— Nie mam pojęcia. Zdaje mi się, że gdzieś na odludziu. Kochanie, zastanawiam się, czy miałbyś coś przeciwko temu, żebyśmy pojechali do domu? Wypogodzi się pewnie dopiero nad ranem. Możemy wyruszyć bardzo wcześnie. A jeśli zawrócimy, przynajmniej będę już znała drogę.

— Ależ oczywiście, że nie mam nic przeciwko. — Pocałował ją w policzek. — Liczy się dla mnie tylko to, że jestem z tobą.

W drodze powrotnej do domu jazda była ryzykowna, lecz wkrótce Emily rozpoznała okolicę i poczuła się pewniej.

— No, no — śmiał się Bill, kiedy jaguar zatrzymał się na mokrym podjeździe do Brambles. — Niezła przygoda. Któżby się spodziewał?

— Która godzina?

— Nie ma jeszcze dziesiątej.

— A w domu jest ciemno... Ruby chodzi czasem wcześniej spać, ale zawsze zostawia zapalone światło. Mam nadzieję, że z nią wszystko w porządku.

— Zaraz się okaże, kochanie.

Na wołanie Emily Ruby od razu zjawiła się przy schodach na piętrze. Najwyraźniej miała zamiar rozebrać się do snu, bo wszystkie guziki jej su-

kienki były odpięte. Na jej twarzy malował się dziwny wyraz. Wyglądała na speszoną. Zobaczywszy Billa, zaciągnęła poły sukni — być może właśnie to było powodem jej zmieszania.

- Nie zostawiłaś włączonego światła, moja droga.
- Nie wiedziałam, że wrócisz wcześniej niż w niedzielę.
- Zapomniałaś, prawda, kochanie?

Kiedy do rozmowy wtrącił się Bill, Emily wstrząsnęło jakieś niewyraźne uczucie. Zdziwiła się, gdy podszedł ku schodom i zawołał:

- Może zejdziesz tu na dół, Ruby, i wypijesz z nami drinka?
- Ona ma dopiero szesnaście lat — powiedziała Emily oschłym tonem. Sądziła, że nadszedł najlepszy moment na oświadczeniu: przy drinku, przy siekających szyby strumieniach deszczu, przy zgaszonym dużym świetle i zapalonych lampkach, przy romantycznej muzyce płynącej z płyty gramofonowej... Zapaliłaby też ogień w kominku, gdyby tylko wiedziała, jak się to robi.

- Kropelka sherry nie zaszkodzi — rzucił Bill z uśmiechem.
- Nie mam ochoty, ale dziękuję — odpowiedziała Ruby, potrząsając głową.

Bill wciąż stał przy schodach. Poirytowana Emily skierowała wzrok ku górze i — dech jej zapało! Nawet nie zauważyła, jak Ruby wyrosła. Jej postawa, szeroko rozstawione białe stopy, sposób, w jaki trzymała kurczowo poły sukni, odznaczający się przez napięty materiał kształt jej piersi, które — jak się mogło zdawać — dopiero co urosły... Wyglądała na kobietę — kobietę świadomą swej seksualności, kiedy wyniośle patrzyła na oczarowaną nią Billa.

Emily przerwała sielankę:

- Może coś zjesz, kochanie?

Pani Arkwright przygotowała rano dużą pieczeń wołową, która wystarczy na kilka dni. Pokroi ją w plasterki i ułoży na talerzu z pomidorem i kiszonym ogórkiem. Do tego poda chleb i masło. Otworzy też wino.

— Bardzo chętnie. — Bill niemalże podskoczył, jak gdyby zapomniał o jej istnieniu.

- Nastaw jakąś muzykę, dobrze? Zaraz wracam.

Na górze zatrzasnęły się drzwi. Ruby poszła do swego pokoju. Emily z ponurym wyrazem twarzy udała się do kuchni. Trzeba, żeby Ruby odeszła na zawsze, i to niedługo. Bez względu na to, jak bardzo kochała tę dziewczynę, nie było innego wyjścia. Gdyby została, byłoby to zbyt ryzykowne.

Zarzuciła koronkowy obrus na mały okolicznościowy stół, który ustawiła zaraz przy kominku i zapaliła na nim świecę. Jej roztańczony, ciemnożółty płomień odbijał się w karminowym winie i zdawało się, że butelka płonie. W tle słychać było „Błękitną rapsodię” w wykonaniu Paula Whitmana i jego Orkiestry.

— Jest tak uroczo. — Bill zapomniał już chyba o Ruby i z chłopięcym zadowoleniem spożywał potem przekąskę. — Będiesz kiedyś dla kogoś wspaniałą żoną, Emily — powiedział, mrugając do niej.

Emily zatrzepotała rękami. Z tweedowego kostiumu przebrała się w chińską piżamę o pięknym, kremowym odcieniu. Czuła się nieco ośmielona. Była nawet lekko poirytowana tym, że Bill użył stwierdzenia „dla kogoś”. Był tylko jeden „ktoś” i to właśnie jego żoną chciała być. Myślała, że on odwzajemnia to uczucie.

Najwyraźniej tak było. Wyciągnął dłoń i wzięła ją za rękę.

— Kochanie, chciałbym, żebyś tym „kimś” była.

— Ach, mój drogi! — Była bliska też, ale przypomniała sobie, że miała na rękach tusz. — Ja też tego pragnę.

Pocałowała ją w rękę.

— Wypijmy za nas. — Uniósł kieliszek.

— Za nas! — Po raz pierwszy czuła, że oszalała ze szczęścia.

— Jak tylko zjemy tę wysmienitą kolację, będę cię całował, jak nikt inny przedtem.

Emily nie mogła już nic jeść. Zapaliła papierosa i nalała sobie resztkę wina.

— Czy mam przynieść następną butelkę? — W piwnicy stało jeszcze kilka skrzyń, pozostałych po dawnej, okazałej winiarni Edwina.

— Czemu nie? — Zamachał widelcem. — Uczcijmy to. W końcu decyzji o małżeństwie nie podejmuje się na co dzień.

Druga butelka została szybko opróżniona, a Emily poczuła dziwną rozkosz upojenia. Siedzieli już na kozetce. Zgodnie z obietnicą, Bill całował ją zawzięcie. Serce w jej piersi waliło jak szalone, gdy niemalże z dziką namiętnością oddawała mu pocałunki. Wiedziała, że taka noc się nie powtórzy.

Bill otworzył kolejne wino i zaczęli planować ślub.

— Wydaje mi się, kotku, że powinniśmy pobrać się jak najszybciej. Po co czekać, skoro się kochamy? — Cedził słowa, podobnie jak Emily.

Była co do tego bardzo zgodna.

— Nie chciałabym jakiejś wielkiej ceremonii. Wystarczy ślub cywilny.

— Też tak uważam. — Pogłaskał jej pierś. Emily zadrżała z rozkoszy. — Dokąd wybierzemy się na miesiąc miodowy? Może do Rzymu? To moje ulubione miasto. Wiesz, jak bardzo je uwielbiam. Mówiłem ci tyle razy.

Westchnęła z zadowoleniem. — Doskonały pomysł. A gdzie potem zamieszkamy? Proszę cię, powiedz, że w Londynie. Wiesz, jak bardzo kocham to miasto. Mówiłam ci tyle razy.

— W takim razie zamieszkamy w Londynie, moja najdroższa Emilciu. — Wyciągnął ręce i rozejrzał się po pokoju. — Chociaż tu, w tym domu, bardzo mi się podoba. Szkoda byłoby go sprzedać, ale skoro tobie tak pilno do Londynu, nie mamy wyboru. Z moimi hotelami nie pójdzie tak szybko. Zajmie mi to rok, a może i dłużej.

Emily roześmiała się. — W takim razie do tego czasu jesteśmy skazani na Brambles. Nie mogę sprzedać domu. Nie należy do mnie.

Bill sięgnął po kieliszek. Jego twarz przybrała dziwny wyraz. Usiłując odgadnąć, co się za tym kryje, Emily uznała, iż była to twarz bez wyrazu: kamienna, nie zdradzająca żadnych uczuć.

— Słucham? — spytał uprzejmym tonem.

— Edwin zostawił tę posiadłość chłopcom. — Zmarszczyła nos. — Mogę... możemy tu mieszkać tak długo, jak nam się podoba, ale niestety, nic poza tym. Gdyby nie to, że Edwin sporządził testament o tak niedorzecznej treści, sprzedałabym ten dom zaraz po jego śmierci.

— A ja myślałem, że... — przerwał i zbladł.

— Myślałeś, że co, kochanie?

— Nic. Przepraszam cię na chwilę.

Chwiejnym krokiem wyszedł z pokoju. Usłyszała, jak potyka się, idąc do łazienki. Po wypiciu sporej ilości wina sama odczuła silną potrzebę, żeby tam pójść. Zsunęła buty, uniosła stopy, położyła je na kozetce i rękoma objęła kolana, przybierając na jego powrót dziewczęcą, pruderyjną pozę. Miała skotłowane myśli. Wkrótce zdała sobie sprawę z tego, że oto nadchodzi chwila brutalnej prawdy, która lada moment zmaci jej upojny błogostan.

Zastanawiała się, dlaczego tak nagle zmieniła mu się twarz i dlaczego zaraz potem zbladł. Co miał na myśli i dlaczego nie chciał tego powiedzieć? Tu nie było się nad czym zastanawiać.

Odpowiedź przyszła sama — nieoczekiwanie, jak uderzenie obuchem w głowę. *On sądził, że Brambles należy do niej.* To dlatego chciał się z nią ożenić. Chodziło mu o pieniądze, które otrzymałaby ze sprzedaży domu.

A więc sporządzając testament, Edwin miał rację.

Bill zszedł ze schodów i skierował swe kroki do pokoju. Spojrzeli na siebie. W oczach Emily widać było śmiertelne przerażenie. Miała wrażenie, że jej kości próchnieją i że lada chwila jej ciało zmieni się w zmięty, bezszkieletowy worek. Wszystko, co jej mówił, było kłamstwem, a ona mu wierzyła. Stara i głupia, myślała o sobie z goryczą.

— Bill, to ile masz tych hoteli w Monte Carlo?

Wzruszył ramionami. Z jej spojrzenia i tonu głosu wynikało, że znała już całą prawdę. Krew w niej zawrzała, gdy jego atrakcyjna twarz wykrzywiła się w uśmiechu.

— Ani jednego, ale pracowałem w kilku.

— I kim tam byłeś? Kelnerem? Pomocą kuchenną do zlewania po-  
myj dla świń? A może alfonsem bogatych gości? Stręczycielem — tak to się chyba nazywa? Stręczyłeś stare fladry i młodych chłopaków za porządny napiwek? To przecież w twoim stylu.

Zalał się brzydkim rumieńcem i w okamgnieniu stracił cały swój urok. Zrobił krok w jej kierunku. Przeraziła się swych zjadliwych słów, ale powiedziała to, co dyktowało jej serce — serce, które przed chwilą złamał.

— Jedyną starą fladrą, jaką znam, jesteś ty, Emily — uśmiechną się szyderczo. Nie mogła pojąć, że przedtem wydał jej się taki czarujący i że w ogóle mogła się w nim zakochać. Oto odkrył swe prawdziwe oblicze, jak gdyby zdjął maskę. — Bez trudu dałaś się uwieść. Nie tylko ja tu kłamię. Czterdzieści dziewięć lat! Przecież ty dobiegasz sześćdziesiątki.

— Ty draniu! — Wzięła ze stołu kieliszek i cisnęła nim w Billa. Trafiła go lekko w ramię. Kilka kropel wina zaplamiło rękaw jego szarej, tweedowej marynarki. Wyglądało to jak krew.

— Nie umiesz przegrywać, Emily.

Wtedy zdała sobie sprawę z tego, że przestał mówić z amerykańskim akcentem. W jego mowie dało się słyszeć jęklive brzmienie dialektu cockney\*. Więc nie był Amerykaninem! Dała się nabrać!

Całe uczucie, które jak słodycz płynęło w jej żyłach, przeistoczyło się w złość. Rzuciła się na niego, przewracając mały, okrągły stolik, na którym wciąż stały resztki jedzenia. Zaskoczony, zachwiał się, prawie tracąc równowagę. Zamrugał oczyma, uniósł rękę i z całej siły uderzył ją w twarz.

Emily wrzasnęła. Wtedy do pokoju wpadła Ruby ubrana w przykrótki szlafrok.

\* Dialekt londyński, charakterystyczny dla klasy robotniczej zamieszkującej East End.



— Co ty sobie wyobrażasz? — Wskoczyła mu na plecy i rękoma uczepliła się jego szyi, przytłaczając go jak garb.

Bill pochwycił ją za ramiona i z łatwością uwolnił się od jej uścisku. Przyparł jej kruche, dzielnie broniące się ciało do ściany.

— Ty świnió! — krzyknęła Ruby, usiłując pogryźć mu ręce i kopiąc go bosymi stopami, co tylko rozbawiło Billa.

Odrzucił roześmianą twarz w stronę Emily.

— Moja najdroższa Emily, chcesz wiedzieć, dlaczego całując cię, nie zwymiotowałem? Bo myślałem o Ruby. Wyobrażałem sobie, że to ją całuję. W ten sposób! — Pochylił głowę i pocałował szamoczącą się Ruby w same usta. Emily patrzyła z przerażeniem, jak łapie ją za pasek szlafrocka i rozwiązuje go.

Nagle ktoś odciągnął go na bok. Emily niemalże zemdłała, kiedy zobaczyła... Jacoba Veeringa! Podobnie jak Ruby, był na boso. Nie miał na sobie koszuli. Targał nim przerażający, dziki gniew. Do Emily dotarło, że ci dwoje przez cały czas byli razem na górze. Próbowwała zebrać myśli. Wtedy Jacob pochwycił Billa, potrząsnął nim jak szmacianą lalką i obrócił go twarzą do siebie. Zaciśnął pięść i wymierzył mu cios tak silny, że powaliłby na ziemię konia. Bill zatoczył się po pokoju i z hukiem uderzył o ścianę. Odbiwszy się od niej jak piłka, upadł na podłogę twarzą w dół i znieruchomiał.

Zapanowała kilkuminutowa cisza.

— Nieomalże go zabiłeś! — wykrztusiła po chwili Emily stłumionym głosem.

Ruby przebiegła przez pokój i, przyklękawszy przy leżącym mężczyźnie, złapała go za nadgarstki, usiłując wyczuć puls. Następnie odwróciła go i przyłożyła mu ucho do piersi. Wyprostowała plecy, patrząc wielkimi oczyma, w których widniało przerażenie. Potrząsnęła głową.

— O mój Boże! — wrzasnęła Emily.

Jednak to nie ona — dorosła kobieta — była tą, która opanowała sytuację.

— Jacobie, musisz uciekać — powiedziała Ruby zdecydowanym głosem, potrząsając go za ramię. Wpatrywał się w nią osłupiały, jak gdyby wyrwała go z głębokiego snu.

— Jacobie! Bill nie żyje. Zabiłeś go.

— Nie powinien był cię dotykać. — Oczy Jacoba zapłonęły jeszcze na chwilę, po czym jego szerokie ramiona opadły. Cały gniew wyparował z niego.

— Powieszą cię — powiedziała Ruby, potrząsając nim ponownie. — Musisz uciekać.

Jacob westchnął. Stał teraz bezradnie ze zwieszonymi rękoma. Wyglądał na zagubionego.

— Nie wiem, dokąd pójść, Ruby.

Ruby zarzuciła mu ręce na szyję.

— Ucieknę razem z tobą. Wiem już, dokąd pójdziemy. Ale musimy uciekać już teraz. Emily za chwilę wezwie policję. No chodźże, Jacobie. — Pociągnęła go w kierunku drzwi. — Chodźmy się ubrać.

Wyszli, nie oglądając się za siebie. Emily słyszała, jak wchodzą po schodach na górę i rozmawiają w sypialni. Nie zważając na nic, Ruby pognąła go zniecierpliwionym głosem. Jacob reagował powolnie i ospale. Zeszli w końcu na dół. Ruby miała na sobie tę okropną sukienkę w kropki, którą kupiła u Blacklerów. Była na nią za ciasna i głupio wyglądała w zestawieniu z czerwonymi, dziecięcymi butami. Torebkę i sweter przewiesiła przez ramię. Jacob ubrany był w tani garnitur. Emily nigdy przedtem nie widziała go w takim stroju. Z obojga emanowała odwaga i wrażliwość. Byli zbyt młodzi na to, by rzucać się na fale kapryśnego losu.

— Dasz sobie radę, Emily, prawda? — spytała Ruby z niepokojem w głosie.

Emily pokiwała tylko głową.

— Czy pozwolisz nam uciec, zanim wezwiesz policję?

Ponownie pokiwała głową. Chciała coś powiedzieć, dać pieniądze, poradzić Ruby, żeby zabrała płaszcz na wypadek, gdyby padało, ale jej zaciśnięte wargi odmawiały posłuszeństwa.

— Idziemy, Emily. Uważaj na siebie.

Nie była w stanie nic zrobić. Kiwała tylko głową.

— Kto wie, może kiedyś znów się zobaczymy.

Skinęła głową po raz kolejny.

Jacob mruknął coś pod nosem. Zaraz potem drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły. Pustka ogarnęła Brambles. Wraz z nią zapanowała przytłaczająca cisza, tak wszechobecna, że Emily zdawało się, iż przybrała namacalną formę i gdyby wyciągnęła swe trzęsące się ręce, mogłaby jej dotknąć. Wtuliła twarz w pokryte aksamitem oparcie kozetki i myślała o tym, co będzie dalej. Nie miała przyjaciół. Czuła przez skórę, że za tym, co zamierzał zrobić Bill, kryli się też państwo Rowland-Graves. Podsycali w niej nadzieję co do jego uczuć względem niej — kobiety, która przecież mogłaby być jego matką. Zaklinała się, że już nigdy nie chce ich widzieć.

Pomyślała o Ruby, która razem z Jacobem biegła teraz po ciemku przez pola. Zastanawiała się, czy dziewczyna odwzajemnia jego silne uczucie. Była od niego lepsza pod każdym względem. Jacob miał siłę fizyczną, jednak to Ruby będzie mu pomagała przetrwać wszelkie trudne sytuacje życiowe, w których oboje się znajdują.

Po długim czasie Emily wstała ociężale i odwróciła głowę od leżącego na podłodze ciała. Było już późno — musiała się umyć i doprowadzić do porządku. Umalowała swą pomarszczoną twarz, przebrała się w elegancką suknię i zeszła na dół, by skontaktować się z policją. Jak wyjaśni im całe zajście, w wyniku którego jej kochanek został powalony śmiertelnym ciosem wymierzonym silną pięścią? Nie powie prawdy. To było zbyt wstydliwe i mogłoby stanowić pożywkę dla prasy. Zrobiłaby z siebie pośmiewisko.

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Żałowała, że wpadła na to tak późno. Zaciśnęła zęby, złapała Billa za stopy i zawlokła jeszcze ciepłe ciało blisko schodów. Powie, że się upił i spadł z piętra. Może skończyć się to niewielkim skandalem, ale tak będzie lepiej. Nie zniosłaby konieczności powiedzenia prawdy. Położyła mu poduszkę pod głowę. Będzie wyglądało na to, że próbowała mu pomóc. Na dywanie, na którym leżał, nie znalazła śladów krwi. Był czysty. Śmierć spowodowana została uszkodzeniem wewnętrznym.

Podniosła słuchawkę, wykręciła numer centrali, poprosiła z posterekiem policji i oczekiwała na połączenie. Wtedy usłyszała głośny jęk, na dźwięk którego przeszył ją dreszcz. Kątem oka ujrzała, jak coś poruszyło się przy schodach. Bała się odwrócić głowę. Tego wieczoru miała już za dużo wrażeń. Zobaczyła Billa. Usiłował podnieść się i usiąść, wyjąc przy tym z bólu i trzymając się za tył głowy. Spojrzał na nią strachliwie.

— Gdzie jest ten cholerny wariat, który mnie uderzył?

— Poszedł sobie. — Emily odłożyła słuchawkę. Ogarnęła ją wyczerpujące uczucie ulgi. Żałowała, że sama nie sprawdziła pulsu. — Chcę, żebyś ty także sobie poszedł. Kiedy wrócę, ma cię tu nie być, dobrze? Inaczej wezwę policję i oni pomogą ci stąd wyjść.

Z trudem usiłował wstać, trzymając się poręczy. Nawet nie czuła się w obowiązku, żeby mu pomóc.

— Gdzie idziesz? — spytał starczym głosem.

— Nie twoja sprawa.

Poszła odszukać Ruby, żeby przyprowadzić ją z powrotem. Ani ona, ani Jacob nie musieli już uciekać. To ją czekały ponure dni. W swej samotności będzie potrzebowała Ruby bardziej niż kiedykolwiek.

Na dworze przestało padać. Na ciemnym, gęstym, bezchmurnym niebie prawie w całej okazałości świecił piękny księżyc, w blasku którego zroszone deszczem drogi przypominały długie, błyszczące wstążki. Oporny jaguara z cichym piskiem ciągnęły po wilgotnej nawierzchni, a Emily krążyła po całej okolicy w tę i z powrotem, aż do zawrotu głowy. Zdawała sobie sprawę, że przejeżdżała obok miejsc, w których już była.

Mimo tojechała naprzód. Tracąc powoli nadzieję, szukała Ruby. Wreszcie księżyc zniknął, a na horyzoncie zatliło się żółtawe światełko, zwiastując koniec nocy i zbliżający się świt. Wstawał nowy dzień.

# JACOB

## Rozdział 4

1935-1938

Zostawszy gońcem lombardowym zwracała uwagę wszystkich. Jak na kobietę była wysoka, miała smukłą jak łania sylwetkę. Z dumnie uniesioną głową chodziła ulicami Dingle w sukni, na której widniał kropkowany wzór. Na nogach miała czerwone, przechodzone buty. Jej śpiące dziecko zawinięte było w czarną chustę. Burza kruczoczarnych, gęstych, falistych włosów unosiła się za nią niczym chmura, co nasuwało wielu jej adoratorom skojarzenie z okrętem pod pełnymi żaglami. Dziecko było dziewczynką o imieniu Greta — nikogo nie dziwił fakt, iż znana powszechnie pracownica lombardu wybrała takie właśnie imię, zamiast jakiegoś konwencjonalnego, jak Mary czy Anne.

Podobno miała tylko siedemnaście lat, choć wyglądała na starszą. Pociągła twarz, cienki nos i szerokie wargi zdawały się wyostrzone, kiedy twarz dziewczyny przybierała poważny wyraz, co było rzadkością. Uśmiechała się bowiem niemalże przez cały czas. Rzadko kto zauważał też, że jej ciemne oczy wypełniał czasami smutek, gdy patrzyła na dziecko, które nie rozwijało się tak, jak powinno. Mieszkała w Foster Court — obskurnej dzielnicy slumsów, gdzie w jednym budynku gnieździło się po dwadzieścia lub trzydzieści osób. Każda rodzina zamieszkiwała jedno pomieszczenie. Oczywiście, była mężatką, a nie jakąś tam *wywłoką*. Krążyły tylko plotki, że ten jej mąż przepijał całą wypłatę. Pracownica lombardu pracowała na niego, na dziecko i na siebie.

Ludzie, którzy z nią rozmawiali, uważali ją za inteligentną. Używała wyszukanych słów, ale znała się na żartach i nie mówiła pretensjonalnym językiem. Miała akcent zbliżony raczej do irlandzkiego niż szkockiego i najwidoczniej niosła ze sobą bagaż różnych doświadczeń. Na imię jej było Ruby — Ruby O'Hagan.

Kiedy Ruby i Jacob opuścili Brambles, udali się wprost na stację Kirkby.

— Za późno na to, żeby złapać pociąg — orzekła Ruby. — Bezpieczniej będzie w poczekalni, gdzie nikt nas nie zobaczy.

Poszli szybkim krokiem. Deszcz ustał, księżyc zaszedł, wybiła północ. W powietrzu panował przejmujący chłód. Ruby żałowała, że nie zabrała ze sobą płaszcza.

Jacob siedł za nią niczym posłuszne zwierzę. Odkąd wyszli z domu, nie powiedział ani słowa. Ruby przemawiała do niego łagodnie. Zabił Billa Pickeringa, stając w jej obronie. Kto wie, co zrobiłby jej Bill, gdyby nie było tam Jacoba? Miała wątpliwości co do tego, czy Emily byłaby w stanie jej pomóc.

Przez kilka godzin, które spędzili w poczekalni, Ruby trzymała go za rękę, szepcząc słowa otuchy.

— Wszystko będzie dobrze — mówiła mu. — Zasyjemy się gdzieś, gdzie nikt nas nie zna. W Dingle. Byłam tam wiele razy. Znajdziemy sobie jakieś mieszkanie, poszukamy pracy. Zawsze chciałam pracować w sklepie. — Im dłużej o tym myślała, tym bardziej usiłowała przekonać samą siebie, że wyruszyli ku przygodzie, która i tak przydarzyłaby im się prędzej czy później.

Krótko po szóstej na peron wjechał pociąg, głośno puszczając dym z komina. Na bladym niebie wzeszedł już wodnistożółty okrąg słońca. Jacob widział pociągi jedynie z daleka. Ich hałas przerażał go. Rękoma zatkął uszy, żeby nic nie słyszeć. W taki sam prosty sposób zapragnął jednocześnie odciąć się od reszty świata.

Kiedy dotarli do stacji Exchange, Ruby przypomniała sobie, że nie kupiła biletów. Przechodząc przez rogatkę zapłaciła za przejazd i z niepokojem zajrzała do torebki.

— Zostało mi tylko dziesięć pensów. Masz jakieś pieniądze, Jacobie?

Zaprzeciżył, potrząsając głową. Zaoszczędził, co prawda, pięć funtów, ale pieniądze te zostały na strychu, na farmie u państwa Humble.

— Najlepiej będzie, jeśli pójdziemy do Dingle pieszo — powiedziała Ruby. — Jedzenie kupimy potem.

Idąc, Jacob czuł się koszmarnie pośród tylu wysokich, skierowanych ku niebu budynków. Zdawało mu się, że za chwilę spadną mu na głowę. Tramwaje jeździły równie głośno jak pociągi. Raził go też hałas autobusów, samochodów i ciężarówek, a przejeżdżający gdzieś powóz konny budził w nim tęsknotę za Waterloo — koniem, z którym pracował na farmie.

— O tak wczesnej porze ruch jest jeszcze niewielki — powiedziała Ruby, jak gdyby Jacobowi brakowało mocnych wrażeń. Zdążył już znie-nawidzić to miejsce całym sercem.

Zaczęło mżyć. Zanim dotarli do Dingle, miał wrażenie, że idą bez końca. Dingle było jak królikarnia — wszędzie pełno małych uliczek. Wtedy właśnie Ruby zatrzymała się z wyrazem niepewności na twarzy.

— Jak tu znaleźć mieszkanie?

Jacob miał tylko nadzieję, że pytanie nie było skierowane do niego. Nie miał pojęcia. Był już całkowicie zdezorientowany.

— Już wiem. Zapytam w sklepie — powiedziała radośnie.

Weszła do kiosku. Po chwili wyszła z kawałkiem papieru z ręce.

— Na Dombey Street jest pokój do wynajęcia. Właścicielka nazywa się Howlett. Musimy pójść tędy i skręcić w prawo w drugą uliczkę. Myślę, że powinniśmy się zdecydować bez względu na to, co tam zastaniemy. Jeśli trzeba, w wolnym czasie poszukamy czegoś lepszego.

Szedł za nią, powłócząc nogami. Było oszołomiony. Pragnął umrzeć, a jednocześnie wiedział, że poszedłby za nią na koniec świata.

Weszli po schodach do drzwi wejściowych. Zapukała. Drzwi otworzyła dziewczyna. Wyglądała na podenerwowaną. Mogła mieć mniej więcej osiemnaście lat.

— Ja w sprawie pokoju — zaczęła Ruby z powagą w głosie.

— Mamunia na chwilę wyszła. — Dziewczyna uśmiechnęła się ła-dnie i uprzejmie. — Zaraz wróci. Proszę wejść i rozejrzeć się. Pokój jest na górze, na końcu korytarza.

Pokoik był mały, ciasny i zastawiony ciemnymi meblami. Stało w nim duże, dwuosobowe łóżko. Jacob poczuł ucisk w żołądku. Miał wrażenie, że znajduje się w trumnie.

— Ładnie tu — powiedziała Ruby. Usiadła na łóżku i podskoczyła kilka razy. — Zdecydujemy się. Ile wynosi czynsz?

— Pół korony za tydzień, z góry. Musicie jednak poczekać na mamu-nię.

— Co to znaczy „z góry”?

— To znaczy, że trzeba będzie mamie zapłacić już teraz. Bywało, że ludzie „ulatniali się” bez uprzedzenia i mamunia zostawała na lodzie.

Ruby nigdy nie słyszała o tym, żeby ktoś „ulatniał się” bez uprzedze-nia, ale zrozumiała, o co chodzi. Nie miała przy sobie połowy korony. Miała jednak złoty zegarek, który Emily kupiła jej na urodziny. Kosztował pięć gwinei. Zaproponowała, że odda go pani Howlett w depozyt do cza-su, gdy zarobi na czynsz.

— Mam nadzieję, że mamunia wynajmie wam ten pokój — powiedziała dziewczyna z nadzieją w głosie. — Miło byłoby zamieszkać wreszcie z młodymi ludźmi.

Wtedy otworzyły się drzwi wejściowe.

— Dolly! — zawołał jakiś głos.

— Jestem na górze, mamó — krzyknęła dziewczyna. — Przyszli w sprawie pokoju.

— Już idę. — Pani Howlett wtoczyła się po schodach, sapiąc jak lokomotywa, i stanęła w drzwiach. Była wysoką, korpulentną kobietą. Miała czerwoną z wysiłku twarz. Jej małe oczka bacznie przyjrzały się dwójgu młodych ludzi. Ruby siedziała na łóżku, zaś Jacob stał obok, zgarbiony i speszony, pragnąc zapaść się pod ziemię.

— Gdzie macie bagaż? — spytała szorstkim głosem.

— Nie mamy... — zaczęła Ruby.

— A gdzie masz obrączkę?

— Nie mam...

Pani Howlett ze złością wskazała na schody.

— Wynocha z mojego domu, i to zaraz. Nie chcę mieć pod swoim dachem takich jak wy.

— Ale...

— Won! — zawołała kobieta tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Po raz pierwszy Jacob zobaczył, jak Ruby odebrało mowę. Wstała, wyprostowała się, zarzuciła głowę do tyłu i wyniosłym krokiem ruszyła na dół po schodach. Zanim jeszcze zeszła na parter, najwyraźniej odżyła równowagę.

— Chodźmy, Jacobie — powiedziała głośno. — Tu jest jak w chlewie. Nie chciałabym tu mieszkać, nawet gdyby mi za to płacili.

Wyszli i przystanęli na chodniku. Padał gęsty deszcz i Ruby trzęsła się z zimna. Jej zsiniała twarz przybrała kolor dojrzałej śliwki. Jacob bardzo pragnął pocieszyć ją, tak jak ona zeszłej nocy pocieszała jego, ale ciało odmawiało mu posłuszeństwa, może z wyjątkiem nóg. Te, chwijając się, podążały za Ruby w każdym kierunku, jaki obrała.

Wzięła go w końcu za rękę.

— No i co teraz zrobimy? — spytała szeptem. Smak przygody zniknął.

Jacob spuścił głowę. Nie wiedział, co robić.

Drzwi domu, z którego przed chwilą zostali wyrzuceni, otworzyły się. Ukradkiem wyślizgnęła się zza nich Dolly.



— Mamunia poszła do łazienki. — Dotknęła dłonią ręki Ruby. — Kochana, tak mi przykro. Bardzo chciałabym, żebyście dostali ten pokój, ale mamunia jest taka przeczulona, jeśli chodzi o obyczaje i zasady.

— Ma okropne maniery — podsumowała ożywiona Ruby.

— Wiem — odparła Dolly, pociągając nosem. — Mam to na co dzień. Złotko, dam ci radę, dobrze? — Jacoba zdawała się wcale nie dostrzegać. Myślała może, że jego bierna postawa wskazywała na to, że jest głuchoniemy.

— Jaką radę? — zaciekała się Ruby.

— Na twoim miejscu kupiłabym sobie w Woollies obrączkę. Kosztują tylko sześć pensów.

— No tak, dzięki. My pobraliśmy się dopiero wczoraj — kłamała bez cienia wstydu. — To stało się tak szybko. Nie stać nas było na porządne obrączki. Nie wiedziałam, że można je kupić za sześć pensów.

— Powodzenia. Jak masz na imię, złotko?

— Ruby.

— Powodzenia, Ruby.

Dolly uśmiechnęła się i już miała odejść, kiedy Ruby spytała:

— Nie wiesz przypadkiem, gdzie tu jeszcze można wynająć pokój?

— Nie wiem, złotko. Jest tu kilka miejsc, w których oferują nocleg i śniadanie, ale tam też mogą na ciebie dziwnie patrzeć, jeśli nie masz bągażu ani obrączki. A tak w ogóle, masz pieniądze?

Ruby skrzywiła się.

— Tylko dziesięć pensów.

— To za mało. Ale pamiętaj, że jak będą ci potrzebne pieniądze, zawsze możesz dać w zastaw ten śliczny zegarek. Na razie radzę ci pójść do Charliego Murphy przy Foster Court numer 2. On przyjmuje nawet na jedną noc, bierze tylko trzy pensy i nie będzie się czepiał, że nie masz obrączki. Trzeba ci jednak wiedzieć, że to zapchlona, obskurna melina. Nie nadaje się na mieszkanie dla człowieka.

— Dzięki twojej mamie nie czuję się w pełni człowiekiem, więc nie ma to dla mnie większego znaczenia.

Dawniej, za czasów, kiedy Ruby radośnie przechadzała się ulicami Dingle, nigdyjakoś nie natknęła się na Foster Court. Na pierwszy rzut oka miejsce to było niewidoczne i znajdowało się w zaciszu, schowane między salą bilardową a rzeźnią. Była to wąska alejka, o szerokości zaledwie dwóch metrów. Po jej obu stronach stało kilka czteropiętrowych budynków mieszkalnych, obtłuczonych i obdrapanych, z brudnej cegły. Wyglądały, jak gdyby

nosiły ślady jakiejś okropnej choroby. Chociaż ciągle padało, na dworze bawiły się dzieci, biegając na bosaka po wodzie, która lała się z popękanych rynien między blokami. Dzieci zanurzały dłonie w kałuży i chlapały. Jakiś mały chłopiec, ubrany tylko w zniszczone szorty, usiłował puścić na wodzie papierową żagłówkę. W powietrzu unosił się obrzydliwy fetor odchodów. Miejsce to było ponure i zacienione. Zdawało się, iż promienie słońca nie miały dostępu do tej ohydnej, zapadłej dziury.

Miała ochotę stanąć i zawrócić, jednak nie zaszкодziło pójść i zapytać o nocleg, przynajmniej na jedną noc, bez względu na fatalne warunki. Było jeszcze wczesnie. Resztę dnia mogli spędzić na poszukiwaniu pracy. Jeśli im się powiedzie, nie będą musieli tu wracać, a pan Murphy mógłby nawet zatrzymać sobie te trzy pensy.

Ruby zapukała do niemalowanych drzwi, na których ostrzem noża wydrapano niedbale numer 2. Nie było tam skrzynki na listy. Być może w tym miejscu ludzie nawet nie wiedzieli, co to list.

— Pan Murphy? — spytała słabym głosem na widok upiornej sylwetki starszego mężczyzny z poszarzałą twarzą. Jego skóra przypominała mokry kit. Miał długie, brudne, siwe włosy, których końcówki przybrały kolor tytoniu, jakby z wiekiem człowiek ten pokrywał się rdzą.

— Zgadza się, księżniczko — odpowiedział wesoło.

— Ja... My w sprawie pokoju.

— Ach, tak! Mam jeden. Na drugim piętrze, na końcu korytarza. Trzy pensy za noc, płatne z góry. — Uśmiechnął się, ukazując żółtkłe zęby. — Żadnych imprez, picia ani tańców.

— Chcielibyśmy wynająć ten pokój. Tylko na jedną noc.

— Płać, księżniczko, i bierz go sobie. Sama trafisz na górę. Wychodek jest na podwórzu, a kuchnia pod schodami. Przyniosę ci klucze. — Popchnął drzwi.

Ruby wzdygnęła się na widok zaplamionych od wilgoci ścian i gołych schodów, wydeptanych tysiącem stóp aż do półpiętra. Zastanawiała się, czy ci wszyscy, których stopy tędy chodziły, doznawali równie przykrego uczucia, co ona, kiedy schodami wspinała się powoli na górę, a za nią włókł się Jacob. Chodził tak przez cały dzień, nie mówiąc ani słowa, z twarzą przyobleczoną w maskę rozpacz. W jednym z pokoi rozległ się krzyk kobiety. Padły przekleństwa, których Ruby nigdy dotąd nie znała. Gdzie indziej dał się słyszeć żalospny płacz niemowlęcia.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, wchodząc do pokoju, była wisząca w oknie wytarta zasłona. Brakowało jednej szyby, którą zastąpiono kartonem.

— Nie ma pościeli — zauważyła. Nie było też umywalki, dywanu, li-noleum na podłodze ani żadnych dekoracji. Pokój nie był w pełni ume-blowany. Brakowało światła, a w miejscu, gdzie powinien znajdować się palnik gazowy, sterczał tylko kawałek metalowej rury. Łóżko nie miało wezgłowania, siennik wyglądał odrażająco, a podgłówek przybrał niezdrowy odcień żółci. W małym kominku pełno było popiołu. Ruby podeszła do okna i ujrzała podwórze komunalne, na którym stały dwie toalety do użytku mieszkańców tej części budynku. Widok ten zepsuł jej humor. Odwróciła wzrok. Jacob siedział na jednym z drewnianych krzeseł obok ma-łego stolika z kwadratowym blatem przykrytym ceratą.

— Wracaj do domu, Ruby — przemówił wreszcie. W jego głosie brzmiał smutek, który widać było też na jego twarzy. — Wracaj do Emily. Ja sobie jakoś poradzę.

— Nie bądź głupi! — odpowiedziała pogodnym tonem. — Razem się w to wpakowaliśmy.

— Ja myślałem o tym, żeby zgłosić się na policję.

— Żeby cię powiesili?! — odparła zaskoczona.

— Ja nie chciałem go zabić — jęknął Jacob.

— Wiem, że nie chciałeś. — Ruby rozważyła okoliczności. — Wyda-je mi się — powiedziała zamyślona — że wtedy nie skazaliby cię za mor-derstwo, tylko za zabójstwo. Poszedłbyś do więzienia na długie lata.

Jacob wolałby zostać powieszony, niż spędzić całe lata w celi z krata-mi w oknach, z dala od blasku słońca, zapachu kwiatów, drzew kwitną-cych na wiosnę i zrzucających liście jesienią.

— Chodźmy na filiżankę herbaty — powiedziała Ruby na zachętę. — A potem rozejrzemy się za pracę.

Potrząsnął głową i w odruchu obronnym założył ręce.

— Lepiej tu zostanę.

Potrzebował odpoczynku, czasu na to, by pogodzić się z tym, co zro-bił, przyjąć do wiadomości fakt, że jest mordercą. Ten dzień i tak obfito-wał w mnóstwo wrażeń. Nie miał siły szukać pracy, której wcale nie chciał. Nigdzie nie będzie mu tak dobrze, jak na farmie i w polu. Na dziś miał już dość. Jutro rozejrzy się za pracę.

Tym razem Ruby najwyraźniej straciła do niego cierpliwość. Tupnęła nogą.

— Skoro tak, Jacobie Veering, idę poszukać pracy sama.

Znalezienie pracy okazało się tak trudnym zadaniem, jak znalezienie po-koju do wynajęcia, szczególnie wtedy, gdy nie wiadomo było, gdzie jej

szukać. Trzeba wejść do sklepu i zapytać o wakat. Ruby nigdy nie miała oporów, żeby zebrać się w sobie i ruszyć naprzód na przekór trudnościom, jednak tym razem brakło jej odwagi. Poza tym wszystkie sklepy, które odwiedziła, miały wystarczającą liczbę pracowników i nie wyglądało na to, żeby któryś z nich był szczególnie zapracowany. Minęła pub, na którym widniało ogłoszenie: „Zatrudnimy sprzątaczkę” i parsknęła pogardliwie. Nienawidziła sprzątać. Chciała pracować w sklepie. Tylko jak osiągnąć ten upragniony cel?

Ogłoszenia o pracy były publikowane w gazetach, ale to wymagało napisania listu, oczekiwania na odpowiedź, pójścia na rozmowę wraz z innymi kandydatami, czekania na to, aż pracodawca podejmie decyzję — tak jak w filmie o Priscilli Lane, który kiedyś oglądała.

Gdyby miała chociaż płaszcz, najlepiej ten nieprzemakalny, z kapturem i kraciastą podszewką. Albo parasol. Nie było zbyt ciepło jak na sierpień, tym bardziej że Ruby przemokła do suchej nitki. W butach miała pełno wody, a nic nie wskazywało na to, że przestanie padać. Do głowy przyszła jej złowroga myśl, że za ich niepewną sytuację należy winić deszcz. Gdyby wczoraj nie padało, Emily i Bill Pickering byłiby w Lake District. Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, co spowodowało wczorajszą kłótnię. Usłyszała krzyk i przybiegła w samą porę, widząc, jak Bill, który wcześniej wydał jej się taki miły, wymierza Emily cios w twarz. Teraz Bill już nie żyje! Ruby usiłowała o tym nie myśleć.

Była już druga godzina, kiedy doszła do Park Road. Kiedyś przejeżdżała tamtędy tramwajem w drodze do Dingle. Miejsce to było ożywione i ruchliwe. Stały tam całe szeregi sklepów, a w sobotnie popołudnie panował tam jeszcze większy tłok niż zazwyczaj. Ruby przypomniała sobie, jak kilka miesięcy temu postanowiła, że tam właśnie chce wrócić. Nie zdawała sobie jednak sprawy, że zdarzy się to w tak fatalnych okolicznościach.

Zebrała się na odwagę i weszła do pierwszego sklepu, w którym sprzedawano suknie. Podeszła do niej ubrana na czarno elegancka dama.

— Dzień dobry, złotko — przywitała ją. — W czym mogę pomóc? Wybacz, że to powiem, ale wyglądasz jak zmokła kura.

— Dzień dobry — powiedziała Ruby jednym tchem. — Szukam pracy i w tej chwili rzeczywiście czuję się jak zmokła kura.

— Przykro mi, złotko — odparła z uśmiechem kobieta. — Zatrudniam tylko osoby pełnoletnie. Mam nadzieję, że gdzie indziej będziesz miała więcej szczęścia.

Te miłe słowa zachęciły ją do tego, żeby szukać dalej. Po tym, jak odwiedziła już wszystkie sklepy z ubraniami, poszła zapytać o pracę także w aptece i w pasmanterii. Aptekarka dała jej formularz do wypełnienia i powiedziała, że może go przynieść, kiedy zechce. Najwyraźniej nie spieszyła się z zatrudnieniem nowej osoby.

— Przyjmujemy kogoś na święta Bożego Narodzenia — wyjaśniła jej dobrotliwie kobieta w sklepie pasmanteryjnym. — Przyjdź w listopadzie...

Był kwadrans po czwartej. Przechodziła obok kawiarni i poczuła ochotę na filiżankę herbaty. Od wczoraj nie miała nic w ustach, ale na samą myśl o jedzeniu dostawała mdłości. Weszła, zamówiła dzbanek herbaty dla jednej osoby, po czym wysypała zawartość swojej portmonetki. Tylko cztery pensy, zauważyła z zaniepokojeniem. Jutro niedziela — nie warto tracić czasu na rozglądanie się za pracą. Jeśli spędzą w Foster Court kolejną noc, znów trzeba będzie zapłacić trzy pensy, a wtedy zostanie z jednym penssem w kieszeni. I chciała kupić Jacobowi coś do jedzenia. Jutro przecież też będą głodni. Żałowała, że zamówiła herbatę, chociaż przyjemnie było siedzieć w ciepłym pomieszczeniu, rozkoszując się herbatą jak najdłużej i mieć dzięki temu dużo czasu na myślenie. Jednak jak dotąd myślenie nic nie pomogło.

Brak pieniędzy był dla niej nowym doświadczeniem. Przypomniała sobie spore ilości miedzianych i srebrnych monet, jakie Emily zostawiała w każdej ze swoich torebek. A ona pozwalała sobie zabierać je na własne potrzeby, takie jak kino czy wycieczki po Liverpoolu.

Wtedy przyszło jej na myśl, żeby za resztę pensów zadzwonić do Emily i poprosić o pieniądze. Mogłyby spotkać się gdzieś w mieście, bo Ruby nie stać było na podróż do Brambles. Zastanowiła się nad tym bardzo poważnie, po czym z niechęcią przyznała, że nie mogła do końca zaufać Emily w kwestii utrzymania całej sprawy w tajemnicy przed policją. Mogliby ją śledzić w drodze do Foster Court, wiedząc, że jest z nią Jacob, którego poszukują za morderstwo.

Do stolika podeszła młoda kelnerka, żeby zabrać puste naczynia.

— Skończyłaś już pić, złotko? Wyglądasz jak zmokła kura.

— Już to słyszałam. Wypiję za chwilkę.

Ruby wlała do dzbanka resztę gorącej wody, z czego zaparzyła jedynie pół filiżanki herbaty.

— A tak przy okazji, czy nie potrzeba wam kogoś do pracy? — Warto przecież zapytać.

— Nie. W ciągu tygodnia nie ma dużo pracy. Ja pracuję tylko w soboty.

— W takim razie dzięki.

Jeszcze nigdy dotąd w swoim krótkim życiu Ruby nie czuła się tak bardzo zniechęcona. Do tej pory zawsze zmagająca się z drobnymi problemami, o których dawno już zapomniała. Wiedziała tylko, że sprawy zawsze toczyły się po jej myśli. Tym razem towarzyszyło jej poczucie porażki. Nie wiedziała, co dalej robić. Pytając o pracę w różnych miejscach, dostanie ją prędzej czy później — może w przyszłym tygodniu. A praca potrzebna była jej *natychmiast*.

Spojrzała na zegarek. Była piąta. W kawiarni siedziało tylko parę osób. Na drzwiach zawieszono już tabliczkę z napisem ZAMKNIĘTE. Znowu popatrzyła na zegarek. Co powiedziała jej Dolly Howlett? Coś o tym, żeby dać ten śliczny zegarek w zastaw. Ruby nie miała pojęcia, co to znaczy.

— Przepraszam — zwróciła się do młodej kelnerki, kiedy ta ponownie zbliżyła się do stolika. — Co to znaczy „dać w zastaw”?

— Że co? — Dziewczyna rzuciła jej niejasne spojrzenie.

— Ktoś mi dziś powiedział, że mogę dać w zastaw swój zegarek. Nigdy przedtem nie spotkałam się z takim wyrażeniem.

— Ach, w *zastaw*. To znaczy, że musisz pójść do lombardu, a oni w zamian za twój zegarek pożyczą ci pieniądze. Dostaniesz potwierdzenie na piśmie, w razie gdybyś chciała wykupić swój zastaw, czyli odkupić od nich swój zegarek. Tyle że wtedy będziesz musiała zapłacić więcej niż za niego dostałaś — wyjaśniła dziewczyna, uśmiechając się smutno. — Te lombardy to jedna wielka banda oszustów. Na twoim miejscu trzymałabym się od nich z daleka.

Rubyjednak nie miała wyboru. To było jak promyk słońca, który natychmiast rozjaśnił najbliższą przyszłość.

— A czy tu, w pobliżu, jest jakiś lombard?

— Tak, u Overtona. Wyjdiesz i pójdziesz w prawo. To parę przecznic stąd, na rogu. Łatwo go rozpoznasz, bo na zewnątrz znajdują się trzy mosiężne kule. Tylko pospiesz się, bo o piątej zamykają.

— Dziękuję.

U Overtona w oknie była gruba krata, za którą leżała cała masa biżuterii. Starszy, łysawy mężczyzna z monoklem bez oprawki zdejmował akurat wystawę. Kiedy otworzyła drzwi, głośno zadzwonił dzwonek. Mężczyzna podniósł głowę.

— Słucham?

- Chciałabym dać w zastaw... — zaczęła Ruby.
- Wejście z drugiej strony — uciał.

Z boku były małe, niepozorne drzwiczki. Kiedy weszła do środka, ponownie odezwał się dźwięk dzwonka. Zastała ciasny, słabo oświetlony przedpokój. Tuż przed sobą ujrzała stojącą na drewnianej ladzie metalową kratę. W środkowej części lady widniało wyżłobienie, prawie takie, jakie wydeptano na schodach w Foster Court.

Wszedł jakiś mężczyzna, podobny do tego, którego widziała w oknie, tylko młodszy. Jego rzadkie włosy zaczesane były na bok, by zasłonić łysinę, która i tak prześwitywała przez cienkie kosmyki. Miał bardzo jasne oczy. Pierwszy raz takie widziała.

- Za minutę zamykamy — powiedział szorstko. — Czego chcesz?
- Chcę dać w zastaw zegarek.
- Pokaż mi go.

Nad ladą, zaraz pod kratą, znajdowało się małe okienko. Ruby zdjęła zegarek. Był na wydłużanym pasku. Bardzo go polubiła. Przepchnęła go przez okienko.

- Kosztował pięć gwinei — powiedziała. — Prawdziwe złoto.

— Dziękuję, widzę. — Obejrzał zegarek dokładnie z każdej strony, palcem przejechał po całej długości paska. Podniósł głowę, a jego jasne oczy przyjrzały jej się badawczo surowym wzrokiem. — Skąd go masz?

- Dostałam na urodziny.
- Z tyłu jest napisane „Ruby O’Hagan”.

Dedykację wygrawerowano na prośbę Emily.

- Wiem. To ja.
- Skąd mam mieć pewność?
- A jak mam to panu udowodnić? — spytała Ruby surowym głosem.

— Pokaż mi papier ze swoim nazwiskiem: jakiś oficjalny dokument — metrykę urodzenia, dowód zakupu zegarka albo chociaż list zaadresowany do ciebie.

— Nie mam przy sobie nic takiego. — Ruby nie wiedziała nawet, czy jej metryka urodzenia istnieje, dowód zakupu zegarka był u Emily, a listu nikt nigdy jeszcze do niej nie napisał.

- A gdzie mieszkasz?

Ruby zamilkła. Intuicja podpowiadała jej, żeby nie przyznać się, że w Foster Court, bo tam najprawdopodobniej nikt nie nosił zegarka, nie mówiąc już o takim, który kosztował pięć gwinei. W reakcji na milczenie Ruby mężczyzna przyglądał się jej podejrzliwie. Wtedy zdała sobie spr-

wę z tego, że jej wygląd nie budził zaufania — przemoczona do suchej nitki, w zmiętym swetrze, z mokrymi, ulizanymi włosami. Przed przyjęciem powinna była doprowadzić się do porządku.

— Mieszkam w Kirkby — odparła.

— I przejechałaś talu kawał drogi tylko po to, żeby oddać w zastaw zegarek? — powiedział ironicznie. W jego głosie pobrzmiwało niedowierzanie.

— Przyjechałam na kilka dni do Dingle i mieszkam u koleżanki. — Ruby powoli zaczynała tracić głowę.

— Jak ma na imię ta koleżanka?

— Dolly Howlett. Mieszka przy Dombey Street. — Kłamstwa nieczęsto padały z jej ust. Zawsze wołała, żeby ludzie znali całą prawdę. Dziś jednak złamała tę zasadę i zaczęła się płatać.

— Wiesz co? Przyprowadź tę Dolly Howlett w poniedziałek. Niech za ciebie poręczy. Na razie dam ci za ten zegarek gwineę.

— Dobrze. Chciałabym jednak dostać swój zegarek z powrotem. — Nie zamierzała wrócić do lombardu nigdy w życiu. Wymyśli coś innego, żeby pozbyć się zegarka.

Na twarzy mężczyzny pojawił się niesympatyczny uśmiech.

— Co to, to nie. Wpiszę go na listę rzeczy kradzionych. Policja z pewnością zainteresuje się tym zegarkiem.

Ruby wpadła w złość.

— Sugeruje pan, że jest kradziony?

— Sugerujesz mi, że nie jest?

— Oczywiście, że nie. Jest mój, dostałam go na urodziny.

— I ktoś ci go dał? Królowa?

— Nie, Emily. Nie może pan go zatrzymać. Jest mi potrzebny.

— Skoro jest ci potrzebny, to po co oddajesz go w zastaw?

— Bo potrzebuję pieniędzy, idioto.

Mężczyzna zapisał coś na kartce papieru i podał ją przez okienko.

— Oto pokwitowanie. Pieniądze dostaniesz w poniedziałek, jak wszystko się wyjaśni. Przykro mi, ale teraz zamykamy sklep — powiedział, zasuwając z trzaskiem kratę.

Wyprowadzona z równowagi, Ruby zaczęła walić pięścią w okratowane okienko, ale na próżno. Przeszła do drzwi frontowych. Były zamknięte — ani śladu drugiego mężczyzny. Kilkakrotnie uderzyła pięścią, ale nikt się nie pojawił.

Tego dnia ponizono ją już po raz drugi — najpierw pani Howlett, a teraz właściciel lombardu. Oczy piekły ją od łez, które mieszały się z kro-



plami deszczu. Ciągłe lało. Nie mogła już wrócić po zegarek, nawet jeśli znalazłaby poręczyciela. Jeśli ten człowiek powiadomił policję, oni z pewnością rozpoznają wygrawerowane z tyłu zegarka imię i nazwisko: Ruby O'Hagan — to ta, która wczoraj wieczorem wyjechała z Brambles w towarzystwie Jacoba Veeringa. Spisała zegarek na straty.

Nie pozostało jej nic innego, jak wracać do Foster Court. Tam chociaż mogła się wysuszyć i odpocząć. Gdy pomyślała o tym, że będzie musiała położyć się na obskurnym sienniku, a jej głowa spocznie na wyblakłym podgłówniku, zrobiło jej się niedobrze. Przez ułamek sekundy zastanowiła się nad powrotem do Brambles. Nie szkodzi, że trzeba będzie pójść tam pieszo. Kolejne noce spędziłaby we własnym żółtobiałym łóżku, ubrana w jedną ze swoich najładniejszych koszul nocnych. Nagle przypomniało jej się, że żadnej ze sobą nie zabrała. Gdyby ją wtedy zapytano, gdzie jest Jacob, zaklinałaby się, że nie ma pojęcia. Emily też niby tak bardzo kochała Billa na pozór odwzajemnioną miłością, ale po tym, jak zginął, towarzystwo Ruby będzie jej niezbędne.

Nie mogła jednak tak po prostu zostawić Jacoba. Nie przespałaby spokojnie ani jednej nocy. Samo wspomnienie jej zdradzieckiego postępu przesładowałoby ją aż po kres życia. Jacob potrzebował jej dużo bardziej niż Emily. Ponadto kochał ją, a ona kochała jego. Poczowała wyrzuty sumienia na myśl o tym, że wychodząc z Foster Court, straciła cierpliwość. Przyśpieszyła kroku. Jacob na pewno martwi się, że tak długo nie wraca.

Wszystkie sklepy były już zamknięte. Ulice opustoszały. Przejżdżające tramwaje wiozły do domu tych, którzy na szczęście mieli dokąd wracać. Inni z kolei jechali do miasta, by tam spędzić wieczór. Ruby przyglądała się tym ludziom zazdrośnie, wciąż bolejąc nad tym, jak źle potraktowano ją u Overtona. Szła przez kałuże, nie dbając o to, że jeszcze bardziej przemokną jej stopy. Minęła właśnie pub, na oknie którego widniała kartka ZATRUDNIĘ SPRZĄTACZKĘ. Zatrzymała się i cofnęła. W klasztorze sprzątanie szło jej całkiem nieźle. Ze wszystkim radziła sobie dobrze. Nie kryła jednak niechęci, z jaką wykonywała wszelkie powierzone jej obowiązki. Siostry zakonne krytykowały ją za taką postawę. Gdyby poszła na służbę i musiała w ten sposób zarabiać na życie, byłaby jeszcze bardziej niezadowolona.

— Mogłabym pracować jedynie dla siebie samej — mawiała z wyrazem wyższości na twarzy, który doprowadzał siostry zakonne do szewskiej pasji. — Ale nie dla innych. — Nie podobało jej się to, że jedynym celem jej życia miało być zaspokajanie potrzeb innych ludzi.

Teraz jednak Ruby gotowa była wyzbyć się swoich zasad i zgłosić się do pracy jako sprzątaczką w Malt House — wnioskuje z wiszącego na zewnątrz szyldu, taką właśnie nazwę nosił ten pub. Nad drzwiami widniało wymalowane farbą imię i nazwisko właściciela: Frederick Ernest Quinlan.

Szybkim ruchem wyprostowała ramiona i poczuła się pewniej. Wahałowe drzwi zaprowadziły ją do dużego, jasno oświetlonego pokoju z błyszczącą podłogą. Stały tam okrągłe, wypolerowane stoliki. Bar był przy ścianie i zajmował całą jej długość, a w tyle wisiało ozdobne lustro oprawione w pozłacaną ramę. Odbijało się w nim całe pomieszczenie. W tle widać było stojącą tyłem barmankę w średnim wieku. Była to drobniusia kobieta, niższa od Ruby o całą głowę. Miała na sobie bladofioletową, szydełkową bluzkę i świecące kolczyki. Jej włosy, z wyjątkiem czarnych odrostów, przypominały kolorem ramę lustra. Nosiła profesjonalnie zrobiony makijaż, ale wyglądała na zmęczoną, choć wieczór dopiero się zbliżał. O tak wczesnej porze siedziało tam tylko czterech klientów, sami mężczyźni.

— Chciałabym widzieć się z panem Quinlanem w sprawie pracy. Chodzi o sprzątanie — rzekła Ruby, nie owijając w bawełnę.

— W takim razie masz pecha — odpowiedziała kobieta zmęczonym głosem. — Jajestem panią Quinlan. Może chcesz widzieć się ze mną? Potrzebuję kogoś od zaraz.

— Mogę zacząć od zaraz. Nawet teraz, jeśli trzeba.

Jakiś mężczyzna wszedł do środka i podszedł do baru.

— Martho, skarbie, nalej mi tego pierwszorzędnego gorzkiego piwa. Gdzie się podział twój Fred?

— A jak myślisz? — spytała kobieta, nieco ożywiona. — W łóżku. Śpi jak zabity — dodała cierpko.

— Ach, tak. Fred w łóżku. Pewnie głowa mu pęka — zachichotał mężczyzna, biorąc piwo.

— Właściciel baru przepija zyski i zostawia cały interes na głowie żony. Dla was, facetów, to śmieszne — nie omieszkała zauważyć, kiedy tamten odszedł i usiadł na jednym z krzeseł.

— Naprawdę? Co za wstyd — powiedziała współczująco Ruby.

— A pewnie, że wstyd — odparła. Współczucie dziewczyny najwyraźniej zostało docenione. — W południe schodzi na dół, chociaż ledwo trzyma się na nogach. Ale przed trzecią jest już kompletnie pijany i do niczego się nie nadaje, więc kładzie się z powrotem do łóżka. Czasem zejdzie tu do nas około dziewiątej wieczorem i tankuje dalej. Następnego

dnia jest chory, więc sprzątać też muszę sama. Cholera, pracuję po czternaście godzin dziennie i słowo daję — mam już tego dość. Dlatego potrzebny mi jest ktoś do pomocy, od ósmej do dziesiątej rano. Płacę pół korony tygodniowo. Fred uważa, że to rozrzutność. Bezczelny typ. Nie pomyśli o tym, ile piwa wypija sam na co dzień.

— To rzeczywiście bezczelność — odparła zgodnie Ruby. — A co się tyczy pracy...

— No właśnie. — Po raz pierwszy pani Quinlan przyjrzała się Ruby dokładnie. Najwyraźniej spodobała jej się, a poza tym stała po jej stronie, jeśli chodziło o Freda. — Ile masz lat?

— Szesnaście.

— Udam, że tego nie słyszałam. W lokalach, gdzie legalnie sprzedaje się alkohol, mogą pracować tylko osoby pełnoletnie. Nie powinnaś wcale tu przychodzić.

— W takim razie mam osiemnaście lat i nazywam się Ruby O'Hagan.

— W takim razie właśnie dostałaś pracę, Ruby — oznajmiła pośpiesznie pani Quinlan. Wyglądała na bardziej zadowoloną niż wcześniej. — Nie musisz pracować w niedzielę. Sama posprzątam ten cholerny bałagan. Ty możesz zacząć od poniedziałku.

— Za trzy szylingi tygodniowo przyjdę do pracy w niedzielę. I jeśli jest to możliwe, bardzo zależałoby mi na otrzymywaniu dniówki, pani Quinlan — oświadczyła śmiało Ruby, uznawszy Marthę Quinlan za osobę o dobrym sercu, otwartą na wszelkie sugestie.

— Oczywiście, że jest to możliwe, złotko. Zapłacę ci nawet z góry. — Otworzyła kasę. — Proszę, sześć pensów za jutro. Dobrze ci z oczu patrzy. Wierzę, że nie zawiodę się na tobie. I mów mi Martha. Wszyscy tak do mnie mówią.

Udało się! Dostała pracę. W dodatku przestało padać, w torebce miała znowu dziesięć pensów, a w powietrzu roztaczał się apetyczny zapach i poczuła, jak ślinka jej cieknie.

Ryba z frytkami! Miała wydać dwa pensy na frytki i zabrać je ze sobą do Foster Court, postanowiła jednak wrócić tu z Jacobem. Kupią sobie frytki i pójdą na spacer. Świeże powietrze dobrze mu zrobi.

Ale Jacob spał mocno w ich małym, obskurnym pokoju. Był w ubraniu i chrapał cichutko. Jego twarz wtulona była w zżółkły podgłówek. Leżał w swoim nowym, ładnym garniturze, który cały się pogniótł. Zwinięty jak embrion, jednym ramieniem osłaniał twarz.

Ruby nie była już głodna. Zdjęta przemoczony sweter, ułożyła go sobie pod głowę i spoczęła obok Jacoba. Objęła go w pół i wkrótce sama po-  
grzążyła się we śnie.

Martha Quinlan była wymagającą szefową. Ponieważ Ruby nie miała już zegarka i nie wiedziała, która jest godzina, przychodziła prawie godzinę przed czasem i Martha musiała wcześniej wstać. Bez makijażu i w wyno-  
szonej koszuli nocnej wyglądała bardzo mizernie. Kładła się spać dopiero o północy.

— Fred zszedł na dół — skarżyła się. — Było już zamknięte, ale pa-  
ru jego kumpli zostało dłużej. Musiałam być na nogach, żeby po ich wyj-  
ściu zamknąć ten cholerny pub. Nie ufam Fredowi na tyle, żeby zostawić  
to na jego głowie.

Poprzedniego wieczoru bar wyglądał czysto i schludnie. Teraz jednak  
zdawało się, że przetoczyło się tamtędy tornado. Na stolikach stało  
mnóstwo brudnych szklanek, wszędzie pełno było pustych kartoników  
po papierosach, a z popielniczek wysypywał się popiół. Na podłodze,  
oprócz porzucanych szklanek, leżały także niedopałki, zużyte zapałki,  
dwie zabrudzone chustki do nosa oraz wczorajsze wydanie gazety *Daily  
Herald*, którą Ruby odłożyła na później do poczytania.

Zabrała się do sprzątanía. Szklanki wyniosła do kuchni, opróżniła po-  
pielniczki, wysypując popiół do śmietnika, wytarła stoliki i zamiotła  
podłogę. Umywszy szklanki gorącą wodą z mydlinami, wysuszyła je i za-  
niosła do baru. Kufle zawiesiła na specjalnych hakach, a szklanki posta-  
wiła na dolnej półce.

— Skończyłam — oświadczyła.

Martha, skulona, siedziała na taborecie, paliła papierosa i baczny  
wzrokiem obserwowała Ruby.

— Skończyłaś? Aha, akurat! Trzeba jeszcze wytrzeć stoły i zmyć  
z nich ślady po szklankach. Podłoga też musi być wypolerowana. W kuch-  
ni znajdziesz wszystko, co będzie ci potrzebne. Potem trzeba zetrzeć  
kurz: z parapetów, z drzwi, w krzesel. Tam z tyłu stoją butelki. Je też  
przydałoby się przetrzeć. Później zajrzyj jeszcze na podwórze, do toalety  
męskiej. Trzeba tam zmyć podłogę. Wczoraj było tu kilka kobiet, ale za-  
dana nie korzystała z toalety, więc w damskiej nie musisz sprzątać. —  
Uśmiechnęła się, szczerząc zęby. — Ach, jak przyjemnie jest nic nie robić.  
Czuję się jak kobieta, która nie musi pracować. Naprawdę. Gdyby nie ty,  
sama musiałabym to wszystko robić. Jak skończysz, zrobię nam obu do-  
brej herbaty i upiekę grzanki.

— Ile czasu minęło? — spytała potem Ruby. Zdawało się jej, że ta niewolnicza praca trwa już całymi godzinami.

— Tyle, że nie zarobiłaś jeszcze nawet na połowę tego, co wczoraj ci zapłaciłam — odpowiedziała Martha. Najej twarzy znów pojawił się szelmowski uśmieszek. — Pewnie myślisz, że jestem drobiazgową. Tak uważa Fred. A ja po prostu lubię, jak jest czysto. W niektórych pubach każdego dnia rano wysypują na podłogę garść trocin, ale nie u mnie. No, dalej, złotko — ponagliła. — Ruszaj się. Im szybciej skończysz, tym prędzej zjemy coś...

Minęła godzina, która dla Ruby trwała wieczność.

— Czy chleb mam pokroić na cienkie czy grubsze kromki? — spytała Martha. Siedziały w kuchni, w czajniku gotowała się woda, a ruszt rozgrzewał się, by upiec na nim kromki chleba.

— Poprośzę grubsze.

— Dżem postawię na stole. Nałóż sobie sama. Trochę się napracowałaś, co?

— O, tak, ale przyzwyczaję się — odparła z zacięciem Ruby.

— Na pewno. Widzę, że potrafisz ciężko pracować. Jesteś taka dokładna jak ja. Dogadamy się między sobą. — Martha obróciła grzanki. — Mieszkasz gdzieś w pobliżu?

— W Foster Court, ale tylko tymczasowo.

Martha zmarszczyła nos.

— Sama?

— Nie, z Jacobem. To mój mąż.

— Jezus, Maryja, Józefie Święty! Dziewczyno! — wykrzyknęła Martha. — Jesteś mężatką? W tym wieku?!

— Wzięliśmy potajemnie ślub, a potem uciekliśmy z domu. To było niedawno — w zeszły piątek. Nawet nie mam jeszcze obrączki.

— Współczuję twoim rodzicom. Na pewno cię szukają i zamartwiają się na śmierć.

— Nie mam rodziców. Jestem sierotą. Spójrz, grzanki się przypalają.

— Zawsze są przypalone — wtrącił się nagle jakiś zgorzkniały głos. Do kuchni weszła kobieta podobna do Marthy, tylko młodsza. Miała upięte blond loki, które przykryła różowawą siateczką. Ubrana była w kwiecistą suknię z kreponu, na nogach miała futrzane kaptcie. — Czy te grzanki są dla mnie, mammo? — spytała.

— To dla Ruby. Jeśli masz ochotę na grzaniu, moja Agnes, sama sobie upiecz.

— Nie jestem Agnes, tylko Fay — odparła rozgniewana kobieta. — Ile razy mam ci powtarzać?

— Z tego, co wiem, moja panno, na chrzcie nadano ci imię Agnes — Agnes Quinlan. I tak już zostanie. Fay! — powtórzyła Martha z niezadowolaniem. — Cóż to za bzdury?!

Tamta napuszyła się.

— Agnes to okropne imię. Co ty o tym sądzisz, Ruby? Czy Fay nie brzmi ładniej?

— Oba imiona są ładne — odparła taktownie Ruby, zajęta jedzeniem grzanek.

— Pracuje w ratuszu i od razu chce zmieniać imię — skomentowała Martha drwiąco. — Imię „Agnes” nagle przestało jej się podobać. No i wstydzi się tego, że mieszka w Dingle, w pubie, nie ma co!

— Tobie też byłoby wstyd — odparła zapalczywym tonem Agnes-Fay. — Wyobraź sobie, że pracujesz wśród ludzi z Aigburth albo z Woolton. Niektórzy mieszkają w domach, które mają nazwę, a nie numer.

— Twój dom też ma swoją nazwę — Malt House.

— Oj, mam, daj już spokój. Wracam do łóżka. Obudź mnie na mszę o dwunastej.

— A jakże, *Agnes*

Agnes-Fay obróciła się na pięcie, fukając ze złości.

— To moja córka — wyjaśniła Martha, jakby Ruby sama się jeszcze nie domyśliła. — Ostatnio obrosła w piórka. Pomyślałby kto, że jest dworzką u samej królowej, a nie jakąś tam recepcjonistką w ratuszu. Tak czy inaczej — dodała z rozczuleniem — jestem z niej dumna. Która matka nie byłaby dumna z takiej córki? Co prawda, przydałaby się tu pomoc, ale nasza Agnes za nic w świecie nie chce pracować przy barze. Nie wiedziałaby, jak zabrać się do sprzątania — westchnęła. — Nie to, co nasz Jim. On jest zupełnie inny. Zawsze skory do pomocy. Ale on służy teraz w Marynarce Handlowej i widzimy się z nim rzadko. Może jeszcze grzanekę, złotko? Tak szybko zjadłaś. Jeśli chcesz, dam ci dniówkę za jutro. Widzę, że u ciebie krucho z pieniędzmi. To będzie pięć pensów za dzień.

Kiedy rano wychodziła, Jacob spał. W drodze powrotnej poszła jeszcze na mszę o dziewiątej do kościoła St. Finbar. Wróciwszy do Foster Court, zastała go leżącego w łóżku. Nie spał. Przygnębiony, wpatrywał się w sufit. Na jej widok zamrugał oczami.

— Znalazłam pracę. Sprzątanie — oświadczyła wesoło. — Mam też pieniądze. Na kolację możemy zjeść rybę z frytkami. Przy naszych wspólnych zarobkach wyprowadzimy się stąd do końca tygodnia!

Nie odpowiedział. Odwrócił się twarzą do ściany.

— Twój garnitur jest w fatalnym stanie — mówiła dalej Ruby, zachowując radosny ton. — Nie mówiąc już o mojej sukience. Kiedy kładłam się w niej spać, była cała mokra. Potrzebujemy żelazka. Potrzebujemy wielu rzeczy: mydła, ręcznika, naczyń, noży i widelców. Szkoda, że nie mamy garnka. Ugotowałam nam coś dojedzenia w kuchni na parterze. Może jutro się uda. No i przede wszystkim potrzebna jest nam pościel. Nie wiem tylko, czy musimy mieć swoją, skoro zamieszkamy gdzie indziej. A do tego jeszcze, Jacobie...

— Ruby, ja chcę umrzeć.

— Jacobie! — Wskoczyła na łóżko i objęła go ramionami. — Nie mów tak. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Wkrótce wyniesiemy się stąd.

— Nie chcę się stąd wynosić — odpowiedział rozpaczliwie. — Nie chcę nigdzie iść. Chcę tylko wrócić na farmę.

— Przecież to jest niemożliwe, Jacobie. Za nic w świecie nie możesz wrócić do domu państwa Humble. Ale za jakiś czas, gdy już staniemy na nogi, niewykluczone, że przeprowadzimy się na wieś i zamieszkamy na jakiejś farmie. — Nienawidziła wsi, choć nie w aż takim stopniu, w jakim on nienawidził miasta. Ale właśnie zdała sobie sprawę z tego, że jest twardsza niż on. Potrafiła wiele znieść i w każdej sytuacji znaleźć dobre strony.

— Jestem mordercą, Ruby. — Odwrócił głowę. Na widok jego oczu, patrzących na nią pustym wzrokiem, przebiegł ją dreszcz. Jego twarz zbladła i nabrała trupiego koloru. — Zabiłem człowieka. Chyba nie będę umiał z tym żyć. I dlatego chcę umrzeć.

— Kochanie, to był wypadek. I błagam cię, nie mów już tak. Nie zniosę tego. — Położyła mu głowę na piersi i zaczęła płakać.

Jacobowi chciało się płakać razem z nią, ale zabrakło mu łez. Poza spaniem i wpatrywaniem się w ścianę nie był w stanie zrobić nic. Kochał Ruby i pragnął, by wróciła do Emily, a jego zostawiła, żeby zgnął na tym śmierdzącym łóżku. Ona, zawsze taka elegancka, wyglądała w tańcu jak motyl, a dziś, zaniedbana, pracuje jako sprzątaczką. Ta świadomość pogarszała sprawę. Dość mu było, że zrujnował swoje własne życie. Nie wyobrażał sobie, żeby cokolwiek mogło go pocieszyć, ale znosiłby to wszystko trochę lepiej, gdyby nie było z nim współuczestniczącej w jego tragedii Ruby.

— Zdejmij garnitur, Jacobie. Zniszczy się. — Ciągnąc go za rękawy, pomogła mu się rozebrać.

Nagle coś w nim drgnęło. Zapragnął uciec w zapomnienie i pogрузić się w niej. Ale i to nie pomogło. Kochali się bez przekonania. W głowie Jacoba wciąż niezmiennie panował zamęt. Zapomnienie nie nadeszło.

Później, mimo głodu, nie zebrał się na to, by wyjść z nią pojedzenie. Ruby poszła więc sama. Wróciła z butelką lemoniady i dwoma batonikami. Restauracja, w której sprzedawano rybę z frytkami, była w niedzielę zamknięta.

— Jutro zjemy coś naprawdę smacznego — powiedziała na pocieszenie, rękoma chwytając się za żołądek, który domagał się porządnego posiłku.

Nazajutrz Jacob nadał trwał w przygnębieniu. Zdawało mu się, że niewidzialne łańcuchy przykuwają go do łóżka, pozwalając mu jedynie pójść do ohydnej toalety pod warunkiem, że jest ciemno i nikt go nie widzi.

— Przecież nigdy się stąd nie wydostaniemy, jeżeli ty nie pójdziesz do pracy! — krzyczała Ruby.

Wracając z Malt House, kupiła grzebień, mydło i ręcznik. Zdjęła już sukienkę i miała na sobie jedwabną halkę. Rękoma usiłowała wygładzić pogniecioną sukienkę, wstrząsając nią co jakiś czas. W butelce od lemoniady przyniosła z kuchni wodę, zmoczyła sobie dłonie, spryskiwała nią twarz i myła się pod pachami, a potem wycierała się tak energicznie, że Jacoba wprawiało to w jeszcze większe osłabienie. Nie potrafił włączyć o przetrwanie. Ruby zaś rozczesała splątane włosy i prawie odzyskała swój dawny wygląd. Jemu zaproponowała, żeby poszukał pracy.

— Nie — odparł Jacob i gdyby na łóżku była kołdra, z pewnością zaszyłby się pod nią w tej właśnie chwili.

Po kilku tygodniach mieli już kołdrę. Ruby kupiła używaną pościel: grube, flanelowe prześcieradła, z brzegu nieco wytarte, oraz narzutę na podgłówek. Mieli też inne rzeczy: naczynia, sztucce, pędzel i ostrze do golenia, których Jacob rzadko używał. Ruby nalegała, żeby założył barchanowe spodnie i grubą koszulę, które kupiła mu do pracy. Trzeba było oszczędzać garnitur. Wisiał za drzwiami i czekał na dzień, kiedy Ruby będzie stać na to, by dać go do pralni chemicznej.

Garnek, który kupiła, zniknął z piecyka kuchennego, kiedy gotowała w nim obiad — dziesięć deko steku z ziemniakami. Nie wiedziała, biedactwo, że trzeba zostać w kuchni i przez cały czas pilnować garnka. Nie wiadomo, kto go wiał: czy kobieta z pierwszego piętra, matka jedenaścioletniego dziecka, czy pomyłony facet z piwnicy, który chodził okryty tylko



kocem i wszystkich naokoło obrzucał wyzwiskami, czy dwie kobiety z parteru, odwiedzane przez tyłu mężczyzn, że budziło to podejrzenia.

Ruby sprzątała wtedy w jeszcze w innym miejscu, gdyż zarobki w Malt House nie były wystarczająco wysokie. Wciąż potrzebowali niezbędnych do życia środków. Koniecznie musiała mieć żelazko oraz linkę, na której mogłaby wieszać pranie. Miała wątpliwości co do tego, czy kiedykolwiek uda jej się odłożyć sześć pensów na obrączkę.

To dzięki Agnes-Fay dostała pracę w ratuszu. Pracowała tam wieczorami, od szóstej do ósmej, przez pięć dni w tygodniu za pół korony. Myła podłogi, czyściła schody, polerowała krzesła i stoły w elegancko urządzonej sali obrad.

— Dlaczego to robisz? — dziwiła się Agnes-Fay, gdy między nią a Ruby nawiązała się nić przyjaźni. — Przecież mogłabyś mieć porządną pracę. Jesteś wygadana, dobrze się prezentujesz. Tylko od czasu do czasu wyprasuj sobie sukienkę.

— Wolę sprzątanie — odparła Ruby.

Zapracowana, nie miała ani chwili czasu na myślenie o Jacobie, który marniał w Foster Court. Gdyby pracowała w sklepie, na czym bardzo jej zależało, byłoby inaczej. Jacob spał jeszcze, kiedy wychodziła z Foster Court. Później, jak szła do ratusza, on szykował się do snu. Mogła więc dotrzymywać mu towarzystwa w ciągu dnia. Rozmawiała z nim, usiłując go rozweselić, ale on tylko spał albo leżał na łóżku i patrzył w sufit. Wstawał jedynie po to, by zjeść coś w kuchni; przerażająco pełnej karaluchów. Ruby schodziła tam tylko wtedy, kiedy wszystkie ponure i złośliwe mieszkaniu domu skończyły już gotować.

Z Jacobem było coraz gorzej. Miał nie umyte włosy i cuchnął. Jego broda przypominała splątany, sztywny gąszcz. Jednak słabość Jacoba dodawała Ruby siły i dzięki temu jakoś sobie radziła. Przekonywała samą siebie, że któregoś dnia Jacob stanie na nogi, znajdzie pracę i przeprowadzą się do jakiegoś ładniejszego miejsca. Gdziekolwiek by to nie było, i tak będzie im lepiej niż w Foster Court.

Ruby, złotko, czy mogę cię o coś prosić? — spytała Martha Quinlan. — Dziś będzie dostawa z browaru, a mnie brakuje trochę pieniędzy. Zaniośłabyś wujkowi coś ode mnie?

— Jakiemu wujkowi?

— No, wujkowi. Muszę oddać w zastaw pierścioneł zaręczynowy, złotko. Prawdę mówiąc, to nie pierwszy raz — dodała pośępnie.

— Mam zanieść do lombardu twój pierścioneł zaręczynowy?

— Jak najbardziej, złotko. Na właściciela lombardu mówimy „wujek”. Dam ci, powiedzmy, dwa i pół procent aktualnej stawki.

— Dwa i pół procent czego? — spytała Ruby, zbита z tropu.

— Tego, co za niego dostaniesz, dziewczyno. Zamroczyło cię dziś rano czy co? W zeszłym miesiącu stara Nellie, nasz goniec lombardowy, wyciągnęła nogi. Od tamtego czasu klops.

— Jaki klops?

— No, klops, bo nie ma komu pójść do lombardu z moją biżuterią — odpowiedziała niecierpliwie Martha. — A muszę dbać o swoją reputację. Nie mogę tam pójść sama.

— No, dobrze. — Ruby zapomniała o tym, jak zaklinała się, że jej noga już nigdy nie postanie w lombardzie. — Dokąd mam pójść?

— Do Reilly'ego przy Park Road. Płacą najwyższe stawki. Dam ci poświadczenie. Pani Reilly zna mnie z nazwiska, jeśli nie z widzenia.

Pani Reilly miała surową manierę zawodową, ale wypadła o wiele lepiej w porównaniu z człowiekiem, który okradł Ruby z zegarka. Podobnie jak u Overtona, tam też na oknie wystawowym leżała biżuteria i różne wyroby ze srebra. Drzwi wejściowe Ruby znalazła z tyłu. Zaprowadziły ją do małego pomieszczenia z okratowanym okienkiem, jakie już wcześniej widziała. Musiała trochę poczekać, gdyż — ku jej zdumieniu — jakieś dziecko oddawało w zastaw męski garnitur.

— Zastępujesz starą Nellie? — spytała kobieta, kiedy Ruby wręczyła jej kopertę z pierścionkiem Marthy oraz z podpisanym przez nią potwierdzeniem.

— Nie, ja tylko wyświadczam przysługę pani Quinlan.

— Szkoda. Są tu ludzie, którym bardzo brakuje starej Nellie. Zaczekaj chwilkę; pokażę pierścionek mężowi.

Ruby czekała, aż kobieta wróci. — Dwadzieścia pięć szylingów — oznajmiła.

— Ile jest dwa i pół procenta tej sumy? — W klasztorze nie uczono ich, jak obliczać procenty.

— Około siedmiu pensów...

Po paru dniach Ruby przyszła znowu — odzyskać pierścionek. Obiecano jej tę samą sumę. Zdawało się, że zarobienie szylinga i trzech pensów było czymś niezwykle łatwym.

— A jeśli chodzi o tych ludzi, o których pani wspomniała — zagadnęła siedzącą za okratowanym okienkiem kobietę. — Co musiałabym zrobić?

- A można ci zaufać?
- Pani Quinlan powierzyła mi swój pierścionek.
- Faktycznie. Te sprawy trzeba będzie trochę uporządkować. Przyjdź jutro, to powiem ci, co i jak.

Kilka dni później Ruby przeszła uliczkami Dingle w kierunku Aigburth Road. Tamtejsze ulice i posiadłości zdawały się większe. W oknach z wnątką widniały równo zawieszzone brokatowe zasłony, schody zachwycały czystością, a mosiężne drzwi lśniły w późnym, październikowym słońcu. Znalazła drogę, której szukała. Weszła tylnym wejściem — tak, jak ją poinstruowano — po czym przemierzyła podwórze i natknęła się na zaskakującą ilość siatek w oknach. Znalazła się w domu numer 14. Zapukała do drzwi. Otworzyła jej kobieta w wieku około czterdziestu lat. Wyglądała na niespokojną. Nerwowo rozejrzała się dookoła, jak gdyby zza muru miały zaraz wyłonić się jakieś ciekawskie twarze, by zobaczyć, kto do niej przyszedł.

Ruby została wciągnięta do kuchni. Była podobna do tej w Brambles, ale mniejsza.

- Przyszłaś od Reilly'ego? — spytała kobieta zachrypłym głosem.
- W rzeczy samej — oświadczyła wyniośle Ruby.
- Wszystko już gotowe. Mam tu biżuterię. — Kobieta nazywała się pani Somerfield. Trzęsącymi się rękoma sięgnęła do szuflady i wyciągnęła z niej papierową torebkę. — Ile to potrwa? Pilnie potrzebuję pieniędzy.
- Około godziny. Muszę się jeszcze z kimś zobaczyć.

Pani Somerfield zmrużyła oczy.

- Z kim?
- To poufna informacja — odparła Ruby oficjalnym tonem. — Pani też nie chciałaby, żebym powiedziała komu innemu, że tu byłam, prawda?
- O Boże, nie!
- Wrócę możliwie najszybciej.

Następnie udała się do wolnostojącego domu, który znajdował się za Parkiem Książąt — w miłym sąsiedztwie, duży, zbudowany z czerwonej cegły. Drzwi oplatały gęste, splecione pnącza róż, z przodu i z tyłu był ogród, gdzie rosło mnóstwo drzew i wyrosniętych krzewów. W oknach z wnątką nagromadził się brud, a trawa nadawała się do koszenia. Niemniej jednak miejsce to wydawało się Ruby idealne. Z utęsknieniem pomyślała, że w pobliżu znajdują się sklepy, a dom cieszy się pewną prywatnością. Kiedy wreszcie wyprowadzi się z Foster Court, będzie szukała

prywatności. Na stole, w przytulnej, staromodnie urządzonej kuchni, siedział puszysty, prądkowany kociak i starannie mył się jęczyzkiem. Był to mały estetyczny tutaj widok.

Właścicielka tego godnego pozazdrosczenia domu, pani Hart, była sympatyczną kobietą — wysoka, niedbale ubrana, nie kryła się z potrzebą pieniędzy. Dała Ruby małą paczuszkę zawiniętą w chusteczkę higieniczną.

— Drezeńska. Ostrożnie z tym, dobrze? Przez syna długo jeszcze pomieszkać w tym biednym domu. Syn jest na uczelni. Hulaka jeden. Za moją krwawicę. Mąż zostawił mi tylko niewielką emeryturę. Wierzycciele nie dają mi spokoju. Przychodzą tu na okrągło, wałą w drzwi albo przysyłają listy z pogróżkami. Może masz ochotę na filiżankę herbaty, moja droga? Wygląda na to, że zmarłaś.

— Z wielką chęcią. Dziękuję. — Pani Somerfield będzie musiała jeszcze poczekać na upragnioną gotówkę. Ruby usiadła i pogłaskała kota, który starannie oblizywał łapki.

— Zastępujesz starą Nellie? — spytała pani Hart.

— Chyba tak.

## *Rozdział 5*

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Ruby zarabiała w lombardzie tyle samo co za sprzątanie. Jak dotąd nie udało jej się uzbierać dość pieniędzy, by wyprowadzić się z Foster Court. Z nadejściem zimy trzeba było zakupić nie tylko żywność, ale i węgiel. Zamiast porządnego płaszcza Ruby nosiła szal. Przydałyby się jej także cieplejsze buty.

Właśnie w święta Bożego Narodzenia Ruby przyszło pogodzić się z szokującą prawdą: spodziewała się dziecka. Celowo ignorowała brak miesiączek i nieznaczne poranne mdłości. Jej wiedza w tym zakresie była niewielka, ale potrafiła rozpoznać podstawowe objawy. Musiało się to stać pierwszej niedzieli, którą spędzili w Foster Court. Jacob zazwyczaj w porę przerywał, ale wtedy tego nie zrobił. Od tamtej chwili nie kochali się, co oznaczało, że upłynęły cztery miesiące i dziecko urodzi się w maju.

Martha Quinlan jako pierwsza dostrzegła wyraźną zmianę.

— Czyżbyś powiększyła grono przyszłych matek, złotko? — spytała w Wigilię.

Ruby polerowała krzesło. Klapnęła na siedzenie.

— Tak. — Wypowiedzenie słowa „tak” przerażało ją. Przyznała tym samym, że za pięć miesięcy urodzi dziecko i że nie ma już sensu udawać, bo ten problem nie zniknie.

— Gratulacje, złotko. Pewnie wariujesz z radości — rzekła ciepło Martha. — Nie powiem, że nie będzie mi przykro, jak odejdiesz. Do sprzątanía nigdy nie znajdę kogoś tak dobrego.

— Ależ ja nie odejdę. — Ruby usiłowała nie okazać, jak bardzo była zmartwiona. Zrezygnowanie z pracy nie wchodziło w grę. — Czuję się dobrze, a kiedy dziecko już się urodzi, będę przecież mogła je ze sobą przynosić, prawda?

Martha spojrzała na nią z powątpiewaniem.

— No, nie wiem, złotko. Zobaczysz się.

Wiadomość o nadchodzącym ojcostwie wytrąciła Jacoba z chronicznego letargu. Był pierwszy dzień Świąt. Zazwyczaj gadatliwa Ruby zachowywała się cicho i milcząco, co było dla niej bardzo nietypowe. Jacob po raz pierwszy ujrzał, że na jej kościstej twarzy malowało się przygnębienie, a oczy skrywały jakąś tajemnicę. Starła się najlepiej, jak mogła, by w pokoju dało się odczuć świąteczną atmosferę. Na oknach zawiesiła kilka cienkich pasków ze świecącego papieru. Udekorowała nimi także maleńki kominek, w którym palił się równie maleńki płomyk ognia. Szło z niego więcej dymu niż ciepła. Na obiad był udziękagnięcy, a na deser domowe ciasto — prezent od kobiety z pubu.

— Co się dzieje? — spytał Jacob, kiedy skończyli jeść. Nie mógł już dłużej znieść milczenia. Zawsze irytowała go jej paplanina, ale cisza była jeszcze gorsza.

— Jestem w ciąży — odparła chłodno.

Jacob odwrócił głowę i popatrzył przez okno. Cudowne, popołudniowe słońce zachodziło na bezchmurnym niebie. Lśniły pokryte lodem mury i dachy. Podwórze było lekko przyprószone śniegiem. Pomyłony człowiek z piwnicy załatwiał się przy ścianie toalety, stojąc na boso, jak zwykle przykryty tylko kocem. Gdzieś w oddali ktoś śpiewał kolędę: „Nadchodzą święta — czas utuczyć gęś...”

Jacob westchnął.

— Myślę, że powinnaś wrócić do Emily.

Nieoczekiwanie Ruby wpadła w furję i zamachała rękoma.

— Wczoraj wieczorem zadzwoniłam do Emily, żeby złożyć jej życzenia i spytać, co u niej słychać, ale ona już nie mieszka w Brambles. Wyje-

chała za granicę. Nie mogę tam wrócić, nawet gdybym chciała. — Spojrzała na niego rozjuszona. — A wcale nie chcę.

Jacob skulił się pod jej rażącym spojrzeniem.

— Co teraz zrobimy, Ruby? — spytał zmęczonym głosem, w którym brzmiała beznadzieja.

Zerwała się na równe nogi, tupnęła, po czym zaczęła chodzić po pokoju tam i z powrotem, głośno stukając obcasami o podłogę.

— My? — krzyknęła. — Co *my* teraz zrobimy? Z tego, co wiem, ty, Jacobie Veering, nie zrobisz nic! Będziesz tylko leżał w łóżku, aż zgnijesz. Nie myj się jeszcze dłużej, a będziesz obrzydliwie cuchnął i wyglądał jak włóczęga. Wiesz, co ci powiem? Rób, co chcesz, byle nie na *twoim* łóżku. Możesz gnić sobie gdzie indziej. Żałuję, że się z tobą związałam. Co więcej, żałuję, że się w ogóle poznaliśmy. Szkoda, że nie powiesili cię za kark. Już dawno byś nie żył.

Pod wpływem tych gwałtownych słów Jacob garbił się coraz bardziej.

— Ruby, ja *naprawdę* chciałbym już nie żyć — wyszeptał w końcu.

— W takim razie trzeba było się zabić! Co cię powstrzymuje? — Szybkim ruchem wskazała na wiszącą w pokoju linkę. — Sznur jest tam. Przez większość czasu nie ma mnie w domu, bo pracuję. Miałeś tyle okazji.

Jacobem targnął gniew.

— Tak robią tylko tchórze.

Zaśmiała się ironicznie.

— A kim ty jesteś? Właśnie tchórzem! Pozwalasz na to, by utrzymywała cię kobieta.

— Chwileczkę, Ruby...

— O, nie. Żadne „chwileczkę, Ruby”. Wynoś się stąd, Jacobie. Poradzę sobie bez ciebie. Jesteś tylko ciężarem. Jak sobie pójdziesz, będę przynajmniej miała za co utrzymać dziecko.

— Przecież to *nasze* dziecko — odparł szybko.

— Nie, Jacobie — powiedziała ze złością, potrząsając głową. — Dziecko jest *moje*. Jeśli nie masz zamiaru na nie łożyć, nie masz prawa mówić, że to także twoje dziecko. — Zarzuciła na siebie szal. Jego frędzle musnęły Jacoba w policzek, tak że aż poczuł ukłucie.

— Dokąd idziesz?

— Na spacer.

— Przecież dzisiaj jest święto!

— Jeśli o mnie chodzi, może być nawet koniec świata. Idę na spacer.

Pod wpływem gniewu Ruby zrobiło się tak gorąco, że idąc dziarsko opustoszałymi ulicami Dingle, wcale nie czuła zimna. Zmierzchało, a lampiarz zaczynał już swoją pracę.

— Wesołych świąt, panienko — zawołał, kiedy wyłoniła się, skąpana w morzu światła, które magicznie rozświetliły pokryty lodem chodnik.

— Nawzajem.

Nadchodziła ciemna, zimna noc. W oknach zaciągano już zasłony. Gdzieś tam przez szczeliny przebłyskiwały smużki światła. Rodziny gromadziły się, by świętować kolejną rocznicę przyjścia na świat Chrystusa. Po raz pierwszy w życiu Ruby doświadczyła uczucia samotności, ale nie towarzyszył mu smutek. Była zła na Jacoba za to, że ją zawiódł. Zamiast pomagać jej dźwigać ciężar ich wspólnego życia, sam stał się ciężarem, którego nie była gotowa nieść, szczególnie teraz, gdy spodziewała się dziecka. Położyła dłonie na zaokrąglonym brzuchu i przysięgła sobie, że dziecko będzie dla niej zawsze na pierwszym miejscu.

Idąc, zastanawiała się, czy za oknami któregoś z okolicznych domów, w którym obchodzono święta, mieszkała jej matka. Myślała o niej już wcześniej, choć tylko od czasu do czasu. Nie zwracała sobie tym głowy, bo i po co? Mogła zastanawiać się po sądny dzień, tracąc tylko czas. Nie wykluczone, że pani, a może panny O'Hagan nie było już wśród żywych, a nawet jeśli była, to z jakiegoś powodu nie chciała pewnie widzieć swojego dziecka. Ruby uznała, że to matka na tym straciła, nie ona. Jeszcze kilka miesięcy temu była szczęśliwą osobą bez względu na to, czy miała matkę, czy nie. Teraz też nie mogła powiedzieć, że jest nieszczęśliwa — nawet w obliczu narodzin dziecka. Od pewnego czasu powoli oswajała się z tą myślą. Zdarzały się wprawdzie chwile desperacji, ale jakoś dawała sobie radę. Szłoby jej jeszcze lepiej, gdyby część obowiązków przejął Jacob.

„Jak wrócę, lepiej, żeby go nie było — pomyślała z zacięciem. — Bo inaczej rozpęta się prawdziwe piekło”.

**Zanim** Ruby wróciła, Jacob umył się, ogolił, przyczesał włosy, założył garnitur. **Zmienił** się nie **do** poznania. Wyglądałby jak dawniej, gdyby nie zapadłe policzki i wychudzona szyja. Spojrzał **na** nią **nieśmiało**.

— Zaraz po świątach poszukam pracy, Ruby. Tak mi przykro...

Nie dała mu skończyć. Tanecznym krokiem przebiegła przez pokój i rzuciła mu się w ramiona.

— Och, Jacobie, kocham cię. Teraz wszystko ułoży się wspaniale. Prawda? — spytała, ujmując dłońmi jego twarz.

— Tak, Ruby. Obiecuję.

Bezrobocie szalało już od lat. Wyruszywszy na poszukiwanie pracy, Jacob Veering był jednym z miliona kandydatów. Jedyne umiejętności, jakie posiadał, nabył dzięki pracy na roli. Okazało się, że do wielu zadań po prostu się nie nadaje. W dokach, gdzie zatrudnieni byli mężczyźni z całej okolicy, zaczęto zwalniać nawet tych najbardziej doświadczonych. Liczył na co najmniej dwa, trzy funty tygodniowo. Ruby mówiła, że takie zarobki to marzenie ściętej głowy. Odrzucano go kolejno w każdym miejscu pracy, w którym oferowano jeszcze mniejsze pieniądze. Ostatnio, kiedy ubiegał się o pracę za nędzne wynagrodzenie, przyszło dwunastu innych mężczyzn, z których każdy miał na tym stanowisku jakieś doświadczenie.

Jacob był bliski rezygnacji i znów zapragnął położyć się w łóżku, ale za każdym razem, gdy po kolejnym przykrym, pełnym niepowodzeń dniu wracał do Foster Court, Ruby stała w drzwiach, patrząc na niego wyczekująco swymi błyszczącymi oczyma, a dziecko w jej łonie rosło coraz większe.

— To nic — mawiała pocieszająco na widok jego przygnębionej twarzy. — Być może jutro dopisze ci szczęście.

Któręś wieczoru wróciła z ratusza rozwścieczona.

— Chcą, żebym odeszła — oznajmiła z przejęciem. — Wszystko przez dziecko. Powiedziałam, że czuję się dobrze, ale oni nawet nie chcieli słuchać. Powiedzieli, że jak coś mi się stanie, będą musieli ponieść konsekwencje, na które nie są przygotowani. — Zrobiła grymas. — Martha Quinlan też grozi, że mnie zwolni. Mówi, że przeze mnie czuje się nie-swojo, bo ja zapracowuję się na śmierć, a ona się tylko przygląda. I nawet zaczęła mi pomagać. „To nie w porządku — mówię jej. — Płacisz mi, a sama sprzątasz”. Pomyślałby kto, że jestem jakąś inwalidką — dodała oburzona.

Jacob zastanawiał się, co by było, gdyby Ruby miała słabszy charakter i polegała na nim. Czy wtedy, kilka miesięcy temu, stawiłby czoła nowej sytuacji, zamiast się poddawać? Pod jej wpływem stracił wszelką pewność siebie. Przez nią czuł się niemęski. Nic nie było w stanie jej załamać. Miała nieograniczoną ilość pomysłów. Nawet utrata pracy nie zdołała jej zniechęcić, bo już następnego dnia wypisała tuzin kartek pocztowych.



wych, które zaniósła do właścicieli wszystkich lombardów w sąsiedztwie. Na kartkach napisane było:

RUBY O'HAGAN  
OFERUJE USŁUGI SKLEPOM ZASTAWNICZYM  
Zajmie się odbieraniem i wykupywaniem zastawów  
wszędzie

I była potem zachwycona reakcją, jaką wywołało jej ogłoszenie. Od razu przysłano jej imiona, nazwiska i adresy osób, którym bezzwłocznie potrzebne były pieniądze, a które krępowały się osobiście pokazać się w miejscu, gdzie miały się zgłosić. Od tej chwili codziennie rano chodziła do sklepów i sprawdzała, czy nikt nie dzwonił lub czy nie zostawiono dla niej wiadomości. Niekiedy rozmowa z pracownikiem lombardu nie była na telefon.

Klientami okazały się bez wyjątku kobiety, i to nie tylko z bogatych dzielnic, takich jak Aigburth czy Park Książąt. Przychodziły też ubogie rodziny z Dingle, którym duma nie pozwalała na to, by sąsiedzi dowiedzieli się o oddawanym w poniedziałek pod zastaw garniturze męskim, aby przeżyć z dnia na dzień. Pod koniec tygodnia, kiedy przyszła wypłata, garnitur wykupywano. Niekiedy Ruby musiała dzwonić do drzwi domów o różnych porach dnia i nocy, bardzo wcześnie rano lub bardzo późno wieczorem, żeby nikt jej nie rozpoznał. Za ten dodatkowy trud płacono jej jedynie pensa lub dwa.

Nie zawsze wykupywano swoje nędzne tobołki z pościelą, dziecięce buty, zestawy sztućców czy obrączki ślubne.

— Przykro mi, złotko — słyszała czasem Ruby pod koniec tygodnia. — Nie stać mnie. Skontaktuję się, jak tylko zbiorę trochę gotówki.

Tak więc w niektórych domach nie było pościeli ani obuwia dla dzieci. Zdarzało się, że ludzie ci nie mieli już żadnej nadziei na odzyskanie zastawionych rzeczy.

Pani Hart, najsympatyczniejsza klientka, jak dotąd nie wykupiła żadnego zastawu. Z jej domu powoli znikwały wszelkie ładne przedmioty — prezenty ślubne lub bardzo stare pamiątki rodzinne jej lub męża. Wszystko to szło na spłacenie rosnących długów jej niepoprawnego synalka, Maxa.

— Diabli nadali, dostałabym dużo więcej, gdybym sprzedała wszystkie te rzeczy! — żaliła się pani Hart. — Daję je w zastaw z nadzieją, że może kiedyś je odzyskam. Tylko skąd wziąć na to pieniądze? Nie mam pojęcia.

— Zatrzymujemy je tylko przez sześć miesięcy, potem wystawiane są na sprzedaż — powiedziała Ruby, głaszcząc kotka, który rósł z dnia na dzień i nosił bardzo trafne imię: Tygrysek.

Z początku intrygował ją fakt, że tylu zamożnym kobietom potrzebny jest nagły zastrzyk gotówki. Po jakimś czasie zrozumiała, o co chodzi. Były wśród nich alkoholiczki i hazardzistki. Inne przekraczały wydatki na dom, jeszcze inne tonęły w długach, pożyczając pieniądze na ich spłatę. Pewna kobieta, która była w stałym kontakcie z Ruby, utrzymywała umierającego ojca, robiąc to w tajemnicy przed mężem, któremu nie spodobały się ten pomysł.

Niektóre bogate domy, do których chodziła Ruby, miały mało elegancki wystrój — gołe podłogi i nędzne meble, tak samo brzydkie, jak w Foster Court. Najlepiej ze wszystkiego prezentowały się zasłony, które z zewnątrz robiły dobre wrażenie.

Wkrótce Ruby zaczęła być na ulicach Dingle znaną osobą.

— To ta, co pracuje w lombardzie — mówili mijającą ją ludzie. — Ej, Ruby, czy jacyś lepsi państwo dają dziś coś w zastaw? — wołali za nią, a ona uśmiechała się tajemniczo, kładąc palec na ustach.

Martha Quinlan nie mogła już pozwolić na to, by ciężarna dziewczyna sprzątała u niej w barze. Nalegała na to, by Ruby odeszła.

— Przez ciebie mam wyrzuty sumienia, złotko. Tylko obiecaj mi, że będziesz regularnie wpadać na filiżankę herbaty. Mnie i Agnes strasznie będzie ciebie brakowało.

— Ja też będę za wami tęskniła.

Zaprzyżniła się zarówno z Martha, jak i z Agnes-Fay. Żal jej było tej pracy, ale zarabiała już tyle, że jakoś sobie poradzi, tym bardziej że Jacob też już pracował za dwadzieścia jeden szylingów i sześć pensów tygodniowo.

Jacobowi nareszcie udało się znaleźć pracę, w której przydało się jego doświadczenie — znał się na koniach. Przez ostatni miesiąc jeździł powozem konnym po Edge Hill i rozwoził węgiel. Z całego serca nienawidził tej roboty. Czarny, żrący kurz wdzierał mu się w nos i osiadał na pierś, przez co kaszlał i ciężko dyszał. O szóstej wracał do domu pokryty brudem, od którego sztywniało mu ubranie, a jego twarz i szyja były prawie czarne. Ruby musiała gotować wodę w kilku garnkach, żeby mógł porządnie się umyć. Brud, który osiadał mu na włosach, ledwo schodził. Wy-smarowanych sadzą ubrań też nie dało się wyprać, a powietrze przesiąknięte było trwałym zapachem węgla, który Jacob czuł w nozdrzach nawet we śnie. Jedną z wielu najgorszych chwil w ciągu dnia było ranne wsta-

wanie i naciąganie zeszywniałych barchanowych spodni i koszuli. Czuł się w nich jak w zbroi. Zakładał także skórzaną kamizelkę, mającą chronić kręgosłup i ramiona, kiedy brał na plecy ciężkie worki i zanosił je wąskimi drzwiami na podwórze, a potem przez okienko wsypywał węgiel do piwnicy.

Z koniem nie udało mu się zaprzyjaźnić — daleko mu było do Waterloo, czworonożnego towarzysza z farmy państwa Humble. Ten zaś był nieciekawym stworzeniem, wiecznie zmęczonym i przygnębionym — zupełnie jak Jacob. Nie reagował na żadne słowne zaczepki.

W przeciwieństwie do Ruby, Jacobowi zdawało się, że na ten ciężki los skazani są już do końca życia. Ona mówiła, że wyprowadzą się z Foster Court i że będzie im w końcu lepiej, ale on nie potrafił optymistycznie spojrzeć w przyszłość.

Zima miała się ku końcowi, wieczory robiły się coraz krótsze, a w ciągu dnia ocieplało się. Nadszedł marzec. Za sześć tygodni przyjdzie na świat dziecko. Jacob nalegał na wizytę akuszerki we właściwym czasie. Kobieta brała sześć szylingów, była jednak doświadczona i odpowiedzialna.

W któryś piątek przyszedł do domu w bardzo kiepskim nastroju. Na schodach zastał właściciela domu, Charliego Murphy. Siedział i opalał się w popołudniowym słońcu.

— Ładny dzień — zauważył głośno.

— Tak? — mruknął Jacob. Nie widział w nim nic ładnego.

Charlie zmierzył go wzrokiem.

— Kiedy przychodzi wypłata, zawsze jest ładny dzień.

— Ano tak — przyznał. Zawsze oddawał wypłatę Ruby. Ona kontrolowała budżet rodzinny.

— Skoro masz pełną kieszęń, to może postawisz szóstkę na konika? Jutro są wyścigi. Dwadzieścia do jednego. Pewniak.

— Ile dostanę, jeśli wygram?

— Stary, on na pewno wygra. Dostaniesz dziesięć szylingów plus zwrot stawki. Sam uważam, że to niezły interes.

— A jak postawię całego szylinga, to znaczy, że dostanę dwa razy tyle?

— Jak najbardziej — przyznał zgodnie Charlie, kiwając głową.

— No, to zaryzykuję. Stawiam szylinga — odparł bezmyślnie Jacob.

Kiedy powiedział o tym Ruby, wyzwała go od najgorszych durniów pod słońcem. Musiał jej powiedzieć, bo kiedy skwapliwie liczyła zarobione pieniądze, sama zauważyła, że brakowało szylinga. Potem, kiedy koń

wygrał i Jacob oddał jej całego funta, zatrzymując zwrot stawki dla siebie, Ruby wciąż twierdziła, że postąpił głupio. W niedzielę wieczorem świętował wygraną przy piwie, pierwszym od momentu sprowadzenia się do Foster Court. W pubie poznał grupę młodych mężczyzn, którzy mówili do niego „Jake”. Dali mu do zrozumienia, że jest równy chłop i od razu poczuł się jednym z nich. Było mu tam lepiej niż w domu, gdzie здаwało mu się, że jest nikim.

W ciągu następnego tygodnia urosło w nim poczucie własnej wartości. W piątek, kiedy wracał do domu, Charlie Murphy znów siedział na schodach i Jacob znów postawił kolejnego szylinga na zwycięzcę w wyścigach, które odbyły się następnego dnia. Jednak tym razem koń przegrał, a Ruby kategorycznie odmówiła mu drobnych na to, by mógł topić swe smutki w alkoholu.

— Potrzebuję rzeczy dla dziecka. Muszę kupić becik. Gdzie maleństwo będzie spało? — spytała ze złością. — Trzeba kupić łóżeczko. Strasznie jesteś nieodpowiedzialny, Jacobie.

Po następnej wypłacie Jacob ośmielił się zatrzymać dla siebie pół korony. Szylinga przeznaczył na zakłady, za pozostałe pieniądze kupił piwo, a resztę wypłaty oddał Ruby. Tego wieczoru wybierał się do pubu Shaftsbury. Ruby mogła krzyżeć i pieklić się, ile chciała. Po całotygodniowej, ciężkiej pracy zasłużył sobie na odrobinę relaksu przy piwie, jak każdy inny facet. Dlaczegoż miałby być wyjątkiem?

Ruby nie zrobiła awantury.

— Ja też się napracowałam, Jacobie — powiedziała spokojnym głosem. — Ale skoro tak uważasz... — dodała, wznosząc ramionami.

Tak właśnie uważał. W pubie udawało mu się zapomnieć o Foster Court, o Ruby i o mającym przyjść na świat dziecku. Ruby kazała mu samemu gotować sobie wodę do mycia, a kiedy przebierał się w świeżo wyczyszczony garnitur, przeglądała swój mały notatnik, w którym zapisane były utargi z lombardu, i nie raczyła nawet podnieść głowy, kiedy się z nią żegnał.

Za to w Shaftsbury witano go serdecznymi okrzykami.

— Cześć, Jake, stary druhu. Myśleliśmy już, że do nas nie wrócisz. Czego się napijesz?

Razem z Jacobem było ich ośmiu. Czuł się zobowiązany, żeby postawić kolejkę. Kiedy zamykano pub, był po ośmiu piwach. Wypił więcej, niż kiedykolwiek przedtem. Wrócił do domu pijany jak bela. Ruby siedziała w łóżku, trzymając na rękach śpiące dziecko. Jakaś kobieta związała zaplamione krwią prześcieradło. Spojrzała na niego z pogardą.

— Ma pan córkę, panie O'Hagan — powiedziała tonem pełnym pre-  
tensji. — Na szczęście pańska żona miała na tyle siły, żeby posłać po mnie  
dzieciaka z parteru. Bóg jeden wie, co by się stało, gdyby mnie tu nie  
było.

— Poradziłyby sobie.

Na trzeźwo Jacob spaliłby się ze wstydu, ale uderzające mu do głowy  
piwo sprawiło, że było mu wszystko jedno. Ruby urodziłaby dziecko bez  
niczyjej pomocy, sama przecięłaby pępowinę, zrobiłaby wszystko, co mu-  
siałaby zrobić, zaoszczędzając w ten sposób dziesięć szylingów. Poza tym  
nie podobało mu się, że został nazwany „panem O'Hagan”. Może i miał  
wystarczające powody, by nie przyznawać się do swego nazwiska, bo nie-  
jaki Veering z pewnością figurował już w policyjnych aktach, jednak po-  
sługiwanie się nazwiskiem Ruby wywołało w nim jeszcze większe poczu-  
cie niższości.

— To ja już pójdę, pani O'Hagan. Dobrze się czujesz, złotko? — spy-  
tała. Ruby pokiwała głową. Wyglądała na rozpromienioną i szczęśliwą.  
— Wpadnę jutro, żeby zobaczyć, jak się masz. Wtedy mi zapłacisz.

— Dziękuję.

Kobieta wyszła. Jacob zatoczył się w stronę łóżka. Ciekawość zwycię-  
żyła.

— Dziewczynka?

— Tak. Tylko trochę mała — odparła chłodno Ruby. — Pani Mickel-  
white mówi, że waży około czterech funtów. To dlatego, że urodziła się  
przedwcześnie. Poród miał być w przyszłym miesiącu. Trzeba będzie po-  
rządnie ją karmić.

— Jakie dasz jej imię? — Słusznie uznał, że w kwestii imienia dla  
cóрки nie będzie mu wolno zabrać głosu.

— Greta. Po Grecie Garbo.

Pokiwał głową, choć uważał, że imię to brzmiało głupio.

— Słuchaj, Ruby, przepraszam, że mnie nie było. — Uznał za sto-  
sowne, by naprawić swój błąd. — Za nic w świecie nie wyszedłbym z do-  
mu, gdybym wiedział, że dziecko urodzi się dziś wieczorem.

— Szkoda, że cię nie było. Tak bardzo chciałam, żebyś trzymał mnie  
za rękę — powiedziała z wyrzutem.

— Mogłem przecież być w pracy — uzasadnił.

— To co innego. Praca to konieczność. Piwo nie.

Jacob był odmiennego zdania i miał ochotę je wyrazić, ale ugryzł się  
w język.

— Bardzo cię bolało, Ruby? — spytał, tłumiąc czkawkę.

— Nie. Poszło bardzo szybko i prawie nic nie bolało. Pani Mickelwhite powiedziała, że był to jeden z najłatwiejszych porodów, jakie odbierała. Chcesz ją potrzymać? — Najwyraźniej wybaczyła mu. Ostrożnie położyła maleńkie niemowlę na jego ręce. Było owinięte ubrankami: miało długą, flanelową sukienkę, wełniany sweter, czepek i buciki, wszystko znoszone. Ruby kupiła je na straganie z rzeczami używanymi. Nowy był jedynie szal — prezent od kobiety z Malt House.

Spoczywające w jego ramionach dziecko było lekkie jak piórko, ale Jacobowi zdawało się, że waży więcej niż worki z węglem, które rozładowywał w Edge Hill. Wpatrywał się w maleńką twarzyczkę o idealnych rysach, długie rzęsy, rzucające cień na miękkie, alabastrowe policzki, drobniutkie, bladoróżowe usteczka. Zapragnął uciec i nigdy już nie wracać. Dla niektórych mężczyzn pierwsze dziecko było błogosławieństwem, jednak on uznaje je za ciężar, który będzie musiał dźwigać po kres swoich dni. Całymi latami, bez końca, będzie musiał wykonywać tę ciężką, brudną robotę, za którą dostanie marne parę szylingów. Położył córkę w ramionach Ruby.

— Śliczna jest — powiedział szybko.

— Prawda? — Patrzyła na dziecko z uwielbieniem. — Kocham ją nad życie, Jacobie.

— Tak?! — Na te słowa odezwała się w nim zazdrość.

W ciągu tygodnia Ruby wróciła do pracy. Dziecko ubrała ciepło i otuliła szalem. Wyniosłym skinieniem ręki niczym królowa przyjmowała od przechodniów gratulacje. Uchyłała szal, by odstąpić śliczną, drobną twarzyczkę Greta, która wzbudzała tyle podziwu.

Pani Hart dała dziecku małą, srebrną grzechotkę.

— Kupiła mi ją moja matka chrzestna, kiedy przyszłam na świat — powiedziała do Ruby. — Chcę dać ją Grecie, zanim trafi do Reilly'ego, jak wszystko inne, co w tym domu posiada jakąkolwiek wartość.

Chrzciny odbyły się w następną niedzielę, zaraz po siedemnastych urodzinach Ruby. Była to bardzo skromna uroczystość, w której udział brali tylko Ruby, Jacob oraz ich córeczka, która rozwijała się idealnie. Spała całe noce, z zadowoleniem ssała matczyną pierś i od czasu do czasu odbijało jej się. Mimo to, jak zauważyła Ruby, kiedy trzymała ją na rękach, dziewczynka wciąż nie przybierała na wadze.

— Wygląda prawie tak samo, jak w dniu, w którym przyszła na świat — orzekła, zaniepokojona.

— Skąd wiesz? — zapytał Jacob. Cała uwaga Ruby skierowana była na Gretę, czego miał już dość.

— Po prostu wiem.

Wieczorem, po chrzcinach, poszedł do pubu. Mówił, że trzeba to „oblać”. Dzień wcześniej obstawił konia, który dobiegł jako trzeci i miał duże szanse na wygraną. Ruby o niczym nie wiedziała. Jacob zastanawiał się, co jest dla niego ważniejsze — napić się czy obstawić konia. Ruby ani dziecka nie brał nawet pod uwagę.

Kiedy Greta skończyła trzy miesiące, Jacob przynosił zaledwie połowę zarobionych pieniędzy. Co piątek stawiał kilka szylingów na konie. Od czasu do czasu wygrywał. Wtedy serce radowało się mu tak bardzo, że zapominał o przegranych, które przychodziły znacznie częściej. Tygodnie mijały szybciej, a z każdym dniem zbliżał się piątek. Jacob czuł w kościach, że już w tym tygodniu zdarzy mu się najwyższa wygrana.

Godziny mijały szybko, gdy zbliżał się wieczór w towarzystwie kolegów z pubu Shaftsbury. Ruby mogła sobie wyzywać, ile wlezie. Mężczyźni wolno robić to, co mu się podoba. Faceci z baru przechwalali się, że ich kobiety dostawały lanie, gdy tylko zalaży im za skórę. Niech Ruby lepiej da spokój z tymi swoimi zasadami i okaże mu trochę szacunku, bo inaczej dostanie po uszach!

Po długich nagabywaniach Charlie Murphy naprawił wreszcie okno w ich pokoju, Ruby zaś uszyła zasłony w kolorze jasnej czerwieni. Łóżko przykryte było pozszywaną z różnych części matą, na podłodze leżał szmaciany dywanik, a koronkowa serweta skrywała zadrapania na komodzie. Wszędzie było niezwykle czysto, a pokój stanowił maleńką, promienną oazę na tle ponurego domu.

Pewnego ciepłego, sierpniowego wieczoru Jacob przyszedł do domu jak zwykle pokryty węglowym brudem. Promienie popołudniowego słońca wpadały przez otwarte okno, zalewając pokój światłem. Greta leżała na łóżku, owinięta tylko w podartą pieluchę. Gaworzyła i leniwie przyglądała się swoim paluszkom u stóp. Nie była aktywnym dzieckiem. Ruby uważała, że jest zbyt podatna na przeziębienia i ma niedowagę. Nieustannie martwiła się o małą.

Stół był już nakryty. Stojące na środku duże naczynie przykryto pokrywką, przez której otwór wydobywała się cieniutka smużka pary, co oznaczało, że na podwieczorek będzie duszone mięso. Na widok Jacoba Ruby pośpiesznie skinęła głową.

— Podwieczorek już czeka. Tylko najpierw się umyj.  
— Woda zagotowana?  
— Nie będę gotowała ci wody, żebyś wymuskany chodził do pubu na piwo. Mówiłam ci już. Sam gotuj sobie wodę.

Usiadła i otworzyła gazetę, którą gdzieś znalazła. Jacob był tym poi-rytowany. Nie umiał czytać i zdawało mu się, że Ruby okazuje nad nim swoją wyższość.

— Ja w międzyczasie napiję się herbaty — powiedziała.  
— Wolałbym, żebyś to ty zagotowała wodę. — W tonie jego głosu zabrzmiała groźba.

Ruby spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Wolałbyś, żebyś co?  
— Żebyś ruszyła tyłek i zagotowała tę cholerną wodę. — Zrobił krok w jej kierunku.

Ruby zaśmiała się. — Po raz pierwszy w ciągu dnia udało mi się usiąść i nie mam zamiaru się stąd ruszać.

Jej śmiech wyprowadził go z równowagi. Zaprzagnął, żeby się go bała. Miał dość tego, że była lepsza pod każdym względem i że okazywała mu to na każdym kroku, przez co czuł się jak niegrzeczny chłopiec. Uniósł dłoń i uderzył ją w twarz na tyle mocno, żeby płakała i błagała go o przebaczenie.

Ale ona ani myślała tak postąpić. Krzyknęła, skoczyła na równe nogi, chwyciła rondel z duszonym mięsem i z całej siły rąbnęła go nim w głowę. W momencie uderzenia metalu o czaszkę dało się słyszeć chrupnięcie, po czym Jacob upadł na łóżko.

Ruby wrzasnęła ponownie i pochwyciła z łóżka Gretę. Stała nad nim, w jednej ręce trzymając garnek, zaś w drugiej niemowlę. Policzki płonęły jej jak ogień.

— Uderz mnie jeszcze raz, Jacobie Veering — syknęła — a przysięgam, że ukatrupię cię na miejscu.

Co do tego Jacob nie miał wątpliwości.

Potknąłem się — wyjaśniał później w pubie. — Uderzyłem głową o ścianę.

— A może to twoja kobitka tak cię urządziła? — żartował sobie jeden z kolegów. — Jeśli tak, to mam nadzieję, że dostała za swoje.

— Moja kobitka nigdy nie odważyłaby się na coś podobnego!

Pomyślał, że spotkała go ogromna niesprawiedliwość. Fermentowało w nim poczucie krzywdy, które narastało pod wpływem alkoholu. Dla-



czego inni faceci mogli bezkarnie tłuc swoje żony, a on nie? Ale inne kobiety nie mogły równać się z Ruby. Ruby miała w sobie coś niezwykłego. Im trudniej jej szło, tym większej nabierała siły, jak gdyby życie było bitwą, którą za wszelką cenę chce wygrać. Nagle Jacob zmiękł. Ta niezwykła kobieta była przecież *jego* kobietą! W jego zmaconej alkoholem głowie powróciło wspomnienie o dawnej Ruby, która zaglądała do obory, mówiąc nieśmiało: „Cześć, Jacobie”.

Jeszcze wtedy go kochała. Dziś już nie. Wszystko zepsuł.

Zaczął użalać się nad samym sobą. Postanowił pokazać Ruby, jak bardzo ją kocha i że wszystko lepiej się ułoży. Zrobi to, jak tylko wróci do domu.

Spała mocno. Okno było otwarte, a lekki podmuch wiatru poruszał zasłonami. Jego ubranie robocze leżało przewieszane przez oparcie. W pokoju wciąż unosił się zapach sadzy. Greta leżała w swojej kołyszce u podnóża łóżka.

Jacob szybko zdjął ubranie. Drżał z pożądania. Uczucia tego nie doznał jeszcze ani razu, odkąd opuścili Brambles. Pragnął Ruby tak bardzo, jak nigdy przedtem. Kiedy kochali się po raz pierwszy, była właściwie jeszcze dzieckiem, ale teraz wyrosła z niej kobieta, jedna z najatrakcyjniejszych w całej okolicy.

Nagi, wślizgnął się do łóżka, objął ją w pół i przyciągnął do siebie. Obudziła się natychmiast.

— Co ty wyprawiasz? — rzekła, zaniepokojona, odpychając go.

— Kocham cię, Ruby — szepnął namiętnie. Zdawało się, że jego wewnątrz trawi płomień ognia i że oszaleje, jeśli go nie ugasi. Jej drobne, broniące się, wyślizgujące się z jego uścisku ciało jeszcze bardziej rozbuodziło w nim namiętność. Nie mógł się oprzeć. Płonący w nim ogień palił go nieznośnie.

— Jacobie! — warknęła. — Jesteś pijany i cuchnie od ciebie alkoholem. Puść mnie. Obudzisz Gretę.

Ale on nie słuchał. Było mu wszystko jedno, czy kogoś obudzi, czy nie. Halka, w której spała Ruby, rozdarła się w momencie, gdy podciągał ją do góry. Wszedł na nią i ułożył się między jej smukłymi nogami, po czym zanurzył się w jej wnętrzu i poczuł dreszcz ulgi. Było mu łatwiej niż ostatnio, bo przecież niedawno urodziła dziecko. Nie umniejszało to przyjemności, jakiej doznawał, ani nie pohamowało jego gwałtownego, obłądnego szczytowania. Spełniony i nasycony, zszedł z niej i od razu zachciało mu się spać.

Nigdy więcej nie poszedł do Shaftsbury. Udał się do innego pubu, w którym go nie znali. Wstyd mu było za to, co zrobił i czego nie zrobił. Nigdy też nie rozmawiał z Ruby o tamtej nocy, kiedy posiadał ją wbrew jej woli. Następnego ranka zobaczył tylko, że miała poranione ramiona, a na jej twarzy wciąż widniał siniak po tamtym uderzeniu.

Musiał się natychmiast napić. Przeszkadzał mu chłód, jaki panował w Foster Court i odczuł potrzebę ucieczki. Poza tym w nowym pubie trzymał się na osobności. Nie chciał się z nikim przyjaźnić.

Jego wstyd był jeszcze większy, kiedy w kilka miesięcy później Ruby oświadczyła, że jest w ciąży. Na jej twarzy malował się skierowany przeciw niemu wyrzut. To stało się z jego winy. On zawsze był wszystkiemu winien.

Ich druga córka przyszła na świat następnego roku, w kwietniu 1937. Ruby nadała jej imię Heather, po jakiejś aktorce, Heather Angel, która grała w jej ulubionym filmie wszech czasów pod tytułem „Berkeley Square”.

W przeciwieństwie do Greta, Heather była aktywnym, energicznym dzieckiem. Mało spała, dużo płakała, ciągle domagając się karmienia piersią, a jej twarzyczka czerwieniała się pod wpływem niewypowiedzianej złości. Dzięki pracy w lombardzie Ruby sprawiła sobie gigantycznych rozmiarów wózek. Pchała go ulicami Dingle, wożąc w nim obie dziewczynki: po jednej stronie siedziała spokojna Greta, z drugiej zaś wystawała małutka główka niesfornej Heather.

Dziewczyna sama do niego podeszła. Jacob nawet nie wyobrażał sobie, że mógłby jako pierwszy zagadnąć nieznaną kobietę. Był sobotni wieczór, w pubie panował tłok, pianista wygrywał melodie, które Jacob pamiętał przez mgłę z czasów, kiedy jeszcze w Brambles słuchał razem z Ruby płyt.

— „A kiedy zaczną grać beguine'a\*...” — zawodziła namiętnie cała sala.

— Wydajesz się taki samotny, kochanie — zagadnęła dziewczyna, która przysiadła na ławce obok niego. Jej karnacja nie była ani blada, ani ciemna, lecz miała ładny, jasnobrązowy odcień. Twarz otaczała burza gęstych loków koloru ciemnego imbiru.

\* *When they begin, the beguine* z piosenki Eddie'go Heywooda; beguine — taniec i muzyka południowo-amerykańskiego obszaru.

— Dziękuję, nic mi nie jest — odpowiedział Jacob oschłym tonem, sądząc, że dziewczyna jest jedną z tych, co szukają klienta. Jeśli rzeczywiście tak było, to miała pecha. U Jacoba w kieszeni znajdowało się jedynie dziewięć pensów — za mało, by zapłacić nawet najtańszej prostytutce w Liverpoolu. A szkoda, pomyślał, gdyż dziewczyna była bardzo ładna. Przez czerwoną bluzkę widać było zarys jej małych, jędrnych piersi. Miała gładką jak jedwab skórę. Jacob był zwyczajnym mężczyzną o typowo męskich cechach i potrzebach, które pozostawały niezaspokojone. Spali z Ruby w jednym łóżku, ale teraz bał się ją tknąć.

— Jak masz na imię, kochany? — spytała dziewczyna.

— Jake Veering.

— A ja Elizabeth Georgeson, ale wszyscy mówią na mnie Beth. Jesteś stąd?

— Nie, z Kirkby.

— Więc co tu robisz, Jake?

Jacob nie bardzo wiedział. Ruby go tu sprowadziła, a on potulnie przyjechał za nią. Nie mógł jednak powiedzieć tego dziewczynie.

— Straciłem pracę — odparł. — Przyjechałem szukać następnej.

— I znalazłeś?

— Tak. Rozwożę węgiel, w Edge Hill.

— Moja babunia mieszka w Edge Hill — wykrzyknęła, ucieszona. — Powiem jej, to może następnym razem cię rozpozna. Ja mieszkam w Toxteth. — Dodała, że pracuje jako kasjerka w sklepie z narzędziami w Woollies przy Lord Street. — Mam nadzieję, że niedługo przeniosą mnie do działu kosmetyków...! — Kiedy to mówiła, w jej oczach koloru brązowego atłasu zabłyśły isierki. — Nie mogę się doczekać.

Jej ojciec pochodził z Jamajki, matka zaś z Irlandii. Wraz z dwoma braćmi i trzema siostrami mieszkała u rodziców. Była w tym samym wieku, co Ruby — miała osiemnaście lat. Jacobowi trudno było w to uwierzyć, bo w porównaniu z tą ładną, beztroską dziewczyną, która za główny życiowy cel uważała sprzedawanie szminek i perfum, Ruby wyglądała na dwadzieścia pięć albo nawet trzydzieści.

— Jake, nie gniewasz się, że chciałam sobie z tobą porozmawiać? — spytała później. — Wyglądałeś mi na bardzo osamotnionego, więc pomyślałam sobie, szkoda, żeby taki sympatyczny facet jak ty siedział tu sam. — Spojrzała na niego nieśmiało. — Masz dziewczynę?

Jacob przełknął ślinę.

— Nie — odparł odważnie. Nie chciał jej zniechęcić. Nieczęsto słyszał komplementy pod swoim adresem. Przecież nie szukała klienta, tyl-

ko przyszła do pubu na imprezę urodzinową znajomej z pracy. Przy niej czuł się ważny; Ruby go ignorowała. Ta dziewczyna była subtelna, Ruby zaś twarda. Kiedy zamykano pub, Jacob śmiało zaproponował kolejne spotkanie w następną niedzielę w tym samym miejscu.

Zauważył, że jest rozczarowana.

— Przecież to dopiero za tydzień! Nie mogliśmy spotkać się wcześniej?

— Chciałbym, ale... — Jacob przerwał. Już raz skłamał. Kolejne kłamstwo przyszło mu łatwo: — ...z pieniędzmi u mnie krucho. Co tydzień wysyłam pieniądze mamie do Kirkby. Jest wdową. Mam jeszcze trzech młodszych braci. Odkąd wyjechałem, mama pracuje, żeby wiązać jakoś koniec z końcem.

Beth spojrzała na niego z przejęciem.

— Jesteś bardziej sympatyczny, niż mi się zdawało. Wiesz co? W środę pójdziemy do kina. Ja stawiam.

Od tamtej pory widywali się dwa, a potem trzy razy w tygodniu. Jacob zarabiał już o szylinga i sześć pensów więcej. Nie powiedział o tym Ruby, tylko chował pieniądze dla siebie. Wkrótce Beth przedstawiła go swemu krzepkiemu, rośtemu ojcu i rudowłosej matce. Zmierzyli go krytycznym spojrzeniem. Najwyraźniej spodobał im się. Kiedy powiedział, że jest katolikiem, witali go z otwartymi ramionami, jakby był narzeczonym Beth. Podobnie czuł się niegdyś w domu Audrey, co dziś wydawało mu się przeszłością odległą o milion lat. Jacobowi podobał się taki układ — bez komplikacji i przy niewielkich zobowiązaniach miał zagwarantowaną dobrą zabawę. Odpowiadało mu takie podwójne życie, choć wiedział, że nie potrwa ono długo. Prędzej czy później jedna dowie się o istnieniu drugiej.

I podwójne życie dobiegło końca w nieoczekiwany sposób.

W wigilię Nowego Roku padał śnieg. Szare niebo zdawało się uchylać pod ciężarem czarnych, mazistych chmur. Wyspany na podwórzu węgiel zmienił się w piękny widok, gdy jego lśniąca czerń przyprószyły płatki śniegu. Przyobleczone w rękawice dłońmi Jacob wrzucał ogromne worki na wóz, pogwizdując przy tym radośnie. Arthur Cummings, jego pracodawca, był już zbyt sędziwy i słaby fizycznie, by sam zajmować się interesem. Zacierając sękaty dłoń, stał w drzwiach swego małego domu z oknami wychodzącymi na podwórze. Mieszkał sam. Żona zmarła mu dwa lata temu, a dzieci nie mieli.

— Co robisz dziś wieczorem, stary? — spytał.

Wiedział o Ruby i o córkach. Święta Bożego Narodzenia były dla Jacoba trudnym okresem, bo obie kobiety oczekiwały jego obecności. Beth powiedziała, że święta spędzi w Kirkby. Nazajutrz miał się z nią zobaczyć.

— Siedzę w domu — odpowiedział Arthurowi. — Wypijemy z żoną drinka.

— Dobry z ciebie chłop — odparł Arthur z aprobatą w głosie. — Wpadnij potem na butelkę Guinnessa. Przywitamy Nowy Rok trochę przed czasem.

Jacob kiwnął głową, choć nie miał zamiaru przyjąć zaproszenia. Arthur był sympatycznym człowiekiem, najwyraźniej samotnym. Często proponował filiżankę herbaty i zagadywał go, ale Jacob nie szukał żadnego kumpla. Skończywszy ładować wóz, poklepał pasywnego konia o imieniu Clifford i pogłaskał go za uchem. Już miał wskoczyć na siedzenie, kiedy ujrzał Beth. Przeszła przez drewnianą furtkę. Clifford przestraszył się, zarzucił łbem i parsknął nerwowo.

— Co ty tu robisz? — zapytał z lekka szorstkim tonem. Podwórce stanowiło dla niego neutralny grunt. Ruby nawet nie przeszłoby przez myśl, żeby się tu zjawić.

— Muszę ci coś powiedzieć, Jake. — Była bardzo blada i miała zapuchnięte oczy. — Stało się.

— Co?

— No, stało się. Jake, jestem w ciąży. Rodzicom jeszcze nie powiedziałam, więc będziemy musieli szybko się pobrać. Prędzej czy później sami się domyślą, ale po ślubie nie będzie to miało żadnego znaczenia. Jeszcze dziś musimy pójść do kościoła Świętego Wincentego a Paulo i porozmawiać z ojcem Wincentym o zapowiedziach.

Jacob był zszokowany. Zastygł z wrażenia.

— Dziś wieczorem nie mogę — wyjąkał. — Jest Sylwester. Obiecałem mamie, że spędzę go u niej.

Na twarzy Beth malowało się rozczarowanie.

— W takim razie jutro wieczorem.

Ku zdumieniu Ruby, ten wieczór Jacob spędził w domu. Następny także. Z przerażenia tracił zmysły. Zdał sobie sprawę, iż nie był mężem Ruby, mógł więc bez problemu poślubić Beth. Ale on ani myślał się żenić, a już na pewno nie z ciężarną kobietą. W ten sposób zamieniłby swe i tak już smutne życie na podobne, być może jeszcze gorsze. Ruby przynajmniej zarabiała dość sporo i świetnie radziła sobie sama w roli matki dwojga dzieci. Beth z kolei będzie pewnie chciała wyjechać z Woollies, a wtedy odpowiedzialność za utrzymanie jej i dziecka spocznie całkowi-

cie na nim. Jacob zaczął nagle dostrzegać wszelkie zalety Ruby, których wcześniej nie doceniał.

Beth wiedziała, że Jacob mieszkał w Foster Court, ale nie znała numeru domu.

— To taka nora — mówił jej. — Mieszkanie tymczasowe. Wolałbym, żebyś tam nie przychodziła.

Mogła jednak zjawić się tu lada chwila. Mogła też znowu przyjść do niego na podwórze. Co gorsza, mogła tu przysłać swego ojca. Jacob nie wiedział, co dalej począć.

Minął kolejny dzień. Arthurowi Cummingsowi powiedział, że bierze jednodniowy urlop.

— Muszę załatwić pewną sprawę. W zamian za to przepracuję całą sobotę...

Ponieważ był dobrym pracownikiem i jeszcze nigdy nie brał urlopu, Arthur zgodził się bez wahania.

Następnego ranka założył robocze ubranie, skrył się w drzwiach na drugim krańcu podwórza i czekał, aż Ruby wyjdzie, zabierając w wózku dziewczynki. Wtedy wrócił i przebrał się w garnitur.

Nie miał pojęcia, jak wydostać się z labiryntu, w jaki zmieniło się jego życie. Widział tylko jedno wyjście — uciec, znaleźć pracę na farmie i przez resztę życia nie spojrzeć już na żadną kobietę. W mieście było kilka stacji kolejowych, na których mógł wsiąść do pociągu jadącego możliwie najdalej od Liverpoolu.

Miasto huczało od zgiełku ulicznego. Szedł chodnikiem, popychany przez przechodniów. Z obolałą głową, chwiejnym krokiem dotarł do stacji przy Lime Street. Zatrzymał się, by przemyśleć dalsze działanie. Stał przed sklepem, choć tak naprawdę nie był to sklep. Na oknie widniał napis: Wojskowa Komisja Rekrutacyjna.

Przez kilka minut Jacob wpatrywał się w ten napis, po czym wszedł do środka.

Nie sądził, że wróci jeszcze do Foster Court, ale tak się stało. Po zgłoszeniu się do wojska proces rekrutacyjny miał potrwać jeszcze co najmniej dwa tygodnie. Podał im adres składu węglowego. Panu Cummingsowi to nie przeszkadzało, a jeśli podałyby fałszywe dane, musiałyby potem wymyślić powód, dla którego je zmienił. Najpierw zaciągnie się do Wojskowego Korpusu Edukacyjnego, żeby podszkolić się w czytaniu i pisaniu. Dadzą mu zakwaterowanie i wyżywienie, a żołd będzie mógł zatrzymać tylko dla siebie. Najważniejsze, że będzie pod opieką, mając zobowiązania jedynie wobec monarchy i ojczyzny.

Tego wieczoru postanowił pójść do Beth, by zobaczyć się z nią, nim sama zacznie go szukać. Dadzą na zapowiedzi i ustalą datę ślubu. A kiedy nadejdzie ów dzień, jego już tu nie będzie.

Ruby nie przejęła się faktem, że Jacob nie zjawił się na podwieczorek. Przyczyniała się do tego, iż od pewnego czasu żył sobie własnym życiem. Niekiedy zastanawiała się tylko, czy nadal go kocha, czy może było to jedynie dziecinne zauroczenie i tak naprawdę wcale go nie kochała. Był pierwszym młodym mężczyzną, jakiego poznała — bez wątpienia przystojnym, choć w innych okolicznościach nie przykułby pewnie jej uwagi na dłużej. Gdyby nie całe to zdarzenie z Billem Pickeringiem, ich miłość wygasłaby już dawno.

Wtedy jednak nie byłoby na świecie obu dziewczynek. Leżały teraz na łóżku, pogrążone we śnie. Podeszła do nich i dotknęła alabastrowego policzka Grety.

— Co ja bym bez was zrobiła? — powiedziała szeptem. Bładoróżowe usteczka Grety ułożyły się w rozmarzony uśmiech. W ramionach ścisnęła szmacianą lalkę o imieniu Babs. Dziewczynka podobna była do ojca: miała jego włosy o maślanym kolorze, jego błękitne oczy i długie, jasne rzęsy. Miała też jego spokojne usposobienie.

Biedny Jacob! Ruby westchnęła. Był miłym człowiekiem, od którego oczekiwano zbyt wiele. A jemu potrzebny był święty spokój i przekonanie, że nikt od niego nic nie chce. Jacob, parobek, na jakiejś farmie byłby zdolny do bardzo ciężkiej pracy. Pracowałby tam za dwóch.

Ruby nie chciała budzić dotykiem swojej drugiej córeczki. Skończyła już dziewięć miesięcy. Mała fryga Heather raczkowała wszędzie, gdzie się dało. Dwa razy sparzyła rękę żelazkiem, które stygło schowane pod łóżkiem. Matka i córka były do siebie bardzo podobne. Heather miała czarne włosy i niemalże czarne oczy. Szczupła, koścista, wzrostem doganiała starszą o rok Gretę, trochę chorowitą, wciąż z niedowagą.

Ruby pomyślała, że dobrze będzie, jeśli mała zje trochę duszonego mięsa, które stygło na stole. Duszone mięso gotowało się najłatwiej — korzystała jedynie z palnika w kuchni. Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby upiec coś w zabrudzonym piekarniku. Gotowanie stało się trudne, odkąd Heather zaczęła raczkować. Ruby wahała się, czy zostawiać dziecko w pełnym zasadzek pokoju, czy zabierać ją ze sobą na dół, gdzie czyhały na nią jeszcze inne niebezpieczeństwa, takie jak karaluchy, które Heather z łatwością mogła chwycić i zjeść.

Och, kiedyż wreszcie wyprowadzą się z Foster Court?

Dopiero późnym wieczorem dom ogarniały cisza i spokój. Z tego powodu Ruby nie przeszkadzało to, iż od czasu do czasu budziła się w środku nocy i wsłuchiwała się w delikatny oddech dziewczynek oraz ciche chrapanie Jacoba. Znikąd nie dochodził żaden płacz dzieci ani krzyk kobiet, ani trzask drzwi. Nie było słyhać żadnych odgłosów awantur. Niekiedy leżała tak całymi godzinami, rozkoszując się ciszą aż do chwili, gdy na zewnątrz, przy głównej drodze, zaklekotały kółka wozu mleczarskiego, a zaraz potem zabrzączały butelki. Oznaczało to, że dzielnica powoli budzi się do życia i za chwilę otworzą się drzwi, odezwą się głosy, gwizdy oraz miarowe tupanie butów, kiedy mężczyźni pomaszczą do doków, by rozpocząć kolejny dzień pracy. Wtedy Ruby budziła Jacoba, sama wstając z łóżka i udając się do kuchni z nadzieją, że zdąży zagotować wodę na herbatę, jeszcze nim zejda się tam inni.

Kiedy zbudziła się tamtej nocy, zdała sobie sprawę, że coś było nie tak. Czegoś brakowało. Przypomniała sobie, że kiedy kładła się spać, Jacoba wciąż nie było w domu. Do tej poryjeszcze nie wrócił.

Nie miała pojęcia, która jest godzina. Nie dochodził jej żaden dźwięk poza oddechem dziewczynek. Usiadła i zapaliła świecę. Wtedy dostrzegła, że z tekturowego wieszaka za drzwiami zniknął garnitur Jacoba. Siedziała tak, zamartwiając się i marząc niemiłosiernie aż do rana, kiedy przyjechał wóz mleczarski, a dokerzy ruszyli do pracy. Wtedy ubrała się, nakarmiła dziewczynki, posadziła je do wózka i poszła w kierunku składu węglowego.

Był przenikliwie zimny, styczniowy poranek. Niebo miało kolor ołowiu. Wchodząc na podwórze, Ruby dostrzegła od razu młodego człowieka o dziwnym wyglądzie. Ładował worki na wóz. Siwy koń na uprzęży wpatrywał się w ziemię melancholijnym wzrokiem, a na jej widok zarzucił lękliwie łbem.

— Gdzie Jacob? — spytała Ruby donośnym głosem. Czyżby stracił pracę i bał się jej o tym powiedzieć?

— Zajrzyj do Arthura Cummingsa. On ci powie — odparł młody człowiek, szczerząc zęby w uśmiechu. Skinieniem głowy wskazał na mały, wolno stojący domek w rogu podwórza. — Coś mi się widzi, że ten nasz Jacob to niezłe ziółko.

— A ty skąd wiesz? — w głosie Ruby zabrzmiała zgryźliwość.

Drzwi otworzył stary, zgarbiony mężczyzna o zażawionych oczach. Wyglądał na mocno przepracowanego. Ruby nie traciła czasu na uprzejmości.



- Gdzie Jacob?
- Kim pani jest?
- Jego żoną.
- Ale... ja myślałam... — wyjąkał, pociągając swe długie, śnieżno-białe włosy, przez co wydał się jeszcze bardziej wymęczony.
- Co pan myślał?
- No, że jego żona już tu jest.
- Ja nie powiedziałam, że jestem żoną, tylko narzeczoną. — Z wnętrza domu w przedpokoju wyłoniła się dziewczyna. Miała na sobie brązowy, obcisły płaszcz i szkocką czapkę z pomponem z Fair Isle oraz dopasowane do niej rękawiczki z jednym palcem. Gdyby nie zaczerwienione od płaczu oczy, byłaby wyjątkowo ładna.
- Przecież Jake nie jest żonaty.
- Ależ jest. Jak najbardziej — odpowiedziała rozżłoszczona Ruby.
- Jego żoną jestem ja! A to są jego dzieci. — Wskazała na wózek. — Tylko chciałabym wiedzieć, gdzie, do cholery, jest ich ojciec. Nawiasem mówiąc, on ma na imię Jacob. I co, dalej jesteś jego narzeczoną?
- Dziewczyna wydała z siebie krzyk i wybuchła płaczem.
- Jezu! Jest jeszcze gorzej, niż myślałam. Do tego jeszcze mnie oszukał.
- Zgadza się, ale *gdzie* on jest? — dopytywała się natarczywie Ruby.
- Dziecko drogie, on się zaciągnął do wojska — odpowiedział nerwowo Arthur Cummings. — Do Królewskiego Oddziału Pancernego. Powiedział, że jego żona wszystko wie.

Arthur był wrażliwym, starszym mężczyzną. Szczerze przejął się podłym zachowaniem swego byłego pracownika, jak gdyby osobiście przyniosło mu ono jakąś ujmę. Zaparzył w dzbanku herbatę, która — jak powiedział — robi dobrze zarówno gościom, jak i jemu samemu. Wózek pozostał w korytarzu. Obie kobiety usiadły przy nakrytym kordonkowym obrusem stoliku w przytulnym, ustronnym pokoju, który robił wrażenie, jakby od zeszłego wieku nic się w nim nie zmieniło. W czarnym piecyku buzował ogień, trzaskając wesoło.

Nie było sensu obwiniać siebie nawzajem. I jedną, i drugą Jacob wystrychnął na dudka. Być może było coś przewrotnego w tym, że Ruby wbrew swojej woli polubiła tę dziewczynę, która najwyraźniej miała złamane serce. Mówiła przez łzy, że go kochała, że w przyszłym miesiącu miał być ślub. Wczoraj wieczorem postanowili, że pójdą pooglądać wy-

stawy sklepowe i obejrzeć obrączki. Mieli je kupić w sobotę. Ale on się nie pojawił, co bardzo ją zmartwiło.

Ruby rzuciła okiem na mosiężną obrączkę, którą za sześć pensów kupiła u Woolwortha. Zapłaciła za nią sama. Palec jej siniał, kiedy nie zdecydowała jej na noc. Nie bardzo wiedziała, co czuje, wiedząc, że dopuszczono się wobec niej prawdziwej zdrady. Jacob miał kochankę! Nie wiedziała, że w ogóle był zdolny do czegoś takiego. Jednak plecy Jacoba zawsze uginały się pod ciężarem wszelkich przeciwności losu. Teraz, kiedy odszedł z jej życia, Ruby odczuła pewną lekkość. Może i popłacze sobie troszeczkę dziś w nocy, jutro lub nawet przez łulka nadchodzących dni z żalu nad tym, że coś, co zaczęło się tak pięknie, dobiegło smutnego końca. Jednak ów koniec nastąpił już jakiś czas temu.

Niepocieszona Beth zalała się łzami. Ruby wyciągnęła dłoń i dotknęła jej ramienia.

— Musisz spróbować o nim zapomnieć — powiedziała tonem, jakim matka przemawia do córki. — Jesteś jeszcze młoda. Poznasz kogoś innego.

— Nigdy o nim nie zapomnę i wcale nie chcę nikogo innego — mówiła dziewczyna, płacząc. — Moje życie legło w gruzach. Do pracy nie mogę wrócić. Wszystkim powiedziałam, że wychodzę za męża. Niektórzy już kupili mi prezent. Mają przyjść do kościoła Świętego Wincentego a Paulo, żeby popatrzeć.

— To dobry pomysł, że odwołałaś ślub — zaproponował Arthur. Siedział między nimi jak sędzia na zawodach. Wziął sobie bardzo do serca sytuację, w jakiej obie się znalazły.

— To dobry pomysł — rzekła Ruby z zachętą w głosie. — Powiedz, że się rozmyśliłaś.

Beth popatrzyła na nich z dramatycznym wyrazem na twarzy.

— Powiedziałabym, a jakże, ale... ale jestem z Jacobem w ciąży. Tato mnie zabije, jak się o tym dowie.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Jeszcze jedna młoda dama, która szuka Jacoba? Tylko nie to — rzucił Arthur błagalnym tonem, podszedł do drzwi i otworzył je. Nowy pracownik przyszedł powiedzieć, że już kończy.

Pukanie przypomniało Heather, że nikt się nią nie zajmuje, więc zaniosła się żałosnym płaczem.

— Muszę już iść — powiedziała Ruby. — Mam ważne sprawy do załatwienia i kilka spotkań.

— A co będzie ze mną? — spytała Beth, wciąż płacząc.

Ruby zmarszczyła brwi.

— A co ma być z tobą?

— Musisz mi pomóc.

— Wcale nie muszę. Jestem w jeszcze większych tarapatach. Muszę utrzymać dwoje dzieci, płacić czynsz i pracować.

— Ale nie masz złamanego serca, a ja mam — odparła Beth porywczo. — Ty wcale się nie przejmujesz. To widać. Nic dziwnego, że zainteresował się mną, bo ty na pewno nie poświęcałaś mu dość uwagi. To przez ciebie odszedł. Ty do tego doprowadziłaś.

— Chwileczkę, panienko — wtrącił się pan Cummings. — Uważam, że jesteś trochę niesprawiedliwa.

— Sprawiedliwość nie istnieje.

— Jacob odszedł z domu dopiero po tym, jak spotkał ciebie — zauważyła Ruby. — Uciekł prawdopodobnie dlatego, że dowiedział się o dziecku. Nie był w stanie utrzymać jednej rodziny, nie mówiąc już o dwóch.

— Ale przecież utrzymywał mamę i młodszych braci?

— Guzik prawda! Nie widział się z matką przez całe lata, a poza tym jest jedynakiem. Z trudem łożył na własne dzieci. Prawie wszystkie jego pieniądze szły na zakłady i piwo.

— Och! — Beth znów zaniosała się płaczem.

Być może niepotrzebnie wyjawiała tę brutalną prawdę. Ruby współczuła dziewczynie. Od razu widać było, że ma zbyt miękkie serce. Miała rację, mówiąc, że Jacobowi nie poświęcano w domu dość uwagi, ale on sam się do tego przyczynił. Kiedy przyjechali do Foster Court, okazywała mu najszczerze uczucie i zrozumienie. Żadna inna kobieta nie pozwoliłaby mu leżeć w łóżku dłużej niż kilka dni, a już na pewno nie zgodziłaby się utrzymywać go i skakać nad nim przez sześć miesięcy. Wciąż by tam był, pomyślała Ruby ze smutkiem, gdyby nie to, że na świat przyszła Greta. Własne córki traktował z obojętnością, jakby nie miały z nim nic wspólnego, jakby Ruby sama przyczyniła się do ich poczęcia.

— Bez niego życie ułoży ci się lepiej — powiedziała chłodno.

— Jak możesz tak mówić?! — krzyknęła dziewczyna.

— Przez dwa lata była jego żoną — wtrącił pan Cummings. — Ona wie najlepiej. Myślałem, że to sympatyczny facet, ale po tym, co usłyszałem dziś rano, wiele stracił w moich oczach.

Beth drgnęła.

— Jestem w trzecim miesiącu. Muszę wyprowadzić się z domu, zanim będzie po mnie widać. Im szybciej wyjadę, tym lepiej. Zrobię to na

własną rękę, bo tak czy siak, będzie po mnie, jak się tatko dowie. Przynajmniej nie będę musiała się ukrywać.

— Uważam, że to logiczne rozwiązanie — oświadczył starszek, kiwając siwą głową.

— No tak, ale dokąd mam pójść? — Wzruszyła ramionami, rozkładając bezradnie ręce. — Może mogłabym zamieszkać u ciebie? — Spojrzała na Ruby z nadzieją w oczach. — Przepraszam za to, co wcześniej niechcący powiedziałam.

Ruby zachnęła się.

— Wierz mi, nie spodobałoby ci się u mnie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby zamieszkać w Foster Court. Jeszcze nim Jacob wyjechał, w pokoju było dość ciasno, chociaż nie było go przez większość czasu. Przewracaliśmy się o siebie. Poza tym nie ma tam miejsca dla jeszcze jednego małego dziecka. A co będzie, jeśli zwolnisz się z pracy? Ja mam ciebie utrzymywać?

— Ciasnota mi nie przeszkadza — odpowiedziała Beth. — I wiesz co? — dodała ochoczo. — Będę sprzątać w zamian za utrzymanie. Nie będziesz musiała kiwnąć nawet palcem.

— Prawdę mówiąc, nie stać mnie na pomoc domową — odparła Ruby cierpkim tonem.

— No, to możemy udawać, że ja jestem żoną, a ty mężem. Kiedy ty będziesz w pracy, ja zaopiekuję się dziećmi i zajmę się gotowaniem. Gdzie pracujesz?

— Prowadzi lombard — wtrącił Arthur z dumą w głosie.

— O, nie, dziękuję. Nie chcę być niczym mężem — sarknęła Ruby. — Co więcej, moim głównym życiowym celem jest wyprowadzić się z Foster Court, a nie przyjmować tam współlokatorów. — Założyła ręce, co oznaczało, iż podjęła decyzję. Z przedpokoju słychać było krzyk młodszej z dziewczynek, która, usiłując ściągnąć na siebie uwagę, straciła już wszelką cierpliwość. — Muszę iść, bo inaczej ściany popękają od wrzasku Heather.

— Mam dla was obu pewną propozycję — powiedział Arthur. — Możecie wprowadzić się do mnie. Mam na górze dwa wolne pokoje i salon, z którego nikt nie korzysta. Zapłaty nie chcę. W zamian mogłybyście sprzątać i gotować — mówił, żałośnie pociągając nosem. — Odkąd zmarło się mojej starej, ani razu nie jadłem porządnego obiadu. Miło byłoby mieć kogoś do towarzystwa. — Załzawione oczy wodziły wzrokiem od jednej do drugiej. — A w dodatku lubię dzieci — dodał, jak gdyby podjęcie decyzji zależało od tej dodatkowej zachęty. — No, co wy na to?

— O tak! — wykrzyknęła bez wahania Beth.

Ruby dała sobie kilka sekund namysłu. Lubiła Beth. Łączyło je to, że zostały zdradzone przez tego samego mężczyznę. Lubiła też Arthura i podobał jej się jego mały, wygodny domek.

— No, dobrze — powiedziała po chwili. — Beth może się zająć sprzątaniami, gotowaniem i opieką nad dziećmi. Ja wyłożę na jedzenie. Tak będzie sprawiedliwie. Ale — dodała ostrzegawczym tonem — pod żadnym pozorem nie chcę być traktowana jak mąż.

Arthur westchnął z ulgą.

— To jak, zgoda?

— Zgoda — odparły jednogłośnie obie kobiety. Ruby pomyślała sobie, że Jacob zemdlałby pewnie, widząc, jak uśmiechają się do siebie i podają sobie dłoń.

# BETH

## Rozdział 6

1938-1945

Sześć miesięcy później, w parną, sierpniową noc, o przyjście na świat upomniał się synek Beth. Naraził swą rodzicielkę na niesamowite cierpienia, co wprawiło Arthura Cummingsa w lekkie podenerwowanie. Chodził z kąta w kąt niczym ojciec czekający na narodziny dziecka.

— Czy ona umrze? — zapytał drżącym głosem, gdy powietrze rozdarł kolejny wrzask, najbardziej przenikliwy ze wszystkich.

— Oczywiście, że nie — syknęła Ruby.

Kiedy jej własne dzieci przychodziły na świat, nie przejmował się tym nikt inny poza nią samą, dlatego brakowało jej cierpliwości do rozhisteryzowanej Beth. W sypialni była przy niej pani Mickelwhite, która odbierała poród Greta i Heather. Ruby pobiegła na górę sprawdzić, czy głośny krzyk Beth nie obudził dziewczynek, ale one spały twardym snem, leżąc po przeciwległych krańcach jednoosobowego łóżka. Posiedziała tam chwilkę, aż wydobywający się z sąsiedniego pokoju wrzask sięgnął zenitu, po czym nagle ucichł. Noworodek zapłakał donośnie. Zaczekawszy do usunięcia wszelkich krwawych śladów porodu, Ruby weszła do sypialni, gdzie pani Mickelwhite właśnie podawała Beth duże, pulchne dziecko. Świeżo upieczona mama wyglądała na wyczerpaną. Była zlnana potem, a jej włosy koloru imbiru sterczały na wszystkie strony.

— Waży co najmniej dziesięć funtów — stwierdziła akuszerka, cmojkając z zadowoleniem. — Biedna kobieta, tyle się namęczyła. Jakie nadasz mu imię, złotko?

— Jake — odpowiedziała Beth, wytykając język w stronę Ruby.

— Zołza! — odcięła się Ruby sarkastycznie uprzejmym tonem.

Dziewczyny uwielbiały się i nienawidziły jednocześnie. Ruby zarzucała Beth lenistwo i rozrzutność, choć w duchu przyznawała, iż wady te wydawały się błahe w obliczu wielu pozytywnych cech i dobrego serca

dziewczyny. Beth z kolei krytykowała Ruby za to, że się szarogęsi i jest tak skąpa, jakby w kieszeni miała węża. Musiała jednak przyznać, iż Ruby rzeczywiście pracowała bardzo ciężko i była niezwykle opiekuńcza. Sprzeczały się co do tego, czy nadać dziecku imię Jake, jeśli urodzi się chłopiec. Ruby nie chciała, żeby cokolwiek przypominało jej Jacoba, szczególnie w ludzkiej formie. Beth natomiast pragnęła uwiecznić go w swej pamięci. Mówiła o sobie „Beth Veering” i zatrzymała sobie nawet jego pędzel do golenia, który Ruby zamierzała wyrzucić. Stał na toalecie w pokoju Beth niczym element dekoracyjny.

— Ach, jaki on przystojny — powiedziała Beth, uśmiechając się dumnie do swego nowo narodzonego synka, który właśnie się zbudził i machał pulchnymi piąstkami jak bokser. Jego główkę porastały delikatne, jasnobrązowe włoski, zaś skóra miała odcień bladej opalenizny i była nieco jaśniejsza niż skóra Beth.

— Jest śliczny — przyznała szczerze Ruby. Pocałowała Beth i w powitalnym geście ujęła małego Jake'a za rączkę.

— Gdzie jest jego ojciec? — zapytała pani Mickelwhite.

— W wojsku.

— A co się dzieje z pani mężem, pani O'Hagan? Widziałam go kilka razy, pamięta pani.

— Też w wojsku.

— Razem się zaciągnęli — dodała Beth, błyskając zębami w zawadiackim uśmiechu.

— Bardzo się przyjaźnią — przyznała Ruby z podobnym uśmiechem na twarzy.

— To ładnie — zauważyła pani Mickelwhite.

Przyjemnie było mieszkać u Arthura Cummingsa. Domek, chociaż niewielki, okazał się bardzo przytulny. Beth narzekała trochę na ciasnotę, a Ruby, opuściwszy Foster Court, doceniała komfort spania i jedzenia w osobnym pokoju oraz możliwość korzystania z porządnej kuchni, którą miały tylko i wyłącznie na swój użytek. Pranie brudziło się od pyłu węglowego, łazienka znajdowała się na przeciwległym końcu podwórza, ale przynajmniej nie była dostępna dla wszystkich mieszkańców, więc przy odpowiedniej perswazji Beth potrafiła utrzymać tam jako taki porządek.

Chodząc po różnych lombardach i biegając od klienta do klienta, Ruby nie musiała już zabierać ze sobą dziewczynkę. Cieszyły się, że zostają z Beth i Arthurem, dzięki czemu Ruby mogła wpaść z wizytą do Marthy Quinlan na herbatę i plotki. Czowała się wtedy jak kobieta niepracująca. Za-

przyjaźniła się także z panią Hart. Często odwiedzała ją i jej Tygryska, nawet wtedy, gdy nie było nic do zastawienia na spłatę długów jej wyrodnego syna.

Niedziele Beth miała wolne i Ruby niechętnie przejmowała obowiązki związane z gotowaniem. W soboty obie szły do kina Dingle Picture-dome albo Beresford. Wtedy dziećmi zajmował się stary Arthur. Początkowo strasznie wykłócały się o to, na jaki pójdą film, aż wreszcie zdecydowały, że będą wybierać na zmianę. Ruby uwielbiała melodramaty, Beth z kolei wołała komedie oraz wszystkie filmy z udziałem Franchota Tone'a.

Wszystkim podobał się taki układ. Arthur płacił rachunki i na stare lata cieszył się towarzystwem. Beth i jej synek mieli dach nad głową w zamian za wykonywanie prac domowych, choć zdaniem Ruby, która łożyła na wyżywienie, Beth nie wywiązywała się z tego zbyt dobrze. Resztą pieniędzy dzieliła się z Beth. Starczało na kupno rzeczy, na które nie było jej stać, odkąd wyjechała z Brambles.

Młody człowiek o imieniu Herbie, który pracował na miejscu Jacoba, też okazał się pomocny. Każdego wieczoru, po skończonej pracy, doglądał konia Clifforda.

Arthur jako jedyny przejął się tym, że nad światem — niczym czarne chmury na horyzoncie — zawisło widmo wojny. Codziennie czytał *Daily Herald* i siedział z uchem przy radiu.

— Coś mi się zdaje, że ten cały Hitler za bardzo się rzuca — mawiał często. — Przeżyłem już niejedną wojnę. Nie boję się o siebie, bo wykrzystałem już swoje życie. Boję się o was, młodych.

— Nie ma się czym martwić. — Ruby najwyraźniej nie chciała uwierzyć, że nawet ktoś taki jak Adolf Hitler byłby na tyle głupi, by zacząć tę nieuniknioną zdaniami niektórych felietonistów wojnę. Nie zważała na jej złowrogie zwiastuny. Do drzwi wszystkich budynków w okolicy dostarczono broszurę „Jak chronić dom przed atakiem powietrznym”, a zaraz po niej kolejne — na temat oklejania okien taśmą, by zapobiec wybiciu szyb, oraz instrukcję obsługi maski gazowej. Martha Quinlan zgłosiła się do OSK — Ochotniczej Służby Kobiet, gdzie uczone ją zasad udzielania pierwszej pomocy. Miała nadzieję, że pod jej nieobecność Fred, w poczuciu spełnienia patriotycznego obowiązku, zajmie się prowadzeniem pubu Malt House.

Niemcy dokonały aneksji Austrii, zagroziły Czechosłowacji i postawiły swe siły zbrojne w stan gotowości. Benito Mussolini powołał we Włó-



szech faszystowski rząd. Ruby jednak nadal sądziła, iż wojny da się uniknąć.

We wrześniu premier brytyjski Neville Chamberlain spotkał się w Monachium z Adolfem Hitlerem. Wróciwszy do kraju, wymachiwał kartką papieru, która miała zagwarantować „pokój w naszych czasach”.

— Widzicie? Mówiłam, że wojny nie będzie — zapiszczała Ruby po tym, jak usłyszała tę informację w radiu.

Okazało się jednak, iż kartka papieru nie miała żadnej wartości, a Niemcy beztrudno realizowali swój plan podboju całego kontynentu europejskiego.

Wyczekiwane z utęsknieniem święta Bożego Narodzenia zepsuła dostarczona kilka dni wcześniej przesyłka — trzy maski gazowe dla dorosłych. Maski dla dzieci, w tym jedna specjalna, dla liczącego sobie już pięć miesięcy Jake'a, miały przyjść później. Najbardziej odbiło się to na Arthurze, którego od tamtej pory nękało nieustanne przygnębienie. Kiedy dobiegł końca konflikt zbrojny z 1914-18, mówiono, że była to „wojna dająca kres wszystkim innym wojnom”, a tymczasem szykowała się kolejna. Arthur żalił się, że stracił wiarę w ludzkość i że na świecie nie istnieje już dobro, skoro ktoś taki jak Adolf Hitler odnosi sukcesy.

— Wiecie, co on robi z Żydami?! — Arthur przestał chodzić do kościoła. Nie wierzył już w Boga. Z wielkim przejęciem uważał się nad losem trójki dzieci, które w przejawie dobroci przyjął pod swój dach. — Jakaż przyszłość czeka te biedne maleństwa? — mawiał rozpaczliwie.

Zastanawiali się, co przyniesie ze sobą Nowy Rok 1939. Mijały tygodnie i miesiące, a wojna stawała się coraz bardziej nieunikniona. Wszystko na nią wskazywało. Na rogu ulic wybudowano ceglane bunkry, siedziby ważnych instytucji obłożono workami z piaskiem. Utworzono punkty pierwszej pomocy. Agnes-Fay opowiadała o tym, że personel przechodził szkolenie z ewakuacji na wypadek ataku powietrznego. Martha mówiła, że jak tylko wojna się zacznie, wszystkie dzieci z Liverpoolu zostaną ewakuowane do innych miejsc, takich jak Southport czy Walia.

— Po moim trupie — przysięgała Ruby. — Nie pozwolę na to, żeby rozdzielono moje dzieci i mnie.

— Wcale nie ma takiego obowiązku — zapewniła ją Martha. — Poza tym matki będą mogły jechać z dziećmi.

— Chciałabym, żeby moje były już dorosłe, jak twoje — odpowiedziała jej Ruby, wydając z siebie głębokie westchnienie. — Wtedy nie musiałabym się aż tak bardzo martwić.

Martha położyła jej dłoń na ramieniu i potrząsnęła lekko.

— Tu się mylisz, złotko. O dzieci zawsze trzeba się martwić, bez względu na ich wiek. Nasz Jim służy w marynarce handlowej, a na morzu będzie przecież najbardziej niebezpiecznie. A skoro już o nim mowa — przyjeżdża na weekend do domu, po długich miesiącach. Robimy w sobotę małe przyjęcie. Serdecznie cię zapraszam. Nie mówiłam ci wcześniej, bo myślałam, że będziesz musiała zostać w domu z dziećmi.

— A mogę przyprowadzić Beth? — Obie założyłyby nowe sukienki z C&A, które dostały na Gwiazdkę.

— Przyprowadź, kogo chcesz, złotko. A co słyhać u Jacoba? Dał o sobie znać?

— Ostatnio jakoś nie.

— Nadal jest w Aldershot?

— Z tego, co wiem, to tak. Tam właśnie wysłałam do niego ostatni list, ale on jeszcze nie odpisał. Pisanie jakoś nigdy mu nie szło. — Doszły ją słuchy, że Królewski Oddział Pancerny stacjonował w Aldershot. Nie kłamała, mówiąc, że Jacob się zaciągnął. Nie wspomniała jedynie o tym, iż był to jego sposób na definitywną ucieczkę od rodziny.

— Bo on już taki jest, że co w sercu, to najęzyku. Pewnie zastanawia się teraz, gdzie go przeniosą, jak zacnie się wojna.

— Oj, tak. — Ruby była ciekawa, czyjako żołnierz Jacob będzie bardziej odważny niż jako cywil.

To było pierwsze spotkanie Ruby z Jimem Quinlanem. Uznała, że ma bardzo przeciętną urodę, choć niekiedy w jego kamiennym i opanowanym wyrazie twarzy było coś niemalże pięknego. Bardzo podobało jej się to, iż każdemu potrafił poświęcić niepodzielną uwagę. Dzięki temu człowiek, nawet traktowany „z góry” przez wszystkich innych, czuł się wyróżniony.

Marynarka handlowa była jego życiem. Szesnaście lat temu zgłosił się na służbę do Elder Dempster jeszcze jako kadet. Niedawno awansował na kapitana marynarki, a teraz miał już stopień komandora podporucznika, co było odpowiednikiem podpułkownika. Jednak nigdy jeszcze nie dowodził swoim własnym statkiem. Na kuli ziemskiej nie było chyba takiego kraju, którego nie odwiedził. Pływał po oceanach całego świata na statkach dużych i małych, towarowych i osobowych.

— Więc to jest ta słynna dziewczyna z lombardu — powiedział, kiedy Martha przedstawiła ich sobie nawzajem w sobotni wieczór w Malt

House. — Mama często pisze o tobie w listach. Miło poznać cię wreszcie na żywo. Miała rację, mówiąc, jaka jesteś ładna.

— Ja ładna? — zająknęła się Ruby, której język zaczął dziwnie się plątać. Nie pożałowała, że założyła swoją nową sukienkę w kolorze szmaragdu. Emily podobały się ten prosty krój, ale nie kolor.

— Wszystko wiem. Twój mąż służy w wojsku. Masz też dwoje dzieci. W jakim są wieku?

— Greta ma trzy latka, a Heather dwa. W zeszłym miesiącu obie miały urodziny.

— Sama chyba jesteś jeszcze dzieckiem — powiedziała z uśmiechem, patrząc jej głęboko w oczy.

— Moje urodziny też były w zeszłym miesiącu. Skończyłam dwadzieścia lat.

— Dwadzieścia?! Przy tobie czuję się jak emeryt. Ja mam trzydzieści jeden.

— To wcale nie emeryt — zaprotestowała.

— Ale wystarczająco zaawansowany wiekiem, żeby takie dziewczęta jak ty były dla mnie niedostępne. Gwoli ścisłości, mam na myśli te niezamężne.

Ruby pomyślała, że jak tylko zacznie się wojna, Jacob musi zginąć. Wtedy zostanie wdową i będzie *dostępna* dla Jima Quinlana.

Wtedy do rozmowy wtrąciła się siedząca po drugiej stronie Beth.

— Pewnie masz dziewczynę w każdym porcie — rzekła, trzepocząc rękami i rzucając mu fałszywie skromne spojrzenie. Ubrana w jasnoniebieską suknię, wyglądała tego wieczoru atrakcyjnie.

— No, może nie w każdym. Przepraszam na chwilkę, mama mnie wolała. — Martha wychyliła się zza baru i przywoływała go skinieniem ręki.

— To tak uwiodłaś Jacoba? — spytała z wściekłością Ruby, kiedy Jim się oddalił. — Gapiłaś się na niego oczyma zdychającej krowy?

— Jacob był moim mężem na tyle długo, żeby przyzwyczaić się do widoku krowy.

— Wymiotować mi się chce na widok flirtujących bab.

— Mówisz tak, bo sama nie umiesz flirtować.

— Bo i po co? Przecież to poniżające. Mężczyźni mają mnie lubić za to, jaka jestem. Ajak im się nie podobam, to droga wolna.

— Z tego, co widzę, niewiele im się w tobie podoba. Byłaś tylko z Jacobem, który rzeczywiście się wyniósł.

— To była twoja wina, nie moja. — Ruby zakończyła potyczkę słowną, udając się do toalety, a kiedy wyszła, stanęła, oparłszy się o ścianę,

i obserwowała Jima Quinlana, który siedział w towarzystwie jakiegoś starszego małżeństwa, potakując od czasu do czasu i nie zważając na panujący w barze hałas. Miał ogorzałą od słońca twarz i gładką skórę, na której wbrew temu, co myślała o osobach spędzających całe dnie pod gołym niebem, nie widać było śladów pogody. Dokoła jego piwnych oczu rysowały się delikatne zmarszczki, a jego rzęsy były krótkie, grube i bardzo gęste. Wyobrażała go sobie, jak stał na pokładzie, słońce świeciło mu w oczy, a on osłaniał je długą, smukłą i bardzo opaloną dłonią.

Zadrzała, wyobrażając sobie, że idzie z Jimem Quinlanem do łóżka i budzi się w jego ramionach. Słodkie rozmyślenia przerwała Martha, poszturchując ją talerzem pełnym bułek z parówką.

— Pomóż mi, mała. Zanieś to. Za barem mam roboty po same łokcie.

— Z chęcią. — Dzięki temu będzie miała szansę porozmawiać znowu z Jimem.

W lipcu pani Hart postanowiła wyjechać do Ameryki.

— Mam tam siostrę. Nora mieszka w Kolorado. Chyba już ci mówiłam. Jak zacznie się ta cholerna wojna, niebezpiecznie będzie pływać przez Atlantyk.

Ruby pomyślała o Jimie Quinlanie, który nie ma wyboru i musi pływać przez Atlantyk bez względu na to, czy jest bezpiecznie, czy nie.

— A co z Maxem? — spytała.

— Już go wzięli do wojska. Zaciągnął się do Królewskich Sił Powietrznych, bo na uniwersytecie nauczył się latać. — Uśmiechnęła się. — Nie ukrywam, że się cieszę. Wygląda na to, że rozpoczął w swoim życiu nowy rozdział.

— Zabiera pani ze sobą Tygryską? — Urósł do pokaźnych rozmiarów, ale wciąż zachowywał się jak kocię. Ruby podrapała go pod szyją, na co zamruczał z aprobatą.

— Niestety, nie mogę. U Nory są już dwie kotki. Tygrysek byłby w swoim żywiole i szybko narodziłyby się kocięta, co raczej nie będzie tam mile widziane. Nie, nie. Tygrysek pojedzie do znajomej w Childwall. Jestem pewna, że będzie mu tam dobrze, prawda, Tygrysku? — Ale kot nie wydawał się zbytnio uradowany takim postanowieniem. Wpatrywał się tylko obojętnie w swoją właścicielkę. A pani Hart mówiła dalej: — Ruby, kochanie, czy mogłabyś wyświadczyć mi pewną sporą przysługę? — Z szuflady kredensu wyjęła małą, brązową kopertę.

— Dobrze pani wie, że zrobię wszystko — zapewniła ją Ruby. Bardzo zaprzyjaźniła się z panią Hart i żałowała, że wyjeżdża.

— Czy pod moją nieobecność zaopiekowałabyś się domem? Dam ci klucze. Postąpiłabym głupio, gdybym go sprzedała. Mówią, że wojna potrwa tylko parę miesięcy. Szybko wrócę. Przychodź tu, proszę, raz na kilka tygodni i sprawdź, czy wszystko w porządku. Prąd, gaz i wodę wyłączę, więc nic nie powinno się zdarzyć, ale w razie czego napisałam ci tu, na kartce, adres Nory. Jeśli coś będzie nie tak, daj mi znać. Z ogrodu możesz korzystać do woli, moja droga. Jadłaś już jabłka prosto z drzewa. Wiesz, jakie są pyszne i kruche. Jest tam też rabarbar o smaku wina.

— Będę za panią tęsknić — powiedziała Ruby, biorąc kopertę.

— A ja będę tęsknić za tobą, droga Ruby, i za twoimi ślicznymi córeczkami. — Pani Hart była już bliska łez. — Ale to nie potrwa długo, prawda? Wrócę tu, zanim się obejrzyś i znów siądziemy sobie razem przy herbacie — tylko ty, ja i Tygrysek...

To był cudowny dzień: nie upalny, lecz przyjemnie ciepły. Złociste słońce lśniło na błękitnym, bezchmurnym niebie — typowa, słoneczna niedziela. W innych okolicznościach taki dzień można by uznać za błogosławieństwo od Boga, gdyż pokazywał, jak idealny jest świat, gdy Stwórca ma dobry nastrój.

W rzeczywistości jednak dzień ten nie był nawet w najmniejszym stopniu idealny.

Ruby i Beth spacerowały po Parku Książąt. W wózku, w którym kiedyś jeździły Greta i Heather, twardym snem spał dziś Jake. Dziewczynki zaś ganiały po gęstej, suchej trawie, chowając się za drzewami i nawołując się nawzajem, a ich dziecięce głosiki rozbrzmiewały głośnym echem w popołudniowym powietrzu.

Na twarzach młodych kobiet malowały się powaga i smutek. Tego dnia, o godzinie jedenastej, Wielka Brytania wypowiedziała Niemcom wojnę po tym, jak Hitler zaatakował Polskę — kraj, który na mocy traktatu zobowiązali się bronić.

— Co teraz zrobimy? Chodzi o tę ewakuację — odezwała się ponuro Beth. Jej głos był ściśszony, jak gdyby mówiła sama do siebie.

— Myślę, że powinniśmy jechać, chociaż nie chciałabym zostawiać Arthura samego.

— Ja też nie. Jednak najważniejsze są dzieci.

— Arthur jak najbardziej się z tym zgadza. Ciężko zniósłby fakt, że zostajemy w Liverpoolu tylko z jego powodu. — Ruby obserwowała, jak krucha Greta pochyła się lekko pod ciężarem uczonej jej ręki młodszej siostry, Heather. Heather opiekowała się Gretą jak kwoka kurczęciem. Na

myśl o tym, że któreś z córek mogłaby stać się krzywdą, Ruby poczuła napływające do oczu łzy. Martwiła się też o Beth i Jake'a. Kochała Beth jak własną siostrę, a Jake'a jak własnego syna.

Arthur zrobił wiele hałasu o to, że wychodzą na spacer. Bał się, że lada moment będzie nalot.

— Tylko się nie oddalajcie — prosił ostrzegawczym tonem. Dlatego się nie oddalały.

Ruby spojrzała w niebo, zaniepokojona tym, że może tam ujrzeć samolot wroga, pełen śmiertelnych bomb. Niebo jednak było czyste aż po horyzont. Rozświetlał je tylko blask słońca.

— Martha Quinlan pomaga organizować ewakuację. Może w drodze do domu wstąpimy do pubu Malt House i umówimy się na jutro? — zaproponowała Ruby. — Dla ewakuowanych są specjalne autobusy i pociągi...

Beth westchnęła.

— No, dobrze. Tylko proszę cię, jedźmy dokądkolwiek, byle pociągiem. W autobusie z dziećmi będzie prawdziwa męczarnia.

— Zgoda, pojedziemy pociągiem.

Martha poinformowała je, że autobusy kursują do Walii, a pociągi do Southport. Powiedziała im też, że nazajutrz powinny stawić się na stacji Exchange o dziesiątej rano.

— U kogo będziemy mieszkać? — zapytała Beth.

— Nie wiadomo, złotko. Zdaję sobie sprawę, że tam, dokąd jedziecie, czeka was coś w rodzaju wystawy u rzeźnika. Będziecie musiały po prostu stać i czekać na swoją kolej.

W drodze powrotnej w Beth odezwał się sentyment.

— Bardzo bym chciała pójść zobaczyć się z braćmi. Ronnie ma osiemnaście lat, a Dick dwadzieścia jeden. Na pewno dostali już wezwanie do wojska.

— Pójdę z tobą — zaproponowała Ruby.

— Nie, dzięki, Ruby. Tata uzna, że to stosowny moment, żeby spuścić mi lanie. Nie chcę jechać do Southport z ręką w gipsie.

Zostanę i będę doglądał ogniska rodzinnego — obiecywał dzielnie Arthur, kiedy wyruszały następnego ranka. Zabierały ze sobą wózek, w którym siedział Jake, kilka pośpiesznie spakowanych walizek oraz przewieszzone przez ramię maski gazowe. Staruszek najwyraźniej był bliiski łez. Widać było, jak trzęsą mu się ręce. Wyglądał na słabszego niż zazwyczaj.

— Pamiętajcie, że tu jest wasz dom — powiedział, nie kryjąc wzruszenia. — Możecie tu przyjeżdżać i wyjeżdżać stąd, kiedy wam się podoba.

— Dzięki, Arthurze — odpowiedziała Ruby, zarzucając mu ramiona na szyję. — To mój pierwszy *prawdziwy* dom...

W pociągu było mnóstwo dzieci, podekscytowanych lub zapłakanych — na ich pobladłych twarzach malował się strach. Tym najmłodszym towarzyszyło kilka matek. Umundurowana wolontariuszka rozdawała kanapki na drogę i zakładała im na nadgarstki opaski z imieniem i nazwiskiem. Ruby przymocowała swoją do kołnierza zielonej sukni.

W Southport zebrano wszystkich na placu zaraz obok stacji, gdzie stało kilka zaparkowanych samochodów. Ich właściciele od razu wysiedli i zaczęli chodzić pomiędzy przyjezdnymi, oceniając ich niedyskretnie. Największym zainteresowaniem cieszyły się elegancko ubrane dzieci — te zabierano od razu.

— Martha miała rację — powiedziała oburzona Ruby. — Czuję się tak, jakbym była kawałkiem mięsa. Zaraz ktoś zapyta, jaka jest cena za kilogram. — Mimo to cieszyła się, że każda z nich miała na sobie najlepsze rzeczy. Ubrane w falbaniaste sukienki z bawełny, dziewczynki przypominały małe księżniczki, zaś Jake wyglądał wprost przeuroczo w swoim biało-granatowym ubranku marynarskim, które dostał od Arthura na pierwsze urodziny.

— Czy pójdziesz ze mną, moja droga? — Ruby poczuła na ramieniu dotyk czyjejś ręki. Obok stała wysoka kobieta o siwych włosach i przyjaznym, łagodnym wyrazie twarzy. Ubrana była w granatowy płaszcz z drogiego materiału oraz dopasowany do niego kapelusz.

— Beth, chodź tutaj! — zawołała Ruby. — Greta, kochanie, złap Heather za rączkę. Ja poniosę bagaże.

Ale kobieta potrząsnęła głową.

— Przykro mi, moja droga. Mam na myśli ciebie i twoje córeczki. Dla większej liczby osób nie ma u mnie miejsca.

— W takim razie zaczekam na kogoś, kto może przyjąć nas wszystkie — rzekła Ruby.

— Czekałaby pani bez końca... — wtrąciła się wolontariuszka, spoglądając na opaskę przy kołnierzu Ruby — ...pani O'Hagan. Wątpię, czy ktoś w ogóle zgodzi się przyjąć dwie osoby dorosłe i troje dzieci.

— Ruby, idź — powiedziała Beth, popychając ją lekko. — Spotkamy się jutro przy stacji. Około drugiej.

— Ale ja chciałam, żebyśmy były razem!

— Wykluczone, pani O'Hagan. Dzięki uprzejmości panny Scanlon ma pani zakwaterowanie. Prosiłabym, żeby pani udała się tam od razu. Wstrzymuje pani całą akcję.

Panna Scanlon zaprowadziła je do małego morrisa. Przez całą drogę zagadywała je przyjaźnie. Ruby siedziała na tylnym siedzeniu. Nie odzywała się prawie wcale. Przyciskała do siebie milczące dziewczynki, powstrzymując łzy. Bardzo przeżyła rozstanie z Arthurem, jednak nie sądziła, że będzie musiała pożegnać się także z Beth.

— Jesteśmy na miejscu! — Zatrzymały się na przedmieściach, przed małym domkiem szeregowym. — Wezmę bagaże, a ty zajmij się dziećmi — zaproponowała ochocho panna Scanlon. — Na pewno każda z was czuje się nieswojo.

W domu było przyjemnie. Stały tam dębowe meble w jasnym kolorze. Na wypolerowanej podłodze leżały wzorzyste dywaniki. Tu i ówdzie znajdowały się wazony pełne róż: czerwonych, żółtych oraz pięknych herbacianych. Ich ciężki zapach czuć było w całym domu. Jednakże, wchodząc do miejsca, które od tej chwili miało być ich domem, Ruby doznała mdłości, podobnie jak w dniu, kiedy po raz pierwszy przyszła do Foster Court.

Greta uderzyła w płacz.

— Nie podoba mi się tutaj, mamusiu — powiedziała szeptem Heather.

— Obie macie być cicho!

Zaprowadzono je na górę.

— Dla ewakuowanych przeznaczyłam duży pokój, bo tu mieści się więcej łóżek. Ja przeniosłam się do pokoju na końcu korytarza. — Panna Scanlon wskazała ręką na dwuosobowe łóżko pokryte kwiecistą kołdrą puchową. Na podłodze stały dwa łóżka polowe, wyposażone w koce.

— To miło z pani strony, że zgodziła się pani nas przyjąć — wymamrotała Ruby.

— Cieszę się bardzo, że mogę komuś pomóc, pani O'Hagan.

Łóżko było wygodne i pierwszą noc każda z nich przespaa dobrze. Nie brakowało też smacznego jedzenia. Panna Scanlon bardzo starała się stworzyć przyjazną, domową atmosferę.

Dla nich jednak nie był to *dom*. Greta i Heather nie miały gdzie się bawić, a Ruby nie bardzo wiedziała, co ze sobą począć. Salon wydawał się miejscem niedostępnym, zaś w pokoju gościnnym przez większość czasu przebywała panna Scanlon i nie mogły oprzeć się wrażeniu, że wchodzą



jej w drogę. W ogrodzie były jedynie krzaki róż i warzywnik. Nie było gdzie biegać. Po nieudanej próbie Heather wróciła z paskudnym zadrapaniem na ramieniu. Sypialnia była jedynym miejscem, w którym mogły być same, choć zamykanie się na długie godziny wydawało im się niegrzeczne.

Dlatego po obiedzie z ulgą opuściły dom, udając się do autobusu, by pojechać do centrum miasta na spotkanie z Beth.

Wysiadły przy Lord Street, gdzie był ładny, duży bulwar, pośrodku którego rosły drzewa. Kiedyś Ruby chodziła tam na zakupy z Emily. Pogoda była równie piękna, jak poprzedniego dnia.

— Później pójdziemy na plażę — obiecała Ruby. — Najpierw spotkamy się z Beth i Jakiem i razem coś zjemy.

— A kiedy pojedziemy do Altula? — spytała Greta drżącym głosem.

— Nie wiem, kochanie. Niedługo.

Na małej twarzyczce pojawił się grymas.

— Ja chcę do domu, do Altula.

— Pojedziemy na pewno.

Beth spóźniła się. Ruby miała nerwy jak postronki, Greta nie kryła swego niezadowolenia, a Heather szybko znudziła się siedzeniem na ławce przy budynku stacji i zaczęła narzekać na skaleczone ramię.

Minęły dwie godziny, a Beth i Jake'a nadal nie było. Ruby poważnie się zaniepokoiła, jednak zdecydowała, że nie będą już dalej czekać. Greta mazgała się niemiłosiernie, powtarzając w kółko, że chce do domu, do Arthura, a Heather wpadła w paskudny nastrój. Ruby zabrała je na obiecany podwieczorek, następnie poszły na krótki spacer po plaży, aż wreszcie wsiadły w autobus i wróciły do panny Scanlon.

— Czy ma pani może numer telefonu kogoś z Ochotniczej Służby Kobiet? — spytała ją Ruby zaniepokojonym tonem.

— Obawiam się, że nie, moja droga. Czy coś się stało?

— Moja koleżanka zaginęła. Nie przyszła na spotkanie. Zachodzę w głowę, gdzie ona może być.

— Na pewno jest gdzieś w pobliżu, pani O'Hagan. Nie powinna się pani martwić.

Ale Ruby martwiła się przez całą noc. Beth nie pojawiła się na stacji również następnego dnia, co jeszcze bardziej ją zaniepokoiło. Z budki telefonicznej zadzwoniła do pubu Malt House, by zapytać Marthę Quinlan o ewentualne miejsce pobytu Beth i Jake'a. Martha nie miała pojęcia, ale obiecała, że się dowie.

— Jak będziesz z nią rozmawiała, to powiedz jej, że codziennie będę przychodzić na stację o drugiej i czekać, aż się zjawi.

Po dwóch dniach na stację Southport przybiegła zlaną potem Beth. Niosła zapłakanego Jake'a oraz walizkę.

— Chyba ząbek mu się wyrzyna — powiedziała. Nagle na jej twarzy pojawiła się rozpacz i sama wybuchła płaczem. — Och, Ruby! Mieszkamy w okropnym domu na samym odludziu. Ta kobieta, pani Dobbs, ma piątkę dzieci, a mnie traktuje jak pomoc domową. Autobusy tam nie jeżdżą, więc nie mogłam się stamtąd wyrwać. Jeden z dzieciaków zepsuł mi wózek. Śpię na łożku połowym razem z Jakiem. Prawie nie zmrużyliśmy tam oka.

— Usiądź, kochanie — powiedziała wyraźnie zmartwiona Ruby. — Daj mi Jake'a.

— Ja już tam nie wrócę, Ruby — chlpała Beth. — Zabrałam wszystkie nasze rzeczy. Nie szkodzi, że nie mam już wózka. Szłam i szłam, aż zobaczyłam przystanek autobusowy. Modliłam się za wszystkie czasy, żebyś tylko tu była.

— Jasne, że tam nie wrócisz. Na pewno uda nam się jakoś dotrzeć do wolontariuszki, a ona znajdzie ci zakwaterowanie w jakimś innym miejscu.

— Nie, Ruby. Nie znajdzie. Tamtego dnia, kiedy przyjechaliśmy, czekałam tu do wieczora, ale nikt nie chciał wziąć Jake'a i mnie. Zostaliśmy tylko my. Kobieta, która nadzorowała akcję, musiała zabrać nas do siebie. Następnego dnia zaraz wywozła nas daleko, za miasto, i zostawiła u pani Dobbs.

— Przecież ty i Jake wyglądaliście na bardziej przyzwoitych niż cała reszta. Myślałam, że zaraz po tym, jak my odjedziemy, was też ktoś zabierze.

— Czy ty nic nie rozumiesz, Ruby? — Beth przestała płakać i smutno uśmiechnęła się do swej przyjaciółki.

— A co tu jest do rozumienia?

— Ja i Jake mamy ciemny kolor skóry — powiedziała chłodnym tonem.

— Wiem o tym — odpowiedziała zniecierpliwiona Ruby. — Powiedziałabym nawet, że macie bardzo ładny kolor skóry. Więc w czym problem?

— Nie wszyscy są tak tolerancyjni jak ty. W Toxteth czy w Dingle to nie problem, bo tam jest sporo ciemnoskórych, ale są takie miejsca w Liverpoolu, gdzie nie jesteście mile widziani.

Ruby otarła zapłakaną twarz Jake'a swoją chusteczką. Był ślicznym dzieckiem o miłym usposobieniu. Ruby nie mogła pojąć, jak można mieć uprzedzenia do niewinnego, rocznego dziecka tylko dlatego, że nie jest białe.

— I co teraz będzie? — spytała, patrząc na Beth.

— Po prostu wrócę do domu, do Arthura.

— Chodź z nami — powiedziała szybko Ruby. — Wyjaśnię panie Scanlon, co się stało. Ona na pewno zrozumie. Tam jest dużo miejsca. Ja mogę spać z dziewczynkami na dużym łóżku, a ty i Jake będziecie mieli osobne łóżka polowe.

Ruby opowiedziała, z jakiego powodu przyprowadziła Beth i Jake'a, a panna Scanlon wysłuchiwała jej wyjaśnień z kamienną twarzą.

— Nie będzie pani przeszkadzało, jeśli tu zostaną, prawda? — zapytała na koniec Ruby.

— Proszę pokazać koleżance, gdzie będzie spała, a potem niech pani przyjdzie do mnie. Chciałabym porozmawiać z panią na osobności, pani O'Hagan. — Jej głos był bez wyrazu, podobnie jak jej twarz.

Po tym, jak ustalono, kto gdzie będzie spał, Ruby wróciła na dół, sama. Panna Scanlon siedziała w kuchni.

— Pani chciała ze mną pomówić? — spytała Ruby z uśmiechem, uszczęśliwiona, że kobieta świadczy im tyle pomocy.

Wtedy panna Scanlon odwróciła głowę. Usta miała brzydko zaciśnięte, w jej oczach płonęła nienawiść. Dla Ruby był to widok mrozący krew w żyłach.

— Nie życzę sobie, żeby przyprowadzano mi tu czarnuchów — syknęła. — Od razu chciałam wyrzucić ją i jej czarnego dzieciaka, ale mam miękkie serce i nie zniósłabym takiej sceny. Jutro z samego rana ma ich tu nie być. Ajak już sobie pójdą, wyczyścisz wszystko, czego używali: naczynia, sztuce i pościel. Ja tego nawet nie dotknę.

Te nienawistne słowa dotarły do Ruby dopiero po kilku sekundach. Gniew ścisnął jej gardło tak, że ledwo mogła mówić.

— Proszę się nie martwić — odparła nieswoim głosem. — Beth i Jake nie będą używać żadnych z pani cennych rzeczy, bo wyjeżdżają do domu. Ja i moje dzieci jedziemy z nimi.

Kobieta zdała sobie sprawę, że przesadziła. Od razu zmieniła ton.

— Ależ pani nie musi wyjeżdżać, pani O'Hagan — zawołała. — Nie ma takiej potrzeby. My się świetnie dogadamy. Pani potrafi się wysłowić, a pani dzieci są dobrze wychowane. Bóg jeden wie, kto mi się nawinie, jak pani stąd wyjedzie.

— Za to pani nie umie się poprawnie wysławić, panno Scanlon. Mówi pani z akcentem ludzi z wyższych sfer, ale treści pani wypowiedzi trącą plugastwem. Nie chcę, żeby moje dzieci przebywały w takim towarzystwie. W swoich poglądach jest pani gorsza niż sam Hitler. Oby jutro trafiła się pani rodzina goryli. Nawet oni mają lepsze maniere niż pani.

Nie rozumiem, dlaczego musieliśmy zrywać się i wyjeżdżać stamtąd tak szybko — powiedziała Beth w pociągu, którym jechały z powrotem do Liverpoolu. — Ta kobieta wydawała mi się w porządku. Tak bardzo chciałam sobie pospać.

— Czy od czasu, kiedy wyjechałyśmy, były jakieś najmniejsze sygnały o nalotach?

— Nie, ale...

— No, przecież dlatego wyjechałyśmy z domu, nie? — powiedziała zaczepnie Ruby, unosząc brwi. — Żeby uciec przed nalotami. Głupio byśmy zrobiły, gdybyśmy zostały w Southport. Żadnej z nas nie było tam dobrze, mam rację, dziewczynki? — Greta i Heather pokiwały zgodnie główkami. — Odkąd wsiadłyśmy do pociągu, nawet Jake się ożywił. — Jake zaczynał wszystkich, gaworząc radośnie. Ruby wydała z siebie błogie westchnienie. — Jeszcze kilka stacji i będziemy w domu.

Ku swemu zdumieniu, wchodząc na podwórze przy składzie węgla, zobaczyły, że drzwi do domu Arthura były otwarte. W korytarzu stał obcy młody człowiek.

— Kim pan jest? — spytała Ruby.

— Doktor Brooker — odparł energicznie. — A pani?

— Ruby O'Hagan. Mieszkam tu. Wszyscy tu mieszkamy.

— Znacie państwo pana Arthura Cummingsa?

— Oczywiście. Przecież mówię, że tu mieszkamy. Po co Arthurowi lekarz?

— Wejdzmy, proszę, do środka.

— Gdzie jest Arthur?

— Powiem pani, jak wejdziemy.

— Co tu się dzieje, Ruby? — spytała roztrzęsiona Beth.

— Nie wiem. Chodź, zobaczmy.

— Obawiam się, że mam dla was złe wieści — powiedział doktor Brooker poważnym tonem, kiedy obie usiadły. Same domyśliły się już, o co chodzi. Nie były przygotowane na tak smutną wiadomość. — Przykro mi to mówić. Zeszłej nocy Arthur Cummings zmarł we śnie. To była

spokojna śmierć Nie cierpiał. Wręcz przeciwnie; odchodząc, miał na twarzy uśmiech. Osiemdziesiątjeden lat. Modłę się o to, żebym sam mógł pozyc tak długo i umrzeć tak spokojnie — mówił łagodnym tonem. — Czy panie są krewnymi?

— Nie. On był naszym przyjacielem — odpowiedziała szeptem Ruby. Beth zaczęła płakać. Dziewczynki uległy nastrojowi chwili i rozpłakały się razem z nią, szlochając głośno. Dotarło do nich, że ich ukochany Arthur nie żyje.

— Tak mi przykro — rzekł cicho doktor Brooker.

— Czy on tu jeszcze jest? Chciałabym się pożegnać... wszyscy byśmy chcieli.

— Zabrano go do kostnicy krótko przed waszym przyjazdem. Jego ciało znaleziono niedawno. Kiedy ten młody człowiek, Herbie, przyjechał wozem dziś wieczorem, zaniepokoiła go nagła cisza. Pewnie pan Cummings zawsze wychodził mu na spotkanie.

— Żyłyby jeszcze, gdybyśmy nie wyjechały — powiedziała Ruby. Ton jej głosu zabrzmiał szorstko. — To nasz wyjazd go wykończył. Te pięć dni... Wojna zaczęła się dopiero pięć dni temu, a my już straciłyśmy ukochaną osobę.

To była najsmutniejsza noc w ich życiu. Wyczerpane dzieci bez oporu dały się położyć do łóżka. Greta i Heather zdawały się przegnębione śmiercią Arthura, były jednak za małe, by zrozumieć, co to jest żałoba. Ruby i Beth siedziały do późna. Rozmawiały o starym przyjacielem, przywoływały wspomnienia, popłakując od czasu do czasu i pocieszając siebie nawzajem. Czuły się winne za to, że go opuściły.

Kiedy Beth zaczęła zasypiać na siedząco, Ruby namówiła ją, by poszła na górę, sama zaś została. Siedziała na krześle i wpatrywała się w pusty kominek. Po głowie krążyły jej różne myśli. Sytuacja u panny Scanlon uświadomiła jej sferę rzeczywistości, o której istnieniu nie miała pojęcia: uprzedzenie rasowe. Nigdy nie byłaby w stanie powtórzyć Beth przerażających słów, jakie padły z ust panny Scanlon, ale pozostaną one w jej pamięci do końca życia niczym wypalone na skórze piętno.

Następnie myśli jej powędrowały do Jima Quinlana. Zdarzało jej się to dość często za każdym razem, kiedy była sama. Po przyjęciu w Malt House spotkali się tylko kilka razy. Patrząc w jego łagodne oczy, miała nadzieję, że ujrzy w nich coś więcej niż tylko przyjazne zaciekawienie, które przejawiał wobec wszystkich innych rozmówców, jednak nadzieja ta była czymś złudnym. Ruby westchnęła. Nawet jeśli uznałby ją za naj-

bardziej godną pożądaną ze wszystkich kobiet na świecie, nie wyobrażała sobie, że Jim Quinlan okaże jej choć odrobinę zainteresowania, skoro sądzi, że jest mężatką.

Następnego ranka trzeba było załatwić kilka formalności. Beth zastanawiała się głośno, czy gospodarz zgodziłby się na to, żeby zatrzymały dom.

— Tylko wtedy, jeśli zatrzymamy węglownię. Jest częścią tej własności. Ja nie nadaję się do prowadzenia węglowego interesu, a ty?

— Nie myślałam o tym. Och, byłabym zapomniała; zjrzyj do Clifforda. To tylko koń, ale też na pewno przejął się śmiercią Arthura.

Wkrótce zjawił się Herbie. Chciał wiedzieć, czy jak zawsze ma dostarczyć węgiel oraz kto mu za to zapłaci.

— Mamy całe mnóstwo zamówień, a węgiel się kończy.

— Według mnie powinieneś najpierw wpaść do gospodarza i zawiadomić go o śmierci Arthura — poradziła mu Ruby. — Trzeba z nim załatwić parę spraw.

— Jak myślisz, czy on zgodzi się na to, żeby mój tato dostał ten dom? — spytał Herbie. Jego młoda twarz pojaśniała od razu. — Kilka lat temu tato stracił nogę w dokach, a potem mama uciekła i musieliśmy wyprowadzić się z domu. Od tamtego czasu mieszkam z nim i Mary na pokojach. Razem moglibyśmy zająć się prowadzeniem węglowni. Mary wykonywałaby całą papierkową robotę. Jest dobra z matematyki. Rozmawialiśmy o tym wczoraj wieczorem.

— Po prostu idź i dowiedz się, Herbie. Jeśli wy tu zamieszkacie, nie będę musiała martwić się o to, kto zaopiekuje się Cliffordem.

Wtedy weszła Beth, która usłyszała te słowa.

— To prawda, Ruby, ale wtedy pojawi się inne zmartwienie: gdzie my będziemy mieszkać?

— Gdzie? Już wiem — odpowiedziała Ruby śpiewnym głosem. — Zamieszkamy w ładnym, wolnostojącym domu, z pięcioma pokojami i z oknami wychodzącymi na Park Książąt.

A pani Hart? Co będzie, jeśli ona wróci? — spytała nazajutrz Beth, kiedy zwiedzały parter i piętro domu. Dziewczynki biegły przodem, rozradowane i zaciekawione nowym miejscem. Zdawało się, iż zapomniały już o Arthurze. Jake szedł chwiejnie na swych tłuściutkich nóżkach, uczepiony ręki mamy.

— Wyjechała do Ameryki na wieść o wojnie. A skoro wojna już się zaczęła, to pewnie tak szybko nie wróci, prawda?

— No, tak, ale mimo wszystko będę się niepokoić.

— Ja też. No, może tylko trochę. Ale i tak wolę to niż znów mieszkać w takim miejscu jak Foster Court. Chciałam napisać do pani Hart i zapytać ją, czy możemy tu zostać, ale zamiast adresu siostry zostawiła mi w kopercie razem z kluczami listę rzeczy do prania. Zawsze była trochę rozkojarzona... Och, jak tu pięknie! Ile miejsca!

Był tam duży przedpokój, obszerny podest przy schodach i cztery przestronne pokoje. Okna z wnęką miały wyściełane parapety. Na jednym z nich stało pełno zabawek z dzieciństwa Maxa Harta. Meble były już stare i zniszczone, a dywany wytarte, podobnie jak zasłony oraz przód tapicerki w wielkich pokojach gościnnych. Tu i ówdzie mały Max nabazgrał kredką po białych, nierównych ścianach, za co jego matka z pewnością nigdy go nie zganiła. Przed wyjazdem do Ameryki pani Hart nie pomyślała o tym, by przykryć meble i pochować część rzeczy. Nie pościeliła łóżek, w kuchni zostawiła na wpół zaczęta robótkę ręczną, a w zlewie wciąż suszyły się naczynia. Przychodząc sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, Ruby nie miała szczególnej ochoty zabrać się za sprzątanie.

— Można by pomyśleć, że wyskoczyła tylko na małe zakupy — zauważyła Beth. — Ciarki mnie przechodzą. Zostawiła otwartą pokrywę od gramofonu, a w środku leży nawet płyta. Jest cała zakurzona.

Według Ruby to zapuszczone miejsce miało swój urok, którego najwyraźniej brakowało w luksusowo urządzonego domu w Brambles.

— Przestań jęczeć i ciesz się z tego, co masz — odparła surowym tonem.

— O, pewnie, że się cieszę. Już ty się o to nie martw — powiedziała Beth z uśmiechem. — O takim domu nie śmiałybym nawet marzyć. Zklepuję sobie pokój z widokiem na park.

— A ja ten drugi. Tak czy siak, myślę, że powinniśmy zająć tylko parter i zadowolić się pokojami w głębi korytarza — na twarzy Ruby pojawił się wyraz troski i zamyślenia. — Wtedy nasza obecność nie wzbudzi żadnych podejrzeń. Będziemy musiały wymyślić jakąś historię, którą opowiemy sąsiadom, kiedy zapytają, co tu robimy: na przykład, że pilnujemy domu za pozwoleniem właścicielki. Trzeba będzie zawiesić tu jakieś grube zasłony. Jak to dobrze, że pani Hart oblepiła przed wyjazdem okna taśmą.

— A w małej sypialni widziałam maszynę do szycia, na pedał. Moja mama ma w domu taką samą. Same zrobimy sobie grube zasłony. Mogę nawet uszyć nam ubrania.

Zeszły z powrotem na dół, zostawiając Gretę i Heather buszujące po umywalni.

— Postaram się o to, żeby podłączyli nam wodę, prąd i gaz — powiedziała Ruby, myśląc na głos. — Jak będą zadawać pytania, powiem im, że jestem córką pani Hart. Oznacza to jednak, że trzeba będzie płacić rachunki. Jutro wracam więc do pracy. Pewnie nikt nie zauważył nawet, że mnie tam nie było. Nie miałam czasu ich poinformować.

— Ach, jak wspaniale! — Beth porwała na ręce Jake'a i zatańczyła z zachwytem. — Ty naprawdę potrafisz czynić cuda, Ruby O'Hagan. Tak się cieszę, że cię poznałam.

— Zawdzięczasz to facetowi, który jest ojcem twojego Jake'a. Pamiętaj, że to jego najpierw poznałaś...

## *Rozdział 7*

Po upływie zaledwie kilku tygodni Ruby zmuszona była uznać swoje lombardowe zajęcie za kolejną ofiarę wojny. Większość jej dotychczasowych klientów nie musiała już oddawać kosztowności w zastaw. Bezrobocie ustało w okamgnieniu, pensje wzrosły. Kobiety wykonywały pracę mężczyzn, zarabiając w fabrykach spore sumy pieniędzy. Roznosiły pocztę, czytywały liczniki, zaciągały się do wojska, pracowały jako konduktorki w tramwajach i autobusach — robiły wszystko to, co niegdyś było tylko i wyłącznie domeną mężczyzn.

Świat nie był już ten sam. Dookoła zapanowała inna atmosfera. Niemcy rzucili wyzwanie, które Brytyjczycy podjęli z entuzjazmem. Lombardy stały się przeżytkiem. Ruby była częścią nieistniejącego już świata. Musiała szukać nowej, innej pracy.

Jak na ironię losu, ubogą grupę społeczną stanowiły teraz kobiety, których mężowie wyruszyli na front, zostawiając dzieci i cały dom na ich głowie. Otrzymywały jedynie żałośnie niski zasiłek, jaki miał rekompensować nieobecność żywiciela rodziny ryzykującego swe życie dla ojczyzny.

Któregoś dnia Ruby wspomniała Beth o tych zasiłkach. Nie omieszkała dodać, iż czuje się zbulwersowana tego typu pomocą. Ton jej głosu brzmiał nieco głupio.

— Dlaczego ty nie dostajesz zasiłku? — spytała ją wtedy Beth. — Przecież twój mąż też jest na wojnie.



— Mówiłam ci już, że to żałosna suma.

— Jak bardzo żałosna?

— Powiedzmy, dwadzieścia pięć szylingów — odparła Ruby; zaniepokojona, że rozmowa schodzi na ryzykowne tematy.

— Dwadzieścia pięć! — wykrzyknęła Beth, rozdziawiając usta. — Nie bądź głupia. Można by za to kupić sporo rzeczy.

— Jakoś nie chce mi się ubiegać o ten zasiłek — odpowiedziała Ruby, ziewając.

— Dziwię się, że nie zrobiłaś tego od razu po tym, jak Jake poszedł do wojska.

— Tak? — Ruby nie bardzo wiedziała, co ma powiedzieć.

Beth skierowała się do kuchni, a Ruby do ogrodu, gdzie obserwowała bawiące się dzieci. Odetchnęła głęboko, myśląc, że temat zasiłku został już zamknięty, ale po kilku minutach, niczym prokurator, pojawiła się znowu Beth.

— Dlaczego ty nazywasz się O'Hagan, a nie Veering?

— A co w tym złego? — rzuciła Ruby słabym głosem.

— Nie udawaj niewiniątka. Wiesz dobrze, że kiedy ludzie się pobierają, kobieta przyjmuje nazwisko męża. Ja bardzo chciałam zostać panią Veering — dodała, przymrużając oczy. — Ty i Jake nie byliście małżeństwem, prawda? Nie wyklócaj się — nakazała jej ostro, widząc, jak Ruby otwiera usta, by żarliwie zaprzeczyć. — Wiem, że za nic nie zrezygnowałabyś z dwudziestu pięciu szylingów ot tak, bez powodu.

— Ojej. No, dobrze. Nie byliśmy małżeństwem — odrzekła jej Ruby, wzruszając ramionami.

Beth zbladła.

— A więc on *mógł* ożenić się ze mną — powiedziała i wybuchła łzami. — A ja przez cały czas wmawiałam sobie, że wyjechał ze złamanym sercem, bo nie mogliśmy się pobrać.

— To nieprawda. — Ruby poczuła ochotę po raz kolejny dać upust emocjom związanym z Jacobem i jego decyzją o szybkiej ucieczce od odpowiedzialności. — Jestem pewna, że wyjeżdżał stąd szczęśliwszy niż kiedykolwiek. Uciekł od nas obu, nie mówiąc już o swoich dzieciach, wśród których jest też Jake.

— Ależ z ciebie twarda sztuka, Ruby O'Hagan.

— Wcale nie. Jestem realistką. Płkanie nad rozlanym mlekiem nie ma dla mnie sensu. W tej chwili są ważniejsze sprawy niż Jacob. Musimy zatroszczyć się o siebie same. Nie zarabiam dość pieniędzy, by starczyło nam na życie. Muszę znaleźć inną pracę. Pomyśl czasem o tym!

— Już myślałam — powiedziała Beth, pociągając nosem. Rękawem otarła łzy. — Może tym razem toja pójde do pracy?

Ruby stłumiła śmiech. Nie chciała robić Beth kolejnych przykrości, gdyż ta była już dość przygnębiona. A cóż, do licha, ona mogłaby robić? Ruby bardzo ją ceniła, ale mówiąc bez ogródek, Beth była do niczego: ani silna, ani szczególnie inteligentna — po prostu marzycielka unosząca się na falach życia. Nic nie było w stanie pchnąć jej do działania. Jedyne obowiązki, jakie można było jej powierzyć, to opieka nad dziećmi i domem.

— Do jakiej pracy pójdziesz? — spytała Ruby, udając zaniepokojenie.

— Do fabryki, w której produkują amunicję. Sama mówiłaś, że tam dobrze płacą. Teraz ja mogę pełnić rolę męża. Ty zostaniesz w domu i będziesz żoną.

— Myślisz, że dasz radę?

— No, postaram się.

— W takim razie zgoda. Postaraj się. — Ruby powstrzymała się od uśmiechu, wiedząc już, że decyzja ta skończy się łzami, a za kilka tygodni sama będzie zmuszona szukać pracy. Może nawet pójdzie do pracy na miejsce Beth! — Zobaczmy, jak sobie poradzisz.

Po dziesięciu dniach Beth dostała pracę presera w A. E. Wadsworth Engineering. Była to mała fabryka przy Dock Road, którą niedawno przerebiono na zakład produkcji zbrojeniowej.

— Będę wytłaczała części samolotowe — oznajmiła z powagą w głosie po powrocie z rozmowy kwalifikacyjnej. — Praca przez pięć lub sześć dni w tygodniu. Płacą trzy funty. Po pół roku dostaję pięć szylingów podwyżki. To strasznie ciężka praca — skrzywiła się. — Gdybyś widziała maszynę, na której będę pracować... *ogromna*.

Po pierwszym dniu przyszła do domu z trzęsącymi się rękoma i od razu położyła się do łóżka. W nocy Ruby słyszała, jak pochlipuje, ale postanowiła nie wtrącać się. Miała wątpliwości co do tego, czy Beth wytrzyma w pracy choć jeden tydzień.

Drugiego dnia Beth ledwo przywlokła się z przystanku tramwajowego do domu. Miała spuchnięte stopy i znieruchomiałe od pracy na ciężkiej maszynie prawe ramię. Nie chciała nicjeść. Położyła się tylko do łóżka i znów płakała.

W środę rozplakała się, jeszcze zanim poszła spać. Kobiety, z którymi pracowała, były wredne, a mężczyźni wyśmiewali się z niej.

— Jeden powiedział mi, że mam tyle siły, co komar.

— Bezczelny typ! — skwitowała Ruby oburzonym tonem.

W czwartek Beth wróciła z obandażowanym kciukiem.

- Dostał się w tryby maszyny.
- I jest tam w dalszym ciągu?
- Co? Maszyna? Czy mój palec?
- Maszyna mnie nie interesuje. Pytam o twój palec.
- Jest tylko trochę stłuczony, Ruby. Bez paniki.

W piątek Ruby zaniepokoiła się ponownie, kiedy do wpół do szóstej Beth nie dała znaku życia. Wróciła dwie godziny później, chwiejąc się na nogach. Wyglądała na dwadzieścia lat starszą niż przedtem.

— Poszliśmy z kumplami na drinka — wyjaśniła. — Jestem lekko wstawiona.

— Z kumplami?! — krzyknęła Ruby. — Z jakimi kumplami? Przecież wszyscy w fabryce są wredni i wyśmiewają się z ciebie. Masz niezły tupet! Godzinami przygotowywałam ci podwieczorek. Teraz nie nadaje się już do jedzenia. Nie zamierzam podgrzewać ci go po raz drugi.

— Nie ma sprawy, Ruby. Nie jestem głodna.

A po kilku minutach zasnęła na krześle twardym snem.

Trud opieki nad trojgiem małych dzieci oraz sprzątanie domu i praca w ogrodzie sprawiły, iż Ruby czuła się poirytowana zaistniałą sytuacją. Mały Jake zaczął już chodzić i przez cały czas trzeba było mieć go na oku.

— Przydałby się kojec — zasugerowała mamie chłopca.

— Kupię, jak tylko będzie mnie na to stać — obiecała Beth tym samym wymijającym tonem, jakim odpowiadała Ruby na prośby kupna niezbędnych rzeczy, kiedy mieszkali jeszcze u Arthura.

Greta i Heather też wymagały stałej uwagi.

— Mam się z wami bawić, a jednocześnie pilnować Jake'a, sprzątać i gotować? Przecież nie mogę robić wszystkiego naraz! — krzyknęła w końcu na nie Ruby.

— Beth na nas nie krzyczała — odparła z przekąsem Greta.

Minęło sześć miesięcy. W marcu Beth dostała obiecane pięć szylingów podwyżki. Uwielbiała swoją pracę, twierdząc, iż w ten sposób odgrywa jakąś rolę w działaniach wojennych.

Ruby spochmurniała. Ona w żaden sposób nie przyczyniała się do walki z wrogiem. Kojec został w końcu kupiony, a dziewczynki coraz częściej zachęcane były do pomocy w pracach domowych. Sporządzono im listę obowiązków na każdy dzień. Teraz było dość czasu na poranne zakupy, popołudniowy spacer w parku, a niekiedy nawet na przejażdżkę

tramwajem do miasta. W odpowiedzi na hasło akcji „przez ogród do zwycięstwa” Ruby posadziła też koło domu warzywa.

Jednak to jej nie wystarczało. Umierała z nudów. Martha Quinlan poradziła jej, żeby zapisała się do Wolontariatu Kobiet, na co Ruby zareagowała z entuzjazmem.

— Ale co będzie z dziećmi?

— Mogłybyśmy organizować spotkania w twoim domu. Jest taki ładny i taki duży — powiedziała Martha. — Nie musisz udzielać się tak aktywnie jak ja. A spotykamy się regularnie. Zwijamy bandażę, dziergamy na drutach koce, robimy zabawki i wiele innych niezbędnych rzeczy. Przed świętami Bożego Narodzenia przygotowujemy dla wojska paczki z prezentami, a w zeszłym tygodniu wypychaliśmy materace dla ewakuowanych, bo są wśród nich biedne maleństwa, które w nocy wciąż się moczą.

Ruby zgodziła się. Lepsze to niż nic.

Spotkanie odbyło się w następnym tygodniu. Dzieci zostały wcześniej poinformowane o tym, że mają odpowiednio się zachowywać. Dom odwiedziło kilkanaście kobiet w różnym wieku. Przyniosły ze sobą przekąski i napoje, a także cały stos starych prześcieradeł do przeróbki. Trzeba było porozdzierać je na pół, wyciąć przetarty już środek i zszyć nie uszkodzone części w całość. Przerobione prześcieradła wyglądały prawie jak nowe. Kobiety z zachwytem przyjęły do wiadomości fakt, iż w domu znajdowała się maszyna do szycia. Korzystały z niej każda po kolei, oprócz Ruby, która na myśl o szyciu odczuwała wstręt.

Było to nieoczekiwane miłe popołudnie. Opowiadały dowcipy, w których nie brakowało pikantności, plotkowały i rozstrzygały nieporozumienia między sobą. Na odchodnym jedna z młodszych pań podeszła do Ruby.

— Czy zgodzisz się, żebym w następnym tygodniu przyprowadziła ze sobą dzieci? Moja matka strasznie marudzi, kiedy zostawiam je pod jej opieką. A tu mogłyby pobawić się w ogrodzie. Wyznamy jedną z nas, żeby się nimi zajmowała.

— Zgoda — odparła Ruby, choć wcale jej się to nie uśmiechało. Kochała swoje córki i Jake'a, ale ogólnie nie przepadała za dziećmi. Jednak jeszcze większą niechęć miała do szycia. Poza tym chciała udzielać się jakoś w czasie wojny i niekoniecznie wiązało się to z komfortem wykonywania tego, co lubiła robić.

— Powiem też Fredzie. Niech i ona przyjdzie z dziećmi.

Skoro i tak zajmujesz się ośmiorgiem dzieci, to dwoje więcej nie zrobi różnicy, prawda, Ruby? — oznajmiła Beth po kilku tygodniach.

— Co masz na myśli? — spytała podejrzliwie Ruby.

— No, bo dziewczyna z fabryki, Olive Deacon, musi odejść. Jej matka jest w szpitalu i nie ma komu zaopiekować się jej dwoma synkami. To kochane chłopaczki, Rube, mówię ci. Olive pokazała mi kiedyś ich zdjęcie...

— Na zdjęciach dzieci przeważnie są milutkie. Poza tym innymi dziećmi zajmuję się raz w tygodniu, a tymi musiałabym opiekować się na co dzień.

— Och, Ruby, daj spokój — odparła Beth przymilnym tonem. — Kiedy Olive odejdzie, na pewno trafi im się ktoś, kto nie będzie nawet w połowie tak dobry, jak ona... Olive jest jedną z najlepszych pracownic w fabryce. Opieka nad jej dziećmi to w pewnym sensie twój patriotyczny obowiązek. Oczywiście, ona ci zapłaci.

— Ty zołzo! — syknęła Ruby. — Dobrze, wezmę je.

Roy i Reggie Deacon byli zmorą pośród innych dzieci. Kłamali, bili się z dziewczynkami i uczyli małego Jake'a, jak sisiać pod drzewem. Któregoś dnia, kiedy Ruby była święcie przekonana, że obaj chłopcy bawią się niewinnie w pokoju na piętrze, okazało się, że dorwali skrzętnie przechowywane zabawki Maxa Harta. Kilku żołnierzyków straciło głowy, a miś został rozpruty. Ruby pocieszała się nadzieją, że we wrześniu Roy pójdzie do szkoły i że wtedy zachowanie Reggie'go poprawi się, bo w pobliżu nie będzie brata, a dziewczynki zdominują go liczbowo.

Nadszedł wrzesień. I przyprowadzono jej nową dziewczynkę imieniem Mollie, której matka także pracowała razem z Beth. Mollie wiodła teraz prym zamiast Roya i zachowywała się jeszcze bardziej nagannie niż obaj braciszki Deacon razem wzięci. Już pierwszego dnia stłukła wazon — jedną z niewielu wartościowych rzeczy, jakie nie poszły pod zastaw i zachowały się w tym domu. Ruby zaciskała zęby, przekonując samą siebie o konieczności wykonywania obowiązku patriotycznego, choć nie była pewna, czy sama wierzy w to, co sobie powtarza. Niemniej jednak całym sercem zaangażowała się w opiekę nad dziećmi, podobnie jak w inne powierzone jej zadania, między innymi sprzątanie, którego w równym stopniu nienawidziła.

Przez niespełna rok wojna nie miała wpływu na społeczeństwo. Francja upadła. Spod Dunkierki ewakuowano tysiące żołnierzy francuskich i bry-

tyjskich. Niemieckie „U-Booty” doprowadziły do przerażającej rzezi na wodach mórz. Martha Quinlan nieustannie zamartwiała się o Jima, Ruby także, choć nikomu o tym nie mówiła. Wszystkie te wydarzenia rozgrywały się z dala od życia codziennego przeciętnych obywateli. Racjonowana żywność była na porządku dziennym, a jedyny problem stanowił zbyt mały przydział herbaty. Kiedy w czerwcu 1940 roku syreny zawyły po raz pierwszy, zwiastując nalot, wojna stała się brutalną rzeczywistością.

Ruby przygotowała schron w ogromnej piwnicy. Zajmowała taką samą przestrzeń, co parter. Cztery pomieszczenia piwniczne oddzielone były od siebie grubymi ścianami z cegły. Znajdowało się tam mnóstwo drewna o przedziwnych kształtach, kartony pełne książek i starych ubrań, tu i ówdzie stały meble, jeszcze bardziej zniszczone niż te na piętrze, a na podłodze leżały zwoje postrzępionych dywanów i linoleum. Ruby wysprzątała jedno z pomieszczeń i wyposażyła je w dywan, dwa nieużywane fotele na biegunach, sofę z podwiniętym wykończeniem, którą nakryła kocem, żeby przykryć dziury. Postawiła też rozkładane łóżko. Z góry zniosła łóżeczko, w którym swego czasu spał Jake — chłopczyk wciąż jeszcze mógł się w nim zmieścić. Na stole ze złamaną nogą postawiła świecznik. Wzięła też karton i włożyła do niego zapałki, świece, parę książek i gier planszowych oraz talię kart.

„Obyśmy nigdy nie musieli siedzieć w tym schronie” — modliła się. Na próżno.

Beth miała płytki sen, więc jako pierwsza usłyszała wycie syren. Zbudziła Ruby i obie zaprowadziły dzieci do piwnicy. Jake spał, a pozostali grali w najlepsze, popijając lemoniadę. W dali rozbrzmiewał huk strzelających armat. Po około godzinie alarm odwołano i wszyscy wrócili na górę.

— Nie było aż tak źle, prawda? — zauważyła Ruby.

— Niepotrzebnie wyrwali nas ze snu — dodała Beth znużonym głosem.

Po jakimś czasie syreny odezwały się ponownie. Odgłos strzałów był nieco wyraźniejszy, jakby dochodził z bliższej okolicy. Zdawało im się, że słyszą nadlatujący samolot i miały nadzieję, iż nie jest to dźwięk niemieckiego bombowca. A następnego dnia doszły je słuchy, że na pobliskie pole spadło sześć bomb, ale nikt nie został ranny.

Syreny wyły przez cały lipiec. Bomby zrzucano ciągle na okolicę za miastem. Ruby i Beth uznały, że nie warto zrywać się z łóżka, kiedy nic im nie grozi. Dwa tygodnie później, w sierpniu, seria bomb spadła jednak na Wallasey, zabijając cztery osoby, a kilkanaście raniąc.

— Jezu! — zawołała przerażona Beth na wieść o tych wydarzeniach.  
— Są *zabici!* — Popatrzyły na siebie wystraszonym wzrokiem.

Ruby pokiwała smutno głową.

— Od tej chwili będziemy schodzić do schronu. Na dźwięk syreny wstajemy z łóżek.

I tak właśnie było. Do tej pory mogło się wydawać, iż przez cały ten czas Luftwaffe drażniła się z nimi, a teraz uznała zabawę za skończoną. Przyszły naloty, coraz gorsze i coraz dłuższe, aż pewnej nocy Liverpool został trzykrotnie zaatakowany z powietrza. Miasto uległo poważnemu zniszczeniu, a liczba zabitych rosła.

To, co nastąpiło potem, było nie do pomyślenia. Ruby i Beth siedziały w piwnicy, wsłuchując się w huk przelatujących nad nimi samolotów, świst spadających bomb i ich nieuchronny wybuch. Zastanawiały się, jak można było dopuścić do tego, by na świecie działy się tak przeraźliwe rzeczy. Oto koszmar zmienił się w rzeczywistość.

— To chyba dobrze, że Arthur już nie żyje — powiedziała Ruby słabym głosem. — Przynajmniej nie musi przeżywać tych okropności.

Jedyną dobrą rzeczą w tym wszystkim było to, że Greta i Heather uważały naloty za wspaniałą przygodę. Polubiły gry i czytanie książek w środku nocy. A Jake przespiał nawet te najgorsze chwile.

Beth, choć niewyspana, zawsze chętnie szła do pracy. Któregoś ranka po jej wyjściu przyprowadzono Mollie i Roya Deacona. Cała piątka bawiła się w salonie. Mieli bloki rysunkowe, kredki i drewniane klocki Maxa Harta. Ruby poszła do kuchni i zabrała się za zmywanie naczyń. W pewnej chwili usłyszała drapanie do tylnych drzwi. Otworzyła i ujrzała wychudzonego kota. Zamiauczał cichutko, po czym chwiejnym krokiem wszedł do domu i przewrócił się. Miał zaniedbane futerko, które przypominało wyglądem skorupę żółwia.

— Tygrysek! — Ruby opadła na kolana i pogłaskała wychudłe zwierzę. Jego sierść była dziwna w dotyku. — Och, Tygrysku, co ci się stało? Sama skóra i kości! — Tygrysek patrzył na nią oczyma koloru bursztynu.  
— Zaraz dostaniesz mleka.

Postawiła przed nim mleko. Kot z trudem uniośł głowę i wypił prawie całą zawartość spodka. Zjadł też pół kromki chleba z masłem. Następnie Ruby owinęła go w stary koc i, pociągając z żalu nosem, mocno tuliła w ramionach. Mycie naczyń zeszło na dalszy plan. Wtedy przyszła Greta. Ruby nakazała jej przynieść kosz.

— Powinien być pod schodami — powiedziała do córki.

Ułożony w koszu Tygrysek spoczął przy kominku. Ruby surowo zakazała dzieciom dotykać kota.

— Jest chory — powiedziała. — Ja się nim zaopiekuje.

— Nie cierpię kotów — powiedziała Beth po powrocie do domu, kiedy dowiedziała się o Tygrysku.

— Ten kot tu zostanie. Lepiej pogódź się z tym faktem.

— A jeśli kobieta, która się nim zajmowała, będzie go szukać?

— Potrzeba tygodni albo nawet miesięcy, by doprowadzić zwierzę do takiego stanu. Jeśli w ogóle ktoś się nim zajmował, było to bardzo dawno temu.

Ruby? — Ton głosu Marthy Quinlan zdradzał, że ma zamiar prosić dziewczynę o przysługę.

— Słucham, Martho — odrzekła Ruby, przewracając oczami. Była ciekawa, o co Martha poprosi ją tym razem.

— Pamiętasz panią Wallace? Tę z brodawką na nosie? Przychodzi czasem na spotkania. Jej wnuczka, Connie, która mieszka w Essex, przyjeżdża do Speke, do pracy w Rootes' Securities i będzie musiała gdzieś zamieszkać. Z babcią nie może, bo biedaczka sama wynajmuje pokój.

— I co w związku z tym mam zrobić? Wybudować jej dom?

Martha uśmiechnęła się głupawo.

— Nie, kochanie. Tyle u ciebie miejsca. Przyjmij ją do siebie. Za kilka szylingów na tydzień. Pieniądze zawsze się przydadzą, prawda? Connie rezygnuje z bardzo dobrej pracy na rzecz służby ojczyźnie. Jest kosmetyczką w luksusowym hotelu w Londynie. Ritz czy jakoś tak. Chciała wstąpić do wojska, ale jej nie przyjęli, bo słabo widzi. Teraz chce pracować przy produkcji amunicji.

— A tam, na południu, nie ma fabryk, które produkują amunicję?

— Oczywiście, że są. Tylko że jej mama nie żyje, ojca — nie wie-dzieć, czemu — przenieśli do Szkocji, a brat jest w wojsku. Bardzo chciałaby być blisko babci.

— No, dobrze — odrzekła Ruby z westchnieniem. Wszelkie próby odmowy byłyby stratą czasu. Martha zaczęłaby kwestionować jej poczucie obowiązku patriotycznego, przez co czułaby się winna. — Z wyżywieniem?

— Tylko śniadania i kolacje, kochanie.

— To chyba i tak sporo...?



Z należącej do pani Hart bieliźniarki zabrano pościel, by przygotować łóżko dla Connie Wallace, której twarz, prócz okularów, zdobił niewiarygodnie perfekcyjny makijaż. Była to kobieta przeciętnej urody, lecz umiejętne zastosowanie kosmetyków czyniło z niej zjawiskową piękność. Używała cienia do powiek w dwóch różnych odcieniach koloru niebieskiego, a jej rzęsy były tak długie, że Ruby i Beth zzieleniałyby z zazdrości, gdyby nie powiedziano im, że są sztuczne. Róż do policzków nałożony był pędzelkiem, zaś usta pomalowane kredką.

— Wszystko to mam z Ameryki — powiedziała im Connie. Na jej podbródku widniał pieprzyk. Za każdym razem musiała jednak pamiętać, by go narysować.

Nosiła okulary w kształcie ptasich skrzydeł — te nakrapiane złotem czarne ramki również były z Ameryki.

— Tak bardzo się boję, że mi się stłuką. Musiałabym wtedy czekać do końca tej przeklętej wojny, żeby je wymienić...

W trakcie nalotów, kiedy siedziały w piwnicy, Connie uczyła Ruby i Beth, jak nakładać makijaż, żeby podkreślić swe najładniejsze rysy. Nauka kończyła się zazwyczaj salwami śmiechu.

Nadeszły dni, kiedy ślady zniszczeń po nalotach były widoczne już wszędzie. Zamiast domów leżały tony gruzu. Gdziekolwiek stały jedynie same fundamenty, bez dachu. Przypominały groteskowe figury. Po oknach zostały tylko wyrwy, przez które widać było niebo. Zniszczeniu uległy kościoły, szpitale, szkoły, kina i liczne fabryki. Zginęły setki ludzi, a jeszcze więcej odniosło rany.

Ruby dziwiła się, jakim cudem ona sama i wielu innych uszło z życiem. Mimo wszystko jakoś sobie radzili, a co ważniejsze — starali się zachować pogodę ducha i uśmiech na twarzy. Ruby nie była wyjątkiem. Nie miała wyboru. W przeciwnym razie nie pozostawało jej nic innego, jak ulec ponurym nastrojom i poddać się losowi, co nie było w stylu Ruby O'Hagan.

W listopadzie miały miejsce dwa nieoczekiwane zdarzenia.

W drodze z pracy Beth zawsze kupowała gazetę *Echo Liverpoolu*, a Ruby czytała ją w wolnej chwili. Pisano w niej nie tylko o wojnie. Z krajowego frontu dochodziły też inne informacje o bardziej przyziemnej treści. Ludzie pobierali się, a ich fotografie ślubne zamieszczano na łamach gazety. Ruby nigdy nie czytała działu o zawartych małżeństwach, lecz któregoś wieczoru, kiedy miała już odwrócić stronę, jej wzrok przycią-

gnęła znajomo wyglądająca twarz mężczyzny. Zaciekawiona, przeczytała tekst pod zdjęciem:

„W zeszłą sobotę, w kościele Holy Name w Fazakerley, zawarty został związek małżeński między panem Williamem Simonem Pickeringiem a panną Rosemary Louise McNamara...”

Doznawszy dziwnego uczucia w żołądku, nie czytała już dalej.

*Bill Pickering!* Nie umarł. Okazuje się, Jacob go nie zabił. Ten człowiek przez cały czas był wśród żywych.

— Rube, co się stało? — spytała Beth z troską w głosie. — Zbladłaś jak ściana.

— Nic. — A więc wszystko na próżno: ucieczka, lata spędzone w Foster Court. Mogła przecież zostać w Brambles. Jacob nadal pracowałby na farmie. Wiedziała na pewno, że po czasie wyrosłaby ze swej niedojrzałej miłości. Zmiała gazetę w kulkę i cisnęła w ką.

— Przecież musimy oszczędzać papier — zauważyła Beth.

— Jak najbardziej. — Wyładowawszy po części swój gniew, Ruby doszła do wniosku, że co się stało, to się nie odstanie. Poza tym, gdyby sprawy potoczyły się inaczej, nie miałyby dziś dwóch córeczek.

To Beth jako pierwsza dowiedziała się o śmierci Jacoba Veeringa. Jedna ze współpracownic pokazała jej zdjęcie brata, który służył w Królewskim Oddziale Pancernym i niedługo miał dostać przepustkę.

— Na zdjęciu był z kolegą. Obejmowali się. Nie wierzyłam własnym oczom, kiedy zobaczyłam, że ten drugi facet to Jake. Wskazałam na niego i spytałam, kto to jest. Serce podeszło mi do gardła. Sama nie wiem, co chciałam usłyszeć. Może to, że Jake przyjeżdża na przepustkę razem z jej bratem. Ale ona powiedziała, że to Jacob, znajomy Albie'go, i że biedak zginął pod Dunkierką. Spytałam, czy jest pewna, a ona, że jak najbardziej. Powiedziała mi, że siedzieli obok siebie i czekali na statek, który miał ich zabrać do domu. I wtedy Szkopy ostrzelały plażę. Jacob dostał w głowę. Kiedy umierał, Albie trzymał go w ramionach. Podobno Albie bardzo to przeżył.

Przez chwilę zapanowała cisza, którą przerwało westchnienie Ruby.

— Dobrze, że umarł w ramionach przyjaciela.

— I tylko tyle masz do powiedzenia?

— A co twoim zdaniem mam powiedzieć, Beth?

Beth była teraz silniejsza. Nie płakała.

— No, nie wiem — odparła. — Sama nie wiem, co powiedzieć. Nie rozumiem tylko, dlaczego aż tak bardzo się tym nie przejmuję.

— Teraz obie jesteśmy wdowami. W pewnym sensie. Mamy dopiero po dwadzieścia dwa lata. Możemy spotykać się z innymi mężczyznami — zauważyła Ruby, a jej myśli powędrowały do Jima Quinlana.

— Nie chcę już żadnych innych mężczyzn — odrzekła kategorycznie Beth. — Nie dość mi było jednego?

Ruby zastanawiała się, w jaki sposób powiedzieć wszystkim, że jej domniemany mąż nie żyje. Nie była gotowa na to, by płakać i chodzić z kąta w kąt, udając przygnębioną. Jednak w gruncie rzeczy rzeczywiście czuła się przygnębiona. Jacob był ojcem jej dzieci i pierwszym mężczyzną, jakiego kochała. Nie miała nawet jego zdjęcia, żeby pokazać go dziewczynkom, kiedy już dorosną.

— Czy ta kobieta, z którą pracujesz, mogłaby pożyczyć to zdjęcie? Zrobiłabym sobie odbitkę — powiedziała.

— Tylko jak ja jej to wytłumaczę?

— Użyj wyobraźni. Teraz twoja kolej, żeby coś wymyślić. — Ruby poszła na górę, żeby troszkę sobie popłakać.

Przed świętami Bożego Narodzenia do domu przy Parku Książąt wprowadził się jeszcze jeden lokator. Był nim niejaki Charles Winner z Dunstable — młody, subtelny i drobiazgowy człowiek, który bardzo przejął się swoją rolą jedynej mężczyzny w obejściu. Pracował w rezerwie jako inżynier-kreślarz, więc nie groziło mu wezwanie do wojska. Przeprowadził się do Liverpoolu, żeby mieszkać bliżej swej sympatii, Wendy, która służyła w Kobięcym Oddziale Marynarki Królewskiej. Teraz wyznaczono ją do służby na salach operacyjnych Admiralicji przy Water Street. Niekiedy Wendy zostawała tu na noc. Spała wtedy w małej sypialni. Był to jedyny wolny pokój w domu. Ruby zakładała, że Wendy spędza w małej sypialni całą noc. Nawet jeśli było inaczej, Ruby nie poczuwała się do pełnienia obowiązku strażniczki moralności.

Z czasem dom pani Hart stał się miejscem noclegu osób, które przyjeżdżały do Liverpoolu na jedną noc, na kilka dni lub na tydzień — Ruby podejrzewała, że dzieje się to za sprawą Marthy Quinlan. Pod nieobecność Wendy przeważnie ktoś inny zajmował ostatni wolny pokój: żołnierze na przepustce, którzy nie mogli wrócić do swych rodzin, gdyż ich dom legł w gruzach podczas nalotu albo ich narzeczone mieszkały w miejscach, do których mężczyznom wstęp był wzbroniony. Marynarzy, których statek na krótki czas przybił do portu w Liverpoolu, odwiedzały żony. A kiedy wszystkie pokoje były już zajęte, ludzie ucinali sobie drzem-

kę na kozetce w jednym z salonów. Przynosili swoje kartki na żywność, za które można było kupić więcej jedzenia dla mieszkańców domu.

Każdego ranka Ruby wstawiała o szóstej rano i przyrządzała śniadanie dla sześciorga osób. Dzieci jadły o późniejszej porze. Trudno jej było przewidzieć, ile osób zjawi się na podwieczorku. W ciągu dnia zajmowała się całą gromadką dzieci, robiąc przy tym zakupy. Prała niezliczone ilości prześcieradeł i poszewek. Na stojącej w kuchni suszarce do prania wciąż wisiały jakieś rzeczy. Pranie schło strasznie wolno, a na prasowanie nie było czasu. Zużyto już prawie całą pościel i bielizniarka pani Hart świeciła pustkami.

— I kto by pomyślał, Tygrysku, że poprzysięgam sobie, iż nigdy nie pójde na służbę — mawiała nieraz Ruby.

Tygrysek odzyskał już dawną formę. Wydobrzał i przybrał na wadze. Był niezwykle rozumnym kotem i mruczał współczująco za każdym razem, gdy Ruby żaliła się w jego obecności.

— Jest jeszcze coś: tak bardzo chciałam, żeby nasza obecność w tym domu nie wzbudzała niczyich podejrzeń. A teraz pełno tu ludzi. Jedni wychodzą, drudzy przychodzą. Hałas nie do wytrzymania. Sąsiedzi pewnie myślą, że ktoś urządził sobie w tym domu hotel albo przedszkole.

— Nie przejmuj się — jakby zamruczał Tygrysek.

Do świąt pozostały już tylko niespełna dwa tygodnie. W piwnicy znalazł się karton z ozdobami oraz papierowa choinka. W tyle korytarza mieścił się salon, w którym Ruby i Beth miały nadzieję zachować choć odrobinę prywatności, teraz jednak bez skrupowania korzystali z niego wszyscy, kiedy tylko mieli na to ochotę. Salon ten udekorowano girlandami z łańcuchów. Stała w nim także usiana złotymi i srebrnymi gwiazdkami choinka. Ruby upiekła świąteczne ciasto. Nie dodała do niego jajek, tylko niewielką ilość owoców, a na wierzchu posypała je cienką warstwą cukru-pudru. W zakładowej loterii fantowej Beth wygrała pudding, Connie zaś przyniosła indyka. Zdobyła go w jakiś tajemniczy sposób, którego nie chciała wyjawiać. Charles Winner zostawał na święta w Liverpoolu, bo Wendy zatrzymano na służbie.

— Przyjdzie na obiad w pierwszy dzień świąt — oznajmił Ruby, wręczając jej dwie butelki sherry.

— To bardzo miło z ziej strony! — wykrzyknęła Ruby, wiedząc już, że przez całe święta nie wyjdzie z kuchni.

Beth zaproponowała, że następnego dnia zajmą się gotowaniem razem z Connie, która zdążyła się już u nich zadomowić.

— Ruby nie będzie musiała nawet kiwnąć palcem — obiecała Beth.

A Ruby zaczęła już cieszyć się na nadchodzące święta. Nie przeszkadzało jej to, że w domu było tak tłoczno. Nareszcie miała pieniądze na prezenty dla dzieci, choć w sklepach trudno było cokolwiek wybrać. Mimo to zdołała kupić dla Greta i Heather lalki, małe koszyki na zakupy oraz spinki do włosów. Miała też plastikową taczkę i zabawkowy autobus dla Jake'a, a dla jego mamy śliczną, emaliowaną puderniczkę. Z przejęciem zatarła dłonie. W tym roku będą miały święta z prawdziwego zdarzenia.

Poza kilkoma niegroźnymi nalotami, które nie spowodowały większych szkód, mogło się wydawać, że w grudniu Liverpool przestał być celem ataków Luftwaffe. Miasto odetchnęło z ulgą. Wszyscy spodziewali się spokojnych świąt.

Jednakże to, co nastąpiło, zawiodło ich oczekiwania.

Pięć dni przed Bożym Narodzeniem o wpół do siódmej wieczorem zawyły syreny. Przerażony Tygrysek natychmiast zbiegł do piwnicy. Dzieci były już po obiedzie, ale Ruby, Beth i Connie jeszcze jadły. Charlesa nie było w domu. Wszystkie zerwały się i z pełnymi talerzami w rękach ruszyły w dół, po wąskich, drewnianych schodach, w ślad za kocurem. Po obiedzie Ruby wyszła z piwnicy po herbatę, gdyż tej przyjemności nie zamierzała sobie odmówić bez względu na to, czy będzie nalot, czy nie. Wracając, w drzwiach wejściowych ujrzała Charlesa. Przyszedł z Wendy i jakąś ładną blondynką, która też odbywała służbę w Kobiecym Oddziale Marynarki Królewskiej.

— To jest Rhona. Szła do koleżanki, ale chyba lepiej będzie, jeśli przeczeka ten nalot u nas. Pewnie nic poważnego, ale po co ryzykować?

— Mogę? — spytała Rhona.

— Ależ oczywiście. — Ruby przywitała ją ciepło przyjaznym uśmiechem. — I najlepiej od razu zejdźmy do piwnicy. Weź ode mnie dzbanek, a ja pójdę po dodatkowe filiżanki.

Takiego nalotu jeszcze nie było. Zdawało się, iż eksploduje cała kula ziemiska. Dom trząsał się, aż z sufitu sypał się tynk. Zaszyci w podziemiu i odcięci od świata, po raz pierwszy usłyszeli brzęk rozbijanego dookoła szkła, uporczywe zawodzenie syren strażackich i od czasu do czasu krzyk przerażonych ludzi.

Tym razem strach ogarnął także dzieci. Tego wieczoru nie chciały się bawić ani słuchać bajek. Dorośli prawie się nie odzywali. Spoglądali tylko na siebie i przygryzali wargi. A kiedy spadała kolejna bomba, ze świ-

stem przesywając powietrze, z niepokojem myśleli, że być może tym razem to oni staną się jej celem.

Hałas w końcu ucichł. Ruby poszła na górę, by zaparzyć jeszcze trochę herbaty. Nie przejmowała się tym, że zużyją całe tygodniowe zapasy. Odciągnęła zasłony i spojrzała na purpurowe niebo, na którym widniały smużki czarnego dymu. Gdzieś w pobliżu płonął ogień. Był to upiorny widok.

— To niebo... wygląda, jakby było skapane w morzu krwi — usłyszała głos Charlesa. — Przeszedłem po sherry — wyjaśnił. — Może trochę nas rozweseli. Wiem, gdzie ją dostać. Jutro przyniosę następną.

— A czy w ogóle będzie jakieś jutro?

— Zawsze jest jakieś jutro, Ruby.

— Dla nas, być może, już nie — odparła szorstkim tonem. — Nie ma sensu udawać, że wszystko jakoś się ułoży. Po co komu ten optymizm, skoro nasze życie nie jest już w naszych rękach? Kiedyś, bez względu na przeciwności losu, umiałam zacisnąć zęby i dopiąć swego. Teraz już tak nie potrafię. Nikt chyba nie potrafi.

— Więc po raz kolejny musisz zacisnąć zęby i żyć nadzieją na lepszą przyszłość. Daj spokój z tą herbatą. Napijemy się sherry. Mam też dla ciebie z okazji świąt pudełko czekoladek. Przyniosę je.

Sam fakt, iż pomyślał o prezencie dla niej, podniósł Ruby na duchu. Ona z kolei nie miała nic dla niego ani dla Wendy. Z pewnością coś im kupi. Jutro!

— Czy mi się tylko zdaje, czy słyszę tam śpiewanie? — spytał po chwili Charles.

— To ja pójde po szklanki. — W barku pani Hart stało ich kilka. Dzieci będą mogły też napić się lemoniady.

Zeszli z powrotem do piwnicy, gdzie Rhona pięknym sopranem nadawała ton melodii piosenki: „Stary, dobry król Wieńczysław patrzył w dół, na Stefana bogato zastawiony stół...” Była bez munduru i miała rozwiązany krawat.

Greta i Heather cudem się ożywiły. Roześmiane, z błyszczącymi oczyma, wtórowały Rhonie. Mały Jake, który nie znał słów piosenki, wpatrywał się uważnie w urodziwą twarz dziewczyny i poruszał ustami, usiłując ją naśladować. Beth spojrzała na Ruby i puściła do niej oczko.

— Ale fajnie! — rzuciła szeptem. — Nie słychać już bomb.

Rozlano sherry i lemoniadę, otworzono czekoladki i od razu zrobiło się weselej. Connie i Wendy zatańczyły jakiś taniec irlandzki, a Ruby zaśpiewała: „Twoja na zawsze, aż po gwiazdnych szlaków kres” i sama się

zdziwiła, kiedy okazało się, że pamięta cały tekst piosenki. Greta i Heather wyrecytowały wiersz, którego nauczył je Roy Deacon. Nieświadome, iż był on pełen nieprzychylnych aluzji i dwuznaczności, rozśmieszyły słuchaczy aż do bólu brzucha. Rozlano następną kolejkę sherry.

— Sparodiuj Paula Robesona — nalegała Wendy, więc Charles zaśpiewał: „Stara rzekę” niskim, żałobnym tonem, od którego wszyscy prawie się rozpłakali. Wtedy Rhona zaczęła śpiewać kolędy, co od razu przywróciło pogodny nastrój.

Na zewnątrz spadały zrzucone bomby, od których ziemia drżała, a wszystko wokół sypało się w gruzy. Jednak oni nie słyszeli bądź też nie chcieli słyszeć. Hałaśliwie rozbawieni i rozśpiewani, pragnęli zapomnieć o rzeczywistości i uwierzyć, że jest inaczej.

Nie zauważyli nawet, jak zadrgał płomień świecy, bo ktoś otworzył piwniczne drzwi. Nie dostrzegli młodzieńca, który, utykając, zszedł po schodach w dół. Miał na sobie granatowy płaszcz, jaki nosili żołnierze wojsk sił powietrznych.

— Dobry wieczór wszystkim — odezwał się, na co wszelkie zabawy nagle ucichły. — Nie przeszkadzam? Mogę się przyłączyć?

— Kim pan jest? — spytała Ruby, po czym nagle doznała olśnienia. Nigdy wcześniej nie spotkała tego mężczyzny, jednak tę wesołą twarz o figlarnym uśmiechu, otoczoną kręconymi włosami, widziała na zdjęciu, które stało na kredensie w pokoju na piętrze.

Był to Max Hart.

To jest Max — powiedziała szybko do wszystkich zebranych, modląc się w duchu, by nie domagał się wyjaśnień co do ich obecności w domu jego matki. Nie wyglądało jednak na to, by nosił się z zamiarem urządzenia sceny. Wydawał się wyczerpany do granic możliwości, co odbiło się na jego młodej jeszcze twarzy, która nie przestawała się uśmiechać. — Max, to jest Beth, Connie, Charles... — wyrzuciła jednym tchem listę imion wszystkich obecnych.

— Zdejmij płaszcz, kochany, i spocznij sobie — powiedziała Connie.

Samo zdjęcie płaszcza sprawiło mu wiele trudu. Max nie mógł nawet unieść rąk. Charles podbiegł do niego, żeby mu pomóc.

— O mój Boże! — wykrzyknął, zdziwiony na widok szaroniebieskiego munduru pod płaszczem. — Pan jest kapitanem lotnictwa. I ma krzyż za zasługi w lotnictwie! — Chwycił dłoń Maxa i potrząsnął nią energicznie, wzruszony do łez. — Ten kraj zawdzięcza wszystko takim młodym ludziom jak pan. Jesteście najdzielniejsi wśród dzielnych. Jak powiedział

Churchill o podniebnych bitwach: „Nigdy tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak niewiele”.

Max Hart zarumienił się, speszony.

— Mógłbym dostać drinka?

— To tylko sherry — odrzekła Ruby.

— Może być — powiedział, zdobywając się na wymuszony uśmiech. A potem opowiadał, jak przez dwa dni jechał do domu z bazy w Kent. Podróżował środkami transportu publicznego, a niekiedy zatrzymywał samochody, prosząc o podwiezienie. — Raz jechałem nawet karetką pogotowia. W Bedford jakiś facet pożyczył mi swój rower, żebym mógł dostać się do Northampton. Tam zostawiłem rower u jego kuzyna, który zużył cały przydział benzyny, żeby podwieźć mnie do Birmingham...

Przenocował w pociągu, a do Liverpoolu dotarł dopiero przed godziną. Ze stacji szedł pieszo, nie zważając na grożące mu niebezpieczeństwo.

— Wtedy zatrzymał mnie pewien gość z Obrony Cywilnej. Zrobił mi wykład, a potem przywiózł mnie na miejsce. Dostałem dziesięć dni przepustki, bo skreśliłem tę cholerną kostkę. Tak bardzo pragnąłem spędzić Boże Narodzenie we własnym domu. Nie pytajcie, dlaczego. — Błysnął zębami w uśmiechu. — Wydawało mi się, że odnajdę tu inny świat i resztki normalności. A oto, co zastałem: Liverpool cały w gruzach i nawiedzony dom. Mówię wam: przeżyłem szok, kiedy usłyszałem dochodzący z piwnicy śpiew.

— Więc matka nie powiedziała ci, że na czas jej pobytu w Ameryce pozwoliła Ruby zająć się domem? — zapytała Connie.

— Najwyraźniej zapomniała — odparł Max z powagą na twarzy. — Słuchajcie, tak dobrze bawiliście się przed moim przyjściem. Nie przeszkadzajcie sobie. Wiem, że mieliście niezły ubaw. To zawsze lepsze niż wsłuchiwanie się w odgłosy z zewnątrz. — Na dworze raz po raz wciąż wybuchały bomby.

— W takim razie zadedykuję ci coś — powiedziała Rhona i zaśpiewała „Jedźcie chłopak do domu, na przepustkę...”

Tuż przed północą poczuli się wyczerpani. Odśpiewali już wszelkie znane im piosenki i energia zaczęła powoli z nich uchodzić. Za to niestrudzona Luftwaffe wciąż zrzucała bomby, które deszczem spadały na miasto. Na szczęście dzieci poszły już spać. Dorośli jeszcze rozmawiali.

— Wiem, kto ty jesteś — powiedział Max do Ruby przyciszonym głosem. — Lombardowy posłaniec. Mama mówiła, że jesteś jak tropikalna mrówka.



— Nie bardzo wiem, czy mam poczytywać to sobie jako komplement, czy nie!

— Na twoim miejscu uznałbym to za komplement — odparł, mrugając do niej. — A tak z czystej ciekawości: co tu robisz?

Wiedziała, że prędzej czy później zapyta o to.

— Twoja matka poprosiła mnie, żebym pilnowała domu — wyjaśniła. — Beth i ja nie miałyśmy gdzie mieszkać, więc pomyślałam sobie, że przecież możemy wprowadzić się tutaj... tylko my dwie, z dziećmi. Potem mówiono mi w kółko, że moim patriotycznym obowiązkiem jest przyjmować ludzi na nocleg i opiekować się innymi dziećmi. Wygląda na to — dodała ze smutkiem — że sprawy wymknęły się trochę spod kontroli. Bóg jeden wie, co powie na to twoja matka, gdy dowie się o wszystkim.

— Ode mnie na pewno się nie dowie. Świetnie ci idzie. Uznajmy więc, że w ten sposób mama też spełnia swój patriotyczny obowiązek. A z tego, co pisze w listach, w Ameryce bardzo jej się podoba.

— Jesteś niezwykle uprzejmy i wyrozumiały.

— Ależ nie ma o czym mówić — odrzekł wymijająco. — W połowie drogi do Liverpoolu zacząłem zastanawiać się, czy nie postradałem zmysłów. Kto chciałby spędzić Boże Narodzenie w samotności, w zimnym domu, gdzie nie ma co jeść? To, że cię tu znalazłem, było jedną z niewielu najwspanialszych niespodzianek w moim życiu... Niech mnie szlag, Tygrysek! — zawołał na widok wielkiego kota, który wskoczył mu na kolana. — Nie wiedziałem, że ciągle tu jesteś.

— Chowa się w starej szafie. Tam jest teraz jego ulubione miejsce.

— Kiedy wróciłem z uczelni, byliśmy z Tygrysiem najlepszymi przyjaciółmi. — Tygrysek mruczał z uwielbieniem, namiętnie liżąc znajomą twarz.

— Wygląda na to, że wciąż bardzo się przyjańcicie.

Alarm odwołano dopiero na krótko przed czwartą. Wszyscy spojrzeli na siebie, wdzięczni za niezapomniane chwile, jakie wspólnie spędzili tej nocy. Charles nalegał, by Max zajął jego sypialnię.

— Pójdę tylko po swoje rzeczy...

Ruby wyszła z piwnicy jako pierwsza. Po części spodziewała się ujrzeć nad sobą gołe niebo, a dookoła morze gruzów. Jednak dom pani Hart pozostał nienaruszony. Wszędzie czuć było dziwny, kwaśnawy odór. Okazało się, że to zapach sadzy, która posypała się z kominów. Wszyscy od razu udali się do łóżek. Heather dzieliła pokój razem z Wendy, a Charles położył się na kozetce.

Cztery godziny później rozpoczął się normalny dzień pracy. Ruby zajął się do Maxa, który spał jak zabity. W domu pojawił się przyprowadzony przez matkę Roy Deacon. Mollie nie przyszła. Ruby dowiedziała się potem, że mała ukrywała się wraz z rodziną w starej szafie pod schodami, gdy na ich dom spadła bomba. Czteroletnia Mollie zginęła na miejscu.

Naloty trwały przez cały okres przedświąteczny. Ruby zastanawiała się, czy Hitler obrał sobie za cel Liverpool, chcąc zmieść miasto oraz jego mieszkańców z powierzchni ziemi. Chwile grozy zdarzały się w każdą noc. Max Hart nie wychodził z domu i większość czasu spędzał leżąc w łóżku. Mawiał, że wypoczywa z ogromną przyjemnością. Był w centrum uwagi i wszyscy robili wokół niego dużo zamieszania, co bardzo mu schlebiało. Ludzie przynosili mu prezenty i łakocie: kremówki, czekoladę albo ćwiartkę whisky. Dzieci całymi godzinami robiły specjalnie dla niego kartkę świąteczną, a on obiecał, że zawsze będzie ją miał przy sobie. Rysy jego twarzy wygładziły się. Wyglądał na wypoczętego.

W Wigilię Beth skończyła pracę w południe. Wróciwszy do domu, oznajmiła, że zabiera Gretę i Heather na zakupy po prezent dla mamy.

— Przecież one nie mają pieniędzy — powiedziała Ruby.

— Ten problem da się rozwiązać. Zabieram też Jake'a. Przyda mu się trochę świeżego powietrza.

Po raz pierwszy, odkąd Ruby sięgała pamięcią, była w domu prawie sama. Max spał na górze. Rozsiadła się w fotelu, rozkoszując się niecodzienną ciszą. Pomyślała, że kiedy Beth wróci, być może ona sama wybierze się do sklepów, by kupić jeszcze kilka prezentów na ostatnią chwilę. Widok zniszczeń spowodowanych wczorajszym bombardowaniem był przynębiający, z drugiej strony jednak cieszyła się, że żyje. Zginęło tylu ludzi. Byli wśród nich znajomi Beth i Connie z pracy oraz Charlie Murphy, u którego wynajmowali niegdyś pokój w Foster Court. Stojący przy węgielni domek Arthura leżał w gruzach, ale jego mieszkańcom — Herbiemu i jego rodzinie — na szczęście nic się nie stało.

Ruby westchnęła. Trzeba było zrobić jeszcze kilka rzeczy. Opornie podniosła się z fotela. Wtedy usłyszała krzyk, a po nim następny. Uświadomiła sobie, że to nikt inny, tylko Max.

Biegiem ruszyła na po schodach na górę. Max, zlany potem, miotał się w łóżku jak szalony.

— Max! — zawołała, potrząsając nim. — Max! Już dobrze. Uspokój się. Nic ci nie grozi.

Otworzył oczy i popatrzył na nią wzrokiem spłoszonego chłopczyka.

— Przepraszam. Miałem taki potworny sen.

— To już nie sen, kochanie. Jesteś z nami w domu. Nic ci tu nie grozi.

— Boże! — zerwał się i usiadł. — Myślałem, że to było naprawdę.

— Co ci się śniło?

— Pamiętam tylko fragmenty. Leciałem samolotem nad Niemcami.

Nagle zgubiłem się. Nie mogłem trafić do bazy. Wszędzie czarno, żadnych świateł. Martwiłem się o załogę, że ich zawiodę. Wpadłem w panikę...

Ruby pogładziła palcem jego brwi.

— To był tylko sen. Masz tu trochę swojej whisky. Pomoże ci się uspokoić.

— Jesteś bardzo miła — powiedział, kiedy włożyła mu szklanekę w dłoni.

— Czemu miałabym nie być? — spytała, zaskoczona.

— Na pewno źle o mnie myślisz. Wiesz już, dlaczego mama musiała oddać w zastaw tyle rzeczy?

— Żeby spłacić długi, jakie zaciągnąłeś na uczelni. Ale to nie zmienia faktu, że teraz jesteś pilotem Królewskich Sił Powietrznych i że masz medal za odwagę.

— Skumałem się z kilkoma kolesiami. Mieli trochę forsy — powiedział ze smutkiem w głosie. — Chciałem mieć to, co oni: ładne ubrania, samochód. Wydawałem mnóstwo kasy na wódę. Grywaliśmy w karty. Minimalną stawką był funciak...

— Było, minęło — pocieszała go Ruby.

— A na ten medal wcale nie zasłużyłem. Krótco po tym, jak wystartowałem, pojawił się ten cholerny Heinkel. Gna prosto na mnie. Wiedziałem, że mnie trafili, ale lecę dalej, żeby dokończyć zadanie. Miałem zestrzelić każdą szwabską maszynę. I wtedy leci ten Heinkel, a za nim następne. Było ich chyba ze sześć. Kiedy wróciłem do bazy, okazało się, że nad łokciem siedzi mi kula. — Wzruszył ramionami, po czym dodał z ironią w głosie: — Nawet nic nie poczułem, a oni i tak dali mi medal. — Chodzi o to — mówił w nagłym przypływie złości — że medal za odwagę powinien dostać każdy pilot z naszej załogi, do cholery. — Jego twarz przybrała smutny, ale poirytowany wyraz. — Czemu, do diabła, w tym domu jest tak cicho? Dziwnie tu jakoś. I gdzie, do licha ciężkiego, podział się ten kot?

— Nie ma tu nikogo oprócz nas. Wszyscy wyszli. A Tygryśka widziałam na drzewie jakiś czas temu.

Skrzywił się.

— Byłem wściekły jak cholera, kiedy mama napisała mi w liście, że oddała kota.

— Będzie tu czekał, aż wrócisz — odparła Ruby pocieszająco.

— A ty? Ty też tu będziesz, jak wrócę?

— Pod warunkiem, że wrócisz niedługo. Kiedy wojna się skończy, przyjedzie twoja matka, a my będziemy musiały poszukać sobie innego miejsca. Czy przed wyjazdem możesz mi dać adres twojej matki?

— Mam go w szafce, w bazie. Wyślę ci go. — Odetchnął z zadowoleniem. — Jak to dobrze, że jesteś. Dzięki tobie w tym domu jest przyjemnie i ciepło.

Taki był młody i bezbronny. Tyle wycierpiał. Ruby poczuła nagłą ochotę, by pocałować go w policzek. Zrobiła to z czułością, jak siostra, na co zareagował dość nieoczekiwanie. Natychmiast pochwycił ją i oddał pocałunek. Nie był to bynajmniej pocałunek, jakim brat obdarza siostrę.

— Max! — Już miała go odepchnąć, ale zawahała się. Przecież to dla takich jak ona ryzykowało od miesięcy własne życie. Setki razy śmierć zaglądała mu w oczy. Impuls nakazywał jej wierzyć, iż oddaje się w zamian za jego poświęcenie. Prosił o tak niewiele. Rękoma oplotła mu szyję.

— Jesteś taka śliczna — mówił ochrypłym głosem. — Pragnę cię, odkąd się poznaliśmy. — Szczupłymi dłońmi pieścił jej ciało.

W jego dotyku dało się wyczuć desperacką próbę wyrwania się z kosmaru, w jaki zmieniło się jego życie, jak gdyby kształty i sekrety kobiecego ciała miały przynieść mu ukojenie. Ona z kolei zastanawiała się, czy chodzi mu jedynie o kontakt fizyczny z kobietą. Pozwoliła, by zdjął z niej ubranie, a jednocześnie z niepokojem myślała o tym, że lada chwila może wrócić Beth.

Max zamilkł. Zanurzwszy się w jej wnętrzu, jęknął tylko z rozkoszy.

Ruby delikatnie gładziła go po twarzy, udając, iż oddaje pieszczoty i odwzajemnia jego namiętność. Jednym uchem nasłuchiwała, czy nie nadchodzi Beth z dziećmi. Tak bardzo zależało jej, żeby Max na chwilę zapomniał o ciężkich czasach, w jakich przyszło im żyć.

— Było cudownie — szepnął potem, trzymając ją w ramionach. — Przyjadę po ciebie któregoś dnia. — Miał łagodny wyraz twarzy, na której malowały się emocje. Chciał pocałować ją jeszcze raz. Wtedy na parterze odezwały się głosy. Oboje podskoczyli.

— Lepiej już pójść. — Ruby pośpiesznie naciągnęła na siebie ubranie. Zatrzymała się przy drzwiach. — Masz rację, Max. Było cudownie.

Tego wieczoru syreny zawyły o siódmej. Atak trwał nieprzerwanie aż do wczesnych godzin pierwszego dnia świąt.

Zapowiadało się na to, że kolacja upłynie w minorowych nastrojach, ale przez wzgląd na dzieci, które nigdy przedtem nie dostały aż tylu prezentów, wszyscy usilnie starali się zachować pogodę ducha. Radość okazała się zaraźliwa i pod koniec posiłku wszyscy rzeczywiście byli już w dobrych nastrojach.

— Skoro Bóg uznał za stosowne, by nas ocalić, powinniśmy się weselić, a nie smuć — zauważył Charles.

Max Hart wyjechał 26 grudnia, w drugi dzień świąt. Powrót do bazy w Kent mógł zabrać mu kilka dni. Znajomy Charlesa zaproponował, że odwiezie młodego pilota do Manchesteru, skąd będzie mógł wyruszyć w dalszą drogę pociągiem. Jednak nikt nie był w stanie przewidzieć, co będzie dalej. Nastaly niepewne czasy.

O ósmej rano zajechał samochód. Wszyscy zebrali się przed domem, żeby się pożegnać. Max uściskał dzieci, ucałował kobiety i podał rękę Charlesowi.

— To były najlepsze święta w moim życiu — powiedział i westchnął z zadowoleniem.

— Do zobaczenia w przyszłym roku, a może wcześniej — zawołała Connie, kiedy Max oddalał się w stronę furki, ciągle machając.

— Postaraj się przyjechać wcześniej — krzyknęła Beth.

Ruby przycisnęła tylko dłoń do twarzy. Nie wiedziała, co powiedzieć. Max wsiadał już do samochodu. Pobiegnęła ścieżką za nim.

— Uważaj na siebie, Max — zawołała. — Nigdy cię nie zapomnę.

Machając zawzięcie, patrzyła, jak samochód odjeżdża i znika za zakrętem. Max wyjechał.

Nigdy więcej go nie zobaczyła. Nie przysłał adresu matki.

## *Rozdział 8*

W kwietniu Greta poszła do szkoły.

— Dlaczego ja nie mogę pójść? — pytała rozżłoszczona Heather.

— Bo jesteś jeszcze za mała. Musisz zaczekać do przyszłego roku. — Ruby bardzo brakowało w domu obecności starszej córki. Z zadowoleniem natomiast przyjęła fakt, iż nie przyprowadzano już Roya Deacona. Rozpoczął naukę w tym samym czasie, co Greta. Martwiła się o córkę.

Jej ukochane dziecko znajdowało się teraz w obcych rękach. Greta była odrobinę nerwowa i nieśmiała. Czy spotka się to z wyrozumiałością? A może będą jej dokuczać? Niech tylko spróbują, a Ruby natychmiast pójdzie tam i zrobi awanturę. Heather też wpadła w przygnębienie. Martwiła się, że bez niej Greta nie da sobie rady.

Ruby oznajmiła w końcu Beth, iż dopełniła swego patriotycznego obowiązku, jeśli chodzi o opiekę nad dziećmi innych matek i poprosiła, by nie przyprawiano jej żadnych nowych milusińskich.

— Będzie, jak chcesz, Ruby — odparła Beth bez wahania. — A tak przy okazji: co się dzieje z Charlesem?

— Pojęcia nie mam. Zapytam go.

Charles od paru dni włóczył się po domu niczym chore szczenię. Gdy Ruby spytała, co go tak smuci, odrzekł, że Wendy poznała kogoś. Był podporucznikiem marynarki.

— Facet nosi mundur — wyjaśnił ponurym głosem. — Cywile są dziś w niełasce.

— Już ja go wyleczę — obiecała Connie. — Charles podoba mi się od samego początku, a mundury nie robią na mnie żadnego wrażenia. Przecież nie można ich nosić przez całe życie. Czasem trzeba je zdejmować, choćby tylko do snu...

Charles został całkowicie wyleczony i za trzy miesiące ogłoszono ślub. — Byle jak najszybciej — wyjaśniła to Connie z uśmiechem. — Charles uważa, że nierozsądnie byłoby czekać, skoro jest wojna i lada dzień ktoś z nas może zginąć.

Ruby uznała ten tok myślenia za nieco chorobliwy. Jednak cieszył ją fakt, iż nadal będą mieszkać na piętrze. Przeniosą się do sypialni Connie, gdzie stoi dwuosobowe łóżko, jeżeli Ruby się zgodzi, wszystkie swoje rzeczy ułożą w małej sypialni.

Ślub zaplanowano na sobotę z dwutygodniowym wyprzedzeniem. Wprowadzono właśnie przydziały na odzież. Connie stanęła przed wyborem: mogła wydać wszystkie swoje talony na suknię ślubną lub pójść do ołtarza w codziennym ubraniu.

— Zawsze chciałam być panną młodą w bieli — powiedziała z rozrzewnieniem w głosie. — Ale co tam! Nieważne.

Beth wymyśliła jeszcze coś innego. Lubiła chwalić się swym talentem krawieckim. Uznała, że z dwóch koronkowych zasłon pani Hart da się zrobić wspaniałą suknię ślubną.

— Wystarczy nawet na welon. Tylko nie będzie mógł opadać ci na twarz, bo materiał jest za gruby.

W ogrodzie zerwano róże i zrobiono z nich bukiet. Martha Quinlan wraz z Fredem zaoferowali w prezencie kilka skrzynek piwa. Kościół był niedaleko i każdy mógł dojść tam na piechotę. Wesele urządziła w domu. Przy gramofonie leżało kilka starych płyt, więc będzie przy czym tańczyć. Zaproszono trzydzieści osób.

— Co ja im dam do jedzenia? — spytała Ruby. — Codziennie martwię się o to, żeby wykarmić was i siebie. Na nic innego nie mam czasu.

— Może konserwy? — zaproponował Charles.

— Konserwy? Z czym?

— Po prostu pokroimy je w plasterki i podamy z chlebem i korniszonami.

— A kiedy ostatni raz widziałeś w sklepie korniszony? — rzuciła Ruby surowym tonem. — Ja już nawet nie pamiętam, jak wyglądają.

— Zaraz ci przypomnę — odparł Charles, po czym zniknął. Po luku minutach wrócił, trzymając w ręce trzy ogromne, zakurzone słoje. Z hukiem postawił je na stole. — Marynowana cebula, kiszona kapusta, śliwki w occie — oznajmił. Zaskoczenie, jakie ujrzał na twarzy Ruby, najwyraźniej sprawiło mu przyjemność.

— Śliwek nie zaprawia się w occie, tylko w wodzie. Skąd to masz?

— Z piwnicy. Pewnie zrobiła je matka Maxa.

— A niech mnie szlag! Nawet nie zauważyłam. Czy to nadaje się do jedzenia po tak długim czasie? Nie chciałabym otruć gości weselnych.

— Przekonajmy się, zanim podamy to na stół.

— Sam się przekonaj, Charles. Jeśli przeżyjesz, podam to gościom. Szkoda, że jabłka jeszcze nie dojrzały. Przydałyby się. A z rabarbaru można by zrobić niezłe wino. Niestety, w klasztorze uczyli nas wielu rzeczy, ale nie tego, jak się robi wino...

Tak się szczęśliwie złożyło, że goście uznali za stosowne dostarczyć żywność. Młoda para przynosiła do domu puszki z konserwą, mieszanką owocową, brzoskwiniami oraz śmietaną. Matka Charlesa miała przywieźć tort, jaki zamówiła w Dunstable. Zaznaczyła tylko, że ciasto będzie upieczone bez najważniejszych składników.

A któregoś wieczoru Connie przyniosła do domu w koszu żywego królika.

— Dostałam go od jednego faceta z pracy. Nie ma go już czym karmić. A przecież królik smakuje zupełnie jak kurczak...

Ruby wrzasnęła.

— Ten jest żywy. Za nic w świecie nie zabiję tego biedaka. Jest taki śliczny. — Królik miał czarne jak aksamit futerko i białe plamki na dwóch łapkach. Podgryzał kawałek marchewki, nieświadom, jaki czeka go los.

— W porównaniu z konserwą kurczak to prawdziwy rarytas. Niech Charles zabije królika — orzekła Connie po chwili zastanowienia.

— Niech zrobi też filety i ugotuje mięso. Dla mnie byłoby to tak samo przerażające, jak ugotowanie Tygryska.

Kiedy Charles wrócił, dzieci bawiły się z królikiem. Nadały mu nawet imię: Floppy. Tygrysek przyglądał mu się podejrzliwie, nie bardzo wiedząc, czy ma do czynienia z przyjacielem, czy z wrogiem.

Charles oświadczył, iż nie zamierza tknąć zwierzęcia, a Beth wybuchła płaczem.

— Nie mogłabym go zjeść — mówiła przez łzy. — A poza tym dzieci nie wypuszczą go z rąk. Uwielbiają go.

— Jesteś mięczakiem, wiesz? — ucięła surowo Connie.

— To może sama go zabij — zaproponował Charles.

— Och, ja też nie potrafię — odparła narzeczona, lekko wzruszając ramionami. — Taki z niego pieszczoszek.

W szafie pani Hart leżało kilka eleganckich kapeluszy. Ruby pożyczyła sobie słomkowy. Granat świetnie pasował do jej nowej, niebieskiej sukni w białe kwiaty, z bufiastymi rękawami i rozkosznym kołnierzykiem.

— Żeby dostać drugą taką suknię, będzie pani musiała poczekać, aż skończy się ta przekłeta wojna — powiedziała sprzedawczyni ze smutkiem w głosie. — Teraz będą szyte z minimalnej ilości materiału. Koniec z bufiastymi rękawami.

Beth miała bawełnianą garsonkę koloru truskawki z plisowaną spódnicą. Plisowany materiał też stał się rzadkością w czasie wojny. Z kolekcji pani Hart wybrała do tego beżowy kapelusz z organdy. Miał szerokie rondo i ozdobne różyczki zjedwabiu.

— Ach, jakie jesteśmy piękne! — zawołała Ruby śpiwnym głosem w weselny poranek, kiedy wystroiliły się w to, co najlepsze. — W tym kapeluszu czuję się bardzo elegancka. Ty wyglądasz jak południowa piękność. Vivien Leigh może się przy tobie schować. — Odwróciła się w stronę panny młodej. — Ale żadna z nas nie dorówna tobie, Connie. Na twój widok ślepy odzyskałby wzrok. Pani Hart byłaby ogromnie przejęta, widząc cię wystrojoną w swoje zaślony.

Z upiększonej idealnym makijażem twarzy Connie emanowało szczęście. Zza eleganckich okularów widniały upojone miłością do Charlesa



oczy. Już wkrótce zostanie jego żoną. Stanęła przed dużym lustrem, by przyjrzeć się sobie w całej okazałości. Jej głowę zdobiły koronkowe falbanki. Suknia miała wysoki karczek, długie, obcisłe rękawy, wzdłuż których widniało żąbkowane obszycie zasłony.

— To najpiękniejsza suknia ślubna na świecie — powiedziała wzruszonym głosem. — Nawet w najbardziej ekskluzywnym sklepie w Londynie nie kupiłabym nic równie ładnego. — Objęła Beth ramionami. — Dziękuję ci! To ty sprawiłaś, że dzień mojego ślubu jest tak wyjątkowy. Będę ci za to dozgonnie wdzięczna. Tobie też dziękuję, Ruby. Wyczarowałaś niesamowite potrawy. Założę się, że sama królowa Elżbieta nie zasiadała przy tak wspaniale zastawionym stole w dniu, w którym wychodziła za króla.

Ruby z trudem chwyciła spadający jej z głowy kapelusz, kiedy Connie zarzuciła jej ramiona na szyję i przytuliła ją czule.

— Na królewskim stole na pewno nie było też królika. Tak się cieszę, że nie zabiliśmy Floppy'ego. To zepsułoby nam całą przyjemność w tak szczególnym dniu. Słońce świeci, na dworze jest dość ciepło, a na niebie nie widać ani jednej chmurki. Zapowiada się pierwszorzędny dzień...

Grecie i Heather powierzono role druhen. Ubrane były w sukienki koloru brzoskwiнового z gładkiej satyny, przerobione z prawdziwej sukni druheny, należącej do Agnes-Fay Quinlan. Jake wyglądał uroczo w pożyczonym stroju pazia z niebieskiego aksamitu, który był na niego odrobinnę za duży.

To był cudowny, lipcowy dzień. Ludzie ustawili się przed domem, by popatrzeć, a kiedy orszak ślubny ruszył pieszo w stronę kościoła, machali i witali młodą parę oklaskami i uśmiechem, życząc im wszystkiego najlepszego. Serca wielu z nich zabiły mocniej. Niektórzy uronili łezkę wzruszenia. Widok radosnej, białej świty na chwilę przywrócił im szczęście w udręczonym straszną wojną kraju.

Przechodząc obok gruzów, gdzie do niedawna stały dwa domy, Connie wyjęła z bukietu różę i rzuciła ją na zwał cegieł. Kolejną różę podarowała sędziwej kobiecie, która stała przy drodze, uśmiechając się przez łzy.

— Niech cię Bóg błogosławi, kochanie — wyszeptwała, wzruszona.

Trzecią różę Connie podarowała młodemu żołnierzowi, a czwartą kobiecie z wózkiem, w którym siedziało dwoje dzieci. Kiedy dotarli do kościoła, pannie młodej została już tylko jedna róża. Wystarczyła jej w zupełności.

Ruby pomyślała sobie, że dom pani Hart jeszcze nigdy nie rozbrzmiewał tak głośnym śmiechem. Wszystkim zebranym wystarczył tylko niewielki pretekst, by wybuchnąć salwą śmiechu. Niekiedy śmiali się bez powodu. Zdawało się, iż w tym szczególnym dniu każdy zapomniał o problemach. Ludzie chcieli bawić się na całego. Tańczyli, śmiali się, śpiewali. Kiedy družba weselny, przyjaciel Charlesa, wstał, by wygłosić mowę, w której bynajmniej nie było nic zabawnego, wszyscy i tak zrywali boki ze śmiechu.

— Panie i panowie — zaczął, a goście natychmiast zachichotali.

Dzieci były bardzo przejęte i nie posiadały się z radości. Rozpierała je energia. Przekrzykiwały płynącą z gramofonu muzykę i lotem błyskawicy biegały z pokoju do pokoju. Wszędzie były w centrum uwagi. Goście skakali wokół nich i rozpieszczali je, aż Ruby zaczęła się obawiać, że po tym wszystkim nie będzie w stanie przywołać dzieci do porządku.

Konserwy, chleb i korniszony szybko znikły ze stołu. Równie szybko zjedzono tort, choć był suchy jak pieprz. Matka Charlesa, siwowłosa kobieta, ubrana w eleganckie, brokatowe wdzianko w kolorze pawiego oczka, odetchnęła z ulgą. Obawiała się, że goście z obrzydzeniem zaczną wypływać ciasto z powrotem na talerz.

— Śliwki są przepyszne — powiedziała do Ruby. — Sama zaprawiłaś, kochanie?

— Nie, dostaliśmy. Większość jedzenia mamy dzięki uprzejmości zaproszonych.

— Mój syn jest z pani dumny, pani O'Hagan. Szkoda, że nie ma tu jego rodzeństwa. Graham jest w Egipcie, a Susie lada moment będzie rodzić. Chyba nigdy przedtem nie byłam na piękniejszym weselu. Nie mogę się doczekać, żeby opowiedzieć wszystkim, jak wspaniale wyprawiono Charlesa na nową drogę życia. Jestem pani bardzo wdzięczna, nie tylko za przygotowanie wesela. Charles mówił mi, że jest pani motorem życia w tym domu — zawsze na miejscu, pogodna, pełna pozytywnej energii, i że doskonale pani się nimi opiekuje. — Z czułością ścisnęła ramię Ruby. — Jak na tak młodą osobę, jest to ogromne osiągnięcie.

— Dziękuję. — Ruby nigdy nie zastanawiała się nad tym, dlatego miło było usłyszeć, że ktoś docenia jej wysiłki.

— Pani mąż jest zapewne na froncie?

— Był. Zginął podczas ewakuacji pod Dunkierką.

Pani Winner zbladła z wrażenia.

— Ach, drogie dziecko! Tak bardzo mi przykro. Charles nigdy mi o tym nie mówił.

Wtedy stało się coś dziwnego. Bywało tak za każdym razem, kiedy dzieliła się tą informacją z innymi: Ruby poczuła, jak łzy napływają jej do oczu.

— Muszę się jakoś z tym pogodzić — odparła chłodno.

Później ktoś nastawił starą płytę Rudy'ego Vallee. Z gramofonu popłynęła piosenka „Noc i dzień” i Ruby znów powróciła myślami do Jacoba. Przypomniała sobie, jak po raz pierwszy odwiedziła w Brambles i jak tańczyła dla niego. *Tamten* Jacob był słodki, niewinny i taki kochany. Ten sam Jacob stanął potem w jej obronie i pobił Billa Pickeringa. Zrobił to z miłości do niej. Oczywiście wiedziała, jak *tamten* Jacob umiera na plaży pod Dunkierką. Nie pamiętała już żalosego, wystraszonego człowieka, z którym mieszkała przez dwa lata. Ruby opłakiwała prawdziwego Jacoba: tego, którego znała, jeszcze zanim lęk pomieszał mu zmysły, gdy zmuszony był żyć w obcym dla niego świecie.

O szóstej nowożeńcy wyruszyli w dwudniową podróż poślubną do New Brighton. Od wybranego miejsca dzieliła ich jedynie przejażdżka promem przez rzekę Mersey, ale przynajmniej łatwo było tam dotrzeć i stamtąd wrócić. Po co jechać gdzieś dalej i tracić cenny czas, siedząc na stacjach i wyczekując pociągu, który — być może — nigdy nie nadjedzie?

W domu zapanowała wyciszona atmosfera. Wieczorem ochłodziło się. Wszyscy usiedli w ogrodzie. Wpatrywali się w cienie, które pełzały po zaniedbanym trawniku, usianym stokrotkami i pięknymi, żółtymi mleczkami. Każdy w duchu pragnął, by tego wieczoru syreny nie uderzyły na alarm. Od maja był tylko jeden koszmarny tydzień, kiedy co noc na miasto spadał nieustający grad bomb i min, kiedy tysiące ludzi ginęło lub odnosiło rany i wydawało się, iż lada moment Liverpool zniknie z powierzchni ziemi. Potem Hitler najwyraźniej odpuścił, bo od tamtej pory liczba nalotów zdecydowanie zmalała.

Ruby siedziała na tylnych schodach w towarzystwie Marthy Quinlan, która nagle zerwała się na równe nogi.

— Jim! To przecież nasz Jim! — krzyczała.

— Witaj, mamó. Tato powiedział, że cię tu znajdzie.

Mówił monotonnym głosem, jego oczy pozbawione były dawnego blasku, a opalenizna wyblakła. Stracił też na wadze. Martha zaczęła poklepywać go, jak gdyby chciała się upewnić, czy syn rzeczywiście stał przy niej we własnej osobie. Z żalem zauważyła, jak bardzo schudł.

— Nie sądziłam, że przyjedziesz, synku. Tak bardzo się cieszę na twój widok, że aż chce mi się płakać.

Na twarzy Jima pojawił się grymas uśmiechu.

— To dwie sprzeczne emocje, mamó. Przyjechałem, bo przesiadam się na inny statek. W poniedziałek wyjeżdżam. Pomyślałem sobie, że wpadnę zasmakować trochę normalnego życia, tak dla odmiany. Na statku łatwo zapomnieć, jak żyją zwyczajni ludzie. Witaj, Ruby. Aleś ty elegancka.

— Jak się masz, Jim? — Zmartwiło ją to, że wyglądał tak mizernie. Jednak serce zabiło jej mocniej. Nie widziała go od miesiący. Upłynął prawie rok. Przez cały ten czas nie było dnia, w którym o nim nie myślała. Zastanawiała się, czy on myślał o niej równie często. Czy w *ogóle* o niej myślał?

— Jakoś się trzymam — odparł Jim, wzruszając ramionami. — Przykro mi z powodu twojego męża.

— Ona bardzo dzielnie to znosi, synu — wtrąciła Martha, zanim Ruby zdążyła odpowiedzieć. — Beth także. Wiesz, ile kobiet owdowiało... — mówiła, płacząc. — Ileż dzieci straciło ojców. Do czego doszło na tym świecie?!

Wtedy podeszła do nich pani Wallace, babcia Connie — jedyna krewna z jej strony, która zjawiła się na ślubie. Poinformowała, że na nią już czas. Podziękowała Ruby za wspaniale spędzony dzień. Kilkoro przyjaciół Charlesa przyszło się pożegnać zaraz po niej. Odprowadziwszy ich do wyjścia, Ruby wróciła do ogrodu, gdzie zastała Jima Quinlana pochłoniętego rozmową z Beth. Już miała się do nich przyłączyć, ale w ich zachowaniu było coś, co ją powstrzymało: pochyleni ku sobie, zdawali się przeżywać *intymne* chwile. Ruby poczuła ukłucie zazdrości. O czym tak rozmawiali? I dlaczego siedzieli tak blisko siebie?

Jeszcze przed chwilą Ruby marzyła o tym, by ten piękny dzień trwał wiecznie. Teraz jednak zapragnęła, żeby wszystko już się skończyło i żeby wszyscy się rozeszli. Drażniła ją zachowanie córek i z trudem panowała nad sobą. Dziewczynki były upojone nadmiarem wrażeń. Popisywały się przed gośćmi, tarzając się po trawie w sukienkach. Tygrysek przysiadł na suszarce do naczyń i pałaszował ledwo napoczętą puszkę skondensowanego mleka. Drużba był kompletnie pijany. Wypił dużo więcej piwa, niż przypadało na jedną osobę, na co Ruby miała wielką ochotę zwrócić mu uwagę.

A Beth i Jim wciąż rozmawiali. Ruby złościła się coraz bardziej.

„To niesprawiedliwe” — pomyślała w duchu. Beth zostawiła wszystko na jej głowie. Kiedy grupki gości zaczęły opuszczać przyjęcie, dziękując Ruby za mile spędzony czas i podając jej dłoń na pożegnanie, poczuła się, jakby pełniła rolę matki panny młodej.

— Tyle wysiłku włożyłaś w przygotowanie tego wszystkiego.

— Dziękujemy ci bardzo. To był cudowny dzień.

W końcu zostało tylko troje gości: pani Winner, Martha Quinlan i Jim. Siedzieli w domu i słuchali radia. Beth pojęła niesubtelną aluzję Ruby i poszła położyć dzieci spać, a że z piętra wciąż dochodziły piski i krzyki, najwyraźniej nie było to łatwe zadanie. Pani Winner wyjeżdżała do Dunstable dopiero nazajutrz i miała przenocować w pokoju Charlesa. Mówiła, że ledwo trzyma się na nogach, ale mimo to była bardzo zadowolona i bardzo chciała pozmywać naczynia jeszcze przed pójściem do łóżka.

— Rano pomogę przy porządkach.

Martha ziewnęła.

— Czas na nas, synu. Jutro muszę zerwać się o świcie i posprzątać w tym piekielnym pubie. Dzięki, Ruby. Odwaliłaś dziś kawał dobrej roboty. Świetnie się bawiłam.

Jim pośpiesznie kiwnął głową.

— Ja też, choć tylko przez krótką chwilę.

— Wpadnij jutro — zachęcała gorąco Ruby. — Musisz zasmakować trochę więcej codziennego życia. Przyjdź na podwieczorek. Mamy jeszcze owoce w puszkach.

— Dzięki, ale na jutro jestem już umówiony

— Więc do zobaczenia następnym razem.

Czyli za kolejne kilka miesięcy? I pewnie znów zamienią ze sobą tylko dwa, trzy słowa, jak dziś. Z jakiegoś powodu zachciało jej się płakać, choć ucieszyła się ogromnie, kiedy Jim wyszedł w towarzystwie Marthy bez pożegnania z Beth, która wciąż była na piętrze.

Zeszła krótko po tym, jak za ostatnimi gośćmi zamknęły się drzwi.

— Co się z tobą dzieje? — spytała, zdziwiona. — Przecież widzę, że coś cię ugryzło. Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi. Zdawało mi się, że to był udany dzień.

— To ze zmęczenia — ucięła Ruby.

— Jakoś nigdy tak się nie dasasz, kiedy jesteś zmęczona.

— Dziś wyjątkowo mam ochotę się podasać. Idę spać. W domu jest okropny bałagan. Jutro czeka nas tyle pracy...

Była już w połowie schodów, gdy usłyszała słowa Beth:

- Ja jutro wychodzę. Chyba się nie pogniewasz?
- Wychodzisz?! — Nagle nabrała podejrzeń. — A dokąd?
- Do kina. Z Jimem. Potem idziemy do restauracji.

— To niesprawiedliwe! — powiedziała rozwścieczona Ruby, choć, wiedziała, że zachowuje się niedorzecznie. Po raz pierwszy Beth zrobiła jej coś tak okropnego. Ruby nie miałyby nic przeciwko, gdyby nie chodziło tu o Jima. — Connie jest tak samo twoją przyjaciółką, jak i moją. To ja zorganizowałam wesele. Mogłabyś więc chociaż pomóc przy sprzątaniu.

Na twarzy Beth malowało się głębokie poczucie winy. Ruby zrobiło się wstyd. Ona na jej miejscu powiedziała by po prostu: „Idź do diabła”.

— Przepraszam cię, Ruby — odrzekła tylko Beth — ale nie mogłam mu odmówić.

— Czemu nie?

— On jest trochę załamany... „Trochę” to chyba nawet za mało powiedziane. — Oczy nabiegły jej łzami. — On wie, że w każdej chwili może zginąć.

W niedzielne południe, po wylewnych pożegnaniach i gorących zapewnieniach o kolejnym spotkaniu, pani Winner wyjechała do Dunstable. Beth odwiozła ją tramwajem na stację, a potem poszła na spotkanie z Jimem Quinlanem.

Jim nie pytał o Ruby, a ona uznała, że tak lepiej, bo na pewno nie zniosłaby widoku ich dwojga, idących razem. Co takiego było w Beth, że jej zaufała? Może myślał, że ona, Ruby, wyśmiej go, że będzie miała ubaw z jego problemów i zbagatelizuje jego lęk? Beth mówiła, że właściwie nie był to lęk, tylko przeczcucie, iż wkrótce zginie.

— Sama śmierć go nie przeraża. Martwi się tym, jaka to będzie śmierć. Nie boi się śmierci szybkiej, ale po nocach śni mu się, że zamarza gdzieś w morzu na północy Europy albo że ginie w ogniu.

— Skąd u niego takie myśli? — spytała Ruby.

— Kiedy skończył szkołę, dziesięciu kolegów z jego klasy zaciągnęło się do marynarki handlowej. Zginęli wszyscy oprócz Jima. On nie rozumie, dlaczego akurat jego Bóg miałby oszczędzić. Mówi, że to nie w porządku. — Beth zadrżała, jakby przeszył ją dreszcz. — Och, Ruby! Wcale się nie dziwię, że ma takie myśli. Gdzie by nie spojrzeć, dookoła szaleje śmierć. Przeżywam to samo, kiedy chowamy się w piwnicy. Wiem, że w każdej chwili może być już po nas. Z jakiej racji mamy zostać przy życiu, skoro wokół nas ginie tylu ludzi? Naloty, co prawda, ustały, ale na morzach wciąż jest bardzo niebezpiecznie...

Beth z panią Winner wyszły. Ruby zaczęła przechadzać się po opustoszałym domu. W ogrodzie bawiły się dzieci. Wyzute z energii po wrażeniach wczorajszego dnia, wymyślały sobie zabawy bez ładu i składu. Ruby czuła się jakoś dziwnie, nie musząc martwić się o dzisiejszy obiad. Charles i Connie wyjechali, a Beth będzie jadła na mieście. Przygotuje dla siebie i dzieci jakąś lekką przekąskę na podwieczorek — fasolę na grzance. Jake to uwielbiał. A na później zostało jeszcze dużo owoców w puszkach.

Weszła do kuchni, żeby zaparzyć sobie filiżankę kawy „biwakowej” — któryś z gości weselnych przyniósł cały słoik tego obrzydlistwa. Usiadłszy na schodach przed domem, piła kawę, krzywiąc się po każdym łyku.

Dzieci bawiły się w szkołę. Heather była nauczycielką, a Greta i Jake grali role uczniów. Tygrysek i Floppy leżeli na trawie, udając zainteresowanych obserwatorów. Widok ten przywołał Ruby na myśl urok i niewinność dzieciństwa. Poczwała, jak wzruszenie ścisła jej gardło. W duchu była wdzięczna losowi, że pani Hart wyjechała do Ameryki i powierzyła im opiekę nad domem.

Ruby zaczęła zastanawiać się, co zrobi, kiedy skończy się wojna. Gdzie będą mieszkać? Ona i Beth nie będą przecież mogły być razem przez całe życie. Ruby będzie musiała pójść do pracy, z czym łatwo przyszyłoby jej się pogodzić. Tylko jaką pracę podejmie? Przecież nie w lombardzie. Trzeba będzie pomyśleć o czymś innym. Sprzątanie? Ruby nie miała zamiaru chodzić ze ścierką i myć podłogi u innych ludzi. Mogła robić to jedynie dla samej siebie. Myślami powędrowała w przeszłość, do lat spędzonych w klasztorze, kiedy jej najbardziej wygórowane ambicje nakazywały znaleźć zatrudnienie w sklepie bądź w restauracji. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że kobieta może pracować także jako nauczycielka, lekarz, aktorka, że kobieta może studiować na uczelni, latać samolotem czy odkryć rad, jak Maria Curie, i zajmować się mnóstwem innych ciekawych rzeczy.

Ruby nie widziała jakoś siebie w żadnym z tych zawodów, mimo iż bardzo chciała. Powodem nie był brak wiary w swoje możliwości; najchętniej sprawdziłaby się w każdej z tych ról. Główną przeszkodą była jej sytuacja życiowa, a ściślej — dwoje dzieci.

Niewykluczone, że w przyszłości sprawy potoczą się innym torem. Być może wyjdzie za mąż...

Z rozmyślań wyrwał ją krzyk. Sielski nastrój dziecięcej niewinności zburzony został przez bunt w klasie. Trzyletni Jake znużył się nauką pisanania pod okiem tak surowej nauczycielki i ruszył w kierunku huśtawki.

Był nią przewieszony przez gałąź drzewa kawałek sznura. Heather usiłowała przyciągnąć go z powrotem.

— Nie ma jeszcze przerwy! — krzyczała.

Ruby klasnęła w dłonie. Dzieci zamarty. Heather wpatrywała się w małego chłopca, na którego ślicznej twarzy widniała buntownicza mina.

— Heather, puść go — nakazała jej Ruby.

— Mamo, on jest niegrzeczny.

— Wcale nie. On po prostu chce się pohuścić. Puść go.

Heather nie bez oporu pozwoliła małemu odejść. Jake od razu poweselał. Chwycił sznur i zaczął się huścić, upojony swobodą niczym dziecko, które cały dzień naprawdę spędziło w szkole.

Jak to dobrze, że w domu nie było Beth. Zawsze złościło ją to, że Heather próbuje zdominować Jake'a.

„Będę musiała przywołać Heather do porządku — pomyślała Ruby. — Nie chodzi tylko o Jake'a, ale i o Gretę”.

Początkowo Heather troszczyła się o Gretę, co było bardzo wzruszające, jednak od chwili, gdy starsza siostra zaczęła chodzić do szkoły, młodsza z niezadowoleniem przyjęła fakt, iż Greta wymknęła jej się spod kontroli. Tak więc przez resztę czasu, który siostra spędzała w domu, Heather na wszelkie sposoby udawadniała swoją przewagę. Greta natomiast nie miała nic przeciwko. Pozwalała sobą rządzić, nie okazując ani krzty niezadowolenia. Ruby nie bardzo wiedziała, czy to dobrze, czy źle. Starszej córce odpowiadało to, że nie musi o niczym decydować. Bawiła się wtedy, kiedy chciała Heather, chodziła za Heather krok w krok. Jake z kolei wolał robić to, na co on sam miał ochotę. Czasem tylko w jego dziecięce życie wtrącał się ktoś dorosły. Jake był ślicznym dzieckiem o bardzo miłym usposobieniu. Ruby wyobrażała sobie, iż wyrośnie z niego wspaniały mężczyzna.

„Heather z kolei zapowiada się na heterę — pomyślała ze skwaszoną miną. — A Greta będzie popychadłem”.

Przyjrzała się córkom. Greta siedziała cierpliwie na trawniku. Miała twarzyczkę w kształcie serca, otoczoną kępką płowych włosów. Wlepiając wzrok w siostrę, czekała, aż Heather wróci do roli nauczycielki. Greta była wciąż zbyt drobna jak na swój wiek. Jej organizm nie wrócił jeszcze do pełni sił po pierwszych, najtrudniejszych latach spędzonych w Foster Court. Brakowało im wtedy żywności, a mała wciąż chorowała. Była niższa od Heather. Na wczorajszym przyjęciu wiele osób sądziło, że to Greta jest młodszą z siostr, a Heather starszą.



Patrząc na Heather, Ruby zdawało się, że patrzy na samą siebie: wyraźne rysy, ciemne oczy, koścista sylwetka. „Ja chyba nie byłam aż tak okropna” — zastanawiała się w myślach. Zakonnice mawiały, że była uparta, że zawsze wszystko musiało być po jej myśli. Ale czy kiedykolwiek tupiała nogami z wściekłości, kiedy nie dostawała tego, czego chciała? Heather była do tego skłonna. „Wyrośnie — pocieszała się Ruby. — W każdym razie mam taką nadzieję”.

Krótko po weselu w pokoju na parterze urządzono sypialnię dla Marie Ferguson. Była to prosta kobieta o dobrym sercu, wdowa po pięćdziesiątce. Pracowała w szpitalu Sefton jako pielęgniarka. Zależało jej, żeby zamieszkać gdzieś bliżej miejsca pracy, bo codzienne dojazdy do domu w małej wiosce pod Wigan stały się męczące.

Marie szybko się zadomowiła i wkrótce wszyscy zaczęli ją traktować jak członka ich nowo powstałej rodziny. W weekendy z przyjemnością zajmowała się dziećmi. Ruby i Beth mogły wtedy wybrać się do luna, a niekiedy nawet na tańce.

Beth uwielbiała tańczyć. Ruby z kolei nie bardzo potrafiła prowadzić grzecznościowe rozmówki towarzyskie. Nudziła się, słysząc w kółko te same pytania. „Jak masz na imię? Czym się zajmujesz? Gdzie mieszkasz? Czy mogę cię odwiedzić do domu?” Na to ostatnie zawsze stanowczo odpowiadała „*Nie!*”

- Wszyscy wydają się tacy młodzi — narzekała.
- Przecież ty wcale nie jesteś stara — polemizowała z nią Beth.
- Przy nich czuję się taka stara.
- Nie wszyscy są młodzi. Pełno tu mężczyzn po trzydziestce, a nawet starszych. Co ci się w nich nie podoba?
- To, że są żonaci. Ich biedne żony wpadłyby w furję, gdyby zobaczyły, że tańczą z innymi kobietami i odwożą je do domu. A jeśli potem zostaną zaproszeni do środka, znajdą się w jeszcze gorszych tarapatkach.

Ruby miała wrażenie, że utraciła młodość w ciągu tych kilku dni, kiedy wraz z Jacobem wyjechali z Kirkby i zamieszkali w Foster Court. Kiedyś uwielbiała tańczyć. Teraz nie miała już ochoty. Taniec wydawał jej się bezmyślnym sposobem na spędzanie czasu. Ze smutkiem zauważyła, iż straciła wszelką chęć do zabawy. Miała za krótkie dzieciństwo, zbyt szybko dojrzała. Dziś była już poważną, trzeźwo myślącą dorosłą kobietą.

Po Wielkanocy Heather rozpoczęła naukę w szkole. Ruby niechętnie przyznała, nawet przed samą sobą, iż z ulgą pozbyła się z domu niesfor-

nej córki. Jake'owi nie przeszkadzał brak towarzystwa, a za rok sam miał trafić do szkoły. Ruby mogła wreszcie skorzystać z okazji i poszukać sobie jakiegoś zajęcia, choćby w niepełnym wymiarze.

Jako niezmordowana działaczka z ramienia Wolontariatu Kobiet, Martha Quinlan od razu znalazła jej pracę. Firma Liverpool Corporation stopniowo odbudowywała tysiące domów zniszczonych podczas bombardowań. Nie zajmowali się jednak odmalowywaniem wnętrz. Ściany i sufity nadal nosiły ślady po wodzie, sadzy i pożarze.

— Trzeba pomóc starszym — wyjaśniła Martha. — Młodzi bez problemu sami odmalują sobie ściany, a starszych mierzi widok zdevastowanych domów. O malarzy i dekoratorów jest dziś ciężko, poza tym ludzi i tak nie byłoby stać, żeby im płacić.

Codziennie rano przez cztery godziny Ruby malowała wnętrza domów. Nauczyła się, jak wypełniać dziury gipsem i rozrobionym cementem. Po powrocie z pracy cuchnęło od niej terpentyną, a na jej czarnych włosach widniały smużki farby.

Nastał rok 1943. Nic nie wskazywało na koniec wojny, choć ludziom obiecywano, iż zwycięstwo nadejdzie lada dzień. W każdej chwili spodziewano się inwazji na Francję. W międzyczasie jednak — ku zadowoleniu młodych Angielek — miała miejsce jeszcze inna inwazja, wobec której mężczyźni poczuli się zagrożeni.

Do Wielkiej Brytanii przybyły całe chmary Jankesów. Kraj opanowali pogodni, otwarci, intrygujący młodzieńcy w idealnie skrojonych mundurach, uprzejmi aż do przesady. Wszędzie było ich pełno. Z kieszeni, pomiędzy banknotów, wystawała im guma do żucia. Przekonani byli, że każdą kobietę w tym państwie można zdobyć za parę pończoch.

Ruby polubiła nagle wieczorki taneczne i z niecierpliwością czekała na koniec tygodnia. Dla niej był to teraz nowy, zupełnie odmienny świat. Rozmawiała z młodymi mężczyznami, którzy przyjechali z takich miejsc jak Teksas czy Kalifornia i robili wszystko, co ona знаła jedynie z filmów: pracowali na ranczo, jeździli cadillacami, grali w baseball, byli w Radio City, w Hollywood, na Piątej Alei czy przy wodospadzie Niagara...

Tak przynajmniej wynikało z ich opowiadań. Ruby nie do końca wierzyła w te historie, ale ich pogoda ducha i przyjazne usposobienie przyniosły upragnioną ulgę. Po miesiącach grozy podczas bombardowań i w obliczu niedostatku, gdy brakowało najbardziej podstawowych środków do życia, a w szczególności jedzenia, ludziom potrzebna była odmiana.

Ruby umówiła się z kilkoma z nich, z każdym co najwyżej dwa razy. Gdyby pozwoliła sobie na więcej spotkań, byłaby już pewnie zaręczona. W ten sprytny sposób Jankesi zaciągali dziewczyny do łóżka, kiedy bardziej banalne metody zawodziły. Bratając się z „wrogiem”, jak określał ich Charles, Ruby zachowywała pewną dozę cynizmu. Za to do domu wracała zazwyczaj obładowana pomarańczami, słodyczami, puszkami z szynką i innymi delikatesami, które w udręczonym wojną kraju były rzadkością. Charles rozkoszował się tymi pysznościami, nie zważając na podejrzane źródło ich pochodzenia.

Ruby wiedziała, że Beth była zakochana, jeszcze zanim ona sama zdała sobie z tego sprawę. Byli na wieczorku tanecznym w klubie Locarno. Właśnie skończył się fokstrot i Ruby wróciła na miejsce. Siedzieli pod balkonem. Była tam Beth w towarzystwie Amerykanina — wysokiego, czarnoskórego sierżanta. Trzymali się za ręce.

— Ruby, to jest Daniel — powiedziała nieśmiało Beth. Ich twarze wyrażały to, czego nie mogły wyrazić słowa.

Pobrali się sześć miesięcy później, co dla nikogo nie było zaskoczeniem. Ślub wzięli w tym samym kościele, co Connie i Charles. Sama ceremonia wyglądała jednak trochę inaczej. Beth miała na sobie własnoręcznie uszytą, prostą, białą suknię. Nie było druhen. Zaprosiła jedynie najbliższych przyjaciół, których uważała za rodzinę. Zdążyli tylko zjeść po kanapce i wypić po kieliszku wina, bo Daniel wraz z drużbą musieli wracać do bazy w Burtonwood, gdzie było ich oficjalne miejsce pobytu. Beth i Jake zostali w domu pani Hart.

Daniel Lefarge był prawnikiem i pochodził z Little Rock w stanie Arkansas, gdzie walczył o równouprawnienie rasowe. Był jednym z niewielu wykształconych czarnoskórych w całym stanie.

— Tam jest strasznie — mówiła Beth z przerażeniem w szeroko otwartych oczach. Był wieczór. Wszyscy położyli się już spać, z wyjątkiem Ruby i Beth, które dopijały resztki wina. — Nie wolno nam chodzić do baru ani do restauracji. W autobusie nie wolno nam siedzieć obok białych. Musimy korzystać z osobnych toalet.

— My, czyli kto? — spytała Ruby, unosząc brwi.

— Czarni — odparła Beth zdecydowanym tonem. — Tacy jak Daniel i ja.

— Zawsze uważałam, że jesteśmy sobie równe.

— Ty jesteś biała. Gdybym ja też była biała, Daniel nie mógłby wziąć ze mną ślubu — wyjaśniła Beth. — Czarnoskórym żołnierzom nie wolno

zenię się z białymi kobietami. Tak zdecydował Senat. Każdy, który wróciłby do Stanów z białą narzeczoną, miałby mnóstwo kłopotów.

— To idiotyczne! — zachnęła się Ruby.

— Może dla ciebie, ale nie dla Amerykanów, szczególnie tych z południa, skąd pochodzi Daniel. Tam biali nie traktują czarnych jak ludzi.

— I ty byłabyś szczęśliwa, żyjąc w takim kraju? — spytała Ruby z obawą o swoją wrażliwą i delikatną przyjaciółkę, która nie do końca zdawała sobie sprawę z okropności, jakie opowiadała. — Pamiętasz, jak nas ewakuowano do Southport? Byłaś wtedy bardzo przygnębiona.

— Z Danielem wszędzie będę szczęśliwa — odpowiedziała z promieniającą twarzą. — Jake też. Bardzo się polubili.

W lipcu 1944 roku, w dzień ataku sił aliantów na Normandię, Daniel Le-farge był w szeregach pierwszych oddziałów, które uderzyły na francuskie wybrzeże. Od tamtego dnia Beth żyła w ciągłym strachu. Listy od Daniela przychodziły rzadko i z kilkutygodniowym opóźnieniem. W porze śniadaniowej Beth prawie nic nie jadła. Kręciła się tylko przy drzwiach wejściowych z filiżanką herbaty w ręce, nasłuchując, czy nie nadchodzi listonoszka. A kiedy przyszła poczta i nie było nic od Daniela, po jej markotnej minie widać było ogrom rozczarowania. Niekiedy listy przychodziły dopiero po tym, jak Beth wyszła do pracy. Wtedy Rubyjechała aż do fabryki A. E. Wadsworth Engineering, by dostarczyć przyjaciółce list, na którym widniał znaczek z Francji.

Nadeszły kolejne, szóste święta Bożego Narodzenia, jakie obchodzono w czasie wojny. Wszyscy mieli nadzieję, że to ostatnie święta w tak trudnych czasach. Alianci stopniowo przemieszczali się w głąb Europy. Wizja zwycięstwa wreszcie stała się realna.

W nowym roku Charles i Connie znaleźli sobie własne lokum. Był to mały domek wiejski w Kirkby, niedaleko Brambles, gdzie niegdyś mieszkała Ruby. Beth poinformowano, że wkrótce może stracić pracę. Marie Ferguson planowała wrócić do domu.

Krótko po wojnie Beth i Jake mieli zamieszkać w Ameryce u matki Daniela, a on sam dojechałby do nich zaraz po demobilizacji. Ruby i dziewczynki jako jedyne zostałyby w domu, którego właścicielka miała niebawem wrócić.

Ruby zdjęła grube zasłony i w miarę możliwości zaczęła przywracać domowi wygląd, w jakim go zastały. Wszędzie pełno było śladów użytkowania, rys, zniszczeń. Część rzeczy popsuła się, inne zaginęły. Niektórych

zmian nie dało się ukryć. Pani Hart z pewnością nie zauważy nawet, że Ruby, poproszona tylko o opiekę nad domem, z własnej inicjatywy doprowadziła do porządku zaniedbany ogród, w którym wydzieliła nawet miejsce na warzywnik. Polakierowała też drzwi wejściowe, bo cała politura zesza i Ruby było wstyd, kiedy patrzyła na to wyblakłe, ogołoczone drewno.

Bardzo chciała zobaczyć się z panią Hart i otwarcie powiedzieć jej o tym, co tu się działo, choć w dniu, w którym właścicielka przekroczy próg swych świeżo polakierowanych drzwi, Ruby wolała być z dala od domu. Znalazienie nowego lokum zdawało się jednak trudne, wręcz niemożliwe. Ruby chodziła od ulicy do ulicy, niecierpliwie czytając ogłoszenia na wystawach kiosków i przeglądała dziennik *Echo*. Okazało się, iż większość domów w Liverpoolu uległa zniszczeniu. Ruby nie była jedyną, która pilnie potrzebowała mieszkania.

Mijały miesiące. Po lutym przyszedł marzec, potem szybko nastał kwiecień. Alianci zbliżali się do Berlina, co zwiastowało nadchodzące zwycięstwo. Ruby wciąż była bez pracy i bez mieszkania. Razem z Beth założyły budżet domowy na czarną godzinę, z którego pieniędzy dla Ruby starczało na krótko, gdyż nie zarabiała tyle, by się dokładać. Przeżywała koszmary, myśląc, że trzeba będzie zamieszkać w miejscu podobnym do Foster Court. Złe sny zaczęły nawiedzać ją niemalże co noc, kiedy po upływie czasu jej sytuacja wciąż pozostawała bez zmian.

Na początku maja ogłoszono, że Hitler popełnił samobójstwo. Następnego dnia Berlin się poddał. Wieść o zwycięstwie miała przyjść łąda chwila. Ruby pracowała wtedy w domu u pani Effie Gittings. Słuchała radia z sąsiedniego pokoju i malowała w salonie ściany na mdławy, błękitny kolor — jedyny dostępny w sklepach oprócz białego. Co jakiś czas pani Gittings odrywała się od radia, żeby porozmawiać o najświeższych wiadomościach przy filiżance herbaty o kolorze tak samo mdłym, jak farba do ścian.

— Robisz to bardzo schludnie — mówiła z podziwem staruszka. — Cieszę się, że do malowania wzięłam kobietę. Mężczyźni chlapią farbą na meble. Tylko spróbuj im powiedzieć, że coś ci się nie podoba — od razu zabiliby cię wzrokiem. Dzięki wojnie stała się przynajmniej jedna dobra rzecz: kobiety udowodniły, że potrafią wykonywać pracę mężczyzn równie dobrze, jak oni sami.

Później, wracając ciężkim krokiem do domu, Ruby przyszedł do głowy pewien pomysł. Z radości miała ochotę zatańczyć na chodniku. Została nie malarką i dekoratorką! Ucieszyła się na myśl, że sama będzie sobie

szeferem, że będzie pracować w dowolnie wybranych godzinach, by móc przyjść do domu na czas, kiedy dzieci skończą lekcje. Jak tylko znajdzie sobie jakieś mieszkanie, postara się o ulotki i rozniesie je do wszystkich domów w Dingle. Znów będzie znana w okolicy, jak za czasów, kiedy pracowała w lombardzie. Nie chodziło jej tylko i wyłącznie o popularność; trzeba było jakoś zarabiać na życie. Nagle przyszłość wydała jej się ciekawa, pełna wyzwań i nadziei. W drodze powrotnej do domu myślała już o założeniu dziesięcioosobowej firmy dekoratorskiej, w której zatrudni same kobiety. Zastanowi się też nad jakąś pomysłową nazwą, która z łatwością będzie wpadać w ucho.

Zatrzymała się przy bramie. Pomyślała, że przecież najpierw musi znaleźć sobie jakieś mieszkanie. Entuzjazm po części zmalął. Najpierw trzeba poszukać sobie nowego lokum, a dopiero potem wziąć się za prace malarskie.

Westchnęła. Otworzyła drzwi domu i już miała udać się do pokoju, by włączyć radio i posłuchać wiadomości z ostatniej chwili, kiedy usłyszała na piętrze ciężkie męskie kroki. Zamarła.

— Kto tam? — zawołała lękliwie. Przez chwilę pomyślała, że może to Max Hart.

Na górze, przy schodach, pojawił się młody człowiek, wcale niepodobny do Maxa.

— Kimże pani jest, do diabła? — spytał gniewnie. — W tym domu mieszkają jacyś ludzie. Skąd oni się tu wzięli, do cholery? Przecież dom miał być pusty.

Najlepszą obroną jest atak. Ruby wierzyła w to od dzieciństwa, choć nigdy nie potrafiła wyrazić tego słowami. Poza tym młodzieniec nie spodobał jej się już na pierwszy rzut oka. Wyglądał na około dwadzieścia jeden lat, czyli na młodszego od niej o pięć lat. Był bardzo wysoki, chudy, miał czarne, ulizane od brylantyny włosy i cienkie jak ołówki wąsy. Nosił tani garnitur w kredowobiałe paski. Nogawki spodni były przykrótkie i odśnianały znoszone, brązowe kozaki. Ona, w poplamionych farbą spodniach i bluzie, sama nie wyglądała zbyt imponująco.

— A pan to kto, do diabła? — spytała bezczelnie. — I jakim prawem włamał się pan do mojego domu?!

— Ja się włamałem?! — Mężczyzna ciężkim krokiem zszedł ze schodów, wymachując kluczem. — Do *pani* domu?! — parsknął. — Ten dom wciąż należy do pani Beatrice Hart, a ja wkrótce zamierzam go kupić.

Ruby dumnie zarzuciła głowę z nadzieją, że nie pokaże po sobie zderzenia.

— Nie poinformowała nas, że ten dom zostanie sprzedany.

— A z jakiej racji miała was o tym poinformować? — spytał gość, marszcząc brwi.

— A z takiej, że przysłała mi listy z Kolorado — skłamała Ruby. — Mieszka tam u siostry. Co prawda, ostatnio się nie odzywa. Powiedziała, że na czas jej nieobecności możemy tu mieszkać. Przez kilka dni był tu z nami nawet jej syn, Max. Czy pan wie, gdzie on teraz jest?

— Nie mam pojęcia, o kim pani mówi. — Jego twarz przybrała normalny wyraz, choć nadal patrzył podejrzliwie. — Dlaczego pani Hart nie powiedziała, że dom jest zamieszkiwany, tylko napisała do agencji nieruchomości, zlecając nam jego sprzedaż?

— Znam ją od lat. Ma słabą pamięć. Więc mówi pan, że ona chce *sprzedać* dom?

— Tak. Wyszła ponownie za mąż i zostaje w Ameryce. To dziwne, że nie wspominała o tym w listach do pani!

— Z pewnością wkrótce napisze. — Spojrzeli na siebie. Miał brzo-  
we oczy, zapadłe policzki i wąskie, zacięte usta. Była w nim jakaś ukryta  
chciwość. Ruby pomyślała, że pewnie wychował się w straszliwej biedzie.  
Ku jej przerażeniu, przeszył ją dreszcz emocji, co bardzo ją zdziwiło, bo  
człowiek ten nie był ani trochę atrakcyjny fizycznie.

— Tak czy owak, po podpisaniu ostatecznej umowy będziecie się  
musieli stąd wynieść — dodał szorstko. — Ilu ludzi tu mieszka?

— Ja i moje dwie córki. Jest też moja przyjaciółka i jej synek, ale oni  
niedługo wyjeżdżają. Kiedy podpiszecie ostateczną umowę?

— Za kilka tygodni.

Ruby pokiwała głową. Na myśl o opuszczeniu domu, w którym bez  
względu na wojnę wszyscy czuli się szczęśliwi, poczuła się przeraźliwie  
smutna. Położyła dłoń na drewnianej poręczy i westchnęła.

— To piękny dom — powiedziała cicho. — Będzie się tu panu dobrze  
mieszkało.

— Ja nie będę tu mieszkał. Mam już dom. Zajmuję się budową nie-  
ruchomości. Oto moja wizytówka.

Na wizytówce nabazgrane było ręcznie jego imię i nazwisko: Mat-  
thew Doyle. — Żle pan napisał wyraz „budowa” — zauważyła Ruby. —  
To pisze się przez „u” otwarte.

— Dziękuję za tę uwagę — speszony, uśmiechnął się nerwowo.

— Mam nadzieję, że nie wyburzy pan tego domu — powiedziała  
z westchnieniem. — Szkoda by było.

— Kiedyś na pewno przyjdzie na to czas. Na razie dom pójdzie pod wynajem.

— A jego wyposażenie?

— Chodzi pani o meble i armaturę? — Starał się mówić wyniosłym tonem znawcy. — Też pójdą na sprzedaż. Część zatrzymam, a resztę sprzedam.

— Rozumiem. — Zastanawiała się, skąd wziąć pieniądze na wykupienie domu. I dlaczego ten człowiek nie pełnił służby wojskowej, jak większość mężczyzn w jego wieku? Trwała wojna, inni ryzykowali życie, a on w tym czasie prowadził interesy i kupował nieruchomości? Było w tym coś podłego. Zdegustowana, wykrzywiła wargi.

— Skąd na pani ubraniu ta farba? — zainteresował się Matthew Doyle.

— Maluję wewnątrz domu pewnej starszej pani.

Zachichotał.

— A ja właśnie wykupiłem cały szereg domów zniszczonych od bomb. Skontaktuję się z panią w sprawie malowania.

Ruby spojrzała mu prosto w oczy z nienawiścią.

— Nie trzeba. Nie robię tego dla pieniędzy, ale pan i tak tego nie zrozumie.

— Pani jeszcze mnie nie zna — odparł, czerwieniąc się ze złości.

— Wiem o panu już dość. Jak wysoki będzie czynsz za wynajem tego domu?

— Jak dla pani, za wysoki — odpowiedział, zamrugawszy oczyma w reakcji na nagłą zmianę jej tonu. — W końcu, jakby nie patrzeć, pracuje pani za darmo. Chyba że utrzymuje panią męż, który płaciłby czynsz.

— Mój mąż zginął pod Dunkierką. Jestem wdową. — Wiedziała, że nie pozwoli jej zatrzymać domu, skoro nie stać jej na opłacenie czynszu. Mimo wszystko chciała rozegrać to psychologicznie i wywołać u niego poczucie wstydu, choć nie sądziła, by ten człowiek w ogóle wiedział, co to wstyd.

Ku jej zdumieniu nie zareagował natychmiast. Zamyślił się. Przyglądała się, jak stoi z rękoma w kieszeniach źle dopasowanego garnituru. Fatalne ubranie, błąd ortograficzny na wizytówce... Jak na kogoś, kto przedstawił się jako właściciel firmy budowlanej, wydawał się trochę załosny. Ruby była pewna, że współpracujący z nim agenci nieruchomości wyśmiewali się z niego za jego plecami, choć on prawdopodobnie mógł wykupić i sprzedać wszystkich razem i każdego z osobna. Ów człowiek nie wzbudzał w niej ani szacunku, ani podziwu. Miał jednak coś, czego



nie potrafiła zdefiniować: coś, dzięki czemu najwyraźniej udało mu się wy dostać z biedy i dorobić się.

— Mogłaby pani prowadzić tu pensjonat — powiedziała.

Ruby rozdziawiła usta ze zdziwienia.

— Słucham?!

— Pani mieszkaby na parterze, a pokoje na piętrze wynajmowała by pani lokatorom. Za dodatkową opłatą zajmowałyby się pani gotowaniem i praniem. — Uśmiechnął się ironicznie. — Chyba że praca gospodyni to dla pani zbyt wysoki próg.

Ach, Ruby! To wspaniała wiadomość! — krzyknęła Beth po powrocie do domu.

— Doprawdy? — Ruby bez wyjątku nie cierpiała prac domowych, a na myśl o zajmowaniu się lokatorami ogarniało ją przerażenie. Nie miała jednak wyboru. Matthew Doyle chciał osiem funtów tygodniowo za czynsz. Jeśli wynajmie pokoje na piętrze za cztery funty każdy, zostanie jej jeszcze osiem funtów. Zdawało się, że to duża suma, ale trzeba będzie jeszcze za to kupić całe mnóstwo jedzenia i tony proszku do prania. Wszystko wskazywało na to, iż Ruby skazana była na zajmowanie się domem przez resztę swego życia.

O, nie! Nie pozwoli na to. Zacisnęła pięści i zęby. Będzie oszczędzała i odkładała pieniądze co tydzień, a jeśli nie znajdzie sobie nic do wynajęcia, kupi ten dom. Znajdzie sposób na to, by jakoś ułożyć sobie życie bez względu na to, jak długo to potrwa!

Tego wieczoru, o godzinie siódmej czterdzieści, stacja BBC ogłosiła na następny dzień święto państwowe.

Wojna w Europie dobiegła końca.

Dzieci były podekscytowane. Zabrano je na festyn uliczny przy pubie Malt House. Z okien na górze powiewały flagi, a stoły zastawione były pysznościami, na widok których oko się radowało, budziły bowiem nieposkromiony apetyt. Ruby też przygotowywała coś na ten doniosły dzień. Przyniosła dwa tuziny ciastek owocowych domowej roboty, galaretkę z gęstą posypką, puszkę śmietanki, dwie butelki piwa imbirowego oraz całą masę kanapek z rzeżuchą, którą sama wyhodowała.

To, co działo się tego dnia, było czystym szaleństwem. Zupełnie obcy sobie ludzie obejmowali się, wymieniając uściski i pocałunki niczym najlepsi przyjaciele. Kiedy dzieci skończyły już jeść, dorośli zasiedli, by dokończyć to, co zostało na stołach. Niektórzy mężczyźni zdążyli już kom-

pletnie się upić. Siedzieli na chodniku przed pubem i, trzymając w ręce kufle z ciemnym piwem, wspominali wojnę. Przywołując w pamięci wszystkie bitwy, rozkoszowali się zwycięstwem. Twierdzili, że przez cały ten czas spodziewali się tak pomyślnego zakończenia. Nikt nie pamiętał już najsmutniejszych chwil, kiedy Hitler miał przewagę i wszystko wskazywało na porażkę.

Po podwieczorku były tańce: „hokus-pokus”, „dziewczyno kochana, pokaż mi kolana” i conga. Beth tańczyła z Ruby.

— Nie gniewaj się, Ruby, ale w tej chwili bardzo chciałabym tańczyć z Danielem — wyznała szczerze. — Taki dzień jak dziś już się nie powtórzy. Miło byłoby spędzić go razem z nim.

Ruby poczuła lekkie ukłucie zazdrości. Ciekawe, jakie to uczucie kochać *tak naprawdę*, nie szczeniacką miłością, jaką kochała Jacoba, ani beznadziejnym uczuciem, którym darzyła Jima Quinlana. Czy kiedykolwiek pozna smak prawdziwej miłości?

Jim też tam był. Wyglądał na zamkniętego w sobie i trochę zagubionego. Nie okazywał ani trochę radości z tego, iż przeżył wojnę. Być może czuł się oszukany przez śmierć i uznał, że skoro jego koledzy polegli w walce, on nie ma prawa tu być i świętować. Ruby postanowiła wyleczyć się z miłości do Jima, choć wiedziała, że na zawsze pozostanie w jej pamięci.

Miała przecież córki. Rozejrzała się za nimi. Biegały w kółko razem z Jakiem, śmiejąc się do rozpuku jak pijane. Dziewczynki będą tęsknić za Jakiem. W końcu był ich bratem, o czym ani Ruby, ani Beth nie były w stanie im powiedzieć. Ciężko było wyobrazić sobie przyszłość bez Beth. Razem przetrwały wojnę, dzieląc się wszystkim, co miały. Nawet Jacobem, pomyślała Ruby z uśmiechem.

Potem przyszli Charles i Connie.

— Doszliśmy do wniosku, że dzisiejszy wieczór chcemy spędzić tylko z wami — powiedziała Connie z płaczem. — Nie zastaliśmy was w domu, więc przyszliśmy tu. — Czule objęła każdą po kolei.

Charles ucałował je.

— Nigdy was nie zapomnimy — rzekł łamiącym się głosem. — Przyjdźcie do domu obcych ludzi i sprawiłyście, że poczuliśmy się jak u siebie. Będziemy wam za to wdzięczni do końca życia.

Zaprosił je na drinka do zatłoczonego pubu Malt House, gdzie za barem krzątała się zapracowana Martha. Usiłując przekrzyczeć gwar, Ruby poinformowała ją, że nadal będzie mieszkać w domu.

— Tak czy inaczej, jestem w kropce. Facet, który nazywa się Matthew Doyle, chce kupić dom.

— Matt Doyle! — zawołała Martha piskliwym głosem. — Uważaj na niego, Ruby. To podły i wstrętny typ. Na czarnym rynku kupi wszystko i za każdą cenę.

Kiedy wychodzili, zapadał zmierzch. Zmęczony tłum zaczął śpiewać. Ludzie przysiedli na schodach lub stali, oparci o ściany, a ich radości nie było końca. Wszedł księżyc, potem gwiazdy, a oni wciąż śpiewali, aż wszyscy po kolei zaczęli się rozchodzić.

Ruby i Beth wracały do domu pieszo. Szły przez oświetlone lampami ulice, a za nimi, powłócząc nogami, wlokły się dzieci. W oddali wyłoniły się kontury domu pani Hart. Przed wyjściem, w nagłej potrzebie śmiałej rozrzutności, Ruby zapaliła wszystkie światła. Warto było. Z każdego okna płynęła teraz jasność. Dom witał ich przyjaźnie. Po raz pierwszy od lat ujrzały tak piękny widok.

Beth ścisnęła Ruby za rękę, co zdawało się być gestem pożegnalnym. Za kilka tygodni zabierze Jake'a i wyjadą stąd.

Oto nastał koniec jednej ery i świat stanął u zarania następnej.

# CÓRKI RUBY

## Rozdział 9

1957-1958

Siedząc na łóżku, Heather O'Hagan przyglądała się swojej siostrze, która w tandetnej, różowej sukience szykowała się na przyjęcie i przed lustrem toaletki nakładała makijaż.

— Ta szminka ci nie pasuje — zauważyła krytycznym tonem. — Jest za ciemna.

— Naprawdę? — Greta przechyliła głowę na bok i przyjrzała się swemu odbiciu. — Myślałam, że wyglądam szafowo.

— Wyglądasz jak zdzira. Blondynki powinny nosić szminkę o jasnym odcieniu.

— W kółko to powtarzasz — odparła Greta, wydymając wargi. — A Marilyn Monroe jest blondynką, nosi ciemne szminki i wygląda szafowo.

— Wcale nie. Wygląda jak zdzira.

— No, dobrze. — Greta chusteczką starła z warg wyzywającą szminkę i pomalowała usta na jaśniejszy kolor. — A teraz?

— Teraz jest dużo lepiej — odparła Heather z uśmiechem, zadowolona, że dopięła swego. Odkąd sięgała pamięcią, zawsze czuła się odpowiedzialna za Gretę. Bez jej pomocy siostra doprowadziłaby się do fatalnego stanu. Z niczym sobie nie radziła. Nie daj Boże, żeby poszła na przyjęcie z tą bordową szminką na ustach! Mama ma rację, mówiąc, że „ludzie uczą się na własnych błędach”, ale nauczyliby się dużo więcej, gdyby słuchali dobrych rad. Jest to na pewno mniej bolesna metoda.

Drzwi sypialni otworzyły się i stanęła w nich Ruby.

— Greto, już ósma. Przyszedł twój pierwszy gość.

Greta pośpiesznie skropiła się perfumami za uchem, po czym przechyliła flakonik, by kilka kropel spadło na skrawek bawełnianego materiału, który upchnęła pod stanikiem. I zaraz się podniosła.

- Kto to jest?
- Nie wiem, skarbie. To chłopak, w dodatku bardzo przystojny. Powiedziałam mu, żeby nastawił jakąś płytę.
- Może to Peter King — wybiegła z pokoju.
- Tylko nie okazuj mu sympatii — zawołała za nią Heather.
- Greta chyba sama wie, co ma robić, prawda? — zauważyła Ruby.
- To nudziarz, mamó. Poza tym mają już dziewczynę.
- Widocznie nie jest to poważny związek, skoro na przyjęcie Greta przyszedł sam.
- Nie chcę, żeby on zranił Gretę, mamó. — Heather nie mogła znieść myśli, że ktoś mógłby złamać serce jej siostry. Wolałaby, żeby to raczej ją zraniono.

Ruby zmięknęła.

— Wiem, ale nie możesz chronić jej przez całe życie... O, ktoś dzwoni. Idź i otwórz, kochanie, dobrze? W piekarniku są parówki w cieście i muszę ich doglądać. Trzeba jeszcze przygotować kanapki.

— Dobrze. — Heather wstała i wygładziła swą czarną spódnicę, do której założyła białą bluzkę po przeróbce. Przejrzała się w lustrze. Była wysoka. Długie, czarne włosy zaciesała do tyłu i spięła spinką. Celowo chciała nadać sobie surowy wygląd, żeby nie przyćmiewać urody siostry w dniu jej dwudziestych pierwszych urodzin.

Z gramofonu rozbrzmiewała piosenka „Jezebel” Frankiego Laine’a. W powietrzu czuć było dziwną mieszankę zapachów wypieków i perfum *June*, które dziewczęta lubiły najbardziej. Panował przyjemnie upojny nastrój podniecenia, jak gdyby ściany domu pani Hart wiedziały, że szykuje się przyjęcie. Ruby wciąż myślała o tym miejscu jako „domu pani Hart”, mimo iż od dwunastu lat jego właścicielem był Matthew Doyle. Dwanaście długich, ciężkich lat... Ruby skrzywiła się na tę myśl, po czym wyjęła z piekarnika parówki w cieście. Lokatorzy zamieszkiwali piętro, zaś dwa salony na parterze przerobiono na sypialnie: jedną dla Ruby, drugą dla dziewcząt. W tyle korytarza był jeszcze jeden pokój: zacieniony salon, gdzie miało się odbyć przyjęcie. Na szczęście kuchnia była wystarczająco duża, by zmieścić wszystkich lokatorów, którzy przychodzili na posiłki. Tyle że Ruby musiała, a przynajmniej starała się, gruntownie sprzątać kuchnię, by utrzymać ją w czystości.

Za każdym razem, kiedy uznała, iż odłożyła dość pieniędzy, by zapłacić pierwszą ratę na swój własny kąt, ceny domów szły w górę o kolejne

kilkaset funtów. To było jak wyścig, którego nie miała szansy wygrać. Zaczęła się obawiać, że skończy jako najstarsza gospodyni na świecie.

Znów zadźwięczał dzwonek u drzwi.

— Niech ktoś otworzy! — zawołała.

— Ja pójdę. — W drzwiach kuchni pojawił się pan Keppel. — Tak się składa, że akurat wychodzę.

— Dzięki. I życzę dobrej zabawy.

— Mamy dziś próbę kostiumową. Jestem kłębkim nerwów.

— Na pewno wszystko pójdzie dobrze. — Pan Keppel mieszkał na piętrze dopiero od kilku miesięcy. Pracował w banku, a w wolnym czasie prowadził amatorską grupę teatralną. W poniedziałek Ruby wybierała się na premierę sztuki do teatru Crane. Cieszyła ją to, że panowie Oliver i Hamilton wyjeżdżali na weekend. Zostawał jedynie pan Keppel, który nie stwarzał problemów, oraz uciążliwa pani Mulligan.

Nie minęło kilka sekund, kiedy do kuchni weszła Martha Quinlan. Obie ręce miała zajęte siatkami pełnymi zakupów.

— Tu jest tort — powiedziała, zasapana. Położyła jedną z siatek na stole. — W drugiej jest kilka butelek wina. Dla nas, nie dla dzieciaków. Nalać ci teraz do kieliszka?

— Chyba nie odmówię. Trochę się denerwuję, Martho. Nigdy jeszcze nie wydawaliśmy przyjęcia.

— Denerwowanie się nie jest w twoim stylu. Pamiętasz wesele w czasie wojny? Nigdy nie bawiłam się tak dobrze.

— To co innego. Wtedy niewiele potrzeba było ludziom do szczęścia. Ciekawe, jak tam nasz tort. — Ruby sama go upiekła, a Martha potem polukrowała. — Ach, jaki piękny! — krzyknęła, odwinąwszy z papieru wyszukany, różowo-biały wypiek. — Prawdziwe dzieło sztuki. Sama zrobiłaś te różyczki?

— Oczywiście. Przecież chodziłam do szkoły na kurs dekorowania tortów. Świeczki przyniosłam osobno.

Martha była już bliska siedemdziesiątki. Miała siwe włosy i siateczkę zmarszczek na twarzy. Chodziła lekko przygarbiona, lecz nadal — jak zawsze zresztą — cechowała ją pracowitość. Upłynęło prawie dziesięć lat, odkąd Fred zrezygnował z koncesji na pub Malt House i przekazał ją Jimowi oraz jego żonie Barbarze. Fred i Martha nadal mieszkali nad pubem, a Martha od czasu do czasu pomagała przy obsłudze baru. Barbarę uważała za leniwą wiedźmę.

— I pomyśleć, że była kiedyś pielęgniarką — mawiała często. — Zawsze myślałam, że to nasza Agnes ma dwie lewe ręce, ale ona przynaj-

mniej poszła po rozum do głowy, kiedy wyszła za mąż i urodziła dzieci. Barbara nie chce mieć dzieci. Boi się.

— Jakie chcesz wino: białe czy czerwone? — spytała.

— Poproszę o białe.

Butelka została profesjonalnie otwarta i rozlano wino. Martha zaczęła dekorować tort świeczkami, było ich dwadzieścia jeden sztuk.

— Ile osób przyjdzie na przyjęcie?

— Dwadzieścia. Dziesięć dziewcząt i dziesięciu chłopców. A może nawet więcej — dodała, słysząc kolejny dźwięk dzwonka u drzwi. — Większość z nich to znajomi Greta z pracy, ale jest też kilkoro przyjaciół Heather. Niewykluczone, że później wpadną też Charles i Connie, jeśli uda im się znaleźć kogoś do opieki nad chłopcami.

— Jak przyjdą, mogą posiedzieć z nami w kuchni — orzekła Martha pocieszająco. — Utniemy sobie pogawędkę, jak za starych, dobrych czasów. Szkoda tylko, że nie będzie z nami Beth.

— Telefonowała dziś do Greta z życzeniami.

— Co u niej słychać?

— W porządku — skłamała Ruby. Beth nie chciała, by informować Marthę o szczegółach. — Jake studiuje na uczelni w Bostonie. Mają jeszcze troje bardzo zdolnych dzieci, o wiele zdolniejszych niż moje. Daniel jest właścicielem firmy prawniczej. Niedawno kupili nowy dom z centralnym ogrzewaniem, podwójnym garażem i basenem.

Martha była pod wrażeniem.

— Dobrze się stało, że nasza Beth wyszła za Daniela. Wreszcie stanęła na nogi.

Ruby uśmiechnęła się wymijająco. Ona jedna wiedziała, jak nieszczęśliwa była teraz Beth. Przypomniała sobie treść pierwszego listu, jaki otrzymała z Little Rock. Beth pisała o tym, że dom był śliczny, że u nich zawsze świeci słońce, że w sklepach są eleganckie ubrania, że brat Daniela, Nathan, uczy Jake'a grać w baseball. Wszystko zdawało się układać cudownie. A potem, na końcu listu, Ruby przeczytała postscriptum, które utkwiało jej w pamięci.

„Ach, Ruby — pisała Beth. — Jest mi tak smutno, że chyba umrę. Mama Daniela mnie nie lubi. A wiesz dlaczego? Bo jestem *zbyt biała*”. — Wyraz „biała” był podkreślony. — „Mówi, że jestem *mieszana*. Nie wiem, o co jej chodzi. Mój Jake, biedaczysko, jest prawie całkiem biały. Oboje tu nie pasujemy. Biali nienawidzą nas za to, że jesteśmy czarni, a czarni za to, że jesteśmy biali. Tylko Nathan jest nam życzliwy. Nie mogę się doczekać, aż Daniel wróci do domu po demobilizacji”.

Po powrocie Daniela niewiele się zmieniło. Beth czuła się coraz bardziej osamotniona, nie miała przyjaciół. Mąż pochłonięty był pracą, a w wolnych chwilach poświęcał się działalności na rzecz równouprawnienia czarnych. Wszędzie wprowadzono segregację rasową: w sklepach, restauracjach, autobusach, nawet w szkołach. Beth bardzo pragnęła wrócić do Liverpoolu. Kochała jednak Daniela i nie mogła zdobyć się na to, by stamtąd wyjechać.

— Posłuchaj! — przerwała jej nagle te rozmyślenia Martha. — Bill Haley and The Comets: „Rock Around The Clock”.

— Ktoś pewnie kupił tę płytę Grecie w prezencie.

— Fred mówi, że na stare lata dziecinnieję, a ja naprawdę uwielbiam rock and rolla.

— Ja też nie mam nic przeciwko tej muzyce. O której powinienem podać przekąski?

— Może około dziewiątej? — doradziła Martha.

Ruby zajęła się układaniem parówek w cieście na talerzu.

— Miałam to zrobić wcześniej, ale byłam taka zabiegana. Myślę, że pięćdziesiąt kanapek wystarczy. Metka łososiowa, ser... nie podawać razem — dodała pośpiesznie. — Wczoraj wieczorem zrobiłam małe paszteciki i paluszki serowe. — Zaśmiała się. — Boże! Gdyby zobaczyły mnie teraz siostry zakonne z klasztoru w Abergele, byłyby ze mnie bardzo dumne. Nie cierpiałam zajęć z gotowania. Szczerze nienawidziłam wszystkiego, czego uczono nas w klasztorze, ale co nieco najwyraźniej zostało mi w głowie.

O dziewiątej wkroczyła do salonu. Było tam gwarno, tłoczno i gęsto od dymu. Przyniosła zakąski i postawiła je na komodzie. Większość z gości tańczyła, kilka osób mimo hałasu usiłowało prowadzić rozmowę. Jakaś para obściskowała się namiętnie w fotelu. Na widok jedzenia chłopak natychmiast wyplątał się z objęć dziewczyny.

— Tort przyniosę później — zawołała, ale nikt nie usłyszał.

Przedtem wpadli z wizytą Charles i Connie, ale tylko na krótko. Poprosili sąsiadkę o przypilnowanie ich dwóch synów. Sąsiadka chciała być w domu o dziesiątej, bo w telewizji pokazywano jakąś sztukę.

— Chciałabym mieć telewizor — westchnęła Martha. — Fred twierdzi, że telewizja to strata czasu. I kto to mówi? Ten cholernik Fred, który sam nie robi nic innego, tylko marnuje czas!

— Na piętrze mieszka niejaki pan Hamilton, który ma telewizor — powiedziała Ruby. — Kiedyś sprzątałam jego pokój. Włączam, a tu nic. Bałam się, że go zepsułam.



Charles był zdania, że telewizja nigdy nie osiągnie popularności.

— Ludzie są zbyt inteligentni na to, żeby całe noce siedzieć i wpatrywać się w mały ekran.

Connie uśmiechnęła się.

— W takim razie ja wcale nie jestem inteligentna, bo chciałabym mieć taki telewizor. Chętnie obejrzałabym serial *Co mam powiedzieć*, a chłopcom spodobałby się program *Pooglądaj z mamą*.

— W takim razie bierzemy rozwód w trybie natychmiastowym — odparł Charles surowym tonem i uśmiechnął się.

Zaczekali, aż Ruby wniesie do pokoju tort, na którym płonęło dwadzieścia jeden świeczek. Wraz z Martha ruszyli za nią, śpiewając *Sto lat*.

— Wiesz, Ruby, twoje dzieci są z ciebie bardzo dumne — powiedziała Martha, kiedy Connie i Charles już wyszli, a one dwie siedziały w kuchni.

— Martho, to tylko przyjęcie.

— Kochana, nie chodzi tylko o przyjęcie. Mam na myśli całe ich życie. Poradziłaś sobie sama. Przez prawie cały ten czas nie było przy tobie nikogo, kto mógłby ci pomóc: ani męża, ani żadnych krewnych. A one wyrosły na tak wspaniałe kobiety. — Spojrzała na Ruby z uczuciem. — Nigdy nie zapomnę, jak przysłałaś do pubu pracować jako sprzątaczką. Wyglądałaś, jakbyś w ubraniu wyszła prosto z kąpieli. Fred powiedział, że głupio zrobiłam, płacąc ci sześć pensów z góry. Myślał, że jak weźmiesz te pieniądze, już nigdy więcej cię nie zobaczę. Ale ja w to nie wierzyłam. — Poklepała Ruby po ręce. — Zastanawiam się, gdzie jest teraz twoja matka. Trzeba być idiotką, żeby zrzec się tak wspaniałej córki.

— Ach, Martho, daj już spokój — odrzekła Ruby, oblewając się rumieńcem. — Wypiłaś za dużo wina i robisz się sentymentalna. Lada chwila się rozpłaczesz.

Martha zamierzała dalej wygłaszać mowy pochwalne, kiedy ktoś zapukał do drzwi kuchennych. Weszła Iris Mulligan, kobieta po pięćdziesiątce. Jej korpulentną sylwetkę opatulał tweedowy szlafrok, mysiego koloru włosy przysłaniała gruba, brązowa siatka, zaś twarz błyszczała od tłustego kremu firmy Pond's.

— Jak długo jeszcze potrwa ten hałas, pani O'Hagan? — spytała zrzędliwym tonem. — Jest już dziesiąta. Niektórzy z nas muszą położyć się spać.

— Przecież uprzedzałam panią kilka dni temu, pani Mulligan, że będzie u nas przyjęcie — odparła spokojnie Ruby. — Z góry przeprosiłam za ten hałas. Pamięta pani? Dziś jest piątek. Jutro pani nie pracuje. Moja

córka kończy dziś dwadzieścia jeden lat. Obawiam się, że zabawa potrwa do północy. Potem goście się rozejdą.

— To bardzo nierozsądne, pani O'Hagan.

— Przykro mi, ale nic nie poradzę, pani Mulligan.

— Niechże pani weźmie sobie coś do czytania — warknęła Martha.  
— Jezu! Jak ty to wytrzymujesz? — wykrzyknęła po tym, jak obrażona Iris Mulligan wyszła z kuchni.

Ruby wzruszyła ramionami.

— Przestałam zwracać na to uwagę. Ona robi awanturę o najdrobniejsze rzeczy. To jej za głośno, to jedzenie niedobre, to lokatorzy jej się nie podobają, bo pan Oliver chrapie, a telewizor pana Hamiltona za głośno gra. Ale — w przeciwieństwie do męskiej części lokatorów — przynajmniej sama sobie pierze i prasuje.

— Jak to się stało, że osoba w jej wieku wynajmuje pokój? Czy ona nie ma dzieci?

— Nie, Martho, nie ma. — Ruby ściszyła głos w obawie, że ktoś może podsłuchiwać. — Słyszałam, że jej mąż przyszedł raz do domu z kobietą o połowę od siebie młodszą. I postawił Iris przed alternatywą: albo to zaakceptuje, albo się wyprowadzi.

— Niemożliwe! Jak on mógł to zrobić?! — wykrztusiła Martha.

— A jednak. Iris została bez mieszkania i bez mebli. Dlatego tu przyszła.

— Jasna cholera! Czyli mój Fred wcale nie jest najgorszy. Nie dziwię się, że kobieta tak strasznie zgorzkniała. Biduła. Ja na jej miejscu też bym tak skończyła.

Następnego dnia rano córki oznajmiły, że przyjęcie było bardzo udane. Przez ostatnie pół godziny w salonie zrobiło się podejrzenie cicho, ale Ruby nie chciała wnikać, dlaczego. Nawet jeśli pozwalali sobie na pieśszcoty, nie mogła się wtrącać; sama w wieku szesnastu lat robiła z Jacobem jeszcze gorsze rzeczy.

— Co robicie dziś po pracy? — spytała przy śniadaniu.

Mimo krótkiego snu dziewczęta pojawiły się przy stole o wpół do ósmej rano. Miały na sobie szlafroki. Wyglądały świeżo jak kwiatki. Obie pracowały w centrum miasta: Greta w centrali w firmie księgowej, a Heather jako archiwistka w firmie ubezpieczeniowej Royal Liver. W soboty kończyły pracę w południe, a resztę dnia spędzały zazwyczaj w dużych domach towarowych, odwiedzając sklepy z odzieżą. Zawsze kupowały

sobie jakąś nową rzecz. Ruby w ich wieku robiłaby to samo, ale wtedy brakowało pieniędzy, a odzież sprzedawano na talony.

— Za pieniądze z urodzin kupię chyba nową suknię — oznajmiła Greta, chrupiąc grzanekę.

— A mnie przydałyby się nowe buty. — Heather przyjrzała się swoim długim, wąskim stopom. — Takie na klinie, dla odmiany.

— Mnie też potrzebne są nowe buty.

— Jak chcesz, to weź sobie moje czerwone, mamó. Mnie już się nie podobają. Mają takie... przysadziste obcasy.

— Przysadziste! — oburzyła się Ruby. Heather i ona nosiły ten sam rozmiar. — Wiem, że obcasy mogą być wysokie, płaskie, kwadratowe, ale nie przysadziste. Później je przymierzę. Do czego to doszło, żeby matka nosiła buty po córce. Obie macie więcej pieniędzy niż rozsądku.

Godzinę później pomachała im na pożegnanie. Szły, opromienione subtelnym blaskiem kwietniowego słońca, obejmując się ramionami, pochylone do siebie nawzajem i pochłonięte rozmową. W butach na wąskich, wysokich obcasach, Greta była prawie tak wysoka, jak jej siostra. Pod kwiecistą spódnicą tyrolską miała sztywną halkę z tafty. Szeroki pasek zaciśnięty był tak mocno, że ledwo mogła oddychać. Do tego założyła bluzkę w pawie oczka z marszczonego materiału, z kraciastym kołnierzem. Ruby uśmiechnęła się. W takim stroju świetnie wyglądałaby na czubku choinki.

Heather gustowała w bardziej eleganckich strojach. Miała na sobie klasycznie skrojoną garsonkę z szarej flaneli, a do tego białą bluzkę, czarne buty oraz czarny beret z filcu.

Stanowiły zadziwiającą parę: Greta — drobna, urodziwa, o włosach jasnoblonde, i Heather — elegancka, wysoka brunetka. Jej poważna twarz piękniała za każdym razem, gdy gościł na niej uśmiech.

Córki Ruby odwróciły uwagę kierowcy przejeżdżającej półciężarówki. Zahamował tak gwałtownie, że prawie uderzył w słup latarni. Potem spojrzął na Ruby i, zmierzwszy ją wzrokiem od stóp do głów, mrugnął z aprobatą. Choć od jej trzydziestych ósmych urodzin dzieliło ją zaledwie kilka tygodni, mężczyźni wciąż oglądali się za nią tak często, jak za jej córkami.

Ruby zamknęła drzwi i zabrała się do przeglądania poczty, którą właśnie dostarczono. Dwie spóźnione kartki urodzinowe do Greta, kilka listów do lokatorów oraz rachunek za prąd — otworzyła kopertę i skrzywiła się, odczytawszy sumę. Kartki dla Greta położyła na stoliku w przedpokoju, a listy zaniosła na górę i wsunęła adresatom pod drzwi.

Wróciwszy na parter, natknęła się na Tygryską. Był już bardzo stary. Wychodził z piwnicy, gdzie całymi godzinami spał w swojej szafie. Floppy zniknął kilka lat temu i wszyscy mieli tylko nadzieję, że nie dopełnił żywota w czymś garnku. Ruby pogłaskała czule Tygryską i dała mu mleka w spodku. Następnie poszła do pokoju dziewcząt, żeby przymierzyć czerwone buty Heather. Były eleganckie, choć rzeczywiście miały dość grube obcasy. Pasowały jak ulał, ale nie wiedziała, do czego je założyć. Przejrzała ubrania Heather. Znalazła wśród nich ładną, granatową suknię, której Heather nie nosiła przez długi czas. Zapyta córkę, czy podaruje jej także tę suknię. Z utęsknieniem pomyślała, że bardzo chciałaby pójść na zakupy razem z dziewczętami i kupić sobie nowe rzeczy, ale wszystkie odłożone pieniądze wpłacała do banku na dom.

W sklepie Owen Owen's Greta zastanawiała się nad zakupem golfu z angory z krótkimi rękawami.

— Ma śliczny kolor i jest taki miękki — mówiła, pocierając materiał palcami.

— Żeby kupować golf w kwietniu? Idiotyzm — powiedziała Heather. — Zrobi się ciepło i będzie cię gryzł.

— Może poleżeć w szafie aż do zimy, siostrzyczko.

— Przecież ma krótkie rękawy!

— Masz rację. — Greta zostawiła golf i ruszyła w kierunku stojaka, na którym wisiały bluzki. — Jakie ładne! Spójrz! Z przodu mają załot. Pasowałyby do twojej garsonki.

— Hmm. — Twarz Heather przybrała skupiony wyraz. Zaczęła po kolei wyciągać bluzki w różnych kolorach. Kupno bluzki czy też jakichkolwiek ubrań wiązało się z poważną decyzją, którą trzeba było dokładnie przemyśleć. — Ta czarna nawet mi się podoba. Wiesz co? Zapamiętajmy ten sklep. Może potem tu wrócimy. Nie byliśmy jeszcze u Lewisa ani u T. J. Hughesa. Nie wybrałaś sobie jeszcze sukienki.

— Chodźmy teraz na kawę. Zastanowimy się nad bluzkami i nad tą białą torebką, którą wcześniej widziałam.

— Świetny pomysł! Na piętrze, przy Bold Street, otworzyli nową kawiarenkę.

Idąc, toczyły poważną dyskusję na temat rzeczy, które widziały w sklepach. Jeśli Greta zdecyduje się na białą torebkę, musi kupić do niej także białe sandały. Heather zastanawiała się, czy świecące kolczyki nie będą zbyt ekstrawaganckie, jeśli założy je do pracy.

— Przecież nosisz świecącą broszkę — zauważyła Greta.

— Tak, ale kolczyki to co innego.

Zamówiły kawę i zaniósły filiżanki do stolika przy oknie. Były tak zafetowane swoimi problemami, że nie zważały na przechodzących obok ludzi. Siostry O'Hagan były rozpieszczone. Można by pomyśleć, że wychowały się w cieplarnianych warunkach. Nie zapamiętały nic z dzieciństwa w Foster Court. Najwcześniejsze z ich wspomnień sięgały czasów, kiedy mieszkali w przytulnym domku Arthura, obok węgielni. Nie doświadczały im brak ojca. W ich życiu zawsze był jakiś mężczyzna, który poświęcał im dużo uwagi: najpierw Arthur, potem Charles, teraz lokatorzy mamy. Miały też towarzystwo Jake'a i innych dzieci. W domu zwykle było dużo ludzi. Dziewczeta nigdy nie doświadczały osamotnienia, braku miłości czy zainteresowania. Ich dotychczasowe życie nie zmuszało ich do podejmowania żadnych ważnych decyzji. Wybory, jakich dokonywały, dotyczyły się jedynie zakupów w sklepach z odzieżą lub umawiania się z chłopcami.

Zeszłego wieczoru Peter King zaprosił Gretę na randkę, ale odmówiła, bo tak doradziła jej Heather. Kiedy tylko nadarzyła się okazja, wychodziły razem ze swoimi partnerami w czteroosobowej grupie. Lubiły towarzystwo młodzieńców, ale równie chętnie przebywały ze sobą. Obie, a w szczególności Greta, wierzyły, że któregoś dnia wszystko się zmieni, że w życiu każdej z nich pojawi się mężczyzna, z którym zapragną spędzić resztę życia, zaś wszyscy inni, łącznie z siostrą, zejdą na dalszy plan. Heather uważała, że Greta nie poradzi sobie w małżeństwie, nie mówiąc już o macierzyństwie, i że we wszystkim będzie musiała liczyć na pomoc siostry. Niekiedy myślała o tym, by sama zrezygnować z zamażpójścia, będąc panną do końca życia, by w razie potrzeby swoją obecnością wspierać Gretę.

— Kupię coś мамie — odezwała się Greta — w dowód wdzięczności za przyjęcie.

— Dołożę ci połowę — zaproponowała Heather. — Co jej kupimy?

— Może jakiś ładny szal z żorżety?

— Albo szal i opaskę?

— Świetnie. — Uśmiechnęły się do siebie nawzajem, widząc oczyma wyobraźni, jak twarz matki promienieje na widok prezentu. Kochały ją z całego serca.

Z początku żadna z nich nie dostrzegła dwóch młodzieńców, którzy stali po drugiej stronie okna z twarzą przy szybie, wymachując rękoma, by przyciągnąć uwagę dziewcząt. Ujrzawszy tuż za szybą spłaszczony nos i wpatrujące się w nią wielkie oczy, Greta wydała z siebie krzyk, po czym

wybuchła śmiechem. Młodzieniec odsunął się i wskazał skierowany ku górze kciuk na znak, że wszystko w porządku. Powiedział coś do swego towarzysza, który wciąż stał z twarzą przyciśniętą do szyby. Obaj udali się w kierunku drzwi.

— Idą tu! — zawołała z przerażeniem Heather. — To twoi znajomi?

— Ależ skąd!

— To po co się do nich śmiałaś? Zobacz, idą do nas. Chcą się przyśiąść!

I naprawdę obaj dosiedli się do ich stolika.

— Dzień dobry paniom — powiedział jeden z nich. — Jestem Larry, a to Rob. Szukaliśmy was wszędzie.

— Tylko bez melodramatów — skrzywiła się Heather.

— Naprawdę — dodał urażony Rob. — Mówiłem Larry'emu: „Dziś wieczorem poznamy najpiękniejsze dziewczyny w Liverpoolu i zabierzemy je do kina”. Szukaliśmy całymi godzinami. Już chcieliśmy się poddać, kiedy ujrzeliśmy was.

— W „Futuryście” grają *W samo południe* z Gary Cooperem i Grace Kelly — powiedział Larry, pociągając nosem. — Sami nie pójdziemy. Potrzebny nam ktoś, kogo będziemy mogli trzymać za rękę.

— Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli — odparła zdawkowo Heather. — Poza tym widziałyśmy już ten film. Wcale nie jest taki straszny.

— Więc chodźmy do „Scali” na *Narzeczoną goryla* — zaproponował Rob. — Nie będę miał nic przeciwko, jeśli w najstraszniejszych momentach położysz mi głowę na ramieniu.

— Co za bzdura.

— Och, Heather, na pewno będzie fajnie. — Rozpromieniona Greta uśmiechała się do nieznanym, co irytowało siostrę. W duchu musiała jednak przyznać, że młodzieńcy wzbudzali sympatię. Byli nieco zabawni, bardzo przystojni i zaskakująco do siebie podobni: młode twarze emanowały zdrowiem, obaj ponad metr osiemdziesiąt, dobrze zbudowani. Mieli identycznego koloru włosy o jaśniejszym odcieniu brązu, Rob kręcone, a Larry proste. Obaj nosili ładne, flanelowe koszule z rozpiętym kołnierzem i tweedowe marynarki.

— Jesteście braćmi? — spytała Greta.

— Prawie — odparł Rob. — Urodziliśmy się tego samego dnia w tym samym szpitalu, a nasze mamy leżały w łóżkach obok siebie. Od samego początku bardzo się przyjaźnimy. Nasze mamy też.

— To fajnie, prawda, siostrzyczko?

- Chyba tak — przyznała niechętnie Heather.
  - A wy jesteście siostrami! — Larry nie krył zaskoczenia. — Nigdy bym na to nie wpadł. Jedna wcale niepodobna do drugiej.
  - Ja jestem podobna do taty, a Heather to wykapana mama.
  - Ona to Heather, a ty?
  - Greta.
- Larry przysunął się odrobinę.
- Greta to moje ulubione imię żeńskie.
  - Kłamiesz! — zaśmiała się Greta.
  - Ja z kolei wolę imię Heather — powiedział Rob i posłał uśmiech drugiej z sióstr. Wbrew swojej woli, Heather odpowiedziała mu uśmiechem.
  - No, to co z tym kinem? — zaczął Larry.
  - Najpierw zakupy — odparła Greta. — A potem zatelefonujemy do mamy i powiemy jej, że dziś wrócimy później.
  - Na zakupy pójdziemy z wami. A może jeszcze jedną kawę?
  - Z chęcią — odpowiedziały zgodnie dziewczęta.

Siedząc z podwiniętymi nogami, Ruby słuchała radia i zastanawiała się, czy byłoby ją stać na telewizor. Wtedy pojawiły się córki w towarzystwie dwóch niezwykle miłych i sympatycznych młodzieńców, którzy wyglądali na braci bliźniaków, choć wcale nie byli ze sobą spokrewnieni. Jednym z nich był Larry Donovan, drugim zaś Rob White. Mieli samochód „na spółkę” — volkswagena garbusa, którym odwieźli dziewczęta do domu. Wszystko wskazywało na to, że tego popołudnia byli w kinie na filmie pod tytułem *Naręczona goryla* i mieli świetny ubaw.

Zazwyczaj poważna Heather flirtowała teraz z Robem, który najwyraźniej był nią oczarowany, zaś Greta i Larry wpatrywali się w siebie nawzajem błyszczącymi oczyma.

Ruby przyrządziła kolację, po czym usiadła w kuchni przy kieliszku wina, które zostało z przedwczorajszego przyjęcia. Wsłuchiwała się w dochodzące z pokoju obok śmiechy i szepty. W takich chwilach, choć było ich niewiele, bardzo pragnęła mieć przy sobie męża, który w odpowiednim czasie wzięłby Larry’ego i Roba na poważną rozmowę, by zapytać o ich zamiary wobec jego córek. Miała przeczucie, że młodzieńcy snuli już poważne plany. Słyszała, jak Larry nadmienił, iż obaj są katolikami, co miało ją uspokoić.

Jakimś cudem dwie nierozłączne pary spotkały się i zapałały miłością do siebie nawzajem.

Nagle poczuła wewnętrzny chłód. Wiedziała, że któregoś dnia dziewczęta wyjdą za mąż. Sama modliła się o to, by każda z nich ułożyła sobie życie, została matką i była szczęśliwa. Teraz jednak, kiedy wkrótce miało to nastąpić, Ruby nie potrafiła wyobrazić sobie życia bez dziewcząt. Cały jej świat toczył się wokół nich. Zawsze były na pierwszym miejscu, kiedy podejmowała choćby najmniej ważną decyzję. Niemalże wszystko robiła z myślą o córkach.

Trudno jej było wyobrazić sobie, że w domu nie brzmi już muzyka, że radio nie gra za głośno, że nie słyszą ich młodych, szczebiotliwych głosików, kłótni, śmiechu, niekiedy płaczu, że nikt już nie zawoła „na razie, mamo” albo „mamo, już jesteście”. Zostaną jedynie lokatorzy, którzy prawie wcale nie dają o sobie znać, może oprócz Iris Mulligan.

Nonsens! Ruby wysączyła resztkę wina i z hukiem postawiła kieliszek na stole. Kiedy dziewcząt nie będzie, ona znajdzie sobie mnóstwo zajęć. Przede wszystkim zrezygnuje z pracy gospodyni. Jej samej nie będzie potrzebny tak duży dom. Niech Matthew Doyle weźmie go sobie, choć na pewno będzie jej trochę żal. Znajdzie sobie jakieś małe mieszkanie. Planowała poszukać pracy, zając się czymś. Tylko czym? Nie bardzo jeszcze wiedziała. Idąc za przykładem Marthy, zapisze się na kurs wieczorowy i zdobędzie jakiś zawód — księgowej albo stenotypistki. Może otworzy własne biuro. Kiedyś myślała przecież o malowaniu i dekorowaniu wnętrza.

Po raz pierwszy od dziecięcych lat w jej życiu znikną wszelkie zobowiązania. Będzie mogła robić to, co jej się żywnie podoba.

Mimo wszystko zawsze będzie jej brakować córek.

W niedzielę dziewczęta wybrały się na cały dzień do Southport. Pojechały z Larrym i Robem ich samochodem. Wróciły późno i miały już zaplanowany cały kolejny tydzień: w poniedziałek kino — film *Karuzela* z Gordonem MacCrea i Shirley Jones w rolach głównych, we wtorek — klub Locarno, w środę — nowy klub Cavern, w którym grają jazz z Nowego Orleanu, w czwartek — jeszcze inny klub...

Ruby pogubiła się w tych wszystkich planach. Młodzieńcy nie narzekali na brak pieniędzy. Obaj pracowali w English Electric jako narzędziowicy. Kiedy dziewczęta wychodziły, Ruby zastanawiała się, jakiej matczynej rady powinna im udzielić, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Może tylko to, żeby „nie śpieszyły się z pewnymi sprawami”, ale czy one posłuchają? Ona na ich miejscu zignorowałaby tego typu rady. Kilka lat temu uświadomiła im kilka życiowych prawd i trwała w przekonaniu, że



obie nadal są dziewczycami, a przynajmniej do niedawna jeszcze nimi były. Jak daleko zaszły sprawy między nimi i chłopcami tamtego wieczoru? Nie wnikała. Bez względu na jej komentarze, dziewczęta i tak zrobiłyby swoje. Młodzi ludzie w swej przewrotności skłonni są uznać sprzeciw za zachętę.

Wszystkie zale przelała na papier w liście do Beth. Po raz kolejny czytając jego treść, uznała, że koniec tygodnia przyniósł sporo miłych wrażeń. Ze wzruszeniem przyznała, iż cieszy się szczęściem córek.

**Nadszedł** piątek. Ruby zmieniła pościel w pokojach na piętrze, niosąc cztery zestawy brudnych prześcieradeł i poszew do prania. Wtedy, jak co miesiąc, zjawił się Matthew Doyle, by odebrać czynsz. Z upływem lat wzrósł on do piętnastu funtów tygodniowo. Ruby musiała więc odpowiednio zmienić umowę z lokatorami.

Doyle miał zwyczaj wkradać się bez uprzedzenia czy zaproszenia. Od razu rozgościł się w kuchni i uznał, że należy mu się filiżanka herbaty, spodziewając się jednocześnie, iż będzie zabawiany długą rozmową. Ruby pomyślała, że w ten sposób chce dać do zrozumienia, kto jest właścicielem domu. Dziwiło ją to, że mają taką pozycję, osobiście przychodzi odbierać pieniądze za czynsz. Wciąż nie cierpiała tego człowieka, począwszy od dnia, w którym się jej przedstawił. Denerwowała ją konieczność okazywania mu uprzejmości. Przez cały czas obawiała się, że wkrótce Doyle przypomni sobie, iż kupił ten dom po to, by go wyburzyć, a w jego miejsce postawić coś innego.

Dziś był to już zupełnie inny człowiek, w niczym nie przypominający młodego mężczyzny sprzed dwunastu lat. Nie nosił już zniszczonych ubrań, kozaków ani wąsów, lecz miał na sobie uszyty z gładkiego materiału szary garnitur, a pod nim śnieżnobiałą koszulę i jedwabny krawat. Drogie bury z czarnej skóry były zawsze doskonale wypolerowane i prawie nigdy nie rozstawał się ze skórzaną teczką. Zmienił się nie tylko jego wygląd, ale i zachowanie — emanował wyniosłością, pewnością siebie oraz poczuciem humoru, co bardzo irytowało Ruby. Pozbył się też niemiłego dla ucha dialektu.

Matthew Doyle wzbogacił się, prowadząc różne interesy. Jego firma, Doyle Construction, budowała w Crosby blok mieszkalny, który stał się przedmiotem wielu kontrowersji: mieszkańcy domów, przed którymi stawiano budynek, narzekali, iż przysłoni im on widok na rzekę Mersey. Pragnęli cieszyć się tym widokiem przez całe życie i nie sądzili, że ktoś kiedykolwiek pozbawi ich tej przyjemności. Pan Doyle został też wybra-

ny radnym Rady Miejskiej Liverpoolu. W gazecie *Echo* publikowano część jego zdjęcia z imprez charytatywnych i festynów miejskich, w których uczestniczył w towarzystwie urodziwej małżonki, córki innego magnata finansowego. Mieszkali w starej posiadłości w Aughton.

— Mam dla Greta prezent — oznajmił, rozsiadając się w kuchni. Sięgnął do teczki i wyjął z niej pudełko.

— Z jakiej okazji?

— Przecież miała urodziny. Prezent jest trochę spóźniony, bo nie mogłem przyjść wcześniej.

— Skąd pan wiedział o jej urodzinach?

— Sama mi powiedziała w zeszłym miesiącu.

Greta go polubiła. Podobnie jak Tygrysek, który ciągle czynił wysiłki, by otrzeć się o jego nogi. Matthew wyciągnął rękę i podrapał go po szyi.

— Dziękuję za prezent. Cokolwiek to jest, Grecie na pewno się spodoba.

— To perfumy. Bardzo dobre. Z Francji. Jakies Chanel... — Rozsiadł się na drewnianym krześle, wyciągnawszy przed siebie długie nogi. Był bardzo elegancki.

Kiedy Ruby odwracała się, żeby nastawić czajnik, poczuła na plecach przyjemne mrowienie. Działo się tak przy każdym kontakcie z tym człowiekiem, jakby ciało buntowało się przeciw temu, co podpowiadał umysł. Szlag by trafił tego faceta!

— Pani nie ma o mnie zbyt dobrego zdania, prawda? — spytał, wpatrując się w nią figlarnie brązowymi oczyma. Czyżby naśmiewał się z niej? Ruby mogłaby przysiąc, że ostatnio jawnie próbował flirtować. Dzisiaj jednak wydawał się trochę spięty. Jak na niego było to dość nietypowe.

— Ja nic do pana nie mam — odparła sucho.

— Nie lubi mnie pani od chwili, kiedy się poznaliśmy.

— Tego bym nie powiedziała.

— A ja tak. Pewnie miała pani ochotę zwymyślać mnie od wrednych typów, bo kombinowałem, jak zarobić parę szylingów, podczas gdy inni mężczyźni w moim wieku służyli w wojsku.

— To akurat prawda — zauważyła Ruby. — Poza tym „parę szylingów” to chyba za mało powiedziane.

Pokiwał głową.

— Ma pani rację. Tyle że kiedy się poznaliśmy, tonąłem w długach. Bardzo potrzebowałem gotówki, żeby spłacić pożyczkę zaciągniętą

w banku. Jak zobaczyłem ten dom, sam chciałem wynajmować pokoje i zbijać na tym fortunę.

— To dlaczego pan tego nie zrobił? — spytała, zastanawiając się, do czego prowadzi ta rozmowa.

— Wtedy pojawiła się pani, prawda? Wiedziałem, że pani będzie w tym lepsza niż ja. Wynająłem pani pokoje za osiem funtów, chociaż mogłem dostać dwa razy tyle.

— Jestem panu ogromnie wdzięczna — odparła sztywno. Przecież wcale nie chciała być traktowana w wyjątkowy sposób. Ciekawe, dlaczego mówi jej o tym dopiero po dwunastu latach.

— Nie wątpię w pani wdzięczność. Jednak wciąż ma pani o mnie złe zdanie — odpowiedział, błyskając zębami w uśmiechu.

Niekiedy okazywanie mu sympatii przychodziło jej z trudem. Zdecydowanym ruchem postawiła przed nim herbatę. Filiżanka stuknęła głośno o blat stołu.

— Uważam, że jest pan cudownym człowiekiem. Czy to panu wystarczy? A w ogóle po co to wszystko? Dlaczego po tylu latach nagle zależy panu na tym, żebym darzyła pana sympatią?

— Bo ja panią darzę sympatią — wyjaśnił krótko.

— I dopiero teraz pan to zrozumiał?

— Nie. Podoba mi się pani, odkąd ujrzałem ją stojącą w drzwiach, całą ubrudzoną od farby. — Wzruszył ramionami. — Życie bogatych ludzi ma swoje złe strony.

— Doprawdy? — spytała Ruby, zachodząc w głowę, co teraz ma na myśli.

— Odchodzi się od korzeni — wyjaśnił tonem, w którym zabrzmiała nutka beznadziei. — Trudno jest spotkać kogoś, kto, podobnie jak my, zaznał smaku biedy. Wszyscy uważają, że taki bogacz przez całe życie mieszkał w rezydencji i jeździł za kierownicą rolls-royce'a.

— No tak — odparła Ruby z fałszywym współczuciem.

— Dopiero niedawno zdałem sobie z tego sprawę — ciągnął dalej, nie zważając na to, że mu przerwała. — Czuję się samotny i mam wrażenie, że się duszę. Chciałbym porozmawiać z kimś, kto także wywodzi się z biedy, żebym nie zapominał o swym pochodzeniu i tożsamości.

— Takich ludzi jest przecież mnóstwo dookoła.

— I pani do nich też należy.

— Dlaczego sądzi pan, że wywodzę się z biedy?

— Bo oboje mieszkaliśmy w Foster Court.

— Nie pamiętam pana — odparła zaskoczona.

— Mieszkałem pod piątką razem z babcią. — Uśmiechnął się, jak gdyby było to całkiem miłe wspomnienie. — Nie pamięta mnie pani, bo nie wychodziłem z pokoju. Siedziałem przy oknie i obserwowałem, co się dzieje na zewnątrz. Widziałem, jak codziennie wychodziła pani z pokoju numer dwa. Miała pani na sobie szal. Zabierała pani dwoje dzieci w wózku. Babcia mówiła, że gońcowała pani dla lombardu.

— Dlaczego nie wychodził pan z pokoju? — Podejrzewała, że unikał pracy, podobnie jak Jacob.

— Chorowałem na gruźlicę — odparł krótko.

— Na gruźlicę?! — Nagle zrozumiała, dlaczego nie służył w wojsku. — Czy teraz już panu lepiej?

— W razie ataku kaszlu na pewno nie zabrudzę pani tego ślicznego stolika krwią, jeśli o to pani chodzi.

— Nawet mi to nie przyszło do głowy — odpowiedziała znowu oschłym tonem.

— Przepraszam! — uniósł ręce, sygnalizując wycofanie się z dyskusji.

— Po co pan mi to wszystko mówi? — spytała, rozdrażniona. — Nigdy wcześniej nawet nie wspomniał pan o Foster Court.

— Chcę, żeby mi pani współczuła — odparł z uśmiechem. — Mówiłem już, że muszę z kimś porozmawiać. Potrzebny mi ktoś, kto nie patrzy z góry na niższe klasy społeczne i nie wszczyna dyskusji na temat jakości różnych win. Mam już dość rozmów o umowach i kontraktach.

Ruby ułożyła ręce na stole.

— Dobrze, w takim razie proszę mówić.

— Wolałbym porozmawiać o tym przy jakiejś kolacji — odparł nieśmiało.

— Co za tupet! — krzyknęła oburzona. — Przecież pan jest żonaty.

— Caroline jest na południu Francji. Spędza wakacje na jachcie ojca.

— Niechby była nawet na księżycu. Nie umawiam się z żonatymi.

— To byłoby całkiem niewinne i przyzwoite spotkanie. Poszlibyśmy do restauracji tylko, po to, żeby porozmawiać. Oprócz nas będzie tam pięćdziesiąt innych osób...

— Nie! — odparła kategorycznie Ruby.

Wtedy wstał i podszedł do okna.

— Zapomniałem już, jak ogromny jest ten ogród. Ma pewnie co najmniej ze czterdzieści metrów długości i jest w połowie taki szeroki. Sądzę, że za tę ziemię bez problemu mógłbym kupić dwie półciązarówki. — Odwrócił się twarzą do niej. — Czy wie pani, Ruby, ile w dzisiejszych cza-

sach kosztuje taka półciężarówka? Ponad dwa tysiące funtów — powiedział, potrząsając głową z niedowierzaniem.

Ruby była już tak wściekła, iż myślała, że lada chwila zacznie zionąć ogniem. — Pan próbuje mnie szantażować? — syknęła.

— Tak.

— No cóż, nie udało się panu. Moja odpowiedź nadal brzmi „nie”.

Ruby została zaproszona na podwieczorek do rodziców i krewnych Larry'ego i Roba. Poszła do fryzjera ułożyć włosy i kupiła sobie nową suknię — z czerwonej bawełny, żeby pasowała do butów, jakie dostała po Heather. Suknia miała gładki, okrągły karczek, rękawy z nakładką i kolistego kształtu rozszerzany dół. Chłopcy zabrali ją samochodem. Jechała na tylnym siedzeniu, wciśnięta między Gretę i Heather. Od obu czuć było zapach perfum Chanel No. 5, które Matthew Doyle podarował Grecie.

Ruby czuła się spięta, co było u niej rzadkością. Obawiała się, że trudniej będzie rozmawiać o przyszłości, skoro nie było przy niej męża, rodziny ani nawet przyjaciółki. Jednakże obie rodziny przyjęły ją bardzo serdecznie. Poznała ojców i matki, wujków i ciotki, braci i siostry oraz dziadków obu chłopców. Wszyscy zebrali się w dużym, wiktoriańskim domu szeregowym przy Orrell Park. Każdy z nich bez wyjątku sprawił, iż poczuła się szczególnym gościem, jakby była jedyną matką na świecie, która wydała na świat tak urodziwe, czarujące i dobrze wychowane córki. Obie były po prostu olśniewające. Nic dziwnego — sama Ruby także przyciągała uwagę i łatwo można było uznać ją za ich starszą siostrę. Szkoda tylko, że kiedy dziewczęta dorastały, nie było przy nich ojca. Byłby teraz bardzo dumny. Ileż trudu musiało sprawić Ruby wychowanie córek jako samotnej matce. Wszyscy zgodnie twierdzili, że nikt nie poraziłby sobie z tym lepiej niż ona.

— Moira i ja obawiałyśmy się zawsze, że kiedy jeden z naszych chłopców pozna dziewczynę, drugi poczuje się samotny — powiedziała Ellie, matka Roba czy może Larry'ego. Ruby doszła do wniosku, że nigdy nie zapamięta, kto tu jest kim. — Ale tak się świetnie złożyło, że obaj zakochali się jednocześnie. Bo wiesz, oni przez całe życie robili wszystko razem... — Moira była matką Larry'ego, jeśli nie Roba.

— Miło mi to słyszeć — rzuciła Ruby.

— Oczywiście, w żadnym wypadku nie zgodzimy się na to, żebyś sama pokryła koszty podwójnego wesela. To byłoby za wiele. Umówimy się kiedyś, żeby to przedyskutować.

— Wcale nie wiedziałam, że oni mają zamiar się pobrać — odparła Ruby słabym głosem, urażona, że wcześniej nikt jej o tym nie poinformował.

— O, na razie zbyt dobrze się bawią, żeby cokolwiek planować, ale Moira i ja uważamy, że prędzej czy później to nastąpi. Nie sądzisz?

Ruby uśmiechnęła się, zadowolona, że nie została pominięta.

— Od początku tak sądziłam. Od chwili, kiedy się poznali, wszystko na to wskazuje.

Ellie chwyciła ją pod ramię.

— Chodźmy na jeszcze jeden kieliszek sherry. Widzę, że tego właśnie tobie trzeba. Jestem pewna, że czujesz się tu troszkę zagubiona, poznawszy tyle osób w tak krótkim czasie. I doskonale cię rozumiem. O, proszę! Przyszedł nasz Chris. Przedstawię ci mojego niepoprawnego braciszka.

— Niepoprawnego? A cóż on takiego zrobił?

— Poszedł do seminarium, został księdzem, a potem zrezygnował. To było czternaście lat temu, ale nasza mama wciąż jest w szoku.

Ruby wydawało się po części, że były ksiądz powinien robić wrażenie rozpustnego i nieco dekadentckiego romantyka, ale Chris Ryan, brat Ellie, wcale na takiego nie wyglądał. Był to rozkojarzony i nieporządny mężczyzna, mniej więcej w tym samym wieku, co Ruby. Miał sympatyczny wyraz twarzy i piękny uśmiech. Ruby zauważyła, że nosi dziwaczne skarpetki.

— Ach, ten twój krawat — powiedziała Ellie czepliwym tonem. — Założyłeś go chyba do góry nogami.

— Nigdy nie potrafię go zawiązać — odpowiedział łagodnie Chris, uśmiechając się do Ruby. — A więc już niedługo staniesz się częścią naszej rodziny, a właściwie rodzin. To wszystko musi ci się wydawać trochę zagmatwane. Ja sam już nie wiem, którzy spośród obu tych rodzin są naprawdę moimi krewnymi. Przynajmniej połowę z nich znam od dziecka.

— Nie przejmuj się tym, skarbie — powiedziała Ellie, poklepując go po ręce. — Powiedz tylko, a przypomnę ci, kto tutaj jest kim — dodała, puszczając oczko do Ruby. — Nie zwracaj na niego uwagi. On udaje. W tej brzydkiej głowie pod czaszka kryje się bardzo bystry umysł. Przepraszam cię na chwilkę. Pójdę po sherry.

— A dla mnie piwo, siostrzyczko.

— No, dalej, zadaj mi w końcu to pytanie — powiedział Chris, kiedy Ellie oddaliła się.

— Jakie pytanie?

— Dlaczego zrezygnowałem z kapłaństwa. Wiedziałem, że Ellie powie ci o tym. Nie mogę pojąć, dlaczego rozpowiada wszystkim dokoła. Przechwalanie się bratem o złą reputację sprawia jej chyba przyjemność.

— Chciałam spytać, ale się powstrzymałam — przyznała Ruby.

— To coś nowego. Większość ludzi zadaje to pytanie prosto z mostu.

— No, dobrze. Więc dlaczego zrezygnowałeś?

— Obawiam się, że w mojej decyzji nie było nic skandalicznego. Większość uważa, że chodziło o romans z siostrą zakonną, ale to nieprawda. Straciłem wiarę. Na szczęście stało się to dokładnie wtedy, gdy wybuchła wojna. Nie miałem więc wyrzutów sumienia, żeby odejść i pójść do wojska.

— I podobało ci się w wojsku?

Jego twarz posmutniała. — Bardzo pragnąłem walczyć za mój kraj, ale miałem jeden problem: nie chciałem zabijać Niemców. Dlatego cieszyłem się, że wojna dobiegła końca i że już nigdy nie będę musiał stawać twarzą w twarz z wrogiem. — Złapał ją za łokieć. — Tam są dwa wolne miejsca. Chodźmy usiąść.

— A jak wykorzystujesz swój bystry umysł? — zagadnęła Ruby, kiedy już usiedli.

Popatrzył na nią tajemniczym wzrokiem.

— Nigdy byś nie zgadła.

— Nawet nie będę próbowała zgadywać, czym zajmuje się były ksiądz.

— Jestem policjantem. Sierżantem w wydziale śledczym. Chodzę w cywilu, co bardzo mnie cieszy. Za nic w świecie nie przyzwyczaiałbym się do noszenia kasku.

Ruby potrząsnęła głową.

— Nie wyobrażam sobie ciebie w mundurze policyjnym.

— Dzięki Bogu, nigdy nie będziesz mnie w nim oglądać. Kierowanie ruchem ulicznym szło mi beznadziejnie. Wszystkim udzielałem błogosławieństwa i nie panowałem nad sytuacją.

Ruby zaśmiała się.

— I dlatego awansowałeś?

— Chyba tak. Szefostwo najwyraźniej chciało, żebym trzymał się z dala od wszelkich niebezpieczeństw. — Machnął ręką, chcąc zbyć temat. — Ale nie mówmy już o mnie. Porozmawiajmy o tobie, Ruby. Czym się zajmujesz?

Powiedziała mu, że wynajmuje pokoje, wyjaśniając, jak do tego doszło. Opowiedziała mu wszystko, począwszy od dnia, kiedy razem z Beth

wróciły z Southport i dowiedziały się o śmierci Arthura Cummingsa, a potem wprowadziły się do domu pani Hart, który mieścił się przy Parku Książąt. Opowiedziała mu niezwykle dużo: o Connie i Charlesie, i o wszystkich ludziach, którzy tam mieszkali; o tym, jak chowali się w piwnicy podczas nalotów i śpiewali piosenki, żeby zagłuszyć huk bomb; o tym, jak Beth poszła do pracy, o opiece nad dziećmi, o Matthew Doyle'u, lokatorach, urodzinowym przyjęciu Greta, które odbyło się w zeszłym tygodniu; o tym, jak bardzo cieszyła się, że czworo młodych ludzi spotkało się szczęśliwym trafem i jak bardzo polubiła Larry'ego i Roba.

— A niech mnie licho! Gadam jak najęta — powiedziała w końcu, speszona. — Jesteś świetnym słuchaczem. Dziwię się, że nie umarłeś z nudów.

— Wcale się nie nudziłem — odparł, wpatrując się w nią, a jego sympatyczna twarz przybrała dziwny wyraz.

Przyjrząwszy się jej dokładnie, Ruby dostrzegła coś więcej. Malowała się na niej wrażliwość, inteligencja i niezwykle piękno. Jak to się stało, że nie zauważyła tego przedtem? Miał ciemnoszare oczy, a jego nos i usta były nieco zbyt szerokie. Nagle zaczęło jej kołatać serce — głośno i mocno, aż do bólu.

— Nasza Ellie jakoś nie spieszy się z sherry i piwem, prawda? — zauważył Chris wesołym tonem. — Sam po nie pójdę, a ty nawet nie próbuj się stąd ruszać.

Spojrzał na nią tak, że myślała, iż serce wyskoczy jej z piersi.

— Jak wrócę i cię tu nie zastanę, wyślę za tobą pościg. Będziesz poszukiwana przez całą policję w Liverpoolu!

## *Rozdział 10*

Listopadowe niebo przybrało barwę granitu. Pochmurny dzień zaglądał w okna domu pani Hart. Ruby siedziała w kuchni i przygotowywała listę gości zaproszonych na zbliżające się wesele. Byli wśród nich Beth, która miała przyjechać z Ameryki, Martha i Fred Quinlan, Connie i Charles. Gdyby Greta i Heather nie zaprosiły tylu znajomych z pracy, ze strony pańien młodych przysłoby łącznie z Ruby tylko sześć osób. Dla Ruby nie miało to znaczenia. Nie mogła winić się za to, iż nie posiada licznych krewnych.

Ślub obu młodych par zaplanowano na sobotę przed świętami Bożego Narodzenia. Ruby piekła tort, Martha zaś miała go udekorować. Pań-



stwo White opłacili kwiaty, państwo Donovan samochód, a koszty wesela wszystkie trzy rodziny podzieliły między sobą. Zamówiono już suknie ślubne: dla Heather atłasową koloru królewskiej bieli, a dla Greta z organdy i tiulu. Pragnieniem Greta było wyglądać jak wróżka z bajki, toteż na jej suknię przeznaczono sporo materiału.

Ruby chciała kupić sobie jakiś kostium, ale nie mogła się zdecydować co do koloru. Codziennie zmieniała zdanie. Róż był zbyt blade, brąz za ciemny, czerwień za jasna, niebieski zbyt dziecięcy, a biel i czerń wykluczone. Przez ostatnie dwa dni gustowała w fioletcie, ale Chris powiedział jej, że to kolor żałobników na królewskich pogrzebach.

— Może brzoskwinowy albo morelowy? — zaproponował.

— Zbyt „owocowe”.

— Zielony?

— Przynosi pecha.

— Zabrakło kolorów. Skrytykowałaś całą tęczę.

— Zastanawiam się nad burgundem i kasztanem.

— To smutne kolory.

— A szary?

— Przygnębiający.

— Dzięki za taką pomoc. Wiem: granat!

— Nie mógłbym się oprzeć wrażeniu, że idę z policjantką.

— W takim razie chyba wcale nie pójde — odpowiedziała ponurym głosem.

— To chyba jedyne rozwiązanie. Proponuję, żebyśmy zostali nudykami, nim my weźmiemy ślub. Wtedy będziemy mogli pobrać się nago. Jedynym twoim zmartwieniem byłby wtedy dobór koloru pomadki.

Ruby przeciągnęła się leniwie. Przypomniała sobie, jak po tej uwadze rzuciła w Chrisa poduszką. Ostatniego roku los nie szczędził przychylności wszystkim paniom O'Hagan; ani ona, ani córki nie mogły narzekać na brak szczęścia.

Ruby i Chris Ryan zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Zrozumieli to natychmiast w dniu, w którym się poznali.

— Kocham cię — wyszeptła Ruby, jak gdyby Chris był teraz w pokoju obok niej, by mógł to usłyszeć i odpowiedzieć „ja też cię kocham”. A może te szczególne słowa popłyną daleko stąd i dotrą do niego teraz, gdy siedzi przy swoim biurku, jest akurat w akcji czy w barze, do którego chodzi na drinka z kolegami z pracy. Spojrzała na zegarek. Już prawie południe. Trudno powiedzieć, gdzie w tej chwili może być.

Myślami wybiegła w przyszłość, wyobrażając sobie, iż czekają ich wyłącznie wspaniałe, szczęśliwe dni. Na razie jednak nie snuli żadnych konkretnych planów oprócz tego, by pobrać się latem przyszłego roku. Nie ustalili jeszcze, gdzie kupią dom, dokąd pojedą na miesiąc miodowy i czy wesele będzie skromne, czy wystawne.

— Skromne — mówił Chris.

— Wystawne — odpowiadała Ruby.

Kiedy wyjdzie za mąż, rzuci pracę gospodyni i po raz pierwszy w życiu będzie kobietą niepracującą. Wiedziała jednak, że szybko się tym znudzi. Wreszcie znajdzie czas na kursy, studia i karierę. Chris zaproponował, żeby została nauczycielką. Jego znajomy odszedł właśnie z policji i podjął naukę w kolegium nauczycielskim.

Ruby, która trwała w przekonaniu, iż mogłaby zajmować się dosłownie wszystkim, uznała ten pomysł za bardzo dobry. Po chwili jednak przypomniała sobie zajmowanie się dziećmi w czasie wojny; wtedy nie sprawiało jej to szczególnej przyjemności.

— Uczyć dzieci a opiekować się nimi to dwie różne rzeczy — zauważył Chris. — Najpierw będą ci potrzebne odpowiednie kwalifikacje, a do nauki będziesz przecież mieć warunki w domu.

Obiecała, że to przemyśli. Nie wspominając nic Chrisowi, myślała też o tym, żeby mieć jeszcze kilkoro własnych dzieci. Zastanawiała się nad tym po raz setny, kiedy siedziała przy kuchennym stole i sporządzała listę gości na wesele córek. Teraz byłoby inaczej: kolejne dzieci urodziłaby już jako mężatka. Męża miałaby przy sobie. Nie brakowałoby pieniędzy na jedzenie i ubranie, a w razie potrzeby liczni krewni Chrisa służyliby wsparciem. Ellie White wraz z rodziną cieszyli się, że Ruby i Chris są razem.

Ktoś zadzwonił do drzwi, ale Ruby nie usłyszała. Była zbyt pochłonięta myślami. Podskoczyła, kiedy dzwonek odezwał się ponownie. W duchu miała nadzieję, że to Chris. Wpadał czasem, będąc w sąsiedztwie.

Nie był to Chris, ale jakaś obca kobieta ubrana w drogie futro. Właśnie miała nacisnąć dzwonek po raz trzeci.

— Myślałam, że cię nie zastanę — powiedziała cichym, grzecznym tonem.

— W czym mogę pomóc? — spytała Ruby. Kobieta była zbyt elegancka, by zajmować się sprzedażą.

— Jesteś Ruby O'Hagan, prawda? Ach, nawet nie muszę cię o to pytać. Rozpoznałam cię od razu parę miesięcy temu, kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy.

Ruby sięgnęła pamięcią wstecz, ale za nic w świecie nie mogła sobie przypomnieć, żeby spotkała tę kobietę w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Wyglądała na sześćdziesiąt parę lat, miała wąską, drobną twarz przeciętnej urody i siwiejące włosy.

— Przepraszam, czy my się znamy?

— Powiedzmy, że widzieliśmy się kiedyś przez bardzo krótki czas. Nazywam się Olivia Appleby. — Przełknęła nerwowo ślinę. — Jestem twoją matką.

Co ma powiedzieć matce, która porzuciła ją w klasztorze zaraz po narodzinach? Ruby nie miała pojęcia. Zaprosiła Olivię Appleby do pokoju gościnnego i poszła zaparzyć herbatę. W kuchni usiłowała zebrać myśli. Czekając, aż w czajniku zagotuje się woda, rozmyślała nad tym, co począć w zaistniałej sytuacji. Wyjęła najlepszą zastawę porcelanową, wyłożyła tacę koronkową serwetką, do malowanej miseczki nasypała cukru, a mleko nalała do dzbanuszka z tego samego kompletu. Łyżeczki wytarła o brzeg spódnicy. Kiedy wszystko było już gotowe, wzięła głęboki oddech, chwyciła tacę i zaniósła do pokoju.

— Pewnie nie bardzo wiesz, co powiedzieć — zauważyła Olivia Appleby na jej widok. Siedziała na samym brzegu kanapy z rękoma na kolanach. Wyglądała na spiętą. Najwyraźniej sytuacja ta była trudna także i dla niej. Futro leżało przewieszone przez krzesło. Miała na sobie elegancką czarną garsonkę i spódnicę.

— Jak pani mnie znalazła? Skąd pani wie, że tu mieszkam? Długo mnie pani szukała? — spytała Ruby. Czuła wewnątrz dziwną pustkę, jak gdyby uleciały z niej wszelkie uczucia i emocje. Ta elokwentna, szykowna kobieta nie budziła w niej żadnych doznań. Nie czuła do niej ani miłości, ani gniewu, tylko jakieś niejasne pretensje o to, że przychodzi po tylu łatach, by zasiać w jej życiu zamęt.

— Dwa miesiące temu dowiedziałam się, gdzie mieszkasz. Od tamtej chwili zbierałam się na odwagę, żeby cię odwiedzić. — Jej głos zdrzął lekko. — Odnalazłam cię dzięki... ach, to długa historia, ale postaram się opowiedzieć ci wszystko w dużym skrócie. — Zacerpnęła powietrza. — Kiedy byłam z tobą w ciąży, mieszkaliśmy w Bristol u niejakiej Madge Cookson. Była kimś w rodzaju akuszerki. Zabrano mi ciebie zaledwie kilka godzin po porodzie. — Na jej twarzy pojawił się wyraz bólu. — Madge zaklinała się, że nie miała pojęcia, dokąd cię zawieźli. — Wzruszyła ramionami, robiąc wrażenie zmęczonej. — Od czasu do czasu utrzymywaliśmy ze sobą kontakt listowny, wysyłałyśmy sobie kartki na święta, i tak

dalej. Na początku tego roku Madge zmarła. Napisał mi o tym jej syn, a do wiadomości załączył list. Na kopercie sama Madge zaznaczyła, by oddać mi go po jej śmierci. W tym liście pisała, że przyrzekła nigdy nie mówić mi, dokąd wywieziono moje dziecko, ale nie zamierzała zabrać tej tajemnicy do grobu i wyjawiała, że byłeś w klasztorze Sióstr Świętego Krzyża w Abergele. Napisała też, że zachowano twoje prawdziwe imię i nazwisko, Ruby O'Hagan. — Uśmiechnęła się słabo. — Z początku miałam straszne myśli: załowałam, że Madge dożyła dziewięćdziesięciu lat i że nie umarła dawno temu, kiedy ty byłeś jeszcze dzieckiem.

— Kto mnie pani odebrał?

— Mój ojciec. Wyrwał mi ciebie z rąk. — Ułożyła ramiona w kołyskę i zadrżała mocno. — Czy mogę zapalić?

— Gdzieś tu powinna być popielniczka. — Stała na komodzie. Ruby sięgnęła po nią i postawiła ją obok nietkniętej herbaty. — Była pani w klasztorze?

— Pojechałam zaraz po tym, jak przeczytałam list od Madge. Sierociniec nie istnieje tam już od lat. — Przerwała, by zapalić papierosa, po czym głęboko zaciągnęła się dymem. Na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi, jakby od dawna nie miała papierosa w ustach. — Z początku myślałam, że nie uzyskam od nich potrzebnych informacji, ale jest tam młoda i bardzo wyrozumiała przeorysza. Uznała, że skoro minęło już tyle czasu, może zrobić dla mnie wyjątek. Dokładnie przeszukano wszystkie dokumenty, jakie znajdowały się w piwnicy. Krótko mówiąc, stamtąd dowiedziałam się, że wyjechałaś do Liverpoolu i zamieszkałaś u Emily Dangerfield.

— Emily wyjechała z kraju dawno temu. — Ruby miała wrażenie, jakby wysłuchiwała historii życia jakiegoś dziecka, zapomniawszy, że to ona sama jest główną bohaterką opowiadania kobiety.

— Od razu mi o tym powiedziano. Przejrzałam wtedy książkę telefoniczną, choć nie sądziłam, że znajdę w niej twoje nazwisko. Przypuszczałam, że wyszłaś za męża. Ale gdybyś miała dziecko, w dokumentach byłoby nazwisko rodowe matki. I tak znalazłam jakąś R. O'Hagan pod tym właśnie adresem i od razu wtedy przyjechałam. Zatrzymałam samochód pod domem. — Wygasiła papierosa i natychmiast sięgnęła po następnego. — Zobaczyłam cię w oknie na piętrze. Jesteś tak podobna do ojca, że prawie się rozpłakałam. Odjechałam, żeby popłakać sobie gdzie indziej, a potem wróciłam do domu. To było we wrześniu. Od tamtego dnia zbierałam się na odwagę, żeby tu wrócić.

Ruby chciała zasypać ją tysiącem pytań, ale w tym momencie nie przychodziło jej do głowy ani jedno.

— Dziwię się, że nie wyszłaś za mąż — nie omieszkała zauważyć kobiety podająca się za jej matkę.

— Miałam męża. Jacob zginął na wojnie. Zostałam przy swoim nazwisku. Długo by wyjaśniać, dlaczego. — Nie chciała nic wyjaśniać. Pragnęła tylko, żeby kobieta poszła już i nigdy więcej tu nie wracała. Po trzydziestu ośmiu latach wieść o tym, że ma matkę, burzyła porządek w jej poukładanym życiu.

— Przykro mi z powodu twego męża. Masz dzieci?

— Dwie córki: Gretę i Heather. W grudniu wychodzą za mąż. To będzie podwójne wesele.

— Pewnie jesteś zapracowana po same uszy. Pamiętam, jak moja córka... — przerwała z zakłopotaniem. — To znaczy, moja *druga* córka. Och! — krzyknęła. — Chyba nie uda nam się zaprzyjaźnić? Minęło tyle czasu.

— Obawiam się, że taka jest prawda — odparła powoli Ruby. Błada, nieszczęśliwa twarz Olivii Appleby wykrzywiła się w cierpieniu. Ruby poczuła się zawstydzona.

— To ja już pójdę. Jesteś pewnie bardzo zajęta, a ja tylko przeszkadzam. — Sięgnęła po futro.

— Nie, nie. — Jeśli odejdzie, Ruby nigdy nie daruje sobie, że nie zapytała o to wszystko, co już od dawna ją nurtowało. Poza tym byłoby okrucieństwem pozwolić jej odejść. Kobieta najwyraźniej ubolewała nad utratą dziecka dużo bardziej, niż ono przeżywało brak matki. Ruby wyobraziła sobie, co działałoby się w jej sercu, gdyby ktoś krótko po porodzie wyrwał jej z rąk którąś z jej własnych córek i jak zniosłaby świadomość tego, iż nigdy więcej jej nie zobaczy. Nie potrafiłaby się z tym pogodzić.

— Opowiedz mi o moim ojcu — poprosiła, siląc się na łagodny i przyjazny ton głosu.

Kobieta po raz pierwszy szczerze się uśmiechnęła. Był to słodki uśmiech dziecka. Jej oczy błysnęły.

— Nazywał się Thomas Gerald O'Hagan. Poznaliśmy się we Francji pod koniec pierwszej wojny światowej. Byłam pielęgniarką, a on moim pacjentem.

— Czy wiedział o mnie?

— Nie. Zginął i nigdy nie dowiedział się, że byłam w ciąży. Był Amerykaninem i pochodził z Bostonu.

— Amerykaninem?!

— Jego ojciec miał księgarnię, w której Tom pracował. Po wojnie mieliśmy się pobrać. — Spuściła głowę. — Był moją jedną, jedyną miło-

ścią. Nigdy więcej się nie zakochałam. Za Henry'ego Appleby wyszłam, żeby uciec od samotności. Był wdowcem, dużo starszym ode mnie. Nigdy nie powiedziałam mu o tobie. Miałam zaledwie czterdzieści lat, kiedy zmarł. — Pokręciła obrączkę na palcu. — To było dobre małżeństwo. Mieliśmy troje dzieci, córkę i dwóch synów. Każde z nich założyło już rodzinę i wie dzie własne życie. A ja dzięki temu mam wnuki. Ośmioro — dodała z dumą w głosie.

— Dziesięcioro.

Oblała się rumieńcem.

— Tak, dziesięcioro, licząc twoje córki. — Pochyliła się i spojrzała na Ruby z niepokojem. — Powiedz, jesteś szczęśliwa? Myślałam o tobie bez przerwy przez wszystkie te lata, w każde twoje urodziny i wtedy, gdy widziałam dziewczęta w twoim wieku. Madge mówiła mi, że tak będzie. Zastanawiałam się, co robisz, gdzie mieszkasz, ale przede wszystkim chciałam wiedzieć, czy jesteś szczęśliwa.

— Raczej tak.

— Cieszę się. A teraz muszę już iść. Moja wizyta trochę się przedłużyła. Na pewno jesteś tym wszystkim bardzo roztrzęsiona. — Włożyła futro, zapalając kolejnego papierosa. — Potrzebujesz czasu, żeby to przemyśleć, żeby pogodzić się z faktem, że ni stąd, ni zowąd zjawia się nagle twoja matka. Może któregoś dnia znowu się spotkamy. Z pewnością mamy sobie mnóstwo do powiedzenia.

— Niewykluczone — odparła uprzejmie Ruby.

Olivia Appleby wzdrygnęła się.

— Dam ci moją wizytówkę. Chciałabym też dostać zdjęcie ślubne twoich córek. — Wykrzywiła usta w grymas. — To znaczy, *moich* wnuczek. Ach, przecież mam coś dla ciebie. Prawie bym zapomniała. — Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej aksamitne pudełko. — To jest obrączka, którą dostałam od Toma, twojego ojca. Należała do jego „dziadunia”, bo tak zwykł o nim mówić. Tu jest wryty napis: „Od Ruby dla Eamona, 1857”. Mija dokładnie sto lat, odkąd Ruby i Eamon się pobrali. Teraz wiesz, po kim nosisz imię.

— Dziękuję — odparła Ruby.

Ruszyły w kierunku drzwi i uściśniły sobie dłonie. Olivia Appleby poszła ścieżką w stronę dużego, błyszczącego samochodu. Otworzyła furtkę i odwróciła się jeszcze, by pomachać. W jej zgarbionej sylwetce i bladej twarzy było coś przeraźliwie smutnego.

Ta kobieta była jej matką! Ona zaś potraktowała ją jak nieznaną. Trudno, żeby Olivia oczekiwała od Ruby wylewności w uściskach i poca-

łunkach, jednak spodziewała się chyba czegoś więcej niż chłodnego przyjęcia — może bardziej entuzjastycznej reakcji na propozycję ponownego spotkania.

Z pewnością przeżywa teraz gorzkie rozczarowanie. Jak długo będzie musiała jechać do domu, znosząc ból w sercu? Ruby spojrzała na wizytówkę: mieszkać w Bath. Tyle pytań pozostało jeszcze bez odpowiedzi. Chciała dowiedzieć się wielu ważnych rzeczy, o ojcu, o Olivii.

Ruby już miała pobiec za nią ścieżką, namówić matkę, żeby została i odpowiedziała na wszystkie jej pytania, ale nie mogła. Wciąż odczuwała lekki żal, pretensję o to, że kobieta w ogóle tu przysłała.

Olivia podeszła właśnie do samochodu, otworzyła drzwi i chciała wsiąść do środka.

— Chwileczkę — zawołała Ruby.

Jej pobladłą twarz rozpromieniła nadzieja.

— Tak, kochanie?

— Możesz przyjść na ślub. W sobotę, trzeciego grudnia.

— Z miłą chęcią.

— Wyślę zaproszenie na adres z wizytówki.

Matka wsiadła do samochodu, uśmiechając się i kiwając głową.

— Bardzo dziękuję. — Zatrzasnęła drzwi i odjechała.

Coś ty taka cicha? — spytał ją Chris tego wieczoru. Dziewczęta pojechały dokądś z Larry'm i Robem ich volkswagenem. Poza lokatorami nikogo nie było w domu.

— Rozmyślałam.

— Więc bądź bardziej towarzyska i rozmyślaj głośno.

— Przepraszam — powiedziała w poczuciu winy i zmarszczyła nos. Jakoś nie mogła zdobyć się na to, by powiedzieć mu o wizycie matki. Później, jak Chris wyjdzie, napisze list do Beth, której zawsze powierzała swe najgłębsze sekrety.

— Tym razem nie chodzi ci chyba o kolor sukni na weselne przyjęcie?

— Nie — zaśmiała się. — Doszłam do wniosku, że wszystko mi jedno, w jakim kolorze pójdę. Byle nie w khaki. Będzie mi ładnie w kolorze fuksji. — Ruby zawsze gustowała w jasnych odcieniach.

— W kolorze khaki wyglądałabyś ślicznie, ale w kolorze fuksji jeszcze piękniej. — Siedzieli na kanapie, wtuleni w siebie nawzajem. Palcem gładził ją po twarzy. — Masz bardzo wyraźnie zarysowany podbródek.

— A ty dobrotliwe oczy. Na pewno byłyby z ciebie wspaniały ksiądz. Twoje parafianki kochałyby się w tobie do szaleństwa.

— Wątpię, czy dzięki tym dobrotliwym oczom dostanę awans w polcji — odparł sucho.

— Mój wyraźnie zarysowany podbródek też nie zaprowadził mnie na wyżyny kariery.

Pocałował ją. — Masz jeszcze mnóstwo czasu. A teraz skieruj swój podbródek ku sypialni, gdzie dokończymy naszą rozmowę, a raczej przerwimy ją, żeby zająć się czymś innym.

Po dwóch godzinach zmęczeni rozkoszą Ruby i Chris siedzieli już w kuchni. Wróciwszy do domu, młodzi zastali ich niewinnie popijających herbatę i z pewnością nawet przez myśl im nie przeszło, że mogli robić cokolwiek innego.

Tego dnia na dworze było przeraźliwie zimno. Wiał przenikliwy wiatr, unosząc drobne, roztańczone płatki śniegu niczym konfetti na zimowe wesele.

Szlachetną głowę Heather zdobiła ułożona z krótkiego welonu aureola. Welon Grety był dłuższy i musiała przytrzymywać go rękoma, żeby nie opadł, bo targany wiatrem na wszystkie strony zamieniłby się w dwa ogromne, koronkowe skrzydła.

Kiedy córki Ruby wyszły z kościoła, tłum zebranych wydał z siebie okrzyk podziwu, a ich matka pomyślała ze łzami w oczach, że tego dnia, po raz pierwszy i być może ostatni w swoim życiu, dziewczęta wyglądały olśniewająco pięknie. Zalała ją fala wspomnień: wypowiedziane przez Gretę pierwsze słowa, stawiane przez Heather pierwsze zdecydowane, choć chwiejne kroki, zabawy z Jakiem w ogrodzie obok domu pani Hart, pierwsze dni w szkole.

Teraz jej córki miały już mężów. Należały do kogoś innego — powierzyła je dwóm sympatycznym młodzieńcom, przekonana, że u ich boku znajdą szczęście. Od tej chwili matka przestała być najważniejszą osobą w ich życiu.

— Smutno ci? — spytał Chris. Stał obok niej, a fotografował właśnie zdjęcia.

Ruby skinęła głową i wtulając się w jego ramię, ścisnęła go za rękę.

— Nic dziwnego, że jest ci smutno. Dziś wieczorem rozweselę cię. Obiecuję.

— Dziś wieczorem nie, bo Beth u nas nocuje.

— To znaczy, że ja mam się wynieść?



— Proszę cię. Tylko dziś wieczorem. Przyjechała na tydzień, ale możesz przyjść jutro. Poznam cię z nią.

— Jest mi strasznie przykro, ale chyba będę musiał się z tym pogodzić. — Uśmiechnął się szeroko. Był najbardziej wyrozumiałym mężczyzną, jakiego znała. Wiedziała, iż należy do najszczęśliwszych kobiet świata. Nie było ani jednego powodu, dla którego miałyby się smucić.

— A kim jest ta dama w futrze z nerek? — spytał Chris.

— Olivia Appleby, znajoma z dawnych lat. — Ruby nie wiedziała nawet, że to norki. Dopiero Martha Quinlan zauważyła to na głos.

Matka sama prosiła, żeby Ruby nie wyjawiała nikomu stopnia pokrewieństwa między nimi.

— Chyba się nie pogniewasz — mówiła przez telefon — ale nie czuję się na siłach, by odpowiadać na pytania, tłumaczyć się i znosić pełne dezaprobaty spojrzenia. Może kiedy indziej...

— Przedstawię cię jako Olivię Appleby i powiem, że jesteś znajomą. — Ruby też wolała zachować tajemnicę. Sama nie była przygotowana na reakcję innych. O tym, że babcia pojawiła się na ślubie, nie wiedziały nawet dziewczęta. Tylko Beth znała całą prawdę.

Beth! Popatrzyła na przyjaciółkę, która stała w towarzystwie Connie i Charlesa. Schudła, a jej piękne włosy zostały bezdusznie ścięte na bardzo krótkie, wijące się tuż przy głowie małe, ciasne loczki. Fryzura ta kojarzyła się Ruby ze skazańcami. Na jej niegdyś okrągłej twarzy odznaczały się teraz przesadnie wysokie kości policzkowe, a jej oczy wyrażały dokładnie to, co mógłby odczuwać prawdziwy skazaniec: samotność i desperację. Miała na sobie zdobiony futrzanymi elementami piękny płaszcz z moheru oraz zamszowe kozaki. Na brak pieniędzy Beth niewątpliwie nie mogła narzekać, lecz z jej oczu łatwo dało się wyczytać tęsknotę za innymi, ważniejszymi rzeczami.

Fotograf kończył już sesję zdjęciową. Kilkoro przemarzniętych gości zaczęło pakować się do samochodów, które miały ich zawieźć do domu weselnego na przyjęcie. Ruby i Chris pojechali samochodem służbowym, Charles zaproponował, że zabierze państwa Quinlan, a Olivia miała podwieźć Beth.

Jeszcze przed odjazdem Ruby dopilnowała, żeby wszyscy mieli czym dotrzeć na miejsce.

Była już prawie północ.

— Jejku, Ruby! Ale było fajnie — orzekła Beth, opadając na fotel i sapiąc ze zmęczenia. Nabrała już trochę amerykańskiego akcentu.

Znużona Ruby usiadła ciężko na kanapie. Wytańczyła się za wszystkie czasy i wycałowała najwięcej osób w całym swoim życiu. To był wspa-  
niały dzień, choć pełen emocji.

— Nie pamiętam, kiedy ostatnio bawiłam się tak dobrze — powied-  
ziała Beth — ale nie licząc kosztów, wesele Connie i Charlesa, jakie wy-  
prawiłaś przed laty, było jeszcze lepsze.

— Martha też tak twierdzi. Connie i Charles również podzielają wa-  
sze zdanie.

— Nigdy nie zapomnę tamtego dnia. — Spojrzała na przyjaciółkę  
z zaciekawieniem. — Nie rozumiem tylko, dlaczego wtedy po weselu by-  
łaś na mnie obrażona.

Ruby skrzywiła się.

— Dlatego, że Jim Quinlan zaprosił cię na randkę.

— On ci się podobał?

— Bardzo. Nie wiem nawet, dlaczego. Ale on nie odwzajemniał mo-  
jej sympatii.

— Nigdy mi o tym nie powiedziałaś. — Beth wyglądała na zaskocz-  
oną. — A przecież na ogół wszystko sobie mówiłyśmy. — Rozpięła botki,  
zrzuciła je z nóg, a stopy podwinęła pod siebie. — Masz może wino? Je-  
stem już lekko wstawiona. To miłe uczucie. Nie chcę, żeby ze mnie ulecia-  
ło.

— Mam, specjalnie dla mojej przyjaciółki z Ameryki. Czerwone czy  
białe?

— Wszystko jedno.

Po chwili Ruby wróciła z butelką wina.

— Nie powiedziałaś ci o Jimie, bo było mi jakoś wstyd — wyjaśniła.  
— Kochałam go. Pewnie było to tylko chwilowe zauroczenie. On z kolei  
prawie wcale się mną nie interesował. Umówił się z tobą, nie ze mną.  
I byłam cholernie wściekła.

— Nie musisz mi mówić. Sama dobrze pamiętam.

— Przepraszam — powiedziała Ruby z pokorą.

— A co tam słyszać u Jima? Myślałam, że przyjdzie na ślub.

— Przecież ktoś musi zajmować się pubem Malt House, prawda? Po  
wojnie Jim bardzo się zmienił. Martha mówi, że wojna pomieszała mu  
zmysły. Na pomoc żony nie może liczyć. Martha twierdzi, że ma kochan-  
ków.

— Biedny Jim! — westchnęła Beth. — Dlaczego jedni są szczęśliwi  
i nie mają powodów do narzekania, a dla innych życie jest pasmem nie-  
szczęść?

— Sama chciałybym wiedzieć. Napisałybym wtedy książkę i zbiła fortunę. Ale w życiu większości z nas tak już chyba bywa, że szczęście przeplata się z nieszczęściem.

Beth parsknęła śmiechem.

— Czuję się tak, jakbyś mówiła o mnie, tyle że mój los zapewnia mi przewagę nieszczęść.

— Och, Beth! Co takiego się stało? — Jakież to niesprawiedliwe. I Beth, i Jim byli dobrymi ludźmi, a ona, Ruby, była pijana szczęściem, choć wcale nie była dobra.

— Mogłabym dostać jeszcze wina?

— Proszę bardzo, weź butelkę i nalej sobie. Tylko obiecaj mi, że się nie urzniesz.

— Nie będę obiecywała czegoś, z czego się nie wywiążę. — Westchnęła po raz kolejny. — Chodzi o Daniela, o dzieci, o wszystko, Ruby.

— U Jake'a chyba wszystko w porządku?

— Raczej tak. Studiuje na uniwersytecie w Nowym Jorku, ale o tym już ci mówiłam. Zależało mi, żeby właśnie tam się uczył. Daniel złościł się na mnie. Ale w Nowym Jorku czarni mogą prowadzić w miarę normalne życie — nie to co w Little Rock. Postaram się przekonać Jake'a, żeby został tam po studiach, chociaż ogromnie za nim tęsknię. Tylko dzięki niemu zostałam przy zdrowych zmysłach.

— Jakoś nie dociera do mnie, że Jake i ty jesteście czarni.

— Jesteśmy — odparła Beth stanowczym tonem. — Daniel i jego znajomi wciąż toczą walkę z dyskryminacją. W autobusach zajmują miejsca dla białych i czekają, aż ktoś ich wyrzuci. Wchodzą do hoteli i restauracji, skąd zostają zabierani, często przy użyciu siły. Nikogo nie interesuje fakt, że Daniel jest jednym z najbardziej wziętych prawników. Liczy się tylko to, że jest czarny. Prawie codziennie przychodzi do domu z rozbitą głową, cały umazany krwią.

— To chyba godne podziwu, Beth — odparła Ruby delikatnym tonem. Gdyby mogła, sama chciałaby brać udział w tak bohaterskich czynach.

— Tak. On chce, żebym ja też uczestniczyła w akcjach, jak inne kobiety. Uważa, że sprawiam mu zawód. I chyba ma rację. — Popatrzyła na Ruby błagalnym wzrokiem, a jej piękne, brązowe oczy nabiegły łzami. — A ja nie cierpię przemocy. Nie mogę znieść tego, że człowiek na człowieka patrzy z pogardą, że ich twarze szpetnie krzywią się od nienawiści. Wolałybym zamknąć się w domu, a na zakupy posłać Rebeccę, naszą po-

moc domową. Daniel i jego znajomi gardzą mną. Uważają mnie za tchórza, bo nim jestem. Przyznaję otwarcie.

— A pozostałe dzieci? — Beth miała jeszcze dwie córki i jeszcze jednego syna.

— Czuję się, jakby wcale nie były moje. — W tonie jej głosu przebrzmiewała rozpacz. — Matka Daniela buntuje je przeciwko mnie. Nie lubi mnie od samego początku. Moja skóra ma nieodpowiedni kolor, jestem nieodpowiednią żoną dla jej syna i nieodpowiednią matką dla jej wnuków. Ona wychowuje dzieci w duchu walki, a mnie uważa za słabą i bojaźliwą. Moja metoda na uprzedzenia rasowe nakazywałaby mi przeprowadzić się tam, gdzie panuje większa tolerancja i gdzie nie ma potrzeby walki. Biedny Jake nie wie, co o tym myśleć i po czyjej być stronie.

— Brak mi słów, Beth — powiedziała Ruby. Sytuacja przedstawiała się dużo gorzej, niż się spodziewała.

— Co tu dużo mówić, Ruby — odparła Beth, bezradnie wzruszając ramionami. — Czasem tęsknię do tamtych dni, kiedy byłam sama z Jakiem. — Uśmiechnęła się. — Ale tak naprawdę nigdy nie byliśmy sami, prawda? Zawsze byłeś ty i dziewczynki, a przez jakiś czas był też stary, dobry Arthur...

Beth spała w pokoju dziewcząt. Następnego dnia rano, zaraz po dziewiątej, Ruby weszła do niej, niosąc dwie filiżanki herbaty. Beth już się obudziła. Usiadła i przeciągnęła się.

— Spałam jak zabita. To łóżko jest takie miękkie i przyjemne.

— To łóżko Greta. Heather woli spać na twardym materacu.

— Rzecz jasna! — zaśmiała się Beth. — Lubiła się szarogęsić, jak mała szefowa. Zawsze rządziła Jakiem.

— Gretą też. Ale odkąd poznała Roba, zmieniła się na lepsze.

— Dobry chłop z tego Roba. Podaj no herbatę, Ruby. Strasznie chce mi się pić. Język mam suchy jak pieprz.

— Wypiłeś za dużo wina — powiedziała Ruby, siadając na łóżku. — Ale dzisiaj wyglądasz lepiej.

— To znaczy, że wczoraj wyglądałam fatalnie, tak? — spytała Beth, przewracając oczyma.

— Nie, tylko dzisiaj twoja twarz wydaje się mniej spięta. A tak w ogóle, Beth — dodała Ruby z wdzięcznością — cieszę się, że tu jesteś. Bez dziewcząt byłoby w tym domu jakoś dziwnie. Mam świadomość tego, że nie będą już tu mieszkać. — Odkąd zaczęły się przedślubne przygotowania, nie było czasu, żeby posprzątać pokój córek. Na krzesłach le-

żały porozrzucane koszule nocne, toaletka zastawiona była kosmetykami i obsypana pudrem, flakonik z perfumami *June* stał otwarty, a nakrętka leżała tuż obok. Ruby postawiła swoją filiżankę na podłodze i zamknęła flakonik. Najwyraźniej Heather była zbyt podekscytowana i zapomniała o porządku.

— Gdyby nawet mnie tu nie było, i tak zawsze miałabyś jakieś towarzystwo — powiedziała Beth, spoglądając nieśmiało w jej stronę. — Chrisa Ryana, na przykład.

— On nigdy nie zostaje na noc.

— Zaproponuj, a bez wahania skorzysta z okazji. Chyba że obawiasz się o swoją reputację.

Ruby zaśmiała się.

— Od kiedy to ja dbam o swoją reputację?

— A jeśli dowiedzą się lokatorzy? Jeśli będą zgorzeleni i wyprowadzą się z domu? — Ruby z radością spostrzegła, że w oczach Beth wreszcie zabłyśły dawne figlarne ogniki.

— Mężczyźni na pewno nie mieliby nic przeciwko. Jedynie pani Mulligan byłaby zgorzowana. I bardzo bym się ucieszyła, gdyby zechciała się wyprowadzić. Ale nawet ona dała każdej z dziewcząt prezent: piękne obrusy z białego adamaszku. — Ruby nie cierpiała białych obrusów, bo zawsze ciężko było usunąć z nich plamy. Wolała wzorzyste obrusy w ciemnych kolorach. Na takich rzadko kiedy dało się dostrzec jakiś brud.

— A gdzie Tygrysek? Nie widziałam go jeszcze.

— Siedzi w piwnicy prawie przez cały czas. Pamiętasz tę szafę, w której chował się w trakcie nalotów? Od czasu do czasu wychodzi, żeby coś zjeść, spaceruje leniwie po ogrodzie, a potem wraca do piwnicy.

— Później zejść do niego i przywitam się z nim. Nie lubię kotów, ale Tygrysek jest wyjątkiem. Co będziemy dziś robić?

— Po mszy... Ty chodzisz jeszcze do kościoła?

— Oczywiście!

— Najpierw doprowadzimy się do porządku i pójdziemy na mszę, a potem na spacer do parku. Wrócimy do domu, zjemy coś. Niedziele mam wolne; nie gotuję dla lokatorów, więc dom będzie do naszej dyspozycji. Pójdziemy do Quinlanów na podwieczorek, a później przyjdzie Chris.

— Czuję się jak jakaś przyzwoitka.

— Na przyzwoitkę nie wyglądasz, więc się nie przejmuj.

Minał tydzień. Były w kinie, w teatrze, na kolacji, pochodzili trochę po sklepach, w których widniały już świąteczne dekoracje. Beth kupiła prezenty dla rodziny. Niekiedy towarzyszył im Chris, lecz Ruby w głębi duszy wołała, kiedy go przy nich nie było. Beth wspominała lata wspólnie spędzone w domu przy Parku Książąt — dla niej był to czas niczym niezamąconego szczęścia.

— Ruby, a pamiętasz to? Pamiętasz tamto? — pytała w kółko.

Ruby niechętnie wracała pamięcią w przeszłość. Teraz, kiedy czekała ją tak świetlana przyszłość, wcale nie miała ochoty wspominać tego, co już minęło. Mimo to pozwalała przyjaciółce cieszyć się nastrojem chwili, śmiała się razem z nią, przywoływała w pamięci różne historie i wydarzenia, a kiedy tej zebrało się na płacz, trzymała ją za rękę. Bez Chrisa czuła się swobodniej, przeżywając na nowo dawne czasy, w których jeszcze się nie znali, i oddając się nostalgii.

Któregoś popołudnia poszły odwiedzić dom w Toxteth, gdzie kiedyś mieszkała Beth. Otworzyła im młoda kobieta z małym dzieckiem na ręku. Nie miała pojęcia, kto wcześniej mieszkał w tym domu. Beth spytała sprzedawcę sklepu na rogu, ale nikt nie słyszał o rudowłosej Irlandce, która poślubiła wysokiego Jamajczyka.

— A więc nic z tego — westchnęła Beth. — Miło byłoby ich zobaczyć. Już nigdy nie dowiem się, gdzie ich teraz szukać.

Z piątku na sobotę Beth nocowała w domu po raz ostatni. Tego dnia Ruby podała lokatorom posiłek o wcześniejszej porze. Connie, Charles i Martha Quinlan przyszli na kolację. Chris powiedział, że będzie akurat na służbie. Ruby pomyślała, że może chciał być taktowny. Ale obiecał pożegnać się z Beth następnego dnia rano na stacji Lime Street, skąd przyjaciółka Ruby wyjedzie pociągiem do Londynu.

— Jaka szkoda, że przebyłaś taki szmat drogi, żeby zostać tu tylko na tydzień — powiedziała Martha do Beth. — Jutro wracają dziewczęta. Ledwo co się z nimi widziałaś.

— Bardzo chciałabym zostać dłużej, ale niedługo święta i czeka mnie mnóstwo pracy. — Na twarzy Beth malowała się tęsknota.

— Następnym razem przyjedź na cały miesiąc.

— Byle jak najszybciej, żebyśmy nie czekali na ciebie przez kolejny rok — wtrąciła Connie.

— No właśnie — dodał Charles. — I przyjedź razem z Jakiem. Bardzo chcemy go zobaczyć.

— On też chce was zobaczyć — odpowiedziała Beth ze łzami w oczach. Ostatni tydzień dostarczył jej bardzo wielu wzruszeń.

Rozpłakała się też przy pożegnaniach. Wszyscy już wyszli, a Beth wciąż nie mogła pohamować spazmatycznego płaczu. Mówiła, że nie chce wracać do Little Rock.

— Tam zapomniałam już, co to szczęście. Żałuję, że tu przyjechałam, bo na chwilę znów poczułam się szczęśliwa...

Następnego ranka bardzo starała się powstrzymać łzy. Ruby i Chris odprowadzili ją na pociąg do Londynu. Jechała na lotnisko Heathrow, skąd wylatywała do Stanów.

Ruby uścisnęła ją mocno.

— Przyjeźdź też na *nasze* wesele — poprosiła nagłym tonem. — Nie ustaliliśmy jeszcze daty, ale chcemy się pobrać latem przyszłego roku.

— Postaram się przyjechać.

Sapiąc, pociąg ruszył. Chris i Ruby machali, dopóki nie stracili jej z oczu. Wagony znikły za zakrętem.

— Mam pomysł. Wiesz, dokąd pojedziemy na nasz miodowy miesiąc? — rzucił Chris, obejmując ramieniem posmutniałą Ruby.

— Dokąd? — zapytała, pociągając nosem.

— Jeśli Beth nie będzie mogła przyjechać, pojedziemy do niej. Co powiesz na miesiąc miodowy w Stanach, w Nowym Jorku? Polecielibyśmy do Little Rock na weekend.

— Ach! — Ruby zarzuciła mu ramiona na szyję. — Ty naprawdę jesteś najcudowniejszym mężczyzną pod słońcem. Czym zasłużyłam sobie na kogoś takiego?

Wszyscy byli bardzo zaskoczeni, kiedy okazało się, że obie młode pary spędzą swój miodowy miesiąc osobno. Greta i Larry pojechali do Londynu, a Heather i Rob do Devon. Skoro jednak planowali wpłacić pierwszą ratę na osobne domy, pomysł rozstania się na miodowy miesiąc był jak najbardziej zrozumiały.

— Ile domów chcecie mieć? Jeden czy dwa? — spytała z ciekawością Ruby.

— Mamo, nie wygłupiaj się — odparła jej Greta ze śmiechem. — Oczywiście, że dwa.

— Będziemy mieszkać blisko siebie, żeby móc się codziennie spotykać i razem wychodzić z dziećmi na spacer — oznajmiła Heather.

— Z dziećmi?! — zapiszczała Ruby. — O Boże! Niedługo zostanę babcia.

Ku jej niezadowoleniu, Greta zwróciła się do Matthew Doyle'a w sprawie lokum do wynajęcia. Ruby nie mogła pojąć, dlaczego Doyle

świadczył im tyle pomocy: jako prezent ślubny opłacił dziewczętom doskonałą obsługę weselnej kolacji. Wynajął im osobne mieszkanie z pełnym umeblowaniem. Mieściło się ono w dzielnicy Dingle, na ostatnim piętrze wąskiego czteropiętrowca — nieopodal Foster Court, które już wyburzono.

Greta i Heather z ogromną radością zabrały się do urządzania tego mieszkania. Zachowywały się jak małe dziewczynki, którym kupiono domek dla lalek. Odmalowano tam stare, chwiejące się już meble, wyczyszczono okna „na błysk”, zawieszono obrazy i nowe zasłony. Codziennie po pracy przychodziły podekscytowane do matki, żeby pokazać jej kwieciste ręczniki kuchenne, które kupiły podczas przerwy na lunch, oraz różne przybory i naczynia do kuchni. Wariowały ze szczęścia nawet wtedy, gdy z zakupów wracały jedynie z sześcioma rolkami różowego papieru toaletowego.

Beth wyjechała. Córki lada moment wkroczą w nową przyszłość we własnym domu.

I tak oto kolejny etap w życiu Ruby dobiegł końca. Wkrótce miał zacząć się następny.

## *Rozdział 11*

Greta Donovan nigdy nie mogła narzekać na brak szczęścia, lecz nie sądziła, iż przyjdzie jej doświadczyć go aż w takiej obfitości. Życie ułożyło jej się idealnie. Nie trzeba było nawet mówić tego słowami; od czasu do czasu wymieniały z Heather spojrzenia i uśmiechy, a Greta natychmiast czuła, że siostrze powodzi się równie wspaniale. Twarz Heather promieniała wrodzoną radością, jak gdyby od środka rozpierała ją jakaś potężna energia. Gdy chciała wyrazić, co czuje, zdawało się, iż brakuje słów, którymi mogłaby ująć bezmiar szczęścia, jakiego doświadczała.

Greta była przekonana, że jako świeżo upieczona mężatka dorośnie, spoważnieje i stanie się bardziej odpowiedzialna. Na przerwie obiadowej wychodziła wraz z siostrą na Rynek Świętojański, gdzie kupowały coś na podwieczorek. W pracy zaś rozprawiała zawzięcie o planach na wieczór z innymi zamężnymi koleżankami, z których każda głośno snuła plany na spędzenie reszty dnia. Było to dużo ciekawsze niż rozmowy o ciuchach, choć Greta nie stroniła i od tego tematu.

Co sobotę Larry i Rob jeździli na mecz piłki nożnej. Na mecze wyjazdowe wybierali się volkswagenem lub nawet pociągiem, jeśli czekała ich



daleka droga. Korzystając z okazji, dziewczęta zabierały się wtedy za gruntowne porządki w mieszkaniu; polerowały meble i parkiet, zmieniały pościel, robiły pranie. Mama mówiła im, że to nierozsądne i bezsensowne zapracowywać się w ten sposób. Pościel wystarczyło zmienić raz na dwa tygodnie i od czasu do czasu zetrzeć z mebli nagromadzony na nich widoczny już kurz. Jednak matka nie zdawała sobie sprawy, jak wielką przyjemność sprawiało dziewczętom sprzątanie mieszkania. Greta polubiła zapach płynu do czyszczenia bardziej niż woń markowych perfum *June*.

Najbardziej uwielbiały gotować. W tygodniu nie było czasu na przyrządzanie wyszukanych potraw, lecz mimo to jadłospis był urozmaicony — codziennie jedli co innego. Greta odkryła, że nieźle radzi sobie z przyrządzaniem omletów, które podawała z podsmażanymi ziemniakami i sałatką. Heather robiła wysmienite desery, a jej specjalnością był pleśniak, który zazwyczaj jadali tylko w niedziele. Wtedy też przygotowywały porządny obiad: kurczaka w sosie marengo albo zapiekaną wieprzowinę z jabłkami. Korzystały z przepisów z książki kucharskiej mamy, której ona sama nigdy nie używała. Wołała posługiwać się wiedzą zaczerpniętą w klasztorze. Książkę kucharską dostała od jednego z lokatorów i niewykluczone, że kryła się w tym jakaś aluzja.

Częstymi gośćmi w ich mieszkaniu byli rodzice Larry'ego i Roba, a także mama i Chris. Przy stole nie mieściło się więcej niż sześć osób i już wtedy robiło się dość ciasno. Poza tym mieli tylko pięć krzeseł i jeden taboret.

W mieszkaniu była mała kuchenka. W każdą niedzielę Larry i Rob pomagali tam przy obiedzie, a potem zmywali naczynia. Byli z nich wymarzeni mężowie. Raz w miesiącu wychodzili na obiad do miasta, unikając drogich restauracji, gdyż oszczędzali na dom.

Przy zarobkach czterech osób i dość niskim czynszu, bo Matthew Doyle wynajął im mieszkanie bardzo tanio, sporo pieniędzy mogli odłożyć na konto w banku. Chłopcy już wcześniej mieli swoje oszczędności — nie na żaden określony cel; po prostu odkładali wszelkie nie wydane pieniądze. Dziewczęta uznały to za godne podziwu. Same nie odłożyły absolutnie nic. Nie potrafiłyby zaoszczędzić ani pensa, nawet gdyby ich zarobki były dwukrotnie lub trzykrotnie wyższe. Zawsze trzeba było kupić mnóstwo niezbędnych rzeczy, na przykład nowe ubrania.

W małżeństwie zaczęły jednak myśleć bardziej praktycznie. Po ślubie przestały kupować rzeczy i kosmetyki. Dużo mniej pieniędzy wydawały

też najedzenie, choć Larry'ego dziwił, a jednocześnie bawił fakt, że w domu były trzy różne rodzaje papryki.

Przyszedłszy po pieniądze za czynsz, Matthew Doyle poinformował, że w Childwall buduje się nowe osiedle domków szeregowych, każdy za dwa tysiące funtów. Oznaczało to, że będą musieli wpłacić tylko dwieście.

— Co takiego?! — krzyknęła matka, kiedy jej o tym powiedzieli.

— Tylko dwieście funtów, mamó.

— Nie o to chodzi. On u was też odbiera pieniądze za czynsz osobieście? Co za człowiek! Pracują dla niego setki ludzi, a on sam chodzi po domach i odhacza w notatniku, kto zapłacił czynsz, a kto nie?

Matthew obiecał przysłać im ulotkę z planem osiedla. Domki miały być ustawione w kształcie litery „U”, wewnątrz której kolejne tworzyłyby jeszcze jedno mniejsze „u”.

W następną niedzielę po śniadaniu wsiedli do samochodu i udali się na miejsce budowy osiedla. Było idealne. Nieopodal znajdował się stary plac zabaw oraz pawilon handlowy z najważniejszymi sklepami.

— Te domki będą najlepsze — twierdziła pani White, matka Roba, kiedy wraz z mężem przyszli tego dnia z wizytą. Palcem wskazała na planie większe „U”. — Dookoła jest więcej przestrzeni, a poza tym stoją z dala od głównej ulicy i mają większe ogrody. Największe są te przy wygiętej linii.

— Ty i Larry moglibyście zamieszkać pojednej stronie tej wygiętej linii, a ja z Robem po drugiej — powiedziała podekscytowana Heather. — Machałobyśmy wtedy do siebie rano i przed snem.

— Radzę wam wpłacić pierwszą ratę, zanim ludzie je rozchwyć — wtrąciła się pani White. — Jeśli brakuje wam pieniędzy, możemy wam pożyczyć.

Rodzice Larry'ego i Ruby również zaoferowali im pożyczkę. Wszyscy byli dla nich niezwykle życzliwi. Greta zabrała plan osiedla do pracy, żeby pokazać znajomym, gdzie będzie mieszkać. Tam również spotkała się z ogromną sympatią. Ktoś polecił jej dobrego notariusza, ktoś inny powiedział jej, gdzie najtaniej położyć jej dywany.

Któregoś niedzielnego ranka Greta leżała w łóżku, wpatrując się w kark Larry'ego. Od ślubu minęły prawie trzy miesiące. Niedziela była najlepszym dniem tygodnia. Greta czuła się szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Spędzą ze sobą dużo godzin, zanim Larry pójdzie do pracy, a przecież to dopiero jutro.

Jego kark rozczulał ją najbardziej. Zapra gnęła wyciągnąć rękę, by dotknąć krótko przystrzyżonych włosów porastających tył jego chłopięcej szyi. Chciała pocałować go w wystające spod kołdry prawe ucho, bladoróżowe i delikatne, ale budzik wskazywał dopiero pięć po siódmej i nie chciała go zbudzić. Pracował ciężko i potrzebował snu. O ósmej wyslizgnie się spod kołdry, żeby zaparzyć herbatę, a potem oddadzą się namiętności — w końcu to niezwykle istotna część małżeńskiego życia.

W międzyczasie Greta rozkoszowała się ciepłym łóżkiem i, wpatrując się w kark Larry'ego, rozmyślała o nowym domu. Zastanawiała się nad kolorem ścian. Jej myśli krążyły jednak przede wszystkim wokół maleństwa, które bezpiecznie spoczywało w jej łonie. Wiedział o tym tylko Larry. Rozmowa o miesięczce z mężczyzną napawała ją dziwnym uczuciem i wymagała pewnej śmiałości. Po tym, jak przez trzy miesiące nie pojawił się u niej okres, postanowiła zobaczyć się z lekarzem. W środę wszystko się wyjaśni. Całkiem możliwe, że uda im się urządzić dom, jeszcze zanim dziecko przyjdzie na świat. Wtedy życie Grety ułoży się idealnie jak zawsze.

Zatopiona w przyjemnych myślach ani się spostrzegła, że była już prawie ósma. Wstała z łóżka najciszej, jak mogła, i na palcach zesza do kuchni. Zastała tam Heather, która właśnie nastawiała wodę w czajniku. Stała rozpromieniona, z błyszczącymi oczyma. Greta podejrzewała, iż to dlatego, że przed chwilą kochała się z Robem, ale nic nie powiedziała. Seks małżeński był jedynym tematem, którego dziewczęta między sobą nie poruszały.

— Może pójdziemy na mszę o dziesiątej? — zaproponowała Heather. Zabrzmiało to dziwnie; zawsze chodzili na tę mszę.

— Dobrze.

Oznaczało to, że mogą wrócić do łóżka jeszcze na półtorej godziny. Śniadanie jadły dopiero po mszy. Tego dnia wyjątkowo było to śniadanie z prawdziwego zdarzenia: bekon, jajka, kiełbaski i pieczony chleb.

— Od dnia ślubu nie byliśmy jeszcze u komunii świętej — zauważyła cicho Heather.

— To prawda.

Na myśl o przyjęciu Ciała Chrystusa po tym, jak przez ponad godzinę uprawiało się namiętną miłość, obie były skrępowane. Niewykluczone, że podobnie jak Greta, Heather też miała obawy, iż Bóg tego nie pochwala.

— Pójdziemy, może w przyszłą niedzielę — odparła Greta niepewnym tonem.

Na obiad miała być wołowina w curry, ryż, a na deser galaretka o smaku jeżynowym z bitą śmietaną i bezą. Tego dnia gośćmi byli mama i Chris, który przyniósł butelkę czerwonego wina. Greta nie posiadała się z radości, że mama związała się z wujkiem Roba, dzięki czemu wszyscy byli jedną, wielką, szczęśliwą rodziną.

Jedzenie szybko zniknęło ze stołu. Greta cierpiała potem na lekką niestrawność, której przyczyną najwyraźniej była ciąża, jednak nie narzekała ani słowem. Mężczyźni, a wśród nich także Chris, poszli do kuchni pozmywać naczynia.

— Mam przecucie — odezwała się Ruby do Greta, a w jej tonie zabrzmiała nutka ostrożności — że chcesz nam o czymś powiedzieć.

— Wcale nie.

Greta dostrzegła, że mama przyglądała jej się badawczo przy obiedzie.

— Na pewno?

Greta poczuła, jak policzki zaczynają jej płonąć. Oblała się widocznym rumieńcem.

— Jak się domyśliłaś? — wyjąkała.

— Masz to wypisane na twarzy, skarbie. Robisz minę, jakbyś coś zmalowała. Mam rację?

— Nie mam zielonego pojęcia, o czym wy mówicie — odezwała się rozszalona Heather.

— Jestem w ciąży — powiedziała Greta cicho.

— No właśnie! Wiedziałam — odparła Ruby triumfującym tonem. — Na kiedy termin?

— Prawdopodobnie pod koniec września. Nie byłam jeszcze u lekarza.

— Od kiedy wiesz? — spytała ze złością Heather.

— Od dwóch miesięcy.

— I dlaczego mi nie powiedziałaś? Larry wie?

— Naturalnie.

— To niesprawiedliwe!

— Heather, daj spokój — wtrąciła się poirytowana Ruby. — Larry jest jej mężem.

— A ja jej *siostrą*. Myślałam, że razem urodzimy nasze dzieci, ale ona mnie ubiegła.

— Skarbie, przecież to nie zawody — odpowiedziała Ruby. — Ach! — jęknęła. — Czuję, że popełniłam tu ogromny nietakt.

Po naszym wyjeździe na pewno wszystko sobie wyjaśnią — powiedziała Ruby, gdy wracali samochodem do domu. — Rob i Larry nie wiedzą, że między dziewczętami doszło do małej sprzeczki. Heather uważa chyba, że zamiast żyć w parach, powinni trzymać się razem, we czworo. Chce być dla Greta równie bliską osobą, jak Larry. Greta dziwnym trafem stała się bardziej niezależna. Że też moja niewyparzona gęba musiała wszystko zepsuć!

— Tak się składa, że kocham właśnie tę twoją niewyparzoną gębę — odparł Chris. — Prędzej czy później Heather dowiedziałyby się o tym i boczyłyby się tak czy inaczej.

— Nie wątpię — westchnęła Ruby. — Wiesz, za każdym razem, kiedy od nich wychodzimy, czuję dziwny niepokój.

Chris spojrział na nią z niedowierzaniem.

— Dlaczego? Przecież w rzadko której rodzinie panuje taka miła atmosfera. Oni przepadają za sobą. Los połączył dwie cudowne kobiety z dwoma wspaniałymi młodzieńcami. Szczerze mówiąc, kochanie, rodzice powinni martwić się o dzieci tylko wtedy, gdy wiedzie im się źle, a nie odwrotnie.

— To takie nierealne — odpowiedziała jakby zamyślona. — Są *zbyt* szczęśliwi. Ich życie jest jak bajka albo jak ten film *Zaczarowana chatka*. Nie mogę oprzeć się przeczuciu, że coś zburzy to szczęście, by nie mogło trwać długo.

— To jasne, że żadne szczęście nie trwa wiecznie. Przyjdzie czas, że emocje opadną, a życie małżeńskie spowszednieje. Obecność drugiej osoby zacznie ich drażnić. Będą się kłócić. Nie raz jeszcze córki przybiegną z płaczem do mamy. Jednak nie umniejszaj to ich uczuć do siebie nawzajem.

— I kto by pomyślał, że przez całe życie byłeś kawalerem? Mówisz, jakbyś miał już za sobą kilka małżeństw. Czy nas też czeka taka przyszłość?

— O, nie — uśmiechnął się szeroko. — Nasze małżeństwo będzie wyjątkiem od tej reguły.

Nastał kwiecień — najwyższy czas, by Ruby poinformowała już Matthew Doyle'a i lokatorów, że pod koniec lipca zamierza opuścić dom przy Parku Książąt. Datę ślubu ustalili z Chrisem na trzeciego sierpnia — dzień jego czterdziestych urodzin.

— Dostanę najwspanialszy prezent, o jakim może marzyć mężczyzna — oświadczył radośnie. — Ciebie!

Ruby zdawała sobie sprawę z tego, że postępuje niewłaściwie. Lokatorzy potrzebowali czasu, by znaleźć sobie inne mieszkanie. Trzeba też było w porę uprzedzić Matthew Doyle'a, który mimo wszelkich wad okazał się dobrym właścicielem.

Mimo wszystko nie potrafiła zdobyć się na to, żeby odpowiednio wcześniej poinformować wszystkich o swoich planach. Sprawę tę poruszył przy najbliższej wizycie sam Matthew. O ślubie Ruby dowiedział się od Grety.

— Czy twój mąż zezwoli, żebyś swój czas dzieliła między niego a lokatorów? — zapytał, rozsiadłszy się na kuchennym krześle. Długie nogi wyciągnął przed siebie. Nosił ręcznie szyte obuwie z wypolerowanej skóry oraz drogi garnitur, białą koszulę i jedwabny krawat. Jak zwykle, był bardzo elegancki.

— Tak się składa, że mój mąż będzie miał mnie tylko dla siebie. Chcemy kupić dom.

— Gdzie?

Ruby wzruszyła ramionami.

— Tego jeszcze nie wiemy. Obejrzelśmy dopiero kilka z nich.

— I kiedy zamierzałaś poinformować mnie, że się wyprowadzasz?

— Właśnie miałam to zrobić — odparła, speszona. — Wiem, trochę z tym zwlekałam.

Popatrzył na nią bokiem.

— Dlaczego?

— Nie wiem. — Wiedziała. Towarzyszyło jej przecucie, że spali za sobą mosty. Z drugiej strony uznała jednak, że to niedorzeczne. Przecież nie robi nic złego. — Przepraszam — dodała. — Wyprowadzam się pod koniec lipca. Dziś wieczorem poinformuję wszystkich lokatorów na piętrze.

— W takim razie złożę wniosek o pozwolenie na nową budowę. Ten dom zostanie zburzony.

W Londynie drużyna Everton rozgrywała mecz przeciwko Arsenalowi. Było to ostatnie spotkanie wyjazdowe; sezon piłkarski dobiegał już końca. Wróciwszy z pracy do domu w sobotę wczesnym popołudniem, Greta i Heather nie zastały przed blokiem volkswagena.

— Myślałam, że pojedą pociągiem — powiedziała Heather.

— Rozpogodziło się i najwyraźniej zmienili plany.

Przez całą noc lało jak z cebra, ale kiedy rano wychodziły do pracy, zaświeciło słońce.

— Przekąśmy coś, zanim zabierzemy się za sprzątanie. Co powiesz na fasolę na grzance? Umieram z głodu.

— To dlatego, że musisz teraz jeść za dwóch — odcięła Heather. Wciąż miała siostrze za złe, że dowiedziawszy się o ciąży, nie wspomniała jej o tym ani słowem. Z tego powodu, w poczuciu krzywdy, nie poinformowała Greta o tym, że sama też być może spodziewa się dziecka. Miesiączka spóźniała się, co prawda, tylko o tydzień, ale u Heather zawsze występowała regularnie jak w zegarku.

— Niedługo będą mi potrzebne ubrania ciążowe. — Greta zadrzała z podniecenia, kiedy szły na górę. — Może w przyszłym tygodniu, w przerwie obiadowej, wybierzemy się na takie zakupy?

— Jak chcesz. — Ton głosu Heather nadal brzmiał oschle, ale myśl o zakupach w dużych sklepach, w dziale dla ciężarnych, wzbudziła w niej entuzjazm. — Z przyjemnością! — dodała przyjaźnie.

Wymieniły uśmiechy.

Weszły do mieszkania. Heather od razu nastawiła wodę w czajniku, a Greta włączyła radio. Pokręciła gałką, szukając stacji, która puszczała ładną muzykę. Zatrzymała się, usłyszawszy kobiecy głos wykonujący utwór „Samotnych spacerów nigdy więcej” z filmu *Karuzela* — najlepsze, jaki obejrzała.

— Posłuchaj! — zawołała.

— Słyszę. — Obie wtórowały głosowi z radia, przygotowując jednocześnie fasolę na grzance.

Prasując ubrania lokatorom, Ruby nuciła tę samą melodię. Nie prasowała nawet swoich własnych rzeczy, toteż dla innych robiła to z podwójną niechęcią, ale piękny tekst tej piosenki wprowadził ją w świetny humor. Rozweseliła się. „Jeszcze tylko kilka miesięcy — pomyślała — a potem już nigdy więcej nikt nie zobaczy mnie z żelazkiem w ręku”.

W domu przy Orrell Park Moira Donovan przeglądała właśnie wzory robótek ręcznych, które dostała od znajomej. Chciała zrobić na drutach żakiet. W tle grało radio, a słońce radośnie zaglądało w okna.

— Ten jest ładny — powiedziała, wyjmując jeden z wzorów. — Chyba dałabym radę zrobić tym ścięciem żakiet. Jest dość prosty.

— Zrobię ci koronkowe wykończenia — zaproponowała Ellie. Była mistrzynią w robótkach ręcznych.

— Dziękuję. Ciekawa jestem, czy Greta będzie miała syna czy córkę — zastanawiała się Moira.

— A co na to twój Larry?

Moira roześmiała się.

— Jemu jest wszystko jedno, co się urodzi, byleby zdrowe. Ja też tak uważam.

— Mam nadzieję, że nasz Rob postara się, żeby Heather nie została w tyle. Do tej pory zawsze wszystko robiłyśmy wspólnie. Chciałabym, żebyśmy zostali babciami w tym samym czasie.

— Jakież to szczęście mieć tak wspaniałych synów, którzy trafili na tak cudowne żony, prawda, Ellie? — stwierdziła Moira poważnym tonem.

— Wiem, wiem. To prawdziwe szczęście. O, to przecież ta piosenka! Z jakiego to filmu?

— *Karuzela*. Nasi chłopcy byli na tym filmie w kinie razem z dziewczętami krótko po tym, jak się poznali. Od tamtego dnia Larry ciągle śpiewa tę piosenkę przy kąpieli, jeśli w ogóle można to nazwać śpiewaniem. Brzmi raczej jak beczenie owcy.

— *Samotnych spacerów nigdy więcej* — zaśpiewała Ellie.

Do jej śpiewu dołączył się głos Moiry.

Zaraz po szóstej zadzwonił telefon. Ruby miała na głowie kilka spraw. Myślała o tym, co założy na dzisiejszy wieczór, który mieli z Chrisem spędzić w mieście. Zadawała sobie pytanie, jak zaadaptuje się w północnej części Liverpoolu, skoro przez całe życie mieszkała w części południowej. Zastanawiała się też, czy wystarczy jedzenia na kolację, bo właśnie przyszedł pan Oliver, który wcześniej uprzedzał, że go nie będzie.

Przesłała do przedpokoju. Telefon stał na stoliku obok drewnianej skrzynki, do której wszyscy, oprócz pań O'Hagan, wrzucali monety, mając obowiązek płacić za rozmowy. Zazwyczaj więc płacili. Ruby podniosła słuchawkę.

— Ruby, mówi Albert White. — Albert White był ojcem Roba.

— Ach, witaj, Albercie. Jak się masz?

— Mam bardzo złą wiadomość, moja droga. Usiądź, proszę.

Nie było na czym usiąść. Gdyby stało tam krzesło, zachęcałoby to tylko do dłuższych rozmów.

— Co się stało, Albercie? — Pewnie nie uda się kupić domu. Szkoda. Ruby w najmniejszym stopniu nie spodziewała się, że za chwilę usłyszy naprawdę wstrząsającą wiadomość.

— Chodzi o chłopców, Ruby. Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Mieli wypadek...



Me c z się skończył, a w Londynie ciągle padało. Kiedy chłopcy jechali do domu, jakaś ciężarówka wpadła w poślizg i z całej siły uderzyła w ich volkswagena. Larry i Rob zginęli na miejscu. Policja zatelefonowała na posterunek w Liverpoolu, skąd poinformowano państwa White. Na prawie jazdy Roba, który siedział za kierownicą, wciąż widniał adres jego rodziców.

— Czy moje córki już wiedzą? — krzyknęła Ruby. Nie miały telefonu w swoim mieszkaniu.

— Jeszcze nie. Moira i Ellie właśnie pojechały taksówką, żeby im powiedzieć. — Nagle jego szorstki głos załamał się: — Ruby, moja droga, nie wiem, jak my przez to przejdziemy.

— Muszę natychmiast zobaczyć córki.

— Chris już po ciebie jedzie. Nie wychodź sama, Ruby. Zaczekaj na Chrisa.

Rzuciła słuchawkę z hukiem. Nie będzie czekać ani na Chrisa, ani na nikogo innego. Dobiegnie do bloku córek w dziesięć minut, może nawet szybciej.

— Pani O'Hagan! — Na schodach stanęła Iris Mulligan. — Czy drzwi od kuchni muszą być otwarte, kiedy radio gra tak głośno? Chciałam uciąć sobie drzemkę.

— Ach, niechże się pani zamknie — odpowiedziała jej Ruby bez krzty subtelnosci.

— Co takiego?

— Niech się pani zamknie. Mam dość tych narzekań. — Chwyliła płaszcz z wieszaka w przedpokoju, nie zauważywszy, że to stary płaszcz Heather.

— Pani O'Hagan, czy coś się stało?

Ruby nie odpowiedziała. Otworzyła drzwi i wybiegła.

Zgubiła się, choć znała te ulice jak własną kieszeń. Dobiegłszy do bloku córek, poczuła klucie w boku i z trudem łąpała oddech. Moira Donovan i Ellie White akurat wysiadały z taksówki. Obie zanosiły się od płaczu. Chwiejnym krokiem ruszyły w kierunku drzwi, podtrzymując siebie nawzajem. Straciły synów. Rob był jedynakiem. Ale w tej chwili Ruby myślała tylko o swoich córkach.

Drzwi otworzyła Heather. Przyprószone mąką ręce wytarła w fartuch. W powietrzu unosił się słodki zapach pieczonego ciasta.

— **Dzień** dobry! — powiedziała z uśmiechem, który natychmiast zniknął na widok zapłakanych twarzy wszystkich trzech matek. — Co się stało?

— Greta! Chodź tu. — Ruby wyciągnęła rękę i przyciągnęła do siebie drugą z córek. Stały tak przez chwilę, mocno się obejmując. Wtedy Greta nie wytrzymała.

— Ach, mammo! — zawołała, wybuchając histerycznym płaczem. — Chodzi o Larry'ego, prawda? I o Roba? Oni już nie wrócą? Ach, mammo!

Dziewczęta były załamane i zrozpaczone. Płakały, wtulone w ramiona matki i w siebie nawzajem. Przyjechali też ojcowie Roba i Larry'ego, lecz w tym momencie dla Ruby i jej córek nie liczył się nikt poza nimi samymi.

Każdy mężczyzna próbował objąć Ruby i pocieszyć ją, ale odepchnęła go.

Ktoś zaparzył herbatę. Padły wyrazy współczucia. Przyszedł też lekarz i przyniósł im tabletki nasenne, bo tylko tyle mógł dla nich zrobić.

A potem wszyscy wyszli, zostawiając Ruby i jej córki same. Nie było sensu siedzieć tam razem. Każde z nich przeżywało swój własny dramat.

**Tydzień później**, we **wczesny majowy** poranek, odbył się pogrzeb **dwóch młodych mężczyzn**. W ich **krótkim życiu** połączyła ich **prawdziwa przyjaźń**. Pochowano ich razem. **Dzień** był piękny: ciepły i słoneczny. Nad cmentarzem unosiła się delikatna, biała mgiełka, **która** rozproszyła się po zakończeniu **smutnych** uroczystości. Greta i Heather słaniały się na nogach. Zrezygnowano ze stypy, by nie **przedłużyć** dramatycznych chwil.

— Czy mam jechać z tobą, Ruby? — spytał Chris.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała mu uprzejmie. — Nie jestem w nastroju.

Popatrzył na nią smutnym wzrokiem.

— Rozumiem.

**Mijały** dni, tygodnie, miesiące. Ruby spędzała większość czasu w mieszkaniu córek. Opiekowała się nimi i pilnowała, żeby prawidłowo się odżywiały. Obie spodziewały się dziecka. Musiały jeść. Ruby nie myślała, co w tym czasie dzieje się z lokatorami. Wcale ją to nie interesowało.

— Wiesz, czego teraz pragnę najbardziej? — spytała któregoś dnia Heather.

— Powiedz, kochanie.

— Chciałabym wrócić do domu i zamieszkać w naszym pokoju. — Heather rozejrzała się po szarym, zacienionym salonie. Nigdy przedtem nie wydawał jej się tak ponury. — Nie chcę tu zostać. Wszystko przypomina mi Roba. Nie chodzi mi o to, żeby o nim zapomnieć — mówiła — ale to miejsce było szczególne dla nas obojga. Kiedyś było nasze. A teraz, kiedy jego już nie ma, po co miałabym tu mieszkać?

— Co ty o tym myślisz, Greto?

— Ja też mam takie odczucia.

— W takim razie pakujemy się i ruszajmy w drogę.

Ruby znalazła się w kropce. Za sześć tygodni ślub z Chrisem, a poza tym mieli kupić dom. Teraz jednak nie może przecież opuścić córek. To nie jest odpowiedni moment, by planować wesele. Mogą pobrać się później — w Nowy Rok, w lutym albo w marcu. Do tego czasu obie dziewczęta będą już po rozwiązaniu, a czas choć trochę ukoi ból.

Wtedy przypomniała sobie, że przecież poinformowała Matthew Doyle'a o tym, iż wyprowadza się pod koniec lipca. Lokatorzy stanęli przed koniecznością wynajęcia pokoi gdzie indziej.

Trzeba było jakoś rozwikłać wszystkie te zagmatwane sprawy. Najpierw musi skontaktować się z Chrisem. Pomyślawszy o tym, była zdziwiona, że on sam nie odzywał się przez dość długi czas.

Zatelefonowała na posterunek, gdzie powiedziano jej, że ma wolne, więc zadzwoniła do domu. Miał bardzo uprzejmy ton, lecz tym razem brakowało w nim dawnego ciepła. Ruby zdawała sobie sprawę z tego, że ostatnio go zaniedbywała, miała jednak nadzieję, że nie czuł się urażony jej zachowaniem, biorąc pod uwagę tragiczne okoliczności. Umówili się, że odwiedzi ją tego wieczoru.

Dawno nie przyglądała się sobie w lustrze. Spojrzawszy na swoje odbicie, przeraziła się. Przybyło jej lat. Niegdyś lśniące włosy wyglądały teraz jak zwój wełny, skóra miała ziemisty kolor, a oczy straciły dawny blask. Koniecznie musi doprowadzić się do porządku. Ton głosu Chrisa wydał jej się dziwnie niepokojący. Umywszy włosy, wtarła w nie odżywkę, twarz przemyła zimną wodą, do oczu wpuściła krople. Postanowiła założyć tę samą czerwoną suknię, którą miała na sobie w dniu, kiedy się poznali. Wreszcie bardzo starannie nałożyła makijaż. Wyglądała teraz dużo lepiej, ale jej cera wciąż była zbyt blada. Poszła do pokoju dziewcząt, żeby pozbierać trochę różu do policzków.

Greta i Heather rozmawiały po cichu, na wpół siedząc w łóżkach. Ich nieustanny, rozpaczliwy płacz dawało się słyszeć coraz rzadziej, ale obie

wciąż wyglądały mizernie, jakby uszło z nich życie. Już nigdy nie będą takie jak przedtem. Mimo to, patrząc na nie, Ruby nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wszystko wróciło do starych, dobrych czasów: znów były w swoim pokoju i siedziały w łózkach - zupełnie tak jak dawniej. Przez chwilę Ruby zdawało się, że Larry i Rob byli jedynie wytworem ich wyobraźni, że tak naprawdę nigdy nie istnieli. Dziewczęta mieszkają w domu razem z nią. Któżby pomyślał, że jeszcze niedawno było inaczej?

Objęła Chrisa za szyję i pocałowała go. Niemal zapomniała, jak wygląda. Pogłaskała go po lekko zmierzwionych włosach, poprawiła krawat.

— Tak bardzo za tobą tęskniłam — wyznała jednym tchem.

— Nie sędzę, Ruby. Mam wrażenie, że dopiero teraz przypomniałaś sobie o moim istnieniu.

— Nie wygłupiaj się. — Potrząsnęła go za ramię. — Wejdz.

Poszli do pokoju gościnnego. Zdziwiło ją to, że Chris usiadł w fotelu, a nie na kanapie, na której zawsze siedzieli razem, objęci.

— Czego się napijesz? Kawy czy herbaty? — spytała, trochę przestraszona. Zachowywał się jakoś inaczej.

— Nie, dziękuję.

— Chris, co się dzieje? — Poczowała, jak strach ściska ją w żołądku. Coś tu było nie tak.

— Jak dziewczęta?

— Są zrozpaczone. Nic już chyba nie uleczy ich krwawiących serc. Pokiwał głową.

— Nie pogodzą się z tym do końca życia.

— Ja też nie — odparła żarliwie Ruby.

— Inni też nie. — Popatrzył jej prosto w oczy. — Ale o tym nie pomyślałaś, prawda? Moja siostra straciła jedynego syna. Myślała, że razem z Heather będą się nawzajem wspierały i jedna drugiej pomoże jakoś przez to przejść. W ten sposób byłoby im o wiele łatwiej. A tymczasem Ellie zupełnie przypadkowo dowiedziała się, że Heather jest w ciąży i że ona i Albert będą mieli jedynego wnuka.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi! — Ruby była najwyraźniej zaskoczona jego wypowiedzią.

— Odrzuciłaś wszystkich, Ruby — odparł uprzejmym, subtelnym tonem. — I nawet nie przyszło ci do głowy, że inni cierpią tak samo, jak twoje córki. Mnie też odrzuciłaś. Próbowałem dodawać ci otuchy, ale ty tego nie potrzebowałaś. Nie potrzebowałaś mojej obecności. Odrzuciłaś mnie.

— Nie zrobiłam tego celowo — krzyknęła.

— Wiem, kochanie. Nie mogłaś nic na to poradzić. Tylko w takim razie po co wychodzić za kogoś, do kogo nawet nie można się zwrócić o pomoc, kiedy w życiu dzieje się coś strasznego? Wyobrażam sobie, jak niewiele dla ciebie znaczę.

— Przecież jesteś dla mnie wszystkim. *Wszystkim* — zaakcentowała.

— Ale przez ostatnie tygodnie byłem nikim — powiedział ze smutkiem. — Nie sędzę, że można kochać kogoś do przesady, ale ty kochasz swoje córki ponad wszystko. Gdybyśmy byli małżeństwem, byłbym zawsze na drugim miejscu i obawiam się, że miałbym o to żal. Ja uważam, że to mąż powinien być dla ciebie najważniejszą osobą na świecie.

— Przecież byłbyś najważniejszy. *Jesteś* najważniejszy. — Miała ochotę podbiec do niego, usiąść mu na kolana, prosić, by zmienił zdanie, ale czuła, że tym razem on ją odrzuci.

— Nie, Ruby. Nie jestem, chociaż bardzo chciałbym być dla ciebie najważniejszy.

— Czy to znaczy, że ślubu nie będzie? — Głosej się załamała.

— Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł.

Wstała. Zaczęła chodzić po pokoju niespokojnym krokiem. Wreszcie zwróciła się do niego.

— Jak mogłeś mi to zrobić, i to właśnie teraz? — spytała ze złością.

— Uważasz, że sprawia mi to przyjemność?! — Uderzył pięścią w oparcie fotela. Po raz pierwszy zobaczyła, jak powoduje nim wściekłość. — To ostatnia rzecz, na jaką mnie stać. Och, nie myśl sobie, że naszą miłość da się zważyć na wadze i że pod względem ciężkości twoja szala musi równać się mojej. Kochanie, ja tylko tak bardzo chcę czuć się *potrzebny*. A ty przez ostatnie tygodnie pokazałaś mi, jak bardzo jestem *niepotrzebny*.

— Ach, Chris! — Uderzyła w płacz, a on wziął ją w ramiona.

— Kochanie, proszę cię, nie. — Sam też był bliski łez. — Zapomnisz o mnie szybciej, niż ci się zdaje. A ja zawsze będę cię kochał.

— To znaczy, że nie ma już dla nas żadnej nadziei? — spytała, szlochając.

— Przykro mi, Ruby. — Przeszedł w kierunku drzwi. — Czy mogę jeszcze zobaczyć twoje córki?

— Oczywiście.

Pocałował ją w czoło, wypuścił z objęć i wyszedł z pokoju. Słyszała, jak zapukał do drzwi sypialni. Usiadła, chowając głowę w ramiona. Za późno. Odrzucała go nie raz, traktowała go lekceważąco. Kiedyś przy-

szedł do mieszkania dziewcząt, ale ona nawet go nie wpuściła. Myślała, że on to zrozumie. Ale czy ona zrozumiałaby na jego miejscu? Straciła go tylko i wyłącznie z własnej winy.

Nie miała pojęcia, ile czasu spędził w sypialni.

— Są w trochę lepszej formie, niż myślałem — powiedział, wychodząc. — Wygląda na to, że im młodsze serce, tym twardsze. Czy mogę ci coś doradzić?

— Oczywiście.

— Zatelefonuj do Ellie i Moiry. Zaproś wszystkich. Mam nadzieję, że nie zabrzmi to zbyt brutalnie, ale bardzo ich zraniłaś. Wzięłaś dziewczęta z powrotem do siebie, nikomu nic nie mówiąc, jak gdyby rodziny White i Donovan w ogóle nie istniały. Jeśli zależy ci na ich przyjaźni, napraw wyrządzoną krzywdę, zanim będzie za późno. Nie zapominaj, że Greta i Heather należą także do ich rodzin.

Miesiąc później Greta dowiedziała się, że urodzi bliźnięta.

— Larry był bliźniakiem — powiedziała smutno po powrocie od lekarza. — Jego braciszek zmarł jeszcze w łonie matki.

— Pierwsze słyszę! — wykrzyknęła Ruby.

— Ja też — powiedziała Heather z obrażoną miną. — Dlaczego nam nie powiedziałaś?

— Larry nie chciał, żeby ktokolwiek inny o tym wiedział. To była nasza tajemnica. — Westchnęła i poklepała się po brzuchu. — Dziś bardzo by się ucieszył.

Żaden z lokatorów nie chciał się wyprowadzić.

„Najwyraźniej nie wszystko, co robię, daje im powody do narzekania” — pomyślała chłodno Ruby.

Ani pan Hamilton, ani pan Oliver nie zdołali znaleźć sobie innego pokoju do wynajęcia. Pan Keppel miał już coś na oku, lecz dowiedziawszy się, że może zostać w domu, zrezygnował. Pani Mulligan twierdziła, że szukała sobie czegoś gdzie indziej, ale żadne z miejsc jej nie odpowiadało.

Jeszcze do niedawna Ruby pragnęła pozbyć się Iris Mulligan, jednak w ciągu ostatnich miesięcy okazała się ona bardzo wartościową osobą. Kiedy Ruby przestała interesować się lokatorami, zaniedbując pranie i gotowanie, Iris zastępowała ją. Całymi tygodniami gotowała posiłki, robiła pranie, sprzątała, odbierała telefony i opłaty za czynsz oraz sporządzała listę zakupów.

— Pilnowałam też, żeby mężczyźni nie próżnowali — powiedziała do Ruby. — Pan Oliver zajmował się prasowaniem, pan Keppel obierał ziemniaki i nakrywał do stołu, a Derek, to znaczy pan Hamilton, i ja — oblała się rumieńcem — chodziliśmy na zakupy.

Derek Hamilton, zgorzkniały stary kawaler po pięćdziesiątce, niegdyś największy wróg Iris, której przeszkadzał jego głośno nastawiony telewizor, stał się nagle jej najlepszym przyjacielem. Teraz Iris przesiadywała w jego pokoju i razem oglądali telewizję. Jakoś nie miała już pretensji o to, że odbiornik wciąż grał za głośno. Była to jedyna dobra rzecz, jaka zdarzyła się w następstwie tragedii, która dotknęła rodzinę O'Hagan.

Ruby powiedziała wszystkim, by na razie nie robili sobie wielkich nadziei na dłuższy pobyt. Napisała list do właściciela domu, w którym, opisawszy zaistniałe okoliczności, wyjaśniła powód zmiany decyzji. Wciąż czekała na odpowiedź. Niewykluczone, że Matthew Doyle nie będzie mógł przyjąć jej z powrotem.

Złożyłem już wniosek o pozwolenie na zagospodarowanie terenu — oznajmił Matthew Doyle podczas kolejnej wizyty. Był gorący, upalny lipcowy dzień. Miał na sobie bawełniane spodnie i koszulę z krótkimi rękawami z Aerteksu, rozpiętą pod wychudłą szyją. Jego szczupłe ramiona były mocno opalone. — Architekt zaczął już opracowywać plany budowy.

— Budowy czego? — spytała szorstko Ruby.

— Czterech domów szeregowych, z których każdy będzie miał garaż w tylnej części. Taki dom kosztuje w tej dzielnicy tysiąc osiemset funtów.

Ruby przygryzła wargę. Starła się zachować uprzejmy ton, choć sprawiało jej to ogromną trudność.

— A nie można by tego przełożyć na parę lat później? — spytała słodkim tonem, po czym dodała nietaktownie: — Przecież masz pieniędzy w bród. Kilka tysięcy nie zrobi różnicy na twoim koncie.

Jego głośny śmiech zirytował ją jeszcze bardziej.

— Na twoim miejscu każdy inny człowiek płaszczyłby się tu przede mną. Ale nie ty, Ruby. Potrafisz być niemiła nawet wtedy, kiedy potrzebujesz pomocy.

— Nie chciałam być niemiła. Ja tylko stwierdzam fakt.

Unióś brew, co nadało jego twarzy ironiczny wyraz.

— Uważasz, że zachowujesz się taktownie?

— A co ja mam zrobić? — spytała rozpaczliwie. — Rzucić się na kolana i błagać?

— Inni by pewnie tak zrobili.

— Ale ja to nie „inni”. Ja to *ja!* — przełknęła ślinę. Najwyraźniej gdzieś popełniła błąd. — Przecież napisałam ci w liście, co się stało.

— Wiedziałem o wszystkim. Przekazałem też wieniec na pogrzeb. Podobno za kilka miesięcy wychodzisz za mąż, a w liście nie było ani słowa o ślubie.

Nie napisała o odwołaniu ślubu. Uznała, że to nie jego sprawa.

— Ślub został przesunięty — odparła zwięźle.

— Rozumiem. — Pokiwała głową, a ona poczuła się rozdrażniona, widząc, że nic nie rozumie. — A cóż słyszać u Greta i Heather? Czy mogę się z nimi zobaczyć?

— Wyszły na spacer. Heather jakoś sobie radzi. Gorzej z Gretą... — przerwała. — Bardzo się zmieniła. Będzie miała bliźnięta. Ale... — przerwała ponownie.

— Ale co? — dopytywał się Matthew.

— W nocy rozmawia z Larrym, jakby wciąż przy niej był. Codziennie patrzy na zegarek w porze, kiedy wracał do domu. Robi jeszcze inne dziwne rzeczy.

Greta nieustannie pytała, gdzie są koszule Larry'ego. Chciała je wyprasować. Robiła mu kanapki do pracy.

— Kiedy zmarła moja babcia, też nie chciałem w to uwierzyć. Zamykałem oczy i wyobrażałem sobie, że żyje. — Uśmiechnął się. Spojrzenie jego ciemnych oczu złagodniało pod wpływem wspomnień. — Niekiedy nawet mi się to udawało. Wtedy rozmawialiśmy.

Przez chwilę Ruby nie wiedziała, co powiedzieć. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że ten twardy, wyrachowany człowiek był zdolny do takich przeżyć.

— Ile miałeś wtedy lat?

— Trzynaście. Zostałem zupełnie sam. Mama odeszła zaraz po moich narodzinach. Zostawiła mnie babci na wychowanie. Nikt nigdy nie dowiedział się, kto był moim ojcem.

— I jak sobie poradziłeś? — zapytała z czystej ciekawości.

Oparł o stół swe kościste łokcie.

— Przyszła wojna. Ciebie nie było już wtedy w Foster Court. Próbowaliśmy poszukać pracy, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł mnie zatrudnić. Babcia uczyła mnie trochę, ale nie umiałem pisać ani czytać i byłem chudy jak szczapa. Ludzie powiadali, że wyglądałem jak śmierć na chorągwi. Wtedy zlitowała się nade mną Charlie Murphy.

— Ten gospodarz domu?



— Zgadza się. My też u niego wynajmowaliśmy. Potrafił załatwić ludziom dużo rzeczy. Z początku starał się o żywność; cukier, herbatę, owoce, co tylko dało się wynieść z doków. Ja zajmowałem się dostawą. Zbierałem zamówienia i pieniądze. Charlie płacił mi część tego, co zarobił. Trochę jak w lombardzie — dodał z szerokim uśmiechem.

— Lombardy prowadzą uczciwe i otwarte interesy — odpowiedział mu Ruby ostrym tonem. — A ty popełniałeś przestępstwo.

— Wiedziałem, że to cię rozjuszy. — Zdobył się na to, by wyciągnąć rękę i poklepać ją po dłoni.

Na jego dotyk Ruby znów doznała tego samego dziwnego uczucia w żołądku, które już wcześniej powodowała u niej jego obecność. Szybkim ruchem cofnęła rękę.

— To Charlie nie zginął w czasie nalotów? — spytała.

— Zginął. Ale ja już wtedy znałem wszystkich tych, z którymi on utrzymywał kontakty. Przejąłem jego interesy. Ludzie mawiali, że to czarny rynek. Musiałem jednak wybierać między tym a śmiercią głodową. — Wzruszył ramionami. — Zawsze miałem oko na najbardziej chodliwy towar, ale wiedziałem, że po wojnie te interesy upadną, więc zacząłem kupować ziemię. Wkrótce potem poznałem ciebie.

— I nadal masz oko na najbardziej chodliwy towar?

— Właśnie wróciłem z Australii. Interesują mnie baseny. Twój list przeczytałem dopiero wczoraj.

A więc przyszedł natychmiast! Ruby pomyślała, że może źle go osądziła. Wtedy otworzyły się drzwi i weszły dziewczęta. Ku jej zdumieniu, obie niezwykle ucieszyły się na jego widok, a w szczególności Greta, która nagle wybuchła płaczem.

— Och, jak to dobrze, że pan przyszedł — mówiła przez łzy.

Matthew objął ją i ucałował. Nieskazitelną czystą i uprasowaną białą chustką otarł jej łzy.

— Ja też się cieszę, że was widzę.

Wkrótce potem wyszedł. Nie powiedział, czy Ruby może zostać w domu, więc uznała, że jego milczenie oznaczało zgodę.

— Dziwny z niego człowiek — pomyślała głośno przy córkach. — Czy ktoś na jego stanowisku osobiście chodziłby odbierać pieniądze za czynsz?

— Ja nie widzę w nim nic dziwnego — odpowiedziała Heather, najwyraźniej broniąc Doyle'a. — Przychodzi tylko do nas, a to dlatego, że nas lubi i chce się z nami przyjaźnić.

— Jest świetny — włączyła się Greta. — Larry i Rob uważali, że to super gość. Załatwiał im bilety na... Och! — Zatkąła dłońią usta i wybiegła z pokoju.

— Na co? — spytała zdziwiona Ruby.

— Na mecze piłki nożnej — odparła krótko Heather. — On załatwiał im bilety na mecze piłki nożnej. Mieli najlepsze miejsca. Pójdę i zobaczę, co się z nią dzieje.

Tego wieczoru dziewczęta udały się do salonu, by pooglądać telewizję, bo właśnie zakupiono odbiornik. Ruby usiadła przy stole w kuchni i napisała krótki list do matki. Poinformowała ją o tragedii, jaka im się ostatnio przydarzyła, wzmiankując też, że nie zamierza jednak wyjść za mąż. Ruby nie widziała się z matką od dnia ślubu córek. Kończąc, dodała: „Dam znać, kiedy Greta urodzi. Może zechcesz przyjechać na chrzciny”.

Zaadresowała kopertę, nakleiła znaczek, po czym znów otworzyła zeszyt, by napisać jeszcze do Beth. Powinna była zadzwonić do niej kilka tygodni temu, jednak łatwiej jej było przelać na papier zdarzenia owego tragicznego dnia. Przez telefon nie wytrzymałaby i płakała do słuchawki, czując się z tego powodu głupio.

— No, zrzuciłam to z siebie — westchnęła, skończywszy pisać długi list do Beth. Wyśle go jutro.

Podparłszy brodę rękoma, Ruby wpatrywała się przed siebie szklistym wzrokiem. Jeszcze niedawno siedziała tak i myślała o tym, jak wkrótce wszystko się zmieni. Było to zaraz po ślubie córek, kiedy sama planowała wyjść za mąż.

Teraz jednak wszystko wskazywało na to, że było jej pisane zostać w domu pani Hart. A więc tak naprawdę niewiele się zmieniło.

## *Rozdział 12*

*1963-1970*

Przy bramie szkolnej stała niska, tęga kobieta i głośno płakała. Miała około trzydziestu lat. Ubrana była w bawełniane spodnie w biało-niebieskie paski i jasnoczerwoną bluzę. Jej brązowe, krótko ścięte włosy sterczały na wszystkie strony. Na jej widok Ruby zatrzymała się.

— Czy coś się pani stało? — spytała.

— Tak — odparła, pociągając nosem i przykładając do oczu mokłą chustkę. — Skoro pani pyta, to powiem, że jestem załamana. Mój mały synek właśnie idzie do szkoły. Nie wiem, jak bez niego wytrzymam.

— Wytrzyma pani — odparła Ruby z przekonaniem w głosie.

— Skąd ta pewność? Ach, no tak. Widziałam przecież, jak odprowadzała pani do klasy trzy dziewczynki. Jak na swój pierwszy dzień w szkole miały zadowolone miny. Które z nich są pani? Bliźniaczki czy ta rudowłosa?

— W pewnym sensie wszystkie trzy są moje. Jestem ich babcią.

— O, wielkie nieba! Wcale nie wygląda pani na babcię!

Ruby miała czterdzieści cztery lata. Była bardzo zadbana i zadowolona ze swego wyglądu. Prawie obrażała się, kiedy ktoś uznał ją za babcię, choć zdarzało się to rzadko. W towarzystwie kobiety ruszyła pieszo do domu.

— Gdzie są ich matki? — spytała kobieta. — To znaczy, jeśli można wiedzieć, oczywiście.

— Czemu nie? Matka bliźniaczek, Greta, ostatnio trochę choruje. Jest teraz w domu. Moja druga córka, Heather, pracuje.

Odkąd dzieci przyszły na świat, dziewczęta musiały zamieszkać z nimi w osobnych pokojach. Tak się szczęśliwie złożyło, że pan Oliver akurat się wyprowadzał, więc Ruby zajęła pokój na piętrze. Oznaczało to jednak, że płacących czynsz będzie o jednego mniej. Dziewczęta dostawały wprowadzie zasiłek, ale pieniędzy nie starczało. Heather wróciła do pracy. Pracowała teraz jako urzędniczka w kancelarii adwokackiej. Swą rudowłosą córeczkę Daisy powierzyła w doświadczone ręce Ruby.

— A tak przy okazji, nazywam się Pixie Shaw — powiedziała kobieta. Przestała płakać, ale jej oczy były wciąż zaczerwienione i opuchnięte. — Naprawdę mam na imię Patricia, ale mój mąż mówi, że wyglądam jak wróżka Pixie. I tak już zostało.

Ruby za żadne skarby nie pozwoliłaby nikomu mówić do siebie „Pixie”.

— Bardzo ładnie — odpowiedziała bez przekonania. — Ja nazywam się Ruby O'Hagan.

— Wiesz, Ruby, zaprosiłabym cię na herbatę, bo mam ochotę z kimś porozmawiać, ale w domu mam straszny bałagan.

Ruby złapała niejasną aluzję.

— Jeśli chcesz, przyjdź do nas — powiedziała, nie zważając na to, że u niej także panował nieporządek. Nie była wprawdzie w nastroju do rozmów, z drugiej jednak strony niechętnie szła do domu, w którym nie by-

ło dzieci. Greta na pewno śpi. Prędzej czy później Ruby przyzwyczai się do tej ciszy. Być może nawet ją polubi, ale nie w najbliższym czasie. Ponadto dzień zaczynał się wyjątkowo nieciekawie: na dworze było pochmurno i brzydko, a na niebie gromadziły się ciemne, złowrogie chmurzyska.

— Bardzo chętnie. Dziękuję. Nie miałam czasu posprzątać przed wyjściem. Mój mały, biedny Clint i ja wrzeszczeliśmy wniebogłosy. Żadne z nas nie chciało iść do szkoły.

— Clint?!

— No, jak Clint Eastwood, ten aktor, co grał w tym kowbojskim *Rawhide*. To był mój ulubiony serial. Oglądałaś go może?

— Nie, ale moje córki na pewno. — Ruby siadała przed telewizorem zazwyczaj o takiej porze, kiedy na zakończenie programu grano już hymn.

— Szkoda, że już się skończył. A jak mają na imię twoje wnuczki?

— Ta rudowłosa dziewczynka to Daisy. Jest o cztery miesiące młodszą od dwóch pozostałych, ale wychowawczyni zgodziła się przyjąć ją do szkoły wcześniej, razem z kuzynkami. Po co czekać do Nowego Roku? A bliźniaczki to Moira i Ellie.

Nadanie dziewczynkom imion babć od strony ich ojców załagodziło nieco napięcia wywołane egoistyczną postawą Ruby po śmierci Larry'ego i Roba, jednak na spotkaniach rodzinnych z pewnością będzie przez to sporo zamieszania.

— Daisy to ładne imię — zauważyła Pixie, dając Ruby do zrozumienia, że pozostałe imiona, Moira i Ellie, nie zrobiły na niej większego wrażenia. — O! Mieszkasz tu? — spytała, nie kryjąc zachwyty, kiedy Ruby skręciła w drogę dojazdową do domu pani Hart. — Ależ ten dom wielki! Kim jest twój mąż?

— Mój mąż zginął na wojnie.

— Ach, bardzo mi przykro. Od jak dawna tu mieszkasz?

— Od dwudziestu czterech lat — odpowiedziała Ruby, po czym westchnęła i skierowała się w stronę tylnego wejścia, żeby nie przeszkadzać Grecie.

— Nie myślałaś jeszcze o tym, by urządzić kuchnię bardziej nowocześnie? — dopytywała się nowa koleżanka, przypatrując się osłupiałym wzrokiem drewnianej suszarce do naczyń, na której piętrzyły się brudne talerze. Z przerażeniem spojrzała na stary jak świat drewniany kredens, na podłogę wyłożoną obtłuczonymi już kafkami w kolorze białym i czarnym.

— Podoba mi się tak, jak jest — odparła Ruby, zarzucając głowę do tyłu. — A poza tym to nie mój dom. Wynajmuję go. — Pomyślała sobie, że zapraszając tę Pixie Shaw na herbatę, popełniła chyba błąd. Miała mieszane uczucia co do tej kobiety, której podobieństwo do wróżki Pixie ograniczało się do jej niskiego wzrostu. Pod każdym innym względem była bardzo nieatrakcyjna. Miała jasnoszare, wodniste oczy, płaski nos i małe, ściągnięte usta.

— Mój mąż całkowicie przerobił naszą kuchnię. Mamy śliczne, nowe meble. Podłoga wyłożona jest seledynowymi i pomarańczowymi kafłami. Mamy własne mieszkanie, wiesz? Dlatego możemy je sobie urządzać, jak chcemy. O! Macie kota czy psa? — spytała, wskazując palcem glinianą miskę na podłodze.

— To miska naszego kota. Niestety, nie ma go już. Córka nie pozwała mi tego wyrzucić.

Rok 1958 był fatalny. Poumierzało tylu bliskich: Larry i Rob, Martha Quinlan, a krótko po niej Fred. Któregoś dnia rano Tygrysek nie wyszedł, żeby napić się mleka. Ruby zeszła do piwnicy i zajrzała do szafy. Leżał tam, zwinięty w kłębek. Chciała go obudzić. Był zimny w dotyku.

Po śmierci Tygryśka Greta załamała się zupełnie. Płakała, bo chciała, żeby jej bliźniaczki bawiły się z kotem.

— Kochanie, Tygrysek był już bardzo stary — pocieszała ją Ruby, gładząc jej miękkie, jasne włosy. — To i tak wielkie szczęście, że przeżył z nami aż tyle lat.

— I to jest właśnie najgorsze. Tygrysek był ze mną przez całe moje życie. Martha też. Niedługo wszyscy umrą, a ja zostanę zupełnie sama.

Potem przez długi czas codziennie rano nalewała do miski mleko dla Tygryśka. Nocami wołała go i szukała w szafie. Któregoś dnia Ruby zastała ją na kozetce, na której siadywali podczas nalotów. Śpiewała piosenkę „A kiedy znów się spotkamy”. Na widok matki nagle ucichła.

— Przed chwilą słyszałam, jak wyły syreny — powiedziała.

— Wyjdzie z tego — oznajmił lekarz pogodnym tonem. — Jest bardzo wrażliwą osobą. Wszystkie silne przeżycia zostawiły ślad w jej psychice. Nie sądzi pani, że córka powinna wyjechać na jakiś czas?

— Dokąd?

— Do szpitala psychiatrycznego. Na leczenie.

— O, nie. Dziękuję. Proszę mi tylko powiedzieć, na czym polega leczenie, a sama zajmę się nią w domu.

— Pani musi zadbać przede wszystkim o siebie, pani O'Hagan — odparł doktor, marszcząc brwi. — Sprawuje pani opiekę nad trojgiem dzie-

ci, a to ciężka praca. Do tego jeszcze chora córka i lokatorzy. A pani nie jest już przecież taka młoda.

— Ani taka stara. Dam sobie radę.

Pod żadnym pozorem Grecie nie wolno było się denerwować. Codziennie rano brała tabletkę uspokajającą, a wieczorem środek nasenny. Najlepiej czuła się po południu. Bawiła się wtedy z dziećmi. Ruby uważała, żeby córka nie oglądała w telewizji niczego, co mogłoby ją zdenerwować, a do czytania dawała jej tylko prasę kobiecą.

Greta powolnym krokiem zeszła teraz do kuchni. Wciąż miała na sobie szlafrok. Zobaczyła Ruby i Pixie siedzące przy stole i popijające herbatę.

— Dzień dobry. — Uśmiechnęła się leniwie na widok nieznanym.

— To jest Pixie — zwróciła się do niej Ruby. — Pixie, to moja córka, Greta.

— To ty jesteś mamą bliźniaczek. Chorujesz, prawda? — spytała Pixie, wykazując kompletny brak taktu.

Greta nie zdążyła jeszcze odpowiedzieć, kiedy zadzwonił telefon. Ruby poszła odebrać. To była Heather. Pytała, jak poszło dziewczynkom w szkole i jak czuje się Greta. Codziennie dzwoniła i dopytywała się o samopoczucie siostry.

— Dziewczynki były w dobrych nastrojach — poinformowała ją Ruby. — I wygląda na to, że Greta też ma się dziś całkiem nieźle. Jest tu u nas jedna pani. Słyszę, że rozmawiają w kuchni jak nakręcone.

— Jaka pani?

— Ma na imię Pixie. Uważam, że jest trochę roztrzępana, ale Grecie najwyraźniej przypadła do gustu.

— Tylko uważaj, żeby nie zdenerwowała Grety.

— Oczywiście, kochanie.

Wracając do kuchni, Ruby usłyszała głos Pixie.

— Trzy wdowy pod jednym dachem! Jakież to romantyczne. Zupełnie jak w powieści — mówiła.

— Chyba tak — odpowiedziała Greta, kiwając głową.

Ruby spojrzała na córkę, zdumiona. To, co usłyszała, niemalże ją zszokowało. W domu nigdy przedtem nie padło słowo „wdowa”. Przy Grecie wszyscy bardzo uważali na to, co mówili.

— Twój mąż nawet nie zobaczył swoich dzieci! — wykrzyknęła Pixie.

— To prawda. Mąż Heather też nie zobaczył swoich. Ona nawet nie powiedziała mu, że jest w ciąży z Daisy.

— Och! Jakież to smutne. Brian, mój mąż, chce kupić samochód. A ja zawsze mówię, że są takie niebezpieczne. Może mu się odechce, jak mu opowiem o tym, co przydarzyło się tobie i twojej siostrze...

— No, dobrze — przerwała Ruby donośnym głosem. — Czas się zabrać do pracy.

Robienie aluzji wychodziło Pixie dużo lepiej niż ich podchwytywanie. A może słowa Ruby wcale do niej nie dotarły. Ruby spostrzegła, że pod jej nieobecność Greta dołała sobie i Pixie herbaty, a teraz zabrała filiżanki ze stołu.

— Chodź, porozmawiamy sobie w drugim pokoju, a mama w tym czasie posprząta.

— A masz swoje zdjęcia ślubne, Greto?

— Gdzieś tu powinien być album... Mamo, może ty wiesz, gdzie on jest?

— W komodzie, w dolnej szufladzie.

Po śmierci Larry'ego i Roba nikt go nie otwierał.

— No to chodź, Pixie, pokażę ci.

Obie wyszły z kuchni, a Ruby opadła ciężko na krzesło. Przez ostatnie lata wszyscy obchodzili się z Gretą bardzo delikatnie, a teraz, w towarzystwie nietaktownej Pixie Shaw, córka nagle ożywia się i zaczyna opowiadać o Larrym chętniej niż kiedykolwiek przedtem. Może Greta wcale nie jest chora. Może niepotrzebnie byli w stosunku do niej tacy ostrożni, traktując ją jak chorą. Może potrzebny był ktoś taki, jak ta gadatliwa Pixie, żeby przekonać się, że Greta ma się już lepiej.

W południe Pixie oświadczyła, że idzie odebrać Clintę ze szkoły.

— Musi zdążyć na obiad.

— Przyrowadź go tu po lekcjach któregoś dnia, żeby pobawił się z dziewczynkami — zaproponowała Greta. — Jak już się zaprzyjaźnią, będzie mógł zostać nawet na obiedzie.

— Dobrze — zgodziła się z zapałem Pixie. — Myślałam, że będę za nim tęsknić, ale czas zleciał tak szybko, że nie było kiedy. Hm, gdyby nie on, posiedziałabym z wami dłużej. Na razie, Greto. Dojutra.

— To znaczy, że ona jeszcze tu przyjdzie? — spytała Ruby, zamknąwszy za nią drzwi.

— Tak. Chyba się nie pogniewasz, mamo? I wybieramy się razem na kurs wieczorowy. Zajęcia zaczynają się w przyszłym tygodniu. Pixie zapisała się już na kurs rymarstwa. Mnie z kolei podsunęła kurs dekorowania ciast, jak to umiała Martha, i Pixie postanowiła też, że pójdzie na ten kurs razem ze mną...!

\*

Mamo, przecież to nie w porządku — skarżyła się Heather jeszcze tego samego dnia po podwieczorku. Wycierała umyte przez Ruby naczynia. Greta wraz z dziećmi oglądała telewizję. Dziewczynki były trochę zmęczone pierwszym dniem w szkole. — Koleżanki z pracy tyle razy proponowały mi wyjście do kina, a ja za każdym razem odmawiałam, bo chciałam być przy Grecie.

— Chyba nie bardzo cieszy cię to, że Greta jest już w lepszym stanie.

— Cieszy mnie to, ale... — Heather skrzywiła się. — Może ja też poszłabym na kursy wieczorowe z Gretą i tą głupią Pixie.

— Kochanie, daj spokój. Dekorowanie ciast zanudziłoby cię na śmierć — powiedziała Ruby, po czym westchnęła i odłożyła glinianą miskę na suszarkę.

Była nieco znużona gotowaniem dla dziewięciu osób i utrzymywaniem porządku w całym domu. Pan Keppel ożenił się i wyprowadził kilka lat temu, a Iris Mulligan z panem Hamiltonem wynajęli inny dom, w którym zamieszkali we dwoje, by móc pozostać w grzesznym związku. Tak przynajmniej zdawało się Ruby. Piętro zamieszkiwało teraz trzech młodych studentów uniwersytetu w Liverpoolu. Jedli tyle, że Ruby ledwo nadążała z przygotowywaniem posiłków. Starła się gotować więcej, ale i tak nic nie zostawało.

W sobotę rano Pixie Shaw przyprowadziła małego Clintę, żeby pobawił się z córeczkami Greta i Heather. Za oknami przejaśniło się: na błękitnym niebie świeciło słońce. Po tygodniu Ruby miała już serdecznie dość towarzystwa Pixie, która odwiedzała je codziennie. Na widok małego Clintę odczuła ulgę. Był wrażliwym chłopczykiem o jasnych włosach i anielskim usposobieniu. Nie miał nic z obsesowości swojej matki.

Ruby stała przy oknie, obserwując bawiące się w ogrodzie dzieci. Jeszcze niedawno, na tym samym trawniku, w cieniu tych samych drzew, bawiły się jej własne córki i Jake.

— Ależ ten czas leci — powiedziała szeptem.

Dziećmi dowodziła teraz Ellie. To ona decydowała, w co się bawiły. Jako młodsza z bliźniaczek przyszła na świat godzinę później. Była jednak najbardziej przebojowa i wzrostem przewyższała pozostałe dzieci. Jej siostrzyczka Moira okazała się mniej uległa niż Greta w dzieciństwie. Dziewczynki rzadko kiedy się kłóciły. Słodka i urocza Moira po prostu robiła swoje, nie zważając na to, co mówiła Ellie. Bliźniaczki niewątpliwie miały ze sobą wiele wspólnego, choć różniły się pod kilkoma względami.



Moira była niższa i drobniejsza, z gęstymi, kręconymi, brązowymi włosami i ślicznymi, jasnoniebieskimi oczyma. Miała delikatny, zaokrąglony podbródek z dołeczkiem. Była opanowanym dzieckiem. Na jej twarzy często pojawiał się miły, dobroduszny uśmiech dorosłej, dojrzałej osoby.

Ellie miała pofalowane włosy i wyraziste, roziskrzone oczy koloru kołbaltu. Biegała po ogrodzie jak błyskawica. Była z nich najszybsza, najgłośniejsza i najbardziej odważna. Kiedy dzieci wdrapywały się na drzewa, Ellie wchodziła na najwyższe gałęzie. Miała zaostrowany podbródek, który nadawał jej twarzy zacięty wyraz, jakby stale zmagająca się z jakimiś trudnościami. Była też wyjątkowo niecierpliwa, choć już od najmłodszych lat uświadomiła sobie, że nie warto złościć się na siostrę. Swe emocje wyładowywała więc na kuzynce.

Daisy! Na widok trzeciej z wnuczek Ruby poczuła ucisk w sercu. Daisy była wyrośniętą dziewczynką o piegowatej twarzy i rudych włosach. Zawsze nieśmiało trzymała się na uboczu. Jak na takie ładne imię, jej uroda była dość pospolita. Ruby usłyszała to kiedyś od pewnej kobiety w szpitalu, do którego poszła z dziewczynkami na szczepienie.

Nikt nie miał pojęcia, do kogo z rodziny podobna jest Daisy. Państwo White zachodzili w głowę i analizowali swe drzewo genealogiczne nawet kilka pokoleń wstecz, ale za nic w świecie nie mogli sobie przypomnieć, by ktokolwiek spośród ich krewnych miał rude włosy. Olivia, matka Ruby, też nie bardzo mogła pomóc.

— W mojej rodzinie nie było rudych. Masz czarne włosy jak twój ojciec. Ale kto wie, może w Ameryce mieszkali jacyś O'Haganowie o innym kolorze włosów. Trudno mi powiedzieć.

Matka Roba, Ellie White, nie zdawała sobie sprawy, że dużo więcej uwagi poświęca swej małej, energicznej i promieniejącej imiennicze aniżeli własnej wnuczce, córce własnego syna, nijakiej i anemicznej Daisy.

— W jakim nastroju jest dzisiaj Greta? — Wróciwszy z pracy do domu, Heather zawsze zadawała to pytanie, jak gdyby siostra była dla niej ważniejsza niż własna córka.

Ruby usiłowała jakoś to naprawić. Rozpieszczała małą, by na jej twarzy wreszcie pojawił się prawdziwy uśmiech. Było to jednak trudne. Trzeba było uważać, żeby bliźniaczki nie poczuły się zagrożone. Moira wprawdzie nie miałaby z tego powodu żadnych obaw, wręcz przeciwnie, ale Ellie na pewno nie spodobałoby się faworyzowanie kuzynki przez babcię. Ellie potrafiła być momentami bardzo złośliwa.

Po długiej, ożywionej rozmowie Greta i Pixie wyszły z salonu.

— Idziemy z Pixie do miasta na zakupy, dobrze? — rzuciła Greta.

- W listopadzie moja szwagierka wychodzi za mąż. Muszę kupić sobie coś na ślub — wyjaśniła Pixie.
- Zaraz wracamy, mamo.
- A może Heather poszłaby z wami? Spytajcie ją. — Córki od lat nie były razem na zakupach.
- Przecież ona robi zakupy w czasie przerwy na lunch — odparła obojętnie Greta. — A poza tym akurat się kąpie.
- Dobrze, ale w przyszłą sobotę siedzisz w domu. Wyprawiamy bliźniaczkom przyjęcie urodzinowe. Będzie dwanaścioro dzieci. Sama sobie nie poradzę. — Ruby przeraziła się już na samą myśl.
- Ależ oczywiście, mamo.

Zaproszenie dwunastu nieznajomych dzieci na całe cztery godziny okazało się czystym szaleństwem. Powinna była skrócić przyjęcie do trzech, albo nawet dwóch godzin! Jedzenie znikło w mig. Kuchenna podłoga aż kleiła się od galaretki po tym, jak chłopcy rzucali nią w dziewczęta. Wszędzie leżały porozsypywane chrupki i okruszki chleba. Dzieci stłukły dwie szklanki, a obrus zalały napojem imbirowym i lemoniadą.

Sprzątając cały ten bałagan, Ruby poprzysięgła sobie, że to pierwszy i ostatni raz. Poplamiony obrus odłożyła do prania i wytarła stół. Skrzywiła się, słysząc krzyki dobiegające z ogrodu, gdzie jej córki wraz z Pixie wymyślały dla dzieci różne gry i zabawy. Ruby postanowiła, że na drugi raz po prostu wyjdzie z domu i zostawi wszystko na ich głowie.

Ruby nigdy nie lubiła zajmować się czyimiś dziećmi, więc na kilka godzin zaszyła się w kuchni, nasłuchując odgłosów z dewastowanego ogrodu. Co chwilę jakieś dziecko wbiegało do kuchni po coś do picia lub do jedzenia, inne chciało skorzystać z łazienki, jeszcze inne skaleczyło się i trzeba było opatrzyć mu ranę. Zawsze znalazł się jakiś powód do ciągłych narzekań.

Pixie przyniosła radio na baterie. Włączały je i wyłączały. Ruby pomyślała, że pewnie bawią się w grające krzesła, choć w ogrodzie nie było żadnych krzesel. Może więc bawiły się w posagi albo w „podaj przesyłkę”. Nawet nie chciało jej się wyjrzeć za okno. Marzyła tylko o tym, żeby wszyscy już poszli.

Nagle do kuchni wbiegła Daisy. Oczy jej błyszczały, jak nigdy przedtem. Tuż za nią przyszedł Clint.

- Babciu, mogę pokazać mu moją kolorowankę?
- Oczywiście, skarbie. Idźcie do sypialni. Tam jest trochę ciszej.

Ucieszyło ją to, że Daisy i Clint przypadli sobie do gustu. Daisy wychowywała się z bliźniaczkami i potrzebne jej było towarzystwo innych dzieci. Ruby zairzała potem do sypialni. Daisy i Clint rozsiedli się na podłodze i na przemian kolorowali obrazki.

Jeszcze tylko pół godziny. Ruby odetchnęła z ulgą. Postawiła na tacy szklanki do lemoniady i talerz z czekoladowymi herbatnikami, po czym wyniosła na zewnątrz. Ku jej zadowoleniu, kilka matek przyszło już odebrać swoje dzieci. Pomyślała sobie, że im szybciej, tym lepiej.

— Dla pani był to pewnie niezwykle uciążliwy dzień — zauważyła jedna z kobiet. Była mniej więcej w tym samym wieku, co Ruby, bardzo szczupła, miała krótkie, kręcone, brązowe włosy i roześmiane oczy. — Moje starsze są już za duże na takie przyjęcia, co bardzo mnie cieszy. Mam syna i córkę w wieku dwudziestu lat. A potem niespodziewanie zaszłam w ciążę i urodził się Will. No i wszystko zaczęło się od nowa — westchnęła. — W przyszłym tygodniu kończy pięć lat. Zaprosiłam dziewczynki na przyjęcie.

— A który z chłopców to Will?

— Ten blondynek w niebieskiej koszulce. Nawet nie pytam, czy był grzeczny, bo jestem pewna, że nie był.

Ruby od razu rozpoznała ten czartowski uśmieszek. To właśnie Will zaczął bitwę na galaretkę.

— Nie było a?tak źle — powiedziała.

— Uprzejmość przez panią przemawia. Pani ma na imię Ruby, правда? Jestem Brenda Wilding. O! Jest mój mąż. Pozwoli pani, że go przedstawię: Tony. Właśnie parkował samochód. — Podeszedł do nich przystojny mężczyzna, po którym Will odziedziczył jasne włosy. — Tony, to jest Ruby.

— Miło mi panią poznać, Ruby.

— Przepraszam na chwilę! Jedno z dzieci siedzi na gałęzi. Pójdę po nie, zanim zjawią się tu jego rodzice.

— To może ja pójdę — zaproponował Tony Wilding. — Proszę tylko przynieść kurtkę Willa i już znikamy. Trochę się dziś spieszymy, bo wychodzimy do teatru.

— On nie przyszedł w kurtce, tylko w bluzie — zaśmiała się Brenda. — Kiedy mu ją zakładałam, była jeszcze beżowa, a teraz jest już pewnie czarna.

Ruby szybko znalazła leżącą na podłodze w przedpokoju bluzę, która zachowała swój beżowy kolor. Podniosła ją i zabrała do ogrodu. Brenda Wilding stała oparta o męża, który obejmował ją w pól i ustami muskał jej

szyję. Ruby zatrzymała się. Zawładnęło nią uczucie czystej zazdrości. Ci dwoje są małżeństwem pewnie od dwudziestu pięciu lat, a wciąż zachowują się jak świeżo zakochani.

Po dzieci przyjechali też inni kolejni rodzice. Ku zadowoleniu Ruby, w ogrodzie zrobiło się pusto. Pixie zauważyła, że nie ma Clinta.

— A gdzie Daisy? — spytała Heather.

— Oboje są w sypialni — odpowiedziała Ruby.

Do domu wbiegła Ellie.

— To niesprawiedliwe — krzychała. — On ma bawić się ze *mną*.

Ruby nie widziała w tym nic niesprawiedliwego, ale nie odezwała się. Miała już dość.

— Pójdę i położę się na chwilę — oznajmiła.

Studenci pojechali na wycieczkę, a więc nie będzie ich na podwieczorku. Jutro zaś szykuje się przyjęcie dla dorosłych, na które zostali zaproszeni państwo White i państwo Donovan. Czeka ją więc kolejny gorączkowy dzień.

Padła na łóżko, kryjąc twarz w poduszce, w którą uderzyła pięścią.

— Mam dość — powiedziała. — Mam już tego cholernie dość. Ja też chcę iść do teatru u boku przystojnego męża.

Poduszka milczała.

— Kretynka! — powiedziała Ruby i walnęła ją pięścią jeszcze raz, po czym złożyła na niej głowę i wydała z siebie głębokie, żałosne westchnienie. Odkąd zerwała z Chrisem Ryanem, nie spotykała się z żadnym mężczyzną. Po ukończeniu siedemnastu lat całe jej życie toczyło się wokół dzieci: najpierw swoich własnych, a teraz wnucząt. Ciągłe tylko obowiązki domowe i nic poza tym. Miała już serdecznie dosyć gotowania, prania, prasowania i sprzątanía. Nigdy nie była w teatrze, po wojnie ani razu nie tańczyła i nie pamięta, kiedy ostatnio była w kinie czy w restauracji.

Ktoś zapukał do drzwi. Pukanie powtórzyło się, ale nie słyszała, bo celowo wcisnęła głowę między poduszki. Nagle poczuła na plecach czyjś dotyk. Wrzasnęła.

— Ruby — odezwał się Matthew Doyle.

Usiadła, rozwścieczona.

— To moja sypialnia — powiedziała jednym tchem.

— Zdawało mi się, że płaczesz.

— Nie, nie płaczę. A nawet gdyby, to na twoim miejscu uznałabym raczej za stosowne nie wchodzić.

Miała na tyle śmiałości, by przysiąc na brzegu łóżka. Irytowało ją, że zachowuje się, jakby należał do rodziny. A wszystko przez Gretę i Hea-

ther. To one tak go traktowały. Rozmawiały z nim, zapraszały na obiady. Miał być nawet na jutrzejszym przyjęciu. Wnuczki uwielbiały go. Nazywały go „wujkiem Mattem”.

— Przyniosłem prezenty dla bliźniaczek. Mam też coś dla Daisy, żeby nie czuła się odrzucona. Co się stało, Rube?

— Nic. — Nie znosiła, kiedy mówił do niej „Rube”. A prezenty mógł przecież przynieść jutro.

— Wyglądasz na przygnębioną.

Chciała zaprzeczyć, ale wiedziała, że to bezcelowe.

— No i co z tego? — odparła niegrzecznie. Miała za sobą zły, męczący dzień, a na widok Brendy i Tony'ego Wildingów czara goryczy przelała się. Tego jednak nie zamierzała mu powiedzieć.

— Trzeba cię jakoś rozweselić.

— Co ty powiesz? — ironizowała, choć wiedziała, że z całą pewnością potrzebowała teraz kogoś, kto ją rozweseli.

— Chodźmy gdzieś. Ja sam muszę się rozweselić.

— Dlaczego?

— Caroline chce rozwodu.

Dla Ruby nie była to zaskakująca wiadomość. Z rodziną O'Hagan spędzał zdecydowanie więcej czasu niż z żoną.

— Czym sobie zasłużyłeś?

Wzruszył ramionami.

— Spytaj mnie lepiej, czym sobie nie zasłużyłem. Liverpool ją męczy. Jej ojczulek przeniósł się na stare lata na południe Francji, do Monako, a ona chce się tam teraz przeprowadzić. Kategorycznie odmówiłem. Powiedziała mi, że utrudniam jej życie.

— Więc chce rozwodu, bo utrudniasz jej życie?

— Na to wygląda.

O Caroline nie mówił ani źle, ani dobrze. Ruby wyczuła, że nie był zbyt przygnębiony, jednak rozwód to zawsze przykre przeżycie, nawet jeśli małżeństwo nie było szczególnie udane.

— To co, idziemy gdzieś? — spytał ochoczo. — Kiedy ostatnio cię zapraszałem, pięć czy sześć lat temu, odmówiłaś, bo byłem żonaty. Ten powód jest już nieaktualny. Wkrótce znów będę kawalerem.

— Rozwodnikiem — napomknęła Ruby. — Kawalerem już nigdy nie będziesz.

— Nie bądź taka czepliwa. Jedźmy już. To będzie wieczór rozrywki w mieście.

Ruby nie przeszłaby w towarzystwie Matthew Doyle'a nawet pięciu kroków, ale dziś wieczorem nie mogła oprzeć się jego propozycji. Nigdy go nie polubi, ale on najwyraźniej polubił ją, a poza tym miło się z nim rozmawiało. Ruby nie kryła zdziwienia, kiedy jej córki mówiły, że ich zdaniem jest przystojny.

— Jest taki wychudzony, jakby nie miał co jeść — zaprzeczała im, nie mogąc jednocześnie pojąć, dlaczego jego obecność często powoduje u niej dziwne uczucie w żołądku. Jak zawsze miał na sobie eleganckie, nieskazitelnie czyste ubranie — szare, uprasowane w ostry kant spodnie, granatową kurtkę z metalowymi guzikami i rozpiętą przy szyi koszulę. Wyglądał, jakby właśnie wybierał się w rejs jachtem. Ruby pomyślała, że brakuje mu tylko białej, szpiczastej czapki.

Cóż ciekawego czeka ją tego wieczoru, jeśli zostanie w domu? Bóg jeden wie, o której Pixie zamierza stąd wyjść. Była kolejną spośród tych, dla których miejsce to stopniowo stawało się drugim domem. Jeśli Pixie zostanie dłużej, Heather zacznie się dąsać. Nie podobało jej się, że siostra spędza z nową koleżanką prawie całe dni. Poza tym dziewczynki nie położyły się spać, dopóki Clint nie pójdzie do domu.

Ruby wzdrygnęła się. Tak bardzo chciała dokądś pójść. Z kimkolwiek.

— Dobrze — powiedziała. — Daj mi chwilę czasu. Muszę doprowadzić się do porządku. — Była pewna, że wygląda okropnie.

Ożywiony, natychmiast zerwał się z łóżka.

— Zaczekam więc na dole — powiedział.

Ruby zajrzała do szafy w poszukiwaniu eleganckiej, wieczorowej sukni, choć wiedziała, że szuka na próżno. Nie znalazła nic odpowiedniego. Jedną z przyjemności, których brakowało jej przez te wszystkie lata, było kupno nowych ubrań. Jedyne, co dało się włożyć na tę okazję, to suknia w kolorze fuksji, którą kupiła na ślub córek. Była kompletnie wygnieciona. Zabrała ją do kuchni i rozstawiła deskę do prasowania. Właśnie kończyła, kiedy do kuchni weszła obrażona Heather.

— Kiedyż wreszcie ona stąd pójdzie? — spytała, skinąwszy głową w kierunku salonu, z którego dochodził piskliwy głos Pixie przekrzykującej nawet głosy dzieci.

— Nie wiem, skarbie. Sądzę, że niedługo. Clint jest już pewnie zmęczony.

Heather zmarszczyła brwi.

— Po co prasujesz suknię?

— Matthew zabiera mnie do miasta — odparła Ruby radośnie, uśmiechając się szeroko. Nie mogła doczekać się, by wreszcie się stąd wyrwać. Dziś wieczorem potrzeby córek zepchnęła na dalszy plan.

— I zostawisz nas same?

Ruby z hukiem odstawiła żelazko.

— Na Boga, Heather, przecież masz już dwadzieścia sześć lat! To niedorzeczne, żeby w tym wieku wciąż być zależna od matki. Poza tym Greta ma się już dużo lepiej.

— Ach, więc to tak! — Ładna twarz Heather o surowych rysach poczerwieniała ze złości. — Z Gretą jest już lepiej, a o mnie nie trzeba się martwić? A czy ty choć raz pomyślałaś o tym, jak *ja* się czuję? Przecież ja też straciłam męża. — Wybuchła płaczem. — A jak tylko Greta poczuje się trochę lepiej, zaraz nie jestem jej potrzebna.

To dlatego te łyzy. Greta, o dziwo, przestała myśleć o innych, odkąd w jej życiu pojawiła się Pixie. W poczuciu winy Ruby zdała sobie sprawę z niezaprzeczalnej prawdy: w ciągu ostatnich pięciu lat nikt nie troszczył się o uczucia Heather. To Greta była w centrum uwagi.

— Zawsze odsuwaliście mnie na bok — szlochała Heather. — Dla was najważniejsza jest Greta.

Ruby objęła córkę ramionami. To poważny problem. Heather była twarda. Rzadko płakała, nawet w dzieciństwie, kiedy się skaleczyła.

— Dla Roba ty byłaś najważniejsza, prawda? Dla mnie także. Greta po prostu potrzebuje więcej uwagi, bo jest nadwrażliwa.

— To, że jestem silniejsza, nie znaczy, że nie potrzebuję być kochana...

W drzwiach stanął Matthew. Ruby wyrzała znad ramienia córki i potrząsnęła głową. Dał jej do zrozumienia, aczkolwiek niechętnie, że przyjął do wiadomości, iż tego wieczoru nigdzie nie pójdą.

— Coś tu się przypała — zauważył.

Na sukni Ruby widniał wypalony ślad żelazka. Nadawała się już tylko do wyrzucenia.

Kilka tygodni później Heather oznajmiła matce, że chce wyjechać za granicę. Spytała, czy ma coś przeciwko temu.

— Oczywiście, że nie, skarbie — odpowiedziała ucieszona Ruby. — Urlop świetnie ci zrobi.

— Nie chodzi o urlop. Chcę jechać do pracy.

Ruby zamilkła.

— Na jak długo? — spytała po chwili.

— Jeszcze nie wiem. Dwie koleżanki z pracy chciały jechać autostopem po Europie i poszukać pracy, gdzie się da. To może być kilka tygodni, a nawet kilka miesięcy. Mówią, że mogą jechać z nimi.

— Uważam, że to bardzo niebezpieczne, Heather.

— Wcale nie. Przecież jedziemy we trzy.

— A co będzie z Daisy? — spytała Ruby, wiedząc już, jaka będzie odpowiedź.

Heather zaczęła niespokojnie się kręcić.

— Przecież nie mogę jej zabrać ze sobą, prawda? Poza tym ona i tak nie będzie za mną tęsknić. Kocha bardziej ciebie niż mnie. Ach, mam — zawołała. — Tak bardzo chciałabym zostawić to wszystko i wyrwać się stąd. Już dłużej tu nie wytrzymam. Byłam idiotką, myśląc, że gdy tylko Greta poczuje się lepiej, wszystko będzie znowu jak dawniej: będziemy najlepszymi przyjaciółkami, zaczniemy znów chodzić razem na zakupy i do kina. Ale myślę się, prawda? Moje miejsce zajmuje teraz Pixie. Nic już nie będzie tak jak przedtem.

Greta wcale nie poczuwała się do winy, kiedy Ruby zarzuciła jej niewdzięczność wobec siostry.

— Odepchnęłaś ją. Heather gotowa jest oddać za ciebie życie, a ty najzwyczajniej w świecie zapomniałaś o niej, jak o rzuconej w kącie zabawce.

— Co takiego?! — parsknęła Greta. — Pixie powiedziała, że Heather jest bardzo zaborcza i że traktuje mnie jak dziecko, a nie jak starszą siostrę. *Wszyscy* traktują mnie jak dziecko. Nikt nie zważa na to, że jestem już dorosłą kobietą z dwójką dzieci.

— Czy tak zachowuje się dorosła kobieta? Po raz kolejny dajesz dowód swej niedojrzałości. — Greta była zawsze ugodowa i nikomu nie wadziła. Ruby po raz pierwszy zdarzyło się ją tak zbesztać. — Aż się boję, że bliźniaczki nasłuchają się tych twoich bzdur. Co cię napadło, Greto? Zrobiłaś się strasznie twarda i zawzięta.

— I taka właśnie będę. Pixie mówi, że słabi ludzie niczego nie osiągną.

— A od kiedy Pixie stała się dla ciebie wyrocznią? Ach! — Ruby podniosła się i wyszła z pokoju. Głupio powiedziała. O co im chodzi? Czyżby jej córki przechodziły okres nastoletniego buntu o dziesięć lat za późno? A może nadszedł najwyższy czas, żeby ona sama zaczęła miewać humory.



Przyjaźń z Pixie Shaw okazała się nietrwała. Po sześciu miesiącach miejsce Greta zajęła inna koleżanka. Pixie postąpiła z Gretą tak samo bezceremonialnie, jak Greta z Heather. Ruby trudno było współczuć córce. Postępowanie Greta zapadło jej głęboko w pamięć. Skoro już raz zachowała się w ten sposób, będzie skłonna to powtórzyć.

Clint nadal odwiedzał dziewczynki po lekcjach, co bardzo cieszyło Ruby. Daisy rzeczywiście nie tęskniła za matką, ale wciąż trzymała się kurczowo babcinej spódnicy w obawie, że ta też wyjedzie. Clint i Daisy świetnie się razem bawili, choć Ellie czyniła wszelkie starania, by ich ze sobą skłócić.

— Mamo, kiedyż wreszcie wróci Heather? — marudziła teraz Greta na okrągło.

— Nie wiem!

Pocztówki przychodziły regularnie, a od czasu do czasu był też list. We Francji Heather zmywała naczynia, we Włoszech sprzątała pokoje w hotelu, w Niemczech czyściła toalety, a w Hiszpanii zbierała owoce. Przez święta Bożego Narodzenia pracowała w restauracji w austriackim kurorcie narciarskim.

„Nie szkodzi, że mówię tylko po angielsku; przyjeżdża tutaj mnóstwo ludzi, z różnych krajów i łatwo mi się dogadać” — pisała na pocztówce wysłanej z Innsbrucku.

Ruby śledziła jej podróże na mapie w atlasie, który niegdyś należał do Maxa Harta. Na wewnętrznej stronie postrzępionej okładki wciąż widniało jego imię wypisane dziecięcym pismem czerwoną kredką. Myślała o nim za każdym razem, kiedy otwierała atlas. Zastanawiała się, gdzie jest teraz ów młody, dzielny lotnik, z którym nieoczekiwanie kochała się w pierwsze wojenne święta Bożego Narodzenia.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że po tylu latach nadal będzie mieszkać w starym domu jego matki i zajmować się tym wszystkim, czego nie zносиła jeszcze za dawnych czasów. Niegdyś marzyła o tym, by wykonywać całkiem inną pracę, ale kiedy marzenia te były już bliskie spełnienia, zawsze coś krzyżowało jej plany. Może poszczęściłoby jej się bardziej, gdyby wiedziała, o czym tak naprawdę marzy. Co do swych planów na przyszłość miała jednak bardzo mgliste pojęcie. Myślała już o tym, by pójść na studia, założyć własny interes — pierwszą firmę dekoratorską zatrudniającą tylko kobiety. Na to wspomnienie uśmiechnęła się.

Heather wróciła następnego lata. Nie było jej przez dziewięć miesięcy. Zatelefonowała, jak tylko dojechała na stację Lime Street i powiedziała, że zaraz wsiada do autobusu.

To był szczególnie piękny, sierpniowy dzień: niebo rozświetlały promienie słońca, a w powietrzu unosił się zapach kwiatów. Nadszedł półmetek wakacji. Ruby otworzyła szeroko drzwi wejściowe. Wszyscy co chwilę wyglądali na zewnątrz, wypatrując Heather. Ruby zależało na tym, żeby Daisy przywitała matkę jako pierwsza.

— Idzie! — zawołała Moira.

Nim jednak Ruby zdążyła rozejrzeć się za Daisy, Greta już biegła ścieżką i, zarzuciwszy siostrze ramiona na szyję, obsypała ją pocałunkami. — Jak to dobrze, że wróciłaś — mówiła ze łzami w oczach.

— Ja też się cieszę, że znów jestem w domu, siostrzyczko — odpowiedziała Heather, nie kryjąc zaskoczenia i radości.

Dwa tygodnie później Greta podjęła pracę recepcjonistki w firmie księgowej przy Victoria Street — nieopodal biura adwokackiego, w którym pracowała Heather. Spotykały się w przerwie na lunch, a w soboty znów chadzały razem na zakupy. Obie zapisały się też na wieczorowy kurs stenografii i pisania na maszynie, chcąc zwiększyć swoje szanse na zdobycie lepszej pracy.

Ruby napisała długi list do Beth. Opowiedziała jej, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku miesięcy. „Greta wydobrzała; jej stosunki z Heather poprawiły się. Znów bardzo się przyjaźnią. Sama nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Na pewno nie spotkają już nikogo takiego jak Larry i Rob, są więc skazane na siebie nawzajem, a ja jestem skazana na ten dom. Czasem chciałabym zrobić to, co Heather: wyjechać na dziewięć miesięcy. Marzenie ściętej głowy! Nie mogę przecież zostawić małej Daisy. Biedactwo. To dziecko nie istnieje dla nikogo. Tylko ja dostrzegam jej obecność. Zawsze znajdzie się coś, co mnie tu zatrzyma. *Zawsze!*”

Odłożyła pióro, po czym podniosła je i dopisała kolejny akapit: „Nie mogę narzekać. Mimo wszystko jestem szczęśliwa. To piękny dom, nawet jeśli jestem na niego skazana. Mam więcej powodów do radości niż do płaczu. Wnuczki są dla mnie pociechą, córkom też wiedzie się dobrze, biedy nie klepiemy. Ogólnie mówiąc, życie jest piękne”.

Beth też miała powody do zadowolenia. Sytuacja w Little Rock zmieniła się na lepsze. Beth została członkinią organizacji integrującej białych i czarnych, w której powierzono jej funkcję sekretarki. „Tylko dlatego, że nikt inny nie zgodził się jej pełnić” — pisała. W zeszłym roku była w Waszyngtonie, gdzie uściśnęła dłoń prezydentowi Jackowi Kennedy'emu na kilka tygodni przed jego tragiczną śmiercią, po której cała Ameryka okryła się żałobą. Daniel nie pochwalał jej działalności. Między nimi stale wy-

buchały kłótnie. „On dąży do tego, żeby czarni mieli władzę nad białymi. Jemu wcale nie chodzi o równouprawnienie” — pisała dalej. — „Teraz wreszcie pozyskałam jego szacunek. Zrozumiał nagle, że ja też mam mózg. A moja wstrętna teściowa mówi, że nawet mnie polubiła”.

Jake ożenił się, a Beth wkrótce miała zostać babcią. Ruby poczuła nagle przeszywający ją dreszcz przerażenia. Czas pędził na złamanie karku.

Któregoś wrześniowego przedpołudnia zjawiła się Olivia Appleby. Był poniedziałek. Dzieci poszły do szkoły, a dziewczęta do pracy. Ruby widywała matkę cztery lub pięć razy do roku. Spędzały ze sobą jedynie parę godzin. Gdyby została na noc, jej dzieci, *pozostałe* dzieci, jak zazwyczaj podkreślała, dopytywałyby się, gdzie jest.

— One nie wiedzą o tobie ani o twoim ojcu. To tajemnica, którą na zawsze zachowam w sercu. Nie potrafiłabym rozmawiać o nim z nikim innym poza tobą.

Ruby wydawało się, że z biegiem lat obraz Toma O'Hagana rysował się w pamięci Olivii coraz wyraźniej. Była w stanie dokładnie opisać, jak wyglądał, i powtórzyć słowo w słowo to, co mówił. Dopiero teraz potrafiła przypomnieć sobie najdrobniejsze szczegóły: tory kolejowe, które świeciły „jak srebro w blasku księżyca” i ten dziwny zapach.

— Po kilku dniach okazało się, że był to zapach nocnych kwiatów wymieszany z odorem palonych ciał.

Olivia poprosiła, by wyszły do ogrodu. Na dworze było chłodno. Słońce świeciło słabo zza siwych, perlistych chmur. Usiadły na werandzie. Drzewa o żółknących liściach rozpostarły nad nimi swe gałęzie. Olivia miała na sobie jasną, lnianą garsonkę i dopasowany do niej ogromny kapelusz. Błede kolory nadawały jej sylwetce melancholijny wygląd. W ręce, jak zwykle, trzymała papierosa.

— Przyniosłam ci coś — powiedziała przyciszonym głosem, tak że Ruby ledwo usłyszała, co mówi. Wyglądała na zmęczoną i apatyczną. — Jest w mojej torebce, w domu.

— O! A co to takiego? — Ruby siliła się na entuzjastyczny ton. Ciężko jej było wyrazić, co czuła podczas odwiedzin matki. Miotały nią mieszane emocje: od żalu poprzez zakłopotanie aż do poczucia winy, które dominowało. Wiedziała, że Olivia oczekiwałaby od swej córki więcej ciepła i uczucia.

— To kaftanik dziecięcy, jedyne, co pozostało mi z ubranek. Nie ja go kupiłam, tylko Madge. Pomyślałam, że może zechcesz go zachować na pamiątkę.

— Zatrzymam go sobie jako bardzo cenną rzecz.

Białe usta wykrzywiły się w uśmiechu.

— Ruby, moja droga, bardzo się starasz, ale marna z ciebie aktorka. Mnie nie nabierzesz. Uprzykrzam ci życie, prawda?

— Wcale nie! — zaprotestowała Ruby.

— Przecież widzę. Nie mam do ciebie pretensji. To mój egoizm sprawił, że wtargnęłam w twoje życie po prawie czterdziestu latach, choć było już za późno. A kiedy dowiedziałam się, gdzie mieszkasz, po prostu *musiałam* poznać córkę Toma. — Spojrzała na Ruby z zaciekawieniem. — Czy ty nigdy nie myślałaś o tym, jak potoczyłyby się twoje losy, gdyby on nie zginął?

Ruby potrząsnęła głową.

— To tylko strata czasu.

— Ja straciłam mnóstwo czasu, zastanawiając się nad przeszłością — powiedziała z westchnieniem Olivia. — Chciałabym być tak twarda, jak ty.

— To nie ma nic do rzeczy. — Ruby nie miała żadnego wpływu na okoliczności swoich narodzin. Po co więc było wyobrażać sobie, że jej losy mogłyby potoczyć się inaczej? — Miło byłoby zamieszkać w Ameryce z jego liczną rodziną — dodała z nadzieją, że zrobi Olivii przyjemność.

— „Miło” to za mało powiedziane. To byłoby idealne życie. Kiedyś chciałam nawiązać kontakt z rodziną Toma, a nawet ją odwiedzić. — Uśmiechnęła się bledo. — Ale trochę się denerwowałam. Pewnie czułabym się jak intruz. Potem poznałam męża. Kiedy zmarł, było już za późno...

— Może jeszcze herbaty?

— Z chęcią, skarbie.

A kiedy Ruby wróciła z herbatą, Olivia spytała:

— Myślisz czasem o tym, by ponownie wyjść za mąż?

— Nie wiem. Nie bardzo jest kiedy o tym myśleć. Zawsze mam pełne ręce roboty.

— Chciałabym, żebyś poukładała sobie życie, zanim... — przerwała. — Szkoda, że Chris okazał się taki głupi.

— Głupi? — Zawsze uważała, że Chris Ryan był wyjątkowo rozsądny.

— Jak można zostawić kobietę za to, że nade wszystko kocha swoje córki?! Na co on liczył? Że przelejesz te uczucia na niego? — Nerwowym ruchem strząsnęła popiół z papierosa do popielniczki. — Próżność męska nie zna granic. Czy nadal utrzymujesz z nim kontakt?

— Widziałam się z nim wiele razy. To brat Ellie White. Rozmawialiśmy trochę, ale tylko grzecznościowo. Wkrótce się żeni. Jego przyszłej żony nie znam.

— A ten Matthew? Za każdym razem, kiedy do was przychodzę, zawsze go spotykam.

Ruby roześmiała się.

— Dlaczego aż tak bardzo zależy ci, żebym wyszła za mąż?

— Mówiłam już: chcę, żebyś ułożyła sobie życie. Matthew wydaje mi się bardzo sympatyczny. Z tego, co mi wiadomo, jest też bardzo bogaty.

— I żonaty. Przynajmniej do niedawna. Właśnie się rozwiódł. Czasem proponuje mi spotkanie, ale zawsze odmawiam.

— Dlaczego?

— Dlatego, że on mi się nie podoba — odparła zwyczajnie. — Po części dzieli nas wspólna przeszłość. Jestem jedyną osobą, z którą może o tym porozmawiać, i po to tu przychodzi. Zaczął nas traktować jak rodzinę zastępczą.

— Nie zawsze można uciec od przeszłości — powiedziała Olivia cichym głosem.

— Tak czy siak, Matthew jest już związany z jakąś kobietą. Obawiam się więc, Olivio, że obecnie nie mam na oku żadnych kandydatów na męża. Ani też specjalnie się tym nie przejmuję.

Twarz Olivii przybrała wyraz zadowolenia. Było tak za każdym razem, kiedy Ruby wypowiadała jej imię. Obcasem zdeptała wypalonego papierosa i zapaliła następnego.

— Opowiedz mi o swoim mężu. Niewiele o nim mówisz.

— O Jacobie? A co tu dużo mówić? — Ruby łamała sobie głowę, usiłując wymyślić choć jedną rzecz, którą mogłaby o nim powiedzieć, nie wyjawiając przy tym, jak bardzo był beznadziejny. Opowiedziała o tym, jak poznali się na farmie państwa Humble i jak wzięli fałszywy ślub. Namyślała różnych rzeczy o Foster Court, czyniąc z niego całkiem przyzwoite miejsce. Ukryła fakt, że pracowała jako sprzątaczką — Olivia wiedziała bowiem, że Ruby prowadziła kiedyś lombard. Potem matka wypytowała ją jeszcze o klasztor, o Emily i o Beth.

— Beth musi być bardzo miłą dziewczyną. Szkoda, że wyjechała.

— O, tak. — Odpowiadając na tyle pytań, Ruby dostała chryпки. Mówiła godzinami. Już wcześniej rozmawiały o tych samych ludziach i wydarzeniach, ale dziś Olivia chciała znać każdy najdrobniejszy szczegół. — Muszę odebrać dzieci ze szkoły. Może pójdziesz ze mną?

— Nie, dziękuję. Posiedzę tu sobie i zaczekam, aż wrócisz. Jestem trochę zmęczona. — Miała zapadłe policzki i sińce pod oczami. — Ładna suknia, skarbie. Miałam ci to powiedzieć już wcześniej — dodała, kiedy Ruby podniosła się z krzesła.

— Kupiłam ją w szóste urodziny bliźniaczek. Zostawiłam dom na głowie córek, a sama poszłam na zakupy. Rzadka okazja. Wreszcie przypomniałam sobie, jak wygląda miasto. — Przez całe lata zdawało jej się, że Liverpool to tylko park, szkoła i sklepy przy Ullet Road. — Muszę częściej tam jeździć.

— Czas najwyższy rozwinąć trochę skrzydła. Ładnie ci w tym kolorze.

Suknia uszyta była z wysokiego gatunku prążkowanego aksamitu koloru wina. Miała kaptur i krótkie rękawy.

— Emily zawsze mówiła, że mam okropny gust, jeśli chodzi o ubiór.

— Emily nie wiedziała, co mówi...

Przyprowadziwszy wnuczki ze szkoły, Ruby ujrzała trzy siedzące na stole kuchennym duże lalki w pięknych strojach. Olivia parzyła w dzbanku herbatę.

— Są identyczne. Nie chciałam prowokować kłótni — powiedziała. — To wasze prezenty urodzinowe — zwróciła się do dziewczynek. — Przepraszam, że spóźnione. Jedna z lalek jest dla Daisy.

Dziewczynki pochwytyły lalki, wydając z siebie okrzyki radości.

— Dlaczego Daisy dostaje prezenty na nasze urodziny? My na jej urodziny nic nie dostajemy.

— Bo inaczej Daisy byłoby smutno.

— A jeśli mnie i Moirze też jest smutno?

— A jest?

— Nie — odparła Ellie po długim namyśle.

— No, to teraz znasz już odpowiedź. Czy podziękowałyście Olivii za te piękne prezenty?

— Dziękujemy, Olivio — powiedziały chóralnie. Nie miały dość czasu na to, by bardziej zżyć się z prababcią, ale zawsze cieszyły się na jej przyjście, podobnie jak Greta i Heather, którym Ruby przedstawiła Olivię jako „znajomą z dawnych lat” — kogoś, kogo znała jeszcze za czasów, kiedy mieszkała wraz z Emily w Brambles.

Olivia z dziećmi poszła do pokoju. Parząc herbatę, Ruby zastanawiała się, dlaczego matka jeszcze tu jest. Zazwyczaj przychodziła tylko na parę godzin. Do Bath był kawałek drogi. Czekala ją długa jazda samochodem, a mówiła, że jest już zmęczona...

O tej porze dnia Ruby miała urwanie głowy. Dzieci zjadły obiad i wróciły do pokoju na telewizję, a Olivia usiadła w kuchni, paląc jednego papierosa za drugim, i przypatrywała się, jak jej córka przyrządza kolejny posiłek.

— Może jednak coś zjesz? — spytała ją Ruby.

— Nie, kochanie. Nawet nie jestem głodna. Napiłabym się jeszcze herbaty. Zaczekam i przywitam się jeszcze z Gretą i Heather, a potem pójdę. — Spojrzała na górę ziemniaków, które Ruby wysypała do obierania. — Podziwiam cię, że robisz to co wieczór.

— Oprócz niedzieli, bo wtedy studenci jedzą gdzie indziej, a dziewczęta zajmują się gotowaniem. W czasie wojny zdarzało mi się gotować obiady dla dwunastu i więcej osób.

— Ja z kolei pomagałam przy Czerwonym Krzyżu. Przeważnie opatrywałam rany. Miałam kwalifikacje, ale przez piętnaście lat nie pracowałam w zawodzie pielęgniarki.

Ruby zastęła na chwilę, w jednej ręce trzymając ziemniak, a w drugiej nóż.

— W życiu nie mogłabym być pielęgniarką. Brakowałoby mi cierpliwości do chorych, szczególnie tych, którzy stan się nie poprawia.

— Nie brakowało ci cierpliwości do Greta, kiedy była chora.

— Rodzina to co innego. Dla rodziny zrobiłabym wszystko, ale nie dla obcych.

— Dzięki Bogu, jestem rodziną — powiedziała Olivia, wybuchając swym chrapliwym śmiechem. — Ale i tak nie do końca wierzę w to, co mówisz. Zajmujesz się studentami, pomagałaś ludziom w czasie wojny.

— Tak, ale robiłam to z niechęcią.

Wymieniły uśmiechy. Ruby pomyślała, że właściwie dobrze się czuje w towarzystwie matki. Sprawiała, że było jej rażniej w kuchni. Po raz pierwszy doświadczyła czegoś, co mogło być zaczątkiem rodzącej się między nią a Olivią więzi.

— Niedługo musisz znowu nas odwiedzić — powiedziała.

Matka najwyraźniej czuła to samo. Jednakże z jakiegoś powodu nagle posmutniała.

— Przyjdę możliwie jak najszybciej — odpowiedziała.

W pierwszy dzień świąt zatelefonowała Beth Oznajmiła, że została babcią i że było to dla niej dziwne uczucie.

— Szybko się przyzwyczaisz — zapewniła ją Ruby. — Która u was jest godzina?

— Ósma rano. Właśnie się obudziłam. Zapowiada się piękny dzień.  
— A u nas zaraz będzie podwieczorek. Przyszli już państwo White i państwo Donovan. Za oknami jest już ciemno, skrzypi mróz i pada śnieg.

— To niedorzeczne, ale wolałabym być teraz w Liverpoolu, skoro mówisz, że u was pada śnieg.

— Ja też bardzo bym chciała, żebyś tu była.

— Och! — westchnęła Beth. — Powiedz, jak ci minął dzień?

— Wspaniale. Dzieci szalenie cieszą się prezentami.

Matthew kupił im dziecięcą maszynę do pisania. Czuła się zobowiązana zaprosić go na obiad.

— Wszystko nam się jakoś pomyślnie ułożyło, prawda, Ruby?

— Tak, Beth, Całe szczęście. Wesołych świąt!

— I nawzajem.

Nadszedł czwarty dzień po Bożym Narodzeniu. Greta i Heather wróciły już do pracy. Dzieci rzucały się śnieżkami w ogrodzie, a Ruby przygotowywała kolejną porcję pasztecików, za którymi wszyscy przepadali. Nagle zadzwonił telefon.

— Dzień dobry. O, choroba! Wszystko mi się klei od tego ciasta.

— Halo? — odezwał się w słuchawce kobiecy głos, uprzejmy, aczkolwiek bez wyrazu.

— Przepraszam, ale właśnie piekę i zapomniałam wytrzeć ręce. Dzień dobry, dzień dobry.

— Czy pani O'Hagan?

— Tak, przy telefonie.

— Mama zostawiła w notatniku kartkę, na której napisała, żeby się z panią skontaktować w razie, gdyby coś się stało. Z przykrością muszę panią powiadomić, że mama zmarła rano w pierwszy dzień świąt.

— Kto mówi? Obawiam się, że nie wiem, o co chodzi.

— Jestem Irene Clark, córka Olivii Appleby. Mama nigdy przedtem nie wspominała o pani. Znaleźliśmy tylko kartkę w notatniku... — mówiła monotonnym głosem.

— Olivia nie żyje? — spytała Ruby, zaskoczona do utraty tchu.

— Pani była jej znajomą?

— Tak.

— Więc nie powinna się pani tak dziwić. Ona już od miesięcy wiedziała, że umiera. To przez te papierosy! Przez kilka lat paliła osiemdziesiąt dziennie. Kiedy ostatnio pani się z nią widziała?



— We wrześniu.

— W takim razie była pani jedną z ostatnich osób, które ją odwiedziły.

— Prawdę mówiąc, to ona odwiedziła mnie.

— To nieprawdopodobne. A tak przy okazji: gdzie pani mieszka? Wyświetla mi się numer zamiejscowy.

— W Liverpoolu.

— W Liverpoolu?! I mama przejechała cały szmat drogi stąd do Liverpoolu jeszcze we wrześniu? Czy jest pani pewna, że to było w tym roku?

— Niezupełnie. — Ruby nie miała ochoty się wykłócać. Nie podobała jej się ten monotony głos bez wyrazu. Nie zdradzała ani krzty żalu z powodu śmierci matki.

— Tak czy inaczej, informuję panią zgodnie z tym, o co prosiła mnie mama. Pogrzeb w poniedziałek. Może zechce pani się pojawić.

— To raczej niemożliwe. Bardzo mi przykro z powodu pani matki. Dziękuję za informację. — Ruby odłożyła słuchawkę i wróciła do kuchni. Energicznie ugniotła ciasto, po czym równie zawzięcie je rozwałkowała.

Za późno. Na takie myśli zawsze jest za późno. Zrozumiała, że zmarnowała swoją szansę poznania matki bliżej. Biedna Olivia. Uśmiechała się tak słodko, a jednocześnie tak smutno. Najpierw straciła kochanka, a potem wyrwano jej z rąk jej własne nowo narodzone dziecko. Ruby zadawała sobie w myślach pytanie: czy aż tak trudno było okazać jej trochę więcej sympatii, przyjaźni, miłości? Sumienie gryzło ją aż do bólu. Oskarżała siebie o hipokryzję. Było tyle okazji, żeby dać Olivii szansę, a Ruby nie skorzystała z żadnej z nich. Nie było sensu płakać nad rozlanym mlekiem, ale łzy same napływały jej do oczu. Ruby otarła je białą od mąki dłonią. Może powinna zatelefonować do rodziny Olivii, porozmawiać z Irene i przeprosić ją za to, że potraktowała ją tak sucho. Jak można oskarżać kobietę o brak uczuć tylko dlatego, że ma monotony głos? Może ton jej głosu właśnie spowodowany był przygnębieniem.

— Ach, jakąż jestem okropna! — jęknęła głośno Ruby. — Z biegiem lat staję się coraz gorsza.

Do domu wbiegły dzieci. Miały przemoczone rękawiczki i zaczerwienione jak wisienki nosy. Ich twarzyczki tryskały zdrowiem. Daisy głośno pociągała nosem. Była bliska płaczu, który usiłowała stłumić. Ellie właśnie wrzuciła jej śnieżkę za koszulę. W nieoczekiwanym przypiętywie czułości Ruby mocno przytuliła do siebie wszystkie trzy dziewczynki, nawet małą, nieznośną Ellie.

Pod koniec roku Greta i Heather zostały wykwalifikowanymi stenotypistkami. Greta zmieniła pracę, a Heather awansowała na stanowisko sekretarza w firmie prawniczej i podjęła naukę, by zostać urzędnikiem sądowym.

W 1968 roku najmłodszy syn Beth, Seymour, dostał się na uniwersytet w Liverpoolu. Zamieszkał, rzecz jasna, u O'Haganów. Miał osiemnaście lat. W nowym kraju czuł się obco. Wyjechał jednak, żeby uniknąć wezwania do wojska. Za oceanem szykowano się właśnie do okrutnej i bezwzględnej wojny: Ameryka podjęła próbę wyrwania północnego Wietnamu z rąk komunistycznej władzy. Daniel Lefarge nie mógł zdobyć się na poświęcenie syna w wojnie, którą jego zdaniem toczyli tylko biali. Co do tego on i Beth byli całkowicie zgodni.

Seymour był nieśmiały i zamknięty w sobie. Ani trochę nie przypominał swego przybranego brata, Jake'a. Pilnie się uczył w pokoju na piętrze, ale o dziewiątej zawsze schodził na wiadomości. Bez słowa oglądał materiały filmowe o studentach protestujących w jego kraju przeciwko wojnie oraz sceny walki, przy których podawano liczbę ofiar.

Minęły długie, letnie wakacje. Seymour nie wrócił na uczelnię, by rozpocząć drugi rok studiów. W pokoju na piętrze nie było już jego rzeczy. Na łóżku leżał list następującej treści:

*Jestem tchórzem. Tak dalek być nie może. Kiedy to przeczytacie, będę w Ambasadzie Amerykańskiej w Londynie. Przekażcie, proszę, mojemu ojcu, że skoro przez całe życie uczył mnie walczyć, nie może ode mnie oczekiwać, bym powstrzymał się od walki tylko dlatego, żeby sprawić mu przyjemność. Muszę walczyć o swój kraj, bo inaczej do końca życia nie będę mógł na siebie patrzeć. Powiedzcie mamie, że ją kocham.*

W styczniu 1970 roku, zaraz na początku nowej dekady, szeregowy Seymour Lefarge poległ w dżungli w południowym Wietnamie. Przez długi czas Beth była niepocieszona, aż wreszcie oddaliła od siebie wspomnienie o synu, by wracać do niego tylko w chwilach samotności. Daniel nigdy nie pogodził się ze śmiercią Seymoura. Od chwili, kiedy otrzymał tragiczną wiadomość, bardzo się zmienił.

Ruby biernie śledziła wydarzenia lat sześćdziesiątych. Ze względu na swój wiek nie chodziła do pubu Cavern ani na koncerty muzyki pop, które odbywały się na otwartej przestrzeni, a w trakcie których noszono

we włosach kwiaty i śpiewano piosenki o miłości i pokoju. To, co działo się przy Carnaby Street, mogło równie dobrze dziać się na księżycu. Muzykę z Liverpool Sound można było usłyszeć na całym świecie, a Ruby znała ją jedynie z listy przebojów „hitów muzyki pop”.

Mimo wszystko w pełni zdawała sobie sprawę z tego, iż lata sześćdziesiąte przyniosły ze sobą gwałtowne zmiany i burzliwe momenty. Był to czas walki o ideały. Lata siedemdziesiąte szokowały okropieństwem przemocy. Narastał konflikt w Wietnamie, wybuchło mnóstwo wojen, porywano i mordowano polityków, uprowadzano samoloty. W konsekwencji zamieszek w Północnej Irlandii na teren Wielkiej Brytanii spadło kilka bomb, zabijając lub raniąc niewinnych obywateli.

Ruby przywołała w pamięci dzień, kiedy jej kraj wypowiedział wojnę Niemcom. Ona i Beth spacerowały wtedy z dziećmi w Parku Księżąt. Jakże siedział jeszcze w wózku. Jakże bardzo obawiała się wówczas o losy dzieci. Teraz, po trzydziestu kilku latach, Ruby zastanawiała się, na jakim świecie przyjdzie żyć jej wnuczkom, kiedy już dorosną...

# DAISY I BLIŹNIACZKI

## Rozdział 13

1975-1981

Daisy myślała o Clincie z politowaniem. Uważała, że miał problem: był zbyt uprzejmy. Nigdy nawet nie przyszłoby mu do głowy powiedzieć Ellie, że się spieszy. A chcąc zdążyć na film, powinni za chwilę wyjść. Daisy tak bardzo pragnęła obejrzeć *Ojca chrzestnego 2* i szkoda byłoby przegapić choćby minutę. Jeśli się spóźnią, pójdą pewnie na jakiś inny film. Nie wiedziała nawet, co jeszcze grają w kinie.

Czy nikt inny poza nią nie potrafi odczytać prawdziwych intencji kuzynki? Czy tylko ona jedna przekonała się o tym, jak wredna jest Ellie? Czy ani ciocia Greta, ani Moira, ani nawet jej rodzona matka nie widzą, jak idiotycznie Ellie zachowuje się wobec Clinty, jak przymila się do niego, jak udaje bezradną i słodkim głosem prosi go, by naprawił jej radio akurat wtedy, kiedy Clint i Daisy właśnie wychodzą? Przecież z natury Ellie nie jest wcale ani taka milutka, ani w najmniejszym stopniu bezradna. Może babcia Ruby powiedziała by coś, gdyby to widziała, ale była w kuchni i zmywała naczynia. Nikt nawet nie zauważył, że Daisy pobiegła do sypialni, by dać upust swoim emocjom i wypłakać się w samotności.

Mogła, rzecz jasna, zareagować i zwrócić uwagę Ellie, ale obawiała się, że wypadnie wtedy dużo gorzej na tle uroczej, bezradnej kuzyneczki, która w obecności Clinty zawsze była słodziutką jak cukierek. Daisy słyszała jej chichot. Zachowywała się niczym mała dziewczynka. A Clint jej ulegał i naprawiał jakieś radio, o którym miał tak samo mgliste pojęcie, jak Daisy.

W drzwiach sypialni pojawiła się babcia Ruby.

- Jeszcze tu jesteś, skarbie? Spóźnicie się.
- Czekam na Clinty — odparła Daisy głosem cierpiętnicy.
- Powiem mu, żeby się pospieszył.

W kilka sekund później zjawił się Clint. Był tak niewiarygodnie przystojny, że Daisy zaparło dech.

— Musimy pędzić — powiedział, jak gdyby to ona była powodem opóźnienia.

— I tak jest już za późno — odpowiedziała mu łagodnym tonem, choć miała ochotę wrzasnąć. — Nie zdążymy. Film zaczyna się kwadrans po siódmej.

— Tak jest w programie, Daisy. Spóźnimy się tylko na zapowiedzi filmowe i reklamy. Film zacznie się dopiero o wpół do ósmej...

Dotarli w samą porę. W kinie Odeon panował tłok. Można by pomyśleć, że akurat tego dnia wszyscy mieszkańcy Liverpoolu postanowili obejrzeć *Ojca chrzestnego 2*. Daisy i Clint zmuszeni byli siedzieć osobno. Daisy nie kryła rozczarowania.

Po filmie poszli do restauracji McDonald's na koktajl mleczno-czekoladowy i Daisy od razu poprawił się humor. W towarzystwie Clint'a czuła się doskonale. Polubiła go zaraz pierwszego dnia w szkole. Był wtedy małym chłopcem, nieśmiałym i niezdarkim jak ona sama, dlatego natychmiast poczuła do niego sympatię. Ucieszyła się ogromnie, kiedy się zaprzyjaźnili, choć Ellie zawsze zatruwała jej życie, chcąc mieć Clint'a na swoją wyłączność. Odcigała go od Daisy i zawsze wchodziła im w drogę, kiedy byli sami.

Będąc w towarzystwie Daisy, Clint wolał spędzać czas w ciszy i spokoju; razem przeważnie rysowali lub malowali. Trudno mu było jednak oprzeć się Ellie, która namawiała go na skakanie przez plecy albo chodzenie po drzewach. Każde z nich ukończyło właśnie siedemnasty rok życia, a Ellie wymyślała coraz to bardziej wyszukane preteksty, by odciągnąć uwagę Clint'a od Daisy. Jednym z nich było zepsute radio, choć Daisy w duchu podejrzewała, że tak naprawdę wszystko było z nim w porządku.

Ani się obejrzała, jak w ciągu tych dwunastu lat zakochała się w Clinicie Shaw. Nie bardzo wiedziała jednak, jakie były jego uczucia względem niej. Rzecz jasna, lubił ją. Była przecież jego najbliższą przyjaciółką. Ale czy kiedykolwiek myślał o tym, by spędzić z nią całe swoje życie? Tego Daisy nie wiedziała. Trwając w nieustannym oczekiwaniu, co noc modliła się o to, żeby Clint wreszcie się jej oświadczył, żeby chociaż się zaręczyli. Obawiała się, że któregoś dnia czar między nimi prysnie, bo Clint przekona się o tym, jak bardzo jest przystojny, zostawi Daisy i znajdzie sobie kogoś równie atrakcyjnego. Na przykład Ellie.

Zaczęli rozmawiać o filmie. Zdaniem Clint a druga część *Ojca chrzestnego* była jeszcze lepsza niż pierwsza. Daisy udawała, że film jej się podobał, bo nie chciała psuć nastroju, wyznając, co naprawdę czuła.

— Uważam, że Robert DeNiro był świetny — mówił z entuzjazmem Clint. Był wielkim kinomanem i bardzo chciał wyjechać do Hollywood, by zostać producentem filmowym, choć nigdy nie wspomniał o tym, że zabierze ze sobą Daisy.

— Zgadzam się, ale wolę część pierwszą.

— Dlaczego? — zainteresował się Clint. Zawsze był ciekaw jej opinii.

— Bardziej trzymała w napięciu. Pamiętam, że przez cały film siedziałam na krawędzi krzesła i omal z niego nie spadłam.

— Może masz rację — zgodził się, kiwając głową, choć nadal utrzymywał, że druga część zrobiła na nim większe wrażenie niż pierwsza.

Wypili jeszcze jeden koktajl, tym razem mleczno-truskawkowy, a potem Clint odprowadził ją do domu. Przy bramie objął ją wpół i pośpiesznie pocałował w usta. Ku rozczarowaniu Daisy, był to jego jedyny gest czułości względem niej. Niekiedy po głowie krążył jej przerażająca myśl, że traktował ją jak siostrę i że między nimi już nigdy do niczego nie dojdzie.

**Wszyscy** oprócz babci Ruby poszli spać. Babcia siedziała na kanapie i oglądała w telewizji stary film, poklepując dłońią siedzenie obok.

— Zaraz się skończy — powiedziała. — Widziałam ten film jeszcze przed wojną razem z Beth.

— Jaki tytuł? — spytała Daisy, żeby później powiedzieć Clintowi.

— *W niewoli uczuć*. Z Bette Davis i Leslie Howardem w rolach głównych. Beth i ja wypłakiwałyśmy oczy.

Na gzymsie kominka stała fotografia Beth z Waszyngtonu. Trzymała plakat informujący o solidarności z kobietami Trzeciego Świata. Ruby nie mogła się nadziwić, że ta niegdyś skromna i cicha kobieta zmieniła się nagle w agitatorkę polityczną i brała udział w marszach i demonstracjach.

Po filmie babcia, pociągając nosem, wyłączyła telewizor.

— Zdążyliście na film? — spytała.

— Właściwie tak. Ale mieliśmy osobne miejsca.

— Och! — Babcia ścisnęła ją za rękę. — Ellie już taka jest, wiesz przecież. Lubi być w centrum uwagi. Chce, żeby wszyscy ją dostrzegali.

— Gdybym ja zachowywała się w ten sposób, nikt by nawet nie zauważył. Oczywiście wszystkich zwrócone są na Ellie.

— Nie sędę. Clint to miły, uczynny chłopiec, który nie umie odmawiać. Prędzej czy później zrozumie, co jest dla niego najważniejsze. Nie przejmuj się — dodała, ziewając. — No, chyba pójdę już spać. Chcesz kakao?

— Tak, ale sama je zrobię — odparła Daisy. Babcia zajmowała się nimi na co dzień i z pewnością dość już się napracowała. Od czasu do czasu potrzebowała kogoś, kto dla odmiany zrobi coś dla niej.

W kuchni była Ellie w towarzystwie jednego ze studentów — Irlandczyka imieniem Liam. Daisy zdziwiła się na ich widok. Student zapewne przyszedł coś przekąsić. Był niesamowicie przystojny. Miał rude włosy o złotawym odcieniu — ładniejszym niż marchewkowy kolor włosów Daisy. Babcia zastrzegała się, że w przyszłym roku przyjmie na stancję wyjątkownie panny i ukróci całe to flirtowanie.

— Ci chłopcy na pewno czują się jak w siódmym niebie. Mieszkają pod jednym dachem z trzema urodziwymi nastolatkami — mawiała babcia przy Daisy, okazując jej uprzejmość, gdyż o Daisy w żadnym wypadku nie można było powiedzieć, że jest urodziwa. Ponadto była duża i silna jak dąb. Studenci zawsze zapraszali Ellie i Moirę na imprezy organizowane przez uniwersytet — dyskoteki i koncerty. Daisy i tak by nie poszła, bo umawiała się tylko z Clintem, ale miło byłoby zostać zaproszoną.

Kiedy weszła do kuchni, Ellie zignorowała ją, a Liam uśmiechnął się sympatycznie. Daisy wzięła czajnik i odkręciła wodę. Liam spytał ją, z jakich przedmiotów zdaje maturę.

— Z żadnego — odparła. — Ja już pracuję.

— Musiała odejść ze szkoły, jak miała szesnaście lat, bo nie zaliczyła żadnego przedmiotu — wtrąciła się Ellie.

— Zaliczyłam plastykę — odparła Daisy na swoją obronę. Jej twarz oblała się rumieńcem.

— E, tam! Plastykę! — powiedziała Ellie, dając do zrozumienia, że plastyka w ogóle nie liczy się jako przedmiot.

— Nie każdy jest geniuszem — odparł Liam rozsądnym tonem.

Poziom inteligencji Daisy był wprost proporcjonalny do jej wyglądu: mniej niż przeciętny. Starła się uczyć, ale nie rozumiała słów, które czyta. Zdawało jej się, że skaczą po całej stronie. Wychowawczynie powiedziały, że nie było sensu przygotowywać jej do matury razem z bliźniaczkami. Kiedyś zasugerowano nawet, żeby posłać Daisy do szkoły specjalnej, ale babcia kategorycznie odmówiła. Zatrudnił ją wujek Mat, choć Daisy miała wrażenie, że zrobił to tylko dlatego, by wyświadczyć przysługę babci Ruby. Praca w biurze szła jej tak samo kiepsko, jak nauka. Clint

także miał zdawać maturę. Wszyscy mówili tylko i wyłącznie o wybranych przedmiotach. Daisy czuła się wyłączona z obiegu. W dodatku Clint i Ellie chodzili na angielski do tej samej grupy.

„O, Boże! — pomyślała Daisy, zaciskając zęby. — Życie to wieczna *udręka!*”

— Robisz kakao? — spytała Ellie.

— Tak.

— To przy okazji zrób też dla nas. Chcesz kakao, Liam?

— Chyba nie odmówię. — Miał piękny, melodyjny, irlandzki akcent.

Obrażona, zdecydowanym gestem postawiła przed nim kubek. Kulturalnie jej podziękował. Za to Ellie wzięła swoje kakao, nie odezwawszy się ani słowem.

Dlaczego jesteś dla niej taka niemiła? — spytał Liam, kiedy Daisy wyszła z kuchni.

— Byłam niemiła? — spytała Ellie ze zdziwieniem w oczach. Przecież zawsze rozmawiała z Daisy w ten sposób.

— Powiedziałbym, że tak.

— Ona trochę działa mi na nerwy — odpowiedziała Ellie po krótkim namyśle. — To nudziara. Zawsze taka była. Jest opóźniona i gamoniowata. Zamiast mózgu ma sieczkę.

Ellie za nic w świecie nie mogła pojąć, co Clint widzi w Daisy.

— Nie chciałbym z tobą zadzierać — powiedział Liam, udając, że trzęsie się ze strachu.

— Nie udałoby ci się — odparła Ellie, prowokacyjnie wytykając język spomiędzy różowych warg. Celowo poruszyła nogą, by ich kolana dotknęły się pod stołem. Wszyscy w domu byłiby zbulwersowani dowiedziawszy się, że ci dwoje regularnie oddają się miłosnym rozkoszom.

Nikt nie wiedział też, że za dwa miesiące, po tym, jak Liam skończy studia, Ellie zamierza wyjechać do Dublinu razem z nim. O małżeństwie nie było mowy. Oboje przyznali zgodnie, że dalecy są od takiej decyzji. Była to dopiero pierwsza przyгода miłosna w życiu Ellie, a ona pragnęła doświadczyć ich wiele. Liam z kolei uważał, że żona i dzieci przeszkadzałyby mu w podróżach po świecie. Mówił płynnie po francusku i hiszpańsku; znał też podstawy niemieckiego i włoskiego.

Liam nie był pierwszym mężczyzną, z którym Ellie poszła do łóżka, choć zdecydowanie najstarszym i najprzystojniejszym. Przed nim było jeszcze dwóch: inny student oraz pewien chłopak ze szkoły. Ellie lubiła seks, ale bez przesady. Najbardziej ekscytowało ją ryzyko. Uwielbiała



dreszczyk emocji, uprawiając seks, kiedy za ścianą była babcia, a pozostali członkowie rodziny siedzieli w pokoju na parterze. Gdyby ktoś ją nakrył, rozpętałoby się prawdziwe piekło. I na tę myśl odczuwała silne podniecenie.

Liam wychylił się zza stołu i pocałował ją.

— Zobaczmy się później?

Ellie zachichotała.

— Być może.

Może tak, a może nie. Im dłużej będzie zwlekać, tym bardziej będzie jej pożądał, kiedy znów łaskawie zaszczyci go swoją obecnością w jego pokoju. Ależ to było ekscytujące!

Czy nasza Daisy przypadkiem się nie rozchorowała? — spytała Heather nazajutrz przy śniadaniu.

— To ty powinnaś wiedzieć, skarbie. To przecież twoja córka — odparła Ruby, która właśnie piekła całą masę tostów dla studentów.

— Dziś rano była taka cicha. — Daisy wychodziła z domu jako pierwsza. Główne biuro Matthew Doyle'a znajdowało się w Crosby. Dojeżdżała autobusem i pociągiem. — Może ta praca jej się nie podoba.

— Jak wróci, spytaj ją.

Niewykluczone, że Daisy martwiła się z powodu pracy. Z drugiej jednak strony przyczyną jej smutku mogli być Ellie albo Clint. A może przejmowała się wszystkim naraz.

— Dziś wieczorem mnie nie będzie. Idziemy z Gretą do Playhouse.

— Nie mogłybyście pójść do Playhouse kiedy indziej?

— Mamy już bilety — jęknęła żałośnie Greta.

— Ty z nią porozmawiaj, mamó. Dobrze? — zasugerowała Heather.

— No, siostrzyczko, idziemy?

— Wezmę tylko płaszcz.

— Greto, zanim wyjdziecie, przypomnij łaskawie bliźniaczkom, że czas już wstać — powiedziała Ruby, siłąc się na wyraźny sarkazm, który córka puściła mimo uszu.

— Oj, dobrze, mamó — powiedziała tonem osoby, która zgadza się wyświadczyć komuś przysługę.

Córki najwyraźniej uznały, iż opieka nad ich własnymi dziećmi należy do obowiązków tylko i wyłącznie ich matki. Ruby niejednokrotnie miała wrażenie, że to ona dziwnym trafem wydała na świat bliźniaczki i rudowłose dziecko.

Kiedyś w liście do Beth zapytała ją, co o tym wszystkim sądzi, na co Beth odpisała, że śmierć mężów po prostu wytrąciła dziewczęta z równowagi.

„Skoro los pozbawił je roli żon, obie chcą znów być tylko córkami — pisała. — Nie są gotowe do pełnienia roli matek. Matką jesteś ty, a więc to ty powinnaś opiekować się ich dziećmi. Zawsze ty zajmowałaś się wszystkim, kiedy dziewczęta były małe. Wydaje im się, że Daisy i bliźniaczki to twoje zmartwienie, nie ich”.

Z początku Ruby sądziła, że to nonsens, ale po chwili przyznała, iż było w tym trochę prawdy. Lepiej było przyjąć wersję Beth niż stale obwiniać się o to, że była wobec córek zbyt opiekuńcza.

Jak zwykle, pomachała im na pożegnanie. Idąc ścieżką, trzymały się pod rękę. W różowym futerku i butach na obcasach prawie czterdziestolatka Greta wyglądała z tyłu jak nastolatka. Heather robiła wrażenie kobiety, która poważnie myślała o karierze. Miała na sobie czarną garsonkę, a włosy spięte w kok, co nadawało jej odpowiednio surowy wygląd urzędniczki sądowej specjalizującej się w zatwierdzaniu testamentów. Heather miała już swoją własną sekretarkę, co napawało Ruby wielką dumą. Greta zaś wciąż pracowała jako stenotypistka i najwyraźniej nie zamierzała wspinać się na wyższe szczeble kariery.

Nagle rozległ się hałas, jak gdyby schodami w dół ruszyło stado słoń. Dwóch studentów, Frank i Muff, zjawiło się na śniadanie. Ruby pomyślała, że na ich widok ich matki zapewne przeżyłyby szok: obaj nieogoleni, nieuczesani, w brudnych ubraniach. Skoro jednak nie przynosili nic do prania, Ruby nie należała.

W październiku zacznie się nowy rok akademicki. Po raz kolejny rozważała przyjęcie na stancję wyłącznie dziewcząt, choć tak naprawdę wolała chłopców, bo poza tym, że pochłaniali ogromne ilości jedzenia, nie sprawiali żadnych kłopotów. Ostatnio jednak była trochę zaniepokojona.

Główna przyczyna jej niepokoju właśnie pojawiła się w kuchni.

— Dzień dobry — usłyszała w przelocie.

Liam Conway. Zdolny student filologii. Miał dwadzieścia jeden lat, pewnośc siebie czterdziestolatka, a przy tym obdarzony był niezwykłym urokiem osobistym. Ruby nie podobał się sposób, w jaki patrzył na Ellie. Ona także rzucała mu niepokojące spojrzenia. Ruby była przekonana, że coś między nimi zaszło.

Trzeba zatem dopilnować, by mieszkającym dotychczas pod jednym dachem trzem przystojnym kawalerom i trzem dorodnym pannom nie stwarzać już okoliczności, w których ulegaliby pokusie.

— Dzień dobry, babciu — powiedziała Ellie, sadowiac się przy stole. Do chwili przybycia Liama Conwaya miała zwyczaj spóźniania się na śniadanie. Teraz zawsze przychodziła na czas. Ruby poczuła się w obowiązku narzucić jej pewne zasady i nakazać jej, żeby na śniadanie przychodziła ubrana, a nie w szlafroku, który odwracał uwagę studentów od jedzenia. Dziś rano przyszła jednak już w ubraniu: miała na sobie cienką szkolną bluzkę, a pod nią biały, koronkowy stanik, który zdążył już przykuć uwagę Franka. Muff był zbyt zajęty jedzeniem, by podnieść na nią wzrok.

Liam nawet nie spojrzął w jej kierunku. Ruby uznała, że było to celowe zachowanie. Ellie zarzucała ostentacyjnie głową i mrugała swymi pięknymi, niebieskimi oczyma. Niby przypadkiem sięgnęła po mleko w tym samym momencie, żeby dotknąć jego ręki. Wtedy Liam skierował na nią swój wzrok. Ruby usiłowała odczytać wyraz jego twarzy. Przymrużył oczy. Spod przymkniętych powiek wpatrywał się w Ellie, przygryzając dolną wargę.

To było pożądanie! On patrzył na jej siedemnastoletnią wnuczkę z pożądaniem w oczach!

W głowie Ruby zapaliło się światełko ostrzegawcze. Postanowiła napisać do Beth.

Z okien trzypiętrowego biurowca w Crosby widać było rzekę Mersey. Daisy siedziała przy biurku, nie mogąc oderwać wzroku od wody, w której odbijały się delikatne promienie kwietniowego słońca. Niebo miało mdły, niebieskawy kolor, a płynące na nim chmury przypominały pasmo koronki.

Jakież piękny byłby to obraz: niebo miałoby ciemnoniebieski podkład, żółtą ochrą z białą lub chromowym oranżem namalowałyby piasek. Najtrudniejszym zadaniem byłoby oddać piękno srebrzystej wstęgi rzekł.

Piaszczystym brzegiem przechadzało się kilka osób: mężczyzna z psem, kobieta pchająca pusty wózek i dwoje biegających za nią dzieci. Pies wchodził do wody, po czym zwracał w kierunku właściciela, otrząsał się i znów się oddalał. Był to owczarek collie. Machając zawzięcie swym okazałym ogonem, najwyraźniej świetnie się bawił.

Dzieci zatrzymywały się, by podnieść z ziemi coś, co zanośli mamie, a ona wkładała wszystkie te zdobycze do reklamówki zawieszanej na ręczce wózka. Daisy pomyślała, że w reklamówce musi być mnóstwo muszelek, kamyczków, roślin oraz innych dziwacznych rzeczy, którymi dzieci będą bawiły się po powrocie do domu.

Westchnęła z zazdrością. Mając tak niewiele, oddałyby wszystko, by być jedną z osób spacerujących brzegiem rzeki, by pobiec do wody i pozbiierać muszelki.

Ciężko było zachować koncentrację, kiedy raj znajdował się zaledwie około pięćdziesiąt metrów stąd. A oto pojawił się statek, tankowiec. Daisy podparła głowę rękoma i zastanawiała się, dokąd płynie. Może do portu w jakimś egzotycznym kraju — tam, gdzie wszystko ma inny zapach, gdzie ludzie noszą dziwne ubrania i jeżdżą na wielbłądach.

Daisy bardziej niż kiedykolwiek pragnęła teraz znaleźć się gdzie indziej. Pragnienie było tak silne, że nieomalże dławiło ją w gardle.

— Może zabrałabyś się za sortowanie akt?

— Właśnie je przeglądałam — skłamała Daisy, przewracając leżący na biurku stos kartek. Wuj Mat zatrudnił ją, by pomagała jego sekretarce, która podobno miała za dużo na głowie. Z początku Theresa Frayn odnosiła się do niej z sympatią, ale po jakimś czasie zaczęła okazywać zniecierpliwienie, Daisy bowiem była strasznie powolna. Theresa nie mogła pojąć, że sortowanie akt lub napisanie na maszynie prostego listu zajmowało dziewczynie tyle czasu. Daisy wiedziała, że gdyby nie wuj Mat, już dawno straciłaby tę pracę.

Zabrała się za katorżnicze zadanie sortowania akt, układając kartki w porządku alfabetycznym. Theresa patrzyła na nią spode łba. Przystane listy nie sprawiały problemu: nagłówki były wyraźne, a treść łatwa do zrozumienia. Najgorzej szło z odbitymi przez kalkę odpowiedziami. Usiłując rozczytać poszczególne wyrazy, Daisy jak zwykle czuła się dezorientowana i miała wrażenie, że kula ziemską obraca się o sto osiemdziesiąt stopni.

— Dzień dobry, dziewczęta — powitał je wuj Mat. Właśnie przyszedł do biura. Miał na sobie dżinsy i grubą kurtkę, co oznaczało, że wybiera się dziś na teren budowy.

— Witaj, Matthew — odpowiedziała dziewczęcym głosem Theresa, trzepocząc rzęsami.

— Dzień dobry, panie Doyle. — Babcia kilkakrotnie prosiła, by w pracy Daisy nie zwracała się do niego „wujku Matt”.

— Herbaty! — zawołał, udając, że się dławi. — Oddam życie za filiżankę herbaty.

Theresa zerwała się z miejsca, jak zawsze gotowa spełnić życzenie przystojnego szefa.

— Pozwól, że Daisy to zrobi — rzekł wtedy wuj Matt i uśmiechnął się szeroko. — Nasza Daisy potrafi parzyć doskonałą herbatę.

Była to jedna z niewielu rzeczy, które jej wychodziły.

Dzień włókł się niemiłosiernie. Wuj Matt wyszedł z biura, na brzegu rzeki pojawili się kolejni ludzie, po lśniącej tafli wody przepłynęło jeszcze kilka statków. Niektóre przybijały do Liverpoolu, inne opuszczały port. Daisy przepisała plan budowy, ale wyszło jej to tak fatalnie, że Theresa Frayn podarła dokument na jej oczach.

— Zrobię to jeszcze raz. Sama — syknęła.

Podczas gdy Daisy męczyła się z maszyną do pisania, Ellie i Moira wracały właśnie do domu ze szkoły. Trzymały się pod rękę. Razem z nimi, po bokach, szło dwóch chłopaków, a dwóch innych ciągnęło się z tyłu, za dziewczynami. Bliźniaczki Donovan były najładniejsze spośród wszystkich dziewcząt w szóstej klasie. Ich wzajemne podobieństwo dodawało im uroku, którego żadnej z nich i tak nie brakowało. Zazwyczaj otaczał je krąg wielbicieli.

— Co robicie dziś wieczorem?

— Chcecie iść do dyskoteki?

— Może lepiej do kina? Kupimy wam czekoladki.

Chłopcom było wszystko jedno, która z bliźniaczek odpowiadała na ich pytania. Obie były jednakowo czarujące.

Ellie chichotała, a Moira zadzierała nosa. Za nic w świecie nie umówi się z chłopakiem w swoim wieku. Wolała starszych, bardziej oryginalnych. No, może oprócz wuja Matta, który miał już pięćdziesiąt jeden lat i był *za stary*, jak dotąd nie spotkała jeszcze żadnego mężczyzny w swoim guście. Wiedziała, że kiedyś w jej życiu pojawi się ten jeden, jedyny, choć nie było jej do tego spieszo. Przede wszystkim chciała zdać maturę, dostać się na studia i pracować jako nauczycielka. Dopiero po tym, jak zrealizuje swe ambicje i popracuje przez kilka lat, zastanowi się nad małżeństwem i założeniem rodziny.

— Ej, Ellie — zawołał zaczepnie jeden z chłopców. — Nie bądź taka. John Perry mówi, że jesteś łatwa.

Moira spojrzała na nią.

— Nie uważasz, że cię obraził? — spytała. Gdyby chłopak zwrócił się w ten sposób do niej, dostałby w twarz.

Ale siostra wzruszyła tylko ramionami. Szły dalej, milcząc, aż wreszcie Moira przerwała ciszę.

— A może to prawda?

Ellie nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się tylko. Zarzut siostry najwidoczniej nie wywołał w niej żadnych emocji.

— Wiem, że czasami chodzisz wieczorem do pokoju Liama Conwaya...

Moira miała bardzo płytki sen. Wystarczyło, że Ellie albo Daisy kręciły się w łózkach, a od razu się budziła. Już od kilku miesięcy słyszała, jak wieczorem siostra chodzi na piętro. Pokój Liama znajdował się nad ich sypialnią. Zaraz potem jego łóżko zaczynało skrzypieć. Po około godzinie Ellie wracała. Moira nie wspomniała o tym ani słowem, przekonana, iż nie należy wtrącać się w niczyje sprawy. Podobnie jak każdy, Ellie miała prawo żyć własnym życiem. Mogła spać z Liamem Conwayem, skoro tego chciała. Moira jednak trochę martwiła się tym, że siostra sypia z kim popadnie.

— Wygadasz? — spytała Ellie niewzruszonym tonem.

— Wiesz, że tego nie zrobię. — Moira nie miała w zwyczaju rozpowiadać tego, co usłyszała.

— Wszystko mijedno. Tak tylko spytałam. Powiem ci coś jeszcze, ale nikomu nie mów: w czerwcu Liam wyjeżdża do Dublina. Jadę z nim.

— A jeżeli cię nie puszczą?

— Nie mogą mi zabronić. Zresztą po co robić zamieszanie? Po prostu ucieknę.

— To byłoby bardzo nierozsądne, Ellie. — Moira nie lubiła się wtrącać, ale była bardzo zszokowana tym, co właśnie usłyszała. Uważała, że mimo wszystko trzeba mieć jakieś zasady. — Mama strasznie by się zmarzyła. Babci krwawiłoby serce.

Przez chwilę Ellie wyglądała na zmieszaną.

— Nie martw się. Ja przecież wrócę — zapewniła siostrę. — Dublin to dopiero pierwsza przygoda w moim życiu. A będzie ich jeszcze całe mnóstwo.

— I nie boisz się, że zajdziesz w ciążę z Liamem?

— Nie zajdę. Biorę pigułkę.

Moira nie potrafiła zrozumieć swej bliźniaczej siostry. Niekiedy zdawało jej się, że serce Ellie bije dwukrotnie szybciej niż u innych, że krew w jej żyłach krąży ze zdwojoną szybkością. Nie potrafiła usiedzieć w miejscu. Była zawsze niespokojna i niecierpliwa, wszędzie chciała być pierwsza. Uwielbiała być w centrum uwagi jako ta najgłośniejsza, najbystrzejsza, najodważniejsza ze wszystkich. Musiała mieć wszystko.

Mimo to nie była szczęśliwa. Moira jako jedyna rozumiała, że przyczyną gwałtownego temperamentu siostry było pragnienie zadowolenia, którego nie dało się zaspokoić w zwyczajny sposób. Ellie potrzebne były silne emocje. To dlatego przed kilkoma laty kradła ze szkoły różne rzeczy.

Na szczęście, sprawcy nigdy nie wykryto. Z tego powodu zaczęła też sypiać z chłopakami i myśleć o ucieczce.

— Zrobiłaś to z Johnem Perry?

— Tak.

— Gdzie?

— Za salą gimnastyczną, po lekcjach.

— A gdyby tak ktoś was zobaczył?! Wyrzuciliby cię ze szkoły i nie mogłabyś podejść do matury.

— No i co z tego? — zaśmiała się Ellie. — Poza tym nikt mnie nie widział, no nie?

Czasami Ellie obserwowała z okna sypialni, jak Clint odprowadzał Daisy do domu. Zawsze całował ją na pożegnanie. Ale tylko raz. Nie wiedział, co traci. Połowa dziewcząt z szóstej klasy podkochiwała się w nim i pozwoliłaby mu na dużo więcej niż tylko pocałunek.

Clint jednak trzymał się Daisy. Ellie na wszelkie sposoby dawała mu do zrozumienia, że jej się podoba. Była przekonana, że Clint jeszcze nigdy *tego* nie robił. Nic dziwnego; jego dziewczyną była przecież gamoniowata brzydula Daisy.

Przed wyjazdem do Dublina zrobi wszystko, żeby uwieść Clinta. Pokaże mu, co to znaczy kochać się z prawdziwą kobietą! Trudno będzie znaleźć odpowiedni moment, żeby byli sami, ale takie wyzwanie podniecało ją jeszcze bardziej.

Ellie zatarła dłonie. Już nie mogła się doczekać!

Ruby z przerażeniem wpatrywała się w obraz.

— Jest bardzo ładny, skarbie — powiedziała, siląc się na entuzjastyczny ton.

— To widok z okna mojego biura — wyjaśniła Daisy. — Namalowałam z pamięci.

— Piękny masz widok. Szczęściara z ciebie.

— Chyba tak — westchnęła. — Chociaż bardzo mnie ten widok rozprasza.

Daisy zawsze miała trudności z koncentracją przy pracy. Podobnie było w szkole. Uczyła się bardzo słabo. Jedynie z plastyki szło jej lepiej, co mogło wydawać się dziwne, sądząc po okropnych malowidłach. To ostatnie wyglądało szczególnie topornie: grubo nałożona farba przypominała smołę, zazwyczaj gładkie na obrazach niebo poryte było bruzdami, zaś wstęgę rzeki tworzyły białe i szare grudki. W wodzie stało jakieś

dziwaczne stworzenie, w którym Ruby po pewnym czasie rozpoznała psa. Z bryłek farby powstała na piasku pokraczna postać, która najprawdopodobniej przedstawiała właściciela zwierzęcia.

— Skarbie, co to jest? — spytała wnuczkę, wskazując na coś, co przypominało rozrzucone na brzegu rzeki odpady.

— To dzieci. Zbierają muszelki i inne rzeczy. A to ich matka, z wózkiem.

— Ten obrazek jest naprawdę bardzo ładny.

— To gdzie mam go powiesić? Trzeba tu jeszcze przymocować haczyki i kawałek sznurka. Ellie nie chce moich obrazów w naszej sypialni. Mówi, że są brzydkie.

— Powieszę go u siebie, dobrze? — Do pokoju Ruby trafiała większość nie oprawionych malowideł Daisy. Nawet Heather nie chciała, by obrazy córki wisiały na widocznym miejscu. Kilkoma z nich Ruby udekorowała ściany w pokoju studentów, gdzie nikomu nie wadziły.

— Na razie połóż go tutaj, skarbie — powiedziała.

— Dobrze, babciu — odparła radośnie Daisy. — I pójde posprzątać w altance.

Malowała w altance ogrodowej, gdzie wciąż znajdowały się narzędzia pani Hart, a wśród nich wałek, którego nie wolno było ruszać.

Nauczycielka plastyki, pani Kilfoyle, radziła posłać Daisy do szkoły plastycznej, ale Heather ostro się temu sprzeciwiła.

— Nie obchodzi mnie, co mówi pani Kilfoyle. Jest głupia jak but. Daisy po prostu nie przykłada się do nauki. Najwyższy czas, żeby porządnie zabrała się do pracy.

Daisy zgodziła się z potulną miną.

— Tak czy siak, po co mam zmieniać szkołę? — wyznała w rozmowie z babcią Ruby. Najwyraźniej dość już miała nauki. Do domu coraz częściej wracała obładowana pudełkami z farbą i arkuszami tektury. Zanosila je do altanki. Czasem panował tam straszny ziąb, a kiedy indziej duchota — w zależności od pogody.

Heather poczuła się w końcu winna za to, że wcześniej zlekceważyła potrzeby córki. — Ach, mamó! Nawet nie poprosiła, żeby jej coś kupić, tylko czekała, aż sama zarobi pieniądze. A ja sądziłam, że gimnazjum ukończyła fuksem.

Malowidła, jakie powstały w altance, dowiodły racji Heather: to, że Daisy zaliczyła gimnazjalne przedmioty, było czystym przypadkiem.

Serce bolało Ruby na widok nieszczęśliwej wnuczki. Jakże Daisy poradzi sobie w dorosłym życiu? Miała głęboką nadzieję, że wyjdzie za mąż



za Clinta. Był to naprawdę miły chłopak i najwyraźniej czuł do Daisy sympatię. Szkoda tylko, że przez to małżeństwo jego nieznośna matka, Pixie, stanie się członkiem rodziny.

Po skończonym posiłku Ruby pozmywała i wysuszyła naczynia. Kuchnia lśniła czystością jak nigdy. Ów widok wydawał się Ruby tak nienaturalny, że wzbudzał w niej lekką obawę. Daisy i Clint wyszli, bliźniaczki siedziały w sypialni i odrabiały lekcje. Wieczór zapowiadał się kusząco: poogląda telewizję z Gretą i Heather.

Ruby miała właśnie włączyć serial *Coronation Street*, kiedy usłyszała głos Heather.

— Mamo, muszę ci coś powiedzieć. Zarezerwowaaliśmy dziś z Gretą hotel na Korfu. W lipcu wyjeżdżamy na urlop, na dwa tygodnie.

— To miło z twojej strony, że mnie o tym informujesz — odparła chłodno Ruby. — Jak znikniecie na dwa tygodnie, przynajmniej będę wiedziała, gdzie jesteście.

Heather wyglądała na zaskoczoną.

— Nie sądziłyśmy, że sprawimy ci tym kłopot.

— A nie przyszło wam do głowy, żeby najpierw ustalić to ze mną? Przecież nie zabieracie ze sobą dzieci, prawda? Zostają ze mną?

— Nie stać by nas było na wakacje dla pięciu osób.

— Boże Świąty! Och, jak to dobrze, że macie dość pieniędzy, by pojechać we dwie. Mam nadzieję, że będziecie się świetnie bawić.

— Jeśli chcesz, zrezygnujemy z tego wyjazdu — rzekła szybko Greta, widząc, że matka najwyraźniej nie ucieszyła się z ich planów.

— Ale wtedy stracimy całą przedpłatę — uprzedziła Heather.

— Ani myślę krzyżować wam planów. Całe szczęście, że wasz wyjazd nie wypada w tym samym czasie, co mój. — Po raz pierwszy Ruby podjęła decyzję w natychmiastowym tempie.

— Wyjeżdżasz? — spytały obie córki, zachłyszawszy się ze zdziwienia.

— Tak. W czerwcu jadę na tydzień do Waszyngtonu odwiedzić Beth. Jest Międzynarodowy Rok Kobiet i w związku z tym dużo się tam teraz dzieje.

— Ale my nie poradzimy sobie bez ciebie — jęknęła Greta.

— Nonsens. Zresztą ja też będę musiała poradzić sobie bez was.

— A masz już bilet lotniczy? — dopytywała się Heather.

— Nie. Najpierw chciałam porozmawiać z wami — skłamała bezwstydnie Ruby. Jej pomoc i zaangażowanie stały się dla córek zbyt oczy-

wiste. Miała już tego dość. — Będziecie tylko musiały wstawać wcześniej rano, zrobić wszystkim śniadanie, a po powrocie do domu ugotować obiad. Przed wyjazdem zmienię pościel — zaproponowała ochoczo.

— A nie mogłabyś jechać w późniejszym terminie, tak jak my? Wtedy nie będzie już studentów.

— Czyżbyś nie wiedziała, Heather, że latem przyjmujemy studentów z zagranicy? Nie możemy pozwolić sobie na to, żeby przez trzy i pół miesiąca pokoje na piętrze stały puste. Potrzebujemy pieniędzy.

— Wiesz co, mamó? — odezwała się niezadowolona Greta. — Mogłybyśmy wreszcie mieć ten dom wyłącznie dla siebie. Anija, ani Heather nie pogardziłybyśmy własnym pokojem. Dziewczynki są już za duże na to, by tłoczyć się we trzy w jednej sypialni.

— To poproś swojego szefa o dwustuprocentową podwyżkę, a dom będzie nasz.

— Jesteś dzisiaj okropnie sarkastyczna, mamó. Przecież wystarczyłoby wynająć taniej inny dom.

— Z osobnymi pokojami dla każdej z nas sześciu? Czy ty spadłaś z drzewa, Greto?! — powiedziała Ruby, krztusząc się ze śmiechu.

— Poprosiłybyśmy wujka Matta, żeby obniżył nam czynsz.

— Ani się waż o tym myśleć! — krzyknęła Ruby, uderzając pięścią w oparcie sofy. Córki aż podskoczyły. — I tak mamy szczęście, że płacimy niski czynsz. To piękny dom i wcale nie jest tu ciasno. Mieszkacie tylko we dwie lub trzy w jednym pokoju. W dzisiejszych czasach Matthew sprzedałby ten dom za kilka tysięcy funtów. Przestańcie więc narzekać i cieszyć się z tego, co macie. A teraz pozwólcie, że włączę telewizor. Chcę obejrzeć *Coronation Street* i przegapiłam już połowę odcinka.

Jedną z lektur obowiązujących na egzaminie dojrzałości był *Raj utracony* Milтона. Ellie za nic w świecie nie mogła pojąć, o co w tym tekście chodzi: jakiś facet imieniem Belzebub przejmuje władzę nad piekłem. Po lekcjach zwróciła się więc do Clinta Shawa z zapytaniem, czy rozumiał treść tego dzieła.

— Taak — wyjąkał.

— To może pomógłbyś mi dziś wieczorem napisać wypracowanie? — spytała, patrząc na niego błagalnym wzrokiem i trzepocąc rzęsami. — Razem coś wymyślimy.

— Ja chciałbym to napisać zaraz po powrocie do domu. Wieczorem wychodzę z Daisy.

— W takim razie idę z tobą — odparła ochoczo. — Twoja mama chyba nie będzie miała nic przeciwko, prawda?

Nie był zachwycony jej pomysłem, jednak nigdy nie potrafił nikomu odmawiać.

— Mamy nie będzie w domu. Jest w pracy.

Ellie wiedziała o tym już wcześniej. To był idealny moment, żeby uwieść Clint. Los jej sprzyjał.

Państwo Shaw mieszkali w dzielnicy domów szeregowych przy Wavertree Road. Ruby doskonale znała tę ulicę jeszcze z czasów, kiedy prowadziła lombard, ale młodzi o tym nie wiedzieli. Ellie była już kiedyś w domu państwa Shaw. Uważała, że jest pretensjonalnie urządzone i przesadnie umeblowane.

— Lekcje odrabiam w kuchni — wymamrotał objaśniająco Clint.

— Żaden problem.

Rozłożyli podręczniki na seledynowym stole i usiedli na krzesłach o tym samym kolorze. Clint wyjaśnił, że w *Raju utraconym* opisany jest upadek człowieka, który okazał nieposłuszeństwo wobec praw boskich, a szatan usiłuje zemścić się za to, że został wyrzucony z raju.

— Kiedy ty to mówisz, wszystko wydaje się takie proste — powiedziała Ellie z zachwytem w głosie, wpatrując się w niego oczyma pełnymi podziwu.

Twarz Clint'a o gładkiej, jasnej cerze oblała się rumieńcem.

„Do licha, ależ on przystojny” — pomyślała. Ale czy on o tym wie? Mógłby przecież mieć każdą dziewczynę, tak jak inni chłopcy, którzy swoją atrakcyjnością nie dorównywali mu nawet w połowie. Miał jasne, gęste włosy. Były proste, z wyjątkiem delikatnie podwiniętych końcówek, które nie sięgały do kołnierza jego szkolnej kurtki, choć były na tyle długie, by nadać jego fryzurze modny wygląd. Miał idealne rysy twarzy: pięknie zarysowane brwi, szare oczy o rzęsach tak długich, że wiele kobiet dałoby wszystko, by takie mieć. Ellie jednak nie miała mu czego zazdrościć, gdyż jej rzęsy były tak samo gęste i długie. Clint miał prosty nos i lekko wydatne usta.

Babcia często zastanawiała się głośno, po kim Clint odziedziczył swą urodę. „Z pewnością nie po matce. — Ruby nie darzyła Pixie szczególnej sympatii. — Widocznie ma to po ojcu...” Brian Shaw był potężniejszy i charakteryzował się nieco bardziej surowym wyglądem niż syn.

— Czy mogę dostać szklanę wody?

— Może wolałabyś herbatę? — Wstał z krzesła.

— No jasne, ale pozwól, że ci pomogę — powiedziała Ellie, zrywając się z miejsca.

Stanęli przy zlewie. Ellie otarła się o niego, pierś dotykając jego ramienia. Speszony, odsunął się ostrożnie. Zachichotała. Wsunęła mu dłoń pod kurtkę i połaskotała go. Uniosła głowę, ugryzła go w ucho, po czym musnęła go wargami po policzku.

— Nie ogoliłeś się — szepnęła i mocno pocałowała go w usta.

Nigdy nie zapomni jego reakcji. Wzdrygnął się gwałtownie, jakby porażony prądem. Odepchnął ją.

— *Me rób tego!*

— Clint! Co z tobą? Przecież nic się nie stanie. — Podeszła do niego i wyciągnęła ręce, by objąć go za szyję, ale on chwycił ją za nadgarstki i mocno ścisnął.

— To boli — jęknęła dziecinnym tonem.

— Zostaw mnie — powiedziała i szybkim ruchem odepchnął jej ręce, jak gdyby nosiły ślady jakiejś zarazy. Na jego twarzy malował się wyraz obrzydzenia.

— Ale dlaczego? - spytała Ellie.

— Mam już dziewczynę, Daisy. Byłbym wobec niej nie w porządku.

Zapadła chwila ciszy, podczas której oboje patrzyli na siebie nawzajem. Nagle Ellie poczuła, jak przesywa ją zimny dreszcz. Zrozumiała.

— Wcale nie o to chodzi, prawda? — rzekła powoli. — Daisy nie ma z tym nic wspólnego. Ty po prostu nie lubisz kobiet. Jesteś gejem.

— Nie jesteś w moim typie. To wcale nie znaczy, że jestem gejem — burknął. Miał zde gustowaną minę i najwyraźniej było mu niedobrze.

— Masz rację — zgodziła się Ellie. — Bo tak naprawdę to żadna kobieta nie jest w twoim typie. I wszystko jasne — dodała, pakując książki do torby.

Clint drżał na całym ciele. Stał, oparty o zlew, kurczowo trzymając się rękoma, jakby nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Zbladł. Patrzył obłądnym, rozgorączkowanym wzrokiem.

— Nie mów o tym Daisy — błagał ochrypłym głosem. — *Proszę cię*, nie mów o tym nikomu. — W tonie jego głosu brzmiała ta sama rozpacz, którą Ellie widziała w jego oczach.

— Nie przejmuj się — uspokoiła go. Ogarnęło ją uczucie strachu i wstydu. — Będę milczeć jak grób.

Tego wieczoru Daisy wróciła do domu wcześniej, jeszcze zanim wszyscy poszli spać. Wbiegła do salonu jak burza. Jej oczy promieniały.

— Wiecie, co się stało? Nigdy nie zgadniecie — zawołała.

— Co? — spytali chórem.

Ellie milczała. Wiedziała już, co kuzynka ma im do powiedzenia.

— Nie byliśmy w kinie. Poszliśmy na spacer. Wtedy Clint poprosił mnie o rękę. Wkrótce się zaręczymy. W sobotę jedziemy do miasta po pierścionek. Jakiś niedrogi — dodała szybko — bo z kieszonkowego zostało mu tylko parę funtów.

— Ach, skarbie, to cudownie! — Babcia zerwała się z fotela i serdecznie uściskała Daisy. — Co ty o tym sądzisz, Heather?

Heather zasepiła się.

— Jesteś jeszcze bardzo młoda, Daisy.

— Ależ mam, nie pobierzemy się tak od razu. Zaczekamy, aż Clint skończy dwadzieścia jeden lat. Potem może zamieszkamy w Londynie. Tam będzie mu łatwiej znaleźć odpowiednią pracę. Chce pisać scenariusze, czy coś w tym rodzaju — powiedziała z błogim uśmiechem na twarzy.

— Moje gratulacje, Daisy! — Moira ucałowała ją w piegawaty policzek.

— Przyniosę sherry. Wzniesiemy toast — wykrzyknęła babcia. — Czy ktoś mógłby podać kieliszki? Jaka szkoda, że nie ma z nami Clint. Jemu też należałoby pogratulować.

— Sami wiecie, że Clint jest strasznie nieśmiały — rzekła Daisy z nutką zaborczości w głosie, po czym dokładnie przyjrzała się serdecznemu palcowi u lewej ręki, jak gdyby widniał już na nim tani pierścionek zaręczynowy.

— Życzę ci dużo szczęścia, Daisy. — Ellie pośpiesznie objęła kuzynkę ramionami. Nigdy nie poświęcała jej zbyt wiele czasu, ale bądź co bądź Daisy należała do rodziny, dlatego liczyła się dla Ellie bardziej niż Clint Shaw, który uznał dziewczynę za nieszkodliwą, a małżeństwo z nią traktował jak przykrywkę. Ellie zastanawiała się, czy zachować prawdę dla siebie przez wzgląd na szczęście Daisy, by mogła spełnić swe marzenie i wyjść za Clintę.

Nigdy przedtem nie widziała kuzynki tak promieniającej szczęściem, jak dziś. Nie mogła zdobyć się na powiedzenie prawdy. Po co wszystko psuć? Czy Daisy w ogóle ma pojęcie, kto to jest gej? Czy ktokolwiek, łącznie z Daisy, uwierzy jej, jeśli ujawni prawdę o Clincie? Co do tego Ellie miała wątpliwości.

## Rozdział 14

Tak bardzo pragnęła zobaczyć Biały Dom, Georgetown, pomnik Lincolna, wyruszyć w rejs rzeką Potomac do Mount Vernon, zwiedzić muzea i galerie sztuki. Nigdy nie przyszło jej do głowy zwiedzać własny kraj, ale teraz wyjeżdża na wakacje, a to zazwyczaj oznacza zwiedzanie. Kupiła więc przewodnik i spisała wszystkie miejsca, które chciała zobaczyć.

Beth niezmiernie cieszyła się na przyjazd Ruby do Waszyngtonu. Zarezerwowała jej pokój w hotelu. — Spodoba ci się, Ruby. Nie będziesz się nudziła. Poznasz wszystkich moich przyjaciół...

Jak zwykle, w swej garderobie Ruby nie znalazła odpowiednio eleganckich ubrań, co stanowiło dobry pretekst do zakupów. W jej wyjazd zaangażowali się wszyscy mieszkańcy domu, łącznie ze studentami, którzy złożyli się na piękną, czarną, skórzaną torebkę jako wyraz podziękowania dla Ruby za to, że tak wspaniale pełniła rolę gospodyni. Studenci mieli wkrótce skończyć naukę i wyjechać. Ruby pożegnała ich bardzo czule, wiedząc, że po powrocie już się z nimi nie zobaczy.

Przez trzy soboty z rzędu Greta i Heather zostawały w domu i wyręczały matkę, żeby mogła pochodzić po sklepach i kupić sobie kilka nowych ubrań. Ruby nie posiadała się z radości. W dzikim podnieceniu kupiła czarną, Inianą, elegancką garsonkę, niebieską bluzkę z falbankami oraz gładką białą do noszenia pod spodem. Kupiła także dwie przewiewne suknie indyjskie w pięknym, srebrno-złotym kolorze, ekstrawaganckie szpilki do garsonki i złote sandały do sukni.

Od Daisy dostała bardzo ładną koszulę nocną z bawełny. Te, które nosiła do tej pory, pochodziły jeszcze z czasów, kiedy Daisy nie było na świecie, a dziś nadawały się już na szmaty. Przejrzawszy zawartość starej jak świat kosmetyczki Ruby, bliźniaczki kupiły jej nową szminkę, puder, cień do powiek i róż do policzków.

— Prasowany tusz do rzęs już dawno wyszedł z mody, babciu — powiedziała Moira. — Teraz używa się tuszu w spirali. No i kupiłyśmy ci jeszcze czarną kredkę do oczu.

— Nigdy nie używałam kredki do oczu, ale teraz spróbuję. — Należała do ludzi, którzy spróbowaliby wszystkiego przynajmniej raz.

— Kupiłyśmy ci też nową kosmetyczkę z dodatkami i perfumy w małej butelce — powiedziała Ellie.

— Uwielbiam *Je Reviens*. Ach, dziewczęta, jesteście cudowne! Wyjeżdżam tylko na tydzień, a już czuję, że będę cholernie tęsknić za wami wszystkimi.

— Ja też będę za tobą tęsknić, babciu... — W oku Ellie niespodziewanie zakręciła się łezka.

Siedząc w samolocie, ubrana w czarną garsonkę, czuła, że znowu żyje pełnią życia.

Lot był przyjemny. Nie doznała ani strachu, ani mdłości, o których uprzedzała ją wcześniej Heather. Po posiłku wypita dwie szklanki ginu z sokiem pomarańczowym, a potem otworzyła powieść, którą już od dawna chciała przeczytać, a której treść pochłonęła ją bez reszty. Towarzyszył jej tylko lekki szum w głowie.

W sobotnie popołudnie, o piątej czasu amerykańskiego strefy wschodniej, Beth przywitała Ruby na lotnisku Waszyngtona. Wyglądała inaczej niż na zdjęciach, które od czasu do czasu załączała w listach. Była nie umalowana, a jej cera przybrała kolor starego, wygładzonego drewna. Niczym nie przypominała dawnej Beth — pulchnej i subtelnej. Teraz, twarda i zawzięta, była jej przeciwieństwem. Jej oczy błyszczały, choć brakowało w nich dawnej iskierki. Nawet poruszała się jakoś inaczej: kiedyś była spokojna i powolna, co czasem denerwowało Ruby. Teraz jej ruchy były gwałtowne i porywcze. Miała na sobie dżinsy, koszulkę z krótkimi rękawami i znoszone buty sportowe. Jej przystryżone, poskręcane jak druty włosy były zupełnie siwe.

Uściskały się serdecznie.

— Przy tobie czuję się jak strojnisia — wykrzyknęła Ruby.

— A ja przy tobie wyglądam jak stara baba-tramp — odparła Beth z szerokim uśmiechem.

— Co to znaczy „baba-tramp”?

— Włóczęga.

— Prawdę mówiąc, tak właśnie wyglądasz. Zawsze byliśmy ze sobą szczerze, prawda, Beth?

— Wiesz, teraz już nie chce mi się o siebie zadbać.

— Ja przed naszym spotkaniem całymi godzinami doprowadzałam się do porządku. Dopiero co nauczyłam się używać kredki do oczu. Zaczęłam siwieć, więc ufarbowałam też włosy.

— Ja już prawie całkiem osiwiałam i ani trochę nie przejmuję się tym. Chodź, taksówka czeka na zewnątrz.

Chwyciła Ruby pod rękę i razem ruszyły do wyjścia. Ruby z żalem pomyślała o dawnej Beth, która w czasie wojny usilnie, choć daremnie, pragnęła opanować sztukę makijażu, zużywając resztki starych szminek. Teraz, po latach, ta sama Beth przestała dbać o swój wygląd. Ruby pamię-

tała, jak kiedyś obsypywały tanimi komplementami żołnierzy amerykańskich z nadzieją, że dostaną od nich parę nylonowych pończoch.

Zdziwiła się, kiedy za kierownicą taksówki ujrzała kobietę. Wsiadły.

— Ruby, to jest Margot — powiedziała Beth.

— Witaj, Ruby. Miło cię poznać.

Pomiędzy trzema kobietami od razu nawiązała się uprzejma rozmowa. Taksówka dojechała do skrzyżowania ulic. Ruby nie mogła się napatrzeć. Dziwne było dla niej już samo to, że znajduje się za granicą.

— Wszystkie leżą pod kątem prostym — zauważyła.

— Co masz na myśli, moja droga? — spytała Margot.

— Ulice. Wszystkie są pod kątem prostym. U nas ulice biegną, jak popadnie.

— Po drugiej stronie Atlantyku mamy większy ład i porządek. Gdzie się zatrzymać? — spytała, zwracając się do Beth.

— W połowie drogi między Old Downtown a Białym Domem.

— Ja wolałabym najpierw obejrzeć Biały Dom.

Jeśli pójdzie na wycieczkę z przewodnikiem, może uda jej się zobaczyć urzędującego tam obecnie prezydenta Forda.

— Biały Dom zobaczysz jutro rano.

— Świetnie!

Hotel był czysty i wygodny. Wśród obsługi i gości hotelowych nie było ani jednego mężczyzny. Beth przedstawiła Ruby recepcjonistce oraz wszystkim kobietom, jakie spotkały po drodze, udając się na drugie piętro.

— Zatrzymuję się tu za każdym razem, kiedy przyjeżdżam do Waszyngtonu — wyjaśniła Beth. Otworzyła drzwi do pokoju. Był nieduży i skromnie urządzone. Na ścianach brakowało obrazów i innych elementów dekoracyjnych. — Może chciałabyś teraz odpocząć?

— Nie, dziękuję, ale chętnie się wykapię i przebiorę w suknię. — Termometry wskazywały temperaturę o co najmniej dziesięć stopni wyższą niż w Anglii. — Poza tym umieram z głodu.

— Zjemy coś na dole, jak tylko będziesz gotowa.

Restauracja przypominała stołówkę szkolną. Przy dużych stołach stało po osiem krzeseł. Ruby, umalowana, w przewiewnej, zielonej sukni indyjskiej i sandałach, czuła się aż nazbyt wystrojona u boku Beth, która wciąż wyglądała jak tramp. Jedzenie było niewyszukane, ale pożywne. Ruby przypomniały się posiłki, które podawano w klasztorze. Wkrótce dosiadło się do nich jeszcze kilka kobiet. W stołówce zrobiło się tłoczno.



Ruby zasypana została mnóstwem pytań na temat swojego kraju, od których zamąciło jej się w głowie. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Nie miała bowiem zielonego pojęcia co do liczby kobiet zasiadających w brytyjskim parlamencie, zajmujących wysokie stanowiska urzędnicze, pełniących funkcję przewodniczących związków zawodowych. Skąd miała wiedzieć, ile kobiet pracowało w telewizji, ile zasiadało w dyrekcji czy zarządzie?

— Na początku tego roku na przewodniczącą partii konserwatywnej wybrano Margaret Thatcher — powiedziała sztywno, chcąc dać im do zrozumienia, że interesuje się trochę wydarzeniami politycznymi. Dla nich jednak nie była to bynajmniej nowa informacja.

Ruby przyznała, że nigdy nie należała do związków.

— Nie było takiej potrzeby, bo nigdzie nie pracowałam.

— A związek gospodyń domowych? — dopytywała się jedna z kobiet. — Pamiętam, że czytałam o czymś takim.

Ale Ruby nie miała pojęcia. Beth zrobiło się jej żal, więc zmieniła temat.

— Wiecie, czym ona się zajmowała przed wojną? Ruby, opowiedz im o tym, jak robiłaś za dyskretnego posłańca dla lombardów...

Opowiedziała im, jak chodziła od jednego lombardu do drugiego z małą Gretą na rękę, a potem z obiema dziewczynkami w wózku. Kobiety słuchały, nie kryjąc zafascynowania. Ruby mówiła z przejęciem, jakby chciała zrekompensować swój kompromitujący brak wiedzy w dziedzinie polityki. Opowiedziała także o Foster Court, o pracy sprzątaczkii, o Jacobie, który przez długi czas nie ruszał się z łóżka.

— No, kochana, wykazałaś się ogromną przedsiębiorczością.

— Żadna z nas nie doświadczyła niczego podobnego. Ty wiesz, co to prawdziwa bieda.

— Chyba tak — przyznała skromnie Ruby.

Sprząnięto ze stołów, ale żadna z kobiet nie ruszyła się z miejsca.

— Co się dzieje? — spytała Ruby.

— Teraz odbędzie się spotkanie — wyjaśniła Beth.

— Jakie spotkanie?

— W sprawie „szklanego pułapu”.

— Aha. — Ruby nigdy przedtem nie słyszała tego określenia. Wkrótce zrozumiała, że chodziło o ograniczanie kobietom możliwości awansu. „Szklany pułap” był metaforą niewidocznej przeszkody. Teoretycznie kobiety mogły awansować, lecz w praktyce utrudniano im to na wszelkie dostępne sposoby.

Głos zabrała elokwentna, choć agresywna dziennikarka, która twierdziła, iż wielokrotnie odrzucano jej prośbę o awans. Rubyjakoś nie potrafiła jej współczuć.

— Nie chciałabym mieć takiej szefowej — powiedziała szeptem, na co Beth odpowiedziała jej uśmiechem.

Po zebraniu zagrał żeński zespół rockowy, a po ich koncercie Ruby zachciało się już spać.

Następnego dnia rano założyła inną suknię — turkusową z drobnymi połączanymi koralikami przy szyi. Na wizytę w Białym Domu szczególnie starannie nałożyła makijaż. Obrysowała kredką oczy, opanowując drżenie ręki. Moira i Ellie twierdziły, że pomalowane oczy dodają jej egzotycznego uroku.

„Przecież ja mam pięćdziesiąt siedem lat. Czy nie jestem za stara na makijaż oczu? — pytała je wtedy Ruby z niepokojem w głosie. — A jeśli ludzie pomyślą o mnie: stara owca, która chce wyglądać jak jagnię?”

„Ależ babciu, ty zawsze wyglądasz bosko. W szkole wszyscy myślą, że jesteś naszą mamą!”

Prawie żadna z kobiet na wczorajszym spotkaniu nie była umalowana ani nie miała na sobie sukni. Większość z nich nosiła dżinsy i koszulki z krótkimi rękawami, podobnie jak Beth.

— Czy w tym ubraniu będzie ci wygodnie? — spytała Beth przy śniadaniu.

— A dlaczegoż by nie?

Beth wzruszyła ramionami.

— Tak tylko pytam. Pośpieszmy się z kawą. Na zewnątrz już zbierają się ludzie.

— Po co?

— Organizujemy marsz na Biały Dom.

Godzinę później Ruby maszerowała wzdłuż Pennsylvania Avenue przed imponującym białym gmachem. Słońce świeciło jej prosto w oczy. W ręce trzymała transparent z hasłem „Równouprawnienie w pracy i płacy”. Choć całkowicie zgadzała się z tym postulatem, to jednak wizytę w Białym Domu wyobrażała sobie inaczej. Na dodatek złote sandały zaczęły ją uwierać, stopy miała obolałe, pot lał się z niej strumieniami i zaschło jej w gardle. Zaczęła zastanawiać się, czy znajdzie choć chwilę czasu na zwiedzanie, czy też przez cały nadchodzący tydzień skazana będzie na udział w marszach i demonstracjach.

— Skąd przyjechałaś?

Usłyszawszy to pytanie, odwróciła głowę i ujrzała idącą tuż obok młodą kobietę.

— Z Anglii — odpowiedziała zachrypniętym głosem.

— A my z Nowej Zelandii. Jestem tu z mamą. Idzie tam z tyłu. — Dziewczyna zrobiła niewyraźny ruch ręką. — U nas nie obchodzi się Międzynarodowego Roku Kobiet, a mama bardzo chciała wziąć udział w marszu. To cudowne, prawda? Poczucie jedności, siostrzane więzi. Narzeczcie kobiety same decydują o sobie i mają prawo robić to, czego mężczyźni dotychczas im bronili. Ciekawe, czy prezydentem Ameryki zostanie kiedyś kobieta.

— Całkiem możliwe.

— Na razie nic na to nie wskazuje — powiedziała tamta z wyrazem młodzieńczego buntu na twarzy. — Nie wkurza cię to, że wśród pokazywanych w telewizji przywódców państw całego świata nie ma ani jednej kobiety?

— Oczywiście, że mnie to wkurza.

— To niesprawiedliwe, prawda? Dlaczego tylko mężczyźni mają decydować o losach świata, skoro połowa populacji to kobiety?

— Masz rację. To bardzo niesprawiedliwe...

— O, mama mnie woła. Miło się z tobą rozmawiało. Może wkrótce znów się spotkamy.

— Mam nadzieję. — Ruby uśmiechnęła się. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że uczestniczy w niezwykle ważnym wydarzeniu. Kobiety zaczęły śpiewać pieśń „Zwycięzimy”, a wśród ich głosów zabrzmiał także głos Ruby. Czuła się poruszona i natchniona, jak nigdy przedtem. Postanowiła, że kupi tutaj sobie džinsy, kilka koszulek z krótkimi rękawami i wygodne buty, a te eleganckie aczkolwiek niestosowne suknie spakowała do walizki. Będzie je nosić po powrocie do domu. Nie była pewna, czy rejs po rzece Potomac dojdzie do skutku, czy zwiedzi choć jedno muzeum lub galerię. Biały Dom już widziała, i to z bliska. Skoro trafiła na obchody Międzynarodowego Roku Kobiet, zapagnęła w pełni wczuć się w atmosferę tego wydarzenia.

Na zakończenie wiecu ogłoszono kilka przemówień, a potem Ruby, Beth i jej towarzyszkę wróciły do hotelu na kolację, po której czarnoskóra pracownica fabryki opowiedziała o kobietach molestowanych seksualnie w miejscu pracy. Kobiety te żądały prawa do założenia związku zawodowego, za co zostały zwolnione. Dopiero po trzech latach, w wyniku prowadzenia ożywionej kampanii, przyjęto je z powrotem do pracy i uznano

ich prawo do powołania związku. W reakcji na tę informację sala rozbrzmiała gromkimi okrzykami.

Na koniec dnia Ruby i Beth wraz z kilkoma innymi kobietami udały się do klubu w piwnicy, gdzie wypity spora ilość wina. Ruby dziwiła się, że tam także były same kobiety.

— Mężczyznom wstęp wzbroniony? — spytała.

— Nie. Po prostu nie są tu mile widziani.

— Dlaczego?

— Bo to klub lesbijski, kotku.

Czyżby Beth została lesbijką? Ruby zadała jej to pytanie po powrocie do hotelu. Zatrzymały się w foyer na kawę z automatu, po czym usiadły w lobby.

— Ależ skąd, idiotko! — zaśmiała się Beth. — My po prostu solidaryzujemy się z naszymi siostrami bez względu na kolor skóry, wyznanie i orientację seksualną. Kobiety powinny trzymać się razem, Ruby...

— Ta, która wczoraj mówiła o „szklanym pułapie”, była natarcywa i agresywna. Nie chciałabym mieć tak wrednej szefowej. Trudno byłoby mi solidaryzować się z nią.

— W takim razie tylko mężczyźni wolno być wrednym szefem? — spytała Beth rozsądnym tonem. — To prawda, że nie każda kobieta jest miła i sympatyczna, ale faceci robią karierę bez względu na to, czy są miili, czy nie.

— Do licha, Beth, ależ ty się zmieniłaś — powiedziała Ruby, wpatrując się w przyjaciółkę, na której twarzy malowała się zaciętość. — Kiedyś w ogóle nie potrafiłaś myśleć logicznie, a teraz kierujesz się tylko zdrowym rozsądkiem.

— Gdyby moje małżeństwo ułożyło się inaczej, siedziałabym dziś w domu, piekła ciasteczka i pilnowała porządku. Bez końca opłakiwałabym śmierć syna oraz fakt, że inne dzieci założyły już rodziny. Ale życie postawiło mnie przed wyborem: poddać się albo zacząć działać. Stawałam się więc coraz bardziej aktywna i z czasem zmieniłam się. Zaczęło liczyć się dla mnie to, o czym nigdy przedtem nawet nie myślałam.

Ruby pokiwała głową. — No tak, teraz to Daniel siedzi w domu. A jest z tego zadowolony?

— Niezupełnie. Wciąż nie może pogodzić się ze śmiercią Seymoura. Niechętnie zostawiam go samego, ale on też mnie opuszczał w chwilach nieszczęścia. Może zabrzmi to egoistycznie. Wszystko mi jedno.

— Jacob osiągnął w życiu bardzo niewiele, a ty mimo to nadal go kochałaś.

— Daniela też nadal Kocham, ale na pierwszym miejscu stawiam siebie.

— Mnie się to nigdy nie udało — westchnęła Ruby. — Dla mnie liczyły się najpierw tylko córki, a teraz wnuczki. Bez mnie żadna z nich nie dałaby sobie rady.

— Czy rzeczywiście tak jest, Rube? — spytała Beth, przymrużając oczy. — Czy z całym przekonaniem twierdzisz, że Greta i Heather nie dałyby sobie rady bez ciebie? Każdy jakoś sobie radzi. Znasz stare powiedzenie: „Nie ma ludzi niezastąpionych”.

— Chodzi ci o to, że zmarnowałam życie? — spytała Ruby, nieco spięta.

— Nie, Ruby. Robiłaś dokładnie to, co chciałaś. Nie żaluj się. — Beth położyła jej dłoń na ramieniu. — Ty nie nadajesz się na podwładną. Zwymsyślałabyś szefa za każde krzywe spojrzenie. Nie znosisz krytyki. To ty musisz być szefową i zarządzać ludźmi. Stworzyłaś więc sobie swój własny, mały świat i sama okrzyknęłaś się jego królową. I nie mów mi, że ogólnie nie jesteś zadowolona z życia.

— Raczej jestem. Ale co by było, gdyby Larry i Rob żyli, a dziewczęta mieszkałyby osobno? Co ja bym wtedy zrobiła?

— Wyszłaabyś za Chrisa, ukończyła jakieś kursy, a potem zrobiłabyś karierę i została kimś ważnym. Ty musisz być kimś *ważnym*, Ruby. Pamiętaj, jak bardzo wszyscy potrzebowaliśmy cię w czasie wojny? Byłaś w swoim żywiole.

— Naprawdę?

— Oczywiście.

Ruby bardzo chciała kontynuować tę rozmowę, ale w lobby zrobiło się tłoczno. Przysiadły się do nich inne kobiety. Reszta wieczoru upłynęła już na omawianiu zupełnie innych kwestii.

Dni mijały szybko. Pod koniec tygodnia Ruby jak nigdy dotąd poznała świat i samą siebie. Kiedyś głośno komentowała to, co obejrzała w telewizji lub przeczytała w gazecie, żaląc się wdzięcznym słuchaczom, jak bardzo niesprawiedliwy jest ten świat. Jednak nawet w najtrudniejszych latach spędzonych w Foster Court Ruby nigdy nie musiała o nic walczyć. Ciężko pracowała, ale nie znała, co to walka. Miała łatwe życie w porównaniu z kobietami, które poznała podczas swego pobytu w Ameryce. Postanowiła, że po powrocie do domu zaangażuje się w coś, zapisze się do jakiejś organizacji, przeczyta wszystkie książki, które kupiła przy stoiskach, poszerzy swoją wiedzę. O trzydzieści lat za późno zdała sobie

sprawę, że prowadziła dotychczas raczej wygodne życie, zajmując się rutynowymi czynnościami, co zawdzięczała Matthew Doyle'owi.

Nadszedł ostatni dzień wakacji w Waszyngtonie. Beth pojechała z Ruby metrem do centrum handlowego City Place, gdzie sprzedawano towar po przecenie. Tam Ruby kupiła sobie do nowych dżinsów długą, beżową kurtkę. W domu wszyscy będą zaskoczeni na widok jej nietypowego stroju. Spośród biżuterii indiańskiej wybrała drobne upominki dla wnuczek. Oglądała też granatowy krawat z jedwabiu. Z przodu widniał wyhaftowany maleńki Biały Dom. W końcu zdecydowała się go kupić.

— Dla kogo ten krawat? — spytała Beth.

— Dla Matthew Doyle'a. — To tylko taka pamiątka. Nic wielkiego...

Ruby nie była jedyną, która wyjeżdżała następnego dnia rano. Przez całą wieczór kobiety żegnały się ze sobą ze łzami w oczach. Ruby szybko nawiązała nowe przyjaźnie, ale teraz nadeszła pora rozstania, prawdopodobnie na zawsze. Na zakończenie wypityjeszcze drinka i zaśpiewały lalka piosenek. W hotelu zapanowała ciepła, przyjazna atmosfera. Kobiety dały upust emocjom i niemalże wszystkie płakały.

Ruby pomyślała ze smutkiem, że nic już nie będzie tak jak przedtem. W Liverpoolu czekała ją nieznośnie nudne życie.

Nazajutrz rano nastąpił najbardziej przykry moment: pożegnanie z Beth na lotnisku. Żadna nie była w stanie powiedzieć ani słowa. Stały, wtulone w siebie, aż wreszcie Beth odsunęła Ruby.

— Spóźnisz się na samolot — powiedziała szorstkim tonem.

— Żegnaj, Beth.

— Na razie, Ruby — odpowiedziała Beth z brytyjskim akcentem, po raz pierwszy od lat.

Ruby wybuchła płaczem.

To był męczący tydzień. W samolocie Ruby spała twardym snem, ale po przebudzeniu nadal czuła się wyczerpana. Schodząc po schodach na płytę lotniska w Manchesterze, słaniała się na nogach.

Do domu pojechała taksówką — jeszcze jeden wydatek, ale pal lichy pieniądze. Chciała jak najszybciej zobaczyć się z rodziną, obdarować wszystkich prezentami, a potem położyć się do łóżka i nie ruszać się przez cały tydzień.

Dom pani Hart wydawał jej się mniejszy i dużo skromniejszy niż przedtem. Wyjęła portfel, by zapłacić taksówkarzowi. Wtedy też otworzyły się drzwi wejściowe i z domu wybiegła Greta. Ruby miała nadzieję, że pomoże jej nieść ciężką torbę, bo jej samej brakło już sił.

Greta tymczasem uderzyła w dramatyczny ton.

— Och, mammo! — wykrzyknęła. — Ellie zniknęła. Moira mówi, że uciekła do Dublina z tym studentem, Liamem Conwayem. Och, mammo! Co my teraz zrobimy?

Ośłupiała Ruby nie miała pojęcia.

Była to najgorsza z rzeczy, które wydarzyły się podczas jej nieobecności. A w poniedziałek miało przyjechać troje piętnastoletnich uczniów z Francji.

— Dzwoniła jakaś kobieta i pytała, czy mogą u nas wynająć pokój — poinformowała ją Heather. — Więc się zgodziłam.

— Przecież mieli przyjechać dopiero w następnym tygodniu! — krzyknęła Ruby. Była pewna, że nikt nie uprzątnął jeszcze bałaganu po Franku, Muffie i Liamie. Doświadczenie mówiło jej, że wyjeżdżający studenci zawsze zostawiają po sobie okropny nieład. I tym razem w pokoju leżało pełno porzrzucanych śmieci i pozostawionych przez chłopców niepotrzebnych im już rzeczy.

Okazało się, że nie tylko Ellie przyniosła ujmę rodzinie. Daisy zrezygnowała z pracy w biurze i została bileterką w kinie Forum.

— Bileterka! — powtórzyła Ruby słabym głosem. — Aż tak nisko upadła?

— Żebyś wiedziała — odparła rozzłoszczona Heather przez zaciśnięte wargi. — Nawet nie raczyła o tym ze mną porozmawiać. Kilka tygodni temu złożyła wypowiedzenie i poprosiła Matthew, żeby zachował dyskrecję. Już ja bym mu wygarnęła. Ale on ma teraz swoje własne problemy.

— Jakie problemy? — Czy rzeczywiście nie było jej tylko przez tydzień? Ruby zdawało się, że minął cały miesiąc, albo nawet pół roku.

O Matthew Doyle'u napisali w lokalnej gazecie *Echo*. Grunty budowlane na terenie, na którym jego firma wybudowała dwieście pięćdziesiąt domów, nie spełniały warunków jako podłoże fundamentów, a odpowiedzialni za to subkontrahenci ogłosili bankructwo.

— Wuj Matt musi poprawić fundamenty na własny koszt. Ubezpieczenie tego nie obejmuje. Zapłaci mnóstwo pieniędzy — wyjaśniła Moira, która też popadła w niełaskę, ponieważ nikomu nie wyjawiała zamiarów siostry.

Rozpętała się kłótnia.

— Ty mała, podstępna lisico — dogryzła jej Greta.

— To nic w porównaniu z tym, co zrobiła Daisy — dodała Heather.

— Przysięgam, że zachowam to w tajemnicy — odparła Moira, niewzruszona. — Przecież nie mogłam złamać przysięgi. Prawda, babciu?

— Mnie o nic nie pytaj — odpowiedziała zdezorientowana Ruby. — Nie mogę teraz myśleć.

— Chyba nie wyczęłaś sobie w tej Ameryce — fuknęła Greta.

— Wyczęłam za wszystkie czasy, ale powrót do domu kompletnie mnie wykończył. Z początku byłam tylko zmęczona. Teraz czuję się tak, jakby cały świat zawalił się wokół mnie.

W dodatku nikt nawet nie zauważył, że miała na sobie dzinsy.

Po powrocie z Waszyngtonu Ruby stała się jakby bardziej wyrozumiała. Kiedy nazajutrz myślała o występkach wnuczek, nie dopatrzyła się w nich nic złego. Ellie zachowała się bardzo nieodpowiedzialnie, ale we wrześniu skończy osiemnaście lat i będzie już dorosła. Ruby w jej wieku miała dwoje dzieci i mieszkała w Foster Court.

Moira z kolei przysięgła Ellie dyskrecję i czuła się zobowiązana, by tej przysięgi dochować. Okazała się lojalna wobec siostry, a nie matki. Gdyby Greta dowiedziała się o planach Ellie, cóż mogłaby zrobić? Przywiązać upartą córkę do łóżka, żeby nie ruszała się z domu?

Trudno też było dziwić się Daisy, że zmieniła pracę, nie powiedziawszy o tym nikomu z wyjątkiem Matthew. Heather próbowałaby odwieść ją od tej decyzji, a dziewczyna najwyraźniej nie nadawała się do pracy w biurze. Ruby była pełna podziwu dla niej za to, że w tak młodym wieku sama potrafiła pokierować swoim życiem.

W południe Daisy towarzyszyła jej na mszy. Oznajmiła, że nowa praca bardzo jej się podoba.

— Muszę tylko wskazywać ludziom ich miejsca. Kolor biletów oznacza dany sektor. Trzeba, rzecz jasna, uważać, żeby nikomu nie świecić latarką w oczy — dodała poważnym tonem.

— A nie nudzisz się czasem? — spytała Ruby.

— Raczej nie, babciu. Już dwa razy widziałam *Żądło*. Robert Redford jest wspaniały. Kiedy zaczyna się film, stoję za drzwiami z innymi bileterkami i rozmawiamy sobie. Przy nich nie czuję się ograniczona. Powiedziałam im, że jestem zaręczona z Clintem. Niektóre z nich strasznie mi zazdroszczą. Kiedyś wieczorem Clint przyszedł obejrzeć *Żądło* — wpuściłyśmy go bez biletu — dodała szeptem, jakby tuż za nią siedł dyrektor kina Forum.

— Cieszę się, że jesteś zadowolona, skarbie. A jak Matthew zareagował na to, że odchodzisz?



— Życzył mi powodzenia. Pozwolił mi zostać w biurze tak długo, aż znajdę sobie inną pracę. Ach, babciu, tak bardzo mi go żal. Jest w strasznych tarapatach.

— Wiem. Zadzwoń do niego, jak tylko przyjdziemy do domu.

Trzeba wyremontować pokoje na parterze, a wszystkie domy są już zamieszkałe — objaśnił Matthew rozpaczliwym tonem, kiedy Ruby zadzwoniła do niego, by spytać, na czym polega problem. — Będziemy musieli wyrównać podłogę, wymienić parkiet i zniszczone dywany. Wyniesie nas to miliony.

— Tak mi przykro, Matthew. Wiesz, właśnie zabieram się za obiad. Przyjdź, jeśli masz ochotę. Przywiozłam ci z Waszyngtonu drobny upominek.

— Naprawdę? — spytał, bezskutecznie udając zadowolenie. — Nie dam rady przyjść na obiad. Muszę zaraz być w biurze. Mam spotkanie z księgowymi w sprawie finansów firmy. Moi pracownicy uznali, że nadeszła świetna okazja na żądanie podwyżki. Postaram się przyjść później.

— Będę na ciebie czekać, Mat.

Chrząknął cicho. — Hm, bardzo w to wątpię, Rube. Mówisz to z czystej uprzejmości...

Ruby odłożyła słuchawkę, poszła do kuchni i zaczęła obierać ziemniaki. Myślni cofnęła się do dnia, kiedy po raz pierwszy spotkała się z rachitycznym przedsiębiorcą budowlanym będącym u zarania kariery, który nosił tani garnitur i rozdawał wizytówki z błędem ortograficznym. Przez całe lata traktowała go w naganny sposób: nie zważała na jego życzliwość, lekceważyła dowody przyjaźni. Z niechęcią patrzyła, jak przywiązuje się do ich rodziny, jak kupuje dziewczętom prezenty, jak często przychodzi z wizytą. Teraz, kiedy miał kłopoty, serdecznie mu współczuła i w miarę swoich możliwości postanowiła zrobić wszystko, by mu pomóc.

Kilka dni po powrocie do domu Ruby zatelefonowała do hotelu w Waszyngtonie. Musiała wyzaliczyć się Beth.

— Wiesz, chwilami żałuję, że w ogóle wyjeżdżałam z domu — mówiła ze smutkiem. — Może gdybym została na miejscu, nic złego by się nie wydarzyło. Ellie byłaby z nami, Daisy nie zmieniałaby pracy, a Matthew nie popadłby w kłopoty.

— Sądziłam, że decyzja Daisy raczej cię ucieszyła.

— Owszem. Ucieszyła mnie, ale nie Heather.

— Oj, Ruby O'Hagan, roztkliwiasz się nad sobą — powiedziała surowo Beth. — Przecież ty wcale nie jesteś aż tak ważną osobą. Dom się nie zawali tylko dlatego, że ciebie nie ma.

— Wiem — westchnęła Ruby. — Jest jeszcze jeden problem: uczniowie z Francji. Przyjechali o tydzień za wcześnie. Bez nich byłoby mi teraz dużo łatwiej. Ten chłopak, Louis, jest w porządku, tylko chce się ode mnie uczyć angielskiego. Chodzi za mną krok w krok i robi notatki. Ale jedna z dziewcząt strasznie tęskni za domem. Ciągłe płacze, biedactwo. A ta druga podrywa chłopaków i sprowadza ich do domu. Chwila mojej nieuwagi i zamieszkaliby w pokoju razem z nią.

— Nie przejmuj się, Rube. Przecież to tylko na jakiś czas.

Ale Ruby ciężko było w to uwierzyć.

— To jeszcze nie wszystko. Greta doprowadza wszystkich do szału. Chce jechać do Dublina i odnaleźć Ellie, tyle że boi się podróżować sama. Heather nie pojedzie, bo jest zbyt zapracowana, Moira kategorycznie odmówiła, więc teraz zadręcza mnie — mówiła podniesionym głosem, w którym zabrzmiała nutka hysterii. — Nie mogę tak po prostu rzucić wszystkiego i jechać na poszukiwanie Ellie. Równie dobrze można by szukać wiatru w polu.

— Spokojnie, Ruby. Weź głęboki oddech.

— Skąd rozmawiasz?

— Z budki w foyer. Właśnie wychodziłam z hotelu, kiedy recepcjonistka powiedziała mi, że jest do mnie telefon. Niewiele brakowało, a nie zastałabyś mnie.

— To co robisz dziś po południu?

— U nas jest jeszcze rano. Wybieram się na wiec przeciw apartheidowi na znak solidarności z czarnoskórymi rodzinami z południowej Afryki.

— Szkoda, że nie mogę pójść z wami — powiedziała z żalem Ruby. — Okropnie tęsknię za Ameryką. Dlatego właśnie dzwonię. Chciałam usłyszeć odgłosy Waszyngtonu, choćby przez minutę albo dwie.

— Wyjeżdżam stąd jutro, w sobotę, razem z innymi. W przyszłym tygodniu o tej porze wszystkie będziemy już w domu. Znowu zacznie się szare, nudne życie i praca. Każda z nas szybko wpadnie w okropny nastrój, całkiem tak jak ty, Ruby...

Największe ze zmartwień Ruby dotyczyło teraz Matthew Doyle'a. Wyglądał źle. Stracił energię i pewność siebie. Właściciele domów wybudowanych na wadliwym podłożu zwołali zebranie i zaprosili Matthew.

— Nie wiem, po co — opowiadał, przygnębiony. — Byli tak wściekli, że nie dali mi powiedzieć ani słowa. Zakrzykiwali mnie, gdy tylko próbowałem otworzyć usta. Wszyscy uważają, że to *moja* wina.

— Napisz do nich — zaproponowała Ruby po kilkuminutowym namyśle. — Zdobać ich nazwiska i wyślij list za adres każdego z tych domów. Wyjaśnij, co się stało: że odpowiedzialny za wadę subkontrahent zbankrutował i że obowiązek jej usunięcia spadł na ciebie. Napisz, że zrobisz to możliwie najszybciej i poproś o cierpliwość. Napisz, że liczysz na ich wyrozumiałość.

— Pewnie nie zaszkodzi tak zrobić — przyznał. — Ale to nie koniec moich kłopotów. Podpisałem dwa duże kontrakty. Prace powinny być już w toku, a potrzebuję ludzi. Jeśli się nie wywiążę, poniosę konsekwencje finansowe. Przy obecnym tempie na pewno nie ukończymy budowy na czas. Potrzebna jest mi siła robocza w dużej liczbie.

— Dałeś ogłoszenie o pracy dla fachowców?

— Tak, ale niewielu odpowiedziało. Wieści szybko się rozchodzą. Ludzie boją się podjąć pracę w Doyle Construction. Uważają, że to zbyt ryzykowne.

— To niesprawiedliwe! — wykrzyknęła zbulwersowana Ruby.

Na jego twarzy pojawił się nagle szeroki uśmiech.

— Cieszę się, że trzymasz moją stronę. Powiniennem być zabrać cię na to zebranie. Zamknęłabyś im usta.

— Na pewno bym spróbowała — rzekła zdecydowanym tonem. — A jak tam interesy w Australii? Co z basenami?

— Po rozwodzie przejęła je Caroline. — Wzdrygnął się ostentacyjnie. — Nie wolno mi teraz myśleć o Caroline. Mam mnóstwo innych spraw na głowie. A tak przy okazji: dobrze ci w tych dzinsach. Miałem to powiedzieć już wcześniej.

— No cóż, miło, że ktoś wreszcie zauważył.

Po dwóch tygodniach Francuzi wyjechali, a ich pokoje zajęły trzy studentki, z których żadna nie zносиła angielskiej kuchni. Ale Ruby na to nie zważała. Robiła im sałatki, a na deser dawała im po jabłku. Było jej dużo łatwiej.

W następnym tygodniu Greta i Heather wybierały się na Korfu. Ruby zdecydowanie odmówiła, kiedy poprosiły ją o uprasowanie sukienek, które chciały ze sobą zabrać.

— Jak wróciacie z pracy, same możecie uprasować, zamiast bez przerwy oglądać telewizję.

— Odkąd wróciłaś z Waszyngtonu, mam, jesteś jakaś dziwna — zauważyła obrażona Greta.

Ruby dumnie zarzuciła głową.

— Mam pewne postanowienie.

Zamierzała zrobić mnóstwo rzeczy, ale sprawy dnia codziennego zbyt bardzo ją pochłaniały. Nie zdołała otworzyć żadnej z książek, które ze sobą przywiozła. Zapomniała nawet, gdzie je położyła.

— Jakie postanowienie?

— Jeszcze je układam...

Przynieś, podaj, pozamiataj... Miała już tego dość. Zapragnęła zacząć swe życie na nowo, choć jeszcze nie miała pojęcia, jakim torem się potoczy. Jednego była pewna: zajmie się czymś ważnym.

Po dwóch tygodniach dziewczęta wróciły z Korfu, obie brązowe od godnej pozazdrosczenia opalenizny. Szybko okazało się jednak, że są ze sobą skłócone.

Ruby straciła cierpliwość. „Najwyższy czas, żeby obie wyrosły z tej dziecinady” — pomyślała.

— Co się stało? — spytała, korzystając z okazji, że jedna z córek, Heather, była sama.

— Naszej kochanej Grecie spodobał się jeden facet — odpowiedziała oburzona Heather. — A ja od razu poszłam w odstawkę. Kilka dni później ja też poznałam faceta, zupełnie przypadkowo: wpadliśmy na siebie w sklepie, zaczęliśmy rozmawiać i on zaprosił mnie na drinka. W pierwszą sobotę ten facet Grety wyjechał, więc naciskała mnie, żebym zostawiła swojego, a ja odmówiłam. No i przez cały drugi tydzień urlopu Greta miała zły humor. W dodatku wydaje jej się, że to z *mojej* winy.

— Mam nadzieję, że szybko to sobie wyjaśnicie. Nie chcę w tym domu żadnych kłótni.

Ku zaskoczeniu Ruby, Heather zrobiła coś nietypowego: zepchnęła Gretę na dalszy plan. A ta wyglądała jej teraz na mocno przygnębioną.

— Jaki jest ten twój facet? — spytała.

— W sumie bardzo miły. Nazywa się Gerald Johnson. Mieszka w Northampton i pracuje w banku. Ma dwoje dzieci. Jego żona zginęła w wypadku samochodowym, więc od razu połączył nas wspólny los. Świetnie nam się rozmawiało, ale żadne z nas nie chce angażować się uczuciowo. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła założyć nowy związek. Gerald ma podobne przekonanie.

— Cieszę się, że miło spędziłaś urlop.

Surowy wyraz twarzy Heather złagodniał.

— O, tak! Wspaniale rozmawiało się z Geraldem. Będziemy do siebie pisać. Niewykluczone, że w któryś weekend przyjedzie do nas z wizytą.

— Mówiłaś, że żadne z was nie chce się angażować.

— To prawda, ale możemy się przyjaźnić. A skoro już mowa o przyjaźni, pójdę zamienić kilka słów z Gretą. Nie chcę się z nią kłócić. Tym bardziej że wina leży tylko i wyłącznie po jej stronie...

Uwielbiam Dublin — podśpiewywała sobie Ellie. Szybkim ruchem odsunęła zasłony. Z okna małej sypialni widać było w oddali rzekę Liffey. Na szczęście okno znajdowało się poza zasięgiem wzroku ciekawskich podglądaczy. Nikt nie widział, że dziewczyna nie ma na sobie kompletnie nic.

— Jezu! Słońce świeci mi prosto w oczy. — Liam naciągnął kołdrę na głowę. — Jestem okropnie skacowany. Chyba wczoraj za dużo wypięm.

— Tylko parę litrów Guinnessa. — Wzrok Ellie utkwiony był w migoczącą w słońcu wstęgę rzeki. Schrypniętym głosem zaintonowała „Most nad zmaconą wodą”.

— Kurwa, czy ty musisz okazywać swoją radość tak głośno?

— Nie przeklinaj — powiedziała rutynowo.

— Będę, kurwa, przeklinał, ile zechcę.

— Przestań, bo cię zostawię.

— A zostawiaj, skoro tak chcesz! Proszę bardzo!

Ellie podbiegła do łóżka, usiadła mu na brzuchu i ściągnęła kołdrę. Liam wydał z siebie wrzask. Miał zaspiane oczy. Wyglądał okropnie.

— Mówisz serio? Nic by cię nie obchodziło, gdybym odeszła? — spytała, łaskocząc go w pierś.

— Przecież wiesz, że się wygłupiam. — Przycisnęła ją swoim ciałem i po chwili już wszedł w nią. Każda pora była dobra na seks: rano, południe, wieczór czy środek nocy.

— Przyjemnie było — powiedział potem, kładąc się obok.

— Tylko przyjemnie? — spytała nadąsana Ellie.

— Bywało lepiej.

— Ze mną czy z innymi? — dopytywała się z obrażoną miną.

— Oczywiście, że z tobą, moja droga.

Ellie miała ochotę przywrzeć do niego całym ciałem, ale odechciało jej się po tym, jak wtuliła nos pod jego ramię i poczuła zapach potu.

— Zaraz muszę iść do pracy.

— Ja też.

Pracował w supermarkecie. Rozkładał towar na półkach i odstawiał wózki. Po tylu latach studiów wybrał sobie pracę, w której nie musiał za dużo myśleć. Tylko na kilka miesięcy. Po otrzymaniu wyniku pracy dyplomowej miał wyjechać z Dublinu. Chciał wyruszyć za granicę. „Świat stoi przede mną otworem” — przechwalał się.

Co ona wtedy robi? Ellie nie wiedziała, ale bynajmniej nie zamartwiała się z tego powodu. Związek z Liamem to przecież dopiero pierwsza z jej przygód. Pracowała w restauracji. Podobało jej się. Poza tym w Dublinie było całe mnóstwo atrakcyjnych mężczyzn. Liam miał znajomych, którzy studiowali w Trinity College. Prawie co wieczór organizowali imprezy, na które zapraszali ich oboje. Piętro wyżej mieszkał amerykański student, Dean, a niżej dwie dziewczyny. Wszyscy często spotykali się na imprezach albo siedzieli razem w którymś z pokoi i pili alkohol.

Co prawda, semestr dobiegł już końca, ale znała przecież wielu kolegów Liama ze szkoły i z meczów rugby. Znała też dziewczyny, z którymi kiedyś się spotykał. W pubie, do którego chodzili, zawsze witał ich tłum ludzi — znajomych Liama, którzy teraz byli również znajomymi Ellie.

W niedzielne popołudnia wybierali się na przejażdżkę autem Liama — żółtym hillmanem imp, który kupił sobie na osiemnaste urodziny. Samochód stał u brata Liama, Felixa, przy rodzinnym domu w Craigmoss — wiosce położonej dwadzieścia kilometrów od Dublinu. Po śmierci ojca Liama matka przeprowadziła się do swojej siostry w Limerick. Siostra Liama, Monica, mieszkała w Londynie.

Zaraz po przyjeździe do Irlandii wsiadli do autobusu i pojechali do Craigmoss odebrać samochód.

— W następną niedzielę pojedziemy do Sandymount Strand, na plażę — oznajmił Liam. Autobus ciężko sunął drogą, a wokół roztaczał się urokliwy irlandzki krajobraz. — James Joyce chodził tam na spacer.

— Naprawdę?! — wykrzyknęła z udawanym entuzjazmem Ellie. Mimo że miała zdawać egzamin z literatury angielskiej, nie bardzo wiedziała, któż to był James Joyce.

Dom państwa Conway zrobił na Ellie przynębiające wrażenie, zarówno z zewnątrz, jak i od środka. Nazywano go Fern Hall. Był ogromny i bardzo wysoki. Stał samotnie poza granicami wioski. Na jego widok Ellie przypomniał się dom z filmu *Psychoza*, który niedawno obejrzała w telewizji i uznała za okropny. Miała po nim koszmarne sny.

Felix Conway mieszkał w Fern Hall zupełnie sam. Był o pięć lat starszy od Liama, nieco szczuplejszy i bledszy niż jego przystojny brat. Miał zielone oczy o jaśniejszym odcieniu i rzadkie, rudawe włosy. Mówił słabym głosem, który brzmiał prawie jak szept. Nosił okulary o okrągłych szklach w perłowobiałych oprawkach. Ellie pomyślała, że wyglądał w nich trochę złowieszczo, jak cały ten dom.

Nawet poczęstunek był przygnębiający. W nędznej, śmierdzącej stęchlizną kuchni spożywali kanapki z rzeżuchą. Chleb był czerstwy, herbatniki otrębowe podał w opakowaniu, a słaba herbata miała żółtawy kolor.

Ellie z niepokojem zauważyła, jak Felix przygląda jej się nieruchomym, badawczym wzrokiem zza swych okrągłych szkieł. Miała wrażenie, że chciał przejrzeć ją na wylot.

— Dlaczego on się nie ożenił? — spytała Liama po powrocie do Dublina, kiedy wysiadali z hillmana imp.

— A skąd ja mam wiedzieć? Od śmierci naszego starego, wrednego ojca niby spotyka się z Neilą Kenny. Zastanawiam się, jak długo jeszcze zamierzają czekać. Oby nie do emerytury.

— Liam, ja już nie chcę tam jeździć. Bardzo mi się nie podobało.

— Moja kochana Ellie, wcale nie musisz tam jeździć. Ja na pewno pojedę. Felix jest moim bratem, a poza tym lubię go.

— Zrobisz jak zechcesz — prychnęła Ellie.

— Ja zawsze robię to, co chcę — odparł z uśmiechem, w którym dojrzała się przesadnej złośliwości.

Od tamtej pory odwiedził Felixa jedynie raz, w któreś niedzielne popołudnie. Ellie została sama, ale nie na długo. W pokoju piętro wyżej Dean czekał na przyjazd swej rodziny, z którą wybierał się w podróż po Europie. Zszedł do Ellie, żeby coś pożyczyć.

Liam zastał ich jeszcze razem.

— Mam nadzieję, że nic między wami nie zaszło — powiedziała z zawadiackim uśmiechem.

Ellie poczuła się lekko urażona. Więc gdyby ona i Dean oddali się chwili szalonej namiętności, Liam nie miałby nic przeciwko? Ajak zareagowałaby ona, zastawszy go z inną dziewczyną w podobnej sytuacji? Uznała, że wcale by jej to nie obeszło. W końcu dla każdego z nich związek ten był tylko i wyłącznie zaspokojeniem własnych potrzeb. Mając tak nowoczesne podejście, Ellie czuła się dorosła i dojrzała.

Minęły dwa miesiące, odkąd przyjechali do Dublina. Ellie zauważyła, że skończyły jej się pigułki antykoncepcyjne. Powiedziała o tym Liamowi.

— Kurwa! — zaklął.

— Nie musisz zaraz przeklinać. Zdobędę je bez problemu. Jutro wyszukam tu tylko jakiś adres kliniki zapobiegania ciąży.

— Czyś ty oszalała? — wybuchnął głośnym śmiechem. — Dziewczyno, jesteś w Irlandii. Prędzej znajdziesz burdel niż klinikę zapobiegania ciąży.

— Dlaczego? — spytała, zaskoczona.

Znów się zaśmiał.

— Ależ z ciebie katoliczka! To ty nie wiesz, że Kościół potępia antykoncepcję? Przynajmniej tu, w Irlandii.

— Przecież to bardzo nierozsądne.

— Może i nierozsądne, ale taka jest prawda. Znasz kogoś, kto mógłby przysłać ci te pigułki z Liverpoolu?

— Boże! Nie.

— To ja popytam w pracy. Może trzeba będzie jechać po nie za granicę. Inaczej będę musiał znaleźć sobie inną partnerkę do łóżka! Nie mam zamiaru słuchać po nocach płaczu niemowląt.

Ellie rzuciła w niego poduszką.

— Ja też nie. Pamiętaj, żebyś teraz był ostrożny, bo na razie nie biorę pigułek.

Po kilku dniach Liam przyniósł pigułki. Były w małej, brązowej butelce.

— Jesteś pewien, że to te? — Ellie przyjrzała się im dokładnie. Na butelce nie było etykiety.

— Chyba tak. Zapłaciłem za nie pięć funtów.

— Moje były niebieskie, a te są białe. — Ellie wyjęła jedną i włożyła do ust.

— Te są od innego producenta — powiedział beztrząsliwie Liam, zajęty otwieraniem koperty, na której widniał znaczek i stempel z Liverpoolu. List przyszedł dziś rano i niewątpliwie zawierał wynik pracy dyplomowej.

Po chwili Liam wydał z siebie okrzyk radości.

— Dostałem najlepszą ocenę ze wszystkich na całym roku! Trzeba to oblać pierwszorzędnym szampanem! Wskakuj w szalowe ciuchy, moja kochana. Dziś balujemy, a jutro kupuję gazetę i wysyłam ogłoszenia w sprawie pracy.

W pubie, jak zawsze, było mnóstwo jego znajomych. Przyłączyli się do grupy ludzi świętujących rocznicę ślubu i wkrótce wszyscy bawili się razem.

Ktoś zaczął śpiewać irlandzką pieśń ludową przy rzewnym akompaniamencie skrzypiec. Brzmiało to jak tradycyjna muzyka cygańska. Ellie



pomyślała, że w Liverpoolu nie robi się takich imprez. Nie przyszło jej do głowy, że w swym rodzinnym mieście nigdy nie chodziła do pubów. Tak naprawdę nie miała więc podstaw, by porównywać życie nocne obu miast.

## Rozdział 15

Daisy dyskretnie oświetliła latarką ostatni rząd krzeseł na sali kinowej Forum. Zajęty był przez namiętnie obściskujące się pary, których uwaga bynajmniej nie koncentrowała się na ekranie, mimo iż pokazywali akurat doskonały film *Rozmowa* z Gene Hackmanem. Mając darmowy wstęp do Forum, Clint obejrzał go już trzy razy. Jako znawca kina uważał, że był to najlepszy film wszech czasów.

Wszystkie miejsca były zajęte. Daisy przesunęła snop światła latarki na prawą stronę sali.

— Na środku są jeszcze dwa wolne miejsca — powiedziała do dwojga młodych ludzi, którzy właśnie weszli i poprosili o miejsca z tyłu. Film zaczął się przed kwadransem, ale oni najwyraźniej nie przyszli tu po to, by go oglądać.

Daisy zgasiła latarkę i wyszła z sali. Zastała swoją koleżankę Paulę z papierosem w ręku.

— Po tych dwojgu nikt już pewnie nie przyjdzie — orzekła Paula. Była uroczą, pogodną kobietą. Miała włosy utlenione na blond i karminowe usta. — Usiądę sobie, żeby nogi mi odpoczęły.

Daisy przysiadła na miękkim siedzeniu obok niej.

— Chcieli miejsca na samym końcu. Nie rozumiem, dlaczego ludzie przychodzą do kina tylko po to, żeby się obściskować. Niepotrzebnie wydają pieniądze.

— Może to jedyne miejsce, gdzie mogą to robić, skarbie. Chas i ja chodzimy ze sobą od dwóch lat i nie obejrzelśmy do końca ani jednego filmu — zachichotała. — Niedawno w telewizji pokazywali *Moją siostrę Eileen* z Janet Leigh. Chas i ja chcieliśmy go obejrzeć, ale skończyło się tak, że zapamiętaliśmy tylko tytuł. — Szturchnęła Daisy łokciem, aż zabolalo. — Chyba nie powiesz mi, że ty i Clint chodzicie do kina po to, żeby przez cały czas gapić się w ekran.

— Właściwie tak — odparła skromnie Daisy. — Clint to kinoman. Ogląda wszystkie filmy od początku do końca, nawet te nudne.

— W takim razie chodzicie obściskować się w inne miejsca.

„W sumie nie” — chciała powiedzieć Daisy, ale ograniczyła się do znaczącego śmiechu. Pomiędzy nią a Clintem nigdy nie doszło do obściskiwania czy pieszczot, jakkolwiek by tego nie nazwać. Na razie jednak nie chciała rozmawiać o tym z Paulą.

— Wiesz, Daisy, skarbie — rzekła Paula — muszę ci coś powiedzieć. Ten obraz, który od ciebie dostałam... Z początku patrzyłam na niego bez przekonania, ale bardzo spodobał się Chasowi. Powiesił go nad kominem. „Nie sądziłem, że kiedykolwiek staniemy się właścicielami oryginału” — powiedział. Moim zdaniem trochę przesadził.

— Mówiłaś mi już — przypomniała jej Daisy.

— Wiem, skarbie, ale jeszcze nie skończyłam. Siostra chłopaka naszej Brigid chodzi do szkoły plastycznej. Ma na imię Mary. Była u nas kilka dni temu. Twój obraz zrobił na niej ogromne wrażenie. Chciałaby cię poznać. Może wpadniesz w niedzielę do nas na herbatę, skarbie?

— Bardzo chętnie. A czy mogę przyjść z Clintem? Odkąd zmieniłam pracę, spędzamy ze sobą niewiele czasu.

— Nawet sobie nie wyobrażam, że mogłabyś przyjść bez niego, Daisy. Nie ma to jak być zakochaną, co? — dodała, szturchając ją. — Wiesz, ja i Chas też przeżywamy jeszcze czasem romantyczne chwile...

Jadąc autobusem do domu, Daisy dziękowała losowi za to, że zrezygnowała z pracy w biurze i została bileterką. Wykonywanie obowiązków szło jej równie dobrze jak innym, a przy tym poznała mnóstwo ludzi. W życiu zawodowym osiągnęła pełną satysfakcję.

W domu też czuła się dużo lepiej, odkąd Ellie wyjechała do Dublina z Liamem Conwayem. Nareszcie miała Clintą tylko dla siebie. Wciąż jednak brakowało jej czegoś do pełni szczęścia. Czy kiedykolwiek w ogóle osiągnie tę pełnię? Nagle opanowało ją poczucie beznadziei. Myśli jej krążyły wokół tego, co powiedziała Paula o zakochanych parach obściskujących się podczas seansu na sali kinowej w ostatnim rzędzie.

Od dnia zaręczyn upłynęły dwa miesiące, a Clint wciąż był na etapie pożegnального pocałunku przy bramie. Ostatnio próbowała wykorzystać ten moment, by pocałować go bardziej namiętnie. Z całej siły przyciskała swoje usta do jego ust z nadzieją, że ją obejmie, przytuli i zacznie wydawać z siebie jęki podobne do tych, które słyszała w ostatnim rzędzie w kinie, kiedy chłopcy zaczynali całować się z dziewczętami.

Starła się na próżno. Widziała wiele filmów, w których zaręczeni korzystali z każdej okazji, by posunąć się dalej niż wymiana krótkich pocałunków. Mężczyzna z reguły okazywał większe zainteresowanie niż kobieta. Daisy była przekonana, że Ellie i Liam już dawno „poszli na całość”!

Na tę myśl zrobiło jej się jakoś dziwnie. Może to dlatego Clint nigdy tak naprawdę jej nie pocałował. Powstrzymywał się w obawie, że straci panowanie nad sobą, a wtedy posuną się za daleko. Pomimo ogromnego uczucia, jakim pałała do Clinta, Daisy przeraziła się na myśl o „pójściu na całość”.

Po chwili zastanowienia uznała, że najlepiej będzie, jeśli między nimi nic się nie zmieni. Przystanie całować Clinta, żeby go nie prowokować, bo inaczej oboje znajdują się w bardzo krępującej sytuacji. Pomyślała, że to najlepsze wyjście, choć pewnie całkowicie nierealne. Wiadomo przecież, jacy są mężczyźni.

W malutkiej sypialni, piątym z pokoi w domu przy Parku Książąt, od czasu wojny nikt nie mieszkał. Ruby przygotowała ją teraz dla Geralda Johnsona, który miał przyjechać na weekend. Heather poznała go na Korfu zaledwie miesiąc temu.

— Tylko nie myślcie sobie, że to poważny związek — prosiła Heather. — Łączy nas tylko i wyłącznie prawdziwa przyjaźń.

— Na pewno? — spytała podejrzliwie Greta.

— Z całą pewnością, siostrzyczko.

Gerald był niezwykle uprzejmym młodym mężczyzną.

„O, zgrozo, ależ ja się starzeję — pomyślała Ruby, wdychając głośno. — On ma czterdziestkę na karku, a dla mnie wciąż jest młody”.

Pokazał wszystkim zdjęcia dzieci i zmarłej żony, a Heather wyjęła wtedy zdjęcie Roba.

Chcąc dowieść, że ich związek ma charakter czysto platoniczny, namówili neurotyczną Gretę, by w sobotni wieczór wybrała się z nimi do kina. Poszli do Forum, a Daisy z dumą wskazała im miejsca na sali.

Ogłoszono wyniki egzaminów maturalnych. Moira była szczęśliwa: uzyskała trzy czwórki. Wstępnie została już przyjęta na dwóch uczelniach — w Canterbury i w Norwich. Wszystko zależało jednak od ocen. Teraz mogła wybierać.

— Ty też wyjedziesz z domu? — spytała przerażona Greta.

— Przecież wiesz, mamo, że zawsze chciałam wyjechać na studia — odparła Moira jak zwykle niewzruszonym, rozsądnym tonem. — Rozmawialiśmy o tym już tyle razy.

— No tak, ale ja nie wierzyłam, że ty to *naprawdę* zrobisz.

— Chyba już byłoby lepiej, gdyby te moje bliźniaczki nie były mądrzejsze od Daisy — powiedziała Greta do matki z żalem w głosie. Ellie też uży-

skąła całkiem niezłe wyniki jak na kogoś, kto miał w głowie inne sprawy niż nauka: dostała dwie trójki z plusem i jedną czwórkę z minusem.

— Daisy wcale nie jest od nich głupsza — fuknęła Ruby, wstawiając się za wnuczką. — Ona po prostu ma nietuzinkowy sposób myślenia.

— E, tam! Ale przynajmniej nigdzie nie wyjeżdża. Heather ma do brze. Od października żadna z moich córek nie będzie już ze mną. Pojadę chyba po Ellie do Dublina, nawet gdybym miała jechać sama.

Clint otrzymał najlepsze wyniki w szkole: same piątki. Daisy obawiała się, że i on wyjedzie na uczelnię, gdzie pozna inne dziewczyny, dużo ładniejsze od niej, które będą dorównywały mu poziomem inteligencji. Dlatego ucieszyło ją, kiedy oświadczył, iż nie zniósłby rozstania.

— Chyba oszalałbym bez ciebie, Daisy — powiedział, co bardzo jej schlebiało.

Oszalałbym! Jak na osiemnastolatka użył niezwykle mocnego słowa. Miał ciche i spokojne usposobienie. W przeciwieństwie do innych, dużo mniej atrakcyjnych chłopców, nie był ani trochę nadęty i zawsze w pełni przejawiał przytomność umysłu. Przez długą chwilę trzymał Daisy w ramionach. Pomyślała, że przeraża go wyjazd na uczelnię, choć wydało jej się to bardzo dziwne. Delikatnie pogłaskała go po policzku.

— Nie martw się, Clint. Zawsze będę przy tobie.

Z nadzieją i utęsknieniem czekała na słowa „kocham cię”. Tak bardzo pragnęła, żeby powiedział do niej „moja droga”. On jednak był lekko spięty i od razu zaczął rozmawiać o filmie, który właśnie obejrzeli.

Matka mówiła jej, że to niemądre. Przecież Dublin jest ogromny. Nie sposób odnaleźć Ellie w tak wielkim mieście. Gdzie jej szukać? Kogo pytać? Heather też przyznała, że to głupi pomysł.

Greta westchnęła i zaniechała planu poszukiwania Ellie. Świadomość rozstania z obiema córkami wprawiała ją w przygnębienie. Nikt jej nie rozumiał. Po raz pierwszy w życiu poczuła się bardzo samotna. Była niczym: małym pyłkiem zagubionym w bezkresnym Wszechświecie. A jeśli Ellie już nie wróci? Moira wyjedzie, Heather poślubi tego odrażającego typa, Geralda Johnsona... Greta nie cierpiała go. Nie wierzyła, że między nim a siostrą istnieje tylko przyjaźń. Mama kiedyś umrze, a ona zostanie zupełnie sama, nie mając przy sobie ani jednej żywej duszy. Wtedy naprawdę skazana będzie na samotność do końca życia.

— O Boże! — Ta straszna, nieznośna myśl spędzała jej sen z powiek. Wolałaby umrzeć.

Jedyne rozwiązanie to ponowne wyjście za męża. Tylko za kogo? Musiałaby spotkać kogoś, kto się nią zaopiekuje. Sama sobie nie poradzi... Zadręczała się tymi myślami. W końcu przyszedł jej do głowy pewien pomysł: zna przecież mężczyznę, który zawsze był obecny w jej życiu, który zawsze pamiętał o jej urodzinach, kupował jej prezenty na święta, poświęcał jej sporo uwagi przy każdej wizycie.

Matthew Doyle przez cały czas zastępował jej ojca. Był od niej tylko o dwanaście lat starszy. Darzyła go sympatią, którą on odwzajemniał. Chwilowo znalazł się w tarapatkach finansowych, ale niedługo na pewno z tego wyjdzie.

Greta uznała, że Matthew nadawałby się na jej męża. Teraz musi ją coś dać mu do zrozumienia, że będzie dla niego dobrą żoną.

U jubilera wybrali najcieńszą i najtańszą obrączkę. Była używana; prawdopodobnie niedawno zdjęto ją z palca jakiejś zmarłej kobiety. Na palcu Ellie leżała jak ulał.

— Pamiętaj: tylko Felix wie, że nie bierzemy ślubu — powiedział Liam. Jechali samochodem do Craigmoss. Dzień był mokry i ponury: niebo miało kolor szarej brei, drzewa straszły swą nagością. Kiedy Ellie jechała tam po raz pierwszy, było zupełnie inaczej: dookoła kwitły kwiaty, a powietrze miało świeży zapach. — Wszystkim innym powiedziałem, że jesteś panią Conway i że ja wyjeżdżam za granicę do pracy, a ty za jakiś czas do mnie przyjedziesz. W Irlandii niezamężne matki mają ciężkie życie. Ludzie mogą sypiać, z kim chcą, ale nie po to, żeby od razu kończyło się to ciążą.

— Gdyby nie cholerna Irlandia, nie zaszłabym w ciążę — przypomniała mu Ellie oschłym tonem. — Co ty mi dałeś? Aspirynę?

— Skąd mam wiedzieć? — Ton Liama był równie szorstki. — Powiedzieli mi, że to pigułki antykoncepcyjne. Słono za nie zapłaciłem.

— Koniec końców, to ja płacę teraz najwyższą cenę.

— Przykro mi, Ellie. Sama przyznasz, że staram się, jak mogę — odparł rozważnie. Była kompletnie załamana, więc chciał przemówić jej do rozsądku. — Trzeba było od razu jechać do Anglii i usunąć. Uniknęlibyśmy tych fanaberii.

Ellie objęła rękoma swój zaokrąglony brzuch.

— Nie mogłabym usunąć — powiedziała szeptem. — To byłoby mordstwo. Dziecko prześladowałoby mnie do końca życia.

Liam roześmiał się.

— Dziwna z ciebie dziewczyna, Ellie. Najpierw pieprzysz się jak norka, a potem opowiadasz średniowieczne zabobony.

Wjechał w zakręt. Dojeżdżali do Craigmoss, do posiadłości Fern Hall, w której mieszkał Felix. Ellie przeszły dreszcz na wspomnienie przenikliwego spojrzenia jego jasnozielonych oczu. Żałowała, że strach powstrzymała ją przed decyzją o aborcji. Duma nie pozwalała jej jechać do Liverpoolu. Nie chciała wracać, dopóki nie przeżyje licznych przygód, którymi będzie mogła się pochwalić. A nieślubne dziecko nie było powodem do dumy.

— Dziwię się, że nie nalegasz na prawdziwy ślub — powiedział Liam.

— Nie chcę wychodzić za męża, a już w ogóle nie za ciebie.

— W takim razie nie oświadczę ci się — odparł ze śmiechem.

— Gdybyś nawet miał taki zamiar, odpowiedź brzmi „nie”. Tylko mógłbyś chociaż pobyć ze mną trochę dłużej, zamiast zostawiać mnie u Felixa przed samymi świętami. Przecież to będzie straszne.

Liam rzeczywiście otrzymał propozycję pracy jako tłumacz przy ONZ w Genewie.

— Chcą, żebym zaczął od połowy grudnia, Ellie.

Nie wierzyła mu. Najwyczejniej w świecie chciał się jej pozbyć, żeby mieć czas na zabawę i spotkania towarzyskie. ONZ z pewnością nie potrzebuje tłumacza na czas świąt.

Samochód skręcił w drogę dojazdową do Fern Hall i zatrzymał się. Ellie wysiadła. Liam wyjął z bagażnika jej walizkę. Wcześniej dał jej pieniądze, by mogła kupić sobie lepsze ubrania ciężowe.

Felix podszedł do drzwi. Był cieniem swego brata. Wyglądał równie mizernie, jak krajobraz w ten brzydki, pochmurny dzień. Ściany domu były od zewnątrz wilgotne, jakby zalały się łzami i Ellie pomyślała, że za chwilę sama się rozpłacze. Weszła do środka. Felix poczęstował ich zupą z puszki i chlebem z margaryną, a na deser były owoce w syropie i słabo zaparzona herbata.

Liam powiedział, że na niego już czas. Ellie i Felix odprowadzili go do drzwi.

— Zadzwoń w święta — obiecał.

Ellie nie zależało na tym, żeby z nią został. Zauroczenie już dawno minęło. Teraz jednak niechętnie patrzyła, jak odchodzi. Liam przynajmniej tryskał energią, czego nie można było powiedzieć o jego bracie. Wcisnął jej w dłoń kopertę.

— To wypłata z zeszłego tygodnia. Pięćdziesiąt funtów. Na jakiś czas powinno wystarczyć. Uważaj na siebie, Ellie. Pamiętaj, że jesteś w ciąży. Czyż mogła o tym zapomnieć?

Nieobecność Ellie nie zepsuła świątecznego nastroju, jaki zapanował w domu pani Hart. W pokoju gościnnym wisały girlandy papierowych łańcuchów i cała masa błyskotek. Choinka była tak ogromna, że mieściła się jedynie w holu. Heather ubierała ją przez cały wieczór. Bardzo zależało jej na tym, żeby drzewko wyglądało szczególnie ładnie, bo wśród zaproszonych gości był Gerald Johnson z dziećmi: dziesięcioletnią Lloren i dwa lata młodszym Rufusem. Studenci wyjechali do domu i zwolnili pokoje. Na bożonarodzeniowy obiad Clint miał przyprowadzić rodziców — niesympatyczną Pixie Shaw i jej męża Briana.

— A niech to szlag, Ruby — wykrzyknęła Pixie od samych drzwi, rozglądając się dookoła. — Nic się u was nie zmieniło. Ta sama tapeta i staromodnie urządzona kuchnia. Nie mogę pojąć, jak możesz tu wytrzymać.

— Mnie się podoba — wtrącił się Clint, co było jak na niego dość nietypowe. — Panuje tu specyficzna atmosfera.

— Ja też tak uważam — dodał Gerald. — To miejsce ma swój urok. Uśmiechnął się do Heather, która oblała się delikatnym rumieńcem. Odpowiedziała mu uśmiechem.

— Nie wyobrażam sobie, żeby cokolwiek tu zmieniać — powiedziała Greta. Wciąż żywiła do Pixie urazę za to, że przed laty zniszczyła ich przyjaźń.

— Ani ja — dodała oburzona Moira, choć była zazwyczaj spokojna i opanowana. Studiowała na uniwersytecie w Norwich i przyjechała do domu na święta.

— No cóż, każdy ma inny gust — skwitowała Pixie, która wcale nie przejęła się komentarzami.

— Ten dom rzeczywiście wygląda trochę obskurnie, Ruby. — Matthew po raz pierwszy od dłuższego czasu rozejrzał się uważnie po pokoju gościnnym.

— Sama czasem zamalowuję plamy na tapecie farbą albo emulsją, i tyle — Ruby nie interesowała opinia innych. Podobnie jak ona, ten dom miał już swoje lata i wymagał drobnych poprawek. — Kto ma ochotę na drinka przed obiadem?

— Dla mnie koktajl.

— Przykro mi, Pixie. Nie mam jak zrobić koktajlu. Jest białe i czerwone wino, sherry i piwo. Co ci podać?

— Ach, jaka szkoda. Brian kupił nam na święta mieszarkę do koktajli, prawda, kochanie? Gdybym wiedziała, przyniosłabym ją ze sobą. Poproszę więc sherry. Masz słodką?

— Mam tylko półsłodką.

— A ja poproszę piwo — powiedział Brian.

Greta zerwała się z miejsca.

— Przyniosę drinki, mamó. Ty zajmij się obiadem.

— Pomóc ci, Ruby?

— Nie, Pixie, dziękuję. Poradzę sobie.

Pixie zaraz pewnie zauważyłaby, że w ich kuchni nadal używa się do gotowania tych samych wiekowych garnków, za co Ruby miałyby ochotę rąbnąć ją starą patelnią.

Późnym popołudniem Pixie i Brian Shaw poszli do domu nacieszyć się swoją mieszarką do koktajli. Chwilę potem, na podwieczorku, zjawili się państwo White i państwo Donovan. Ellie White z trudem okazywała radość, kiedy przedstawiono jej Geralda Johnsona i jego dzieci. Straciła już jedynego syna, a teraz wszystko wskazywało na to, że wkrótce odejdzie także jego żona. Heather twierdziła, że z Geraldem łączyła ją jedynie przyjaźń, ale wszyscy wiedzieli, że między nimi zrodziło się coś więcej.

— Po ślubie na pewno przeprowadzą się do Northampton — powiedziała Ellie do Ruby na osobności.

— Żadne z nich nie wspominało jeszcze o ślubie...

— Ciekawe, czy zabiorą ze sobą Daisy. W końcu jest córka naszego Roba. Niedługo tylko ona mi zostanie.

— Daisy nie zostawiłaby Clinta. Słyszałaś, że Clint pracuje teraz w teatrze Liverpool Playhouse? Na razie pomaga tylko przy ustawianiu rekwizytów na scenie. Maluje dekoracje i inne rzeczy. Uważa, że takie doświadczenie bardzo mu się przyda, kiedy wyjedzie do Hollywood i zostanie reżyserem filmowym w „Fabryce Snów”, jak on to określa.

— Daisy mi mówiła — odpowiedziała Ellie ze słabym uśmiechem. — Ciekawa jestem, co Rob powiedziałby o Clincie. Trudno mi wyobrazić go sobie jako czterdziestoletniego ojca, który wyraża swoje zdanie na temat chłopaka swojej córki. Ja wciąż pamiętam go, jak miał tylko dwadzieścia trzy lata. — Westchnęła. W jej oczach pojawiło się cierpienie. — Biedny Rob. Nie dane mu było dożyć nawet średniego wieku, prawda? Larry'emu też nie.



Ruby przypomniała sobie słowa Ellie, kiedy następnego dnia zebrali się na podwieczorku u państwa White. Nie było z nimi Heather, która wraz z Geraldem i jego dziećmi poszła obejrzeć pantomimę w Empire.

„Powinnam była ją powstrzymać — pomyślała z poczuciem winy. — Dziś już za późno, bo dzieci bardzo chciały pójść. Ale kilka tygodni temu słyszałam, jak mówiła, że chce kupić bilety. Ona powinna być teraz tutaj, z nami. Mój Boże! Ależ ze mnie nieczuła istota”.

O jej braku wrażliwości na ludzkie uczucia przypomniała jej także obecność Chrisa Ryana. Przyszedł z żoną, która była mniej więcej w tym samym wieku, co córki Ruby. Przyprowadzili ze sobą dziesięcioletniego synka — subtelnego chłopczyka, ciężko chorego na astmę.

Na wcześniejszych spotkaniach rodzinnych Chris i Ruby jedynie uśmiechali się do siebie, niekiedy zamieniając kilka uprzejmych słów. Dziś jednak, kiedy po wyczerpującej grze w szarady Ruby poszła do kuchni po szklanek wody, Chris udał się za nią.

— Myślałem o nas jakiś czas temu — powiedział.

— O nas? — spytała zaskoczona Ruby.

— O tobie, o mnie — o nas. Wiesz, przed miesiącem Timmy miał okropny atak. Myśleliśmy, że to koniec.

— Ach, Chris! Tak mi przykro. Wiem tylko, że choruje na astmę.

— To był paskudny atak. Nie wierzyliśmy, że przeżyje. — Spojrzał na nią zamglonym wzrokiem. — Nie ma nic gorszego niż patrzeć, jak cierpi twoje własne, ukochane dziecko. Człowiek jest gotów oddać wszystko, by uśmierzyć jego ból. Chce wziąć cierpienie na siebie. Wtedy reszta świata się nie liczy. Chyba to właśnie czułaś, kiedy twoje córki cierpiały po śmierci Roba i Larry'ego.

— Chyba tak — przyznała powoli.

Wysilił się na uśmiech.

— Potrzebowałem tyle czasu, żeby to zrozumieć. Zachowałem się trochę głupio, prawda?

— Tego bym nie powiedziała.

Oparł się o ścianę i włożył ręce w kieszenie. Dawniej, kiedy Ruby była w nim zakochana, uważała go za bardzo atrakcyjnego i niezwykle czarującego. Teraz był to po prostu starzejący się mężczyzna. Miał już prawie sześćdziesiąt lat i przeredzone włosy. Nie było w nim nic wyjątkowego.

— Chciałem się z tobą zobaczyć z dwóch powodów — powiedział. — Po pierwsze: żeby przyznać, że zachowałem się głupio, a po drugie: żeby się pożegnać. W lutym wyjeżdżamy całą rodziną do Nowej Zelandii.

Być może już nigdy się nie spotkamy. Angielski klimat jest niezdrowy dla Timmy'ego — zbyt wilgotny. Poza tym nie pracuję już w policji i nie bardzo wiem, co ze sobą zrobić. Założę własną firmę ochroniarską.

— No to powodzenia. Mam nadzieję, że stan zdrowia Timmy'ego się poprawi i że będzie wam się dobrze układało.

Wyciągnęła dłoń. Chris ujął ją.

— Często myślę o tamtych dniach, kiedy byliśmy zaręczeni. Zastanawiam się, jak ułożyłoby się życie, gdybyśmy się wtedy pobrali. — Trzymał ją za rękę, ściskając lekko. — Żałuję, że byłem taki głupi. Zawsze będę tego żałował.

Ruby cofnęła rękę.

— Nie powinieneś — powiedziała chłodnym tonem. — Było, minęło. Zamiast roztkliwiać się nad przeszłością, trzeba patrzeć w przyszłość. Bierz przykład ze mnie.

Zaraz po Bożym Narodzeniu Matthew Doyle wystawił na sprzedaż swój duży dom w Ormskirk. Bardzo potrzebował gotówki. Na czas szukania tańszego lokum zatrzymał się u Ruby.

— Sądziłam, że jesteś właścicielem licznych domów i mieszkań — wykrzyknęła Ruby, kiedy jej to oznajmił zawczasu.

— Pozbyłem się ich już dawno temu. Nie opłacało się ich trzymać — powiedział.

— Ale ten dom zatrzymałeś.

— To co innego. To mój drugi dom. Ostatnio przychodzę tu odpocząć od problemów.

Ruby przygryzła wargę.

— Został tylko jeden mały pokój, ale jest tak ciasny, że ledwo można się w nim obrócić. A inne pokoje zajmują studenci.

Do czego to doszło, żeby właściciel domu miał zamieszkać w najmniejszym z pokoi?

— Mały pokój w zupełności mi wystarczy, Rube. To przecież nie na długo.

Ruby przygotowała pokój dla tymczasowego lokatora. Wymalowała boazerię na perłowobiały kolor, a ściany na ładny, blade odcień błękitu. Kupiła też nową pościel ze szczerotkowanego nylonu, żeby nie wymagała prasowania, oraz dywanik pod łóżko. Nagle zdała sobie sprawę, że nie może się doczekać, aż Matthew się wprowadzi. Gdyby nie jej podłe zachowanie, już dawno mogliby zostać przyjaciółmi. Niekiedy zdarzało jej się myśleć, że to ona sama wyrządza sobie najwięcej szkody.

Bardzo tu ładnie — przyznał Matthew w dniu, kiedy zajął pokój. Właśnie skończono jeść śniadanie i wszyscy już wyszli. Był pierwszy lutego. Na dworze panował przenikliwy mróz, choć na błękitnym niebie nie było ani jednej chmury, a słońce świeciło tak słabo, że jego promienie nie zdołały stopić pokrywającej ziemię cieniutkiej glazury lodu. Ogród przypominał zimową Krainę Czarów, a przyprószone bielą nagie drzewa stanowiły niesamowicie piękny widok. Dzień ten na zawsze miał pozostać w pamięci Ruby, niezmiennie wywołując w niej żal wbrew temu, w co głęboko wierzyła i co często lubiła powtarzać: nigdy nie należy oglądać się za siebie i czegokolwiek żałować.

Poszła z Matthew na piętro.

— Mam nadzieję, że łóżko nie jest za krótkie.

— Łóżka na ogół mają odpowiednią długość.

— Zdaje się, że ty ostatnio urosłeś — zauważyła.

— Złudzenie optyczne. Po prostu schudłem.

— Będę cię więc porządnie karmiła. Lubisz niewyszukaną kuchnię?

Nie mam czasu na żadne kulinarne cuda. A teraz zaparzę nam herbaty.

— Odwróciła się w stronę drzwi. Wtedy złapała ją za ramię.

— Jestem ci bardzo wdzięczny, Rube.

— Nie ma za co. Tyle dla nas zrobiłeś.

— Nigdy nie zastanawiałaś się, dlaczego?

— Czasami tak. — Ruby obojętnie wrzuciła ramionami. — Pewnie dlatego, że na mój widok przypomina ci się Foster Court i twoja babcia. Ja i moje córki jesteśmy dla ciebie jak rodzina zastępcza.

— Naprawdę tak uważasz? — Posmutniał trochę. Jego oczy miały bardzo ciemny kolor. Przez długie, smukłe palce obejmujące jej ramię dało się wyczuć napięcie.

— A jak inaczej?

— Może jest jakiś inny powód. — Jego palce zdrząły.

— Jaki?

Puścił jej ramię i usiadł na łóżku.

— Rozmowa z tobą zawsze przychodziła mi z trudem. Nie mogłem narzekać na brak pieniędzy, więc myślałaś, że traktuję cię protekcyjnie. A ty chcesz być z wszystkimi na równej stopie albo mieć przewagę. No cóż, teraz sprawy wyglądają inaczej. — Popatrzył jej prosto w oczy. Ruby przypomniała sobie, jak spotkali się po raz pierwszy. Brakowało mu wówczas pewności siebie. Od tamtej chwili nigdy go takim nie widziała.

— Wygląda na to, że do końca roku będę kompletnie spłukany, więc na-

reszcie mogę powiedzieć ci, co czuję... co czułem, odkąd weszłaś do tego domu, cała umazana farbą. Ja...

Zadzwoił telefon.

— Chwileczkę — powiedziała Ruby i pobiegła odebrać.

Dzwonił Clint. Chciał rozmawiać z Daisy.

— Jest u dentysty — poinformowała Ruby. — Nic ci nie mówiła?

— Ach, faktycznie. Zapomniałem. — Zaczął długo i zawile tłumaczyć, że umówili się na lunch i że się spóźni. Spotka się z nią w McDonald's, a nie przy teatrze. — Gdybym wcale się nie zjawił, wpadnę później do kina Forum, żeby się z nią zobaczyć.

Nad telefonem wisiało lustro. Ruby przyjrzała się swemu odbiciu. Ujrzała kobietę na oko młodszą — nie wyglądała na pięćdziesiąt siedem lat. Była przystojna; tak określano piękne kobiety w tym wieku. Jej czarne włosy tu i ówdzie rozświetlały siwe pasma. Farba, którą Ruby pokryła włosy na święta, prawie całkiem już zeszała. Skóra szyi była pomarszczona i obwisła. To znak, że czas zacząć nosić golfy. W tle słyszała monotony głos Clinta. Po chwili odbicie w lustrze rozmazało się. W tym samym momencie zrozumiała znaczenie słów Matthew. Chciał jej powiedzieć, że ją kocha! Już miał jej to wyznać, a wtedy ona przerwała, jakby telefon był dla niej ważniejszy.

Usłyszała na schodach szybkie, energiczne kroki. Matthew schodził na dół z kamiennym wyrazem twarzy. Był w pikowanej kurtce. Wychodził.

— Clint — rzekła pośpiesznie. — Muszę kończyć.

— Proszę pamiętać, żeby przekazać to Daisy.

— Będę pamiętała. — Rzuciła słuchawkę.

Matthew otwierał już drzwi.

— Co chciałeś mi powiedzieć? — zawołała, zdziwiona, że cała drży, a serce podskoczyło jej do gardła. Tak bardzo pragnęła usłyszeć słowa, które miały paść z jego ust, zanim obcesowo mu przerwała.

— Nieważne — odparł głosem pełnym gorczy. — To i tak nie miało żadnego znaczenia.

Drzwi zatrasnęły się. Ruby westchnęła głośno i usiadła na schodach, chowając głowę w ramionach. W swoim życiu popełniła już wiele błędów, ale ten był najgorszy ze wszystkich.

Ellie nie sądziła, że Boże Narodzenie może być tak przeraźliwie smutne. Pojechała z Felixem na pasterkę do małego kościółka w wiosce. Następnego dnia obudziła się dość późno.

„Świąteczny poranek...” — pomyślała, przygnębiona. Wyobrażenia podpowiadała jej, że kiedy obudziłyby się w domu, ujrzałyby pod choinką mnóstwo prezentów, które otworzyliby po śniadaniu. W tak szczególnym dniu babcia zawsze robiła obfite śniadanie i wszyscy siadali razem do stołu. Telewizor był włączony, nawet jeśli nikt go nie oglądał, a w całym domu rozbrzmiewały kołody.

Uznała, że pora wstać. Wyciągnęła stopę, postawiła ją na podłodze, po czym schowała z powrotem pod kołdrę. Linoleum było lodowato zimne, a Ellie nawet nie miała ze sobą kapci. Ubrała się, nie wychodząc z łóżka. Zauważyła, że jej brzuch staje się coraz większy, choć termin porodu przypadał dopiero w maju. Zaczęła już nosić ciężowe ubrania. Wyprostowała się, wzięła głęboki oddech i zeszła na dół.

— Dzień dobry, Ellie — powitał ją Felix.

Mały, ciemny pokój na końcu korytarza służył za salon. Za czarną kratą nikłym płomieniem palił się ogień. Na kominku stało kilka kartek świątecznych. Liam nie przysłał życzeń ani mimo obietnicy nie zadzwonił. Nawet gdyby to zrobił, Ellie i tak nie miała ochoty z nim rozmawiać.

— Herbaty? — spytał układnie Felix.

— Poproszę.

Podobało jej się, że traktował ją jak chorą. Wolała, żeby to jej usługiwano, niż gdyby miało być na odwrót.

Poszedł po herbatę. Ellie usiadła w jednym ze staromodnych foteli i wyciągnęła ręce do ognia. Fotel wydawał się wilgotny. Wszystko w tym domu było wilgotne: ściany, podłogi, meble, nawet łóżko, na którym spała. Nic dziwnego, że Liam i jego siostra wynieśli się stąd. Nawet ich matka opuściła ten dom zaraz po śmierci męża. Pani McTaggart, która trzy razy w tygodniu przychodziła prać i sprzątać, mówiła, że ich ojciec był strasznym sknerą. Eammon Conway posiadał na własność wiejską drogerię z apteką. — Bardzo dochodowy interes, bo w okolicy nie było żadnej innej. Ale na rodzinę czy dom ojciec nie wydał ani pensa. Pieniądze przehulał na wyścigach konnych, a kiedy zmarł na zawał, dla żony i dzieci nie zostało zupełnie nic.

Interes objął teraz Felix. Pani McTaggart ze smutkiem stwierdziła, że apteka nie przynosi już dochodów, bo we wsi otworzyli supermarket. Był to nieduży sklep, ale wszyscy nazywali go supermarketem. Sprzedawano tam aspirynę, syrop na kaszel, leki przeciw przeziębieniu i plaster na odciski, a ceny były tam dużo niższe niż w aptece. Ludzie szli do Felixa tylko wtedy, gdy musieli wykupić lek na receptę albo gdy potrzebowali medykamentów, których nie mogli dostać w supermarkecie.

Felix przyniósł filiżankę słabo zaparzonej herbaty.

— Co chcesz na śniadanie? — spytał, wpatrując się w nią wyczekującą zza okularów o białych oprawkach.

— Tylko tosty — westchnęła Ellie. Jego spojrzenie już jej nie przeszkadzało. Felix patrzył tak na każdego, jakby w oczach ludzkich chciał się dopatrzeć jakiejś ukrytej, tajemniczej głębi.

— Na obiad będzie kurczak — oznajmił z dumą. — Zaraz przyjdzie Neila i go upiecze.

Kurczak będzie pewnie nie większy niż gołąb. Felix z trudem utrzymywał się z tego, co zarobił w aptece. Czasami Ellie trochę mu współczuła, co było raczej dziwne, bo do nieudaczników miała zazwyczaj pogardliwy stosunek. Ale Felix nigdy nie narzekał, nie złościł się, tylko cierpliwie znosił swój los niczym Hiob — jak powiedziałyby babcia. Ellie skrycie go lubiła. Pomyślała, że byłoby mu o wiele łatwiej, gdyby pozbył się Neili Kenny, która była niegdyś asystentką jego ojca. Jednak Neila była teraz dziewczyną Felixa i pewnie dlatego nie chciał jej zwolnić.

Dziwny to był związek. Ellie ani razu nie widziała, żeby się dotykali, nie mówiąc już o całowaniu. Z początku sądziła, że bardziej intymne relacje łączyły ich w czasie pory obiadowej, kiedy apteka była zamknięta, ale pani McTaggart mówiła, że Neila idzie wtedy na obiad do domu, a Felix wypija butelkę Guinnessa w pobliskim pubie.

Starsza od Felixa Neila Kenny była wysoką kobietą. Miała około trzydziestu pięciu lat, kościstą budowę ciała, potargane włosy i twarz, o której nawet najbardziej dobroduszna osoba powiedziałyby, że jest brzydka. Jej stare, niemodne, znoszone ubrania przypominały towar z wyprzedaży odzieży używanej. Szare oczy mierzyły gościa kamiennym wzrokiem. W spojrzeniu kobiety była wrogość. Ellie zaczęła trochę się jej bać.

Najbardziej lubiła panią McTaggart, która przynosiła jej bułeczki domowej roboty i ciasteczka pieczone na blasze. Gdyby nie ona, Ellie zagłodziłaby się pewnie na śmierć. Felix częstował ją tostami, ale nawet one były do niczego — albo niedopieczone, albo przypalone. Craigmoss nie miało dopływu gazu, a przestarzała kuchenka elektryczna nie zawsze działała, jak trzeba.

Świąteczny obiad z jakiegoś powodu okazał się porażką: kurczak był prawie surowy, ziemniaki twarde, a brukselka rozgotowana. Czy stało się tak z winy Neili, czy po raz kolejny zawiodła stara kuchenka — nie wiadomo.

Podczas posiłku Neila zaczęła wypytywać Ellie jak na przesłuchaniu. Po raz kolejny pytała ją o Liama, być może licząc na to, że przyłapie dziewczynę na kłamstwie. Chciała wiedzieć, gdzie wzięli ślub, czy miała białą suknię, czy spędzili gdzieś miodowy miesiąc i dlaczego nie pojechała z nim do Genewy. Miała przy tym bardzo podejrzliwą minę.

— Chyba widzisz, że jestem w ciąży — odpowiedziała jej Ellie na ostatnie z pytań.

— Masz bardzo cienką obrączkę. Pewnie z odzysku?

— Tak. Nie stać nas było na lepszą.

Neila zaczęła sprzątać ze stołu. Ellie nie ruszała się z krzesła. Zauważyła, że nie ma łyżeczek, a więc nie będzie deseru i nic nie wskazywało na to, że zostanie podany alkohol.

Neila przyniosła tacę, na której stały trzy filiżanki z herbatą i talerz z trzema pasztecikami z mięsem.

— Mam nadzieję, że są dobre. Kupiłam je w supermarkecie i podgrzałam trochę w piekarniku.

Ellie sparzyła język gorącym nadzieniem. Syknęła i wybiegła po szklankę wody. Drzwi dziewiętnastowiecznej kuchni prowadziły do brzydkiego, zaniedbanego ogrodu. Ellie stanęła przy zlewie, odkręciła kran i schłodziła język chłodnym strumieniem wody. Wtedy nasza ją myśl, że zapewne wygląda teraz bardzo głupio. Nagle wszystko wydało jej się straszne. Opanowało ją uczucie głębokiego smutku.

— Dobrze się czujesz, Ellie? — dotarł zza drzwi głos Felixa.

— Tak. Słuchajcie, może wybierzemy się do pubu na drinka? Ja stawię...

Z pieniędzy, które dał jej Liam, nie wydała jeszcze ani pensa i bardzo pragnęła wyjść z domu.

— Puby są dziś zamknięte, ale nawet gdyby były otwarte, i tak nie mogłabyś pójść. W tutejszych pubach kobiety nie są mile widziane.

Czas włókł się niemiłosiernie. Nie było co robić ani gdzie pójść. Mogła jedynie udać się do wioski. Po kilku wyprawach Ellie postanowiła jednak, że już więcej tam nie pójdzie. Miejsc na zakupy było niewiele: nieciekawym supermarket, apteka, mały sklepik, w którym sprzedawano wełnę, przybory do szycia, ubrania dla niemowląt i odzież dla dorosłych, w której Ellie nie pokazałaby się nawet w trumnie. Ludzie okazywali jej sympatię, zatrzymywali się na ulicy i rozmawiali z nią, ale Ellie zdawało się, że nikt nie wierzy w jej ślub z Liamem i że wszyscy źle jej życzą. W myślach zadawała sobie pytanie: co by się stało, gdyby rzeczywiście

dowiedzieli się prawdy? Ukamienowaliby ją albo zbili kijami i wyrzucili z wioski? Czy może zakazaliby jej wstępu do kościoła?

Raz w tygodniu do wioski Craigmoss przyjeżdżał samochód z biblioteką. Prawie przez cały czas Ellie siedziała z nosem w książkach. Felix nalegał, żeby poszła do miejscowego lekarza. Ten zbadał ją i stwierdził, że zbyt gwałtownie przybiera na wadze.

— Musi pani więcej ćwiczyć — powiedział surowym tonem. Zapisał w swoim notatniku przybliżoną datę porodu, który sam miał odebrać.

Ellie bała się, iż postrada zmysły w odciętym od świata Craigmoss. Co kilka tygodni wybierała się więc autobusem do Dublina. Tam przechadzała się po sklepach. Nie robiła jednak żadnych zakupów, wiedząc, że pieniądze od Liama przydadzą jej się po urodzeniu dziecka, bo dzięki nim będzie mogła wyjechać z Fern Hall. Pozwalała sobie jedynie na filiżankę kawy. Przesiadywała w restauracji, rozkoszując się intensywnym aromatem gorącego napoju. Usiłowała zebrać myśli i snuć plany na przyszłość. W Fern Hall, gdzie umysł jej zdawał się być przesiąknięty panującą w całym domu wilgocią, było to niemożliwe.

Uporządkowawszy myśli, mimo wszystko trudno jej było wyobrazić sobie przyszłość po narodzinach dziecka. Nie chciała teraz o tym myśleć. Przyjdzie czas, a wtedy los sam zadecyduje. Jeśli dziecko nie będzie sprawiało kłopotów, kupi nosidełko, żeby zabierać je wszędzie ze sobą. Nie zamierzała zrezygnować ze swych dalszych przygód.

Pogoda poprawiła się, a wraz z nią samopoczucie Ellie. Ogród, który dotąd wyglądał przygnębiająco, też nagle się ożywił: drzewa zakwitły różowym i białym kwieciem. Wystawiła krzesło, usiadła w ciepłym, wiosennym słońcu i pogrążyła się w czytaniu. Kiedy pani McTaggart skończyła pracę, plotkowały przy herbacie.

Nieco przysadzista pani McTaggart miała czerwone jak maliny policzki. Była wdową i matką trzech dorosłych synów. Dwóch pracowało na pobliskich farmach, a najmłodszy z nich, Brendan, siedział w więzieniu w Belfaście.

— Jest terrorystą — wyjaśniła z dumą. — Kiedyś podłożył gdzieś bombę. Nikt nie zginął, ale i tak go zamknęli.

— Podoba mi się imię Brendan — oznajmiła Ellie.

— Brendan też by ci się spodobał. To wspaniały chłopak. Chodził do szkoły razem z twoim Liamem. Rozrabiali, ile wlezie. Ciągłe były przez nich jakieś kłopoty.

— Ajaki był Felix w młodości?



Ellie nie potrafiła wyobrazić sobie Felixa jako młodego chłopaka.

— Bystry. Wybacz, że to powiem, ale był dużo mądrzejszy niż Liam. Miał pójść na studia, ale kiedy skończył szkołę, nie mógł zdobyć się na to, żeby wyjechać. Poza tym nie mieli pieniędzy. Liam miał wtedy tylko trzynaście lat, Monica czternaście. Ich tatuś flirtował na lewo i prawo, przez co matka nieomalże zwariowała. Tak więc Felix został w domu. Dostał pracę w pubie Rose jako barman. Taki mądry i zdolny... — Zazwyczaj pogodna pani McTaggart nagle spoważniała.

— Szkoda — zgodziła się Ellie. Jej nieoczekiwane zaciekawienie tematem zdradzało, jak bardzo nudzi się, kiedy jest sama.

— Oj, tak! Może otrzyma zasługę w niebie, skoro nie dane mu było cieszyć się sukcesem tu, na ziemi. A do tego jeszcze pięć lat później zmarł mu ojciec. Monica była wtedy już w Londynie, a Liam wybierał się na studia. Nie minęło nawet pół godziny od pogrzebu Eammona Conwaya, kiedy ich matka zabrała manatki i zapuściła kotwicę u swojej siostrzyczki. Felix został sam. Musiał zająć się apteką i mieszkać w domu, którego nikt za nic w świecie nie chciałby kupić. Nie mówiąc już o Neili Kenny — dołądziła ponurym tonem.

— A co ma do tego Neila Kenny? — dopytywała się Ellie. — I co to właściwie znaczy, że ich tatuś flirtował na lewo i prawo?

— Nie powinnam ci tego mówić.

— Och, proszę. Nikomu tego nie powtórzę. I tak niedługo stąd wyjadę, prawda? Wszystko, czego się tu dowiem, nie będzie miało żadnego znaczenia.

— Nie o to chodzi. Po prostu nieładnie jest rozpowiadać plotki...

Obrzuciła Ellie spojrzeniem pełnym wyrzutu, jak gdyby plotkowanie było jej czymś zupełnie obcym.

— Chociaż jeśli nawet powtórzyłabyś to komuś, nie sądzę, że w Craig-moss jest jeszcze choć jedna osoba, która o tym nie wie.

— To nie plotki, skoro już wszyscy wiedzą.

— Tak myślisz? No, dobrze. W takim razie to chyba nic złego. — Najwyraźniej bardzo paliła się do tego, by opowiedzieć Ellie wszystko, co wiedziała. — No więc... — ściszyła głos do szeptu, choć poza nimi dwiema i kilkoma ptakami w ogrodzie nie było nikogo, kto mógłby je usłyszeć — Neila Kenny przez dziesięć lat była kochanką Eammona Conwaya.

— Niemożliwe! — wykrzyknęła Ellie z niedowierzaniem. — Czy to znaczy, że razem spali?

— Czy spali? Nie sądzę, ale w łóżku z pewnością robili to drugie — odparła, nie kryjąc satysfakcji.

— Dziesięcioletni romans w Irlandii! W kraju, w którym środki antykoncepcyjne są niedostępne. Jak to się stało, że przez dziesięć lat chodzili ze sobą do łóżka i nie skończyło się to serią niechcianych ciąży? — spytała poirytowana Ellie, która „wpadła” po pięciu minutach fizycznej rozkoszy z synem Eammona Conwaya.

— Neila nigdy nie miesiączkowała, więc nie może mieć dzieci — wyjaśniła pani McTaggart ściszym głosem.

— Cholera. Skąd pani to wszystko wie?

— Tu, w Craigmoss, wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich — odpowiedziała „skarbnica plotek” i zacisnęła wargi z udawaną dezaprobatą. — Czy wiesz, co było potem, Ellie? Felix związał się z kochanką swojego ojca. Odziedziczył po nim dom, aptekę i kobietę. Teraz jest już na nią skazany. Wszyscy sądzą, że któregoś pięknego dnia ci dwoje się pobiorą. Niektórzy ludzie są za dobrzy, by żyć na tym świecie. Felix Conway jest jednym z nich. To święty człowiek.

## Rozdział 16

*Miejscowa firma budowlana otrzymuje niezbędną pomoc* głosił jeden z nagłówek w gazecie *Echo*.

„Firma Medallion — konstruktor wielu wspaniałych budynków, jakie w ostatnich latach powstały w Londynie i innych głównych miastach brytyjskich — przejęła upadające przedsiębiorstwo Doyle Construction. Rzecznik firmy Medallion powiedział, że wszystkie otwarte kontrakty zostaną zrealizowane w terminie. Założycielowi Doyle Construction, Matthew Doyle'owi, powierzono funkcję dyrektora zarządzającego oddziału, jaki prestiżowa firma otworzyła w Liverpoolu. Nie będzie on jednak zasiadał w komisji...”

Ruby westchnęła i odłożyła gazetę. Matthew nie pomyślał o tym, że by przekazać jej tę wiadomość osobiście — i uznała, że to dobra wiadomość. Wolał chyba, żeby sama się o tym dowiedziała.

Westchnęła ponownie. Wiedziała, że się myli. Matthew nie powiedział jej, bo nie chciał. Powodem nie było zaniedbanie czy zapomnienie. Ostatnio przychodził dużo rzadziej — na ogół wieczorami lub w weekendy, kiedy w domu byli także inni ludzie. Pokoik na piętrze zajmował tylko przez kilka tygodni. Potem kupił jednopokojowe mieszkanie w nowoczesnym bloku w Gateacre. Greta pomagała mu zawiesić zasłony.

Najwyraźniej wyrządziła mu ogromną przykrość. Ruby czuła się winna. Odkąd się poznali, zawsze zadawała mu ból. Pomyślała, że skoro nie zrażał się i znosił jej zachowanie przez tak długi czas, z pewnością naprawdę ją kochał.

Zastanawiała się, czy wciąż jeszcze darzy ją uczuciem. A może zwalczył w sobie tę miłość? Był gotów otworzyć się przed nią, a w zamian za to spotkało go kolejne poniżenie. Jeśli jego uczucie względem niej przedziło się w nienawiść, nie może mieć do niego pretensji.

Od tamtego pechowego dnia widzieli się tylko kilka razy. Ruby przestała myśleć o Matthew Doyle'u jak o przyjacielu czy mężczyźnie, który niegdyś bardzo ją irytował. Od jakiegoś czasu postrzegała go jako kochanka. Zrozumiała, że pragnie pójść z nim do łóżka, leżeć w jego ramionach, wyjść za niego, jeśli poprosi ją o rękę. Ze zdwojoną siłą poczuła teraz dreszcz podniecenia, który zawsze przeszywał ją na jego widok od chwili, kiedy się poznali. Jego niedopowiedziane wyznanie wyzwoliło w niej miłość niczym klucz, który otwiera serce. Niestety, za późno.

Ruby przysięgła sobie, że któregoś dnia postara się zastać Matthew na osobności. Wtedy wycisnie z niego słowa, które miał wypowiedzieć w ów piękny, lutowy poranek. Nieważne, że on już jej nie chce. Teraz jej kolej, żeby starać się o niego.

Czterdzieści jeden! — Greta skrzywiła się na widok swego odbicia w lustrze. — Nie czuję się taka stara. Czy wyglądam na tyle?

— Absolutnie nie, siostrzyczko. — Heather siedziała na łóżku. Przypomniała sobie, jak dokładnie dwadzieścia lat temu była w tym samym miejscu i robiła to samo, co dziś: przyglądała się siostrze, która w dniu swoich urodzin nakładała sobie makijaż. Greta kończyła wtedy dwadzieścia jeden lat. — A czy ja wyglądam na czterdzieści? — spytała. Jej urodziny przypadały za dwa tygodnie.

— Nie wyglądasz nawet na trzydzieści. Jak moja szminka?

— Trochę za ciemna. Czemu ty zawsze malujesz usta na ciemny kolor? Przy twojej karnacji i kolorze włosów powinnaś używać jaśniejszych odcieni.

— W kółko to powtarzasz.

— Skoro cię to drażni, nie pytaj mnie o zdanie.

Greta starła szminkę chusteczką higieniczną i pomalowała usta na jaśniejszy kolor.

— A teraz?

— O wiele lepiej.

— A co mam włożyć?

Greta podniosła się i przejrzała zawartość swojej części szafy.

Heather wzruszyła ramionami.

— Co chcesz. Idziemy do restauracji tylko we dwie.

— Trzeba było jednak zorganizować imprezę.

— I kogo byśmy zaprosiły?

— No, nie wiem. Znajomych z pracy.

— Wszyscy mają partnerów — powiedziała Heather. — Byłybyśmy jedynymi samotnymi kobietami.

Greta wyjęła suknię z marszczonego szyfonu. Przyjrzała się jej krytycznym wzrokiem i uznała, że będzie pasować do czarnego, aksamitnego żakietu.

— Czemu Gerald nie przyjeżdża na Wielkanoc? — spytała. — To już w przyszłym tygodniu. Przyjedzie Moira z Norwich, będą Matthew, Daisy i Clint. Urządzilibyśmy rodzinne przyjęcie. Mama by się ucieszyła.

— Nie spotykam się już z Geraldem.

— Dlaczego? — Greta odwróciła się tak gwałtownie, że prawie straciła równowagę. Zdziwiona, spojrzała na siostrę. — Wiem, że z początku łączyła was tylko przyjaźń, ale miałam wrażenie, że to było coś poważniejszego.

— To prawda — odparła Heather spokojnym tonem. — Poprosił mnie nawet o rękę.

— I co ty na to?

— W pierwszej chwili nie wiedziałam, co powiedzieć. Pomyślałam, że jeśli się zgodzę, będę musiała stąd wyjechać i zamieszkać w innym mieście. — Heather rozejrzała się dookoła. Znała to miejsce od dziecięcych lat. — Próbowałam wyobrazić sobie, jakie byłoby wtedy moje życie bez mamy, bez ciebie, bez Daisy. Zastanawiałam się, czy dzieci Geralda pokochają mnie i czy ja je pokocham.

— No i co? — Greta przysiadła na swoim łóżku. Oczy sióstr spotkały się. Siedziały tak, wpatrzone w siebie, jak za dawnych czasów.

— Postanowiłam, że zaryzykuję — odparła, kiwając głową z aprobatą dla samej siebie. — I zgodziłam się.

— Przecież powiedziałaś, że już się nie widujecie!

— Bo to prawda. — Poważna twarz Heather wykrzywiła się w ironicznym uśmiechu. — Nikomu nie mówiłam o planowanym ślubie. Czeakałam chyba na właściwy moment. Któregoś wieczoru, krótko po oświadczeniach, zadzwonił Gerald. Rozmawialiśmy o przyszłości. Powiedział mi, ile zarabia w banku. Okazało się, że o wiele mniej niż ja, więc zapropro-

nowałam, że poszukam pracy w jakiejś kancelarii prawniczej w Northampton, a on będzie zajmował się dziećmi.

— I co on na to?

— Wpadł w złość. — Heather przewróciła oczyma, zszokowana samym wspomnieniem. — Był bardzo zdziwiony. Powiedział, że to najgłupszy pomysł. To mężczyzna powinien pracować, a kobieta zajmować się domem. W przeciwnym razie nastąpi upadek cywilizacji.

— Bezczelność! — wykrzyknęła Greta.

— Zgadzam się — odparła oburzona Heather. — Zaproponowałam, żebyśmy o tym porozmawiali, a on nakrzyczał na mnie. Powiedział, że takie jest jego zdanie i nie ma o czym rozmawiać. Wtedy oświadczyłam, że nie wyjdę za zatwardziałego tradycjonalistę, który nie chce nawet przedyskutować pewnych spraw. Potem odłożyłam słuchawkę. Od tamtej pory nie rozmawialiśmy.

— Na pewno zadzwoni i przeprosi.

— Nie musi. Między nami koniec.

— Tak po prostu, zwyczajnie „koniec”, siostrzyczko?

— Tak po prostu, zwyczajnie. — Heather pstryknęła palcami. — Kochałam go, ale cała miłość wyparowała w jednej sekundzie. Nie chcę go znać.

— Nie mogę w to uwierzyć.

— Wcale ci się nie dziwię. Trochę mnie to przeraża. — Oczy Heather zrobiły się okrągłe. — Co by to było, gdybym rzeczywiście za niego wyszła i dopiero wtedy przekonała się, jaki naprawdę jest. — Wstała szybko. — No, chodź już, Greto, bo robi się późno. Chyba nie założysz tej sukni? Jest za cienka. Zmarzniesz.

Greta nie zamierzała się wyłócać. Schowała szyfonową suknię z powrotem do szafy i wyjęła inną, z grubszego materiału.

— Wiesz, ja to nawet chciałam, żebyś wyszła za męża...

— Dlaczego?

— Bo wtedy nie czułabym się winna, gdybym ja też znalazła sobie męża.

Heather z doświadczenia wiedziała, że Greta zrobi to, co zechce. Wyjdzie za męża, nie oglądając się na siostrę. Heather było trochę przykro, że jest wykorzystywana i że Greta zapomni o niej, gdy tylko w jej życiu pojawi się ktoś bardziej interesujący, jak podczas urlopu na Korfu. Mimo wszystko kochała siostrę. Przerażała ją myśl, że miałyby spędzić resztę życia bez niej i mieszkać sama w pokoju. Greta najwyraźniej nie podzielała tych uczuć.

— Masz już kogoś na oku? — spytała ją Heather. Greta ostatnio wychodziła, ale nie chciała powiedzieć, z kim.

— Tak jakby.

— Co to ma znaczyć?

Greta zachichotała.

— To, że mam już kogoś na oku.

Trzy miesiące później, w upalny, lipcowy dzień, do domu przy Parku Książąt wróciła zaginiona córka Greta. Przywiozła ze sobą ślicznego, dwumiesięcznego synka o imieniu Brendan.

— Wróciłaś akurat na ślub — poinformowała ją w drzwiach Moira, która przyjechała z uczelni dopiero kilka dni temu.

— Na czyj ślub?

— Naszej mamy. W przyszły wtorek wychodzi za Matthew Doyle'a.

Poród był wyjątkowo łatwy i prawie bezbolesny. Od kilku dni przed rozwiązaniem pani McTaggart na wszelki wypadek przychodziła każdego ranka, zaś Neila Kenny wcześniej zrywała się z apteki i dotrzymywała Ellie towarzystwa po południu.

Któregoś dnia rano, krótko po jedenastej, Ellie poczuła skurcz. Zatelefonowała do doktora O'Hary. Przyjechał natychmiast. Dwie godziny później Ellie została mamą ślicznego chłopczyka. Rozwiązanie przebiegło bez problemów.

— Nie rozumiem, dlaczego kobiety aż tak bardzo się tym przejmują — powiedziała, zdziwiona, kiedy lekarz podawał jej noworodka.

— Poród bywa zazwyczaj dużo trudniejszy, niż w twoim przypadku. Zapytaj panią McTaggart. Niech sama ci powie, co przeżyła. Byłem przy tym.

— Ból był okropny — oznajmiła pani McTaggart dramatycznym tonem. — Trwało to całymi godzinami. A każdy następny poród był jeszcze gorszy od poprzedniego. Jakie nadasz mu imię, Ellie?

— Brendan — odparła bez namysłu.

Kobieta była zachwycona.

— Mam nadzieję, że będziesz miała z niego tyle pociechy, co ja z mojego Brendana.

Doktor O'Hara uniósł brwi.

— Jaka tam z niego pociecha, skoro siedzi teraz w więzieniu w Belfaście?

— Niech mi pan wierzy, doktorze. Jestem z niego dumna. Jego ojciec też by był. Szkoda, że nie żyje.

— Cieszę się, że mój syn będzie nosił imię po irlandzkim terrorystyce  
— powiedziała zadowolona Ellie, uśmiechając się.

Spojrzała na niemowlę. Miało delikatne, rudawe włoski, duże, niebieskie oczy, pucołowatą twarzyczkę i pulchne, różowe rączki. Niebieskie oczka wpatrywały się w nią uważnie.

— Przygląda mi się. Wie, że jestem jego mamą.

Doktor O'Hara uśmiechnął się do pani McTaggart porozumiewawczo.

— Ellie, przez kilka pierwszych tygodni niemowlęta widzą tylko rozmazane kształty.

— Słyszałam to o kociętach.

— U niemowląt jest tak samo.

Wtedy trzasnęły drzwi wejściowe, a po chwili ktoś ciężkim krokiem wszedł na górę. Do pokoju wbiegła Neila Kenny. Miała rumianą twarz. Jej oczy błyszczały dziwnie. Wyglądała na trochę poirytowana.

— Zobaczyłam przed domem samochód doktora O'Hary... O! Wi-dzę, że dziecko się urodziło! Chłopiec czy dziewczynka?

— Chłopiec — oznajmiła z dumą Ellie. — Na imię ma Brendan.

— Pozwól, że na niego popatrzę. Mogę go potrzymać? Szkoda, że nie było mnie przy porodzie.

— Potrzymasz go kiedy indziej, Neilo — wtrącił się doktor O'Hara.  
— Mama powinna teraz nakarmić małego piersią. Ellie i Brendan muszą się lepiej poznać.

Ellie czuła się trochę skrępowana, rozpinając koszulę nocną i wyjmując pierś w obecności trzech osób, z której jedna wzbudzała w niej nienawiść. Pragnęła, żeby Neila poszła sobie, zamiast gapić się na Brendana, jakby za chwilę miała go pożreć.

Synek przyssał się do lewej piersi i zaczął głośno pić.

— Doskonale — powiedział lekarz z aprobatą.

— To boli — żaliła się Ellie. — Moje piersi są strasznie obolałe.

— Typowa dolegliwość. Jak skończy, daj mu drugą pierś.

— Skąd mam wiedzieć, kiedy?

— Nie martw się. Brendan sam da ci znać.

Po kilku minutach Brendan wpadł w złość i rozpłakał się. Ellie podała mu prawą pierś. Bardzo irytowała ją nadmierna opiekuńczość Neili.

— Dziękuję. Już sama sobie poradzę — ucieła.

Pani McTaggart zaproponowała filiżankę herbaty, ale doktor odmówił, tłumacząc się, że na niego już czas.

— Przyjadę jutro upewnić się, czy wszystko w porządku. Gdyby jednak były jakieś problemy, proszę natychmiast po mnie zatelefonować.

— Ja się nią zajmę, doktorze — rzekła Neila. — Proszę się nie martwić. Zaraz zadzwonię do Felixa i powiem mu, żeby przywiózł więcej pieluch i kilka innych rzeczy. Bardzo się ucieszy, że to chłopiec.

— Jesteś aniołem, Neilo. Jak to dobrze, że Ellie może na ciebie liczyć...

Ellie była innego zdania.

Po narodzinach Brendana czas zdawał się płynąć o wiele szybciej niż przedtem. Zdaniem doktora O'Hary dziecko było duże. Rosło z dnia na dzień, spożywając sporą ilość mleka. Ellie wciąż bolały piersi. Z niechęcią musiała przyznać, że nie dałaby sobie rady bez Neili Kenny, która chwilowo zrezygnowała z pracy w aptece i przychodziła do Fern Hall codziennie. Ellie sądziła, że każda matka odkrywa w sobie wrodzoną umiejętność kapania i przewijania dziecka, ale okazało się, że wymagało to zręczności, której nie miała. Zamoczone dziecko wyslizgiwało się z rąk. Nie sposób było jedną ręką trzymać ruchliwego niemowlę, a drugą je myć. Pieluchy zwijały się i zsuwały zaraz po założeniu. Neila z kolei doskonale radziła sobie przy wykonywaniu wszystkich tych czynności. Przy pięciorgu młodszego rodzeństwa sporo się nauczyła, dlatego szło jej to bardzo sprawnie.

Brendan wymagał dużo uwagi, choć zdaniem pani McTaggart był spokojnym dzieckiem. Jej Brendan zachowywał się o wiele gorzej. Przez trzy pierwsze miesiące swego życia darł się wniebogłosem tak przeraźliwie, że mimo całej swej matczynej miłości pani McTaggart miała ochotę wyrzucić najmłodszego potomka przez okno.

Mały Brendan spał w łóżeczku obok łóżka Ellie. Na karmienie budził się dwa lub trzy razy w nocy. Potem trzeba było czekać, aż mu się odbije. Ellie ledwo zdołała zmrużyć oczy, a już budził ją ponagający krzyk Brendana.

„Znów *jestem głodny!*” — wołałby, gdyby umiał mówić.

Następnego dnia rano oddawała go uszczęśliwionej Neili, żeby choć przez kilka godzin nadrobić stracony sen.

Prania było co niemiara: całe mnóstwo ubranek, pościeli, tuziny pieluch — brudnych, zamoczonych, suszących się na linie, suchych i goto-



wych do użycia. Pani McTaggart pomagała, kiedy tylko mogła. Miała jednak sporo innych zajęć i przychodziła tylko trzy razy w tygodniu.

Ellie była skrajnie wyczerpana. Rano kładła się z powrotem do łóżka. Czasami jednak sen nie przychodził. Nie pomagała świadomość, że obok stoi puste łóżeczko, a Brendan jest na parterze, gdzie nic mu nie grozi. Wciąż pozostawała czujna i nasłuchiwała, czy dziecko nie płacze z głodu. Po kilku godzinach, nie mogąc zasnąć, wstawała i schodziła na dół. Zawsze czekało na nią mnóstwo pracy.

Kiedy Brendan miał sześć tygodni, któregoś ranka Ellie cierpiała na bezsenność. Poczwała ogromną ochotę na filiżankę herbaty. Wstała więc z łóżka i zeszła na dół. Drzwi wejściowe były otwarte, a Neila z Brendaniem w wózku właśnie wchodziła do domu.

— Byłaś na spacerze? — zdziwiła się Ellie.  
— Wychodzę codziennie rano. Nie wiedziałas o tym?  
— Nigdy mi nie powiedziałaś. Byłaś w wiosce?  
— Musiałam zrobić zakupy. — Neila wyjęła spod wózka nylonową siatkę. Rzuciła Ellie pełne agresji spojrzenie. — Czy coś ci się nie podoba?

Ellie bardzo nie podobało się to, że Neila wystawia jej dziecko na publiczny widok i że ludzie zauważają jego uderzające podobieństwo do Liama. Usłyszała od niej:

— Wszyscy dziwią się, że nie wyjechałaś jeszcze do Genewy.  
— A po co mam tam jechać? — spytała Ellie, zanim skojarzyła to miejsce z Liamem, który rzekomo był jej mężem i do którego miała jechać po urodzeniu dziecka. — Chyba widzisz, że nie wybieram się do Genewy — dodała, poirytowana.

Nie wychodziła dalej niż do ogrodu. Włosy czesała najwyżej raz w tygodniu i prawie zapomniwała, co to makijaż. Nosiła suknię ciążową, bo przybrała na wadze i nie mogła zmieścić się w swoje rzeczy.

— Dziwię się, że Liam nie telefonował do ciebie ani ty do niego i że nie piszecie do siebie. — Neila wyjęła Brendana z wózka, położyła swą dużą dłoń na jego rozczochranej główce, która przywarła do jej szyi.

Ellie z niechęcią patrzyła, jak nienawistna kobieta dotyka jej dziecko.

— Wszystkiemu się dziwisz. Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, napisałam do Liama dwa listy, odkąd urodził się Brendan.

— I nie poprosiłaś mnie ani Felixa, żebyśmy je wysłali?  
— Poprosiłam panią McTaggart.  
— A Liam wcale nie odpisał.  
— Przeglądasz pocztę?

— Przecież wiesz, że zabieram spod drzwi wszystko, co do nas przychodzi.

— Nie wiem. W przeciwieństwie do ciebie, ja nie szpieguję...

Duża dłoń Neili spoczywała na plecach niemowlęcia, druga podtrzymywała je od spodu.

— Wcale nie szpieguję — odpowiedziała ze złością. — Pewne rzeczy po prostu same dają się zauważyć.

Ellie nie wiedziała, jak wytłumaczyć brak odpowiedzi na wysłane do Liama nieistniejące listy. Obróciwszy się na pięcie, poszła do kuchni i nastawiła wodę w czajniku.

Neila ruszyła za nią. Brendan trzymał się jej kurczowo niczym małą patkę gałęzi. Wyglądali jak matka i syn.

— Ty i Liam nie wzięliście ślubu, prawda, Ellie? — syknęła przez zęby, stojąc w kuchennych drzwiach. — Wyjechał i zostawił cię. Nie zależy mu ani na tobie, ani na Brendanie.

— Nawet jeśli tak było — odpowiedziała Ellie znużonym tonem — cóż to właściwie ciebie obchodzi?

— Martwię się o Brendana. — Wredna Neila pocałowała chłopca w rumiany policzek. — Potrzebny mu ojciec.

W Ellie zawrzała krew.

— Ja wychowałam się bez ojca — powiedziała. — Zmarł, jeszcze zanim ja i siostra przyszyliśmy na świat. I obie wyszłyśmy na ludzi.

— Miałyście normalny dom i rodzinę. A Brendan? Jakie czeka go życie? Jesteś samotną matką, bez męża, bez pracy, bez mieszkania.

Ellie z przerażeniem zrozumiała, że Neila chce zabrać jej dziecko. Na tę myśl przeszył ją dreszcz. Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że kobieta w żaden sposób nie może jej zaszkodzić. Postanowiła jednak, że wyjedzie z Fern Hall tak szybko, jak tylko będzie to możliwe — najlepiej jutro albo pojutrze. Jeśli zostanie tu dłużej, Neila stanie się jeszcze bardziej zaborcza. Ellie odechciało się herbaty. Wyciągnęła ręce po dziecko.

— Trzeba go nakarmić. Pójdę z nim do ogrodu.

Był czerwiec. Ogród wyglądał naprawdę pięknie. Pnące się kwiaty pokryły odrapane mury, na drzewach dojrzewały owoce. Ellie usiadła na werandzie, rozpięła szlafrok i zaczęła karmić wiecznie głodnego synka. Nie była w pełni świadoma swych macierzyńskich uczuć, ale Brendan należał do niej. Rósł i rozwijał się w jej łonie. To ona dała mu życie. Pozbywając się go, utraciłaby część samej siebie. Nie zamierzała do tego dopuścić.

Następnego dnia rano Ellie przygotowywała w kuchni śniadanie, kiedy zjawiła się Neila Kenny. Po raz pierwszy od kilku tygodni Ellie umyła włosy i nałożyła makijaż. Pomoc przy dziecku kosztowała ją sporo wysiłku, dzięki czemu trochę schudła i udało jej się wpasować w dzinsy.

— Wcześniej dziś wstałaś — powiedziała Neila, zaskoczona najej widok w kuchni. — Gdzie Brendan?

— Śpi w ogrodzie. W nocy obudził się tylko raz. — Może małeństwo uznało wreszcie, że najwyższy czas dać mamie odpocząć. — Wiesz, jadę jutro do Dublina odwiedzić znajomą, Amy. Mieszkała w tym samym domu, co ja i Liam.

Lepiej nie mówić, że wyjeżdża na zawsze. Mogłoby to doprowadzić do awantury.

— Zabierasz Brendana?

— Oczywiście. Amy bardzo chce go zobaczyć.

Neila zmarszczyła brwi, jakby miała ochotę wyrazić sprzeciw.

— Czy na pewno dasz sobie radę sama? Jeśli chcesz, pojedę z tobą. Chętnie przejdę się po sklepach.

— Ależ nie ma o czym mówić. Tak wiele dla mnie zrobiłaś. Będę dogonnie wdzięczna tobie i Felixowi — powiedziała nieszczercze Ellie.

Zaplanowane przygody będą musiały poczekać. Neila nie myliła się co do jednego: z małym dzieckiem trudno będzie znaleźć pracę i mieszkanie. Wtedy przyszło jej do głowy jedno miejsce, gdzie przyjmą ją z otwartymi ramionami: dom. Niełatwo będzie wracać po kilku miesiącach, w poczuciu wstydu i z owocem niechcianej ciąży. Ellie jednak nie zamierzała się kajać. Wróci z dumnie uniesioną głową, trzymając na rękach najpiękniejsze dziecko świata, i opowie wszystkim o tym, jak wspólnie spędziła ostatni rok. By zachować twarz, wymyśli powód, dla którego odeszła od Liama. Albo powie po prostu, że Liam nie żyje.

Tego wieczoru, gdy Neila poszła już do domu, Ellie i Felix usiedli w ogrodzie. Ellie trzymała na rękach śpiącego Brendana. Na zewnątrz było bardzo cicho i spokojnie. Kwiaty zdawały się lśnić, skąpane w złocistym blasku zachodzącego słońca, które z wolna zapadało się w popłatane smugi w kolorze czerwieni, zieleni i fioletu. Po trawie powoli zaczął pełzać cień. Jego szarość gasiła żywe kolory rozkwitłych kwiatów. W powietrzu unosił się intensywny zapach. Ellie przypomniała sobie, że u babci w ogrodzie też rosły kwiaty i pachniały równie pięknie. Po raz pierwszy w życiu natura wzbudzała w niej podziw — akurat teraz, kiedy zdecydowała się wyjechać z Fern Hall.

— Dlaczego nie masz centralnego ogrzewania? — spytała.

— Co? — Pytanie najwyraźniej zbiło Felixa z tropu.

— Zimą miałbyś cieplej i pozbyłbyś się tej wilgoci.

Nagle dom wydał jej się całkiem miły i przytulny.

Felix uśmiechnął się łagodnie.

— Ellie, mnie na to nie stać. Pracuję bez przerwy, żeby płacić wszystkie bieżące rachunki.

Słowa te wzbudziły w Ellie poczucie winy, którego nigdy dotąd nie znała. Felix kupił Brendanowi wózek, łóżeczko, wszystkie ubranka, pieluchy i inne rzeczy niezbędne dla małego dziecka, a jej nawet nie przyszło do głowy, żeby mu podziękować. Przecież Felix wcale nie musiał łożyć na bratanka, choć uwielbiał małego i ciągle powtarzał, że bardzo przypomina Liama.

— Może powinienes zamknąć aptekę i otworzyć jakiś inny sklep - podsunęła. — Na przykład herbaciarnię. — Przez Craigmoss przejeżdżało dużo samochodów jadących do Dublina czy Dun Laoghaire i z powrotem. Z Dun Laoghaire pływał prom do Anglii — właśnie stamtąd Ellie i Brendan wyruszają jutro do domu.

— Ludzie potrzebują leków na receptę. Nie mogę zamknąć apteki.

Ellie chciała przemówić mu do rozsądku. Powinien przestać troszczyć się o wszystkich dokoła i pomyśleć przede wszystkim o sobie.

— Fern Hall można by przerobić na hotel z noclegiem i śniadaniem — powiedziała. — Jest bardzo dogodnie położony — przy drodze głównej.

— Nie mam głowy do interesów — odparł zwyczajnie. — Cały swój czas poświęcam na prowadzenie apteki.

Potrzebował wsparcia — zdecydowanej i przebojowej żony, a nie jakiejś głupkowatej Neili Kenny, byłej kochanki jego ojca, za którą Felix czuł się odpowiedzialny, tak jak za innych. Ellie chciała zaproponować, żeby przerobił aptekę na kwiaciarnię, sprzedawał kwiaty z ogrodu i układał je w bukiety, ale uznała, że nie ma już o czym mówić. Życie pokonało Felixa i zabiło w nim chęć do walki.

— Będzie mi brakowało ciebie i Brendana, kiedy wyjedziecie — powiedział ochrypłym głosem, zniżonym do szeptu.

— Od czasu do czasu będę cię odwiedzać — odrzekła Ellie. Przemawiała przez nią szczerłość. — Przynajmniej się postaram.

— Zawsze będziesz tu mile widziana.

Ellie zrobiła dobrą rzecz, nie mówiąc w domu, że Liam nie żyje. Powiedziała tylko, że byli niedopasowani. Dwa dni po tym, jak wróciła do Liver-

poolu, Liam zatelefonował, mówiąc, że Felix skontaktował się z nim w Genewie, zaniepokojony o los Ellie.

— Powiedział, że wyjechałaś do Dublina na jeden dzień i nie wróciłaś. — W głosie Liama zabrzmiała nutka zarzutu. — Dlaczego uciekłaś bez słowa? Odpowiedziałem Felixowi, że to w twoim stylu i że wcale mnie to nie dziwi. On chce tylko wiedzieć, czy jesteś w bezpiecznym miejscu.

— Tak. Dziękuję. Wyjechałam bez uprzedzenia, bo obawiałam się reakcji Neili Kenny.

— Reakcji Neili Kenny? Co masz na myśli?

— Sama nie może mieć dzieci, więc chciała odebrać mi Brendana. Liam, powinieneś pomóc bratu uwolnić się od Neili Kenny. Czy wiesz, że ona była kochanką waszego ojca?

— Co takiego?! — Liam zachłusnął się ze zdziwienia.

— Dobrze słyszałeś. Felix otrzymał ją w spadku razem z domem i apteką. Jest jeszcze coś: Felix kupił wszystkie niezbędne rzeczy dla Brendana. Jesteś mu winien masę pieniędzy. Ja nie mam z czego oddać.

Zapadła chwila ciszy. Szokujące fakty powoli dotarły do Liama.

— A Brendan? Jaki on jest? — spytał wreszcie.

— Wspaniały. Wszyscy kochają go nad życie.

— Mógłbym kiedyś przyjechać, żeby go zobaczyć?

— Moja rodzina patrzyłaby na ciebie z nienawiścią. — Ellie spojrzała na słuchawkę gromiącym wzrokiem, po czym odłożyła ją z trzaskiem.

Do domu przyjechała o właściwej porze. Trwały akurat przygotowania do ślubu matki, więc wszyscy byli zbyt zajęci, żeby wypytywać Ellie o życie w Dublinie i prawie morały z powodu nieślubnego dziecka Liama Conwaya. Mama ucieszyła się, że Ellie przyjechała na czas, by pełnić razem z Moirą i Daisy rolę drухen. Największym zmartwieniem było teraz zdobycie dla nich jednakowych sukien. Ellie nie kłamała, też, mówiąc Liamowi, że wszyscy kochali Brendana nad życie, a szczególnie babcia. Przyniesiono z piwnicy stare dziecięce łóżeczko, zakupiono pośpiesznie nowy materac, a następnie mama i synek zostali umieszczeni w pokoju na piętrze, który studenci zwolnili na czas wakacji letnich. Babcia przychodziła codziennie rano i zabierała Brendana, żeby Ellie mogła trochę dłużej pospać. Teraz, z dala od Neili, małństwo było w bezpiecznych rękach i Ellie już nie musiała o nie się martwić.

Ruby zdawało się, iż Brendan jest prawdziwym darem z niebios. Dzięki niemu nie miała czasu myśleć o tym, że jej ukochany mężczyzna zeni się

z inną kobietą. Gdyby nie to, że jego wybranką była jej własna córka, Ruby zawalczyłaby o Matthew, wyznałaby mu miłość, zmusiłaby go do wzajemności i przekonałaby go, że popełnia błąd.

Nie rozumiała, czemu Matthew poprosił Gretę o rękę, co go do tego skłoniło. Nawet jeśli popełniał błąd, Ruby to nie pocieszało. Najpierw nieudany związek z Jacobem, potem z Chrisem Ryanem, a teraz, na domiar złego, zmarnowana szansa na związek z Matthew Doyle'em.

— Miękka jesteś, Ruby O'Hagan — mawiała Beth. Nie myliła się.

Greta i Matthew byli idealnie dopasowaną parą. Znali się już od dawna. Od samego początku Greta darzyła go sympatią, nawet wtedy, kiedy Ruby wyzywała go od najgorszych. Heather też przyznała, że Greta i Matthew dobrali się jak w korcu maku, choć po tym, jak sama rozstała się z Geraldem, niełatwo jej było pogodzić się z odejściem siostry.

Ślub był tematem numer jeden. Nie mógł odbyć się w kościele, bo Matthew był rozwiedziony. Ale Greta nie miała nic przeciwko temu. Kiedyś Ruby uznałaby to za coś złego, ale czasy się zmieniły. Teraz ludzie brali rozwód coraz częściej, co wcale nie oznaczało, że resztę życia musieli spędzić w samotności, szczególnie, jeśli rozwód nie odbył się z ich winy, tak ja w przypadku Matthew.

Wydźwignąwszy się z kłopotów, Matthew wziął na siebie wszelkie koszty. Wesele miało odbyć się w nowym, bardzo drogim hotelu przy Paradise Street. Bez końca omawiano menu oraz liczbę zaproszonych gości. Zamówiono kwiaty, wynajęto samochody. Daisy zaproponowała, że zorganizuje zespół muzyki pop. Heather miała towarzyszyć pannie młodej, a Daisy i Moira zostały wybrane na drużny. Moira musiała przyjechać z Norwich na cały weekend i być przy zakupie weselnej kreacji. Wybrano bładoniebieską, z woalu, z plisowanym gorsetem i fałdowaną spódnicą. Umówiono wizytę u fryzjera. Greta zażyczyła sobie, żeby ślub odbył się po południu. Było więc sporo czasu na mycie i układanie włosów.

Ruby niemalże siłą została wyciągnięta do miasta, by pomóc przy zakupie ubrań dla panny młodej. Greta wciąż miała słabość do fałdek i falbanek, wybrała więc kremową, koronkową suknię, która sięgała jej do kolan. Wyglądała w niej jak lalka Barbie. Jej kapeluszek ozdobiony był płataniną piór i kwiatów. Korzystając z okazji, Ruby kupiła również coś dla siebie: prostą, obcisłą, niebieską suknię i krótką, skromną marynarkę. Popatrzyła w lustro i uznała, że Matthew postąpił właściwie, biorąc sobie za żonę córkę, a nie matkę, gdyż ta prezentowała się wyjątkowo nieciekawie. Miała już swoje lata, siwe włosy, opadające powieki, a jej szyja przy-

pominała stary, poskręcany sznur. Widząc swe zgarbione plecy, wyprostowała ramiona.

Matthew zamierzał kupić piękny dom w Calderstones. Agenci nieruchomości dwoili się i troili, by sfinalizować umowę jeszcze przed powrotem nowożeńców z południa Francji, dokąd wybierali się w podróż poślubną. Wszystko szło pomyślnie. Jednak nie dla Ruby.

Beth nie mogła przyjechać na ślub.

„Wygłaszam przemówienie na konferencji — pisała. — Nie wyobrażam sobie, żebym mogła zrezygnować z takiej szansy, ale na *twoje* wesele przyjechałabym natychmiast, Ruby. Odwołałabym spotkanie nawet z samym prezydentem Carterem.

Z Connie i Charlesem nie widziała się już od lat i miała nadzieję, że skoro zostali zaproszeni na ślub, przyjadą do Liverpoolu choćby na jeden dzień. Niestety, Connie poinformowała ją przez telefon, że Charles nie może nigdzie jechać ze względu na zły stan zdrowia.

— Ma problemy z sercem, Ruby. Lekarz nie pozwala mu jeździć samochodem, a podróż pociągiem byłaby dla niego zbyt męcząca. Pozdrów od nas Gretę i powiedz, że prezent przysłemy pocztą.

Na domiar złego kilka dni temu Ruby wyczytała w gazecie *Echo*, że Jim Quinlan nie żyje. Przez lata dziękowała losowi, że Jim nie odwzajemniał jej silnych uczuć. Kiedyś była skłonna wyjść za niego bez wahania — pewnie dlatego, że tak bardzo różnił się od Jacoba. A może po prostu bardzo pragnęła się zakochać i poznała Jima we właściwym momencie.

„Dlaczego ludzie starzeją się i umierają?" — To pytanie nurtowało Ruby. Po raz pierwszy w życiu ogarnął ją przeraźliwy smutek. Zdała sobie sprawę, jak marny czekają los. „Jaki to wszystko ma sens?" — zastanawiała się. Prędzej czy później przychodzi moment, kiedy człowiek zaczyna zadawać sobie to pytanie.

Wtedy wróciła z Dublinu Ellie z Brendanem. Ruby miała już pierwszego prawnuka. Jej pytania pozostały bez odpowiedzi, a smutek pogłębiał się. Mimo to pokochała maleństwo całym sercem.

Heather uznała za niedorzeczność brać ślub cywilny w towarzystwie starszycy i drухen, jednak opinię tę zachowała dla siebie. W końcu to nie jej ślub, tylko Grety. Suknia panny młodej wydawała się jej zbyt krótka. Że też mama nie namówiła jej do założenia czegoś bardziej przyzwoitego. Nawet baletnice noszą dłuższe stroje.

Ceremonia zawarcia związku małżeńskiego przed osobą w stroju urzędowym, w zwyczajnym miejskim budynku, również była czymś

odmiennym, wręcz nie na miejscu, tym bardziej że prowadziły ją urzędniczki.

- Czy bierzesz tę kobietę...?
- Czy bierzesz tego mężczyznę...?

— Tak — powiedziała cicho Greta dziewczęcym głosem, który od dziecka prawie się nie zmienił.

Heather poczuła, jak oczy pieką ją od łez. Płakała nie z tęsknoty za Gretą, lecz dlatego, że rozumiała, iż w przeciwieństwie do siostry nigdy już nie będzie w stanie wypowiedzieć słów przysięgi małżeńskiej. Nie mogłaby powiedzieć ich ani Geraldowi, ani żadnemu innemu mężczyźnie, jakiego spotka. Już raz powiedziała sakramentalne „tak”, stojąc przy ołtarzu z Robem. Powiedziała to raz i na zawsze. Do końca życia pozostanie wdową po Robie...

Od Brendana zaczęło okropnie cuchnąć. Mały miał pełną pieluchę. Stało się to w samym środku ceremonii ślubnej, kiedy Ruby trzymała gaworzące dziecko na ręku. Martwiła się, czy wystarczy świeżych pieluch. Zabrała tylko trzy, a wesele potrwa jeszcze kilka godzin.

W trakcie ceremonii panowała nijaka atmosfera. Zdaniem Ruby brakowało tam godności i dostojeństwa, jakie panowały w kościele. Pomyślała, że może każdy kolejny ślub nie dostarcza już tylu wrażeń, co ten pierwszy. Pan młody nie uśmiechnął się ani razu, a Heather miała grobową minę, jakby zbliżał się koniec świata. Jedynie Greta cieszyła się z tego, że lada moment zostanie panią Doyle.

Ruby spojrzała w kierunku państwa Donovan i państwa White. Na ich twarzach malowała się powaga. Zapewne pamiętali wesele sprzed lat, które miało być początkiem nowego życia, a po którym nastąpił tragiczny koniec.

Ellie dziękowała Bogu, że wróciła do domu we właściwym czasie. Tańczyła właśnie z szalenie przystojnym facetem o imieniu Gary. Był rzeźbiarzem i zajmował się sztuką. Bawiła się świetnie. Impreza była trochę nudna, szczególnie przemówienia, ale babcia i dziadek Donovan bardzo ucieszyli się na jej widok. Byli zachwyceni Brendanem. Ellie czuła się bardzo dumna, jak gdyby dokonała jakiegoś cudu.

— Przecież to wnuk naszego Larry'ego — powiedziała ze wzruszeniem babcia Donovan. — Czyż nie jest do niego podobny?

— Wykapany dziadek — zgodził się jej mąż. Tego dnia powiedział to już cztery razy, porównując Brendana do czterech różnych osób.



O siódmej przyjechał zespół rockowy, a wraz z nim mnóstwo innych ludzi. Wesele zamieniło się w imprezę taneczną. Brak talentu grupa The Gigolos nadrabiała głośną muzyką, przy której łatwo się tańczyło. Jakim to cudem Daisy miała znajomych w zespole muzyki pop?

Niedługo po tym państwo młodzi wybrali się w podróż poślubną. Goście przestali tańczyć i pożegnali ich radosnymi okrzykami. Moira podeszła do swej bliźniaczej siostry.

— Jakoś nie mogę się pogodzić z tym, że mama jest mężatką — powiedziała szeptem. — To dziwne uczucie. Popatrz, Matthew obejmuje ją ramieniem.

— Rzeczywiście, trochę to dziwne — zgodziła się Ellie. Była w domu zbyt krótko, żeby się nad tym zastanawiać, choć wiadomość o ślubie bardzo ją zaskoczyła. — To znaczy, że Matthew jest dla nas ojczymem.

— Mama chce, żebyśmy zamieszkały z nią w Calderstones. Nie wiem, co ty o tym sądzisz, ale ja się nie zgodziłam. Wolę zostać w naszym starym domu, razem z babcią. Mama chyba trochę się o to gniewa.

— Jeszcze z nią nie rozmawiałam, ale jestem tego samego zdania, co ty.

Ellie wiedziała, że w przeciwieństwie do babci, matka nie zajmie się Brendanem w czasie, kiedy ona będzie chciała nadrobić nieprzespane godziny.

Zespół zaczął grać ponownie. Nie mogąc się oprzeć, bliźniaczki spojrzały na siebie z uśmiechem i zaczęły tańczyć w miejscu, wyginając się i kręcąc w głośny, gwałtowny rytm muzyki. Natychmiast pojawili się przy nich dwaj młodzieńcy: Gary — rzeźbiarz i jakiś facet w postrzępionych dżinsach, z włosami spiętymi z tyłu w kitkę, który zainteresował się Moirą.

Ellie była gotowa spędzić całą noc na parkiecie. Zupełnie zapomniała o obowiązkach karmiącej matki. Dlatego nie kryła złości, kiedy kilka godzin później babcia pociągnęła ją za rękaw, oświadczając, że Brendan wrzeszczy wniebogłosy.

— Nakarm go z butelki — odpowiedziała, poirytowana.

— Obie są już puste, skarbie.

— Czyli mam iść do domu, tak? — Ellie była wściekła.

— Przecież sama go nie nakarmię. Poza tym pielucha mu przecieka. To już dziś piąta. Wzięłam trochę jednorazowych, ale nie chcę go znowu przewijać. Trzeba biedaka wykapać, bo inaczej dostanie wysypki. Zadzwoń po taksówkę.

— A gdzie w ogóle jest Brendan?

— Z drugą babcią. Zsiusiał się na jej śliczny, nowy kostium.

Ruby odeszła szybkim krokiem.

— Ty masz dziecko? — spytał Gary, patrząc podejrzliwie na Ellie.

— Tak.

— O! Tam jest mój kolega. Przepraszam cię na chwilkę. Muszę z nim pogadać.

Gary zniknął w tłumie, nie wspomniawszy już o sobotniej imprezie, na którą wcześniej ją zapraszał. Ellie wiedziała, że zawsze tak będzie. Nie może już sama rozporządzać swoim czasem teraz, kiedy odpowiada za życie drugiego człowieka. Nie może wychodzić, kiedy ma na to ochotę ani robić tego, co jej się podoba. Mężczyźni będą trzymać się od niej z daleka, jak tylko dowiedzą się o Brendanie. Mało który chciałby wychowywać dziecko spłodzone przez innego faceta.

Przez całą drogę w taksówce Ellie milczała, choć wiedziała, że nie może winić babci za swoje niechciane macierzyństwo. Co dziwne, babcia także milczała, mimo iż zazwyczaj była pogodna i rozmowna. Tego dnia cały czas wyglądała na przygnębioną. Babcia znaczyła dla Ellie bardzo wiele, ale teraz było jej wszystko jedno. Miała wszystkiego dość i nic już jej nie obchodziło.

Kiedy się zbudziła, było jeszcze ciemno. Ktoś siedział na łóżku i próbował uspokoić rozwrzeszczanego Brendana. Ellie usiadła i zapaliła lampkę nocną.

— Która godzina? — spytała.

— Trzecia — usłyszała. To była Daisy. Wciąż miała na sobie niebieską suknię druhny. — Byliśmy z Clintem u Pauli. Dopiero wróciłam. Usłyszałam płacz Brendana i chciałam go uciszyć, zanim cię obudzi, ale zda się, że trzeba go nakarmić.

— Mały, wstrętny żarłok. — Ellie rozpięła koszulę nocną, a Daisy podała jej dziecko. — Przecież karmiłam go dopiero pięć godzin temu.

— Pewnie jesteś bardzo zmęczona, skoro nie usłyszałaś, że płacze.

— „Zmęczona” to za mało powiedziane. Jestem kompletnie wykończona — odparła Ellie żałosnym głosem.

— Może powinnaś zacząć karmić go tylko z butelki. Mogłybyśmy wtedy wstawać do niego na zmianę. Ja chętnie pomogę. Babcia też. Poproś lekarza, żeby przepisał ci tabletki na zatrzymanie pokarmu.

— To naprawdę możliwe? — Ellie uznała, że to doskonały pomysł i postanowiła z samego rana zobaczyć się z lekarzem.

— Jeśli chcesz, zrobię nam kakao.

— Poproszę. Zjadłabym też ciastko. Umieram z głodu.

Kiedy kuzynka wróciła do pokoju, Brendan zdążył wyssać już połowę mleka z drugiej piersi mamy.

— Jakie to uczucie? — spytała Daisy.

— Czasem boli, a czasem łaskocze.

— Clint i ja będziemy mieli całą gromadkę dzieci.

— Naprawdę?! Czyj to pomysł? Clint'a czy twój? — Ellie miała wrażenie, że Clint trzyma się od niej z daleka. Odkąd wróciła, nie spotkali się ani razu.

— Chyba mój. Znasz Clint'a. Wiesz, jaki jest nieśmiały. Na pewne tematy po prostu nie chce rozmawiać.

„Między innymi o dzieciach” — dodała w myślach cynicznie Ellie.

— Nadal zamierzacie się pobrać?

— Tak, za rok. W styczniu 1979. Ty i Moira mogłybyście być druhnami na moim ślubie — zaproponowała grzecznie Daisy.

— Dzięki, to bardzo miło z twojej strony. — Ellie popatrzyła na niewinną, dorodną twarz Daisy. Przez ostatni rok bardzo się zmieniła: nabrała pewności siebie i miała wielu znajomych, choć nadal wyglądała przeciętnie, a jej sylwetka była tak samo krępa jak dawniej. Moira powiedziała, że znajomi Daisy to artyści. Uważała, że Daisy fantastycznie maluje. Na jakiejś wystawie sprzedano, nawet kilka jej obrazów.

— To znaczy, że ktoś je kupił? Za pieniądze? — Ellie pamiętała, że zachłysnęła się wtedy ze zdziwienia.

— Tak. Niesamowite, prawda?

— Rzeczywiście, niesamowite...

Brendan przestał ssać i z zadowoleniem oblizał usta. Ellie przełożyła go sobie przez ramię, żeby mu się odbiło.

— Jak chcesz, ja to zrobię, a ty w tym czasie wypij kakao i zjedz ciastko.

— Dziękuję ci, Daisy. — Ellie z wdzięcznością podała jej dziecko.

— Lubię go trzymać. To miłe uczucie, kiedy się tak do mnie przytula. — Daisy delikatnie poklepała Brendana po plecach. — Jest bardzo męski. W koszulce nocnej mu nie do twarzy. Kupię mu elastyczne, jedno-częściowe śpioszki, dobrze?

— Dobrze.

— Pójdę jutro do sklepu z odzieżą dla niemowląt.

Ellie doznała miłego uczucia. Leżała wygodnie, oparta o poduszkę, sączyła kakao i obserwowała, jak ktoś inny zajmował się jej dzieckiem.

— A jak tam wyniki matur? Jesteś zadowolona? — spytała Daisy.

— Poszło mi dużo lepiej niż się spodziewałam. — Ellie rzeczywiście była zaskoczona. Otrzymała pozytywne oceny, chociaż przed egzaminem nie powtórzyła materiału z ani jednego przedmiotu.

— Pójdiesz teraz do pracy?

— Nawet o tym nie myślałam. A co z Brendanem?

— Babcia się nim zaopiekuje, prawda? Nami też się opiekowała, kiedy twoja mama była chora, a moja chodziła do pracy.

— Chyba tak — powiedziała zamyślona Ellie.

Kiedy Daisy wyszła, a Brendan chrapał cichutko w swoim łóżeczku, Ellie otuliła się kołdrą i zaczęła zastanawiać się nad tym, co przed chwilą usłyszała. Nie interesowała ją zwykła praca w biurze czy w banku. Chciała zatrudnić się w nocnym klubie albo w agencji reklamy. Pragnęła podróżować po świecie jako modelka lub aktorka. Sądziła, że dziecko położy kres jej marzeniom, ale skoro babcia i tak zaopiekuje się Brendanem, ona może pójść do pracy albo po prostu wyjechać!

Może. Ellie czuła, że kiedy babcia dowie się o jej planach, na pewno odmówi. Przecież opieka nad dzieckiem przez kilka godzin to nie to samo, co zajmowanie się nim przez cały czas. Babcia z pewnością powie, że Brendan potrzebuje matki, choćby tylko w nocy.

W tej sytuacji jedynym wyjściem była ucieczka. Uciekła już dwa razy: najpierw z domu, potem z Fern Hall, od Felixa. Teraz też ucieknie, nikomu nic nie mówiąc, spokojna, że jej syn znajduje się w bezpiecznym miejscu. Tym razem nie powie nawet Moirze. Nie chciała słyszeć od niej krytycznych komentarzy.

I tak dwa miesiące później, w połowie września, Ruby weszła cichutko do pokoju wnuczki, żeby wziąć Brendana i nakarmić go z butelki, a łóżko Ellie było puste. Nie było jej ani w łazience, ani na parterze. Minęło kilka godzin. Ellie nie pojawiła się i wtedy Ruby zrozumiała, że po raz kolejny wnuczka uciekła z domu.

## *Rozdział 17*

Pieniądzy było w bród. Greta mogła kupować sobie wymarzone ubrania i urządzać dom wedle życzenia, lecz mimo to nudziła się. Mieli przepiękny dom w stylu Tudorów. Było w nim pięć sypialni, salon, dwie jadalnie i kuchnia z wszelkimi nowoczesnymi urządzeniami. Mieli bajeczny ogród — idealny i zadbany. Dwa razy w tygodniu przychodził ogrodnik, który wyrywał chwasty, przycinał krzewy i kosił trawę.

Matthew przeprowadził w domu generalny remont. Wszędzie położono nowe dywany. Greta była zachwycona, mogąc wybierać kolory i do woli przebierać w zasłonach i meblach w najdroższych sklepach.

Teraz, kiedy wszystko zostało już urządzone, a szafa z lipowego drewna i komody zapełniły się nowymi ubraniami, nagle zabrakło sposobów na spędzanie wolnego czasu. Zatrudnili też pokojówkę i ogrodnika. Greta zajmowała się jedynie wkładaniem brudnych rzeczy do pralki, po czym musiała jeszcze włączyć suszarkę. Wieczorem przygotowywała Matthew kolację.

Pomyślała, że może nie powinna była zrezygnować z pracy. Nie wypadło jej jednak zarabiać na życie, w dodatku jako stenotypistka, skoro była żoną bardzo bogatego biznesmena i mieszkała w tak wspaniałym domu. Co innego, gdyby miała zawód, tak jak Heather. Tak czy siak, Greta nigdy nie lubiła pracować. Mama zawsze mówiła jej, że jest leniwa i że najchętniej całe dnie spędzałaby w łóżku. Greta sama przyznała, że to prawda.

Byłoby jej przykro, bo żadna z córek nie chciała z nią zamieszkać i cztery z pięciu sypialni stały puste. Nieważne, że Moira studiowała w innym mieście, a Ellie postanowiła znów potajemnie wyruszyć w świat. Greta bardzo chciała przygotować pokoje na ich powrót. Urządziłaby je naprawdę ładnie i z pewnością spodobałyby się dziewczynkom.

Mimo że firmą zarządzał teraz kto inny, Matthew był bardzo zajęty pracą. Niekiedy aż do dziesiątej wieczorem. Do tej pory kolacja zdążyła już wystygnąć. Przez większość czasu Greta była sama w domu. Jak na ironię losu, doskwierała jej samotność, a przecież wyszła za Matthew po to, żeby już nigdy nie czuć się osamotnioną. Coraz częściej odwiedzała więc matkę. I dopiero teraz zauważyła, że dom przy Parku Księżąt był naprawdę stary i zniszczony. Tym bardziej złościło ją, że jej córki-bliźniaczki nie chcą się stamtąd wyprowadzić. Moira miała przyjechać do domu na święta Bożego Narodzenia, ale jej dom był przy Parku Księżąt, a nie w Calderstones.

Heather studiowała prawo na Uniwersytecie Otwartym. Wstawała o bardzo wczesnej porze i oglądała programy telewizyjne. Wieczorami, kiedy Greta przechodziła do swego dawnego pokoju i siadywała na swoim łóżku, chcąc porozmawiać z siostrą, Heather zazwyczaj uczyła się lub pisała rozprawki i dawała jasno do zrozumienia, żeby jej nie przeszkadzać.

W ciągu dnia mama była przeważnie zajęta opieką nad Brendanem. Chłopczyk miał już prawie osiem miesięcy. Był rozkosznym dzieckiem,

ale wymagał stałej uwagi. Biedna mama miała pełne ręce roboty. Musiała doglądać Brendana, trzech studentów oraz Heather i Daisy.

— Może ja zajęłabym się Brendanem? — zaproponowała Greta któregoś popołudnia. Brendan jadł podwieczorek i świetnie się przy tym bawił. Przez długi czas celowo trzymał jedzenie w buzi, aż zaczynało wy-ciekać mu z ust. Wtedy Ruby zbierała je łyżeczką i wpychała mu z powrotem do buzi. W jego zielonych oczkach błyskały figlarne ogniki. Siedział w wysokim krzeselku i dużymi rączkami uderzał w tacę, kopiąc ją przy tym tłusciutkimi kolankami. Był pięknym, dorodnym dzieckiem. Miał oczy Liama Conwaya i śliczne, złocistorudawe włosy. Greta pomyślała, że przy Brendanie czas płynąłby jej dużo szybciej. Matthew też na pewno by się ucieszył. Wynajęliby opiekunkę z zagranicy, żeby wstawała do niego w nocy i przewijała go.

— Sama sobie z nim poradzę, skarbie — odpowiedziała Ruby łagodnym tonem.

— Mamo, zapracujesz się na śmierć!

— Jeśli tak bardzo chcesz pomóc, Greto, przygotuj studentom podwieczorek.

Greta obraziła się. Nie o to jej chodziło. Brendan był przeciwieństwem wnukiem, synem jej własnej córki. Miała do niego większe prawo niż matka.

— To niesprawiedliwe — powiedziała. — Mamy dużo ładniejszego domu i wspaniały ogród. Stać nas na to, żeby kupić wszystko, czego dziecko potrzebuje: zabawki, ubranka i inne rzeczy.

Brendan wyrósł już ze śpiochów i trzeba było uciąć spód nogawek. Na stopach miał dziewczęce, falbaniaste skarpetki, które kiedyś należały do jednej z bliźniaczek.

— Chwileczkę, skarbie — powiedziała Ruby bardzo powoli, co było zamierzone. — Mówiłaś, że chętnie zajęłabyś się nim. Czy to oznacza, że chcesz go zabrać do siebie?

— Tak.

— A skąd ci nagle przyszło do głowy, żeby mieć dziecko? Pewnie całymi dniami nudzisz się w tym swoim wspaniałym domu?

— Tak, to znaczy nie. Oczywiście, że nie — zająknęła się Greta.

Nagle po raz pierwszy w życiu między nią a matką doszło do strasznej awantury. Córka zionęła ogniem, matka mówiła niewiele. Greta oskarżała Ruby o to, że ta odebrała jej dzieci i nie pozwalała jej ich widywać, a teraz odbiera jej także wnuka. Miotła się z wściekłości, zaczęła grozić matce, że pójdzie do sądu i odzyska Brendana, choć dziecko wcale nie było pod jej opieką.

Wróciwszy do domu, zastała pustkę i ciemność. Włączyła centralne ogrzewanie, po czym opadła na łóżko i wybuchła płaczem. Zastanawiała się, jaki jest powód jej nieszczęścia. Kiedyś zawsze była szczęśliwa, z wyjątkiem kilku lat po śmierci Larry'ego. Zdawało jej się, że nowoczesny dom i pieniądze dadzą jej jeszcze więcej szczęścia. Nigdy nie zamierzała rywalizować z siostrą, ale w głębi duszy miała nadzieję, że jej nowa sytuacja życiowa wzbudzi zazdrość Heather. Ona tymczasem znalazła spokój i satysfakcję, poświęciwszy się bez reszty studiom prawniczym.

Matthew bardzo starał się pomóc, ale nie potrafił. Był niezwykle uprzejmy i troskliwy. W weekendy zabierał ją na wycieczki, na święta chciał kupić jej futro i bez przerwy zachwalał jej kuchnię. A spanie z nim wzbudzało w Grecie dziwne emocje. Odkąd sięgała pamięcią, Matthew zawsze był w pobliżu i choć uważała go za atrakcyjnego, jednak nigdy nie przyszło jej do głowy, że mógłby być jej kochankiem. Teraz jednak był jej mężem. Kochali się co noc. Jego dotyk podniecał ją natychmiast, ale u Matthew wyczuwała całkowity brak zaangażowania, jakby tylko i wyłącznie spełniał swój małżeński obowiązek. Niekiedy, mimo całej troskliwości, jaką wobec niej przejawiał, Greta nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w roli jej męża Matthew czuje się nieswojo.

Kiedy druga jej córka wróciła do domu, Ruby wciąż jeszcze była roztrzęsiona. Przypaliła podwieczorek dla studentów. Na szczęście przyjęła samych chłopców, a im zawsze było wszystko jedno, co jedzą, byleby mieli dużo na talerzu. Ruby przekonała się, że dziewczęta bywają bardziej kłopotliwe — zawsze znajdują sobie jakiś powód do narzekania.

— Gdzie Brendan? — spytała Heather.

— Wreszcie zasnął. Skarbie, zjesz omlet? Nic innego nie przygotowałam. Dziś jakoś mi nie idzie.

— Chętnie zjem omlet. Mamo, co się stało? — Heather zauważyła, że matce trzęsą się ręce.

Ruby usiadła. Była bliska łez.

— Ja i Greta strasznie się dziś pokłóciłyśmy. — Opowiedziała, jak do tego doszło. — Nie wiem, co w nią wstąpiło. Odkąd wyszła za mąż, bardzo się zmieniła.

Heather wyciągnęła ręce i ujęła dłonie matki.

— To przykre, mamo, ale nikt z nas nie wie, jaka naprawdę jest Greta. Potrafi być słodka jak miód, kiedy wszyscy jej nadskakują, rozpieszczają ją i uwielbiają. To egoistka. Zawsze musi być na pierwszym miejscu. Dziś po raz kolejny dała temu dowód. Nie obchodzi ją to, jak bardzo

cię zraniła. To jasne: siedzi sama w swoim wielkim domu, jest nieszczęśliwa, ma za dużo wolnego czasu i dlatego chce zająć się Brendaniem, żeby znowu poczuć się ważna.

— Ach, daj spokój z tą psychologiczną gadką, Heather. Mówisz zupełnie jak Beth.

— A jak inaczej wytłumaczysz dzisiejsze zachowanie Greta?

— Nie wiem — odparła Ruby po chwili namysłu.

— Ellie jest taka sama — mówiła dalej Heather. — Robi wszystko po swojemu, a konsekwencje ma w nosie.

— Podobnie zachowywał się wasz ojciec. Nie miał sumienia i uciekał od odpowiedzialności. — Ruby zasępiła się. — Mam nadzieję, że Matthew jest dla Greta dobrym mężem.

— Jestem pewna, że tak, tylko że przez większość czasu jest nieobecny, prawda? Ma na głowie inne sprawy. Greta nie jest już pępkiem świata jak dawniej.

— Może powinnam do niej pójść.

— Nie — odpowiedziała Heather stanowczym tonem. — Niech wypije piwo, którego sobie nawarzyła. Niedługo wróci. Ona potrzebuje nas bardziej niż myjej, mamó.

— I może właśnie dlatego powinnam do niej pójść.

— Mamó, ona ma czterdzieści jeden lat. Sama musi sobie radzić. Wystarczy, że masz pod opieką Brendana.

Greta przyszła tydzień później. Na uniwersytecie w Norwich była już przerwa świąteczna i Moira przyjechała do domu, który udekorowano bożonarodzeniowymi ozdobami. Na widok wytartych papierowych łańcuchów, bombek, składanych w harmonijkę dzwoneczków i starej figurki aniołka na czubku choinki Greta poczuła ukłucie w sercu. Dawniej też pomagała ubierać choinkę i dekorować dom; tym razem inni zrobili to bez niej.

Moira leżała na podłodze w salonie i bawiła się z Brendaniem. Uczyła go układać klocki, ale on zdecydowanie wolał rzucać nimi tak daleko, jak tylko się dało.

— Cześć, mamó — powiedziała Moira śpiewnym głosem. Nie podniosła się, by ucałować matkę.

Greta przyszła z przeprosinami. Widząc jednak, że w miejscu, które niegdyś było dla niej domem, nadal toczy się życie i nikt nie odczuwa jej braku, nie kryła rozżalenia. Zastała matkę w kuchni. Ruby wsypywała mąkę do plastikowej miski.



— Witaj, skarbie — powiedziała z uśmiechem, jakby nigdy nic. — Jak myślisz, starczy tego mięsa? Chciałabym już teraz przygotować paszteciki, żeby tym razem w Wigilię uniknąć pośpiechu.

— Nie wiem, mamo. Trzeba by najpierw je zważyć.

— Zawsze ważyłam, ale Brendan popsuł mi wagę.

— Wiesz, mamo — powiedziała Greta pod wpływem impulsu — ja i Matthew chcielibyśmy zaprosić was do naszego domu na świąteczny obiad. Kupiliśmy wielkiego indyka — skłamała, wyobrażając sobie siebie jako gwiazdę wieczoru, której wszyscy bez końca powtarzają, jak wspaniale urządziła swój piękny dom. Mało kto miał okazję tak naprawdę go obejrzeć.

— Greto, kochanie, mówisz mi o tym trochę późno. Sądziłam, że ty i Matthew przyjdziecie do nas. Będzie Clint, jego rodzice i Jonathan.

— Jaki Jonathan?

— Student. Przyjechał z Indii, z Karachi. Nie wyjeżdża na święta do domu, bo to za daleko. Zostanie więc u nas.

— Skoro to Hindus, dlaczego nazywa się Jonathan?

— Bo jest chrześcijaninem. Wybiera się z nami na pasterkę.

— Ja i Matthew nie możemy przyjść na świąteczny obiad — ucięła Greta.

Matka miała zakłopotaną minę.

— Przecież przed chwilą sama nas zapraszała!

— Skoro moja własna rodzina nie chce do nas przyjść, pójdziemy gdzie indziej. Zostaliśmy zaproszeni na obiad do wielu innych osób. — Greta wiedziała, że sama sobie robi na złość. Jakkolwiek nierozsądne było jej zachowanie, miała wielki żal o to, że jej spóźnione zaproszenie nie zostało przyjęte. Uznała, że nikt już się z nią nie liczy.

Od czasu wprowadzenia się do domu w Calderstones ani razu nie korzystali jeszcze z dużej jadalni. Greta i Matthew jadali zazwyczaj w małej, gdzie było o wiele przytulniej. Może nie powinni byli zasiadać do obiadu tylko we dwoje przy ogromnym stole w pierwsze święto. Matthew był wyraźnie zaskoczony, sądząc, iż nie zaproszono ich do domu przy Parku Książąt.

Podczas posiłku prawie się do siebie nie odzywali. Potem Greta sprzątnęła ze stołu i oboje usiedli przed telewizorem, każde osobno: ona w kuchni, przy małym, przenośnym odbiorniku, a Matthew w salonie. Tak upłynął im czas do godziny szóstej. Następnie zaczęli szykować się do

wyjścia. Wybierali się do Southport, na przyjęcie organizowane przez gościa z zarządu firmy Medallion, która przejęła Doyle Construction.

Greta włożyła czerwoną suknię z kreponu w stylu hiszpańskich tancererek — na ramiączkach, wykończoną falbaniastym rąbkiem. Nie pytając Heather o radę, pomalowała usta na jasnoczerwono, żeby kolor szminki pasował do koloru sukni. Na policzki nałożyła trochę za dużo różu i zbyt mocno pomalowała rzęsy. Matthew był nieco zdziwiony jej wyglądem, ale nie powiedział ani słowa. Pomógł jej założyć nowe, wspaniałe futro z fok i norek.

Na przyjęciu Greta cieszyła się zainteresowaniem mężczyzn, którzy chętnie nawiązywali z nią rozmowę, zachwycali się jej urodą i mówili, że w czerwonym jest jej bardzo do twarzy. Greta zawsze uwielbiała być w centrum uwagi i znowu poczuła się jak gwiazda. Zdobyła się nawet na to, by dać swój numer telefonu pewnemu Amerykaninowi, Charliemu Mayhew, który obiecał skontaktować się z nią, by zaprosić ją na lunch. Greta wiedziała, że Matthew nie miałby nic przeciwko temu, jednakże nie wspomniała mu o tym ani słowem.

Wydawała mi się taka słodka — wymamrotał Matthew.

- Czyżbyś zmienił zdanie? — spytała opryskliwie Ruby.
- Niestety — odparł Matthew.

Dwa tygodnie po Bożym Narodzeniu Matthew zjawił się nagle któregoś dnia po południu. Moira zabrała Brendana na spacer w wózku, a Ruby, korzystając z okazji, zabrała się w tym czasie za pranie pościeli studentów. Mieli wrócić już za kilka dni, a Ruby nie znalazła jeszcze ani jednej wolnej chwili, żeby się za to wziąć.

— Jesteśmy małżeństwem od pół roku, a mnie już nęka okropne przecucie, że nasz związek to pomyłka — powiedział Matthew smutnym głosem.

— I po co mi to mówisz? — Ruby była zdziwiona, że przemawia do niego tak oschłym tonem, skoro szczerze ucieszyła się na jego widok, mimo iż nie był w najlepszej formie i najwyraźniej coś go trapiło. Czuła, jak serce się w niej raduje, kiedy otworzyła drzwi i go ujrzała.

— Muszę z kimś porozmawiać, a nie mam żadnych przyjaciół oprócz ciebie.

- Chcesz herbaty?
- Miałem nadzieję, że zaproponujesz.

Usadowił swoją wysoką, nieco zgarbioną postać na kuchennym krześle.

Ruby nalała wody do czajnika i kopnęła pralkę, która na chwilę przestała działać. Odsłużyła już swoje i trzeba było jej pomóc.

— Co się stało, Matthew? — spytała już spokojniej.

— Nie wiem, Rube.

Było jej przyjemnie, że nazwał ją „Rube”. Oznaczało to, że znów łączyła ich przyjaźń. I musiało jej to wystarczyć.

— Nie wiem, gdzie popełniam błąd. Nie wiem, jak mam postępować. Ona wciąż ma humory, jest rozdrażniona, nudzi się. Kiedyś za nic w świecie nie wyobrażałem sobie, że ktoś taki jak Greta potrafi się złościć, ale ostatnio kilkakrotnie przekonałem się, że tak.

— Ja też się przekonałam. Byłam zszokowana.

— Naprawdę? — spytał, choć nie wyglądał na zaskoczonego. — Greta źle myśli o tobie i o Heather, nawet o Moirze. Wydaje jej się, że wszystkie jesteście przeciwko niej.

— Wcale nie — zaprzeczyła żarliwie Ruby. — Bardzo się o nią martwię. Heather mówi, że Greta dojdzie ze sobą do ładu i sama do nas przyjdzie. A Moira chyba nawet nie zauważyła, że coś jest nie tak.

— Greta ma obsesję na punkcie Brendana. Chce go zabrać.

— Brendan to nie pakunek, który może przechodzić z rąk do rąk i zaspokajać czyjeś kaprysy. Opiekują się nim już dwie osoby.

— To właśnie jej powiedziałem.

— Żałujesz, że się jej oświadczyłeś?

— Nie ja się jej oświadczyłem, Rube, to ona z tym wyszła.

— Co takiego?!

Ruby zalewała właśnie herbatę i krople wrzątku oparzyły jej rękę. Wrzasnęła z bólu.

— Nic ci nie jest? — Matthew zerwał się z krzesła, chwycił ją za rękę i włożył pod strumień zimnej wody. — Teraz już lepiej?

— Dużo lepiej, dziękuję. Dlaczego przyjąłeś jej oświadczynę?

Delikatnie osuszała jej dłoń ręcznikiem. Stali teraz blisko siebie, dotykając się. Na swoim policzku czuła jego ciepły oddech.

— Bo jestem zbyt uczuciowy, bo schlebiało mi to, bo było mi wtedy okropnie smutno i źle.

— Dlaczego?

— Znasz odpowiedź, Ruby.

Odwróciła się i stanęła twarzą do zlewu. Nie mogła spojrzeć mu w oczy.

— Przepraszam, Matthew. Byłam głupia i wredna. Zasłużyłam na to, żeby wyzwać mnie od najgorszych. Myślenie zawsze szło mi ciężko. Nie

miałam pojęcia, co chciałeś mi powiedzieć. Zorientowałam się dopiero wtedy, gdy rozmawiałam przez telefon. Wołałam cię, ale wyszedłeś.

— Byłem tak wściekły, że nie zamierzałem do ciebie wracać...

Przerwał. Przez długą chwilę oboje milczeli.

— Co byś mi wtedy odpowiedziała? — spytał cicho Matthew.

— Za późno, żeby o tym mówić, Matthew. — Ruby odsunęła się. — Sam rozumiesz, prawda?

Westchnął.

— Wołałbym nie rozumieć.

— Musisz — odparła, udając nagłe ożywienie.

Miała ochotę rozpłakać się, paść mu w ramiona, naprawić wyrządzoną mu krzywdę. Za późno. Jej czas już minął. Matthew był teraz mężem jej córki. Gdyby ożenił się z kim innym, ucieszyłyby się na wieść o rozpadającym się małżeństwie.

— Co znowu z tą cholerną pralką?! — Po raz kolejny pralka przestała działać. Ruby kopnęła ją. — Chyba nigdy tego nie skończę.

— Na Boga, Ruby, kup sobie nową.

Matthew znów zachowywał się jak dawniej. Zdawałoby się, że nigdy nie doszło między nimi do poważnej rozmowy. Usiadł przy stole. Ruby podała mu kubek z herbatą.

— Nie stać mnie — zaśmiała się sardonicznie.

Greta nie dokładała się już do budżetu domowego, a obecność Brendana, który stał się niezbędnym członkiem rodziny, i tak oznaczała dodatkowe koszty.

— To ja kupię ci pralkę na święta.

— Nie mogłabym przyjąć tak drogiego prezentu, a poza tym dostaję już od ciebie perfumy.

— Przestań unosić się honorem, Ruby. W końcu jesteśmy teraz rodziną. Jesteś moją... — przerwał.

— Teściową?

— Teściową, zgadza się.

Uśmiechnęli się do siebie szeroko. Ruby poczuła, że połączyła ich pewna intymna więź, której nigdy przedtem nie doświadczyli. Ta więź nie była podszyta żądzą fizyczną.

— Dlatego też — mówił dalej Matthew — od dziś koniec z płaceniem czynszu. Mówię poważnie, Ruby — dodał zdecydowanym tonem, kiedy próbowała otworzyć usta i zaprotestować. — Jeśli przyślesz mi czek, podrę go na kawałki.

— Skoro nalegasz, niech ci będzie — odparła sucho.

— Nalegam. Tylko proszę cię, Rube, nie dziękuj mi, bo dostanę za-  
wału serca.

— Dobrze. W takim razie nie dziękuję.

Następnego dnia po południu Brendan został z Moirą. Była nim zachwy-  
cona. Ruby poszła z wizytą do córki, ale nikogo nie zastała. Zatelefono-  
wała wieczorem. Ucieszyła ją pogodny ton głosu Greta. Znowu była taka,  
jak dawniej.

— Byłam w mieście. Jadłam lunch z koleżanką — powiedziała. —  
Ma na imię Shirley i mieszka obok nas. W poniedziałek znowu się spo-  
tykamy.

— Cieszę się, że poznałaś nową koleżankę, skarbie. Kiedy się zoba-  
czymy?

— Nie wiem, mamó. Pewnie niedługo.

Charlie zabrał ją na przejażdżkę pod tunelem Mersey swoim sportowym,  
czerwonym autem. Pojechali też do hrabstwa Cheshire. Zatrzymali się  
w małym pubie pod strzechą, gdzie zjedli krewetki z frytkami i wypili  
dwie butelki wina. Charlie powiedział jej, że firma Medallion planuje roz-  
począć działalność w Stanach Zjednoczonych. Przez pół roku pracował  
w Londynie, w głównej siedzibie firmy, a teraz przeniósł się do Liverpo-  
olu — świeżo nabytego klejnotu w koronie Medallionu — na kolejnych  
sześć miesięcy, żeby zobaczyć, jak działa nowo otwarte biuro.

— Nie wątpię, że uprzyjemnisz mi pobyt w Liverpoolu — powiedział  
z błyskiem w oku. Był bardzo przystojny, czarujący i pewny siebie. Miał  
szerokie ramiona, wysportowane ciało i ujmujący uśmiech. Greta czuła,  
że jest pijana. Śmiała się głośno przez cały czas. Schlebiało jej to, że Char-  
lie poświęca jej całą swoją uwagę w przeciwieństwie do Matthew, który  
zawsze myślami był gdzie indziej.

W poniedziałek pojechali w to samo miejsce. Zjedli obiad. Zamówi-  
wszy tym razem inne dania, wypili tyle samo wina, co ostatnio. Charlie po-  
chylił się w stronę Greta i zaczął bawić się kosmykiem jej jasnych włosów.

— Co powiesz na to, żebyśmy poszli razem na górę, moja śliczna?  
Wynajmę jakiś pokój.

Intuicja podpowiadała jej, że jeśli odmówi, będzie to ich ostatnia  
randka. Wiedziała, że chodziło mu tylko o jedno: „szybki numerek”,  
mówiąc po amerykańsku. Na chwilę wstrzymała się z odpowiedzią. Nie  
była szczególnie zainteresowana uprawianiem przygodnego seksu, ale  
odkąd wyszła ponownie za męża, zaszła w niej zmiana. Nabrała odwagi,

jej wymagania względem życia wzrosły. Może potrzeba było tylu lat, żeby wreszcie dojrzała. Lubiła towarzystwo Charliego. Sprawiał, że czuła się wyjątkowa i w głębi duszy pragnęła go tak bardzo, jak on jej. Matthew nigdy się nie dowie.

— Czemu nie? — zachichotała.

Charlie wynajął pokój i poszli na górę.

W czerwcu, po ukończeniu drugiego roku studiów, Moira przyjechała do domu, a Brendan obchodził swoje pierwsze urodziny. Daisy wzięła dzień wolnego, żeby być na urodzinowym podwieczorku. Heather wyszła wcześniej z pracy. Zaproszono też Gretę, choć Ruby widywała ją ostatnio coraz rzadziej i nie była pewna, czy przyjdzie.

Brendan był oczkiem w głowie. Wszyscy spełniali każdą jego zachciankę. Moira często telefonowała z Norwich tylko po to, by spytać, jak się miewa jej mały siostrzeniec. Daisy i Heather były zniewolone jego urokiem. Clint go uwielbiał, a Matthew mówił o nim „nasze małe słoneczko”.

Ruby narzekała często, że chłopiec będzie zepsuty do cna. Kochała go najbardziej ze wszystkich, ale kiedy był niegrzeczny, usiłowała zdobyć się na surowy ton, co przychodziło jej z trudem. Rozbrykany maluch był jeszcze bardziej słodki, kochany i zabawny. Poza tym nie można było ganić dziecka za to, że siedzi na podłodze, całe umazane czarną pastą do butów. Mały był wszakże na tyle bystry, by wiedzieć, że pasta służy do czyszczenia. Chciał więc się wyczyścić. Cóż mógł poradzić na to, że efekt okazał się całkiem odwrotny? Innym razem Brendan zakopał w ziemi nokoło trawnika kilka klamerek, sądząc, że urosną, co było kolejnym dowodem na to, jak bardzo jest zdolny. Od kiedy skończył dziesięć miesięcy, potrafił już chodzić i wypowiadać kilka wyrazów. Pierwszym słowem, którego się nauczył, było „Bee” — tak właśnie wołał na Ruby.

Ruby nieustannie obawiała się o to, że straci Brendana. Groźby ze strony Greta przerażały ją, mimo iż od tamtej pory córka nie wróciła do tematu. Ponadto w każdej chwili mogła przyjechać Ellie i słusznie domagać się prawa do swego własnego syna. Wtedy Ruby nie miałyby innego wyjścia, jak oddać chłopca. Próbowwała przygotować się na tę okoliczność, by w razie czego uniknąć bolesnego szoku. Wtedy też zdała sobie sprawę z tego, że każdy dzień, jaki spędza z Brendanem, może być ostatni. Mimo wszystko ciężko jej było pogodzić się z tą myślą. Teraz każda chwila, jaką spędzali razem, była bardzo cenna.

Na urodziny kupiła mu kombinezon z džinsu, z czerwonymi łątkami na kolanach, a do tego czerwoną koszulkę z krótkimi rękawkami i tenisówki. W tym właśnie ubranku Brendan królował przy stole, siedząc w swoim wysokim krzeselku pośród nadskakujących mu gości, którzy zaspypywali go prezentami.

Podczas posiłku zjawił się zadyszany Clint z ogromną, nadmuchiwaną piłką.

— Udało mi się wyskoczyć na godzinę. Zaraz muszę wracać — powiedział, uśmiechając się promiennie na widok malca. — Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Brendan.

Brendan zostawił niedojedzony podwieczorek i od razu zainteresował się piłką. Wszyscy wyszli więc do ogrodu. Daisy musiała gonić małęgo z tortem urodzinowym i błagać go, żeby zdmuchnął jedną niebieską świeczkę, która w końcu sama zgasła.

Powietrze było rześkie i nieco chłodne jak na czerwiec. Słońce świeciło jasno na błękitnym niebie. Kwiaty w ogrodzie pięknie rozkwitły, a drzewa pokryły się liśćmi w różnych odcieniach zieleni.

Ruby usiadła na trawie, rozmyślając o tym, ile już razy, odkąd wprowadzili się do tego domu, w ogrodzie odbywały przyjęcia urodzinowe dla dzieci. Greta miała wtedy zaledwie trzy latka, Heather dwa, a Jake był jeszcze bardzo mały. W czasie wojny organizowały z Beth podwieczorki dla dzieci, którymi Ruby zajmowała się na co dzień. Przypomniła jej się czteroletnia Mollie, która w kilka tygodni po swoich urodzinach zginęła w gruzach, kiedy na ich dom spadła bomba; dziecko nie dożyło nawet pięciu lat... Na przyjęciach bliźniaczek zawsze było sporo zamieszania. Przychodziło do nich mnóstwo znajomych. Daisy z kolei wołała przyjęcia wyłącznie w gronie rodzinnym, na które, oczywiście, zaproszony był Clint.

Clint zbierał się do wyjścia. Skromnie ucałował Daisy w policzek. Nie było między nimi namiętności. Może po prostu zbyt dobrze się znali i byli dla siebie jak brat i siostra. Żadne z nich nigdy wcześniej nie miało partnera. Ruby zastanawiała się, czy to dobrze, czy źle.

Zaraz po tym, jak Clint wyszedł, zjawił się Matthew z małym rowerkiem na trzech kółkach. Pomachał ręką do Ruby. Brendan zaś natychmiast zapomniał o piłce. Nowa zabawka od razu pochłonęła bez reszty całą jego uwagę. Matthew posadził go na siodełku, Moira i Daisy pokazały mu, jak się pedałuje. Heather oznajmiła głośno, że idzie zaparzyć herbatę, a Matthew podszedł do Ruby i usiadł na trawie obok niej.

— Sądziałam, że jesteś strasznie zapracowany — powiedziała.

— Bo to prawda. Właśnie miałem pójść załatwić coś bardzo ważnego, ale przyszedłem tutaj. Szkoda tak pięknego dnia na siedzenie w biurze. Ostatnio zbyt mało czasu spędzam na świeżym powietrzu. Taką mam pracę.

Zdjął ciemną marynarkę i rozluźnił krawat. Jego biała koszula była perfekcyjnie gładka. Z początku Ruby nie kryła podziwu, sądząc, że to służba Greta, ale okazało się, że Matthew oddaje koszule do pralni. Ruby spytała, czy Greta też przyjdzie.

— Rano nic o tym nie wspominała. Powiedziała tylko, że idzie na lunch z tą swoją przyjaciółką, Shirley.

— Kto to jest ta Shirley?

— Nie wiem, Rube — odparł, wzruszając ramionami. — Jeszcze jej nie znam.

— Podobno to wasza sąsiadka.

— Nie, mieszka gdzieś w Woolton. Greta poznała ją u fryzjera.

— Ale... Ach, nieważne. Musiałam coś źle zrozumieć.

Wiedziała jednak, że zrozumiała dobrze. Ruby dokładnie pamiętała, co Greta powiedziała jej o Shirley, ale nie warto było o tym dyskutować. Najważniejsze, że już od kilku miesięcy Greta czuła się lepiej. Szkoda tylko, że tak rzadko ją widywała.

— Ładnie wyglądasz — zauważył Matthew. — Czy to nowa suknia?

— Nie. Kupiłam ją na wyjazd do Waszyngtonu. Od tamtej pory prawie wcale jej nie nosiłam. Nie było okazji.

Była to turkusowa indyjska suknia z bawełny, ozdobiona przy szyi koralikami.

Matthew wyciągnął się na trawie i położył ręce pod głowę.

— Nie mająż u was studentów?

— Ostatni z nich wyjechał pod koniec tygodnia. Czuję się jakoś dziwnie. Trudno mi uwierzyć, że nie będziemy już przyjmować studentów. Przyjeżdżali z zagranicy zawsze o tej porze roku.

Kilka miesięcy temu zwołano naradę rodzinną i ustalono, że skoro zostali zwolnieni z płacenia czynszu, nie ma konieczności przyjmowania nikogo na stancję. Od poniedziałku Moira miała podjąć pracę sezonową jako kelnerka i dokładać się do wydatków. Daisy zaś przypomniała wszystkim, że za niespełna rok wychodzi za mąż i że jej wkład finansowy w utrzymanie potrwa nie dłużej niż do świąt Bożego Narodzenia. Razem z Clintem planowali zamieszkać w Londynie. Dla kogoś, kto zamierzał robić karierę filmową, było to najlepsze miejsce.



Pedałując na swoim małym rowerku, Brendan uderzył się w nóżkę. Jęknął i od razu przydreptał do Ruby. Zaczęła masować mu stopę, aż ból ustał.

— Już dobrze?

— Ta, Bee — odpowiedział i pobiegł w stronę roweru, kopiąc po drodze pitkę, jakby chciał upewnić się, że stopa rzeczywiście wróciła do dawnej formy.

Heather przyniosła na tacy filiżanki z herbatą i herbatniki w czekoladzie. Poczęstowała wszystkich po kolei.

— Też bym tak chciał, Rube — powiedział Matthew przygnębionym tonem.

— Co byś chciał?

— Żebyś uśmierzyła mój ból.

Ruby spojrzała na niego surowym wzrokiem.

— Co ci dolega? Jesteś chory?

— Nie. Po prostu mam już cholernie dosyć.

— Czego? — spytała z nadzieją, że w odpowiedzi Matthew nie wypowie imienia Greta.

— Pracy. Ta firma nie jest już moja. Jestem zwyczajnym pracownikiem, jednym z wielu, którzy podlegają zarządowi.

— Zamiast narzekać, powinieneś się cieszyć, że miałeś tyle szczęścia. Usiądź, wypij herbatę.

Podniósł się i wyprostował plecy.

— Dziękuję za słowa współczucia. Wiedziałem, że mnie zrozumiesz.

— Co tu jest do rozumienia? — ucięła krótko. — Niektórzy ludzie wiele by oddali, żeby być na twoim stanowisku.

— Zgoda, Rube, ale ja już nie znajduję w tym nic ciekawego. Znam z góry przebieg każdego dnia. — Odwrócił twarz w jej stronę. W jego brązowych oczach kryła się tęsknota. — Wiesz, o czym marzę? Żeby zacząć od nowa, na własną rękę, jak kiedyś. Teraz przynajmniej mam już trochę pieniędzy.

— Więc spróbuj, Matthew. Nic nie stoi na przeszkodzie.

— Tak sądzisz? — parsknął śmiechem. — Greta bynajmniej nie byłaby zachwycona, gdyby nagle zabrakło pieniędzy. Jej ulubione zajęcie to zakupy. Ma tyle ubrań, że można by w nich utonąć.

— Pomogłabym ci — zaproponowała Ruby. — Pisałabym na maszynie wszystkie listy.

— Przecież nie potrafisz.

— Nauczę się.

— Ach, Rube, gdybym tylko... — urwał w pół zdania i zamilkł.

Ruby nie prosiła, by dopowiedział resztę. Wiedziała, o co mu chodzi. Myślała o tym samym.

Greta wciąż miała klucz od domu. Otworzywszy drzwi, nie zastała nikogo. Usłyszała głosy dochodzące z ogrodu. Wszyscy wyszli. Greta nie poszła za nimi, lecz udała się do swojej dawnej sypialni. Zdjęła okulary słoneczne i popatrzyła w lustro. Oczy miała czerwone i zapuchnięte. Od razu było widać, że płakała. Łzy pozostawiły świecące zacieki na jej przypudrowanych policzkach. Wzięła z toaletki należący do Heather puder i zatuszowała nim ślady łez. Z oczyma nic nie dało się zrobić. Musi założyć ciemne okulary.

Przed godziną zegnała się na zawsze z Charliem Mayhew. Jechał do Londynu, skąd miał wyruszyć do Ameryki. Jutro o tej porze będzie już w domu. Greta już nigdy więcej go nie zobaczy.

Charlie też nie krył przygnębienia. Przez ostatnie pół roku bardzo się z Gretą polubili. Było to jednak coś więcej niż sympatia — drobne zauroczenie: on, żonaty, z trójką małych dzieci; ona, mężatka, matka dwóch dziewcząt — bliźniaczek, choć Greta z żalem twierdziła, że równie dobrze mogłaby uchodzić za bezdzietną, córki widywała bowiem bardzo rzadko.

Kiedy kochali się po raz ostatni, doznawali jednocześnie rozkoszy i smutku. Wspomniałemu przeżyciu towarzyszył bolesny żal. Greta płakała w jego ramionach, mówiąc, że nie chce go stracić. Charlie też uronił kilka łez.

I wyjechał. Wyjechał, bo musiał. Greta zrozumiała. Dla niej oznaczało to jednak powrót do pustki i samotności, które znów wypełniają jej życie. Cóż teraz ze sobą pocnie? Położyła się na łóżku i wtuliła głowę w miękką poduszkę. Pragnęła, żeby ktoś do niej przyszedł, spytał, co jej jest, zajął się nią. Powiedziała by, że nie czuje się najlepiej, tłumacząc tym samym swe zacerwienione oczy.

Nikt nie przyszedł. W ogrodzie rozbrzmiewał śmiech. Rozpoznała niski głos Heather. Najwyraźniej w dniu urodzin Brendana zrobiła sobie wolne. Gdyby Greta nadal mieszkała z nimi, też wzięłaby na dzisiaj urlop. Jakże przyjemnie byłoby uczestniczyć w przygotowaniach do urodzinowego przyjęcia! Przez krótką chwilę Greta zapragnęła zostawić Matthew i wrócić do domu. Wszystko od razu byłoby tak jak dawniej. Myśl ta wydała się jej kusząca. Wtedy jednak będzie musiała wrócić do pracy, a tygodniowe wydatki znowu ograniczyć do kilku funtów. Gretą targało we-

wewnętrzne rozdarcie: czy pozostać bogatą, choć nieszczęśliwą kobietą, która nie musi pracować, czy wrócić do dawnego, skromnego życia i parzyć, jak matka nieustannie stara się wiązać koniec z końcem.

Bez namysłu wybrała wygodne życie zamożnej, niepracującej damy i od razu poczuła się lepiej. Dokonawszy wyboru, częściowo odzyskała kontrolę nad swoim życiem. Świadomość, że może wrócić do domu w każdej chwili, gdy smutek stanie się nie do zniesienia, przyniosła jej ulgę. Matka zawsze przywita ją z otwartymi ramionami...

Usiadła i przycesała włosy. Ślady łez prawie znikły. Poszła do kuchni i przez otwarte szeroko drzwi ujrzała Matthew. Leżał na trawie obok jej matki. To nieprawdopodobne, że udało mu się znaleźć czas na to, by ją odwiedzić! Siedzieli blisko siebie, pochłonięci rozmową, i najwyraźniej dobrze czuli się w swoim towarzystwie. Można by pomyśleć, że to matka, nie Greta, jest żoną Matthew.

Co gorsza, Heather i Moira siedziały, pochylone ku sobie, zanosząc się od śmiechu — jej rodzona siostra i córka zachowywały się teraz jak najlepsze przyjaciółki.

Domyśliła się, że Brendan dostał na urodziny rower. Daisy biegała za nim po całym ogrodzie z wyciągniętymi rękoma, by w razie, gdyby się przewrócił, chronić jego główkę.

Wszyscy doskonale bawili się bez niej, nie zauważywszy nawet, że jej nie ma. Przestała dla nich istnieć.

Greta obróciła się na pięcie. Przyszła i wyszła, niezauważona. I tak nie odczują jej braku.

## *Rozdział 18*

Na prośbę Daisy ślub był bardzo skromny. Panna młoda miała prostą, kremową, sięgającą do pól łydki suknię z dżerseju. Na wierzch założyła obcisły zakieciak z błękitnego aksamitu. Po raz pierwszy umalowała usta. Trzymała wiązanekę z białych, ciemierników oplecionych czerwoną wstążką. Moira, jedyna druhna, miała podobny bukiet z różową wstążką, dopasowaną kolorem do jej skromnej sukienki. Clint kupił na tę okazję elegancki ciemnoszary garnitur — swój pierwszy oficjalny strój. A podczas ceremonii pan młody miał poważny, kamienny wyraz twarzy.

Matthew, jedyny mężczyzna z klanu O'Haganów, nie licząc Brenda, prowadził pannę młodą do ołtarza. Zaproszono jedynie dwadzieścia

osób, wśród których znalazły się najbliższe rodziny oraz znajomi państwa młodych.

Był mroźny, styczniowy dzień. Po szarawym niebie sunęły gęste, ciemne chmury. Zapowiadano śnieg, więc na zimowe wesele trzeba było odpowiednio się ubrać. Ruby pozwoliła sobie na kupno nowego, jasnoczerwonego płaszcza. Ku jej zadowoleniu, na taki ślub nie musiała zakładać kapelusza, choć zarówno Greta, jak i znieawidzona Pixie Shaw miały odmienne zdanie. Futrzaną kreację Pixie zaprojektowano chyba specjalnie dla mieszkanki Syberii, zaś twarz Greta była ledwie widoczna w gąszczu zielonych piór.

Ruby ogarnęło wzruszenie. Daisy i Clint wyglądali niezwykle uroczo. Obojgu brakowało jeszcze życiowego doświadczenia i Ruby martwiła się, czy dadzą sobie radę sami w wielkim mieście. Ktoś spośród ich znajomych artystów załatwił im tanią kłitkę w podlondyńskim Hackney. Zamiast miodowego miesiąca mieli spędzić dwa dni w hotelu przy Piccadilly Circus.

Pod koniec krótkiej ceremonii zaczął przysyć śnieg. Wszyscy udali się do domu weselnego przy Parku Książąt, gdzie przygotowano „szwedzki stół”. Pixie nalegała, żeby pomóc przy posiłku. Nie szczędziła sobie uwag odnośnie wystroju i umeblowania, powtarzając w kółko, że wszystko przypomina przedwojenny dom jej babki.

Nowożeńcy mieli wkrótce ruszyć w drogę. Minęła zaledwie godzina, kiedy Daisy pojawiła się w drzwiach salonu ubrana w swój najlepszy płaszc, wełniany kapelusz i dobrane do niego rękawiczki. Pod spodem wciąż miała sukienkę ślubną. Nie poprawiła makijażu, choć szminka starła jej się z warg. Clint stał tuż za nią w niezdarnej pozie, z walizką w ręku.

- Wyjeżdżamy, babciu. Taksówka już czeka.
- Tak szybko, skarbie?
- Najpierw cztery godziny będziemy jechać pociągiem, a potem musimy jeszcze znaleźć nasz hotel. W metrze też można się pogubić...
- Pożegnałaś się z mamą?
- Tak, babciu. Mama jest w sypialni.
- W takim razie bawcie się dobrze — powiedziała Ruby z ogromnym bólem w sercu, całując ich oboje. Do niedawna byli jeszcze dziećmi.
- Pamiętajcie, że w poniedziałek przywiozą wasze rzeczy. Matthew wszystko załatwił. Nigdzie nie wychodźcie, tylko czekajcie na ciężarówkę, bo inaczej nie będziecie mieli na czym spać.

Pościel, prezenty ślubne, ubrania, przybory malarskie Daisy — wszystko, co niezbędne w mieszkaniu, w którym nie było nic prócz mebli — zostało spakowane do skrzyni. W poniedziałek wczesnym rankiem zabierze ją ciężarówka firmy Medallion.

— Nie przejmuj się, babciu. Będziemy czekać.

— No to do widzenia, skarbie. Do widzenia, Clint. Uważaj na nią.

W holu zebrali się goście. Odprowadzili młodą parę do drzwi, obserwując, jak krzepka dziewczyna i szczupły chłopak idą po śniegu i wsiadają do taksówki.

Ruby rozejrzała się za Heather, ale nigdzie jej nie było. Znalazła ją w sypialni. Leżała na łóżku z twarzą ukrytą w poduszce i szlochała żałośnie.

— Kochanie! — Ruby przysiadła na łóżku, schyliła się i wtuliła policzek w ciemne włosy Heather. — Wiem, co czujesz. Przeżywam to samo.

— Mamo, ona wyglądała tak młodo — odezwała się Heather przez łzy. — Ludzie też są na ogół twardzi; ona nie. Można to wyczytać w jej oczach. Daisy zawsze była łagodna jak baranek. Nigdy nie sprawiała mi kłopotów. Jedynie z nauką miała problemy, ale przynajmniej starała się, jak mogła.

— Kochanie, Daisy da sobie radę. Na pewno jest silniejsza, niż nam się wydaje.

— Wiesz, mamo, mam także ochotę udusić tę całą Ellie. Wiedziała o ślubie. Daisy prosiła ją, żeby została druhną. Było jej strasznie przykro. Ellie nawet nie przysłała życzeń.

— Na święta też nie przysłała.

Drzwi od sypialni otworzyły się i stanęła w nich Greta.

— Ach, więc tu jesteście! — zawołała. — A ja już myślałam, że pojechałyście do Londynu razem z Daisy!

— Heather bardzo to przeżywa — wyjaśniła Ruby.

— Wcale się nie dziwię. Kiedy moje córki wyjdą za mąż, będę płakać jak bóbr. Ellie być może jest już mężatką. Może nawet ma już drugie dziecko — powiedziała Greta z uśmiechem. — Ale ja przestałam się tym przejmować. Mam na głowie swoje sprawy. W przyszłym tygodniu jedziemy z dziewczynami na narty do Grenoble.

Greta nie tylko nauczyła się jeździć na nartach; potrafiła też prowadzić samochód i grać w brydża. „Dziewczyny” były kobietami po czterdziestce, które miały zbyt dużo wolnego czasu, grywały więc w karty, organizowały spotkania przy porannej kawie i wieczorki z kolacją. Ruby uważała, że są próżne i leniwe.

Odkąd wyszła za Matthew, Greta bardzo się zmieniła, nie tylko z zachowania, ale i z wyglądu. Z biegiem lat wyładniała. Minęły dziecinne upodobania do koronek i falbanek. Teraz nosiła drogie, eleganckie kostiumy, idealnie dopasowane do jej zgrabnej sylwetki. Włosy układali jej najlepsi fryzjerzy w Liverpoolu, a dzięki częstym wizytom w salonie piękności nauczyła się odpowiednio nakładać makijaż, by podkreślić atuty swej urody. Była zawsze wystrojona i bardzo zadbana. Teraz miała na sobie tweedowy żakiet w kolorze lnu, a pod nim zieloną, jedwabną bluzkę. Idealnie pasowała do kapelusza z piórami, który zdjęła zaraz po wejściu do domu.

— Heather, może napijesz się trochę mocnej whisky? — spytała po chwili siostrę.

— Nie, dziękuję.

Ale Ruby namówiła ją, twierdząc, że szklanka porządnego trunku dobrze jej zrobi.

— Dla mnie też przynieś. Potem pójdę do gości.

Daisy i Clint jechali pociągiem do Londynu, usadowieni naprzeciwko siebie. Clint wyciągnął gazetę i rozwiązywał krzyżówkę.

— Dwa poziomo. Cztery litery. Święty od listu z N.T. — powiedział i westchnął głośno. — Co to może znaczyć?

— Nowy Testament. Pasuje Juda?

— Myślałem, że Juda to zdrajca".

— Nie — zachichotała. — Zdrajca to Judasz.

— Zostawię to na razie. Trzy pionowo. Dziesięć liter. Autor „Sagi rodu Forsythe'ów”. — Zmarszczył brwi. — Powinienem wiedzieć. Z literatury angielskiej mam piątkę.

— Galsworthy — rzuciła Daisy bez namysłu.

Popatrzył na nią z zaciekawieniem.

— Sporo wiesz, jak na kogoś, kto miał problemy z czytaniem, Daise. Daisy zarumieniła się.

— Wiem z telewizji. Niektóre rzeczy zostają mi w głowie.

Pamiętała też nazwiska aktorów, ich role oraz szczegółowy przebieg akcji filmów.

— Europejska stolica na sześć liter. Druga litera „i”.

— Wiedeń?

— Osiemnaście pionowo. Inaczej „eremita”.

— Pustelnik?

— Zgadza się. Jestem pod wrażeniem, Daisy.

— Pańska żona jest geniuszem, panie Clint Shaw.

— Na to wygląda.

Zamyślił się. Odłożył długopis i popatrzył w okno. Było już ciemno. Płatki śniegu osiadały na szybie. W oddali migotały światła — pociąg miął miasteczka i wioski. Na tle ciemnego nieba widniały niewyraźne zarysy budynków.

Wpatrując się w błyskające światła, Daisy pomyślała, że oto nadszedł dzień, na który czekała już od dawna. Ostatnio jednak coraz częściej napawał ją obawą. Próbowwała przekonywać siebie samą, że nie jest jedyną dziewczyną, która jeszcze nie straciła dziewictwa, mimo iż od pięciu lat ma chłopaka. Takich jak ona jest z pewnością więcej, nawet jeśli to rzadkość. W głębi duszy przeczuwała jednak, że coś jest nie tak.

Chciała móc podzielić się swoimi wątpliwościami z mamą albo babcią, ale byłoby to nieco krępujące. Poza tym żadnej z nich nie dziwiłby fakt, iż przed ślubem między Daisy i Clintem nie doszło do zbliżeń fizycznych. Spotkałoby się to raczej z ich aprobatą. A gdyby na głos wyraziła obawę, do której sama przed sobą nie miała odwagi się przyznać, mama i babcia chciałyby wyperswadować jej małżeństwo z Clintem. Nie zrozumiałaby, gdyby powiedziała im, że jest gotowa być z nim bez względu na wszystko, bo naprawdę bardzo go kocha.

Daisy wcale nie była taka niewinna, za jaką ją uważano i też miała co nieco na sumieniu. Od trzech lat chodziła do Pauli na podwieczorek, gdzie poznała Mary. Odtąd często zaczęła bywać w szkole plastycznej. Mary była pod wrażeniem obrazów Daisy i bardzo się zaprzyjaźniły. Przedstawiła ją młodym artystom, którym także podobały się jej prace. Daisy i Clint od razu zostali przyjęci w nowe środowisko. Chodzili na imprezy, podczas których działy się takie rzeczy, że gdyby ktokolwiek z rodziny Daisy usłyszał to i zobaczył, byłby przerażony. Czasami palili skręty. Daisy zaciągnęła się kilka razy, ale potem zawsze robiło jej się niedobrze. Niemniej jednak poznała życie lepiej niż mama łącznie z babcią.

Jako prezent ślubny babcia zafundowała im pobyt w hotelu przy Piccadilly Circus. W pokoju miało być, rzecz jasna, dwuosobowe łóżko.

Było ogromne i nieco złowieszcze. Daisy starała się o tym nie myśleć. Zajęła się rozpakowywaniem toreb i układaniem ubrań.

— Spójrz! — zawołała. — Tu jest czajnik, filiżanki, herbata i mleko. Napijesz się?

— Bardzo chętnie.

Clint siedział w fotelu i przyglądał się jej. Daisy zdziwiła się, że nie włączył jeszcze telewizora.

— Jak się rozpakujemy, pójdziemy do restauracji, dobrze? Umieram z głodu. Jest dopiero wpół do dziewiątej. Pójdziemy do Soho. To niedaleko. Tam na pewno są jakieś restauracje.

Daisy postawiła filiżanki z herbatą. Z małych szaszetek wlała do nich mleko.

— Potrzebuję cię, Daisy — odezwał się nagle Clint. — Potrzebuję cię tak bardzo, że brak mi słów.

Jego oczy były szkliste, jakby za chwilę miał się rozpłakać.

— Wiem. Nie musisz mi tego mówić.

Pragnęła objąć go ramionami, ale przecież to on powinien przejąć inicjatywę... Trzymając się za ręce, spacerowali potem po dzielnicy Soho, mijając szereg restauracji, w których serwowano dania z całego świata. Zdecydowali się na kuchnię włoską: spaghetti bolognese oraz kieliszek czerwonego wina. Po kolacji poszli na dalszą przechadzkę, po czym wrócili do hotelu.

Wyprawkę ślubną Daisy stanowiła jednocześnie koszula nocna z białej bawełny, z bufiastymi rękawami i haftowanym szlaczkiem przy szyi. Zabrała ją do łazienki. Wyszorowała zęby, umyła twarz i uczesała włosy, marząc o tym, by wreszcie ułożyły się na głowie, zamiast sterczeć na wszystkie strony niczym ruda aureola. Następnie włożyła koszulę.

W lustrze ujrzała odbicie wyjątkowo nieatrakcyjnej panny młodej w nieefektywnym stroju, z bezładną fryzurą i piegowatą twarzą błyszcząca jak plasterki tłustego bekonu. Cóż, taką miała urodę i niewiele mogła na to poradzić.

Clint siedział w łóżku ubrany w tartanową piżamę i oglądał telewizję. Wchodząc pod kołdrę i kładąc się obok niego, Daisy poczuła, że serce wali jej jak młotem.

— Co oglądasz? — spytała.

— *Anioły o brudnych twarzach*. Stary film z Jamesem Cagneyem.

— Nie pamiętam, że bym go widziała.

— Właśnie się zaczął.

— Napijesz się herbaty? A może, dla odmiany, kawy?

— Poproszę o kawę.

Daisy bardzo chętnie obejrzałaby film w towarzystwie Clinta, siedząc obok niego na łóżku i popijając kawę, ale przecież to była ich noc poślubna. Siedziała ze wzrokiem utkwionym w ekran, jednak nie mogła się skoncentrować. Myślała o tym, co nastąpi, kiedy film już się skończy.



Wreszcie na ekranie pojawił się napis „koniec”. Clint wstał z łóżka, wyłączył telewizor, położył się obok niej i pocałował ją w policzek, po czym zaszył się pod kołdrą.

— Dobranoc, Daisy — powiedziała.

— Dobranoc.

I to by było na tyle.

Daisy starała się, jak mogła, żeby pokój w Hackney sprawiał wrażenie przytulnego. Porozkładała przywiezione rzeczy z nadzieją, że będzie jak w domu. Pokój był duży, miał wysoki sufit i okna, na których wisały zakurzone, przykrótkie zasłony. Stały tam bardzo stare, źle dopasowane meble. U drzwi jednej z szaf brakowało górnego zawiasu i trzeba było je przytrzymywać, żeby nie spadły. Z pomalowanej niegdyś na czekoladowobrązowy kolor podłogi prawie całkiem zeszała farba. Leżał na niej małutki dywanik z kompletnie zatartym wzorem.

Daisy z ulgą przyjęła fakt, że stały tam dwa jednakowe, osobne łóżka. Samej będzie jej łatwiej zasnąć. Leżąc obok Clinta, zastanawiała się, dlaczego między nimi nie jest tak, jak być powinno. Miała pewne podejrzenia, ale nie potrafiła do końca sobie ich uświadomić. Myśli te prześladowały ją także w ciągu dnia i chciała uwolnić się od nich przynajmniej na czas snu.

Kiedy przyjechali do Londynu, Clint był już umówiony na rozmowę o pracę. Wkrótce potem zatrudniono go w firmie, która zajmowała się produkcją krótkich filmów reklamowych. Clint pisał scenariusze. Zachwalał w nich produkty wysyłane na eksport, wyjaśniał proces montażu pralki albo wyrobu szkła. Był to kolejny krok w jego drodze do kariery w Hollywood, gdzie miał zostać reżyserem.

Daisy bardzo chciała pracować jako bileterką w kinie West End, ale wtedy nie widywaliby się prawie wcale. Dostała pracę sprzedawczyni w małym, ekskluzywnym sklepie obuwniczym niedaleko Oxford Street.

— Potrzebuję kogoś bardziej inteligentnego — powiedziała jej niegrzecznie kierowniczką na rozmowie wstępnej — ale będę musiała panią przyjąć. To stanowisko już zbyt długo było nie obsadzone. Nie mogę nikogo znaleźć.

Trudno było uwierzyć, że ceny butów są tak wygórowane, skoro na ich wykonanie zużyto tak niewielką ilość materiału. Obcasy były cienkim papierem, a stopę oplatało zaledwie kilka pasków. Ciocia Greta byłaby nimi zachwycona. Któregoś dnia, kiedy kierowniczką wyszła na

lunch, Daisy przymierzyła jedną parę takich butów i od razu się w nich przewróciła.

Lubiła tę pracę. Przynajmniej nie musiała nic się uczyć. Zdarzało się, że niektóre klientki były jeszcze bardziej niemile niż kierowniczka, inne zaś sprawiały wrażenie niezwykle sympatycznych. Daisy znała kilka twarzy z telewizji. Przyjemnie było napisać w liście do domu, że znana aktorka kupiła u nich buty.

Kilka razy w tygodniu wybierali się po obiedzie do kina. Clint uwielbiał oglądać wszystkie najnowsze produkcje. W Liverpoolu pokazywano je dopiero kilka tygodni lub miesięcy później. Wieczory przeważnie spędzali w domu i oglądali telewizję. Wujek Matt dał im w prezencie przenośny kolorowy telewizor. Przy oknie stała sztaluga Daisy. Czasami malowała, a Clint pracował nad kolejnym scenariuszem. Odkąd przyjechali do Londynu, bardzo się zmienił. Stał się otwarty i najwyraźniej polubił wielkomijskie życie. Być może małżeństwo także go uszczęśliwiło.

Wróciwszy do domu któregoś wieczoru oznajmił, że kolega z pracy zaprosił go na drinka.

— Odmówiłem. Powiedziałem, że w domu czeka na mnie żona.

— Trzeba było pójść — odpowiedziała z przejęciem. — Wcale nie miałabym nic przeciwko. Na drugi raz nie odmawiaj.

Posmutniał.

— Sądziłem, że jak przyjdę później, będziesz się niepokoić.

— Mógłbyś zadzwonić. Na dole, w holu, jest telefon. Słuchać go tutaj.

— Hmm.

Wydawał się przygnębiony tym, że nie miałaby nic przeciwko, gdyby zostawił ją na kilka godzin i wrócił później niż zwykle. Zrozumiała, że bardzo chciał być potrzebny i pragnął poczucia przynależności. Przy każdej okazji mówił o niej „moja żona”: na zakupach, w kinie, w autobusie i w metrze, jak gdyby chciał dać światu do zrozumienia, że znalazł już swoją drugą połowę.

Skrepowanie, jakie z początku towarzyszyło im przez kilka nocy, minęło. Znowu byli parą najlepszych przyjaciół, zupełnie jak dawniej. Teraz zbliżyli się do siebie jeszcze bardziej. Ona kochała go, a on jej potrzebował. Mieli podobne zdanie na wiele tematów, a kiedy ich opinie różniły się, polemika sprawiała im przyjemność.

Ich wspólne życie mogłoby wydawać się idealne, gdyby nie jedna rzecz, o której żadne z nich ani razu nie wspomnieli.

Dwa miesiące później pojechali do Liverpoolu na weekend. Od czasu ich wyjazdu nic się tam nie zmieniło.

Daisy pomyślała, że zawsze już tak będzie. Pewne rzeczy pozostaną niezienne. Ludzie przychodzą i odchodzą, ale babcia zawsze trwa na miejscu. Czuwa nad wszystkimi, których kocha. W Londynie Daisy najbardziej stęskniła się za babcią.

W niedzielne popołudnie poszli na obiad z rodzicami Clinta. Podczas posiłku Pixie wymierzyła Daisy bolesnego szturchańca.

— Sądziłam, że przyjechaliście tu z dobrą nowiną!

Po kilku sekundach Daisy domyśliła się, o co jej chodzi. Pixie miała nadzieję, że jej synowa jest w ciąży. Daisy spojrzała na Clinta wyczekująco, ale on nie odezwał się ani słowem.

— Przyjechaliśmy, bo chcemy znów zobaczyć się z naszymi bliskimi — odparła po chwili Daisy poważnym tonem.

To była krótka wizyta. Śpieszyli się na pociąg — w wolne dni podróż trwała dłużej. W drodze do domu babci oboje milczeli. Daisy rozmyślała o macierzyństwie. Zawsze chciała mieć co najmniej dwoje dzieci. Po raz pierwszy była zła na Clinta, który szedł obok niej, milczący i zamysłony. O czym tak myślał? Czyżby sądził, że uda im się pominąć temat dzieci? Będzie chyba musiała poważnie z nim porozmawiać. Było to jednak okropnie trudne. Bardzo go kochała i nie chciała sprawiać mu przykrości.

Moira skończyła właśnie pisać pracę dyplomową z literatury angielskiej. Odłożyła długopis. W sali dało się słyszeć chóralne westchnienie ulgi. Jeden z egzaminatorów zaczął zbierać prace. Moira pomyślnie zdała wszystkie egzaminy. Jej praca na temat twórczości Mary Shelley oparta była na precyzyjnie dobranych źródłach, spodziewała się więc najwyższej oceny. Od października wybierała się do studium nauczycielskiego. Po zdobyciu odpowiednich kwalifikacji planowała zamieszkać u babci i przez rok pracować jako nauczycielka w Liverpoolu, by potem móc ubiegać się o pracę w innym mieście. Myślała o wyjeździe do Londynu — tam przy najmniej miałyby blisko do Daisy — albo o pracy za granicą. Moira zaplanowała już swoją przyszłość i z niecierpliwością czekała, by móc zacząć realizować wyznaczone sobie cele.

Powolnym krokiem opuściła salę i zaczęła rozmyślać o tym, jak spędzi nadchodzące lato. Zrobi sobie kilkudniowy odpoczynek, a potem — podobnie jak rok temu — poszuka wakacyjnej pracy w restauracji. W pokoju czekała spakowana walizka. Trzeba jeszcze po nią pójść. Już niedłu-

go wsiądzie do pociągu, który zabierze ją do Liverpoolu. Studia dobiegły końca i Moira bardzo pragnęła wyjechać do domu.

Zamyślona, skręciła za róg i wpadła prosto na kogoś, kto podążał w przeciwnym kierunku.

— Uważaj, jak chodzisz! — usłyszała oburzony męski głos. — Rozsypałaś mi wszystkie kartki.

— Przepraszam. — Moira ocknęła się, przyklękła i zaczęła zbierać porozrzucane papiery. — Powinieneś używać spinaczy albo segregatorów.

— I pewnie ja też mam powiedzieć teraz przepraszam — burknął, schylając się obok niej.

— Nie bądź dziecinny. Mam nadzieję, że te kartki są ponumerowane. Inaczej będziesz je układał do jutra.

— Postaram się wtedy nie myśleć o tobie.

Moira natychmiast podniosła się i wyprostowała.

— Sam sobie je pobieraj. Jesteś bardzo niekulturalny. Ja tylko chciałam pomóc.

Tamten podniósł się w tej samej chwili. Spojrzeli na siebie. Moira bardzo rzadko umawiała się z chłopcami przez ostatnie trzy lata — przeskadzałoby jej to w nauce. Stojący przed nią osobnik był jednym z tych, których unikała jak zarazy: starszy od niej o kilka lat, z długimi, rozczochranymi włosami i meksykańskim wąsikiem. Miał na sobie indyjską koszulę w kwiaty, bawełniane spodnie, do tego kolczyki oraz plecionkowe sandały na bosych, brudnych stopach. Nic dziwnego, że nigdy przedtem go nie spotkała. Rozsypane kartki zapisane były niezrozumiałymi symbolami i kolumnami liczb, co wskazywało na to, iż studiował matematykę. Moira zaś sama otwarcie przyznawała, że z matematyki była beznaoczna.

Nie mogła pojąć, dlaczego — mimo jego ohydnej aparycji, kolczyków i nieprzyjemnego usposobienia — ich oczy spotkały się na tak długą chwilę, iż zdawało się, że trwa przez całą wieczność, i dlaczego nagle poczuła przyspieszone bicie serca, a kolana prawie się pod nią ugięły. Może dlatego, że mimo wszystko chłopak ten był porażająco atrakcyjny.

On też nie mógł oderwać od niej wzroku. Zapomniał o rozsypanych karukach, które walały się pod stopami przechodzących obok ludzi i fruwały dookoła, niesione na wietrze.

— Przepraszam cię za moje zachowanie — odezwał się wreszcie dziwnym, stłumionym głosem. — Pisałem właśnie pracę końcową i chyba słabo mi poszło. Wpadliśmy na siebie w najgorszym momencie. —

Przełknął głośno ślinę. — Nazywam się Sam Quigley. Pójdziemy na kawę?

— Moira Donovan. I bardzo chętnie pójde na kawę.

A jeszcze przed kilkoma minutami pragnęła wyjechać stąd jak najszybciej!

Wyprawienie wesela sprawiło rodzinie panny młodej prawdziwą przyjemność, szczególnie dlatego, że o nic nie trzeba było się martwić. Młodzi kochali się do szaleństwa, pieniądze nie grały roli, gdyż ojczym panny młodej, Matthew Doyle, pokrył wszelkie koszty, a pan młody, świeżo upieczony magister matematyki stosowanej z najlepszą oceną na dyplomie, miał już pracę adiunkta na uniwersytecie w Cambridge.

Greta martwiła się, że córka na próżno skończyła studia, w dodatku z tak dobrym wynikiem. Kiedy ogłoszono oceny z prac dyplomowych, była już zaręczona i wkrótce planowała wyjść za mąż.

— Mamo, nie bądź niemądra — powiedziała jej Moira swym melodyjnym głosem. — Przecież tak czy inaczej zostanę nauczycielką, prawda?

Choć Ruby uznała Sama za odpowiednią partię dla wnuczki, obawiała się, że pan młody będzie wyglądał jak niedomyty hippis, lecz w ciągu tygodni i miesiący jego wygląd stopniowo uległ zmianie. Zaprzyjaźnił się z wodą i mydłem, zaczął nosić skarpetki i wyprane dżinsy, zgolił meksykański wąsik, przyciął nieco włosy i pamiętał, żeby regularnie używać grzebienia.

Na swoim ślubie, u boku ślicznej, rozpromienionej Moiry w koronkowej sukni koloru kości słoniowej, Sam nie różnił się już od reszty szanowanej społeczności. Po raz kolejny Matthew poprowadził pannę młodą do ołtarza.

— Dwie wnuczki już na swoim. Została jeszcze jedna — powiedziała szeptem Ruby sama do siebie na widok nowożeńców, którzy wychodząc z kościoła, pozowali do zdjęć.

Myślała o Ellie: gdzie jest, co robi i dlaczego nie daje znaku życia. Mogłaby przysłać chociaż krótki list, napisać kilka słów, by przestali się o nią martwić.

Coś najwyraźniej trapiło też Daisy. Nic nie dawała jednak po sobie poznać, zachowując spokój i uśmiechając się do wszystkich naokoło. Schudła, a w jasnożółtej sukni druhnjej twarz wydawała się jeszcze bledsza. Daisy zawsze umiała zachować stoicki spokój. Miała to po matce. Obie skrywały swe uczucia przed światem, szczególnie wtedy, gdy coś je gnę-

biło. Ruby od razu zauważyła, że Daisy jest smutna. Zastanawiała się, co mogło być tego powodem. Może to, że Clint nie przyszedł dziś razem z nią, bo miał sporo pracy. A może praca to jedynie wymówka, a jego nieobecność spowodowana była zupełnie czym innym.

— Ach, dzieci to same kłopoty — powiedziała do Brendana, który usiłował wyswobodzić się z uścisku jej ręki, żeby pobiec do gości i napsocić, ile się da. Matka Sama Quigleya, wdowa, sprawiała wrażenie osoby neurotycznej i Ruby nie chciała, by mały naprzykrzał się jej ani nikomu innemu. — Za dwadzieścia lat czeka mnie jeszcze twój ślub. Wtedy będę dobiegała osiemdziesiątki i kto wie, czy w ogóle tego dożyję.

Daisy niepostrzeżenie wymknęła się z weselnej zabawy. Wsiadła do autobusu i pojechała do domu przy Parku Książąt. Wciąż uważała to miejsce za swój prawdziwy dom. Weszła do środka. Po raz pierwszy była tam zupełnie sama. Wszystko dotychczas wydawało jej się znajome, teraz jednak opustoszałe pokoje wzbudzały w niej lekki niepokój. Bez babci, matki i kuzynek dom był zupełnie inny. Zazwyczaj tu i ówdzie ciągle otwierały się drzwi, a domownicy nawoływali się wzajemnie. Nastawiając wodę w czajniku, Daisy usłyszała tykanie zegara, głośniejsze wśród panującej w domu niecodziennej ciszy, a kiedy szła na górę do łazienki, schody skrzypiały upiornie pod naciskiem jej stóp.

Później, kiedy zaparzyła już herbatę, usiadła w salonie na kanapie, w ulubionym miejscu babci. Włączyła telewizor, by nie czuć się samotna, i wyciszyła dźwięk. Wszyscy przyjęli do wiadomości powód, którym wytłumaczyła nieobecność Clinta na ślubie Moiry. Powiedziała im, że Clint ma mnóstwo pracy. On zaś sam wysłał do Moiry pisemne przeprosiny. Nazajutrz Daisy umówiła się na spotkanie z jego rodzicami. Zawsze dotrzymywała słowa, lecz tym razem naprawdę nie miała ochoty tam pójść. Nie była w nastroju do wysłuchiwania uszczypliwych uwag i niedyskretnych pytań Pixie.

Dokładnie przed tygodniem Clint wyjechał do Ameryki. Daisy została tylko i wyłącznie z własnej woli. Clint napisał wcześniej scenariusz reklamy dla firmy produkującej najnowocześniejszy sprzęt — magnetowidy. Reklama trafiła do Kalifornii. Tam wzbudziła zainteresowanie pewnego człowieka imieniem Theo Gregory, który zajmował się obróbką filmów reklamowych przed ich emisją na antenie. Spodobał mu się lekki i żartobliwy ton narracji Clinta. Skontaktował się z nim, na razie tylko telefonicznie.

— Theo mówi, że w przeciwieństwie do innych scenariuszy, mój jest ciekawy i oryginalny — powiedział jej Clint. Był niesamowicie podekscytowany. — Chce, żebym pisał scenariusze zapowiedzi filmowych. Wiesz, co to znaczy, Daisy? Że będę na wszystkich premierach! A z Santa Barbara jest niedaleko do Los Angeles. I do Hollywood, Daisy!

— To cudownie, Clint — odparła. Początkowo jego entuzjazm bardzo jej się udzielił. — Kiedy jedziemy?

— Wkrótce. Na razie nikomu nie mów. Muszę najpierw podpisać kontrakt — powiedział nieśmiało. — Wstępny kontrakt. Tak się robi w Ameryce. Świetnie płacą. Będę zarabiał cztery razy więcej niż obecnie. Nie będziesz musiała pracować. Zajmiesz się tylko malowaniem.

— Wspaniale!

Dwa dni później sąsiad z dołu, Jason Wright, przyszedł pożyczyć trochę mleka. Jason był rzeźbiarzem i tworzył niesamowite rzeczy, stapiając kawałki starego metalu w jedną całość. Daisy widziała te dzieła przez uchylone drzwi jego pracowni. Zostawiał je otwarte, bo od spawania robił się fatalny smród.

— Pół szklanki wystarczy, Daisy — powiedział, stojąc w drzwiach. — Mam straszną ochotę na kawę, a czarnej nie znoszę... To twój obraz? Mogę obejrzeć?

— Wejdz. — W towarzystwie znajomych artystów, których interesowały jedynie jej prace, a nie ona sama, Daisy czuła się swobodnie. — A może ja ci zrobię kawę? Mleko zabierzesz na później. Akurat gotuję obiad. Mój mąż powinien przyjść lada chwila.

Clint i Jason nie znali się.

— Dzięki, Daisy. Fajna z ciebie dziewczyna.

Wszedł do pokoju i stanął przy sztaludze. Był młody, doskonale zbudowany, o ciemnej, cygańskiej karnacji. Miał szerokie, umięśnione barki i ramiona, z których niewątpliwie był bardzo dumny, bo zawsze — nawet w chłodne dni — nosił podkoszulki bez rękawów. Tego dnia ubrał się cały na czarno. Przez obcisłe, wytarte, skórzane spodnie odznaczały się pięknie ukształtowane, męskie uda. Daisy z podziwem patrzyła, jak jego mięśnie poruszały się, gdy przechadzał się po pokoju. Być może kiedyś poprosi go, by pozował jej do obrazu.

— Bardzo ciekawe — skomentował pracę, którą zaczęła malować zaledwie kilka dni temu. — Co to będzie przedstawiać?

— Łono — wyjaśniła. — Mój dom. Miejsce, w którym się wychowałam. Ono było dla mnie niczym łono matki. Nie zawsze czułam się w nim szczęśliwa, ale przynajmniej byłam tam bezpieczna, nietykalna. Świat

zewnątrznym wydawał się tak odległy, jak inna planeta. Nic, co działo się na świecie wokół nas — tragedie ludzkie, dramaty wojenne — nie mogło nam zagrażać. Nasz dom był pełen ciepła i uczuć. Mieszkało w nim wiele osób. To najwspanialsze miejsce na ziemi, do którego zawsze chce się wracać. Jedyne takie miejsce.

Daisy poczuła nagle, że z jakiegoś niezrozumiałego powodu do oczu napływają jej łzy.

— Niesamowicie! — Jason był pod wrażeniem. — Skończyłaś szkołę plastyczną?

— Nie. Nie chciałam uchodzić za zarozumiałą, ale maluję sama dla siebie. Maluję rzeczy takie, jakimi je widzę. Nie chcę, żeby ktoś uczył mnie patrzeć na nie w inny sposób.

— A co robisz z ukończonymi obrazami?

— Są tam. — Wskazała leżący na szafie stos płócien.

— Mógłbym je obejrzeć?

— Oczywiście.

Daisy poszła po krzesło.

— Sam po nie wejdę. Nie bój się, będę ostrożny.

Jason zdejmował właśnie obrazy Daisy, kiedy do pokoju wszedł Clint.

— O, jest mój mąż. Clint, poznaj Jasona, naszego sąsiada z dołu. Jest rzeźbiarzem.

— Cześć — rzucił tylko Clint.

Obaj młodzieńcy wpatrywali się w siebie nawzajem. Na kilka sekund zapadła nieoczekiwana cisza i Daisy zastanawiała się, w jaki sposób ją przerwać. Wtedy spostrzegła, że ciemne oczy Jasona patrzą na jej męża z nieukrywanym podziwem. Odwróciła wzrok w kierunku Clinta, który, nieświadom jej czujności, odwzajemniał namiętne spojrzenie mężczyzny. Na ten widok ogarnęło ją przerażenie.

Mężczyźni nie kryli wzajemnej fascynacji. Najgorsze z podejrzeń Daisy stało się rzeczywistością.

Jason wyszedł, nie zabrawszy mleka, które było celem jego wizyty. Tego wieczoru Daisy ani słowem nie skomentowała zachowania męża. Nie pytała Clinta, skąd u niego nagłe podenerwowanie. Przygotowała tylko podwieczorek, obejrzała wiadomości, po czym zabrała się do malowania.

Kiedy przyszedł kontrakt od Theo Gregory'ego, Clint natychmiast go podpisał i włożył do koperty, mówiąc, że odeśle go rano.

— Skoro mam rozpocząć pracę od października, musimy jak naj-  
szybciej skontaktować się z właścicielem i poinformować go z miesiąc-



nym wyprzedzeniem, że się wyprowadzamy — powiedział, rozglądając się po ogromnym, ponurym pokoju. — Muszę przyznać, że wcale mi nie żal. No i domyślasz się chyba, że na ślubie Moiry już nas nie będzie.

— Nie ma potrzeby kontaktować się z właścicielem — odparła Daisy spokojnym tonem. — Na ślub Moiry pojedę sama. Jestem jej druhną. Nie mogę jej zawieść — przerwała. — I nie jadę z tobą do Ameryki, Clint. Zostaję.

— Co takiego? — Spojrzył na nią, zaskoczony. — Na Boga, co ty wygadujesz, Daisy?

— To, co słyszałeś. Nie jadę z tobą.

— Daisy, przecież jesteś mi potrzebna — powiedział zarliwie. Był błądy, jakby nagle się rozchorował. — Bez ciebie nie pojedę. Podrę ten kontrakt na kawałki.

— Do czego jestem ci potrzebna? Mam być tylko przykrywką, żeby inni nie dowiedzieli się całej prawdy?

Nagle dotarło do niej, że przez cały czas była ofiarą jego egoizmu. Na własny użytek wykorzystał uczucie, jakim go darzyła. Myślał, że dla niego gotowa jest żyć w sieci kłamstw, udawać jego żonę, którą tak naprawdę nie jest i nie będzie, pogodzić się z faktem, że nigdy nie zostanie matką jego dzieci.

— Przykrywką? — spytał. Był wyraźnie roztrzęsiony. — Nie wiem, o czym mówisz, Daisy.

— Dobrze wiesz, o czym mówię, Clint. Nie udawaj, że nie rozumiesz, o co mi chodzi. Powinieneś jechać do Ameryki. Tam się odnajdziesz i może wreszcie przynasz się przed samym sobą, kim naprawdę jesteś.

Skulił się na krześle. Wydal jej się jakby mniejszy.

— A kim jestem?

— Nie ma się czego wstydzić. — Przez Daisy przemawiały teraz mądrość i rozsądek. — Zawsze będę dumna, mając cię za przyjaciela, Clint, ale nie za męża. Żeniąc się ze mną, popełniłeś wielki błąd. Pewnie myślałeś, że tak przeciętna i nieciekawa dziewczyna jak ja nigdy nie znajdzie sobie męża i zadowoli się kimś, kto nie chce z nią spać, unika namiętnych pocałunków i normalnego pożycia małżeńskiego.

— O Boże! — jęknął i objął głowę rękoma. Przez długą chwilę oboje milczeli. Ciszę mąciły jedynie dochodzące z zewnątrz odgłosy ruchu ulicznego, który nieustannie panował na londyńskich ulicach w dzień i w nocy. Nagle Clint przykucnął na podłodze obok krzesła, na którym siedziała Daisy, i położył głowę na jej kolanach. — Daisy, jesteś najwspa-

nialszą dziewczyną, jaką znam. Tak bardzo chciałem cię pokochać. I naprawdę cię kocham.

— Mówisz o całkiem innej miłości, Clint. Och! — westchnęła, wyciągając dłoń i głaszcząc go po szyi. — Chciałabym, żebyś mnie kochał nad życie, tak jak ja kocham ciebie...

Mimo wszystko była skłonna z nim zostać. Zrozumiała jednak, że od tej chwili Clint musi radzić sobie sam. Prędzej czy później i tak się okaże, że rozstanie było najlepszym wyjściem dla nich obojga.

— Przepraszam, Daisy — rzekł stłumionym głosem. Przez spódnicę czuła jego oddech. — Całe życie bałem się, że wszystko wyjdzie na jaw. Raz nawet ktoś odkrył całą prawdę — dodał, wykrzywiając twarz. — Ale nikt więcej nie dowiedział się o tym. Ojciec chybaby mnie zabił i aż boję się myśleć, jak zareagowałaby mama. W szkole przechodziłbym istne piekło. Nie potrafiłem przyznać się do tego sam przed sobą. Ten wyraz nie chce nawet przejść przez usta.

— Nie musisz nic mówić. Oboje znamy prawdę. Jesteś tym, kim jesteś. Od tej chwili powinieneś przestać się tego wstydzić, a raczej być z siebie dumny. — Przy tych słowach Daisy rozpłakała się. — Życzę ci szczęścia w Ameryce, Clint. Nigdy nie przestanę o tobie myśleć.

Teraz płakała znowu, siedząc na kanapie w miejscu, w którym siadywała babcia. Patrzyła w milczący telewizor. Na ekranie jacyś ludzie zachowywali się w niezrozumiały dla niej sposób. Na ślubie Moiry ogarnęła ją zazdrość. Kuzynka była do szaleństwa zakochana w Samie. Z wzajemnością.

— Może powinnaś wrócić do swego „łona”? — spytał Clint na kilka dni przed wyjazdem. Od chwili, kiedy wymusiła na nim bolesne wyznanie, jej obraz stał nietknięty.

— Wrócić do domu? O, nie. Nie mogłabym. Nie potrafiłabym kłamać na dłuższą metę. Poza tym dla mnie oznaczałoby to powrót do przeszłości, a ja chcę iść naprzód.

Poprosiła go, żeby nikomu nie mówił o tym, że wyjeżdża. Wolała zaczekać, aż minie weselna gorączka po ślubie Moiry. Nie chciała, by na przyjęciu zasypywano ją pytaniami.

— Przyjedziesz mnie odwiedzić, prawda? — spytał z niepokojem w głosie. — Na Boże Narodzenie? Pogoda w Kalifornii jest wspaniała.

— Postaram się.

Daisy miała przeczucie, że już nigdy więcej go nie zobaczy.

— Pamiętaj, będę przysyłał pieniądze. Nie stać cię na samodzielne utrzymanie w Londynie.

— Dziękuję, Clint.

— Och, Daisy! — westchnął, ujmując w dłonie jej twarz. W ciągu ostatnich tygodni dotykał ją częściej niż kiedykolwiek, jakby wreszcie wolno mu było być sobą. — Nie dziękuj mi. To przeze mnie zmuszona byłaś opuścić swoje „łono”. Przepraszam, że zrujnowałem ci życie...

W zamku drzwi wejściowych zazgrzytał klucz. Daisy wyszła do holu i zobaczyła babcię ze śpiącym Brendanem na rękach. Miał złudnie anielski wyraz twarzy.

— Śpi, jak zabity — powiedziała szeptem babcia. — Tyle się dziś nabiegał. Nie rozumiem, dlaczego na przyjęciach weselnych dzieci zawsze tak szaleją. Pamiętam, jak w czasie wojny mieliśmy tu wesele. Twoja mama i ciocia Greta były wtedy małe. Ależ rozrabiały!

— Daj mi go, babciu — rzekła Daisy, wyciągając ręce.

— Uważaj. Strasznie jest ciężki.

— Czy ktoś pościelił mu łóżeczko?

— Nie mam pojęcia. Dla niego to i tak bez znaczenia. Zdejmij mu tylko wierzchnie ubranko. Taki mały szkrab może spać w samych majteczkach i podkoszulku... — Bystre oczy babci przyjrzały jej się badawczo. — Kochanie, ty płaczesz?

— Włażni obejrzałam w telewizji jakiś melodramat.

Tak bardzo pragnęła powiedzieć babci całą prawdę! Mówi się, że smutek dzielony jest połową smutku. Ale Daisy wiedziała, że gdy tylko zacznie mówić, znowu się rozpłacze i tym razem nie będzie już mogła złapać tęż.

Na święta Bożego Narodzenia Daisy przyjechała do domu. Przywiozła ze sobą ogromny obraz, który postawiła na kominku.

— To dla ciebie, babciu.

— Dziękuję, skarbie. — Ruby nie kryła zaskoczenia. — Co to jest? — spytała uprzejmym tonem.

— Ognisko domowe.

— Ognisko domowe? — Malowidło przedstawiało wielki okrąg, niezbyt kształtny, wypełniony od wewnątrz plamami. — To piękne, Daisy. Bardzo ci dziękuję. Pewnie ze względu na pracę nie zostaniesz z nami długo?

— Odeszłam ze sklepu. Od przyszłego tygodnia będę bileterką w kinie Odeon przy Leicester Square. Mam jeszcze cały tydzień wolnego.

Oznaczało to, że kierowniczką sklepu obuwniczego została na lodzie: zaraz po świętach ruszała wyprzedaż zimowa, ale że kobieta nie miała w sobie ani krzty życzliwości, w pełni sobie na to zasłużyła.

— Dziwię się, że nie pojechałaś do Ameryki, żeby spędzić święta z Clintem.

— Nie stać mnie, babciu. Poza tym on wynajmuje mieszkanie jeszcze z kilkoma osobami. Nie miałabym gdzie nocować.

Skoro już raz skłamała, teraz nie miała innego wyjścia.

— Wielka szkoda, skarbie. Dopiero co się pobraliście, a los już was rozdzielił.

Daisy postanowiła, że po świętach, kiedy atmosfera w domu uspokoi się, powie babci i mamie całą prawdę.

Później zjawił się Matthew z prezentami. Położył je pod choinką. Daisy już spała.

— Rozumiem, o co jej chodzi — powiedział na widok malowidła.

— W takim razie wyjaśnij mi — poprosiła Ruby — bo ja nie widzę w tym malunku żadnego sensu.

Potrząsnął głową.

— Któregoś dnia otworzą ci się oczy i sama zrozumiesz. — Popatrzył na Ruby, po czym znów spojrzął na obraz. — Spotkało was wielkie szczęście. Też chciałbym znaleźć się w miejscu namalowanym przez Daisy, ale nigdy nie było mi to pisane. Teraz jest już za późno.

Ruby nie miała zielonego pojęcia, o czym mówił.

Moira i Sam przyjechali na krótko przed północą. Nauczycielska kariera Moiry zeszała na dalszy plan. Dziewczyna była w trzecim miesiącu ciąży i nie posiadała się z radości. Rozwiązanie przewidziano na czerwiec.

Pixie Shaw uznała za oczywiste, że zostanie zaproszona na świąteczny obiad. Podczas posiłku bez przerwy zadreczęła Daisy pytaniami.

— Clint pisze w listach bardzo niewiele — skarżyła się. Trochę złościło ją to, że Moira zaszła w ciążę przed Daisy. — Przecież pobraliście się dużo wcześniej.

— To nie wyścig, Pixie — ucięła Ruby. — Daisy i Clint zostaną rodzicami wtedy, kiedy sami uznają to za stosowne. Ty nie masz tu nic do powiedzenia.

— No właśnie — zgodziła się Heather. Od samego początku nie lubiła Pixie Shaw. — Mnie nawet nie przyszłoby do głowy namawiać Daisy do macierzyństwa tylko dlatego, że chcę zostać babcią. Tak się nie robi.

Ruby po raz pierwszy od lat ucieszyła się, kiedy skończyli jeść. W trakcie obiadu panowała napięta atmosfera. W przyszłym roku trzeba będzie powiedzieć Pixie, że w pierwszy dzień świąt idą w odwiedziny. Ale Pixie nie była jedyną osobą, która zepsuła świąteczny nastrój. Daisy siedziała przygnębiona, Greta z jakiegoś powodu miała zły humor, a Matthew prawie wcale się nie odzywał. Nawet obecność Brendana nie umiliła wspólnego posiłku, gdyż chłopiec przez cały czas wyrwał się do prezentów. Jedynie Moira i Sam wyglądali na uszczęśliwionych i Ruby dziękowała Bogu za to, że przyjechali.

Greta i Matthew najwyraźniej znów się pokłócili. Ostatnio zdarzało im się to bardzo często. Pewnie Greta po raz kolejny wydała pieniądze na jakiś bardzo drogi zakup.

— Słowo daję, że ona doprowadzi mnie do bankructwa — żalił się Matthew jeszcze kilka tygodni temu. — Kupiła altanę do ogrodu, w samym środku zimy!

Ruby nie mogła uwierzyć, że jej córka, niegdyś miła, sympatyczna dziewczyna, stała się tak bezmyślna i rozrzutna.

Moira i Sam, którzy jako jedyni emanowali pogodą ducha, wybrali się potem na spacer. Ruby była trochę zła, wiedząc, że bez nich w domu zabraknie powodów do radości, ale nie mogła im tego okazać. Dziarskim krokiem weszła do salonu z zamiarem namówienia wszystkich do wspólnych gier i zabaw, żeby trochę ich rozweselić. Ale Greta zdążyła już włączyć telewizor i przez resztę dnia siedzieli jak posągi, oglądając film *Dźwięk muzyki*, który Ruby już widziała i który w dodatku wcale jej się nie podobał.

Tegoroczne święta były wyjątkowo nieudane. Ku uciesze Ruby szybko się skończyły i powrócił codzienny spokój. Jednak nie na długo. Bo Daisy w końcu ujawniła prawdziwy powód, dla którego nie pojechała z Clintem do Ameryki. I wiadomość ta całkowicie zrujnowała wszystkim noworoczny nastrój.

Któregoś marcowego popołudnia zatelefonował Matthew. Rzeński, gwałtowny wietrzyk wdarł się do domu i psocił, stukając oknami i świszcząc przez szpary w zamkniętych drzwiach.

— Ruby, stało się coś okropnego... — głos Matthew drgał.

— Doprawdy? — spytała chłodno Ruby.

— Wróciłem dziś z pracy wcześniej, około godziny temu — mówił, nie zważając na jej szorstki ton. — Fatalnie się czuję. Chyba łapie mnie grypa.

— Ojej.

— Myślałem, że Greta nie ma w domu, ale poszedłem na górę i zastałem moją podłą żonę w łóżku z innym mężczyzną. Och, Rube! — jęknął zachrypniętym głosem. — Nie wiem, co robić. Muszę z kimś porozmawiać. Mogę wpaść?

— Nie teraz, Matthew. Greta jest właśnie u nas. Mój Boże! — westchnęła Ruby, jakby zaparło jej dech. — Nie wiedziałam... Greta jest zrozpaczona. Mówi, że bez powodu zrobiłeś jej awanturę.

— A ty jej uwierzyłaś? — wybuchnął rozgoryczonym tonem, który zakłuła ją w samo serce. — Cóż ty musisz sobie o mnie myśleć? Nic dziwnego, że tamten człowiek nie chciał się z tobą ożenić, Ruby. Dla ciebie nie liczy się nic poza rodziną bez względu na to, jaka ona jest. Powiedz mojej żonie, żeby została u ciebie. Teraz wreszcie będziecie mogły się sobą nacieszyć...

— Matthew! — krzyknęła Ruby rozpaczliwie. — Jadę do ciebie natychmiast.

Ale po drugiej stronie nikogo już nie było. Matthew odwiesił słuchawkę.

Poszła do ogrodu i zawołała Brendana — akurat wdrapywał się na drzewo, na które zabroniono mu wchodzić. Zszedł z zawstydzoną miną, spodziewając się zasłużonej bury.

— Chodź — powiedziała szybko Ruby. — Przejedziemy się samochodem. — Pociągnęła go w stronę domu. — I weź kurtkę — nakazała mu.

— Dobrze, Bee — odpowiedział posłusznie Brendan.

Miał już cztery lata i wyczuł, że dzieje się coś niedobrego.

Ruby pomyślała o córce. Jeszcze przed chwilą Greta rzuciła się na kanapę, szlochając żałośnie i wyzywając Matthew od najgorszych, bo nagle wpadł w złość i zwymyślał ją, a ona nie wiedziała nawet za co.

— Greto — rzekła ostro Ruby, stojąc w drzwiach — wstawaj natychmiast. Chcę, żebyś zawiozła mnie do waszego domu.

— Co takiego, mamó? — spytała Greta, podnosząc głowę. Na zapłakanej twarzy malowało się zdziwienie.

— Powiedziałam, że masz mnie zawieźć do waszego domu. Dzwonił Matthew. Ty idiotko. Nawet nie wiesz, jak bardzo go zraniłaś. Ani słowem nie wspomniałaś, że twój mąż zastał cię w łóżku z innym mężczyzną. Czy tak cię wychowałam? Co za wstyd! — Rozzłoszczona Ruby tupnęła nogą. W przyszłym tygodniu przypadają jej sześćdziesiąte urodziny. Czas naj-

wyższy, żeby zaznała wreszcie odrobinę świętego spokoju. — Kim jest ten mężczyzna?

Zapadła cisza.

— To mąż mojej koleżanki.

— Ładne rzeczy! Ona też na pewno się dowie, a wtedy zapewniam cię, że przestanie być twoją koleżanką. Wstawaj natychmiast, bo inaczej wywlokę cię stąd siłą. Jeśli trzeba, sama wsiądę za kierownicę.

Obrażona Greta podniosła się z kanapy.

— Nie rozumiem, czemu aż tak bardzo troszczysz się o Matthew.

— No, ruszże się, dziewczyno! — ofuknęła ją Ruby. — Matthew to nasz najlepszy przyjaciel. W pełni zasługuje na to, by się o niego troszczyć. Idziesz czy mam jechać sama...?

W drodze do Calderstones nikt nie odezwał się ani słowem. Nawet Brendan był dziwnie spokojny.

— Daj mi klucze — zwróciła się Ruby do córki, kiedy dotarli na miejsce.

— Nie mam. Zostały w domu, w torebce.

— *Tu* jest twój dom — powiedziała Ruby cierpkim tonem. — A przynajmniej był. Pójdę i zapukam. Może mi otworzy.

— Nie otworzy, bo go nie ma. Jego samochód zniknął.

— Niech to szlag!

Po raz kolejny sprawiła mu zawód.

Do północy Matthew nie wrócił. Nazajutrz Ruby zadzwoniła do firmy Medallion i poprosiła z panem Doylem, ale powiedziano jej, że wyjechał na urlop.

— Kiedy wraca?

— Tego nie powiedział.

— Jak wróci, proszę mu przekazać, że pani O'Hagan chce z nim rozmawiać i że to pilne.

— Przekazę wiadomość jego sekretarce.

Następnego dnia Greta pojechała do Calderstones po swoje rzeczy. Przed wyjazdem zadzwoniła jeszcze, chcąc upewnić się, że Matthew nie ma w domu. Wróciwszy, ledwo wysiadła z zapchanego ubraniami samochodu i zaraz płaczącym głosem oznajmiła, że Matthew wystawił dom na sprzedaż.

— Ach, mam, jaka byłam głupia — szlochała.

— Oj, byłaś. A teraz chodź tu, kochanie — dodała, wyciągając rękę. Nie można przestać kogoś kochać, bo zachował się głupio, choć w przy-

padku Grety było to coś gorszego niż zwyczajna głupota. Upłynie jeszcze sporo czasu, nim wybaczy córce to, co zrobiła.

Heather nie chciała dzielić pokoju z siostrą. Kupiła sobie przenośny odbiornik telewizyjny, żeby móc oglądać programy Uniwersytetu Otwartego i czytać się w łóżku. Obecność Grety przeszkadzałyby jej.

— Mamo, czy mogę spać z tobą? — spytała w końcu Greta żałosnym głosem po kilku samotnie przespanych nocach. — Nie jestem przyzwyczajona spać sama. Czuję się jakoś dziwnie.

— Nie, nie możesz. Ja też potrzebuję prywatności.

— To może mogłabym spać z Brendanem?

— Nie. Przecież na górze są dwa wolne pokoje. A tak przy okazji, próbowałaś już poszukać sobie pracy?

Greta westchnęła.

— Jeszcze nie.

— W takim razie proszę cię, żebyś zrobiła to jak najszybciej.

— Dziś wieczorem przejrzę *Echo*.

— Jeśli nic nie znajdziesz, sprawdź jutro w *Labour Exchange*.

— Dobrze, mamo — odpowiedziała Greta ze zboląłą miną, na co Ruby zareagowała całkowicie obojętnie.

— To, co się stało, jest tylko i wyłącznie twoją winą, więc przestań zachowywać się jak męczennica. Heather jest jedyną pracującą osobą w tym domu. Nie będzie cię utrzymywać.

Minęły dwa tygodnie, a Matthew wciąż się nie odzywał. Ruby ponownie zadzwoniła do firmy Medallion.

— Pan Doyle otrzymał wiadomość — usłyszała. — Prosił, żeby pani przekazać, że skontaktuje się, kiedy będzie w Liverpoolu następnym razem.

— Czyli kiedy? Gdzie on teraz jest?

— Obawiam się, pani O'Hagan, że nie wiem, kiedy pan Doyle u nas będzie. Nasza firma podpisała właśnie kontrakt na budowę trzech szpitali w Arabii Saudyjskiej. Pan Doyle ma nadzorować tamtejsze prace budowlane.

— Dziękuję — powiedziała Ruby i odłożyła słuchawkę.

Arabia Saudyjska! Jak to dobrze, że nie było przy niej Grety. Inaczej z miejsca by ją udusiła.



Pół roku później na wycieraczkę znalazły list z kancelarii adwokackiej, zaadresowany do pani Greta Doyle. Matthew żądał rozwodu, uzasadniając swą decyzję niewiernością małżonki.

— Nie może mi tego zrobić — powiedziała nadąsana Greta. — Nie ma żadnych dowodów. Odpiszę, że się nie zgadzam.

— Dowody zdobędzie bez problemu — zauważyła Ruby. — Na pewno zna nazwisko faceta, z którym spałaś, skoro to mąż waszej znajomej. Zaangażuje go w całą sprawę, a wtedy jego żona zrobi ci awanturę. Napisać o tobie w *Echu*. Zostaniesz zmieszana z błotem. Poza tym koszty procesowe są ogromne. Do końca życia będziesz tonęła w długach. — Ruby sama nie bardzo wiedziała, co mówi. Każde jej słowo mogło okazać się nieprawdą. Ale Greta rzeczywiście dopuściła się niewierności małżeńskiej i nie zasługiwała na takiego męża jak Matthew.

— To co ja mam zrobić? — spytała żalnym głosem Greta.

— Odpisz adwokatowi, że zgadzasz się na rozwód i przyjmujesz warunki Matthew.

Niekiedy honor był ważniejszy niż własna rodzina.

Dwanaście miesięcy później, w 1981 roku, sprawa rozwodowa Matthew i Greta dobiegła końca. A Greta, mając czterdzieści pięć lat, wyszła za mąż po raz trzeci. Frank Fletcher był przemiłym, choć trochę nudnym człowieczkiem, a przy tym wdowcem. Miał też dwóch dorosłych, żonatyh synów. Frank i Greta poznali się w pracy, w firmie transportowej, w której Frank był urzędnikiem. Mieszkał we własnościowym domku szeregowym na osiedlu, gdzie Greta miała kiedyś zamieszkać z Larrym, gdyby ich losy potoczyły się inaczej.

Ślub odbył się w Urzędzie Stanu Cywilnego. Na ceremonię przyszło sześć osób: Ruby, Heather oraz synowie Franka z żonami. Rodzina pana młodego wyraźnie nie pochwałała jego kolejnego ożenku. Brendan od niedawna chodził do szkoły i miał na głowie inne sprawy.

Po zakończeniu beznamiętnie urzędowej ceremonii wszyscy udali się do domu Ruby na przekąskę. Państwo Fletcher nie chcieli ani wina, ani piwa. Zażyczyli sobie tylko herbatę. Z grzeczności zjedli kilka kanapek i poszli do domu. Został tylko Frank, który rozkochanym wzrokiem wpatrywał się w swą śliczną żonę, nie mogąc uwierzyć w szczęście, jakie go spotkało. Po południu państwo młodzi wyruszyli w podróż poślubną do Scarborough.

Jeszcze przed powrotem Greta Ruby zabrała się za sprzątanie jej pokoju. Otworzywszy szafę pełną eleganckich ubrań, nie mogła się

nadziwić. Wspomniała o tym w rozmowie z Heather, kiedy ta wróciła z pracy.

— Nie będą jej już potrzebne — powiedziała jej Heather. — Greta sama mówiła, że przy Franku nie będzie musiała ich nosić.

— Ciekawe, czy pasowałyby na nas.

Po podwieczorku obie udały się na piętro przymierzyć ubrania Greta. Towarzyszył im Brendan. Chwycił kapelusz Greta, który miała na ślubie Daisy, i założył go sobie na głowę. Spośród zielonych piór błyskały w uśmiechu jego zęby. Ruby i Heather zaczęły przebierać w ubraniach, narzekając, że Greta jest od nich niższa.

— A gdyby tak obszyć wzdłuż rąbka? — zastanawiała się Ruby, trzymając w ręce niebieską suknię z krepy.

— Ten żakiecik mogłabym nosić, ale bez spódnicy. Spójrz na ten sweter! Na pewno sporo kosztował. Nie, ja tak nie mogę! — Heather rzuciła sweter na podłogę i wybuchła łzami

— Ja też nie. — Ruby wypuściła z rąk niebieską suknię, jakby parzyła ją w palce. — Czuję się jak hiena cementarna.

— Nie wierzę, że Greta będzie szczęśliwa z Frankiem, mammo.

— Kto to wie, skarbie? — odpowiedziała Ruby smutnym głosem. — Wiesz, żałuję, że byłam dla niej taka niemiła, kiedy wprowadziła się z powrotem. Bardzo się wtedy na nią zdenerwowałam...

— Nasza Greta nigdy nie umiała żyć na własną rękę. Żałuję, że nie chciałam dzielić z nią sypialni. Mammo, myją odepchnęłyśmy.

— Chyba trochę przesadzasz, skarbie. — Ruby objęła zapłakaną córkę ramieniem. — Greta zachowała się naprawdę podle wobec Matthew. Nie mogłyśmy przywitać jej z otwartymi ramionami, jak gdyby nic się nie stało.

— Gdyby żyli Rob i Larry, wszystko byłoby inaczej.

— Nigdy się tego nie dowiemy, Heather. Na miejscu Matthew mógłby być ktokolwiek inny — powiedziała Ruby z westchnieniem. — Brendan! Oddaj ten kapelusz, bo go zniszczysz. Może Greta będzie jeszcze chciała nosić to paskudztwo.

# BRENDAN

## Rozdział 19

1985

Obudziła się w jakimś ekskluzywnym hotelu, w obcym pokoju. Leżała sama w dwuosobowym łóżku i czuła się fatalnie. Poduszka obok była wgnieciona. Ktoś, z kim przespała tę noc, wyszedł już, zaścieliwszy swoją połowę łóżka.

Ellie usiłowała przypomnieć sobie, kto to był. Pamiętała tylko, że zeszłego wieczoru na imprezie piła alkohol i nieźle się zaprawiła. Potem urwał jej się film. Spojrzała na zegarek: wpół do dziesiątej.

Nie pierwszy raz znalazła się w podobnej sytuacji. Ellie pracowała w londyńskiej agencji wynajmującej atrakcyjne dziewczyny na różne okazje: kolacje firmowe, na które biznesmeni przychodzili bez żon, wystawy i pokazy reklamowe, imprezy sportowe. Obecnie, wraz z sześcioma innymi dziewczętami, była w Madrycie na pokazach samochodów sportowych. Każda z nich musiała stać przy masce samochodu, przybierając prowokacyjne pozy, by zachęcać potencjalnych klientów do wydania ogromnych sum pieniędzy. W zeszłym tygodniu były w Szwecji na wystawie komputerów, gdzie wymagano od nich urody i inteligentnego wyglądu. W przyszłym miesiącu, w Rzymie, planowano pokaz sprzętu biurowego. Przez większość czasu dziewczyny pracowały jednak na Wyspach Brytyjskich.

W agencji obowiązywały ściśle określone zasady moralne. Jej właściciele bardzo liczyli się z reputacją. W pracy dziewczynom nie wolno było angażować się w żadne kontakty seksualne. Ellie zdarzyło się kilkakrotnie złamać tę zasadę, ale tylko wtedy, gdy za dużo wypija — podobnie jak zeszłej nocy.

Usiadła i rękoma chwyciła się za skronie. Kręciło jej w głowie. Na podłodze leżało jej ubranie. Okna były otwarte. Wiatr wywiewał ażurowe zasłony na zewnątrz, skąd widać było kamienny balkon. Słońce świeciło

cudownie. Ciepły ranek zwiastował piękny dzień. Był dopiero maj i Ellie z przerażeniem pomyślała, jak nieznośnie upalne musi być hiszpańskie lato. Z zewnątrz dochodziły odgłosy ludzi pluskających się w basenie.

W pokoju było dwoje drzwi, jedno z nich uchylone. Za nimi znajdowała się łazienka. Ellie wygramoliła się z łóżka, wzięta prysznic, po czym naciągnęła ciasną, białą spódniczkę i czerwoną bluzkę — obowiązkowy strój hostessy na pokazie samochodowym. Ubranie było mocno wygniecione, a na spódnicy widniała plama po winie. Ellie wolała zniknąć, nim wróci mężczyzna, który wynajął pokój. Jeśli w ogóle wróci. W pokoju nie było nic, co wskazywałoby na czyjaś obecność — żadnej walizki, ubrań ani sprzętu do golenia. Może zdążył już się wymeldować.

Otworzywszy torebkę, w której trzymała kosmetyki do makijażu, znalazła zwitek banknotów: hiszpańskich peset. Ellie nie miała pojęcia, jak przeliczyć je według kursu wymiany walut, ale było to sporo pieniędzy. Tajemniczy mężczyzna, z którym spędziła noc, najwyraźniej wziętą ją za prostytutkę.

Lekko zawstydzona, usiadła na łóżku. Przecież nic wielkiego się nie stało. Gotówki też nigdy za dużo. A może ów mężczyzna okazał jej w ten sposób swoją wdzięczność? Przerażająca była jedynie myśl, że nie pamięta nawet, z kim spędziła noc. Równie dobrze mógł być to ktoś podobny do King Konga albo jakiś zboczeniec.

Na dźwięk pukania do drzwi Ellie zamarła.

— Kto tam? — krzyknęła.

— To ja, Barry, złotko.

Opiekun — mawiały zartobliwie dziewczęta o sześćdziesięcioletnim Barrym. Zajmował się rezerwacją hoteli, załatwianiem formalności związanych z wyjazdami, pilnował, żeby odpowiednio się odżywiały i nie spóźniały się na imprezy. Był to niski, pulchny człowieczek, prawie całkiem łysy. Miał sympatyczny uśmiech, którego nigdy nie odzwierciedlały jego oczy. Ellie uważała, że jest dwulicowy, podobnie jak większość ludzi, z którymi obcowała na co dzień. Pewnie i ona sama też nie była wyjątkiem.

— Skąd wiedziałeś, że tu jestem? — spytała Ellie, otwierając mu drzwi.

— Wczorajszy wieczór spędziłeś w towarzystwie Bruna Pinelli. To on wynajął ten pokój, więc pomyślałem, że najpierw zajrzę tutaj — powiedział. — Bruno Pinelli był wczoraj na pokazie. Rozdawał autografy — wyjaśnił, widząc zaskoczenie na twarzy Ellie. — To kierowca rajdowy. Włoch, bardzo przystojny. Zaprosił nas wczoraj do baru na dole i posta-

wił drinki. Rozkręciła się niezła impreza. Potem Bruno zniknął, a ty razem z nim. Nietrudno było pokojarzyć fakty.

W pamięci Ellie pojawiło się mgliste wspomnienie ciemnych, namiętych oczu jakiegoś kochanka. Był niezwykle męski.

— Chyba trochę za dużo wypiłam — powiedziała cicho.

— „Trochę” to za mało powiedziane, złotko. Musisz uważać, bo inaczej lada chwila wpadniesz w alkoholizm.

— Głupie gadanie, Barry — zaśmiała się. — Piję tylko dla celów towarzyskich i ani kropli w ciągu dnia.

— Wierzę ci, ale wystarczy, że siądziesz przy barze i wychodzisz całkiem zalana, że aż wstyd. Co to takiego? — spytał, podnosząc popielniczkę. Na widokjej zawartości zmarszczył brwi. — Paliliście trawkę?

Ellie na próżno usiłowała sobie przypomnieć.

— Na to wygląda.

— I zostawiasz to na widoku?! — Z surową miną zabrał popielniczkę do łazienki, skąd dał się słyszeć plusk spuszczonej w muszli wody. Po chwili wrócił. — Nie dość, że chodzisz urzętna w trupa i bzykasz się z facetami na lewo i prawo, to w dodatku znajduję u ciebie nielegalne używki. Weź się w garść, złotko, bo inaczej postaram się o to, żeby zwolniono cię z agencji.

— Zacny z ciebie gość, złotko — odparła lodowatym tonem.

— Mógłbym zrobić to bez ostrzeżenia — powiedział równie chłodno. — Jeszcze dziś poinformowałbym, kogo trzeba.

— Dotarło do mnie, Barry.

— Miło mi to słyszeć, Ellie. — Uśmiechnął się, lecz w jego spojrzeniu była powaga. — Do otwarcia pokazu pozostały dwie godziny, a ty wyglądasz jak szmata. Zamówię ci czarną kawę i coś do jedzenia. Zaczekaj, aż przyniosą ci śniadanie do pokoju, a w międzyczasie zrób sobie porządną makijaż. Załatwię ci czyste ubranie. Zajmę się wszystkim natychmiast — dodał, podnosząc słuchawkę.

— A ten facet, ten Bruno? Nie przyjdzie tu?

— Nie. Wymeldował się wcześniej rano.

— Dzięki za wszystko, Barry. — Nie lubiła, kiedy trzeba było okazywać wdzięczność, ale przełknęła gorzką pigułkę. Mogła przecież stracić pracę.

Po wyjściu Barry'ego Ellie zastanawiała się, czy rzeczywiście tak bardzo zależy jej na tej pracy. Z początku dostarczała jej wiele wrażeń; teraz była męcząca i nudna. Chyba każda praca w końcu powszednieje.

Usiadła przy toalecie i zaczęła się malować. Nakładanie makijażu trzęsącymi się rękoma przychodziło jej z trudem. Barry miał rację: wyglądała fatalnie. Wkrótce zjawił się kelner z kawą i bułkami.

— Proszę zapłacić teraz — powiedział uprzejmie, wręczając jej rachunek. — Senior Pinelli uregulował już wszystkie swoje rachunki.

— Ile to będzie w funtach?

— Dziesięć.

Dziesięć funtów! Tylko za kawę i bułki! Ellie zbladła. Nie miała nawet ochoty na bułki. Z przerażeniem pomyślała, ile wyniosłoby ją dłuższy pobyt w tym hotelu. Wyciągnęła dwa banknoty z pieniędzy, które zostawił jej Bruno Pinelli. Kelner odszedł zadowolony. Ellie skończyła robić makijaż, po czym usiadła przy małym stoliku, żeby wypić kawę. Pokój znajdował się na pierwszym piętrze w tylnej części hotelu. Okna wychodziły na basen otoczony rzędami cienistych drzew. Rozciągnięta na ogromną długość niebieska tafla wody połyskiwała w promieniach słońca. Jakiś mężczyzna uczył małego chłopca pływać. Na drugim końcu basenu była trampolina, na której stał nastoletni młodzieniec. Wyciągnął ręce, skoczył, zanurkował gładko i bezdźwięcznie, wzbudzając zachwyt przyglądających się rówieśników oraz kilku osób odpoczywających na leżakach i siedzących przy stolikach z parasolami, ustawionych wokół ekskluzywnego basenu.

Ellie poczuła ukłucie zazdrości. Ludzie ci mogli cieszyć się odpoczynkiem na świeżym powietrzu, podczas gdy ona spędzi resztę dnia w cuchnącym, przegrzanym namiocie reklamowym, udając uprzejmość wobec klientów, choć tak naprawdę było jej wszystko jedno, czy ktoś kupi prezentowane samochody, czy nie. Dlaczego nie stać jej na pobyt w tym hotelu? W którym momencie tak bardzo skomplikowała sobie życie?

Miała dwadzieścia sześć lat i wciąż bezskutecznie szukała swojego miejsca. Uciekłszy z domu po raz drugi, Ellie przez jakiś czas trzymała się sceny muzyki pop z nadzieją, że dostanie pracę asystentki w dziale promocji czy reklamy. Jednak nic z tego nie wyszło. Potem pracowała w redakcji jakiegoś magazynu mody, ale i to nie otworzyło jej drzwi do upragnionej kariery. Nikt nie zaproponował jej pracy modelki, choć była ładniejsza od wielu dziewcząt, które odniosły sukces. Kiedyś wystąpiła w filmie jako statystka, ale tam też nikt jej nie zauważył. Przez rok pracowała w stacji telewizyjnej, gdzie pomagała w biurze. Zajmowała się parzeniem herbaty i archiwizacją akt. Jakoś nie awansowała. Dwa lata temu, kiedy zatrudniła się w agencji, zdawało jej się, że ta droga wreszcie zaprowadzi ją na wyżyny kariery. Przyjęto ją z uwagi na jej urodę i zgrab-

na sylwetkę. Liczyła się także osobowość. Jednak okazało się, że to praca bez perspektyw i szans na dalszy rozwój.

Barry mylił się, mówiąc jej, że wpadnie w alkoholizm. Przeżywała jedną z tych chwil, kiedy najwyczejniej miała ochotę pokrzepić się dobrym, mocnym drinkiem. Przykre było to, że jeden na ogół nie wystarczał. Trzeba jej było następnego mocnego drinka, a potem jeszcze jednego, aż w końcu upijała się do nieprzytomności.

Ktoś znów zapukał do drzwi. Tym razem była to jedna z dziewcząt, Trisha. Miała ze sobą czyste, świeże ubranie.

— To od Barry'ego. Dobrze się wczoraj bawiłaś? — spytała.

Nie było jej na imprezie. Miała osiemnaście lat i śliczną, młodą twarz o świeżym wyglądzie, na widok której Ellie poczuła się nagle stara i wręcz zaniedbana.

— Wspaniale.

— W takim razie zostawiam cię samą, moja droga. Do zobaczenia później, Ellie.

— Do zobaczenia.

Ellie przebrała się i uczesała włosy. Kiedy poczuła się troszkę lepiej, zjadła bułkę. Po co miały się zmarnować, skoro zapłaciła za nie aż tyle? Dolała sobie kawy i wyszła na balkon z filiżanką w ręce. Na basenie zebrało się już więcej osób. Ellie obserwowała ich z zazdrością. Jakaś kobieta o brzydkich, krzykliwe rudych włosach szła od basenu w kierunku miękko obitego krzesła pod parasolem. Sylwetką przypominała ropuchę, a jej nogi miały kształt wypchanych worków. Ubrana była w ohydny, kraciastą suknię z bawełnianej przędzy. Klapnęła ciężko na krzesło i Ellie mogłaby przysiąc, że towarzyszyło temu głucho grzmotnięcie.

— Wolałabym być biedna jak mysz kościelna niż wyglądać tak jak ona — powiedziała sama do siebie.

Kobieta rozejrzała się, po czym włożyła ogromne okulary przeciwsłoneczne i oparła się o poduszkę. Jej ruchy wydały się Ellie dziwnie znajome. A do tego jeszcze te rude włosy... Po kilku sekundach z nieukrywanym zaskoczeniem rozpoznała swoją kuzynkę, Daisy.

Wepchnęła do ust resztkę bułki i popiła kawą. Szybko przejrzała się w lustrze. Sama wyglądała szczupło i elegancko. Jej długie, brązowe włosy lśniły, a twarz zdobił perfekcyjnie wykonany makijaż. Chwyciła torebkę, zbiegła ze schodów, znalazła przejście do basenu i podeszła do kuzynki. Na widok Daisy zawsze szczerze dziękowała losowi za wszystko, czym ją obdarował.

— Cześć, Daisy!

— Ellie! — Daisy zachłysnęła się ze zdziwienia. Zdjęła okulary. Na jej okragłej, kluskowatej, pokrytej piegami twarzy perliły się krople potu. — Co za miła niespodzianka. Skąd ty się tu wzięłaś, do diaska?

— Pracuję teraz w Madrycie. Jestem modelką. Jeżdżę po całej Europie.

— To wspaniale! — Daisy była pod wrażeniem. — Prezentujesz kreacje mody? Masz tu jakąś sesję zdjęciową?

— Tak — skłamała Ellie. — Co nowego w domu? Długo nie pisałam. Zabierałam się do tego wiele razy, ale... — przerwała.

— Od czasu twego wyjazdu tyle się wydarzyło, Ellie — powiedziała Daisy, przecierając twarz chusteczką.

Dla kogoś tak otyłego upał musi być koszmarem. Nic dziwnego, że chowa się pod parasolem. W słońcu jej skóra od razu zrobiłaby się czerwona i ledwo odróżniałaby się od włosów.

— Twoja siostra, Moira, wyszła za męża. Jej mąż, Sam, to przemiły i niezwykle inteligentny człowiek. Wykłada na uczelni, dlatego mieszkają w Cambridge. Mają dwoje dzieci — córeczkę i synka.

Ellie niechętnie przyjęła do wiadomości fakt, że jej bliźniaczej siostrze życie ułożyło się lepiej niż jej samej. Moira zawsze chciała zostać nauczycielką, Ellie zaś uważała, że to najmniej ciekawy zawód świata. Tymczasem małżeństwo z wykładowcą i przeprowadzka do Cambridge świadczyły o tym, iż Moira prowadzi całkiem interesujące życie.

— No i w dodatku masz siostrę.

— No wiem. Opowiadałaś mi o niej właśnie przed chwilą.

Czyżby od tej nadwagi Daisy pomieszało się w głowie? I tak nigdy za wiele w niej nie miała.

— Mam na myśli *nową* siostrę. Pewnie jeszcze o tym nie słyszałaś. Przecież od lat nie było cię w domu. Ciocia Greta i Matthew Doyle są po rozwodzie. Twoja mama ma już nowego męża. Nazywa się Frank Fletcher. Wszyscy się niezmiernie zdziwili, twoja mama także, kiedy w wieku czterdziestu sześciu lat zaszła w ciążę i urodziła dziewczynkę, Saffron. Ma teraz trzy latka. Śliczne imię, prawda?

— Rzeczywiście — odparła niepewnie Ellie. — A co u babci?

— Babcia ma się świetnie — powiedziała Daisy i rzuciła jej dziwne spojrzenie. — Brendan też. W przyszłym miesiącu skończy osiem lat. Wypisz wymaluj — Liam Conway. Tak samo zabójczo przystojny, jak on.

Ellie nie wymazała syna z pamięci, jednak nigdy nie odgrywał on w jej życiu żadnej szczególnie ważnej roli.



— Hmm, a co jeszcze się wydarzyło? Niech sobie przypomnę... — Daisy podparła palcem kluskowaty podbródek. — Moja mama ukończyła studia prawnicze.

— Co ty powiesz? — Ellie przewróciła oczyma na znak zniecierpliwienia.

— Matthew Doyle już od dłuższego czasu jest w Arabii Saudyjskiej. Chyba wszystko już powiedziałam. A co się z tobą działo przez te wszystkie lata, Ellie?

— Robiłam mnóstwo ciekawych rzeczy — odpowiedziała, wzruszając skromnie ramionami. — Pracowałam trochę w branży muzycznej, potem w redakcji magazynu i w telewizji. Wystąpiłam w paru filmach. Grałam epizody — dodała spieszenie, żeby Daisy nie zaczęła wypytywać o szczegóły. — W końcu postanowiłam zostać modelką. Dlatego tu jestem. A co u ciebie, Daise? Pobraliście się z Clintem?

Zawsze chciała zadać jej to pytanie. Często myślała o ich związku.

— Tak — odpowiedziała Daisy z uśmiechem. — Ale rok później wzięliśmy rozwód. Wiesz, Ellie, Clint jest gejem. Bał się otwarcie do tego przyznać. Teraz, kiedy wszystko już się wyjaśniło, jest szczęśliwy. Mieszka w Kalifornii. Píše scenariusze. Sama wiesz, jak bardzo interesował się kinem i filmem. Zawsze pragnął być reżyserem. Jest jeszcze młody, ma dużo czasu. Piszemy do siebie regularnie.

Biedna, żałosna Daisy przyjechała na urlop sama! Z takim wyglądem nigdy nie spotka żadnego mężczyzny. Ellie współczuła kuzynce, będąc jednocześnie przekonana o swej wyższości. Powstrzymała się od powiedzenia jej, że całą prawdę o Clincie znała już wcześniej.

— Tak mi przykro, Daise. Czy ty nadal malujesz?

— Nie. Nie maluję już od lat. Robiłam to tylko dlatego, że byłam niezdolna.

— To znaczy, że nie jesteś już niezdolna? — spytała, z trudem kryjąc zaskoczenie.

— Już nie. — Daisy roześmiała się radośnie. — Pewnie w tym stanie wcale nie wyglądam na szczęśliwą, ale w duchu bardzo się cieszę. I ucieś się jeszcze bardziej, kiedy dziecko przyjdzie już na świat. — Poklepała się po zaokrąglonym brzuchu. — Za niecały miesiąc będę rodzić. Już zebrały mi się wody. Postanowiliśmy wyjechać, chociaż na krótko. Kto wie, kiedy nadarzy się następna taka okazja.

— Nam? — spytała Ellie słabym głosem. Daisy w ciąży?!

— Jestem tu z Michaeliem i Harrym. Są tam. — Wskazała ręką na basen. — Michael uczy Harry'ego pływać.

Ellie przesunęła wzrok w stronę mężczyzny i chłopca, których zauważyła już wcześniej. A więc Daisy miała męża i syna, a ich drugie dziecko było w drodze. Ellie zrobiło się jeszcze bardziej gorąco. Ani siostra, ani kuzynka nie obchodziłyby jej w najmniejszym stopniu, gdyby jej własne życie potoczyło się zgodnie z jej oczekiwaniami. Niestety, prawda była inna. Przez ostatnie osiem lat Ellie na próżno szukała przygód i mocnych wrażeń, a tymczasem zarówno Moira, jak i Daisy prowadziły udane życie.

— Harry ma trzy latka — mówiła Daisy, machając zawzięcie z kierunku basenu. — O, już tu idą.

Mąż Daisy wziął chłopczyka „na barana” i brnąc w wodzie, kierował się na brzeg. Nie był przystojny, ale miał sympatyczną, osobliwą twarz i ujmujący uśmiech. Ellie pomyślała, że jest pociągający.

— Kochanie! Nie zauważyłem cię. Powinnaś leżeć w łóżku i odpoczywać. Wzięłaś te leki na wstrzymanie wód?

— Jesteśmy przecież na wakacjach, Michael. Mogę sobie odpocząć na świeżym powietrzu. Oczywiście, że wzięłam leki. Michael, poznaj moją kuzynkę, Ellie. Jest modelką. Przyjechała do Madrytu na pokaz mody. Popatrz, cóż za zbieg okoliczności, prawda? Nie widziałyśmy się przez kilka lat. Harry, to jest bliźniacza siostra cioci Moiry, czyli w pewnym sensie też twoja ciocia.

Michael podał jej dłoń, przepaszając za to, że jest mokra. Harry zaś nie okazywał zainteresowania nową ciocią. Wygramolił się z basenu, podszedł do mamy i przyłożył ucho do jej brzucha.

— Już się obudziło?

Daisy i Michael spojrzeli na siebie porozumiewawczo i wymienili radosne uśmiechy. Na widok rodzinnego błogostanu Ellie poczuła mdłości. Chciała już wstać i wyjść.

— Mały ma wielką ochotę na lody. Może napijesz się czegoś zimnego, kochanie?

— Z chęcią. Poproszę o napój z limonką.

— A dla ciebie, Ellie?

— Nic. Dziękuję. Za chwileczkę będę musiała iść.

— Chodź, twardzielu. Idziemy po twoje lody — powiedział Michael do syna.

Przechodząc obok Daisy, zaczepnie potargał jej włosy. Ellie poczuła, jak zazdrość pali ją aż do bólu. Ona też pragnęła związku pełnego miłości, ciepła i intymności, jaki łączył Daisy i jej męża. Jej także potrzebny był kochający mężczyzna. Dość już miała wyobcowania i samotności.

— Gdzie teraz mieszkacie, Daisy? — spytała, przerywając krótką ciszę.

— W Londynie, w Crouch End. Michael jest lekarzem. Ma okropnie dużo pracy.

Jakim cudem, do licha ciężkiego, komuś takiemu jak Daisy udało się poderwać lekarza, i to w dodatku atrakcyjnego?

— Gdzie się poznaliście?

Daisy otarła z potu rumianą twarz.

— W klinice. Michael jest dyslektykiem, podobnie jak ja.

— Kim?

— Dyslektykiem. Nigdy nie potrafiłam czytać. Pamiętasz? Wszyscy myśleli, że jestem opóźniona.

— Wcale nie — zaprzeczyła Ellie fałszywym tonem.

— Ależ tak, Ellie — odparła Daisy, kiwając głową. — Sama tak uważałam. Ale może powiem ci po kolei: po ślubie ja i Clint zamieszkaliśmy w Londynie. Potem on wyjechał do Kalifornii, a ja zostałam. Ach, Ellie, było mi tak strasznie smutno i źle. Pracowałam jako bileterka, malowałam do obłędu i prawie z nikim się nie widywałam. Pomyślałam: „Co ja, do cholery, robię?” — Mimo upału Daisy przeszły dreszcz. — Wtedy zadzwoniła babcia. Powiedziała, że czytała artykuł o czymś, co nazywa się dysleksja. Tam wyjaśnione było, dlaczego niektóre, nawet bardzo inteligentne osoby mają problemy z czytaniem: ludzie ci myślą obrazkowo, a nie werbalnie. To trochę skomplikowane. W artykule znalazłam nazwę kliniki w Londynie, gdzie oferują badania. Okazało się, że jestem typowym przypadkiem dyslektyka.

— A jak to się stało, że Michael został lekarzem, skoro nie potrafi czytać?

Daisy roześmiała się.

— Dzięki Angeli, jego matce. To bardzo nieugięta kobieta. Nie chciała pogodzić się z opinią nauczycieli, którzy mówili, że Michael jest opóźniony w rozwoju. Na własną rękę prowadziła z nim lekcje i sama nauczyła go czytać. To właśnie Angela napisała ten artykuł i założyła klinikę. Kiedy poszłam tam po raz pierwszy, poznałam Michaela. Nie masz pojęcia, jakie to cudowne uczucie spotkać kogoś, kto doświadczył w życiu tych samych trudności, co ja. I nagle problem sam się rozwiązał. Przystałam uważać się za niedorozwiniętą. — Pod wpływem wspomnień westchnęła z rozmarzeniem. — A potem Michael zaproponował spotkanie i tak się zaczęło. Nigdy nie sądziłam, że szczęście istnieje. Ach! — wy-

krzyknęła. — Czyż to nie cudowne, że nam wszystkim trzem — i tobie, i mnie, i Moirze — udało się ułożyć sobie życie?

— Rzeczywiście, cudownie — odpowiedziała słabym głosem Ellie. — O, idzie Michael. Pożegnaliśmy się tylko i już uciekam.

— Tak się cieszę, że cię spotkałam, Ellie — powiedziała Daisy, spoglądając na kuzynkę błagalnym wzrokiem. — Napisz do domu jak najszybciej, dobrze? Twoja mama przez cały czas o tobie myśli. Babcia też. Zamartwiają się o ciebie na śmierć. Najlepiej będzie, jak odwiedzisz je po powrocie do Anglii. Bardzo się ucieszą.

Tej nocy Ellie śniła o domu, w którym przyszła na świat. Były święta Bożego Narodzenia. Miała zaledwie kilka lat. Pomalowane na srebrno ściany tworzyły coś w rodzaju grotty, a choinka była tak ogromna, że jej długie, gęste, iglaste gałęzie zajmowały dużą część holu. Prezenty dla dziewczynek schowano w różnych miejscach w całym domu. Po śniadaniu Ellie wraz z siostrą i kuzynką wyruszyły na „poszukiwanie skarbów”. Biegały po schodach w górę i w dół, z pokoju do pokoju, krzycząc z radości, gdy tylko udało im się znaleźć kolejny owinięty w kolorowy papier tajemniczy pakunek. Ellie otworzyła jeden z nich i wyjęła przepiękną, staromodną, wiktoriańską suknię z błękitnego jedwabiu, z koronkowym kołnierzykiem. Przymierzyła ją przed lustrem w pokoju babci i westchnęła z zachwytu: była najpiękniejszą dziewczynką na świecie. Jak dorośnie, zostanie kimś wyjątkowym — sławną gwiazdą kinowego ekranu, diwą operową bądź też nawet królową...

I wtedy obudziła się w obskurnym hotelu, który zarezerwował jej Barry. Czekał ją kolejny długi, upalny dzień w namiocie reklamowym przy sprzedaży aut. Wiele oddałaby za drinka na dobry początek.

Po powrocie do swego ciasnego mieszkania w Londynie Ellie przejrzała książkę adresową w czerwonej, skórzanej oprawie, zapinaną na pozłacaną klamrę. Dostała ją kiedyś od Daisy na urodziny jeszcze jako nastolatka. Wtedy uważała, że to idiotyczny prezent, ale z biegiem lat książka wypełniła się nazwiskami. Otworzyła na literze „C” i od razu znalazła numer, którego szukała: numer telefonu Felixa Conwaya.

Wracając samolotem z Hiszpanii, długo rozmyślała. Jej życie legło w gruzach i zbyt często zaglądała do kieliszka. Uznała, że trzeba coś z tym zrobić. Nadszedł czas, żeby się ustatkować. Oznaczało to konieczność znalezienia sobie męża. Przez wszystkie te lata poznała wielu mężczyzn, lecz tylko z jednym łączyła ją pewna intymna więź. Rzecz jasna,

nie był to ani seks, ani zażyłość, jaką zaobserwowała między Daisy i Michaelem. Dzięki temu mężczyźnie Ellie czuła się swobodnie. Był nim Felix Conway. Przypomniała sobie wieczór w ogrodzie, jaki spędziła przed ucieczką z Fern Hall. Rozmawiając z Felixem, po raz pierwszy i ostatni doznała wtedy szczególnych wrażeń. Jego delikatny głos i subtelny uśmiech sprawiały, że Ellie stawała się nagle kimś miłym i łagodnym.

Możliwe, że już dawno ożenił się z Neilą Kenny lub z jakąś inną kobietą, ale nie zaszkodzi zadzwonić. Nie wyobrażała sobie jednak, by w Fern Hall cokolwiek się zmieniło. Felix pewnie wciąż prowadzi swoją aptekę, ponosząc straty. Przyda mu się ktoś, kto nim pokieruje i zrobi odpowiedni użytek z domu i sklepu. Kimś takim była Ellie. Potraktowałaby to jako wyzwanie.

Zabrała wszystkie drobne, zeszła na dół do telefonu publicznego i wykręciła numer domu Conwayów w Craigmoss. Felix powinien już tam być. Odebrał natychmiast.

— Felix, mówi Ellie. Pamiętasz mnie?

— Oczywiście. — W jego słabym głosie zabrzmiała nutka radości. — Często myślę o tobie. I o Brendanie. Wkrótce skończy osiem lat. Co u was słychać?

— Wszystko dobrze. Brendan doskonale radzi sobie w szkole... Felix, mogłabym przyjechać i zatrzymać się u was na trochę? Mam nadzieję, że Neila się zgodzi — dodała ostrożnie.

— Neila wyjechała z Craigmoss kilka lat temu. Mieszka gdzieś w Anglii, u brata. — Westchnął cicho. — Teraz mieszkam tu sam. Bardzo chciałbym cię zobaczyć. To kiedy przyjeżdżasz?

— Za kilka tygodni.

— Z Brendanem?

— Tak — odparła po namyśle.

Po skończonych lekcjach Brendan wrócił do domu. Cisnął torbę z książkami na kuchenny stół.

— Gdzie ona jest?

— Chodzi ci o Ellie, skarbie? Pojechała do miasta na zakupy.

Ruby zauważyła, że chłopiec wyraźnie odetchnął z ulgą. Nalała mu lemoniady. Wypił chciwie. Tydzień temu przyjechała Ellie i od tamtej chwili oboje byli spięci. Dziewczyna nie miała ani krzty wycucia. Myślała, że syn rzuci się jej w ramiona i potraktuje ją jak matkę, a tymczasem Brendan uznał ją za całkowicie obcą.

Przez wszystkie te lata Ruby starała się opowiadać mu o Ellie, pokazywała mu jej zdjęcie, ale on nie przejawiał żadnego zainteresowania. Był rezerwowym, pewnym siebie chłopcem, który wiedział, czego chce. Brak obojga rodziców nie zostawił na jego psychice żadnego piętna. Był dojrzały jak na swój wiek, łatwo nawiązywał kontakty i często przyprowadzał do domu kolegów ze szkoły, jednak od chwili przyjazdu Ellie nie zdarzyło się to ani razu. Czuł się skrępowany jej obecnością, kiedy pieśczołtliwie głaskała go po włosach, całowała go, kupowała mu zniechęcone słodycze i mówiła do niego „mały”, chcąc najwyraźniej zaistnieć wreszcie w jego życiu jako rodzona matka po tylu latach nieobecności.

Brendan rzadko miewał chwile przygnębienia. Teraz siedział z posmutniałą miną i bawił się pustą szklanką. Ruby usiadła obok niego.

- Masz ochotę na drożdżówkę?
- Z dżemem?
- Naturalnie. Z truskawkowym.
- W takim razie zjem drożdżówkę, Bee.
- Ja też. Dla towarzystwa.

Posmarowała dżemem dwie drożdżówki dla chłopca i jedną dla siebie. Siedzieli razem przy stole, aż do bólu czując łączącą ich wzajemną bliskość, oboje przerażeni na myśl, że wkrótce przyjdzie im się rozstać.

Z ust Ellie nie padło na ten temat ani jedno słowo, ale Ruby miała złe przeczucia. Brendan także. Żadne z nich nie wyraziło tego na głos, gdyż wtedy ich obawy stałyby się jeszcze bardziej realne. Ellie nie wspomniała, co było powodem jej nagłej wizyty, nie powiedziała, na jak długo się zatrzyma i kiedy wyjeżdża, tylko wciąż przyglądała się synowi z pewnym wyrachowaniem, zadając w kółko te same pytania, jakby chciała nadrobić stracone lata, poznać jego przyzwyczajenia i upodobania z nadzieją, że w ciągu tygodnia stanie się jego matką.

W głębi duszy Ruby zawsze się tego obawiała. Jej fatalistyczny sposób myślenia sprawił, że była na tę okoliczność przygotowana. Ale nie Brendan. Chłopiec nie darzył matki sympatią. Ellie zrobiłaby niewyobrażalnie okrutną rzecz, zabierając nagle dziecko z miejsca, które dotychczas uważało za swój dom i w którym wszyscy darzyli je miłością.

Ruby chciała wspomnieć o tym w odpowiedniej chwili, choć wiedziała, że w gruncie rzeczy nie ma do chłopca żadnych praw. Brendan należał do Ellie. To był niepodważalny fakt. W swej samolubności i braku poszanowania uczuć innych Ellie mogła w każdej chwili odebrać Ruby chłopca bez względu na ból i cierpienie, jakie im sprawi. Dla Ellie nie liczył się nikt inny prócz niej samej. Greta miała podobny charakter. Obie

najwyraźniej odziedziczyły w genach najgorsze z cech ich ojca i dziadka, Jacoba: nieczułość i egoizm.

Kiedy Ruby i Brendan siedzieli na kanapie przed telewizorem i oglądali program *Blue Peter*, przyszedł Ellie i Heather. Spotkały się w autobusie, w drodze do domu. Obie siliły się na wymuszoną grzeczność. Heather, zawsze sumienna i obowiązkowa, nigdy nie pochwałała postępowania siostrzenicy. Za kilka dni wybierała się do córki. Daisy była już bliska rozwiązania i Heather obiecała zaopiekować się Harrym na czas jej pobytu w szpitalu. Wszyscy oprócz Pixie pogodzili się już z szokującą prawdą na temat Clinta. Ku zadowoleniu całej rodziny, Daisy poznała Michała i razem stworzyli bardzo szczęśliwy związek.

— Patrz, mały, co ci kupiłam! — wykrzyknęła Ellie, cała obładowana torbami. Otworzyła jedną z nich i wyciągnęła jaskrawą koszulę w kwiaty.

Brendan spurpurowiał na twarzy.

— Nie założę tego!

— Brendan, zachowuj się. To bardzo ładne i modne.

— On woli koszulki z krótkimi rękawkami, Ellie — objaśniła jej Ruby spokojnie.

— Jestem pewna, że nie tylko. Przecież do szkoły nosi koszule.

— Koszule nosi niechętnie i tylko w szarym kolorze.

— Postanowiłam, że pojedzie w tym do Irlandii.

Zapadło długie milczenie. Nie podnosząc wzroku, Ellie udawała, że przegląda zakupione rzeczy.

— Do Irlandii? — spytała Ruby głosem zrzędlivej staruszki.

— Dokładnie w okolice Dublina. Jadę do mojego znajomego, Felixa Conwaya. To brat Liama. Zabieram ze sobą Brendana.

— Nie możesz. A szkoła?

— Mogę, babciu. Zrobię to, co będę chciała. — Ellie arogancko zarzuciła głową. Jej długie, brązowe włosy zafalowały w powietrzu.

— Na jak długo tam jedziesz?

— Nie wiem. Na jakiś czas.

— Ja nie chcę jechać do Dublina — powiedział Brendan buntowniczym głosem.

Rzadko kiedy płakał, ale teraz jego oczy napełniły się łzami.

— To tylko krótkie wakacje, mały.

— Przecież przed chwilą mówiłaś, że nie wiesz, kiedy wrócisz — przypomniała jej Ruby. — Wiesz co? Porozmawiamy o tym innym razem.

Może dziś wieczorem, kiedy Brendan pójdzie spać, a ona wreszcie będzie mogła powiedzieć szczerze, co naprawdę myśli. Ale Ellie była nieugięta.

— Nie, babciu. Porozmawiajmy teraz — odparła, wpatrując się w nią wzrokiem zimnym jak stal. — Brendan to mój syn. Chcę go z powrotem. Wiem, że nie byłam najlepszą matką, ale od tej chwili będę. Zabieram go ze sobą do Dublinu i być może już nigdy nie wrócę. Oto cała prawda. Najwyższy czas, żebym poukładała sobie życie. Mam ochotę zamieszkać w Craigmoss z Felixem Conwayem.

— A Brendan? Nie obchodzi cię, co on myśli i czuje?

— Brendan ma dopiero osiem lat. Przyzwyczai się do nowego miejsca.

W tym momencie chłopiec rzucił się na kobietę, która uważała się za jego matkę, i zaczął okładać ją pięściami.

— Nie *osiem*, tylko siedem! — krzyczał. — Ty nawet nie wiesz, kiedy są moje urodziny! Nie pojedę z tobą do Irlandii! — zawołał, tupiąc nogą. — Nie pojedę!

Wtedy Ruby wpadła w złość.

— Widzisz, co narobiłaś, idiotko? Gdzie byłaś, Ellie Donovan, kiedy to Bóg rozdawał ludziom rozum?

Odciągnęła od Ellie i przycisnęła zanoszącego się od płaczu chłopca do siebie. Objawszy go ramionami, czuła na swej piersi jego kołaczące serce. Po raz pierwszy od dłuższego czasu wpadła w gniew. Trzymała jednak emocje na wodzy, by nie denerwować Brendana.

Resztki przyzwoitości nakazywały Ellie okazać zaniepokojenie z powodu przykrej sytuacji, do której doprowadziła. Położyła dłoń na ramieniu Ruby.

— Przepraszam cię, babciu. Nie miałam zamiaru nikogo krzywdzić, ale on naprawdę jest mój. Wiedziałaś, że prędzej czy później go zabiorę. Mam na jutro dwa bilety lotnicze. Nie chciałam nic mówić. Sądziłam, że tak będzie najlepiej. Brendan na pewno z czasem mnie pokocha, prawda, mały?

Pogłaskała go po włosach. Wyrwał się spod jej ręki.

— Nigdy cię nie pokocham — wycedził przez zęby. — Nigdy, nigdy, nigdy.

Najbardziej druzgocące momenty w życiu przychodzą nagle i nieoczekiwanie. W jednej chwili wszystko wydaje się normalne, aż tu nagle ni stąd, ni zowąd życie wchodzi w zakręt i od tej pory nic już nie jest takie jak



przedtem. Najpierw Jacob zostawił rodzinę i zaciągnął się do wojska, zaraz potem zmarł Arthur Cummings, a kilka lat później chłopcy zginęli w wypadku. Jednak życie toczyło się dalej. Niekiedy bywało lepiej, czasami gorzej.

Następnej nocy Ruby nie mogła zasnąć. Rozmyślała i doszła do wniosku, że brakuje jej dawnej siły i pewności siebie. Nie wyobrażała sobie życia bez Brendana. Nikt ani nic nie będzie w stanie go zastąpić. Dużo łatwiej pogodziłaby się z utratą chłopca, gdyby okoliczności ich rozstania były nieco inne i gdyby wiedziała, że u boku matki Brendan znajdzie zadowolenie i szczęście. Ale najbardziej nieznośna była świadomość, że chłopcu będzie z Ellie smutno i źle. Jego matka łudziła się, myśląc, że syn z czasem ją pokocha.

Rano zeszła na dół z obolałą ze zmęczenia głową. Ku jej zaskoczeniu, Heather już wstała. Spojrzała na matkę wzrokiem pełnym troski.

— Słyszałam, jak się wierciłaś i kręciłaś, mamó. Jak samopoczucie?

— A jak myślisz, skarbie?

— Tak bym chciała móc jakoś temu zaradzić.

— To niemożliwe, Heather — powiedziała Ruby, zrezygnowana. — Jesteś prawniczką, więc wiesz, jak to jest. Ellie ma rację.

— Z punktu widzenia prawa, ale nie moralności. Czy Greta wie, że Ellie wyjeżdża?

— Tak. Przyjdzie się pożegnać.

Ku zdziwieniu Ruby, Brendan zjawił się ubrany w nową koszulę. Towarzyszyła mu Ellie.

— Włożył ją bez dyskusji — powiedziała radośnie.

— Bo to grzeczny chłopak. — Ruby wyciągnęła dłoń, modląc się w duchu, żeby udało jej się powstrzymać łzy. Brendan chwycił jej rękę bez słowa.

Greta przyjechała sama. Powiedziała, że Saffron jest w przedszkolu. Przedstawiciele czterech pokoleń rodziny O'Hagan usiedli w salonie, sztucznie podtrzymując rozmowę i oczekując na taksówkę, która miała zabrać Ellie i jej syna na stację Lime Street na pociąg do Manchesteru, skąd lecieli do Dublina. Wszystkie rzeczy i zabawki Brendana zostały spakowane zeszłego wieczoru.

Była dokładnie minuta po jedenastej, kiedy za oknem rozległ się klakson taksówki...

W drodze do Manchesteru Brendan prawie wcale się nie odzywał. Ellie pokazywała mu zmieniający się za oknem krajobraz, sądząc pewnie, że

między innymi na tym polega rola matki. Na każdy komentarz chłopiec reagował krótkim skinieniem głowy. Nie chciał też nic do jedzenia ani napoju w pociągu.

Myśli chłopca krążyły wokół Bee. Wciąż miał przed oczyma jej twarz na chwilę przed rozstaniem. Przypomniawszy sobie, jak głaskała go po głowie, kiedy był chory, jak śpiewała mu kołysanki, czytała książki, grała z nim w karty i oglądała w telewizji mecze futbolowe, bezwiednie kibicując drużynie przeciwnej. A potem znów ujrzał w pamięci jej twarz w momencie pożegnania. Cały jego świat kręcił się wokół Bee. Dla matki nie miał ani odrobiny sympatii. Nigdy jej nie polubi.

Podróż do Manchesteru trwała krótko. Autobusem mieli potem dotrzeć z dworca na lotnisko.

— Muszę iść siusiu — powiedział, kiedy przeszli przez bramkę.

— Mówi się „do ubikacji”, mały. Albo „do toalety”. Trzeba było pójść w pociąg.

— Muszę iść do toalety — powtórzył Brendan, robiąc minę za jej plecami.

— Teraz już lepiej. Męskie są tam.

— I poproszę coś do picia.

— Na co masz ochotę?

— Wszystko jedno.

— Napoje mają przy stoisku z gazetami. Tam się spotkamy. Tylko mi się nie zgub.

— Nie zgubię się. — Brendan pobiegł truchtem do toalety i wyszedł po kilku sekundach. Widząc, jak matka wchodzi do sklepu, ruszył szybko w kierunku peronu, na który przywiózł ich pociąg. Umundurowany mężczyzna złapał go za kołnierz w momencie, kiedy przechodził przez barierkę.

— A ty dokąd, synku?

— Jadę z mamą do Liverpoolu — wyjaśnił Brendan uprzejmym tonem. — Zgubiłem się.

— W tym pociągu jej nie znajdziesz. Ten do Liverpoolu odjeżdża z peronu drugiego. A gdzie twój bilet?

— Mama zabrała.

— W takim razie pośpiesz się, bo odjedzie bez ciebie. Masz jeszcze minutę.

Brendan znalazł peron drugi. Niepostrzeżenie prześlizgnął się pod barierką. W pociągu było sporo wolnych miejsc siedzących, więc chłopiec

usiadł przy oknie, żeby widzieć peron i w każdej chwili móc się schować, kiedy pojawi się jego mado i zacznie go wypatrywać.

Podróż do Liverpoolu trwała dwukrotnie dłużej. Brendanowi zdawało się, że pociąg jedzie w przeciwnym kierunku. Przez całą drogę towarzyszył mu strach. Przesiadał się z miejsca na miejsce, a na widok osoby w mundurze chował się w toalecie.

Wreszcie dojechali do Lime Station, skąd chłopiec miał pieszo udać się do domu. Na stacji, ku swemu wielkiemu zdumieniu, spotkał Bee. Zaniepokojona, wyczekiwała go przy barierze.

— Brendan! — zawołała, wyciągając ręce. Wiatr rozwiewał jej siwe włosy, aż zakrywały jej twarz. Miała na sobie domowe, wytarte dżinsy i luźną koszulkę z krótkimi rękawami, która sięgała jej prawie do kolan. W oczach Brendana wyglądała jednak piękniej niż kiedykolwiek.

— Bee! — krzyknął i rzucił się jej w ramiona. — Skąd wiedziałas, że...

Nagle zabrakło mu słów. Skąd wiedziała, że on przyjedzie akurat tym pociągiem? Bee zrozumiała, co miał na myśli.

— Twoja matka dzwoniła, skarbie. Strasznie się niepokoiła, ale domyśliła się, że wracasz do domu.

Brendan poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

— Czy ona jedzie po mnie?

— Nie, skarbie — odpowiedziała Ruby i wzięła go za rękę. — A skoro jesteśmy już w mieście, może wejdziemy do McDonald'sa na hamburgera? Jest taki ładny dzień.

— Dziękuję, Bee, ale nie. Wolałbym jechać do domu.

Chłopiec nie chciał już dłużej pokazywać się publicznie w tej okropnej koszuli.

— Ja też — odpowiedziała Bee z ulgą w głosie.

Około godziny wcześniej zadzwonił telefon. W słuchawce zabrzmiał paniczny głos Ellie.

— Babciu! Brendan zniknął. Poszedł do toalety i miał spotkać się ze mną przy stoisku z gazetami, ale nie przyszedł.

— Czy ktoś poszedł za nim do toalety? — spytała Ruby surowym tonem.

— Tak, ale w toalecie go nie było. Jakiś człowiek w mundurze, chyba konduktor, powiedział, że widział chłopca podobnego do Brendana i wskazał mu właściwy pociąg. Pewnie jest w drodze do domu.

— Wyjdę na stację. O której przyjeżdża ten pociąg?

— O drugiej trzydzieści.

— I co zamierzasz dalej, Ellie?

Ellie westchnęła.

— Nic. Chyba nie zabiorę Brendana do Dublina. To nie najlepszy pomysł. Przyślę z powrotem jego bagaż. Felix będzie rozczarowany. Przepadał za nim, kiedy Brendan był jeszcze malutki.

— Ellie, skoro zamierzasz ułożyć sobie życie z Felixem Conwayem — powiedziała Ruby delikatnym tonem — Brendan nie będzie ci potrzebny.

— Ach, babciu! — jęknęła Ellie. — Tak bardzo, bardzo chcę być szczęśliwa...

— Jak każdy z nas, skarbie. Jak każdy z nas.

Nie minął nawet tydzień, a Brendan na powrót stał się sobą. Znow był pełen energii i przyprowadzał kolegów, by bawić się z nimi w ogrodzie. Dublin i matka odeszły w zapomnienie.

Cały ten incydent pozostawił jednak trwały ślad w psychice Ruby, która wciąż była wstrząśnięta i niespokojna. Na każdy najmniejszy dźwięk reagowała czujnością w obawie, że stanie się coś strasznego. Czuliła się jak pozbawiony skorupy ślimak, narażony na nieznaną dotąd niebezpieczeństwa. Dzwonek telefonu za każdym razem powodował u niej nieprzyjemne uczucie w żołądku. Spodziewała się usłyszeć złe wieści, chociaż bywało zupełnie na odwrót.

Daisy urodziła drugiego chłopca.

— Jest śliczny — oznajmiła Heather, która dzwoniła z Londynu. — Będzie miał na imię Robert, po ojcu Daisy.

Dzwoniła też Moira, by poinformować, że w święta Bożego Narodzenia przyjdzie na świat ich kolejne dziecko.

— Prześcigamy się nawzajem z Daisy, babciu. Założyłam się z nią, że jako pierwsza będę miała pięciorko.

Ruby poczuła się lepiej. Wkrótce jednak wydarzyło się coś, co było niczym w porównaniu z utratą Brendana, a po czym przez krótką chwilę mimo wszystko zdawało jej się, że odchodzi od zmysłów.

Nadszedł upalny sierpień. Ruby i Brendan spędzili właśnie cudowny dzień w Southport, gdzie budowali zamki z piasku, wydali mnóstwo pieniędzy w wesołym miasteczku, spacerowali wzdłuż uroczej Lord Street i pili herbatę w galerii krytej szklanym dachem. Siedzieli i jedli, a Ruby

opowiadała Brendanowi o Emily, która przed ponad pięćdziesięciu laty przyszła z nią w to samo miejsce.

— Być może siedziałyśmy dokładnie przy tym samym stoliku.

— I byłaś wtedy młoda, tak jak ja? — spytał Brendan z buzią pełną ciastka z kremem. Najwyraźniej nie potrafił sobie tego wyobrazić.

— Trochę starsza. Miałam wtedy czternaście lat.

— Jak wtedy wyglądałaś?

— Byłam ładna. Przynajmniej tak mi mówili.

— Wciąż jesteś ładna — przyznał lojalnie Brendan.

Ruby roześmiała się.

— Dziękuję, skarbie. W czasie wojny ja i Beth zostałyśmy ewakuowane do Southport. Mieszkałyśmy tu tylko przez kilka dni. Twoja mama... to znaczy twoja babcia miała wtedy trzy latka.

Dwie małe córeczki, z którymi kiedyś przyjechała do Southport, dziś miały już własne wnuki! Od tamtej pory minęło tyle lat, a Ruby nie mogła oprzeć się wrażeniu, że to wszystko działo się tak niedawno. Tamtego dnia też było gorąco — zupełnie jak dziś. Czekwała przy stacji na Beth i Jake'a... Otrząsnęła się ze wspomnień i wróciła do teraźniejszości.

— Jestem w nastroju na zakupy — powiedziała. — Chcę sobie kupić nową, ładną sukienkę na lato. A ty? Co byś chciał?

— Tarczę — odpowiedział Brendan bez wahania.

— Tarczę?

— Można je kupić w Argos. Jeden chłopak z naszej szkoły ma taką. Byłem u niego w domu i widziałem. Super.

— Pewnie jest ciężka. Damy radę donieść ją do domu? — spytała Ruby z wyrazem zwątpienia na twarzy.

— Ja będę ją niośł, babciu. O nic się nie martw — odparł dzielnie chłopiec.

Zadowoleni, dotarli do Liverpoolu. Brendan niośł w pudełku swoją tarczę, a Ruby dwuczęściowy komplet z nie gniotącego się materiału od Marks & Spencera, który nie wymagał prasowania. Dotarwszy na miejsce, dowiedzieli się, że w domu było włamanie.

Skradziono niewiele: przenośny telewizor Heather, rower — urodzinowy prezent Brendana, szkatułkę Ruby, w której nie było nic szczególnie wartościowego, oraz kilka elementów dekoracyjnych, jakie podarowano im w ciągu minionych lat. Włamywacz (choć może było ich kilku) zostawił po sobie bałagan. Niewykluczone, że zrobił to ze złości, nie znalazłszy w tym ogromnym domu nic, co miałyby większą wartość. Szufła-

dy były otwarte, a ich zawartość leżała rozrzucona na podłodze. Złodziej potłukł naczynia, zbił lustro, poprzewracał krzesła i opróżnił kredens.

Policja okazała im współczucie, ale nie dawała nadziei na odzyskanie skradzionych rzeczy. Ruby doradzono, by założyła porządne zamki u drzwi, zabezpieczyła okna i zainstalowała alarm przeciwwłamaniowy.

— Ten dom to zaproszenie dla włamywaczy. Gdy tylko zauważyli, że nikogo nie ma, otworzyli tylne drzwi mocnym kopnięciem.

Przez dwa następne dni Ruby zachowywała się bardzo spokojnie. Zajął się układaniem wszystkich rzeczy na swoim miejscu. Rower i telewizor były objęte ubezpieczeniem, więc będzie można je odkupić. Heather zamówiła zamki i alarm.

Ruby zaczęła sporządzać listę przedmiotów skradzionych razem ze szkatułką. Wtedy coś w niej pękło. Policja poprosiła o szczegółowy opis rzeczy.

— To na wypadek, gdyby ktoś próbował je sprzedać. Dajemy jubileum spis kradzionych przedmiotów.

— Ale przecież to nie miało żadnej wartości — tłumaczyła Ruby. Nigdy nie była w posiadaniu drogocennej biżuterii czy klejnotów.

— Pani O'Hagan, niewykluczone, że włamywaczami były dzieci, które będą chciały sprzedać skradzione przedmioty. Potrzebny nam tylko spis. Te rzeczy mogą pojawić się nawet na wyprzedaży, wśród towarów sprzedawanych z bagażnika samochodu.

Zawartość szkatułki stanowiły głównie prezenty od córek. Ruby przypomniała sobie, że był tam mały wisiołek z ametystu na srebrnym łańcuszku i dopasowane do niego kolczyki. Córki podarowały jej tę biżuterię krótko po tym, jak rozpoczęły pracę, i stać je było jedynie na podarunek za parę funtów. W szkatułce były jeszcze małe, wkręcane złote kolczyki, srebrny krzyżyk na łańcuszku oraz srebrna bransoleta z bursztynem, przywieziona z Korfu. Była też tania broszka od Beth, która z biegiem lat zaśniedziała.

Spisując wszystkie te rzeczy, Ruby zalała fala wspomnień związanych z każdą z nich. Niektóre otrzymała na urodziny, inne na Boże Narodzenie, jeszcze inne bez żadnej szczególnej okazji. Przypomniała sobie o zapince do szala z dużym, zielonym kamieniem, która kosztowałaby majątek, gdyby była prawdziwa. Greta i Heather kupiły ją w dniu, w którym poznały chłopców. „Za to, że jesteś tak wspaniałą mamą” — powiedziała wtedy Greta.

Ruby doznała uczucia, jak gdyby ktoś wykradł i splugawił jej wspomnienia. Zabezczeszczono jej dom, wdarto się do jej życia. Jakiś obcy czło-

wiek, jacyś obcy ludzie chodzili po ich pokojach i dotykali rzeczy, które były własnością jej, Heather, Brendana.

Wtedy przypomniała sobie, że w szkatułce była także obrączka od Olivii, która należała niegdyś do ojca Ruby. „To obrączka ślubna mojego dziadka — powiedział, dając go Olivii. Słowa te na zawsze utkwiły w pamięci matki Ruby. — Nigdy nie zapomnę, w jaki sposób to powiedział. Tamten wieczór zapamiętałam w każdym najdrobniejszym szczególe”.

— Od Ruby dla Eamona, 1857 — powtórzyła na głos Ruby i rozplakała się. Zawsze chciała kupić złoty łańcuszek i nosić tę obrączkę na szyi, ale zbyt długo z tym zwlekała. Teraz nie miała już obrączki. Została skradziona.

Już nigdy w tym domu nie zazna poczucia bezpieczeństwa. Nie zdobędzie się na to, by znów wyjechać. Przeraziła ją myśl, że mogłaby ponownie zastać splądrowane pokoje i ich własne rzeczy porozrzucane na podłodze. Przerazenie było tak silne, że powodowało u niej mdłości. Bała się zostać w domu i bała się go opuścić.

W końcu poszła do kuchni i zabrała się za generalne sprzątanie. Ścierką wytarła każdy centymetr kwadratowy podłogi, blatów, nawet ścian, by usunąć najmniejsze ślady obecności intruzów. Wyszorowała wszystkie miejsca, które mogły być skażone ich dotykiem bądź oddechem. Wykonywała przy tym energiczne, nieco mechaniczne ruchy, a jej oczy błyskały lekkim gniewem.

Po intensywnym wysiłku zrobiła sobie krótką przerwę na odpoczynek, ale natychmiast zabrała się za salon. Sprzątnąwszy, uprała wszystko, co się dało: ubrania, pościel, zasłony — cokolwiek mogło choć przez chwilę znaleźć się w parszywych rękach złodziei.

Tej nocy prawie wcale nie spała. Rozmyślała o tym, co jeszcze trzeba zrobić. Wsłuchiwała się w odgłosy starego domu. Dobrze знаła każde jego stuknięcie i skrzypnięcie. Kiedyś przynosiły ukojenie; teraz wydawały się złowrogo głośne. Ruby dwukrotnie wstała też z łóżka i zaglądała do Brendana w obawie, że może ktoś go zamordował.

— Wiosenne porządki w sierpniu, mamó? — spytała Heather, kiedy kilka dni później, po powrocie z pracy, zastała Ruby na drabinie w swoim pokoju. Matka czyściła oprawę obrazu.

— Dopiero teraz widzę, w jakim stanie jest ten dom. Trzeba doprowadzić go do porządku.

— Mnie się taki podoba. Czemu tak nagle niepokoi cię stan domu? Wyglądasz na skonaną. Może napijesz się herbaty?

— Z chęcią, skarbie.

Heather nie miała pojęcia, ile wysiłku i pracy kosztowało matkę całe to sprzątanie. Ruby nie powiedziała nikomu o swoich odczuciach.

— Obiad jest w piekarniku. Zaraz będzie gotowy — oznajmiła. — Brendan poszedł do kolegi.

Po chwili wróciła Heather, mówiąc, że zabrakło herbaty.

— Skoczę do sklepu i kupię — dodała.

— Mogłabym przysiąc, że w kredensie była jeszcze cała paczka — powiedziała Ruby niepewnym głosem.

— Sprawdzalam. Nie ma. Zaraz wracam.

— Przy okazji kup też cukier, dobrze? Powoli nam się kończy.

Brakowało wielu takich rzeczy. Ruby zazwyczaj chodziła na zakupy w czwartki, ale tym razem czekała do powrotu Heather. Ani na chwilę nie chciała zostawić domu bez opieki.

Zeszła z drabiny i stanęła na trzęsących się nogach. Była wykończona, a zostało jeszcze mnóstwo pracy. Trzeba było wysprzątać pokoje na piętrze. W dzień Ruby pracowała zawzięcie, w nocy czuwała, nie mogąc spać — wszystko z powodu włamania, w wyniku którego stracili tak niewiele. Inni ludzie zmagali się na co dzień z dużo gorszymi problemami. Ruby też sporo przeżyła. Jednak nigdy przedtem nie czuła się tak, jak teraz — doszczętnie wypalona.

Zadzwonił telefon. Po drugiej stronie odezwała się Angela Burns, teściowa Daisy. Była miłą, energiczną i niezwykle aktywną osobką. Udzielała się wszędzie, gdzie tylko mogła. Ruby spotkała ją tylko raz — na ślubie Daisy. Angela chciała rozmawiać z Heather. One obie dość szybko znalazły wspólny język, choć Angela była mniej więcej w wieku Ruby. Heather nie było w domu, więc po krótkiej rozmowie Angela powiedziała, że zadzwoni później.

Za drugim razem zastała Heather. Ruby bezwstydnie podsłuchiwała ich rozmowę. Ze słów córki wynikało, że ma szansę na dobrą pracę w Londynie. Z początku Heather była zachwycona, ale zaraz ściszyła głos i Ruby musiała nasłuchiwać nieco uważniej.

— Na razie nie mogę wyjechać. Mówiłam ci już, że mieliśmy włamanie? Mama strasznie to przeżyła. Jest załamana, choć nie daje po sobie poznać, a ja udaję, że tego nie widzę. Mama nie chce, żeby ktoś dostrzegł jej słabość. — Tu nastąpiła chwila ciszy. — Tak, tak — mówiła dalej Heather. — Możliwie najszybciej. Nie mogę się doczekać.

Odwiśniewszy słuchawkę, Heather weszła do salonu. Ruby z niewinną miną oglądała z Brendanem *Listę hitów pop*.



— Angela mówi, że Rob rośnie jak na drożdżach. Musicie znów się spotkać, mamo. Nie byłaś jeszcze w Londynie, prawda?

— Nie, skarbie.

Nie była i nie będzie. Jakże mogłaby opuścić dom?

Później, kiedy Brendan i Heather poszli już spać, Ruby siedziała przed telewizorem i oglądała stary film. Wiedziała, że nie zaśnie. Zastanawiała się, czy przez resztę życia będzie skazana na bezsenność. Po skończonym filmie jej wzrok dziwnym trafem powędrował na malowidło Daisy, które wciąż wisiało nad kominkiem. Ruby od dłuższego czasu zamierzała je zdjąć.

Cóż ten obraz znaczy? Często się nad tym zastanawiała. Może to dlatego jeszcze go nie zdjęła. Może wciąż miała nadzieję, że któregoś dnia zrozumie jego znaczenie. Rozchwiany okrąg, a w środku sześć niewyraźnych postaci, z których jedna była większa niż pozostałe. Skupiwszy na nich wzrok przez dłuższą chwilę, odniosła wrażenie, że się poruszają.

Wstała i wyszła z pokoju. Wróciła z kubkiem gorącego mleka i znów spojrzała na malowidło. Sześć sylwetek. Dlaczego akurat sześć?

Matthew Doyle zrozumiał. „Rozumiem, o co jej chodzi” — powiedział. — Spotkało was wielkie szczęście. Też chciałbym znaleźć się w miejscu namalowanym przez Daisy, ale nigdy nie było mi to pisane”.

Czyżby postacie symbolizowały Ruby, jej córki i wnuczki? Sześć osób. Dlaczego spotkało je szczęście? Sześć osób zamkniętych w kole, oddzielonych od reszty tła, nietykalnych.

I nagle zrozumiała. Obraz przedstawiał świat, jakim widziała go Daisy w dzieciństwie, a później w młodzieńczym wieku aż do dnia, w którym poślubiła Clinta i odkryła bolesną, brutalną rzeczywistość. Greta, Ellie i Moira także doznały przykrych doświadczeń, zetknąwszy się ze światem zewnętrznym. To samo czekało wkrótce Heather. Ona też wyjedzie. Z ich sześciorga zostanie jedynie Ruby.

To dlatego włamanie było dla niej aż tak silnym przeżyciem. Ktoś wtargnął do ich domu. Okrąg został rozbity. Ruby, największa z postaci namalowanych na obrazie, opiekowała się wszystkimi, pielęgnując ognisko rodzinne i chroniąc je przed złem. Być może jeszcze z czasów w Foster Court pozostał w niej instynkt, który nakazywał zapewnić bezpieczeństwo własnym dzieciom.

— Stworzyłaś sobie swój mały świat i sama okrzyknęłaś się jego królową — powiedziała jej Beth przed laty w Waszyngtonie.

Teraz jednak okrąg Daisy został nieodwracalnie rozbity. Już nigdy nie zaznają bezpieczeństwa. A Ruby będzie musiała pogodzić się z tym i przestać chować się w domu, umierając ze strachu.

Pod wpływem emocji poszła do holu i wykreśliła numer do Beth. Większość czasu spędzała teraz w Waszyngtonie, gdzie pracowała na rzecz partii Demokratów. Dawno ze sobą nie rozmawiały.

— Biuro Beth Lefarge — odezwał się młody męski głos.

— Czy zastałam Beth? Mówi Ruby O'Hagan, jej przyjaciółka z Liverpoolu.

— Dzień dobry, Ruby. Chwileczkę. Sprawdzę, czy może rozmawiać. Beth odezwał się niemal natychmiast.

— Ruby! Długo cię nie słyszałam.

— Pomyślałam dokładnie to samo. Kim jest ten młody człowiek? Czyżby nastały czasy, kiedy mężczyzn zatrudnia się jako sekretarki?

— Moja sekretarka skończyła pracę o piątej. A Hank to mój wnuk. Zastanawiamy się właśnie, w jaki sposób zachęcić czarnoskórych obywateli do głosowania w kolejnych wyborach. Jak żyjesz, Ruby?

— Raz lepiej, raz gorzej. Może jeszcze przed końcem wakacji szkolnych wybiorę się do Dublinu, do Ellie. To matka Brendana. Najwyższy czas, żeby poznali się lepiej. Ale najpierw muszę porozmawiać o tym z Brendanem. — Na dźwięk swych własnych słów Ruby ogarnęło zdziwienie: przecież wcale tego nie planowała. Powiedziała coś, co nagle wydało jej się słuszne. Brendanowi lepiej będzie z matką niż z sześćdziesięciosześcioletnią babcią. Musi nauczyć się kochać Ellie, póki jeszcze nie jest za późno, bo inaczej popełni ten sam błąd, co Ruby wobec własnej matki.

— Heather dostała pracę w Londynie — mówiła dalej. — Nie znam szczegółów, ale już wkrótce wyjeżdża. Heather to dobra córka. Cieszę się, że jej się układa.

W rzeczywistości, zamiast wspierać córkę słowami zachęty, utrudniała jej podjęcie decyzji.

— Zostaniesz sama w tym ogromnym domu — powiedziała Beth.

— Upłynie jeszcze trochę czasu, zanim Brendan zrozumie, że u matki będzie mu lepiej. A potem — zobaczymy.

A potem przyjdzie rozstać się z domem przy Parku Książąt już na zawsze.

W Dublinie spędzili nieoczekiwanie miły tydzień. Ellie mieszkała w małowniczej wiosce Craigmoss, położonej kilkanaście kilometrów za mia-

stem. Ustatkowała się, odnalazła radość życia i uporządkowała niespokojne z natury myśli. Felix Conway był bardzo miłym, uroczym człowiekiem i wywierał pozytywny wpływ na trudną osobowość wnuczki Ruby. Potrafił wydobyć z niej to, co najlepsze. Brendan od razu go polubił i chętnie został w towarzystwie Ellie i Felixa, kiedy Ruby wybrała się na jeden dzień do Dublina. Zrobiła to zamierzenie. Taki był jej plan.

Spacerując po ulicach obcego miasta, czuła się osamotniona. Rozmyślała o czekającej ją przyszłości. Zawsze pragnęła dokonać czegoś, czego nie potrafiła zdefiniować. Już niedługo, po raz pierwszy w życiu, będzie wreszcie mogła robić to, na co ma ochotę. Ale Ruby wciąż nie miała żadnego konkretnego pomysłu...

Był koniec września. Ruby siedziała w ogrodzie, w cieniu drzew. Przyglądała się spadającym z gałęzi zbrązowiałym liściom.

„Złap liść i pomyśl jakieś życzenie”. Tak robiły dziewczęta w klasztorze. Ruby zapomniała już, czego pragnęła w tamte dni. Jakież ona mogła mieć wtedy życzenie? Pewnie takie, żeby nigdy nie musieć sprzątać ani gotować. Ale to życzenie nie spełniło się. Przez całe swoje życie nie robiła nic innego, tylko sprzątała i gotowała.

Sunąca po niebie chmura przysłoniła ciepłodajne słońce. Ruby przeżył chłód. Trzeba będzie znów zabrać się za malowanie, nim zaczną padać deszcz. Daisy zostawiła mnóstwo tekturowych arkuszy oraz zużyte w połowie tubki z farbą. Ruby malowała tylną część domu. Ten niezbyt rozsądny pomysł przyszedł jej do głowy zupełnie nieoczekiwanie. Nikt o tym nie wiedział — nawet Brendan, który akurat był w szkole. Ruby wstydziła się powiedzieć o tym komukolwiek.

Początkowo więcej farby znalazło się na jej ubraniu niż na tekturze, ale teraz obraz był już prawie gotów. Całymi tygodniami zastanawiała się nad jego treścią. Za każdym razem, kiedy uznała go za ukończony, coś skłaniało ją do tego, by domalować jeszcze jedną drobną postać — niewyraźną, rozmazaną, postać siedzącą, leżącą lub stojącą na trawie. Postacie grały w piłkę lub skakały przez skakankę. Jedna z nich siedziała na schodach. Miała coś, co przypominało rękę, a w niej filizankę, namalowaną plamką farby. Po jakimś czasie Ruby zrozumiała, że maluje najwcześniejsze lata, jakie spędziła w domu przy Parku Książąt. Postacie symbolizowały jej córki, Beth i Jake'a, Connie i Charlesa, Marthę Quinlan, Masha Harta oraz dzieci, którymi zajmowała się w czasie wojny, stojące pośród drzew niczym małe elfy. Postacią siedzącą na schodach była ona sama.

Na obrazie brakowało jeszcze kogoś. Ruby nie bardzo wiedziała, gdzie go umieścić: czy pośrodku, bo tam było jego prawdziwe miejsce, czy z boku, bo tam zawsze pozostawał.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie treść swojego malowidła, po czym zdecydowała, że ostatnią postać mężczyzny umieści pośrodku. Namalowała go przy drzwiach, tuż obok siebie. W ciągu ostatnich burzliwych tygodni Ruby bardzo brakowało jego obecności. Potrzebowała przyjaciela, kogoś, kto wysłuchałby jej zwierzeń. A z Matthew Doylem zawsze mogła szczerze porozmawiać.

Otworzywszy oczy, ujrzała prawdziwego mężczyznę. Szedł w jej kierunku, patrząc wzrokiem pełnym powagi. Człowiek ten miał dość szokującą aparycję. Wydawał się bardzo wysoki i niesamowicie szczupły. Niegdyś kruczoczarne włosy prawie całkiem pokryły się siwizną, a jego twarz była mocno opalona na złocistobrazowy kolor. Elegancki, jak zwykle, miał na sobie bawełniane spodnie khaki i zieloną wiatrówkę.

Przez chwilę Ruby była całkowicie zdezorientowana. Czyżby jej obraz nagle ożył, a jej życzenie spełniło się?

— Matthew — powiedziała cicho, usiłując się podnieść, ale nogi odmówiły posłuszeństwa.

Podszedł bliżej i usiadł na trawie. Na jego twarzy wciąż malowała się powaga.

— Wiem, że zostawiłaś dla mnie wiadomość w biurze. Miałem zadzwonić.

— To było pięć lat temu — powiedziała z zapartym tchem.

— Przepraszam, że nie skontaktowałem się wcześniej. Byłem zbyt zajęty.

Ruby przygładziła włosy, których nie zdążyła uczesać. Najej nie umalowanej twarzy widniała wyraźna siateczka zmarszczek. I miała na sobie stare dżinsy, które zakładała przy malowaniu.

— Mogłeś mnie uprzedzić, że przyjdiesz. Ogarnęłabym się trochę i ubrała.

Uśmiechnął się wreszcie. Ruby serce podskoczyło z radości.

— Kiedy ujrzałem cię w tym domu po raz pierwszy, byłaś ubrudzona farbą. Taką cię zapamiętałem.

Poczuła dreszcz emocji, ten sam, który towarzyszył jej w dniu, kiedy się poznali.

— Do twarzy ci w siwych włosach — powiedziała.

— To chyba pierwszy komplement, jaki słyszę z twoich ust — odparł z zadowoleniem.

Patrząc na niego z bliska, Ruby zauważyła, że wokół jego brązowych oczu także rysowały się zmarszczki. Miał wychudzone policzki, mocno pokryte bruzdami, które zostawił upływający czas. Zdaniem Ruby zmierniał.

— Przyjechałeś na stałe? — spytała, wstrzymując oddech i czekając na jego odpowiedź. W duchu pomyślała, że takie zachowanie nie przystoi już kobiecie w jej wieku.

— Tak. Jestem na emeryturze i zostaję na stałe.

— A gdzie będziesz mieszkał?

— To zależy od ciebie, Rube — odparł, wpatrując się w nią z powagą. Po chwili odwrócił wzrok i obserwował spadający z drzewa liść, który opadł miękko na trawę. — Tęskniłeś za mną?

— Tak, Matthew, tęskniłam. Zawsze miałam nadzieję, że wrócisz. Pokiwał głową z zadowoleniem.

— Co nowego u was?

— Wszystko dobrze. Nawet Ellie w końcu się ustatkowała. — Opo wiedziała mu o tym, że Greta urodziła kolejne dziecko, i o innych nowych członkach rodziny, o tym, jak Brendan sam przyjechał pociągiem z Manchesteru i o włamaniu. — Myślałam, że zwariuję, ale jakoś się pozbierałam.

— To dlatego, że jesteś silna.

Ruby wzdrygnęła się. — Wtedy wcale nie czułam się silna. Może napijesz się herbaty, Matthew?

— Miałem nadzieję, że zaproponujesz.

Chciała podnieść się z krzesła, a on chwycił ją za rękę i pomógł jej wstać.

Ich dłonie splótły się, kiedy szli po trawie w stronę domu. Znowu będzie tak, jak dawniej: on rozsiądzie się na krześle, a ona zaparzy herbatę. Na myśl o tym, co utraciła, nie posłuchawszy przed laty głosu serca, Ruby poczuła bolesny żal.

Szybkojednak uznała, że nie warto wracać do przeszłości. Zawsze sądziła, że to bezcelowe. Najważniejsza jest teraźniejszość. I nagle zrozumiała, jaka czeka ją przyszłość. Teraz nareszcie dokładnie wiedziała, co ma robić.

Wydzie za Matthew Doyle'a.

# MATTHEW

## *Epilog*

### *Sylwester Nowego Tysiąclecia*

Na balkonie siedziała para starszków, oboje ciepło otuleni. Na dworze panował mróz. Przed nimi roztaczał się widok na rzekę Mersey. Minęła właśnie wpół do jedenastej i do końca dwudziestego wieku pozostało jedynie dwadzieścia dziewięć minut.

Daisy i Moira organizowały imprezę, każda u siebie. Gdyby poszli do jednej, druga obraziłaby się. Sylwester Nowego Tysiąclecia postanowili więc spędzić w domu, razem, we dwoje.

— Nie zimno ci, skarbie? — spytała Ruby z troską w głosie.

Matthew był ostatnio bardzo osłabiony. Nękająca go przed laty gruźlica trwale uszkodziła mu płuca, o czym nie wiedział. Oddychanie sprawiało mu teraz trudność.

— Nie, Rube. Jest mi dobrze — powiedział, lekko zachrypnięty. — Tak bardzo chcę zobaczyć to wszystko.

Przed nimi, niczym ciemna, satynowa wstęga, rozciągała się rzeka. Woda odbijała światła sąsiednich miast — Wallasey i Birkenhead. Światła poruszały się lekko na delikatnych falach. Matthew był zachwycony pięknym widokiem, jaki malował się z okien ich mieszkania. Gdy nadejdzie lato, będzie przesiadywał na balkonie aż do zmroku.

Suwane drzwi zostawili otwarte, żeby słyszeć dźwięk z telewizora i dzwoniący telefon, który odezwał się po raz kolejny. Ruby poszła odebrać.

— To Beth — powiedziała, wróciwszy na balkon. — Jest w Little Rock ze swoją rodziną. Urządzają wielki bal noworoczny, ale tam do północy zostało jeszcze sporo czasu. Aha, Beth zaprasza nas do Waszyngtonu na całe lato.

— Podoba mi się Waszyngton — powiedział Matthew. Byli tam już kilka razy. — Nie mogę się doczekać, kiedy znów pojedziemy.

Ruby żarliwie modliła się o to, by stan zdrowia pozwolił Matthew wybrać się w kolejną podróż. Usiadła przy nim na ławce z kutego żelaza, kręcąc się niespokojnie.

— Może herbaty?

— Na Boga, Ruby — odpowiedział, poirytowany. — Usiądźże spokojnie na chwilę i popatrz na rzekę.

— Na razie nie ma na co patrzeć — odpowiedziała żalonym tonem.

— Zaraz się zaczniesz. Będą fajerwerki.

— To ja w międzyczasie pójde zaparzyć sobie herbatę.

Wstając, poczuła w nodze przesywający ból. Jęknęła.

— Co się stało?

— Cholerny artretyzm.

Skończyła osiemdziesiąt jeden lat i z trudem znosiła starość, wraz z którą ni stąd, ni zowąd pojawiało się mnóstwo bolesnych dolegliwości, a kiedy nagle ustępowały, Ruby obawiała się najgorszego.

Utykając, poszła do kuchni, której wnętrze i wyposażenie bardzo różniło się od tej w domu przy Parku Książąt: wszystko wykonane ze stali nierdzewnej, praktyczne, niezawodne i łatwe w czyszczeniu. Takie właśnie powinny być kuchnie. Dziś już rzadziej porównywała mieszkanie z domem przy Parku Książąt, ale na samym początku, kiedy się tu wprowadzili, nie mogła się nadziwić. Było to w 1988 roku. Brendan miał wtedy jedenaście lat i zamieszkał w Dublinie u Ellie i Felixa. Przekonało go do tego przybycie na świat młodszej siostrzyczki oraz potrzeba przynależności do normalnej rodziny. Dziś zarządzał restauracją w Fern Hall, którą założyła Ellie. Szło im świetnie. Ożenił się z Irlandką o imieniu Katy i wkrótce miał zostać ojcem.

Dom został sprzedany. Od tamtej pory Ruby nie pojawiła się tam ani razu. Nie miała pojęcia, kto w nim teraz mieszka. Nie spodziewała się, że rozstanie z domem sprawi jej aż tyle bólu. Widok starych ścian przywoływał tyle wspomnień, przeważnie tych dobrych, lecz Ruby wolała nie wracać do nich zbyt często. Niekiedy jednak one same niespodziewanie wracały do niej, wywołując łzy wzruszenia — takjak dziś, kiedy zadzwoniła Beth. W słuchawce zabrzmiał głos mówiący z lekko nosowym, amerykańskim akcentem, a Ruby wciąż miała przed oczyma ładną twarz dziewczyny o błyszczących oczach, którą poznała w domu Arthura Cummingsa — nie zaś stetryczałą staruszkę.

Znów zadzwonił telefon. Robert, syn Daisy, dzwonił ze swojego telefonu komórkowego.

— Jesteśmy na Nadbrzeżu Tamizy, Bee. — Nadane jej przez Brenda-  
na przezwisko przyjęło się w całej rodzinie. — Mają nas na kamerze. Ma-  
chamy rękoma jak wariaci. Widzicie nas?

— Jedną chwileczkę, skarbie. Zmienię tylko kanał. Tak, widzę was!  
— wykrzyknęła Ruby, choć bez okularów nie widziała nic prócz rozmy-  
tych sylwetek w tłumie. — Jest z tobą Harry?

— Tak. Dzwoni akurat do mamy ze swojej komórki. Jak tylko skoń-  
czy się pokaz fajerwerków, idziemy do domu.

— Bawcie się dobrze. Tylko uważajcie na siebie. Pozdrów Harry'ego.

— Zadzwonimy później, Bee.

Kamera pokazywała już inny fragment Nadbrzeża Tamizy. Ruby po-  
myślała, że miło byłoby być tam, wśród tłumów i radosnego zgiełku. At-  
mosfera tej nocy dawała się odczuć wszędzie; nawet budynki zdawały się  
wyczekiwać nadejścia niezwyklej chwili, a powietrze jakby drgało od  
emocji.

— Kto to był? — zawołał Matthew.

— Robert. Jest na Nadbrzeżu Tamizy razem z Harrym i właśnie wi-  
działam ich w telewizji.

— Zastanawiałem się, czego tak krzyczysz. Co tam robisz? Zostawi-  
łaś mnie samego.

— Zaparzyłam sobie herbaty, ale na powitanie Nowego Roku napiję  
się chyba czegoś mocniejszego — martini. Trzeba porządnie uczcić nowe  
tysiąclecie. Chcesz trochę whisky?

— Nie wolno mi, Rube — odparł, przygnębiony. — Biorę leki. Wypij  
za moje zdrowie.

— W takim razie wzniesiesz toast sokiem pomarańczowym. Zaraz ci  
przyniosę.

Nie minęła nawet minuta, kiedy znów zadzwonił telefon. Matthew  
westchnął, zniecierpliwiony. Tym razem dzwoniła Ellie.

— Babciu, Katy przed chwilą urodziła — mówiła ekstatycznym to-  
nem. — Miała bardzo szybki poród. Dziewczynka! Brendan poprosił  
mnie, żebym cię poinformowała. Na imię dadzą jej Ruby.

— Przekaż Brendanowi, że czuję się zaszczycona — odpowiedziała  
Ruby, pociągając nosem. Była bliska łez.

— Teraz to ja jestem babcią! — wykrzyknęła Ellie, trochę zszokowa-  
na, jak gdyby właśnie teraz zdała sobie z tego sprawę. — Czuję się okrop-  
nie stara.

— Poczekaj, aż twoje wnuki będą miały własne wnuki. Wtedy dopie-  
ro będziesz okropnie stara.



— Kończę już. Zadzwońię do mamy. Jest u Moiry. Przyjedź do nas wkrótce, co babciu? Musisz zobaczyć swoją małą imienniczkę.

— Przyjadę, jak tylko będę mogła, skarbie.

Ruby ucieszyła się, że Greta spędza ten wieczór w Cambridge, u Moiry, Sama i ich pięciorga dzieci. Wigilia noworoczna to trudny czas dla każdej wdowy. Frank Fletcher zmarł pięć lat temu, a jej ukochana córka Saffron miała już osiemnaście lat i bez przerwy angażowała się w jakieś niestałe związki. Aktualnie mieszkała z jakimś podejrzanym typem, który handlował samochodami. Greta była wściekła, podejrzewając go o sprzedaż kradzionych aut.

Życie pisało najbardziej nieoczekiwane scenariusze. Jedna z córek Ruby straciła męża, druga znalazła. W wieku pięćdziesięciu sześciu lat Heather wyszła za znajomego prawnika. Zamieszkali w Crouch End, nieopodal Daisy. Siostry, które niegdyś były ze sobą bardzo blisko, dziś nie widywały się już prawie wcale.

— Kto tym razem? — Matthew najwyraźniej tracił cierpliwość.

— Ellie. Katy urodziła dziewczynkę. Dadzą jej na imię Ruby.

— Świetnie. Znowu wychodzisz?

— Tak. Na moment.

Ruby wpatrzyła się w zawieszone nad kominkiem malowidło Daisy. Wspaniale pasowało do bardzo nowocześnie urządzonego pokoju z wysokim sufitem. Kiedyś było tu najwyższe piętro magazynu zboża. Pozostali lokatorzy budynku mieli nie więcej niż pięćdziesiąt lat; Ruby i Matthew byli najstarsi. Ruby spodobał się ten blok, który zaprojektowano dla młodych ludzi.

Obraz Daisy często wzbudzał podziw odwiedzających ich osób. Niektórzy pytali, co artysta miał przez to na myśli, ale Ruby nie chciała powiedzieć.

Rodzina O'Haganów powiększyła się o tylu nowych członków, że trudno byłoby umieścić wszystkich wewnątrz koła. Nie sposób już zajmować się nimi i chronić każdego z nich. Ruby z niepokojem pomyślała o Harrym i Robercie, którzy stali teraz na Nadbrzeżu Tamizy. W taką noc łatwo mogło dojść do zamieszek.

— Wygląda na to, że nowe tysiąclecie przywitam w samotności! — zawołał Matthew żałosnym głosem.

— Już idę.

Wyszedłszy na balkon, zasunęła drzwi.

— Nie będzie słychać, jak dzwoni Big Ben.

— Nie szkodzi. Przy otwartych drzwiach w mieszkaniu robi się zimno. Nie martw się. Na pewno dowiemy się, kiedy nadejdzie północ.

Położyła mu głowę na ramieniu. Natychmiast objął ją czule.

— Tak się cieszę, że jestem z tobą — powiedział szeptem.

— Ja też.

— Naprawdę?

— Naprawdę — odpowiedziała, westchnąwszy z zadowoleniem.

Przez chwilę milczeli, każde pogrążone w swoich własnych myślach. W oddali słychać było odgłosy miasta. Ruby spędziła z Matthew piętnaście wspianiałych, niemalże idealnych lat. Dużo podróżowali. Byli nie tylko w odwiedzinach u krewnych i u Beth w Waszyngtonie; zwiedzili także całą Europę. W ciągu minionych lat niejednokrotnie wyobrażała sobie ten szczególny wieczór — wigilię noworoczną u zarania nowego milenium. Zastanawiała się, czy dożyje tej chwili, a jeśli tak, to gdzie i z kim. Jedyną osobą, z którą chciała spędzić tę wyjątkową noc, był Matthew. Odmówiła modlitwę dziękczynną za to, że Bóg obdarzył ich długimi latami życia, by mogli wkroczyć w nowe tysiąclecie. Nie było to dane państwu Donovan ani państwu White, których Pan powołał już do siebie, podobnie jak Connie i Charlesa oraz Daniela Lefarge, męża Beth.

— Zaraz się zaczniesz — powiedział cicho Matthew.

W jednej chwili otaczający ich świat zabrzmiął okrzykami radości. W oddali dzwoniły dzwony kościelne, a ich pięknej melodii wtórowało żałobne zawrodoenie syren na statkach. Po drugiej stronie rzeki oraz na prawo, nad King Dock, ku niebu wzbiły się tysiące fajerwerków i rozsypały się w miliony gwiazd. Z balkonu piętro niżej rozległy się okrzyki i śmiech. Gdzieś w pobliżu szczekał wystraszony pies.

— Szczęśliwego Nowego Roku, Matthew.

— Szczęśliwego Nowego Tysiąclecia, Ruby.

Usta ich spotkały się w czułym, delikatnym pocałunku. W tym wieku niewiele pozostało z dawnej namiętności.

Na zewnątrz wciąż było głośno od wystrzałów, śpiewu i radosnych okrzyków. Ich mała część świata hucznie świętowała nadejście dwudziestego pierwszego wieku.

Po chwili Matthew dostał dreszczy, więc weszli do środka i znów usłyszeli dzwoniący telefon.

To była Greta.

— Szczęśliwego Nowego Roku, mamó — powiedziała śpiewnie.

— Nawzajem, kochanie.

Ruby ucieszył pogodny ton głosu córki. Następnie były życzenia od Moiry, potem od Sama, a potem od każdego z ich pięciorga dzieci. Wszyscy chcieli życzyć Bee i wujkowi Mattowi szczęśliwego Nowego Roku.

Później zadzwoniła jeszcze Heather, Daisy i Michael oraz świeżo upieczony tatuś — Brendan, pijany jak bela. Dzwonił również Harry z Nadbrzeża Tamizy. Wracali z Robertem do domu w towarzystwie kilku nowo poznanych dziewcząt.

— To Szwedki. Są zabójczo piękne.

Matthew tymczasem oglądał telewizję.

— Chyba się położę — orzekł, kiedy Ruby uznała, że już nikt więcej nie zadzwoni.

— Może przed snem napijesz się gorącego mleka?

— Nie, dziękuję, Ruby. Jestem wykończony.

Ruby z kolei za nic w świecie nie miała ochoty iść spać.

— Dobranoc, kochanie. Zaraz do ciebie przyjdę.

Ucałowała go i odprowadziła wzrokiem. Odszedł, słaby i zgarbiony. Przywołała w pamięci ubranego w tani garnitur wysokiego bruneta, którego poznała w dniu zakończenia wojny. Westchnęła i poszła do kuchni. Zamiast mleka nalała sobie jeszcze jeden kieliszek martini, po czym znów założyła płaszcz i wyszła na balkon. Obserwowała fajerwerki, wsłuchując się w melodię dzwonów i okrzyki roześmianych ludzi. Nagle zapragnęła znaleźć się wśród tłumu, by w tę wyjątkową noc tańczyć, śpiewać i bawić się wraz z innymi. Jakże miałyby pójść do łóżka i położyć się obok Matthew teraz, kiedy wszyscy weselą się i świętują?

Podeszła do drzwi sypialni i nasłuchiwała. Spał już, chrapiąc cichutko. Nie zaszkodzi przecież wyjść na zewnątrz, choćby na pół godziny, zmieszać się z tłumem i złożyć kilku nieznanym życzenia? Cóż z tego, że jest siwą staruszką cierpiącą na artretyzm? W dzisiejszą noc nie zamiera niczego przegapić.